



PATRICIA
CORNWELL

ŚLAD

Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL

ŚLAD

(TRACE)

Przełożyła: Agnieszka Fulińska



Prószyński i S-ka

2007

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

• 1 •

• 2 •

• 3 •

• 4 •

• 5 •

• 6 •

• 7 •

• 8 •

• 9 •

• 10 •

• 11 •

• 12 •

• 13 •

• 14 •

• 15 •

• 16 •

• 17 •

• 18 •

• 19 •

• 20 •

•21•

•22•

•23•

•24•

•25•

•26•

•27•

•28•

•29•

•30•

•31•

•32•

•33•

•34•

•35•

•36•

•37•

•38•

•39•

•40•

•41•

•42•

•43•

•44•

•45•

•46•

• 47 •

• 48 •

• 49 •

• 50 •

• 51 •

• 52 •

• 53 •

• 54 •

• 55 •

• 56 •

• 57 •

• 58 •

*Dla Ruth i Grahama:
nie znam innych ludzi takich jak wy i kocham was.*

*Dziękuję też Julii Cameron
za poprowadzenie mnie drogą artystów.*

*Charlie, Marty i Irene
ta książka jest również dla was.
Wy wszyscy sprawiliście że stało się to możliwe*

Na widok żółtych buldożerów zagarniających ziemię i cegły ze starego miejskiego biurowca, który widział więcej śmierci niż większość współczesnych wojen, doktor Kay Scarpetta zwalnia i prawie zatrzymuje wypożyczonego suva. Wstrząśnięta widokiem zniszczenia, wpatruje się w brudnożółte maszyny unicestwiające jej przeszłość.

– Ktoś powinien był mnie uprzedzić – mówi.

Tego szarego grudniowego poranka miała raczej niewinne zamiary. Chciała jedynie zanurzyć się nieco w nostalgicznych wspomnieniach i przejechać obok dawnego biura, nie mając pojęcia, że miasto postanowiło wyburzyć budynek. Ktoś powinien był jej powiedzieć. Byłoby uprzejmie i miło, gdyby ktoś przynajmniej napomknął, przynajmniej wspomniał: „A tak przy okazji: ten budynek, w którym pracowałaś, gdy byłaś młoda, pełna nadziei i planów na przyszłość, gdy wierzyłaś w miłość – no cóż, ten budynek, za którym wciąż tęsknisz i o którym wciąż myślisz ciepło, został przeznaczony do rozbiórki”.

Buldożer rusza z łopata wzniesioną do ataku, a mechaniczny szum brzmi jak ostrzeżenie, zapowiedź niebezpieczeństwa. Powinnam była posłuchać, myśli Kay, patrząc na popękany, zryty beton. Brakuje już połowy fasady jej starego biura. Kiedy poproszono ją o przyjazd do Richmondu, powinna była zwrócić większą uwagę na swoje przeczucia.

– Mam sprawę, w której chyba będziesz mogła pomóc – wyjaśnił doktor Joel Marcus, obecny główny specjalista od medycyny sądowej w Wirginii, który przyszedł na jej miejsce. Zadzwoił wczoraj po południu, a ona zlekceważyła wewnętrzny głos.

– Oczywiście, doktorze Marcus – odpowiedziała mu przez telefon, kręcąc się po kuchni swojego domu na południu Florydy. – W czym mogę panu pomóc?

– Martwa czternastolatka w łóżku. Znaleźli ją dwa tygodnie temu, około południa. Miała gripę.

Powinna była spytać doktora Marcusa, dlaczego zadzwonił właśnie do niej. Ale nie zwracała uwagi na swoje odczucia.

– Wróciła do domu ze szkoły? – spytała.

– Tak,

– Sama? – Przyciskając telefon brodą do ramienia, mieszała burbona z miodem i oliwą.

– Tak.

– Kto ją znalazł i jaka jest przyczyna śmierci? – Wlała marynatę do plastikowej torby z chudą polędwicą wołową.

– Jej matka. Brak konkretnej przyczyny śmierci – odpowiedział. – Nic podejrzanego poza tym, że wyniki sekcji, a raczej ich brak, sugerują, że dziewczyna powinna żyć.

Kay wcisnęła plastikową torbę z mięsem i marynatą do lodówki i otworzyła szufladę z ziemniakami, tylko po to, żeby ją od razu zamknąć – zmieniła zdanie. Lepszy będzie pełnoziarnisty chleb. Nie mogła ustać w miejscu, a tym bardziej usiedzieć, była podenerwowana i ze wszystkich sił starała się tego nie okazać. Dlaczego ten facet dzwoni właśnie do niej? Powinna była zapytać.

– Z kim mieszkała? – spytała.

– Wolałbym omówić szczegóły osobiście – odparł. – To bardzo delikatna sprawa.

Zamierzała powiedzieć, że właśnie wybiera się na dwutygodniową wycieczkę do Aspen, ale te słowa nie padły, a teraz nie są już prawdą. Nie wybiera się do Aspen. Wybierała się, owszem, od miesięcy, tak naprawdę jednak nigdy się nie wybrała i teraz też się nie wybierze. Nie umiała skłamać w tej sprawie, zamiast tego posłużyła się zatem zawodowym wykrętem, że nie może przyjechać do Richmondu, ponieważ jest właśnie w połowie trudnej sprawy, chodzi o bardzo dziwną śmierć przez powieszenie, której rodzina nie chce uznać za samobójstwo.

– A jaki jest problem z tym powieszeniem? – spytał Marcus, a im dłużej mówił, tym mniej go słyszała. – Rasowy?

– Ten człowiek wspiął się na drzewo, założył pętlę na szyję i skuł sobie ręce na plecach, żeby nie zmienić zdania – odpowiedziała, otwierając kolejną szafkę w jasnej, pogodnej kuchni. – Gdy zeskoczył z gałęzi, lina ściągnęła skórę, zniekształcając mu twarz tak, że wyglądała jak wykrzywiona z bólu. Niech pan spróbuje wytłumaczyć to i te kajdanki rodzinie z Missisipi, z głębokiej prowincji, gdzie ukrywanie się to codzienność, a geje wręcz przeciwnie.

– Nigdy nie byłem w Missisipi – odpowiedział szczerze jej następcą, ale równie dobrze mógł mieć na myśli, że nie obchodzą go ani powieszony, ani też żadna inna tragedia, która nie ma bezpośredniego związku z jego życiem, ale Kay tego nie usłyszała, ponieważ nie słuchała.

– Chętnie bym panu pomogła – powiedziała, otwierając nową butelkę oliwy z pierwszego tłoczenia, mimo że wcale nie potrzebowała jej otwierać. – Ale chyba nie byłoby wskazane, żebym zajmowała się sprawami, które należą do pana, doktorze Marcus.

Czuła złość, jednak ukrywała to przed samą sobą, krążąc po wielkiej, świetnie wyposażonej kuchni z urządzeniami z nierdzewnej stali, blatami z polerowanego granitu i wspaniałym widokiem na Wewnętrzny Kanał Przybrzeżny. Była zła z powodu Aspen, lecz nie chciała się do tego przyznać. Była po prostu zła, a poza tym nie miała ochoty przypominać doktorowi Marcusowi, że została wyrzucona z pracy, w której on teraz czuje się tak świetnie, i właśnie dlatego opuściła Wirginię z zamiarem niepojawiania się tam nigdy więcej. Ale jego przedłużające się milczenie zmusiło ją do powiedzenia, że nie rozstała się z Richmondem w przyjaźni i on powinien o tym wiedzieć.

– Kay, to było dawno – odrzekł.

Ona z profesjonalnym szacunkiem tytułuje go doktorem Marcusem, a ten człowiek mówi do niej po imieniu! Zdumiała się, jak bardzo ją to zirytowało, ale wytłumaczyła sobie, że on jest miły i uprzejmy, ona zaś obraźliwa i przeczulona; doszła wręcz do oskarżenia samej siebie o najgorszą możliwą małostkowość: może po prostu jest zawistna, więc życzy mu porażki. To przecież oczywiste, że będzie do niej mówił per Kay, a nie doktor Scarpetta, pomyślała, znów nie wsłuchując się we własne odczucia.

– Mamy nową panią gubernator – ciągnął. – Zapewne nawet nie ma pojęcia, kim jesteś.

Teraz na odmianę sugeruje, że doktor Scarpetta jest tak mało ważna i beznadziejna, że pani gubernator nigdy o niej nie słyszała. Ten człowiek po prostu ją obraża! Bzdury, powiedziała sama sobie.

– Nowa pani gubernator zajmuje się przede wszystkim gigantycznym deficytem budżetowym stanu i potencjalnymi celami ataków terrorystycznych, jakie mamy tu, w Wirginii...

Kay właśnie próbowała wyperswadować sobie negatywne uczucia do faceta, który przyszedł na jej miejsce. Potrzebował pomocy w trudnej sprawie, dlaczego więc nie miałby do niej się zwrócić? Przecież nawet dużym korporacjom zdarza się prosić wywalonych wcześniej dyrektorów wykonawczych o radę lub konsultację. A poza tym ona wcale nie jedzie do Aspen.

– ... elektrownie jądrowe, bazy wojskowe, Akademia FBI, nie całkiem tajna baza szkoleniowa CIA, Federalny Bank Rezerw. Gubernator nie będzie robić żadnych problemów, Kay. Prawdę mówiąc, jest zbyt ambitna, zbyt skoncentrowana na przyszłej karierze w Waszyngtonie, żeby przejmować się tym, co dzieje się w moim biurze – kontynuował miękkiem południowym akcentem, usiłując pozbawić ją wrażenia, że powrót do miasta, z którego została wygnana raptem pięć lat temu, może spowodować jakieś niesnaski – ba, nawet zostać zauważony. Nie była do końca przekonana, ale myślała o Aspen. Myślała o Bentonie, o tym, że on jest w Aspen bez niej. Mam nadmiar czasu, uznała, mogę wziąć jeszcze jedną sprawę, ponieważ nagle mam nadmiar czasu.

Tak więc teraz jedzie wzdłuż budynku, który był jej miejscem pracy we wczesnych latach kariery, a tamten okres teraz wydaje się tak całkowicie zamknięty jak to tylko możliwe. Chmury pyłu unoszą się z pobojuwiska, w które zmieniły jej dawne biuro żółte, podobne do owadów maszyny. Stalowe ostrza i łopaty huczają i brzęczą wśród betonu i gruzu. Ciężarówki i koparki suną przed siebie i skaczą. Opony miażdżą podłoże, pękają stalowe pręty.

– W porządku – mówi Kay – może i dobrze, że to widzę. Ale ktoś powinien był mnie uprzedzić.

Siedzący na miejscu pasażera Pete Marino przygląda się w milczeniu zagłazdnie niskiego, obskurnego budynku stojącego na obrzeżach dzielnicy

bankowej.

– Dobrze, że ty to też widzisz, kapitanie – dodaje Kay, mimo że on nie jest już kapitanem, ale kiedy nazywa go kapitanem, co nie zdarza się często, znaczy to, że jest dla niego miła.

– Skoro tak uważasz, pani doktor – mruczy Marino z sarkazmem, który jest dla niego tak zwyczajnym tonem, jak środkowe c dla fortepianu. – No ale masz rację. Ktoś powinien był ci powiedzieć, a tym kimś jest ów ósmy cud świata, co przyszedł po tobie. Błaga cię o przyjazd tutaj, mimo że twoja stopa nie powstała w Richmondzie od pięciu lat, ale nie zada sobie trudu, by wspomnieć, że stary lokal właśnie żegna się z życiem.

– Na pewno nie przyszło mu to do głowy.

– Mały dupek – stwierdza jej towarzysz – Już go nienawidzę.

Tego ranka Marino wysyła w świat doskonale zaplanowaną, złowieszczą mieszankę sygnałów: czarne bojówki, czarne policyjne buty, czarna kurtka z tworzywa sztucznego i bejsbolówka z logo policji Los Angeles. Dla Kay Scarpetty jest to oczywisty znak: przyjaciel chce wyglądać jak wyrzutek z wielkiego miasta, ponieważ wciąż czuje żal do ludzi z jego małego, upartego miasteczka, którzy go poganiali, traktowali źle i pomiatali nim, kiedy był tu detektywem. Rzadko przychodzi mu do głowy, że zasłużył sobie na prawie wszystkie nagany, zawieszenia w obowiązkach, przeniesienia i degradacje, i że zazwyczaj prowokował ludzi do nieuprzejmych zachowań.

Wciśnięty w siedzenie, z nieodłącznymi okularami przeciwsłonecznymi, Marino wygląda zdaniem doktor Scarpetty nieco głupkowato, mimo że ona skądinąd wie, że jej przyjaciel nienawidzi wszystkiego, co ociera się o sławę, a w szczególności przemysłu rozrywkowego i ludzi, wliczając w to policjantów, starających się dostać do showbiznesu. Czapeczka jest zmyślnym prezentem od siostrzenicy Kay, Lucy, która właśnie otworzyła

biuro w Los Angeles, czy też Lost Angeles, jak Marino zwykł nazywać to miasto. I oto on, powracający do własnego zagubionego miasta, do Richmondu, zainscenizował ów gościnny występ tak, żeby wyglądać całkowicie inaczej niż zwykle.

– Ha – mruczy niskim głosem. – Nici z Aspen. Podejrzewam, że Benton jest nieźle wkurzony.

– Prawdę mówiąc, właśnie pracuje nad jakąś sprawą – odpowiada Kay. – Więc kilkudniowe spóźnienie nie zaszkodzi.

– Kilkudniowe, niech mnie. Nic nigdy nie trwa kilka dni. Założę się, że nigdy nie pojedziesz do Aspen. Nad czym on teraz pracuje?

– Nie powiedział, a ja nie pytałam. – To wszystko, co zamierza na ten temat powiedzieć, ponieważ nie ma ochoty rozmawiać o Bentonie.

Marino wygląda przez okno i przez chwilę milczy, a doktor Scarpetta niemalże słyszy jego myśli o jej związku z Bentonem Wesleyem. Wie, że detektywa zżera ciekawość w tej kwestii – i to zapewne bez przerwy i mało przyzwoicie. Marino domyśla się jakoś, że ona zachowuje dystans wobec Bentona – fizyczny dystans – odkąd z powrotem się zeszli, a świadomość, że przyjaciel domyśla się tego, irytuje Kay i w jakiś sposób upokarza. Ale jeśli ktoś by to mógł podejrzewać, to właśnie on.

– Wiesz, straszny obciach z tym Aspen – odzywa się Marino. – Ja bym się wkurzył.

– Przyjrzyj się dobrze – odpowiada doktor Scarpetta, mając na myśli budynek, który na ich oczach ulega zniszczeniu. – Patrz, póki tu jesteśmy – dodaje, ponieważ nie chce rozmawiać o Aspen, Bentonie i o tym, dlaczego nie jest tam z nim, ani też o tym, jak mogłoby lub nie mogło być. Kiedy Bentona nie było przez te wszystkie lata, zniknęła też jakaś część jej samej. Kiedy powrócił, niecała ta część wróciła, a Kay nie ma pojęcia dlaczego.

– No cóż, myślę, że już najwyższy czas, żeby rozwalili tę rudere – mówi Marino, wyglądając przez okno po swojej stronie. – Myślę, że to z powodu Amtraku. Słyszałem, że ponoć potrzebują tu kolejnego parkingu, bo otwierają stację przy Main Street. Nie pamiętam, kto mi to mówił. Już jakiś czas temu.

– Byłoby więc miło, gdybyś ty mi powiedział.

– To było jakiś czas temu. Nawet nie pamiętam, od kogo to słyszałem.

– Chciałabym wiedzieć o takich rzeczach.

Marino spogląda na nią z uwagą.

– Nie mam pretensji o to, że jesteś nie w humorze. Ostrzegałem cię przed przyjazdem. A teraz widzisz, co nas wita. Nasze dawne biuro rozpada się pod ostrzałem kuli wyburzeniowej. To zły znak, jeśli interesuje cię moje zdanie. Jedziesz ze trzy kilometry na godzinę. Może powinnaś przyspieszyć.

– Wcale nie jestem nie w humorze – odpowiada doktor Scarpetta.

– Ale lubię, jak się mnie informuje. – Jedzie powoli, przypatrując się staremu biurowcowi.

– Mówię ci, że to zły znak – powtarza Marino, patrząc najpierw na nią, a potem przez okno.

Doktor Scarpetta nie przyspiesza, ponieważ przygląda się dziełu zniszczenia, a potem prawda staje jej jasno przed oczami, w miarę jak okrążają budynek. Dawne biuro koronera i laboratorium wydziału badań sądowych jest na najlepszej drodze do przemiany w parking obok odnowionej stacji kolejowej przy Main Street – stacji, na której nie widziano żadnego pociągu przez całe dziesięć lat, kiedy Kay i Marino tu pracowali. Potężny neogotycki budynek o elewacji w kolorze krwi przez długi okres pozostawał w uśpieniu aż wreszcie, po kilku agonalnych drgawkach, został zamieniony na centrum handlowe, które wkrótce upadło,

a następnie w biurowiec, który szybko zamknięto. Jego wysoka wieża zegarowa stanowiła stały punkt w krajobrazie, górując nad potężnymi zakrętami trasy I-95 i wiaduktami kolejowymi: upiorna biała twarz z delikatnymi dłońmi zastygłymi w czasie.

Richmond idzie naprzód bez niej. Stacja przy Main Street została wskrzeszona i stała się ważnym węzłem Amtraku. Zegar chodzi. Wskazuje godzinę ósmą szesnaście. Nie działał przez wszystkie te lata i regularnie pojawiał się w lusterkach samochodu doktor Scarpetty, gdy jeździła tam i z powrotem, by zajmować się zmarłymi. Życie w Wirginii toczy się dalej, ale nikt nie raczył jej o tym poinformować.

– Nie wiem, czego się spodziewałam – mówi Kay, rzucając spojrzenie w boczne okno. – Że wyprują z niego flaki, zamienią na magazyn, archiwa, a może spichlerz stanowy? Ale nie że go zburzą.

– Prawdę mówiąc, dawno powinni go zburzyć – stwierdza zdecydowanie przyjaciel.

– Nie wiem czemu, ale wydawało mi się, że to się nigdy nie stanie.

– To nie był żaden architektoniczny cud świata – tłumaczy Marino, a w jego głosie pojawia się nagle wrogość wobec starego budynku.

– Betonowe paskudztwo z lat siedemdziesiątych. Myślę sobie o tych wszystkich umarlakach, którzy się tam przewinęli. Ludziach z AIDS, meneli z gangreną. Zgwałconych, uduszonych i zadźganych kobietach i dzieciach. Szaleńcach, którzy rzucili się z dachów albo pod pociąg.

Ta rudera widziała wszelkie przypadki. Nie mówiąc już o tych różowych gumniastych ciałach w zbiornikach na dole. To przyprawiało mnie o prawdziwy dreszcz. Pamiętasz, jak ich wyciągali z tych kadzi, z łańcuchami i hakami w uszach? Całych nagich i różowych jak Trzy Małe Świnki, z podkurczonymi nogami. – Podciąga kolana, żeby pokazać jak; czarne bojówki przesuwają się w stronę okularów.

– Wcale nie tak dawno nie mogłeś tak podnieść nóg – zauważa Kay. – Trzy miesiące temu ledwie zginałeś kolana.

– Aha.

– Mówię poważnie. Chciałam powiedzieć coś miłego na temat twojej kondycji.

– Nawet pies jest w stanie unieść nogę, pani doktor – żartuje Marino, któremu komplement najwyraźniej poprawił humor, a Kay czuje wyrzuty sumienia, że go wcześniej nie pochwaliła. – Oczywiście pod warunkiem, że mówimy o samcu.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem. – Przez lata martwiła się, że okropny tryb życia doprowadzi go do śmierci, a teraz, kiedy w końcu podjął jakiś wysiłek, ona przez ileś miesięcy nawet go nie pochwaliła. Potrzeba było zburzenia starego budynku, żeby powiedziała mu coś miłego. – Przepraszam, że wcześniej o tym nie wspomniałam – dodaje. – Mam nadzieję, że to nie tylko kwestia jedzenia białek i tłuszczów.

– Jestem teraz chłopakiem z Florydy – odpowiada Marino radośnie. – Na diecie South Beach, to fakt, ale z pewnością nie wyleguję się na plaży. Za dużo tam pedałów.

– Nie powinieneś tak się wyrażać – rzuca Kay, bo nienawidzi, kiedy przyjaciel tak mówi, co jest zresztą powodem, dla którego on to robi.

– Pamiętasz ten piec? – Marino wraca do wspomnień. – Zawsze się wiedziało, kiedy palą ciała, bo z komina szedł dym. – Wskazuje na czarny komin krematorium na szczycie starego zniszczonego budynku. – Kiedy go widziałem, nie miałem szczególnej ochoty znaleźć się w pobliżu i wdychać tego powietrza.

Doktor Scarpetta przejeżdża wzdłuż tylnej ściany budynku, jeszcze nienaruszonej i wyglądającej dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widziała ją po raz ostatni. Parking jest pusty, jeśli nie liczyć wielkiej żółtej maszyny

zaparkowanej niemal w tym samym miejscu, w którym Kay parkowała, będąc tu szefową: na prawo od masywnych drzwi windy towarowej we wnęce. Przez moment słyszy zgrzytliwe skrzypienie rozchylających się drzwi, kiedy naciskano wielkie zielone i czerwone guziki. Słyszy głosy, warkot silników karawanów i karetek, otwieranie i zatraskiwanie drzwi, stukot kółek noszy przewożących zawinięte ciała w dół i w górę po podjeździe: umarli podróżujący w obie strony dniem i nocą, nocą i dniem.

– Przyjrzyj się dobrze – mówi do Marina.

– Przyjrzałem się, gdy pierwszy raz okrążyłaś budynek – odpowiada detektyw. – Zamierzasz tak jeździć w kółko przez cały dzień?

– Tylko dwa okrążenia. Przyjrzyj się dobrze.

Skręciwszy w lewo w Main Street, doktor Scarpetta przyspiesza nieco w pobliżu miejsca zniszczenia, myśląc, że lada moment będzie ono wyglądało jak świeży kikut po amputacji. Kiedy w polu widzenia pojawia się znów parking z tyłu budynku, Kay zauważa mężczyznę w oliwkowych spodniach i czarnej kurtce stojącego obok wielkiej żółtej maszyny i majstrującego coś przy silniku. Jest pewna, że maszyna sprawia kłopoty, i wolałaby, żeby ten człowiek nie stał przed wielkim czarnym kołem, cokolwiek trzeba tam zrobić.

– Może zostawisz bejsbolówkę w samochodzie – proponuje przyjacielowi.

– Co? – pyta ten, zwracając ku niej szeroką, zniszczoną twarz.

– Słyszałeś co. Drobną przyjacielską radą dla twojego dobra – mówi, gdy maszyna i stojący przy niej facet znikają z pola widzenia.

– Zawsze mówisz, że coś jest przyjacielskie i dla mojego dobra – odpowiada Marino. – I nigdy tak nie jest. – Zdejmuje czapkę policji Los Angeles i przygląda się jej z uwagą, a na jego łysinie perli się pot. Z

własnej woli pozbył się nędznych resztek szpakowatych włosów, które pozostawiła mu łaskawie natura.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego zacząłeś golić głowę – mówi doktor Scarpetta.

– Nigdy nie pytałaś.

– Teraz pytam. – Skręca na północ, oddalając się od budynku w stronę Broad Street i jadąc na granicy dozwolonej prędkości.

– To kwestia wewnętrznego przekonania – wyjaśnia Marino. – Chodzi o to, że kiedy nie masz za dużo włosów, możesz się równie dobrze ich pozbyć.

– Dość sensowne – przyznaje Kay.

– Równie sensowne jak każdy inny powód.

Relaksując się na ogrodowym leżaku, Edgar Allan Pogue wpatruje się w swoje nagie palce u nóg. Z uśmiechem wyobraża sobie reakcje różnych ludzi, kiedy się dowiedzą, że ma teraz dom w Hollywood. Drugi dom, poprawia sam siebie. On, Edgar Allan Pogue, posiada drugi dom, do którego może przyjechać po słońce, zabawę i odrobinę prywatności.

Nikt nie zapyta, o jakie Hollywood chodzi. Na samą wzmiankę o Hollywood ludzie wyobrażają sobie ogromny biały napis na wzgórzach, wille otoczona murem, sportowe kabriolety i pięknych uprzywilejowanych – lokalne bóstwa. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że Hollywood Edgara Allana Pogue’a leży w hrabstwie Broward, mniej więcej godzinę jazdy na północ od Miami, no i nie przyciąga sławnych i bogatych. Powie najpierw swojemu lekarzowi, myśli z ukłuciem żalu. Właśnie tak – pierwszy dowie się lekarz, więc następnym razem nie ucieknie ze szczepionką na grypę, myśli Pogue z ledwie zauważalnym odcieniem lęku. Żaden lekarz nie odważy się pozbawić szczepionki na grypę pacjenta z Hollywood, jakkolwiek trudno dostępna by była, stwierdza w duchu Pogue tym razem z gniewem.

– Widzisz, kochana mamusiu, jesteśmy na miejscu. Naprawdę. To nie sen – mówi niewyraźnie, jak człowiek trzymający w ustach coś, co przeszkadza mu w swobodnym poruszaniu wargami i językiem.

Równe białe zęby zaciskają się mocniej na drewnianym ołówku.

– A myślałaś, że ten dzień nigdy nie nadejdzie – ciągnie nadal z ołówkiem w zębach, aż kropelka śliny ścieka mu z warg na podbródek.

– „Nigdy do niczego nie dojdiesz, Edgarze Allanie. Cienias, cienias, cienias – mówi z ołówkiem w zębach, naśladowując złośliwy ton i niewyraźny, zapijaczony głos matki. – Nieudacznik z ciebie, Edgarze Allanie, ot co. Zero, kompletne zero”.

Leżak stoi pośrodku zatęchłego, niewietrzonego pokoju, ale to dwupokojowe mieszkanie nie znajduje się dokładnie pośrodku drugiego piętra w szeregowcu z oknami wychodzącymi na Garfield Street.

Ulica, nazwana tak na pamiątkę amerykańskiego prezydenta, biegnie ze wschodu na zachód między Hollywood Boulevard i Sheridan. Jasnożółta szeregówka nazywa się z niejasnych powodów Osiedlem Garfielda. Jedynym powodem może być kłamliwa reklama. Nie ma tu ogródka czy choćby skrawka zieleni, tylko parking i trzy chude palmy o potarganych liściach, przypominających Edgarowi Allanowi motyle, które w dzieciństwie zwykł przypinać szpilkami do tektury.

– „Nie masz kręgosłupa – oto twój problem”.

– Przestań, mam, przestań natychmiast. To nieładnie tak mówić. Gdy dwa tygodnie temu wynajmował swój drugi dom, nie kłócił się o cenę, aczkolwiek dziewięćset pięćdziesiąt dolarów za miesiąc to kosmiczna suma w porównaniu z tym, ile płaciłby za mieszkanie w Richmondzie – pod warunkiem że w ogóle płaciłby czynsz. Ale tu nie jest łatwo znaleźć odpowiednie lokum, a Pogue nie wiedział, od czego zacząć, gdy dotarł w końcu do hrabstwa Broward po szesnastogodzinnej jeździe i zmęczony, ale także rozradowany zaczął się rozglądać po okolicy w poszukiwaniu miejsca na nocleg – zdecydowany, że nie chce zatrzymywać się w motelu nawet na jedną noc. Stary biały buick był załadowany po sufit dobytkiem, a Pogue

nie miał zamiaru ryzykować, że jakiś nieletni przestępca wybije szybę i ukradnie telewizor z wideo, nie mówiąc już o ubraniach, przyborach toaletowych, laptopie, peruce, leżaku, lampie, pościeli, książkach, papierach, ołówkach, butelkach z czerwonym, białym i niebieskim lakierem do ukochanego kija bejsbolowego, a także o innych niezmiernie ważnych przedmiotach, wśród których miał paru starych kumpli.

– To było przerażające, mamó – opowiada, by wyrwać ją z pijackiego bełkotu. – Nieprzyjemne okoliczności sprawiły, że musiałem natychmiast opuścić nasze kochane południowe miasteczko, aczkolwiek nie na zawsze, z pewnością nie na zawsze. Teraz, kiedy mam drugi dom, będę sobie kursował między Hollywood a Richmondem. Zawsze marzyliśmy o Hollywood i niczym osadnicy w wozach wyruszyliśmy po szczęście, nieprawdaż?

Podstęp zadziałał. Skupiła uwagę na widokach za oknem, zapominając o nieudacznictwie i braku kręgosłupa Pogue'a.

– Tyle tylko, że z początku nie czułem się jakimś wyjątkowym szczęśliwcem, gdy dziwnym trafem pogubiłem się na Północnej Dwudziestej Czwartej i wylądowałem w przeklętym slumsie zwanym Liberią, gdzie była furgonetka z lodami.

Mówi, trzymając nadal czubek ołówka w ustach. Ołówek zastępuje papierosa – nie dlatego, żeby Pogue przejmował się zdrowotnymi konsekwencjami palenia. Raczej finansowymi. Uwielbia cygara. Mało co poza tym uwielbia, ale musi mieć swoje indios, cubitas i fuentes, a przede wszystkim cohibas – czarowną kontrabandę z Kuby. Ma fioła na punkcie cohibas, co więcej, wie, gdzie je dostać, a kubański dymek w chorych płucach to jest to. Zanieczyszczenia zabijają płuca, ale czysty kubański tytoń to lekarstwo.

– Możesz uwierzyć? Furgonetka z lodami z tą słodziutką katarynką i murzyńskie dzieciaki biegnące z miedziakami, żeby kupić loda, a my w centrum tego getta, strefy wojennej, i to w dodatku po zmroku. Założę się, że nocą w Liberii słychać mnóstwo strzałów. Oczywiście wyjechałem stamtąd i cudem dostałem się do lepszej dzielnicy. I bezpiecznie dowiozłem cię do Hollywood, prawda, mamó?

Jakoś tak zniosło go na Garfield Street; jechał powoli wzdłuż maleńkich jednopiętrowych domków o balustradach z kutego żelaza, żaluzjach w oknach, wiatach i trawniczkach, gdzie nijak nie pomieściłyby się baseny – słodkich, zbudowanych zapewne w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych domeczków, które robiły na nim wrażenie, ponieważ przetrwały straszliwe huragany, skoki demograficzne i nieuchronne podwyżki podatków od nieruchomości – klęski, które wyganiają dawnych mieszkańców, a na ich miejsce wprowadzają nowych, zapewne niemówiących już po angielsku. A mimo to dzielnica przeżyła. I właśnie w chwili, gdy o tym myślał, przed jego oczami niczym objawienie wyrósł kompleks mieszkalny.

Przed budynkiem stała tablica z napisem GARFIELD COURT i numerem telefonu, toteż Pogue zatrzymał samochód na parkingu i zapisał numer, a następnie podjechał na stację benzynową, by skorzystać z automatu telefonicznego. Owszem, jedno mieszkanie było jeszcze wolne, więc godzinę później odbył pierwsze – i oby jedyne – spotkanie z właścicielem o nazwisku Benjamin P. Shupe.

Niemożliwe, niemożliwe. Shupe powtarzał to słowo, siedząc z Pogue'em w biurze na parterze. Powietrze w biurze było ciepłe, gęste i przepełnione mocnym zapachem wody toaletowej przedsiębiorcy. „Jeśli chce pan klimatyzacji, musi pan sam wymienić okno. Na własny koszt. Ale teraz jest najlepsza pora roku, tak zwany sezon. Po co komu klimatyzacja?”

Benjamin P. Shupe wyszczerzył białe zęby, kojarzące się Pogue'owi z łazienkowymi kafelkami. Obwieszony złotem władca slumsów stukał w blat biurka grubym palcem wskazującym, pokazując sygnet z brylantem. „I tak ma pan szczęście. Każdy chciałby tu być o tej porze roku. Mam w kolejce do tego mieszkania dziesięciu chętnych”. Shupe, król slumsów, machnął ręką w taki sposób, żeby jak najlepiej wypadł jego złoty rolex. Nie wiedział oczywiście, że ciemne okulary Pogue'a miały zerowe szkła, a potargane czarne loki to peruka. „Za dwa dni chętnych będzie dwudziestu. Prawdę mówiąc, wcale nie powinienem wynajmować panu tego mieszkania za taką cenę”.

Pogue zapłacił gotówką. Właściciel nie żądał kaucji ani innych zabezpieczeń, nie obejrzał żadnych dokumentów, nie sprawdził tożsamości. Za trzy tygodnie Pogue będzie musiał przynieść gotówkę za styczeń, jeśli chce utrzymać swój drugi dom w szczyt sezonu w Hollywood. Teraz jednak jest jeszcze za wcześnie, żeby rozważać, co będzie chciał robić po Nowym Roku.

– Mnóstwo pracy, mnóstwo pracy – mamrocze, kartkując magazyn dla przedsiębiorców pogrzebowych, który otwiera się na stronie z urnami i tablicami pamiątkowymi. Następnie kładzie magazyn na kolanach i przygląda się znanym na pamięć kolorowym obrazkom. Jego ulubioną urną wciąż jest ta cynowa w kształcie sterty pięknych książek z piórem położonym na wierzchu. Wyobraża sobie, że to dzieła Edgara Allana Poe, po którym ma imiona, i zastanawia się, ile mogłoby kosztować to eleganckie cynowe pudełko, gdyby zdecydował się zadzwonić na darmową infolinię.

– Powinienem po prostu zadzwonić i zamówić – mówi radośnie. – Powinienem tak zrobić, prawda, mam? – Droczy się z nią, udając, że ma pod ręką telefon i mógłby natychmiast zatelefonować. – Podobałaby ci się,

nieprawdaż? – Dotyka zdjęcia urny, – Podobałaby ci się urna Edgara Allana, prawda? No cóż, prawdę mówiąc, nie ma szans, dopóki nie nadarzy się okazja do świętowania, a na razie moja robota nie idzie, jak planowałem, mamu. Ach, tak, usłyszałaś. Obawiam się, że zaliczyliśmy niewielkie niepowodzenie.

– „Nieudacznik, oto czym jesteś”.

– Nie, mamusiu, nie jestem nieudacznikiem. – Potrząsa głową, przewracając kartki magazynu. – Nie zaczynajmy od nowa. Jesteśmy w Hollywood. Czy to nie piękne?

Myśli o willi w kolorze łososiowym, którą widział niedaleko plaży, i czuje przyływ sprzecznych emocji. Znalazł rezydencję, zgodnie z planem, był w środku, zgodnie z planem. A potem wszystko poszło nie tak i teraz nie ma się czym cieszyć.

– Błąd w rozumowaniu, błąd w rozumowaniu. – Daje sobie prztyczka w czoło, dokładnie tak, jak robiła to matka: dwoma palcami. – To nie miało tak być. Co teraz, co teraz? Rybka wymknęła się z sieci. – Naśladuje palcami ruchy pływania. – Pozostawiając Wielką Rybę. – Teraz wymachuje ramionami w powietrzu. – Mała rybka gdzieś sobie uciekła, nie mam pojęcia gdzie, ale nic mnie to nie obchodzi. Wielka Ryba nadal tam jest, a ja uciekłem przed małą, co nie spodoba się Wielkiej Rybie. Nie może. Więc wkrótce będzie się czym cieszyć.

– „Wymknęła się? Co za głupota! Nie potrafiłeś złapać małej rybki, a myślisz, że uda ci się z dużą? Ależ z ciebie zero. Jak to możliwe, żebyś był moim synem?”.

– Nie mów tak, mamu. To nieuprzejme – mówi z głową schyloną nad magazynem dla przedsiębiorców pogrzebowych.

Rzuca mu spojrzenie zdolne zabić samym ciężarem. Ojciec miał określenie na to jej słynne spojrzenie. Włochate oko, tak je nazywał. Edgar

Allan Pogue nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego przerażający wzrok matki został nazwany włochatym okiem. Oczy nie mają przecież włosów. Nigdy w każdym razie o tym nie słyszał, a przecież gdyby tak było, toby wiedział. Niewiele jest rzeczy, których by nie wiedział. Rzuca magazyn na podłogę, wstaje z biało-żółtego leżaka i chwyta kij bejsbolowy stojący w kącie pokoju. Żaluzje zasłaniają wnętrze przed słońcem; panuje tu przyjemny półmrok rozjaśniany ledwie samotną lampką stojącą na podłodze.

– Pomyślmy nieco. Co będziemy robić dzisiaj? – ciągnie, nie wypuszczając ołówka z ust, zwrócony do puszek po ciastkach stojącej pod leżakiem. Ścisną mocno w dłoni kij, sprawdzwszy uprzednio kolory wymalowanego na nim lakierem gwiazdzistego sztandaru, który poprawiał, zastanówmy się, dokładnie sto jedenaście razy. Przez chwilę poleruje czule kij białą chusteczką, a następnie wyciera w nią ręce, długo i dokładnie. – Dziś powinniśmy zrobić coś wyjątkowego. Myślę, że mamy na rozkładzie wyautowanie.

Przesuwa się ku ścianie, bierze ołówek z ust do jednej ręki, w drugiej ścisną kij, przechyla głowę, zezując ku wczesnemu stadium dużego szkicu na obskurnej, pomalowanej na beżowo płycie gipsowej. Dotyka delikatnie niezaostrzonym grafitem wielkiego, otwartego oka i pogrubia rzęsy. Wciśnięty między czubki palca wskazującego i kciuka ołówek jest wilgotny.

– Pięknie. – Cofa się o krok, przechylając znów głowę w podziwie dla wielkiego, wpatzonego weń oka i kształtu policzka. Kij drży w jego drugiej ręce. – Powiedziałem ci już, jak ślicznie dziś wyglądasz? Niedługo będziesz miała piękne rumiane policzki, niczym róże, jakbyś przed chwilą była na słońcu.

Wsuwa sobie ołówek za ucho i wyciąga rękę przed siebie: rozsuwa palce, przekrzywia i obraca w powietrzu dłoń, przyglądając się każdemu

stawowi, zagięciu, zmarszczce i linii oraz delikatnym krawędziom małych, okrągłych paznokci. Obserwuje ruch drobnych mięśni palców, którymi gładzi wyobrażenie chłodnej skóry, wydobywając zimną, zgęstniałą krew spod tkanki podskórnej. Masując ciało ruchami, które przeganiają śmierć i przywracają ładną różaną poświatę. Kij nadal drga w jego ręce; Pogue wyobraża sobie zamach. Pomija wcieranie talku w dłoń i ruch kija, opanowany pragnieniem uderzenia nim w oko na ścianie, jednak nie robi tego, nie może, nie wolno mu, więc kręci się po pokoju z sercem mocno bijącym z frustracji. Przyczyną frustracji jest bałagan.

W mieszkaniu prawie nie ma mebli, ale jest bałagan. Błat w aneksie kuchennym pokrywają sterty papierowych serwetek i plastikowych talerzy oraz sztucców, a także puszek z jedzeniem i toreb z makaronami, których Pogue'owi nie chciało się schować do jedynej stojącej tu szafki. Garnek i patelnia moczą się w zimnej, tłustawej wodzie w zlewozmywaku. Po pełnym plam niebieskim dywanie walają się wojskowe worki, ubrania i książki, ołówki i tani papier. Nowa kwatery Pogue'a zaczyna przesiąkać zapachami jego kuchni i cygar, a także jego własnego słodkawo-piżmowego potu. W pokoju jest bardzo ciepło, a Pogue chodzi nagi.

– Myślę, że powinniśmy sprawdzić, co słyhać u pani Arnette. W końcu nie najlepiej się czuła – zwraca się do matki, nie patrząc na nią. – Co byś powiedziała na gościa? Pewnie powinienem był najpierw cię zapytać. Ale może dzięki temu oboje poczujemy się lepiej. Trochę jestem nie w sosie, przydałaby się spowiedź. – Myśląc przez chwilę o małej rybce, która mu się wymknęła, rozgląda się po otaczającym go bałaganie. – Gość to niezły pomysł, czyż nie?

– „Byłoby miło”.

– Oczywiście, prawda? – Jego baryton wznosi się i opada, jakby mówił do dziecka lub zwierzaka. – A więc chciałabyś mieć gościa. Doskonale!

Fantastycznie.

Nagie stopy przemierzają dywan i Pogue kuca obok kartonowego pudła pełnego taśm wideo, pudełek po cygarach i kopert ze zdjęciami – wszystkich opisanych jego drobnym i starannym pismem. Bliżej dna znajduje pudełko pani Arnette i kopertę ze zdjęciami z polaroidu.

– Mamo, pani Arnette chciałyby się z tobą zobaczyć – mówi z westchnieniem zadowolenia, kładąc pudełko po cygarach na leżaku. Przegląda fotografie i wyciąga ulubioną. – Pamiętasz ją, prawda? Już kiedyś się spotkałyście. To taka urocza staruszka. Widzisz jej włosy? Są naprawdę niebieskie.

– „Cóż, niewątpliwie są”.

– Nieceewuuuntpliiiiiwie... – imituje przeciągły zaśpiew matki i jej powolną wymowę, kiedy mama żegluje wśród słów, będąc w połowie butelki wódki – głęboko w butelce wódki.

– Podoba ci się jej nowe pudełko? – pyta, zanurzając w nim palec i rozdmuchując w powietrzu obłoczek białego pyłu. – Nie bądź zazdrosna, ale udało jej się stracić na wadze, odkąd ostatnio się widziałyście. Ciekaw jestem, jak ona to robi – mówi z kpiną, zanurzając ponownie palec i rozdmuchuje kolejny obłoczek białego pyłu specjalnie dla swojej niewiarygodnie grubej matki, żeby wzbudzić zazdrość w swojej ohydnie grubej matce, a następnie wyciera dłonie w białą chusteczkę. – Uważam, że nasza droga pani Arnette wygląda wspaniale, doprawdy bosko.

Przygląda się dokładniej zdjęciu pani Arnette, której niebieskawe włosy tworzą aureolę wokół martwej, różowej twarzy. O tym, że jej usta pozostały zamknięte dzięki jego sztuce, Pogue wie wyłącznie dlatego, że pamięta, jak to robił. Jego profesjonalna chirurgia jest nie do zauważenia: laik nigdy nie dostrzegłby, że okrągły kształt oczu to efekt wkładek pod powiekami, Pogue zaś pamięta, jak delikatnym ruchem umieścił wkładki na

zapadniętych gałkach ocznych, zamknął na nich powieki i zakleił je odrobiną wazeliny.

– Bądź teraz miła i zapytaj panią Arnette, jak się czuje – mówi do puszki po ciasteczkach stojącej pod leżakiem. – Miała raka. Tak wiele z nich chorowało na raka.

Doktor Joel Marcus uśmiecha się sztywno, gdy Kay Scarpetta ściska jego drobną suchą rękę. Przy odrobinie szczęścia mogłaby nim pogardzać, ale jeśli nie liczyć tego wrażenia, które spycha teraz w najdalsze zakamarki swojej jaźni, nie odczuwa nic.

Mniej więcej cztery miesiące temu dowiedziała się o nim w ten sam sposób, w jaki objawiła jej się większość wiedzy na temat własnej wirginijskiej przeszłości. Był to przypadek, zbieg okoliczności. Leciała właśnie samolotem, czytając „USA Today”, i trafiła tam na skrót wiadomości z Wirginii. Przeczytała, iż „po długich poszukiwaniach gubernator stanu mianuje nowego koronera stanowego...”. Wreszcie, po latach bez naczelnego patologa lub z kolejnymi p. o. koronera, Wirginia będzie miała głównego lekarza sądowego. Kay nie została poproszona o opinię lub radę w tych niekończących się poszukiwaniach. Jej zdanie nie okazało się przydatne, kiedy kandydatem na jej byłe stanowisko został doktor Marcus.

Gdyby ją zapytano, odpowiedziałaby, że nigdy o nim nie słyszała. Następnie dodałaby dyplomatycznie, że zapewne spotkali się na jakiejś dużej konferencji, ale nazwisko wypadło jej z pamięci. Z pewnością to poważny patolog sądowy, zapewniłaby, ponieważ w innym wypadku nie

dostałby posady szefa najbardziej prominentnej placówki medycyny sądowej na poziomie stanowym w *całych USA*.

Kiedy jednak ściska dłoń Marcusa i patrzy w jego chłodne oczka, uświadamia sobie, że jest jej kompletnie nieznany. Najwyraźniej nie był w żadnej liczącej się komisji ani też nie miał wykładu na żadnej konferencji z zakresu patologii czy medycyny sądowej, w których brała udział – zapamiętałyby go na pewno. Zdarzało jej się zapominać nazwiska, ale nie twarze.

– Wreszcie się spotykamy, Kay – mówi doktor Marcus, urażając ją ponownie, tyle że tym razem jest to jeszcze gorsze, ponieważ stoją twarzą w twarz.

To, przed czym podczas rozmowy telefonicznej wzdragala się jej intuicja, teraz – w holu budynku zwanego Biotech II, w którym Kay pracowała niegdyś jako naczelną koroner – jest nie do uniknięcia. Doktor Marcus to niski, chudy mężczyzna o drobnej, szczupłej twarzy i rzednących z tyłu głowy włosach – zupełnie jakby natura sobie z niego zakpiła. Nosi staromodny wąski krawat oraz bezkształtne szare spodnie i mokasyny. Podkoszulek bez rękawów prześwituje przez tanią białą koszulę, która źle układa się na chudej szyi, a wewnętrzna strona kołnierzyka jest poszarpana i upstrzona strzępkami waty.

– Wejdźmy do środka – mówi. – Obawiam się, że mamy dziś tłok.

Doktor Scarpetta właśnie zamierza mu powiedzieć, że nie przyjechała sama, gdy jej przyjaciel wynurza się z męskiej toalety, poprawiając czarne bojówki. Bejsbolówkę z napisem LAPD nasunął głęboko na oczy. Kay grzecznie, ale stanowczo przedstawia sobie wzajemnie obu panów, wyjaśniając obecność Marina w takim stopniu, w jakim daje się ona wyjaśnić.

– To bardzo doświadczony detektyw, pracował w policji w Richmondzie – zapewnia, ale twarz doktora Marcusa tężeje.

– Nie wspominałaś, że ktoś z tobą przyjedzie – mówi ostro, stojąc w granitowo-szklanym holu jej dawnego biura, w którym przed chwilą musiała wpisać się do rejestru gości i gdzie przez dwadzieścia minut stała niczym rzeźba w sali muzealnej, czekając, aż obecny szef raczy po nią zejść. – Chyba dałem jasno do zrozumienia, że to delikatna sytuacja.

– Ej, nie przejmuj się, jestem delikatnym gościem – mówi głośno Marino.

Marcus ignoruje go, ale widać, że jest najeżony. Doktor Scarpetta niemal słyszy, jak koroner gniewnie wciąga powietrze.

– Największą pochwałą, jaką dostałem w ogólniaku, było „prawdopodobnie delikatny” – dodaje głośno detektyw. – Hej, Bruce! – wrzeszczy do umundurowanego strażnika, który mniej więcej dziesięć metrów od nich wyszedł właśnie z pokoju przesłuchań do holu. – Jak leci, stary? Ciągle turlasz się w tej beznadziejnej kręglarni?

– Nie wspominałam? – odzywa się doktor Scarpetta. – Przepraszam. – Nie wspominała i wcale nie jest jej przykro. Kiedy dostaje wezwanie do sprawy, zabiera z sobą wszystkich niezbędnych ludzi i wszystko, co może być potrzebne, a poza tym nie umie darować Marcusowi, że ten zwraca się do niej po imieniu.

Na twarzy strażnika imieniem Bruce najpierw maluje się zdumienie, które jednak szybko zamienia się w radość.

– Marino! Jezu Chryste, to ty? Myślałem, że duch z przeszłości.

– Nie, nie wspominałaś – odparowuje Marcus. Przez moment jest wytrącony z równowagi, a jego zmieszanie przypomina trzepot skrzydeł wystraszonego stada ptaków.

– To ja w pełnej okazałości, no i nie jestem duchem – mówi Marino jak najbardziej nieznośnym tonem.

– Nie wiem, czy mogę się na to zgodzić. Nie było zezwolenia – kontynuuje niepewnie główny patolog, bezwiednie przyznając się do niewygodnego faktu, że ktoś stojący nad nim nie tylko wie o przyjeździe doktor Scarpetty, ale nawet może za tym przyjazdem stać.

– *Kiedy przyjechałeś?* – Kumpie kontynuują wrzaskliwą rozmowę. Wewnętrzny głos ostrzegał Kay, a ona nie usłuchała. I teraz w coś się pakuje.

– Ledwie co, stary.

To był błąd, i to poważny, myśli. Powinnam była pojechać do Aspen.

– Wpadnij, jak będziesz miał chwilę.

– Jasne, stary.

– Dosyć tych krzyków, proszę – rzuca doktor Marcus. – To nie pub.

Na szyi nosi zawieszony na smyczy klucz do królestwa; pochyla się, żeby przyłożyć kartę magnetyczną do skanera przy drzwiach z matowego szkła. Po ich drugiej stronie znajduje się siedziba koronera stanowego. Scarpetta czuje suchość w ustach. Jest spocona, żołądek jej się skręca, gdy wchodzi do skrzydła koronera, stanowiącego część ładnego budynku, który pomagała zaprojektować i zbierała fundusze na jego budowę, zanim została zwolniona. Granatowa kanapa i krzesło, drewniany stolik do kawy oraz wiszący na ścianie obrazek z wiejskim widoczkiem pozostały bez zmian. Recepcja też się nie zmieniła, poza tym, że kiedyś były tu dwie juki i kilka hibiskusów. Kay kochała swoje rośliny, sama je podlewała i obrywała suche listki, a także przestawiała w zależności od światła w danej porze roku.

– Obawiam się, że nie możesz wprowadzić gościa – oświadcza doktor Marcus, gdy zatrzymują się przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami,

wiodącymi do biur i kostnicy: świętego miejsca, które niegdyś należało wyłącznie do Kay.

Magia karty magnetycznej działa, zamek puszcza. Pierwszy wchodzi szybkim krokiem Marcus; światło lamp jarzeniowych odbija się w szklach jego drucianych okularów.

– Utknąłem w korku, więc mam pewne opóźnienie, a dziś pełna chata. Osiem przypadków – ciągnie, zwracając się wyłącznie do niej, jakby Marino w ogóle nie istniał. – Muszę iść natychmiast na odprawę. Zapewne najlepiej zrobisz, Kay, jeśli napijesz się kawy. To może chwilkę potrwać. Julie? – woła do schowanej za przepierzeniem urzędniczki, której palce wybijają rytm na klawiaturze komputera niczym na kastanietach. – Czy mogłabyś pokazać naszemu gościowi, gdzie robi się kawę? – A następnie zwraca się znów do doktor Scarpetty:

– Rozgość się w bibliotece, przyjdę po ciebie, jak tylko będę mógł.

Zawodowa uprzejmość wymaga przynajmniej przywitania na odprawie i w kostnicy takiego gościa jak patolog, który ma pomóc w pracy ośrodkowi, któremu niegdyś szefował. Marcus nie mógłby obrazić jej bardziej, gdyby poprosił ją o podrzucenie ubrań do pralni chemicznej albo kazał czekać na parkingu.

– Poza tym twój gość naprawdę powinien zaczekać na zewnątrz – powtarza swoją mantrę, zdradzając przy tym objawy zniecierpliwienia. – Julie, czy mogłabyś odprowadzić pana do holu?

– To nie jest mój gość i nie będzie czekał w holu – odpowiada cicho doktor Scarpetta.

– Że co? – Marcus zwraca ku niej chudą twarz.

– Jesteśmy razem.

– Chyba nie rozumiesz sytuacji. – Jego głos brzmi ostro.

– Zapewne nie rozumiem. Może pogadamy? – To nie jest prośba.

Marcus prawie że się cofa, nie ukrywając niechęci.

– Niech będzie – zgadza się. – Chodźmy na moment do biblioteki.

– Zaczekaj chwilkę. – Kay uśmiecha się do Marina.

– Spoko. – Detektyw wchodzi do boksu Julie, bierze do ręki kilka fotografii z sekcji zwłok i zaczyna je tasować niczym talię kart. Ruchem wprawnego krupiera wysuwa jedną z nich.

– Wiesz, dlaczego dilerzy narkotyków mają mniej tkanki tłuszczowej niż na przykład któreś z nas? – Kładzie zdjęcie na klawiaturze komputera.

Julie, która ma może dwadzieścia pięć lat i jest dość ładna, choć raczej pulchna, wpatruje się w zdjęcie muskularnego Murzyna, nagiego jak go Pan Bóg stworzył. Facet leży na stole sekcyjnym z otwartą klatką piersiową, wypatroszony, pozbawiony wszystkich narządów wewnętrznych z wyjątkiem jednego zdecydowanie wielkiego organu, zapewne tego najważniejszego, w każdym razie dla niego – no i w każdym razie wtedy, gdy był jeszcze tak żywy, żeby się tym przejmować.

– Że co? – pyta Julie. – Kpisz sobie ze mnie czy jak?

– Jestem całkowicie poważny. – Marino przyciąga krzesło i siada tuż koło niej. – Widzisz, skarbie, ilość tkanki tłuszczowej jest bezpośrednio powiązana z masą mózgu. Spójrz na nas dwoje. Wieczna walka z nadwagą, nie?

– Żartujesz. Naprawdę uważasz, że inteligentni ludzie są grubszy?

– Jasne. Tacy jak my muszą dużo pracować.

– Nie mów, że jesteś na którejś z tych diet typu „jedz tylko kolorowe”.

– Bingo, skarbie. Nie uznaję nic białego oprócz kobiet. No i spójrz na mnie. Gdybym był dilerem, nie przejmowałbym się niczym. Żarłbym wszystko, na co miałbym ochotę. Batony, żelki, bułki i cukierki. Wszystko dlatego, że nie miałbym mózgu, kumasz? Bo widzisz, wszyscy ci dilerzy są

martwi, bo są głupi, i dlatego właśnie nie mają tkanki tłuszczowej i mogą zjeść wszystko, co im się spodoba, nawet białe.

Ich głosy i śmiech cichną, w miarę jak Kay Scarpetta idzie korytarzem znanym jej tak doskonale, że pamięta szary chodnik pod butami – dotyk twardego, szorstkiego chodnika, który wybrała, gdy projektowała swoją część budynku.

– On naprawdę nie umie się zachować – mówi doktor Marcus. – Jediną rzeczą, jakiej wymagam w tym budynku, jest stosowne zachowanie.

Ściany są pobrudzone, a obrazki Normana Rockwella, które sama kupiła i oprawiła, wiszą przekrzywione (dwóch zresztą brakuje). Doktor Scarpetta zagląda w otwarte korytarze i do mijanych pokoi – nie uchodzą jej uwagi rozrzucone sterty papierów, segregatory ze zdjęciami i skomplikowane mikroskopy przykucnięte nad biurkami niczym wielkie, zmęczone szare ptaszyska. Każdy dźwięk i widok zdaje się wyciągać ręce po pomoc, a ona czuje, jak wiele zostało tu zaprzepaszczone – co boli bardziej, niż mogła kiedykolwiek przypuszczać.

– Wreszcie wiem, o co chodzi, niestety. Niesławny Peter Marano, zaiste. Ma niezłą opinię – słyszy słowa doktora Marcusa.

– Marino – poprawia go.

Skrecają w prawo, ale nie zatrzymują się przy dystrybutorze kawy. Koroner otwiera potężne drewniane drzwi wiodące do biblioteki, w której witają ich medyczne książki porzucone na długich ławach oraz rozmaite leksykony stojące nierówno na półkach niczym banda pijaków. Wielki stół w kształcie podkowy zasypany jest czasopismami, kartkami papieru, kubkami po kawie i pudełkami po pączkach. Serce doktor Scarpetty przyspiesza na ów widok. Zaprojektowała sama tę obszerną salę i była dumna z tego, jak udało jej się wyciągnąć środki, ponieważ czasopisma medyczne i naukowe, a także sama biblioteka, są niewyobrażalnie drogie –

w każdym razie zdecydowanie przekraczają sumy, jakie władze stanowe uznają za należne ludziom, których pacjenci nie żyją. Wzrok Kay zatrzymuje się chwilę na tomach „Neuropatologii” Greenfielda oraz pismach prawniczych, które sprezentowała bibliotece z własnych zasobów. Tomy są poprzestawiane na półce, jeden stoi wręcz do góry nogami. Jej gniew sięga zenitu.

Wbija wzrok w Marcusa.

- Myślę, że powinniśmy ustalić kilka podstawowych faktów.
- Na litość boską, Kay, faktów? – Wyraz udanego zdziwienia na jego twarzy jest irytujący.

Doktor Scarpetta nie może uwierzyć w tak bezczelną protekcjonalność. Marcus przypomina niezbyt dobrego adwokata, który kpi sobie z przysięgłych, machając ręką na jej siedemnaście lat podyplomowej edukacji i sprowadzając jej obecność na miejscu świadka do „pszepani”, „pani szanowna”, „panienko” albo, co gorsza, „Kay”.

- Mam wrażenie, że moja obecność tu jest niepożądana... – zaczyna.
- Niepożądana? Chyba nie rozumiem.
- Mam wrażenie, że wręcz...
- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.
- Proszę mi nie przerywać, doktorze Marcus. Ja wcale nie muszę tu być.
- Ogarnia wzrokiem bałagan na stolikach i zaniedbane książki i zastanawia się, czy on z równą pogardą traktuje przedmioty we własnym domu. – Niech mi pan powie, na litość boską, co się stało z tym miejscem?

Koroner milczy przez chwilę – odgadnięcie lub zrozumienie, co miała na myśli, musi zająć mu trochę czasu. Po czym pada bezczelna riposta:

- Ci dzisiejsi studenci medycyny! Wcale mnie nie dziwi, że nie nauczono ich sprzątać po sobie.

– Nie zmienili się chyba tak bardzo przez ostatnie pięć lat – zauważa sucho doktor Scarpetta.

– Wydaje mi się, że mylnie oceniasz mój dzisiejszy nastrój – odpowiada Marcus tym samym przymilnym tonem, który słyszała wczoraj w słuchawce telefonu. – Okej, mam mnóstwo spraw na głowie, ale ogólnie się cieszę, że przyjechałaś.

– Z pewnością nie sprawia pan wrażenia zadowolonego. – Doktor Scarpetta patrzy mu wciąż prosto w oczy, mimo że mężczyzna spogląda gdzieś poza nią. – Zacznijmy od początku. Ja do pana nie telefonowałam. To pan do mnie zadzwonił. Dlaczego?

Powinam była zapytać o to wczoraj, myśli. Powinam była zapytać wcześniej.

– Wyrażałem się chyba jasno, Kay. Jesteś bardzo szanowanym lekarzem sądowym, znanym konsultantem. – Brzmi to jak wyszukana pochwała dla kogoś, kogo w głębi duszy serdecznie się nienawidzi.

– Nawet się nie znamy. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Trudno mi uwierzyć, że zadzwonił pan do mnie, ponieważ jestem szanowana lub znana. – Skrzyżowała ręce na piersi, czując zadowolenie z wyboru poważnej, ciemnej garsonki. – Ja nie uprawiam gierki, doktorze Marcus.

– A ja z całą pewnością nie mam czasu na gierki. – Z jego twarzy ulatuje cała życzliwość, a na jej miejsce niczym złodziej wkrada się małostkowość.

– Czy ktoś podsunął panu moje nazwisko? Kazano panu do mnie zadzwonić? – Kay ma prawie pewność, że wyczuwa duszny zapach polityki.

Marcus rzuca spojrzenie w kierunku drzwi, przypominając jej niezbyt dyskretnie, że jest ważnym, bardzo zajęтым człowiekiem, który ma na głowie osiem przypadków i odprawę dla pracowników. A może niepokoi się, że ktoś mógłby podsłuchiwać.

– Ta rozmowa jest bezproduktywna – mówi w końcu. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ją zakończymy.

– Doskonale. – Doktor Scarpetta bierze swoją teczkę. – Ostatnią rzeczą, na jaką miałabym ochotę, jest bycie pionkiem w czyjejs intrydze. Nie mówiąc już o siedzeniu w pokoju z kawą przez pół dnia. Nie mogę pomóc w biurze, którego drzwi są dla mnie zamknięte. Podstawową zasadą, którą się kieruję, doktorze Marcus, jest ta: biuro, któremu mam doradzać, musi być przede mną otwarte.

– Okej. Chcesz szczerości, będziesz miała szczerość. – Władcza postawa Marcusa nie może ukryć strachu. Koroner nie chce, żeby wyjechała. Naprawdę tego nie chce. – Szczerze, twoja wizyta tutaj nie była moim pomysłem. Szczerze, szef komisji zdrowotnej zażądał zewnętrznej konsultacji i jakoś tak wypłynęło twoje nazwisko – wyjaśnia, jakby wyciągnęli jej nazwisko z kapelusza.

– W takim razie powinien był sam zadzwonić. Byłoby to bardziej uczciwe.

– Sam zaoferowałem pomoc. Choć, szczerze, nie chciałem cię tutaj – tłumaczy Marcus, a im częściej powtarza słowo „szczerze”, tym mniej wiarygodnie brzmi ono w uszach doktor Scarpetty. – Oto, co się stało: kiedy doktor Fielding nie mógł ustalić przyczyny ani sposobu śmierci, ojciec dziewczyny, ojciec Gilly Paulsson, zatelefonował do szefa komisji.

Nazwisko Fieldinga jest jak ukłucie szpilką. Kay nie miała pojęcia, czy on tu jeszcze pracuje, nie zapytała.

– A, jak już powiedziałem, szef komisji zatelefonował do mnie. Zażądał pełnych informacji. To jego własne słowa.

Ojciec musi mieć plecy, myśli doktor Scarpetta. Telefony od zrozpaczonych rodzin to nic nadzwyczajnego, ale rzadko ich efektem jest ingerencja wysokiego urzędnika i żądanie eksperta z zewnątrz.

– Kay, ja rozumiem, że to wszystko musi być dla ciebie krępujące – ciągnie Marcus. – Też bym się nie cieszył w twojej sytuacji.

– A jak ocenia pan moją sytuację, doktorze?

– O ile pamiętam, Dickens napisał o tym opowiadanie pt. „Kolęda”* [Pełny polski tytuł „Kolęda, czyli opowieść o duchu” (Prószyński i Ska, Warszawa 1998). Opowiadanie znane również pod tytułem „Opowieść wigilijna”]. Przypominasz sobie zapewne Ducha Wigilijnej Przeszłości? – Na twarzy koronera pojawia się cień uśmiechu, ale Marcus zapewne nie uświadamia sobie, że właśnie popełnił plagiat względem strażnika Bruce’a, który nazwał Marina duchem z przeszłości. – Powroty nigdy nie są łatwe. Ty masz jaja, muszę to przyznać. Nie sądzę, żebym umiał zdobyć się na taką wielkoduszność, zwłaszcza gdybym uważał, że moje dawne biuro było dla mnie niesprawiedliwe – rozumiem więc, jak się musisz czuć.

– To nie chodzi o mnie. Chodzi o martwą czternastolatkę. O pańskie biuro... biuro, które jest mi świetnie znane, fakt, ale...

– To bardzo filozoficzne podejście... – usiłuje jej przerwać Marcus.

– Niech mi pan pozwoli powiedzieć coś, co powinno być oczywiste – to ona mu przerywa. – W przypadku śmierci dziecka prawo federalne wymaga dokładnego śledztwa i dochodzenia, nie tylko w celu ustalenia przyczyny i sposobu śmierci, ale też ewentualnej zgodności z określonym modelem postępowania. Jeśli okaże się, że Gilly Paulsson została zamordowana, to każdy atom pańskiego biura zostanie prześwietlony i osaczony publicznie, a ja byłabym wdzięczna, gdyby nie zwracał się pan do mnie po imieniu w obecności pracowników i kolegów. Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby w ogóle nie zwracał się pan do mnie po imieniu.

– Podejrzewam, że szef komisji kierował się po części troską o działania prewencyjne. – Ton odpowiedzi Marcusa sugeruje, że zignorował jej żądanie; w kwestii imienia.

– Nie zgodziłam się na uczestnictwo w żadnej sprawie z udziałem mediów. Kiedy zadzwonił pan wczoraj, zgodziłam się zrobić, co w mojej mocy, żeby pomóc panu ustalić, co się stało z Gilly Paulsson. A nie mogę działać, jeśli pan nie jest całkiem szczery ze mną i z osobami, które mają mi asystować – czyli konkretnie w tym wypadku z Pete’em Marino.

– Szczerze, nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś tak bardzo chcieć uczestniczyć w odprawie. – Spogląda znów na zegarek, stary zegarek na wąskiej bransolecie. – Ale jak tam chcesz. Nie mamy tu żadnych tajemnic. Później omówię z tobą przypadek Paulsson. Możesz przeprowadzić ponowną sekcję, jeśli uznasz to za stosowne.

Otwiera przed nią drzwi biblioteki. Doktor Scarpetta wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

– Ona umarła dwa tygodnie temu i jeszcze nie wydaliście ciała rodzinie?

– Są w takiej rozpacz, że najwyraźniej nie podjęli kroków, by odebrać ciało. Podejrzewam, że liczą na to, że zapłacimy za pogrzeb.

W sali konferencyjnej biura koronera doktor Scarpetta przysuwa sobie krzesło przy samym końcu stołu, na rubieżach swego dawnego imperium – rubieżach, których nigdy nie odwiedziła podczas swojej pracy tutaj. Przez te wszystkie lata, kiedy tutaj szefowała, ani razu nie zdarzyło jej się siedzieć na końcu stołu w sali konferencyjnej, nawet przy okazji banalnej rozmowy podczas lunchu.

Wśród jej pomieszanych myśli pojawia się podejrzenie, że wybór miejsca na samym końcu, kiedy wolne są dwa miejsca pośrodku stołu, jest wyrazem buntu. Marino znajduje krzesło pod ścianą i przystawia je tuż koło niej, tak że nie siedzi ani przy końcu, ani pod ścianą, ale gdzieś pomiędzy. Wielka ponura bryła w czarnych bojówkach i bejsbolówce z napisem LAPD. Nachyla się do niej.

– Ludzie go nie znoszą – szepcze.

Kay nie odpowiada, zakładając, że źródłem tych rewelacji musi być sekretarka Julie. Marino bazgrze coś w notatniku, który jej następnie podaje. „Sprawa z udziałem FBI” – widnieje na kartce.

Najwyraźniej przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, gdy ona kłóciła się z doktorem Marcusem w bibliotece. Kay nie kryje zdziwienia: sprawa Gilly Paulsson nie podpada pod jurysdykcję federalną. Na razie to nawet nie jest zbrodnia, ponieważ przyczyna i sposób śmierci pozostają

nieznane, są tylko podejrzenia i podejrzana polityka. Popycha dyskretnie notatnik z powrotem do Marina, czując na sobie wzrok doktora Marcusa. Przez moment ma wrażenie, jakby znalazła się z powrotem w szkole podstawowej i przesyłała liściki, ryzykując naganę prowadzącej lekcję zakonnicy. Marino bezczelnie wyjmuje papierosa i zaczyna wystukiwać nim rytm na notatniku.

– W tym budynku obowiązuje zakaz palenia. – Ostry głos doktora Marcusa przerywa milczenie.

– I tak właśnie powinno być – odpowiada detektyw. – Bierne palenie zabija. – Stuka filtrem swojego marlboro w notatnik z tajną informacją dotyczącą FBI. – Jakże się cieszę, że Pan Bebechy dobrze się miewa – dodaje, mając na myśli anatomiczny model męczyzny stojący za głównym miejscem przy stole konferencyjnym, które zajmuje obecnie Marcus. – Ależ widok – mówi Marino.

Modelowi nie brakuje żadnego narządu wewnętrznego, toteż doktor Scarpetta zastanawia się, czy użyto go choć raz do ekspozycji lub objaśniania spraw prawnikom i rodzinom, odkąd ona przestała tu pracować. Dochodzi do wniosku, że zapewne nie. Gdyby z niego korzystano, musiałyby mu brakować narządów.

Nie zna nikogo z ludzi doktora Marcusa z wyjątkiem wicedyrektora Jacka Fieldinga, który dotychczas unika jej spojrzenia. Od czasu, kiedy się ostatnio widzieli, nabawił się choroby skóry. Minęło już pięć lat, myśli Kay, ale trudno jej uwierzyć w to, co się stało z jej próżnym, biegającym nieustannie na siłownię pracownikiem. Fielding nigdy nie wyróżniał się jako administrator, nie okazał się też szczególnie błyskotliwy pod względem medycznym, ale był lojalny, pełen szacunku i troskliwy przez całe dziesięć lat, które razem przepracowali. Nigdy nie usiłował podważyć pozycji szefowej ani wysadzić jej z siodła, ale też nie przyszedł z pomocą,

gdy czynniki znacznie od niego potężniejsze postanowiły ją wygnać, co im się udało. Fielding stracił sporo włosów, jego niegdyś przystojna twarz jest pokryta opuchlizną i plamami, a oczy łzawią. Pociąga bez przerwy nosem. Nigdy nie tknąłby narkotyków, co do tego Kay nie ma wątpliwości, wygląda jednak, jakby pił.

– Doktorze Fielding? – zwraca się do niego. – Alergia? Nigdy nie był pan na nic uczulony. A może pan się przeziębiał? – Po prawdzie szczerze wątpi w jego przeziębienie, grypę lub jakąkolwiek inną chorobę.

Zapewne ma kaca. Albo jest to reakcja histaminowa na coś, a może na wszystko. Doktor Scarpetta dostrzega wysypkę na szyi lekarza, tuż nad kołnierzykiem jego chirurgicznego fartucha, jej wzrok wędruje wzdłuż białych rękawów laboratoryjnego kitla, ku dłoniom Jacka, pokrytym łuszczącą się skórą. Fielding stracił bardzo na wadze, właściwie jest chudy i cierpi na jakieś uczulenie. Uległe osobowości są ponoć bardziej podatne na alergię, choroby i problemy skórne, a Fielding nie wygląda kwitnąco. Może nie powinien wyglądać kwitnąco, ponieważ gdyby miał się dobrze bez niej, znaczyłoby to, że stan i ogólnie ludzkość tylko zyskały na jej wywaleniu z pracy i publicznym poniżeniu pięć lat temu. Wewnętrzny mały wredny diabełek, który cieszy się z nieszczęścia Fieldinga, wycofuje się natychmiast w swoje ciemne miejsce, a Kay czuje smutek i troskę. Rzuca jeszcze jedno spojrzenie na dawnego podwładnego. Nie domyśli się, o co chodzi.

– Mam nadzieję, że pogadamy, zanim wyjadę – mówi, siedząc na krześle z zieloną tapicerką, ustawionego na samym końcu stołu, jakby w pokoju nie było nikogo poza nimi dwojgiem – jak wtedy, gdy była szefową i cieszyła się taką sławą, że niekiedy naiwni studenci medycyny i policyjni rekruci prosili ją o autograf.

Znów czuje na sobie wzrok doktora Marcusa; jego oczy wwiercają się w nią niczym świdry. Nie dziwi jej to, że koroner nie ma na sobie laboratoryjnego fartucha ani żadnego innego medycznego ubioru. Jak większość szefów pozbawionych zainteresowania tym, co robią, którzy powinni byli odejść z zawodu wiele lat temu, jako że zapewne nigdy go nie kochali, obecny koroner najprawdopodobniej nie przeprowadza sekcji, jeśli tylko w pobliżu jest ktoś, kto mógłby je wykonać.

– Zaczynamy – oznajmia. – Obawiam się, że mamy dziś pełne ręce roboty, poza tym mamy gości. Proszę państwa, doktor Scarpetta... i jej przyjaciel kapitan Marino... czy też porucznik albo aspirant? Pan pracuje obecnie w Los Angeles?

– Zależy od zlecenia – odpowiada Marino spod daszka bejsbolówki, nie przestając bawić się niezapalonym papierosem.

– A gdzie pracuje pan teraz? – Marcus przypomina mu, że to nie była właściwa odpowiedź. – Bardzo mi przykro, ale doktor Scarpetta nie wspomniała o pańskim przyjeździe. – Jej też należy się reprimenda, tym razem publiczna.

Koroner zamierza zadać cios przy wszystkich. To pewne. Odpłaci jej za scenę, jaką urządziła w zabałaganionej bibliotece. Przypomina sobie, że Marino telefonował. Ktoś, z kim rozmawiał, mógł uprzedzić Marcusa.

– Ach, oczywiście. – Koronerowi nagle wraca pamięć. – Wspominała, że państwo pracujecie razem, prawda?

– Owszem – potwierdza Kay ze swego marnego miejsca przy końcu stołu.

– Omówimy szybko przypadki. – Koroner teraz zwraca się znów do niej. – Ponowię propozycję: jeśli pani i, hmm, chyba będę się do pana zwracał po prostu „panie Marino”... No więc, może wy dwoje macie ochotę na

kawę? Albo papierosa, byle poza budynkiem? Oczywiście możecie siedzieć na odprawie, ale nie musicie.

Jego słowa przeznaczone są dla tych, którzy nie są świadomi zejść ostatniej godziny, a w głosie daje się wyczuć ostrzeżenie. Postanowiła być intruzem, więc teraz może znaleźć się na bardzo nieprzyjemnym cenzurowanym. Marcus to polityk, ale niezbyt zręczny. Być może kiedy został mianowany, mocodawcy uważali go za miękkiego i nieszkodliwego – odwrotność wszystkiego tego, co uosabiała ona – ale być może się mylili.

Koroner zwraca się do siedzącej obok niego kobiety: postawnej, o końskiej szczęce i spiętych ciasno szpakowatych włosach – najwyraźniej jest to dyrektor administracyjna – dając jej znak, żeby prowadziła dalej zebranie.

– Okej – mówi kobieta, a oczy wszystkich wędrują ku żółtym kopiom dzisiejszych zgłoszeń, aktów zgonu i sekcji. – Doktor Ramie, pani miała wczoraj w *nocy dyżur*?

– Jasne. To mój sezon – odpowiada zagadnięta.

Nikt się nie śmieje. W sali konferencyjnej panuje martwy zaduch. I nie ma to nic wspólnego z pacjentami na dole, czekającymi już tylko na ostatnie i najbardziej inwazyjne badania, jakie kiedykolwiek zafunduje im lekarz na ziemi.

– Mamy Sissy Shirley, lat pięćdziesiąt dwa, czarna kobieta z hrabstwa Hanover, chora na serce, znaleziona martwa w łóżku – mówi doktor Ramie, zaglądając do notatek. – Przebywała w domu pomocy, wymaga tylko aktu zgonu. Prawdę mówiąc, już go wystawiłam. Potem był Benjamin Franklin... Naprawdę tak się nazywa. Osiemdziesiąt dziewięć, czarny mężczyzna, też znaleziony martwy w łóżku, chorował na serce, niewydolność nerwowa...

– Co? – przerywa jej doktor Marcus. – Co to znaczy niewydolność nerwowa?

Kilka osób parska śmiechem, a doktor Ramie się rumieni. Twarz tej sympatycznej młodej kobiety z nadwagą jest teraz czerwona jak rozgrzany piecyk.

– Nie wydaje mi się, żeby niewydolność nerwowa była oficjalną przyczyną zgonu. – Doktor Marcus z całą premedytacją wykorzystuje zakłopotanie swojej podwładnej. – Proszę nie mówić mi, że do naszej kliniki trafił nieszczęśnik, który rzekomo zmarł z powodu niewydolności nerwowej.

Ten żart nie ma być miły. Kliniki są przeznaczone dla żywych, a nieszczęśnicy to ludzie, którym się nie powiodło, nie zaś ofiary przypadkowej, bezsensownej śmierci. Tymi dwoma słowami Marcus zdołał przekreślić i wyszydzić realność ludzi znajdujących się w pomieszczeniu poniżej, przeraźliwie zimnych i sztywnych, zamkniętych na zamek błyskawiczny w workach z winylu lub sztucznego futra dostarczanych przez domy pogrzebowe, lub też rozłożonych nago na stalowych wózkach lub na stołach, w oczekiwaniu na cięcie skalpelem lub piłą.

– Przepraszam – mówi doktor Ramie, a policzki jej płoną. – Źle odczytałam własne notatki. Chodzi o niewydolność nerkową. Nawet ja nie jestem w stanie odcyfrować swojego pisma.

– A więc stary Ben Franklin – odzywa się poważnym tonem Marino, który nie przestaje bawić się papierosem – nie zmarł jednak na niewydolność nerwową? Na przykład gdy przywiązywał ciężarek do latawca? Czy ktoś na tej waszej liście zmarł z powodu zatrucia ołowiem? Czy też nadal nazywa się to ranami postrzałowymi?

Wzrok koronera jest zimny.

Doktor Ramie kontynuuje monotonnym głosem:

– Pan Franklin również wymagał wyłącznie aktu zgonu, wystawiłam więc akt zgonu. Następnie nie mamy Finky... znaczy się, mamy Finky eem, Finder...

– Nie mamy Finky, och jej. – Marino kontynuuje zabawę w prostaczka swoim tubalnym głosem. – Co za pech, co za pech...

– Czy to właściwe nazwisko? – W głosie doktora Marcusa pobrzmiwa piskliwie perkusyjny trójkąt, o kilka oktaw wyżej niż głos Marina.

Twarz doktor Ramie jest tak czerwona, że Kay ma wrażenie, iż udręczona kobieta wybuchnie za chwilę płaczem i wybiegnie z sali.

– Podano mi nazwisko, które właśnie przeczytałam – odpowiada głucho lekarka. – Dwadzieścia dwa lata, czarna kobieta z igłą wbitą w ramię, zmarła w toalecie. Podejrzenie zatrucia heroinowego. Drugi przypadek w ciągu ostatnich czterech dni w Spotsylvanii. A to właśnie dopiero co dostałam. – Miętosi w ręce formularz zgłoszenia. – Tuż przed odprawą dostaliśmy zgłoszenie w sprawie czterdziestodwuletniego białego mężczyzny nazwiskiem Theodore Whitby. Ranny podczas pracy na budowie.

Doktor Marcus mruga oczami zza niewielkich drucianych oprawek. Pozostali mają kamienne twarze. Nie rób tego, mówi w myślach doktor Scarpetta do Marina. Ale on musi.

– Ranny? – pyta detektyw. – Czyżby nadal żył?

– Prawdę mówiąc – wyjaśnia niepewnie doktor Ramie – to nie ja odebrałam zgłoszenie. Nie osobiście. Doktorze Fielding...

– Nie, to nie ja – zaprzecza ten natychmiast.

– To nie pan? Och. Znaczy się, doktor Martin. To jego pismo. – Doktor Ramie brnie dalej, pochylając czerwoną ze wstydu twarz nisko nad kartką ze zgłoszeniem. – Wygląda na to, że nikt nie wie, co się naprawdę stało, ten człowiek był albo na buldożerze, albo gdzieś w pobliżu, a zaraz potem

współpracownicy znaleźli go poważnie rannego na ziemi. Mniej więcej o wpół do dziewiątej dziś rano, niecałą godzinę temu. No więc on chyba przejechał samego siebie, może spadł albo coś takiego, po czym przejechał samego siebie. Kiedy dotarła tam karetka, już nie żył.

– Och, zabił sam siebie. Czyli samobójstwo – podsumowuje Marino, obracając powoli papierosa w palcach.

– Na dodatek, jak na ironię, zdarzyło się to przy starym budynku, tym, co go właśnie rozbierają – dodaje ostro doktor Ramie.

To zwraca uwagę Marina. Zrzuca niezbyt śmieszoną maskę, którą wcześniej przyjął, a jego milczenie drażni doktor Scarpettę, która właśnie przypomniła sobie mężczyznę w oliwkowych spodniach i ciemnej kurtce, stojącego przy tylnym kole buldożera na chodniku obok wyjścia z dawnego biura. Ten mężczyzna wtedy żył. A teraz jest martwy. Nie powinien stać przy tym kole, cokolwiek miał do zrobienia w silniku. Tak właśnie wtedy pomyślała, a teraz facet nie żyje.

– Wymaga sekcji – mówi doktor Ramie, już znów spokojnie i z odzyskaną zawodową powagą.

Kay przypomina sobie, jak wjechali za róg starego budynku, a mężczyzna i buldożer zniknęli im z oczu. Musiał uruchomić silnik w ciągu kilku minut po tym, jak go widzieli, a zaraz potem już nie żył.

– Doktorze Fielding, proszę zająć się śmiercią kierowcy buldożera – wydaje polecenie doktor Marcus. – I proszę sprawdzić dokładnie, czy ten człowiek nie miał zawału albo innych problemów zdrowotnych, zanim został przejechany. Wyliczanka jego obrażeń będzie długa i czasochłonna. Nie muszę chyba przypominać, jak dokładni musimy być w tego rodzaju przypadkach. Rzeczywiście, trochę to ironiczne, zważywszy na naszych gości. – Spogląda na doktor Scarpettę. – To było przed moim przyjściem tutaj, ale jeśli dobrze pamiętam, tamten budynek był pani dawną siedzibą.

– Owszem – odpowiada głosem ducha z przeszłości, przypominając sobie widzianego z oddali robotnika w oliwkowo-czarnym kombinezonie. Pan Whitby teraz też jest duchem. – Zaczynałam pracę w tamtym budynku. Nieco przed panem – dodaje. – Potem przeniosłam się tutaj. – Przypomina mu, że pracowała również w tym gmachu, i czuje się nieco głupio, że przypomniła mu o czymś, co jest bezdyskusyjne.

Doktor Ramie kontynuuje wyliczankę przypadków: niebudząca podejrzeń śmierć w więzieniu, niemniej w świetle prawa wszystkie zgony w zakładach karnych są przypadkami dla koronera; mężczyzna znaleziony na parkingu, prawdopodobnie hipotermia; kobieta z cukrzycą, zmarła nagle, wysiadając z samochodu; niespodziewana śmierć noworodka; dziesiętnastolatek znaleziony na środku ulicy, prawdopodobnie ofiara ulicznej strzelaniny.

– Ponadto mam wezwanie do sądu w Chesterfield – dodaje na zakończenie – i będę potrzebowała samochodu, ponieważ mój jest znów w naprawie.

– Mogę panią podwieźć – zgłasza się Marino, mrugając do niej.

Na twarzy lekarki maluje się przerażenie.

Obecni zbierają się do wyjścia, ale doktor Marcus ich zatrzymuje.

– Zanim rozejdziecie się do obowiązków – mówi – będę potrzebował waszej pomocy, postarajcie się wyteńczyć umysły. Jak wiecie, nasz instytut będzie prowadził kolejny kurs medycyny sądowej, i jak zwykle zostałem zmuszony do poprowadzenia wykładów o urzędzie koronera. Pomyślałem sobie, że przetestuję na was kilka przypadków, zwłaszcza że akurat mamy takie szczęście, że jest wśród nas ekspert.

Drań, myśli doktor Scarpetta. Więc tak to będzie wyglądać. Do diabła z ich rozmową w bibliotece. Do diabła z otwarciem przed nią biura!

Marcus przerywa, rozglądając się po zebranych.

– Dwudziestoletnia biała kobieta – zaczyna – w siódmym tygodniu ciąży. Jej chłopak kopie ją w brzuch. Ona wzywa policję i jedzie do szpitala. Kilka godzin później rodzi martwy płód i łożysko. Policja mnie zawiadamia. Co robię?

Nikt nie odpowiada. Jest oczywiste, że zebrani nie przywykli do wysiłku intelektualnego, więc po prostu gapią się na dyrektora.

– Proszę bardzo – ciągnie ten z uśmiechem. – Powiedzmy, że właśnie otrzymała pani taki telefon, doktor Ramie.

– Tak, szefie? – Lekarka znów robi się czerwona.

– No proszę. Niech mi pani powie, co należy zrobić w takiej sytuacji.

– Postępować jak w przypadkach chirurgicznych? – odpowiada ta niepewnie, jakby jakaś obca siła wyssała z niej nagle lata studiów medycznych, nie mówiąc już o inteligencji.

– Jakież inne propozycje? – pyta dr Marcus. – Pani doktor? – zwraca się do doktor Scarpetty wyraźnie, powoli, jakby chciał ją upewnić, że nie zwrócił się do niej po imieniu. – Miała pani kiedyś do czynienia z takim przypadkiem?

– Niestety tak.

– Niech nam więc pani opowie. Jak to wygląda z prawnego punktu widzenia? – pyta dość życzliwym tonem.

– Oczywiście, pobicie ciężarnej kobiety jest przestępstwem – odpowiada Kay. – Na formularzu CME-1 określe śmiertelność płodu jako zabójstwo.

– Interesujące. – Marcus rozgląda się po siedzących za stołem, po czym znów zwraca się ku niej. – A zatem pani wstępny raport stwierdzi zabójstwo. Nie jest to troszkę na wyrost? Zamiary ustala policja, a nie my, prawda?

Podły sukinsyn, myśli doktor Scarpetta.

– Naszym zadaniem, jak mówi ustawa, jest stwierdzenie przyczyny i rodzaju śmierci – odparowuje. – Jak może pan sobie przypomina, pod koniec lat dziewięćdziesiątych przepisy zmieniły się po tym, gdy pewien mężczyzna strzelił ciężarnej kobiecie w brzuch i ona przeżyła, ale nienarodzone dziecko nie. W przypadku, który pan nam przedstawił, doktorze Marcus, poleciłabym, żeby pokazano mi płód. Zrobiłabym sekcję i nadała sprawie numer. Na żółtym akcie zgonu nie ma miejsca na rodzaj śmierci, a zatem łączy się go z przyczyną: wewnątrzmaciczna śmierć płodu spowodowana atakiem na matkę. Używam żółtego aktu zgonu, jako że płód nie urodził się żywy. Zatrzymuję kopię w aktach sprawy, ponieważ kiedy urząd stanu cywilnego sporządzi coroczne statystyki, ten akt zostanie zniszczony.

– A co pani robi z płodem? – pyta Marcus już mniej uprzejmym tonem.

– Zwracam rodzinie.

– On nie ma nawet dziesięciu centymetrów – mówi jej przeciwnik ostrzejszym tonem. – Nie ma nic, co mógłby pochować dom pogrzebowy.

– No to konserwuję w formalinie. Oddaję rodzinie, jeśli chcą.

– I nazywa to pani zabójstwem – zauważa Marcus zimno.

– Według nowych przepisów – przypomina mu Kay – w Wirginii napad mający na celu zabójstwo członków rodziny, narodzonych czy nienarodzonych, kwalifikuje się jako zbrodnię. Nawet jeśli nie może pan udowodnić zamiaru zabójstwa, a w akcie oskarżenia stoi celowe zranienie matki, karę za to przestępstwo jest taka jak w przypadku morderstwa. Dalej postępujemy wedle przepisów dotyczących zabójstwa i tak dalej. Chodzi o to, że nie musi być premedytacji. Płód nawet nie musi być zdolny do życia. Popełniono zbrodnię.

– Ktoś ma jakieś uwagi? – Koroner zwraca się tym razem do swojego zespołu. – Żadnych komentarzy?

Nikt się nie odzywa, nawet Fielding.

– Zatem przyjrzyjmy się innemu przypadkowi – mówi Marcus z gniewnym grymasem.

Dalej, myśli doktor Scarpetta. Dalej, ty wredny gnojku.

– Młody mężczyzna w hospicjum, umierający na AIDS. Każe lekarzowi wyciągnąć wtyczkę. Jeśli ten odłączy aparaturę podtrzymującą życie i pacjent umrze, jest to przypadek dla koronera czy nie? Czy to zabójstwo? Co na to nasz gość ekspert? Czy ten lekarz popełnił zabójstwo?

– Przyczyna śmierci jest naturalna, o ile lekarz nie przestrzelił dodatkowo głowy pacjenta – odpowiada Kay.

– Ach tak. A zatem jest pani zwolenniczką eutanazji.

– Świadoma zgoda to śliska sprawa. – Postanawia nie odpowiadać na jego idiotyczne oskarżenie. – U pacjentów często mamy do czynienia z depresją, a ludzie w depresji nie potrafią podejmować świadomych decyzji. To jest po prawdzie kwestia społeczna.

– Proszę mi pozwolić doprecyzować pani stwierdzenia – zwraca się do niej dyrektor.

– Bardzo proszę.

– Ma pani tego człowieka w hospicjum i on mówi: „Chyba chciałbym dziś umrzeć”. Czy pani zdaniem lekarz dyżurny powinien mu w tym pomóc?

– Tak naprawdę pacjent hospicjum sam ma taką możliwość. Może zdecydować o swojej śmierci – wyjaśnia Kay. – Może dostać na żądanie morfinę, więc prosi o większą dawkę, zasypia i umiera na przedawkowanie. Może nosić na ręce bransoletkę z napisem „nie reanimować”, toteż lekarze nie będą mieli takiego obowiązku. A on umiera. Zapewne nikt nie poniesie odpowiedzialności.

– Ale czy to jest przypadek dla nas? – upiera się Marcus; na jego szczupłej twarzy maluje się wściekłość.

– Ludzie idą do hospicjów, ponieważ pragną uśmierzenia bólu i spokojnej śmierci. Ci, którzy podjęli świadomą decyzję, żeby nosić bransoletkę „nie reanimować”, w zasadzie chcą tego samego. Przedawkowanie morfiny, odłączenie aparatury w hospicjum, niereanimowana osoba z bransoletką. To nie są nasze przypadki. Jeśli dostanie pan telefon w takiej sprawie, mam nadzieję, że odmówi pan konsultacji.

– Jakież pytania? – Głos koronera zdradza irytację, a jego właściciel zgarnia papiery i zbiera się do wyjścia.

– Tak – zwraca się do niego Marino. – Czy rozważał pan zajęcie się układaniem pytań do „Milionerów”?

Benton Wesley przenosi się od okna do okna w swojej willi z trzema sypialniami w Aspen. Zasięg komórki powraca i znika, a głos Marina raz brzmi wyraźnie, to znowu się urywa.

– Co? Przepraszam, możesz powtórzyć? – Benton cofa się trzy kroki i przystaje.

– Powiedziałem, że to dopiero czubek góry lodowej. Jest znacznie gorzej, niż myślałeś. – Tym razem Marino zdążył powiedzieć całe zdanie bez przerwy. – Zupełnie jakby wezwał ją tutaj, żeby publicznie dać jej w dupę. A w każdym razie spróbować. Podkreślam: spróbować.

Benton patrzy przez okno na śnieg pokrywający konary osik i jodeł. Ranek po raz pierwszy od wielu dni jest jasny i słoneczny, sroki skaczą z gałęzi na gałąź, opadając z furkotem, a następnie podrywają się w chmurze śniegu. Pewna cząstka umysłu Wesleya rejestruje ich zachowanie, a nawet usiłuje ustalić przyczynę: zapewne jakiś biologiczny ciąg przyczynowo-skutkowy zdołałby wyjaśnić akrobacje długoogoniastych ptaków. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Dla Bentona szukanie wyjaśnień jest odruchem warunkowym – oczywistym jak zachowanie dzikich zwierząt, nieuniknionym jak ruch wagoników kolejki linowej wjeżdżających na górę i wracających na dół.

– Ano tak: próbował. – Na twarzy Bentona pojawia się uśmiech, gdy wyobraża sobie tę sytuację. – Musisz jednak zrozumieć, że nie zaprosił jej z własnej woli. Dostał rozkaz. Za tym wszystkim stoi szef komisji zdrowia.

– A ty skąd to wiesz?

– Wystarczył jeden telefon, kiedy mi powiedziała, że tam jedzie.

– Szkoda, że nie do As... – Marino zawiesza głos.

Benton przenosi się do następnego okna; za jego plecami trzaska w kominku ogień. Patrzy nadal przez szklaną ścianę, koncentrując się na kamiennym domku po drugiej stronie ulicy, kiedy otwierają się drzwi frontowe. Z domku wychodzą ciepło ubrani mężczyzna i chłopiec, w powietrzu unosi się mgiełka ich oddechów.

– Teraz ona już wie – mówi Benton. – Zdaje sobie sprawę, że jest wykorzystywana. – Zna Kay Scarpettę wystarczająco dobrze, żeby jego przewidywania były prawdziwe. – Jestem pewien, że wie, co to za polityka, a przynajmniej, że w tym wszystkim chodzi o politykę. Niestety także o coś więcej, znacznie więcej. Słyszysz mnie?

Spogląda na mężczyznę i chłopca, którzy właśnie zarzucają na ramiona narty i kijki, po czym odchodzą kołyszącym krokiem w niedopiętych butach narciarskich. On sam dziś nie wybierze się na narty ani spacer. Nie ma na to czasu.

– Ha. – Ostatnio Marino bez przerwy mówi „ha”, co drażni Bentona.

– Słyszysz mnie? – pyta.

– Tak, teraz słyszę. – Głos detektywa znów brzmi wyraźnie, więc Benton domyśla się, że tamten również spaceruje po pokoju, szukając lepszego zasięgu. – Facet usiłuje zrzucić całą winę na nią, tak jakby po to ją wezwał. Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć, zanim dowiem się czegoś więcej. O tej dziewczynce, znaczy się.

Jego rozmówca wie o sprawie Gilly Paulsson. Jej tajemnicza śmierć nie zasługuje może na wzmiankę w głównym wydaniu wiadomości, jeszcze nie, ale doniesienia z lokalnych wirginijskich mediów można znaleźć w Internecie, a poza tym Benton ma swoje sposoby na zdobywanie informacji – nawet bardzo tajnych informacji. Gilly Paulsson jest wykorzystywana, ponieważ nie trzeba być żywym, żeby być wykorzystywanym.

– Znowu straciłem zasięg? Niech to. – Rozmowa byłaby znacznie łatwiejsza, gdyby mógł użyć zwykłego telefonu, ale nie może.

– Słyszę cię, szefie. – Głos Marina nagle przybiera na sile. – Czemu nie skorzystasz z normalnego telefonu? Nie mielibyśmy takich problemów – mówi, jakby czytał Bentonowi w myślach.

– Nie mogę.

– Myślisz, że masz podsłuch? – W głosie detektywa nie słychać żartów.
– Przecież to można wykryć. Ściągnij Lucy.

– Dzięki za radę. – Wesley nie potrzebuje Lucy do pomocy w wykrywaniu pluskiew, a problemem wcale nie jest potencjalny podsłuch na linii.

Śledzi teraz wzrokiem mężczyznę i chłopca, myśląc przy tym o Gilly Paulsson. Chłopiec jest mniej więcej w jej wieku – kiedy umarła. Trzynaście, może czternaście lat, tyle że Gilly nigdy nie jeździła na nartach. Nigdy nie była w Kolorado ani innym ciekawym miejscu. Urodziła się w Richmondzie i tam właśnie zmarła, a przez większość swojego krótkiego życia głównie cierpiała. Benton zauważa, że wiatr się wzmógł, a spadający z drzew śnieg wygląda jak dym w lesie.

– Powiedz jej to ode mnie. – Kładzie taki nacisk na zaimek „jej”, żeby było wiadomo, że chodzi o doktor Scarpettę. – Jej następcą, skoro muszę go tak tytułować – ciągnie, nie chcąc wymienić nazwiska doktora Marcusa ani nawiązać do żadnych szczegółów, zwłaszcza że sama myśl o tym, że

ktokolwiek, a zwłaszcza ta glizda doktor Joel Marcus, może być następcą Kay – to interesująca persona – mówi tajemniczo. – Kiedy ona tu przyjedzie – dodaje, mając znów na myśli doktor Scarpettę – obgadamy z nią wszystko osobiście. Na razie niech będzie ostrożna, bardzo ostrożna.

– Co ma znaczyć „kiedy ona tu przyjedzie”? Obawiam się, że może utknąć tutaj na jakiś czas.

– Niech do mnie zadzwoni.

– Bardzo ostrożna? – pyta z niepokojem Marino. – Jasne, musiałeś powiedzieć coś takiego.

– Bądź przy niej, póki tam jest.

– Ha.

– Bądź przy niej, okej?

– Nie spodoba jej się to.

Wesley spogląda na strome stoki pokrytych śniegiem Gór Skalistych, na piękno ukształtowane przez okrutne wiatry i brutalną siłę lodowców. Osiki i drzewa iglaste wyglądają jak kilkudniowy zarost na twarzach gór, które zamykają w kotlinie tę dawną osadę górniczą. Od wschodu, za granią, szary wał chmur powoli zasnuwa błękitne niebo. Po południu znów będzie padał deszcz.

– Nie, nigdy się jej to nie podoba – przyznaje Benton.

– Mówiła, że masz sprawę.

– Tak. – Nie może o tym rozmawiać.

– No cóż, szkoda. Jesteś w Aspen i w ogóle, ale masz sprawę i ona też. Więc pewnie będziesz tam siedział i pracował nad sprawą, co?

– Na razie tak.

– To musi być coś poważnego, skoro siedzisz nad tym na wakacjach w Aspen – sonduje Marino.

– Nie mogę o tym mówić.

– Ha. Przeklęte telefony – wzdycha detektyw. – Lucy powinna wynaleźć coś, czego nie da się podsłuchać ani wysledzić. Zbiłaby na tym fortunę.

– Myślę, że ona już zbiła fortunę. I to niejedną.

– Kpisz sobie.

– Uważajcie na siebie – mówi w końcu Benton. – Jeśli nie odezwę się do ciebie przez kilka następnych dni, opiekuj się nią. Miej oczy dookoła głowy, mówię poważnie.

– Zaproponuj coś, czego jeszcze nie robię – odpowiada Marino. – I nie połam się na tym śniegu!

Benton wyłącza telefon i wraca na sofę stojącą naprzeciwko kominka. Na pogryzionym przez korniki stoliku z drewna kasztanowca leży notatnik wypełniony jego prawie nieczytelnymi bazgrołami, a obok glock czterdziestka. Wyciągnąwszy okulary do czytania z kieszonki na piersi dzinsowej koszuli, Wesley opiera łokieć o poręcz sofy i zagłębia się w papierach. Na każdej stronie notatnika widać numer oraz datę w prawym górnym rogu. Benton pociera kwadratową szczękę, uświadamiając sobie, że nie golił się od dwóch dni, a twardy, szpakowaty zarost przywodzi mu na myśl drzewa porastające zbocza gór. Zakreśla słowa „zbiorowa paranoja”, przekrzywia głowę i przez okulary przygląda się czubkowi własnego długiego nosa.

Robi notatki na marginesie: „Coś z tego wyjdzie, jeśli uzupełnimy luki. Poważne luki. Nie do utrzymania. Ofiarą jest naprawdę L, nie H. H to narcystyczny” – podkreśla słowo „narcystyczny” trzy razy, po czym dorzuca słówko „pozer” i podkreśla je dwa razy. Następnie przewraca kilka kartek, aż trafia na tytuł „Zachowanie po popełnieniu przestępstwa” i wsłuchuje się w szum wody, zdziwiony, że nie wyłapał go wcześniej. „Masa krytyczna. Nie wytrzyma do świąt. Napięcie nie do wytrzymania.

Zabije tuż przed świętami lub wcześniej” – pisze, podnosząc bez słowa wzrok, gdy wyczuwa jej obecność, zanim usłyszy głos.

– Kto dzwonił? – pyta Henri Walden (zdrobnienie od Henrietta). Stoi u podnóża schodów, oparłszy delikatną dłoń o barierkę, i przygląda mu się przez długość pokoju.

– Dzień dobry – mówi Benton. – Zazwyczaj bierzesz najpierw prysznic. Kawa na stole.

Henri otula szczelniej swoje szczupłe ciało zwykłym czerwonym flanelowym szlafrokiem, wpatrując się w Bentona sennym, nieobecny wzrokiem, jakby pomiędzy nimi zawisła jakaś wcześniejsza sprzeczka czy starcie. Skończyła dwadzieścia osiem lat i wydaje się na swój sposób atrakcyjna. Nie ma doskonałych rysów, ponieważ jej nos jest ostry i, w jej zwichrowanej opinii, za duży. Zęby też nie są doskonałe, toteż obecnie nic nie zdołałoby jej przekonać, że ma piękny uśmiech i jest niepokojąco seksowna, nawet gdy się o to nie stara. Benton nie próbował jej o tym przekonywać i nie zamierza. To zbyt niebezpieczne.

– Rozmawiałeś z kimś. To była Lucy?

– Nie.

– Ach. – Rozczarowanie wykrzywia jej usta, w oczach błyska gniew. – Ach, tak. A więc kto?

– To była prywatna rozmowa, Henri. – Wesley zdejmując okulary. – Rozmawialiśmy chyba wystarczająco o granicach. Rozmawiamy o nich codziennie, nieprawdaż?

– Wiem – mówi wciąż ze schodów, nie zdejmując ręki z barierki. – Więc skoro nie Lucy, to kto? Jej ciotka? Ona za dużo gada o swojej ciotce.

– Jej ciotka nie wie, że tu jesteś, Henri – odpowiada cierpliwie Benton. – Tylko Lucy i Rudy wiedzą, że tu jesteś.

– Wiem wszystko o tobie i jej ciotce.

– Tylko Lucy i Rudy wiedzą, że tu jesteś – powtarza Wesley.

– A więc Rudy. Czego chciał? Wiem, że zawsze mnie lubił. – Uśmiecha się, a wyraz jej twarzy jest wyjątkowo niepokojący. – Rudy jest fantastyczny. Powinnam była się z nim przespać. Powinnam. Na przykład wtedy, w tym ferrari. W ferrari mogłam z kimkolwiek. Nie żebym potrzebowała Lucy, aby mieć ferrari.

– Granice, Henri – przypomina jej Benton, odmawiając pogodzenia się z otchłanią porażki roztaczającą się przed nim. Czarna otchłań pogłębia się od chwili, gdy Lucy przysłała Henri do Aspen i powierzyła jego opiece.

„Ty jej nie skrzywdzisz – powiedziała do niego. – Każdy inny mógłby ją skrzywdzić, wykorzystać, wyciągnąć z niej coś o mnie i o tym, co robię”.

„Nie jestem psychiatrą” – odparł Benton.

„Ona potrzebuje powypadkowej terapii stresowej, psychologa sądowego. A ty właśnie nim jesteś. Możesz to zrobić. Możesz dowiedzieć się, co zaszło. Musimy wiedzieć, co się stało” – mówiła Lucy zaskakującym u niej tonem. Lucy nigdy nie panikuje, a teraz panikowała. Lucy wierzy, że Benton zdoła rozgryźć każdego. Ale nawet gdyby tak było, to jeszcze nie znaczy, że każdego da się poskładać do kupy. Henri nie jest zakładniczką. Może w każdej chwili odejść. Bentona do głębi niepokoi fakt, że najwyraźniej ona nie ma ochoty odchodzić, że być może całkiem jej tu dobrze.

Wesley odkrył całkiem sporo przez te cztery dni, które spędził w towarzystwie Henri Walden. Ona ma problemy osobowościowe i miała je przed próbą zabójstwa. Gdyby nie zdjęcia z miejsca zbrodni i gdyby nie pewność, że ktoś obcy rzeczywiście przebywał w domu Lucy, Benton byłby skłonny twierdzić, że w ogóle nie doszło do próby zabójstwa. Obawia się, że psychika Henri jest teraz wyolbrzymioną wersją tego, czym była przed napadem, i to przekonanie napawa go niepokojem, ponieważ nie umie

wyobrazić sobie, co myślała Lucy, gdy spotkała Henri. Dochodzi do wniosku, że w ogóle nie myślała. To najprawdopodobniejsza wersja.

– Czy Lucy pozwalała ci prowadzić swoje ferrari?

– Nie czarne.

– A srebrne, Henri?

– Ono nie jest srebrne, tylko błękitne. Jeździłam nim, kiedy tylko chciałam. – Spogląda na niego od schodów, wciąż trzymając dłoń na barierce, długie włosy ma w nieładzie, a oczy sennie nieobecne, jakby pozowała do seksownej fotografii.

– Sama prowadziłaś? – Musi zdobyć pewność. Bardzo ważnym brakującym ogniwem jest to, w jaki sposób przestępca znalazł Henri, ponieważ Benton nie wierzy, że była to przypadkowa napaść, a ofiara została wybrana na chybił trafił: ładna kobieta w złym czasie i w niewłaściwym domu lub niewłaściwym ferrari.

– Mówiłam ci, że tak – odpowiada Henri, a jej blada twarz pozostaje beznamiętna. Tylko oczy żyją, lecz widoczna w nich energia jest ulotna i niepokojąca. – Ale z tym czarnym była strasznie samolubna.

– Kiedy po raz ostatni prowadziłaś błękitne ferrari? – pyta Benton tym samym łagodnym, jednak stanowczym głosem, którym nauczył się wydobywać wszelkie możliwe informacje. Nieważne, czy Henri siedzi, chodzi czy stoi po drugiej stronie pokoju z dłonią na barierce: gdy tylko coś się pojawia, on stara się to coś z niej wydobyć, zanim ponownie zniknie. Nieważne, co się z nią działo lub wciąż dzieje, Benton chce się dowiedzieć, kto wszedł do domu Lucy i po co. Do diabła z Henri, pomyślałby najchętniej. Naprawdę to martwi się o Lucy.

– W tym samochodzie jestem kimś – odpowiada Henri; jej oczy lśnią zimno w pozbawionej wyrazu twarzy.

– Więc jeździłaś nim często, Henri.

- Kiedy tylko chciałam. – Wpatruje się w niego.
- Codziennie do obozu treningowego?
- Kiedy tylko, do cholery, chciałam. – Gapi się na niego z beznamiętną twarzą, w oczach błyszczący gniew.
- Pamiętasz ostatni raz, kiedy je prowadziłaś? Kiedy to było, Henri?
- Nie wiem. Zanim się pochorowałam.
- Zanim dostałaś grypy, ale kiedy to było? Jakies dwa tygodnie temu?
- Nie wiem. – Wpadła w fazę oporu i nie powie teraz nic więcej o ferrari, on zaś nie będzie naciskał, ponieważ te uniki i wykręty też mają swoje znaczenie.

Benton bardzo sprawnie interpretuje wszelkie przemilczenia, a ona właśnie się przyznała, że jeździła ferrari, kiedy tylko miała na to ochotę, i była świadoma własnej atrakcyjności w aucie – co więcej, napawała się nią, ponieważ zawsze lubiła być w oku cyklonu. Nawet w swoje lepsze dni Henri musi być sercem chaosu, twórcą chaosu, gwiazdą we własnym szalonym przedstawieniu – i z tego właśnie powodu większość policjantów i psychologów sądowych uzna, że tylko zaaranżowała próbę zabójstwa samej siebie oraz całe miejsce zbrodni, czyli że żadnej napaści nigdy nie było. Ale była. Oto cała ironia: to dziwaczne, niebezpieczne przedstawienie dzieje się naprawdę, a Benton martwi się o Lucy. Zawsze martwi się o Lucy, tym razem jednak jest naprawdę zaniepokojony.

– Z kim rozmawiałaś przez telefon? – Henri powraca do porzuconego tematu. – Rudy tęskni za mną. Powinnam była z nim się przespać. Zmarnowałam za dużo czasu.

– Zacznijmy dzień od przypomnienia sobie granic, Henri. – Benton cierpliwie powtarza to, co mówił jej już wczoraj i przedwczoraj, kiedy siedząc na sofie, robił notatki.

– Okej – odpowiada Henri ze schodów. – Dzwonił Rudy. Tak właśnie było.

Woda bębni w zlewach, migocze podświetlenie zdjęć rentgenowskich w gablotach, gdy doktor Scarpetta pochyla się nad raną, która niemal oderwała nos martwego operatora buldożera od twarzy.

– Zrobiłabym mu test na alkohol i narkotyki – mówi do Jacka Fieldinga, stojącego po drugiej stronie stalowego wózka. Ciało leży pomiędzy nimi.

– Zauważyła pani coś?

– Nie wyczuwam alkoholu, a on nie ma zaczerwienionej twarzy. Ale lepiej dmuchać na zimne. Mówię ci, Jack, takie przypadki to same kłopoty.

Martwy mężczyzna nadal jest ubrany w oliwkowe spodnie robocze, teraz ubrudzone czerwoną gliną i rozdarte na udach. Spoza poszarpanej skóry wyzierają mięśnie, tłuszcz i potrzaskane kości. Buldożer przejechał przez środek jego ciała, ale nie akurat wtedy, gdy Kay patrzyła na Whitby’ego. Mogło się to wydarzyć minutę, może pięć minut po tym, jak skręciła za róg, ale jest przekonana, że widziała właśnie tego człowieka. Usiłuje wyrzucić z myśli tamten obraz, on jednak powraca: mężczyzna stoi przy wielkim kole buldożera, dłubiąc w silniku, robiąc coś z tym silnikiem.

– Hej! – woła Fielding do młodego chłopaka z ogoloną głową, zapewne żołnierza przysłanego z Zarządu Cmentarza Fort Lee. – Jak się nazywasz?

– Bailey, proszę pana.

Doktor Scarpetta zauważa kilkoro młodych ludzi w chirurgicznych fartuchach, butach i czepkach, a także maskach i rękawiczkach – zapewne stypendystów wojskowych, którzy mają się tu nauczyć postępowania ze zwłokami. Zastanawia się, czy zostaną wysłani do Iraku. Dostrzega oliwkową zieleń mundurów i konstatuje, że jest taka sama jak kolor potarganych roboczych spodni pana Whitby’ego.

– Bailey, zrób przysługę domowi pogrzebowemu i podwiąż tętnicę szyjną – mówi opryskliwie Fielding, który za jej czasów nie był taki nieuprzejmy. Nie pomiatał ludźmi i nie wytykał im na głos błędów.

Na twarzy żołnierza maluje się zakłopotanie, muskularna wytatuowana ręka zamiera w pół ruchu, palce w rękawiczce zaciskają się na długiej, wygiętej igle chirurgicznej, przez którą przewleczono bawełnianą nić numer siedem. Żołnierz pomaga asystentowi zaszyć nacięcia po sekcji, która zaczęła się jeszcze przed odprawą – i to asystent, a nie praktykant powinien wiedzieć, jak podwiązać tętnicę. Doktor Scarpetcie robi się żal żołnierza i gdyby Fielding wciąż pracował dla niej, wezwałaby go na słowo i poleciała, żeby nie traktował niegrzecznie nikogo w jej kostnicy.

– Tak jest, panie doktorze – mówi zaskoczony żołnierz. – Właśnie zamierzałem to zrobić.

– Doprawdy? – pyta lekarz tak, żeby wszyscy w kostnicy słyszeli, co ma do powiedzenia młodemu praktykantowi. – A może wiesz, dlaczego podwiązuje się tętnice?

– Nie wiem, panie doktorze.

– Z uprzejmości, oto dlaczego – wyjaśnia Fielding. – Podwiązujesz wszystkie większe naczynie, krwionośne, takie jak tętnica szyjna, żeby balsamiści z domu pogrzebowego nie musieli ich szukać. Chodzi o grzeczność, Bailey.

– Rozumiem, panie doktorze.

– Jezu – wzdycha Fielding. – Użeram się z tym codziennie, bo on tu wpuści każdego. Widziała go pani tutaj? – Fielding wraca do robienia notatek. – Cholera, nie. Jest tu od czterech cholernych miesięcy i nie wykonał ani jednej sekcji. Tak. A na wypadek, gdyby pani sama się tego nie domyśliła, uwielbia kazać ludziom czekać. Jego ukochana rozrywka. Najwyraźniej nikt nie dał ci o nim cynku. Proszę mi wybaczyć głupi żart. – Wskazuje martwego mężczyznę, który dał się przejechać buldożerowi. – Gdyby pani do mnie zadzwoniła, powiedziałbym, że nie ma się po co tu tłuc.

– Powinam była zadzwonić – mówi doktor Scarpetta, obserwując, jak pięcioro ludzi mocuje się z przeniesieniem niewiarygodnie grubej kobiety z wózka na stalowy stół. Z jej nosa i ust wylewa się krwawa ciecz. – Co za jatka. – Kay zaczyna komentować zwały czy fałdy tłuszczu, które ludzie tak otyli jak ta martwa kobieta zbierają na brzuchach, ale naprawdę to informuje Fieldinga, że nie zamierza dać się wciągnąć w rozmowę o dyrektorze w kostnicy pełnej jego ludzi.

– Więc to jest mój cholerny przypadek – mówi Fielding, tym razem mając na myśli swojego obecnego szefa i Gilly Paulsson. – Ten dupek nawet nie zajrzał do kostnicy, gdy przywieziono ciało, na litość boską, a wszyscy wiedzieliśmy, że ta sprawa to śmierdzące jajo. Jego pierwsze śmierdzące jajo. Och, proszę nie patrzeć tak na mnie, pani doktor. – Nigdy nie przestał zwracać się do niej w ten sposób, mimo że zachęcała go do mówienia jej po imieniu, ponieważ szanowali się wzajemnie, a ona uważała go za przyjaciela. On jednak nie zwróciłby się do niej po imieniu, kiedy była jego szefową – a teraz też nie. – Nikt tu nie podsłuchuje, głowę dam. Ma pani plany obiadowe?

– Zjemy razem, mam nadzieję. – Pomaga mu zdjąć zabłocone skórzane buty ze stóp Whitby’ego: rozwiązuje brudne sznurówki, wysuwa

zmacerowane języki z wołowej skóry, Stężenie pośmiertne postąpiło w bardzo małym stopniu, więc ciało jest jeszcze wiotkie i ciepłe.

– Jak tym gościom udaje się przejechać samych siebie, ma pani pojęcie?
– pyta Fielding. – Nigdy nie zdołam sobie tego wyobrazić. Okej. U mnie o siódmej. Mieszkam tam, gdzie zawsze.

– Mogę wyjaśnić, jak to się najczęściej dzieje – odpowiada doktor Scarpetta, przypominając sobie pana Whitby’ego stojącego obok koła buldożera i dłubiącego w silniku. – Mają jakiś kłopot z silnikiem, więc zsiadają, stają obok tego wielkiego koła i dłubią przy zapłonie, zapewne chcą uruchomić silnik za pomocą śrubokręta, zapominając przy tym, że zostawili pojazd na biegu. Mają pecha, jeśli zapali. W tym wypadku pojazd przejechał przez sam środek. – Wskazuje na brudny ślad koła na oliwkowych spodniach i czarnej ortalionowej kurtce, na której wyszyto grubą czerwoną nicią jego nazwisko: T. Whitby. – Kiedy go widziałam, stał przed kołem.

– Aha. Nasze stare biuro. Witamy w mieście!

– Znaleziono go pod kołem?

– Buldożer przejechał po nim i pojechał dalej. – Fielding ściąga ubłocone skarpetki denata, których wzór odcisnął się na wielkich białych stopach mężczyzny. – Pamiętasz ten wielki żółty metalowy słupek sterczący z chodnika koło tylnej bramy? Dopiero on zatrzymał buldożer, inaczej rozwaliby windę. Nie żeby miało to znaczenie, skoro i tak rozbierają budynek.

– A zatem to nie będzie uduszenie. Raczej obszerne zgniecenie szerokości tej opony – mówi Kay, przyglądając się ciału. – Wykrwawienie. Możesz się spodziewać jamy brzusznej pełnej krwi, rozdarcia śledziony, wątroby, pęcherza i jelit, zmiażdżonej miednicy – mniej więcej tak. A zatem o siódmej.

– A co z pani przybocznym?

– Nie mów tak o nim, Jack. Znasz go.

– Może przyjąć. Wygląda dość dziwnie w tej bejsbolówce.

– Też mu to powiedziałam.

– A jak pani myśli, co rozorało mu twarz? Coś pod albo z tyłu buldożera? – pyta Fielding, dotykając naderwanego nosa, z którego spływa krew po pokrytej kilkuniedniowym zarostem twarzy pana Whitby’ego.

– To może nie być rana cięta. Jadąc po jego ciele, koło pociągnęło za sobą skórę. Te obrażenia – Kay wskazuje na głęboką, poszarpaną ranę biegnącą przez policzki i nos – mogą być wynikiem szarpnięcia, nie cięcia. Jeśli tak rzeczywiście jest, powinno się znaleźć rdzę lub smar pod mikroskopem oraz zobaczyć znaczne rozerwanie tkanki, będące efektem poszarpania, a nie przecięcia. Gdybym była na twoim miejscu, po pierwsze odpowiedziałabym na wszystkie pytania.

– Oczywiście. – Fielding unosi wzrok znad notatnika i formularza ubrań i przedmiotów osobistych, który właśnie wypełnia długopisem przymocowanym do notatnika.

– Rodzina zapewne będzie żądała odszkodowania za straty – ciągnie jego dawna szefowa. – Śmierć w miejscu pracy, niebezpiecznym miejscu pracy.

– O tak. Ze wszystkich miejsc na umieranie właśnie to!

Lateksowe rękawiczki zabarwiają się na czerwono, gdy Fielding dotyka ran na twarzy mężczyzny, a ciepła krew spływa swobodnie, gdy porusza prawie oderwanym nosem. Patolog przewraca kartkę notatnika i zaczyna szkicować obrażenia na szkicu przedstawiającym ludzkie ciało. Pochyliła się nad twarzą, wpatrując się uważnie przez plastikowe okulary zabezpieczające.

– Nie widzę rdzy ani smaru – mówi. – Ale to nie znaczy, że go tu nie ma.

– Słusznie. – Doktor Scarpetta popiera jego tok myślenia. – Na twoim miejscu zrobiłabym wymaz, posłała próbki do laboratorium i sprawdziła wszystko. Nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś zaczął mówić, że ten człowiek został przejechany, zepchnięty z buldożera lub wepchnięty pod niego, a może nawet zdzielony po twarzy łopata, zanim go popchnięto. Nigdy nic nie wiadomo.

– Aha. Kasa, kasa, kasa.

– Nie tylko kasa. To prawnicy przekładają wszystko na pieniądze. Ale najpierw chodzi o szok, ból, stratę, o to, że ktoś inny zawinił. Nikt z rodziny nie chce wierzyć, że to bezsensowna śmierć, której można było uniknąć, że żaden doświadczony operator buldożera nie stałby przed tylnym kołem, dłubiąc przy zapłonie, aby wyłączyć zabezpieczenie fabryczne, pozwalające uruchomić silnik, tylko gdy buldożer jest na luzie. Ale co ludzie robią? Są leniwi, spieszą się i nie myślą. A poza tym ludzka natura jest taka, że nie dopuszcza myśli, że ktoś, kogo kochamy, mógłby spowodować własną śmierć, celowo lub przypadkiem. No ale ty bywałeś na moich wykładach, Jack.

Kiedy Fielding zaczynał karierę, był jednym z jej uczniów. Uczyła go patologii sądowej. Uczyła go, jak przeprowadzać nie tylko profesjonalne, ale i dokładne, dogłębne analizy sytuacji medyczno-prawnej oraz sekcje. Teraz ze smutkiem wspomina, jak nieprzyzwoicie chętnie pracował z nią po drugiej stronie stołu, chłonał wiedzę, biegał do sądu, żeby słuchać jej zeznań i ekspertyz, jak omawiał swoje raporty w jej biurze, jak chętnie się uczył. Obecnie jest zmęczonym facetem z kłopotami skórnymi, ona wyleciała z pracy, a mimo to spotkali się tutaj.

– Powinnam była do ciebie zadzwonić – mówi, odpinając pasek z taniej skóry, po czym zsuwa podarte oliwkowe spodnie pana Whitby’ego. – Popracujemy nad Gilly Paulsson i rozgryziemy ją.

– Aha – mówi Fielding, który dawniej nie zwykł był mówić „aha” tak często.

Henri Walden ma na sobie wyściełane filcem sztruksowe kapcie, których nie słyszeć, gdy sunie po dywanie niczym duch, zmierzając ku stojącemu naprzeciwko sofy skórzanemu fotelowi.

– Wzięłam prysznic – mówi, przysiadając na fotelu i podciągając szczupłe nogi.

Uwagi Bentona nie uchodzi ukazujące się między udami jasne młode ciało, ale nie patrzy tam, nie reaguje tak, jak zareagowałyby większość mężczyzn.

– Czemu się tym przejmujesz? – pyta Henri, powtarzając pytanie zadawane każdego ranka, odkąd się tu zjawiała.

– Dzięki temu czujesz się lepiej, prawda, Henri?

Dziewczyna potakuje, wpatrując się w niego wzrokiem kobry.

– Drobiazgi są ważne. Jedzenie, sen, czystość, gimnastyka. Odzyskiwanie kontroli.

– Słyszałam, jak z kimś rozmawiałeś.

– W tym właśnie problem – odpowiada Benton, nie spuszczać z niej wzroku sponad okularów.

Notatnik nadal leży na jego kolanach, ale pojawiło się w nim więcej zapisków: „czarne ferrari”, „bez pozwolenia”, „prawdopodobnie śledzona

od obozu” i „miejsce kontaktu – czarne ferrari”. Po chwili milczenia odzywa się znowu.

– Prywatne rozmowy powinny być właśnie takie. Prywatne. Musimy więc wrócić do pierwotnej umowy, Henri. Pamiętasz, o co chodziło?

Dziewczyna zdejmuje pantofle, zrzucając je na dywan. Drobne bosc stopy opiera na poduszce fotela, a kiedy nachyla się, żeby na nie spojrzeć, czerwony szlafrok rozsuwa się nieco.

– Nie. – Jej głos jest ledwie słyszalny. Henri potrząsa głową.

– Dobrze wiem, że pamiętasz, Henri. – Benton powtarza w kółko jej imię, żeby przypomnieć jej, kim jest, spersonalizować to, co zostało zdepersonalizowane i, w pewnym sensie, bezpowrotnie utracone. – Umówiliśmy się co do szacunku, pamiętasz?

Dziewczyna pochyla się jeszcze bardziej i dotyka palca u stopy. Wpatruje się w niepomalowany paznokieć, oferując Bentonowi nagość skrytą pod szlafrokiem.

– Częścią poszanowania jest pozwalanie innym na prywatność. A także skromność – kontynuuje spokojnie Wesley. – Rozmawialiśmy dużo o granicach. Pogwałcenie skromności jest pogwałceniem tych granic.

Wolna ręka Henri wędruje w górę i zbiera połę szlafroka, druga podnosi kolejno palce stopy.

– Dopiero co się obudziłam – mówi, jakby było to dostatecznym wytłumaczeniem dla ekshibicjonizmu.

– Dziękuję, Henri. – Ona musi mieć pewność, że Benton jej nie pożąda seksualnie, nawet o niej nie fantazjuje. – Jednak wcale dopiero co się nie obudziłaś. Wstałaś, zeszłaś na dół, rozmawialiśmy, wzięłaś prysznic.

– Nie mam na imię Henri.

– Jak w takim razie mam cię nazywać?

– Nijak.

– Masz dwa imiona. To, które dali ci rodzice, i to, którego używałaś – i nadal używasz – jako aktorka.

– W takim razie jestem Henri. – Patrzy na swoje palce u nóg.

– Będę cię więc nazywał Henri.

Potakuje, wpatrując się w stopy.

– Jak ją nazywasz?

Benton wie, kogo dziewczyna ma na myśli, ale nie odpowiada.

– Sypiasz z nią. Lucy wszystko mi opowiedziała. – Kładzie nacisk na słowo „wszystko”.

Benton czuje ukłucie gniewu, ale nie pokazuje tego. Lucy nie opowiedziałaby Henri wszystkiego o jego związku z Kay Scarpettą. Nie, nie opowiedziałaby. To Henri się z nim drażni, znów bada granice. Nie: znów łamie granice.

– Dlaczego nie ma jej tu z tobą? – pyta. – To przecież wasze wakacje, nie? A jej tu nie ma. Wielu ludzi po jakimś czasie rezygnuje z seksu. Dlatego właśnie nie chcę się z nikim wiązać na dłużej. Brakuje seksu. Zazwyczaj po pół roku ludzie dają sobie spokój z seksem. Jej tu nie ma dlatego, że ja tu jestem. – Wpatruje się w niego.

– Zgadza się – potwierdza Benton. – Nie ma jej tu dlatego, że ty tu jesteś, Henri.

– Musiała się wściec, jak jej powiedziałaś, że nie może przyjechać.

– Zrozumiała. – Benton nie jest całkowicie szczery.

Kay z jednej strony zrozumiała, z drugiej nie. „Nie możesz w tej chwili przyjechać do Aspen – powiedział jej po alarmującym telefonie Lucy. – Wygląda na to, że będę miał sprawę, którą trzeba się zająć”.

„Wyjeżdżasz z Aspen?” – spytała.

„Nie mogę rozmawiać o tej sprawie” – odpowiedział, a wedle jego przypuszczeń Kay myśli, że on jest teraz wszędzie, tylko nie w Aspen.

„To nieuczciwe, Benton – stwierdziła. – Zaplanowałam sobie te dwa tygodnie dla nas. Ja też mam sprawy”.

„Proszę, zaufaj mi. Obiecuję, że później wszystko wyjaśnię”.

„Akurat teraz – odrzekła. – W najgorszej możliwej chwili. Potrzebujemy tego czasu razem”.

Owszem, potrzebują tego czasu, a zamiast tego on siedzi tu z Henri.

– Opowiedz mi o ostatnich snach. Pamiętasz sny z tej nocy? – zwraca się do niej.

Jej drobne palce głaszczą paluch lewej nogi, jakby miała tam otarcie. Marszczy czoło. Benton wstaje. Mimochodem podnosi glocka i wychodzi z salonu do kuchni. Otwiera szafkę i chowa pistolet na najwyższej półce, po czym wyciąga dwie filiżanki i nalewa kawy. Oboje piją czarną.

– Może być dość mocna i mogę zrobić więcej. – Stawia jedną z filiżanek na końcu stołu, po czym wraca na swoje miejsce na sofie. – Poprzedniej nocy śnił ci się potwór. Nazywałaś go wręcz „bestią”, prawda? – Jego uważny wzrok napotyka jej nieszczęśliwą minę. – Czy tej nocy też widziałaś bestię?

Nie odpowiada, a jej humor zmienia się drastycznie w stosunku do tego, jak zachowywała się rano. Coś się wydarzyło pod prysznicem, ale do tego przejdą później – Nie musimy rozmawiać o bestii, jeśli tego nie chcesz, Henri. Ale im więcej mi o nim powiesz, tym łatwiej go znajdę. Chcesz, żebym go znalazł, prawda?

– Z kim rozmawiałeś? – pyta tym samym stłumionym, dziecinnym głosem. Ale ona nie jest dzieckiem. Z pewnością nie jest niewiniątkiem. – Rozmawiałeś o mnie – powtarza z uporem, a szlafrok rozchyła się, znowu pokazując więcej ciała.

– Nie, nie rozmawiałem o tobie, słowo. Nikt nie wie, że tu jesteś, nikt poza Lucy i Rudym. Zakładam, że mi ufasz, Henri. – Przerzywa, wpatrując

się w nią. – Zakładam, że ufasz Lucy.

Na dźwięk tego imienia w oczach dziewczyny pojawia się gniew.

– Zakładam, że nam ufasz – mówi Benton, usadowiony spokojnie z nogą na nodze, i palcami splecionymi na kolanie. – Wolałbym, żebyś się zasłoniła, Henri.

Otula się znów szlafrokiem, wciskając jego poły między nogi, i ściąga mocniej pasek. Benton wie doskonale, jak wygląda jej nagie ciało, ale nie przywołuje tych obrazów. Widział zdjęcia i nie zamierza ich ponownie oglądać, chyba że po to, aby przeanalizować je z profesjonalistami i z nią, kiedy będzie już gotowa. Jeżeli w ogóle będzie na to gotowa. W tej chwili Henri tłumi w sobie wszystko, co wiąże się ze sprawą – celowo czy też niecelowo, i zachowuje się tak, że uwiodłaby i doprowadziła do szału wszelkie słabsze istoty ludzkie, które albo nie mają oporów, albo nie rozumieją jej sztuczek. Jej niestrudzony wysiłek, żeby podniecić erotycznie Bentina, to nie tylko wygłupy, ale i bezpośrednia manifestacja ostrego, chronicznego narcyzmu, potrzeby kontrolowania i dominacji, poniżania i niszczenia każdego, kto ośmieli się o nią troszczyć. Wszystkie akcje i reakcje Henri mają u podłoża złość i nienawiść do siebie samej.

– Dlaczego Lucy mnie odesłała?

– Może ty mi powiesz? Może wyjaśnisz mi, dlaczego się tu znalazłaś?

– Ponieważ... – Wyciera oczy w rąbek szlafroka. – Bestia.

Benton nie spuszcza z niej wzroku, nie opuszczając bezpiecznej pozycji na sofie. Z miejsca, gdzie siedzi Henri, nie da się odczytać jego notatek. Znalazł się poza jej zasięgiem. Nie pogania dziewczyny. Najważniejsza jest cierpliwość; musi mieć nieograniczoną cierpliwość – jak myśliwy, stojący w lesie nieruchomo i z wstrzymanym oddechem.

– To weszło do domu. Nie pamiętam.

Benton patrzy na nią w milczeniu.

– Lucy wpuściła to do domu.

Nie będzie naciskał, ale nie pozwoli na dezinformację ani kłamstwa.

– Nie. Lucy nie wpuściła tego do domu – poprawia ją. – Nikt nie wpuścił tego do domu. Weszło, ponieważ tylne drzwi były otwarte, a alarm wyłączony. Już o tym rozmawialiśmy. Pamiętasz, dlaczego drzwi pozostały otwarte, a alarm wyłączony?

Henri wpatruje się w stopy, ręce ma nieruchome.

– Rozmawialiśmy o tym – mówi Benton.

– Miałam grypę – odpowiada, przenosząc wzrok na kolejny palec. – Byłam chora, a jej nie było w domu. Miałam dreszcze, więc wyszłam na słońce i zapomniałam zamknąć drzwi i włączyć alarm. Miałam gorączkę i zapomniałam to zrobić, a Lucy zwała na mnie winę.

Benton sączy swoją kawę, która zdążyła już wystygnąć. Kawa nie pozostaje długo gorąca w górach w Aspen, w stanie Kolorado.

– Czy Lucy mówiła, że to twoja wina?

– Ona tak myśli. – Henri wpatruje się teraz w jakiś punkt poza nim, przez okno za jego głową. – Ona uważa, że to wszystko moja wina.

– Nigdy mi nie mówiła, że cokolwiek jest twoją winą. Opowiadałaś mi o swoich snach. – Wraca do porzuconego tematu. – O snach z poprzedniej nocy.

Henri mruga oczami i znów pociera paluch.

– Boli?

Potakuje.

– Ojej. Może chcesz jakiś plaster?

Potrząsa głową.

– Nic nie pomoże.

Nie mówi o paluchu prawej stopy, tylko łączy fakt, iż go złamała, z tym, że teraz znajduje się pod opieką Bentona ponad tysiąc pięćset kilometrów

od Pompano Beach na Florydzie, gdzieomal nie straciła życia. W jej oczach zapalają się iskierki.

– Szłam szlakiem – mówi. – Po jednej stronie, bardzo blisko ścieżki, były skały, ściana skalna, i nie wiem dlaczego, ale wcisnęłam się w tę ścianę i zaklinowałam. – Zaczyna się nagle, odsuwa jasne włosy z oczu, ręce jej drżą. – Byłam zaklinowana w skale... nie mogłam się ruszyć, nie mogłam oddychać. Nie mogłam się uwolnić. Nikt nie potrafił mnie wyciągnąć. Ten sen przypominał mi się, kiedy brałam prysznic. Woda uderzała mnie w twarz, a kiedy wstrzymałam oddech, przypominał mi się ten sen.

– Ktoś usiłował cię wyciągnąć? – Benton nie reaguje na jej przerażenie, nie rozstrzyga, czy jest prawdziwe, czy udane. Nie wie tego. Tak mało o niej wie.

Henri siedzi bez ruchu na fotelu, oddycha płytko i z wysiłkiem.

– Powiedziałaś, że nikt nie mógł cię wyciągnąć – ciągnie spokojnie Benton, cichym głosem psychologa, którym stał się dla niej. – Był tam ktoś inny? Jacyś inni ludzie?

– Nie wiem.

Czeka. Jeśli Henri zaraz nie chwyci tchu, będzie musiał coś z tym zrobić. Na razie jednak czeka cierpliwie niczym myśliwy na pozycji.

– Nie pamiętam. Nie wiem dlaczego, ale przez chwilę myślałam, że ktoś... tak mi się wydawało we śnie, tak przypuszczam, że ktoś mógłby rozbić tę skałę. Na przykład kilofem. A potem pomyślałam, że nie. Skała jest za twarda. Nie da się mnie wyciągnąć. Nikt nie potrafi. Umrę. Wiedziałam, że umrę, a potem nie mogłam już wytrzymać, więc sen się skończył. – Poszarpane słowa urywają się równie nagle jak najwidoczniej sen. Henri bierze głęboki oddech, jej ciało się rozluźnia. Patrzy prosto na Bentona. – To było okropne – dodaje.

– Tak. To musiało być okropne. Nie umiem sobie wyobrazić nic bardziej okropnego niż niemożność oddychania.

– Nie mogłam złapać powietrza.

Napastnik mógł usiłować ją udusić. Benton przypomina sobie zdjęcia. Po kolei przegląda je w myślach, analizując obrażenia Henri, usiłując nadać jakiś sens temu, co właśnie mu opowiedziała. Widzi krew ciekącą jej z nosa, rozsmarowaną po policzkach i plamiącą prześcieradło pod głową, gdy leży na brzuchu. Jej ciało jest nagie, niczym nieprzykryte, ręce wyciągnięte wysoko nad głową, dłońmi w dół, nogi zgięte, jedna bardziej niż druga.

Benton analizuje następne zdjęcie, skupiając na nim pamięć, a Henri wstaje z fotela. Mruczy, że chce jeszcze kawy i sama sobie weźmie. Benton rejestruje jej słowa, a także fakt, że pistolet jest teraz w kuchni, ale dziewczyna nie wie, w której szafce, ponieważ siedziała tyłem do niego, gdy chował broń. Przygląda się jej, uważając na to, co robi, podczas gdy w myślach przebiega opis obrażeń, dziwacznych śladów na jej ciele. Wierzch dłoni miała zaczerwieniony, ponieważ napastnik, jakiegokolwiek był płci – Benton nie zamierza czynić w tym względzie żadnych założeń – ją pobił. Miała więc świeże stłuczenia na wierzchu dłoni, a także spore ślady uderzeń na plecach w okolicy łopatek. W ciągu następnych kilku dni czerwień z pękniętych podskórnych naczyń krwionośnych zmieniła się w burzowy fiolet.

Benton obserwuje, jak Henri nalewa sobie kawy. Myśli o zdjęciach jej nieprzytomnej na miejscu przestępstwa. Fakt, że dziewczyna ma piękne ciało, interesuje Bentina wyłącznie z tego powodu, że szczegóły jej wyglądu i zachowania mogły być ważne dla osoby, która chciała ją zamordować. Henri jest szczupła, ale zdecydowanie nie androginiczna. Ma piersi i włosy łonowe, nie przyciągnęłaby więc pedofila. W chwili napaści była już po inicjacji seksualnej.

Przygląda się, jak dziewczyna wraca na skórzany fotel, trzymając kubek z kawą w obu rękach. Benton nie przejmuje się jej brakiem uwagi. Osoba dobrze wychowana zapytałaby zapewne, czy nie miałby ochoty na jeszcze trochę kawy, ale Henri jest chyba jedną z najbardziej egocentrycznych i nieczułych istot, jakie Benton kiedykolwiek spotkał – była taka przed napadem i zawsze taka zostanie. Byłoby dobrze, gdyby nigdy więcej nie znalazła się w pobliżu Lucy. On jednak nie ma prawa życzyć sobie tego ani też dopomagać losowi, napomina sam siebie.

– Henri – mówi, wstając i idąc po kawę. – Jesteś gotowa na przegląd faktów?

– Tak. Ale nic nie pamiętam. – Jej głos wędruje za nim do kuchni.

– Wiem, że mi nie wierzysz.

– Dlaczego tak uważasz? – Wesley nalewa sobie kawy i wraca do salonu.

– Lekarz mi nie wierzył.

– Ach tak, lekarz. Powiedział, że ci nie wierzy. – Benton sadowi się z powrotem na sofie. – Chyba znasz moje zdanie o tym lekarzu, ale powtórzę je jeszcze raz. On uważa, że kobiety to histeryczki, i nie lubi ich, a z całą pewnością nie szanuje, wszystko dlatego, że się ich boi.

Poza tym był to lekarz z pogotowia i nic nie wie o sprawcach przestępstw i ich ofiarach.

– Uważał, że sama to sobie zrobiłam – odpowiada gniewnie Henri. – I myślał, że nie słyszałam, co mówił do pielęgniarki.

Benton kontroluje swoje reakcje. Henri właśnie przekazała mu nowe informacje. Trzeba tylko mieć nadzieję, że prawdziwe.

– Powtórz mi, co mówi: do pielęgniarki, to bardzo interesujące.

– Powinnam podać do sądu tego dupka – dodaje dziewczyna.

Benton czeka, sącząc kawę.

– Może go podam do sądu – ciągnie Henri ze złością. – Myślał, że nic nie słyszałam, ponieważ miałam zamknięte oczy, jak wszedł do pokoju. Leżałam w półśnie, a pielęgniarka stała w drzwiach, a potem zjawił się on. Więc udawałam, że mnie tam nie ma.

– Udawałaś, że śpisz – mówi Benton.

Henri potakuje.

– Umiesz grać. Byłaś zawodową aktorką.

– Dalej jestem. Nie przestaje się być aktorem. Po prostu teraz nie gram, ponieważ mam inne sprawy.

– Zawsze byłaś niezłą aktorką, jak sądzę.

– Aha.

– Niezła w udawaniu. Zawsze umiałaś dobrze udawać. – Robi krótką pauzę. – Często udajesz, Henri?

Jej wzrok jest surowy.

– Udawałam w szpitalu, bo chciałam podsłuchać lekarza. Słyszałam każde słowo. Powiedział: „Gwałt jest najlepszy, jeśli kobieta jest na kogoś wściekła. Kolosalne odszkodowanie”. I roześmiał się.

– Nie dziwię się, że chciałabyś go podać do sądu. To było jeszcze w gabinecie zabiegowym?

– Nie. W moim pokoju. Później tego samego dnia, kiedy przewieźli mnie na oddział po tych wszystkich badaniach. Nie pamiętam, które to było piętro.

– To jeszcze gorzej – mówi Benton. – On w ogóle nie powinien był przychodzić do twojego pokoju. Jest lekarzem pogotowia i nie pracuje na żadnym z oddziałów. Zatrzymał się z ciekawości, a to nie w porządku.

– Podam go do sądu. Nienawidzę go. – Pociera znów palec.

Złamany paluch i siniaki na dłoniach zmieniły już kolor na nikotynową żółć. – Robił jakieś aluzje do DH. Nie wiem, co to jest, ale na pewno mnie

obrażał, naśmiewał się ze mnie.

To znów nowa informacja, więc Benton czuje, jak wraca nadzieja, że z czasem, jeśli poczeka cierpliwie, Henri przypomni sobie więcej i będzie bardziej prawdziwa.

– DH to ktoś, kto nadużywa leków przeciwalergicznych, przeciwgrypowych i syropów na kaszel, zawierających opiaty. To niestety popularne wśród nastolatków.

– Co za dupek – mruczy dziewczyna, szarpiąc dół szlafroka. – Nie mógłbyś narobić mu kłopotów?

– Henri, czy masz pojęcie, dlaczego on wspominał o gwałcie?

– Nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby tak było.

– Pamiętasz pielęgniarkę sądową? Powoli potrząsa głową. – Nie.

– Zawieźli cię do gabinetu koło oddziału ratunkowego i tam cię badali, aby pozyskać dowody rzeczowe. Wiesz, co to znaczy, prawda? Kiedy znudziło ci się aktorstwo, byłaś policjantką – zanim Lucy spotkała cię w Los Angeles tej jesieni, raptem kilka miesięcy temu, i zatrudniła. Więc wiesz wszystko o tamponach, zbieraniu włosów i włókien i tak dalej.

– Nie znudziło mi się. Potrzebowałam po prostu chwili wytchnienia, chciałam robić coś innego.

– W porządku. Ale pamiętasz środki służące do pozyskiwania dowodów?

Potakuje.

– A pielęgniarkę? Słyszałem, że była podobno bardzo miła. Ma na imię Brenda. Badała cię na okoliczność przestępstwa seksualnego. Ten pokój służy również do przesłuchań dzieci, więc jest pełen pluszaków. Na ścianie tapeta z Kubusiem Puchatkiem: niedźwiadki, słoiczki z miodem, drzewa. Brenda nie nosiła fartucha pielęgniarki. Miała na sobie jasnoniebieską garsonkę.

– Nie było cię tam.

– Opowiedziała mi przez telefon.

Henri gapi się na swoje bose stopy, oparte na poduszce fotela.

– Pytałeś, w co była ubrana?

– Ma jasnobrązowe oczy i krótkie czarne włosy. – Benton stara się wydobyć na powierzchnię to, co Henri w sobie tłumi lub udaje, że tłumi, a nadszedł czas na rozmowę o dowodach. – Nie było śladów spermy, Henri. Żadnych śladów gwałtu. Ale Brenda znalazła włókna przyklejone do twojej skóry. Tak jakbyś była wysmarowana jakimś balsamem do ciała. Pamiętasz, czy używałaś rano balsamu do ciała?

– Nie pamiętam – odpowiada cicho. – Ale to nie jest wykluczone.

– Zdaniem Brendy miałaś czymś natłuszczoną skórę – ciągnie Benton. – Wyczuła jakiś zapach. Ładny zapach, jak perfumowanego balsamu.

– On mnie tym nie wysmarował.

– On?

– To musiał być on. Nie sądzisz, że to facet? – mówi głosem pełnym sztucznej nadziei, jak głosy ludzi, którzy usiłują oszukać siebie lub innych. – To nie mogła być ona. Kobieta. Kobiety nie robią takich rzeczy.

– Kobiety robią różne rzeczy. Jeszcze nie wiemy, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Na materacu w sypialni znaleziono kilka włosów, czarnych, kręconych. Długości dwunastu i piętnastu centymetrów.

– Będziemy wiedzieć niedługo, prawda? Z włosów mogą wydobyć DNA i stwierdzić, że to nie kobieta.

– Obawiam się, że nie. Te testy DNA nie mogą określić płci. Być może rasę, ale nie płeć. A nawet ustalenie rasy potrwa co najmniej miesiąc. A więc sądzisz, że mogłaś sama natrzeć się balsamem?

– Nie. Ale to nie on. Nie pozwoliłabym mu na to. Walczyłabym, gdybym tylko miała szansę. On pewnie tego chciał.

– Więc nie natarłaś się sama?

– Powiedziałałam, że to nie on i nie ja, i to wystarczy. To nie twoja sprawa.

Benton rozumie. Balsam nie ma nic wspólnego z napadem, o ile Henri mówi prawdę. W jego myślach pojawia się Lucy – żal mu jej i jednocześnie jest na nią zły.

– Powiedz mi wszystko – prosi Henri. – Opowiedz, co się ze mną stało. Powiedz, co się stało, a ja będę potwierdzać lub zaprzeczać. – Uśmiecha się leciutko.

– Lucy przyszła do domu – zaczyna Benton. To stara informacja, ale on nie chce jej ujawnić zbyt szybko zbyt wiele. – Było kilka minut po południu, a kiedy otworzyła frontowe drzwi, zorientowała się natychmiast, że alarm nie jest włączony. Zawołała cię, ale nie odpowiedziałas, a ona usłyszała stuknięcie tylnych drzwi wychodzących na basen, więc pobiegła w tamtą stronę. Gdy wpadła do kuchni, zobaczyła, że drzwi prowadzące do basenu i na plażę są otwarte.

Henri wpatruje się w coś przez okno, poza Bentonem.

– Szkoda, że go nie zabiła.

– Nie widziała tej osoby. Możliwe, że ów ktoś usłyszał jej czarne ferrari na podjeździe i uciekł...

– Był w moim pokoju, więc musiał zejść po tych wszystkich schodach – przerywa mu Henri, wciąż gapiąc się przed siebie szeroko otwartymi oczami, a coś podpowiada Bentonowi, że tym razem ona mówi prawdę.

– Lucy nie wprowadziła samochodu do garażu, ponieważ zatrzymała się tylko, żeby sprawdzić jak się czujesz. Więc była szybko przy drzwiach frontowych, weszła do środka, a on wybiegł przez tylne wyjście. Nie ściagała go. Nawet go nie widziała. Lucy zajęła się tobą, a nie tym, kto wtargnął do domu.

- Nie zgadzam się – mówi Henri niemalże radosnym tonem.
- Dlaczego?
- Nie przyjechała czarnym ferrari. Stało w garażu. Wróciła błękitnym ferrari. To ono zatrzymało się na podjeździe.
- Kolejne nowe informacje. Benton zachowuje spokój i luz.
- Leżałaś chora w łóżku, Henri. Jesteś pewna, że wiesz, który samochód wzięła tego dnia Lucy?
- Zawsze wiedziałam. Nie pojechała czarnym ferrari, bo było uszkodzone.
- Opowiedz mi o tym uszkodzeniu.
- To się stało na parkingu – mówi Henri, przyglądając się znów potłuczonemu paluchowi. – Wiesz, pod tą siłownią na Atlantic, trochę dalej w stronę Coral Springs. Jeździmy tam czasem poćwiczyć.
- Możesz opowiedzieć, co się stało? – pyta Benton spokojnie, nie dając po sobie poznać, jak ciekawia go te rewelacje. To nowe i ważne wiadomości, a on czuje, do czego prowadzą. – Czarne ferrari zostało uszkodzone, gdy byłaś na siłowni? – Nie może powstrzymać się od próby wyciągnięcia z niej prawdy.
- Nie powiedziałam, że byłam na siłowni – rzuca Henri, a jej wrogość potwierdza jego podejrzenia.
- Wzięła czarne ferrari Lucy najwyraźniej bez jej pozwolenia, i pojechała na siłownię. Nikomu nie wolno jeździć czarnym ferrari, nawet Rudy’emu.
- Opowiedz mi o uszkodzeniu.
- Ktoś je podrapał, jakby kluczykiem, coś w tym stylu. Wydrapał jakiś obrazek. – Henri wpatruje się w swoje stopy, drapiąc się w żółtawy paluch.
- Co było na obrazku?
- Potem już nim nie jeździła. Nie jeździ się porysowanym ferrari.
- Lucy pewnie była zła.

– To się da naprawić. Wszystko da się naprawić. Gdyby ona go zabiła, nie musiałabym tu siedzieć. A teraz przez całe życie będę się martwić, że on mnie znów znajdzie.

– Robię, co mogę, żebyś nie musiała się tym więcej martwić, Henri. Ale musisz mi pomóc.

– Mogę sobie nigdy nie przypomnieć. – Podnosi na niego wzrok. – Nic na to nie poradzę.

– Lucy wbiegła po schodach do głównej sypialni. Tam byłaś – mówi Benton, przyglądając się jej uważnie, aby się upewnić, że Henri wytrzyma to, co zamierza powiedzieć, mimo że słyszała wszystko już wcześniej. Przez cały czas lękał się, że dziewczyna nie gra, że nic z tego, co mówi i robi, nie jest udawaniem. A co, jeśli to prawda? Mogła zerwać kontakt z rzeczywistością, stać się psychiczna, nastąpił kompletny rozpad osobowości. Henri słucha, lecz jej zainteresowanie nie jest normalne. – Kiedy Lucy cię znalazła, byłaś nieprzytomna, ale oddychałaś i miałaś normalny puls.

– Nie miałam nic na sobie. – Nie przeszkadza jej ten szczegół. Lubi przypominać mu swoje nagie ciało.

– Sypiasz nago?

– Lubię.

– Pamiętasz, czy zdjęłaś piżamę, zanim położyłaś się tego dnia z powrotem do łóżka?

– Zapewne.

– A więc to nie on? Napastnik cię nie rozebrał? Zakładając, że to mężczyzna.

– Nie potrzebował. Ale jestem pewna, że by to zrobił.

– Lucy mówi, że kiedy widziała cię ostatni raz, koło ósmej rano, miałaś na sobie czerwoną satynową piżamę i brązowy frotowy szlafrok.

– Zgadza się. Chciałam wyjść na zewnątrz. Siedziałam w słońcu na leżaku przy basenie.

Kolejne informacje.

– O której to było?

– Chyba zaraz po tym, jak Lucy wyszła i odjechała błękitnym ferrari. Nie, nie zaraz po tym – poprawia się beznamiętnym tonem, wpatrując się w pokryte śniegiem, rozświetlone słońcem szczyty. – Byłam na nią zła.

Benton wstaje powoli i dokłada nieco drewna do ognia. Iskry wzlatują w kominie, a płomienie łapczywie wsysają się w suche gałęzie sosnowe.

– Zraniła twoje uczucia – mówi, zasuważąc z powrotem kratę.

– Lucy nie jest szczególnie miła dla chorych – odpowiada Henri. Jest bardziej uważna, bardziej napięta. – Nie miała ochoty mnie pielęgnować.

– A co z tym balsamem? – pyta Benton, choć wie już, co z balsamem, jest tego pewny, ale lepiej będzie zyskać potwierdzenie.

– Wielkie mi co. To przecież przysługa, nie? Wiesz, ile osób miałoby na to ochotę? Pozwoliłam jej na to w ramach przysługi. Ale ona robi tylko to, co chce, a potem robi się znudzona zajmowaniem się mną. Bolała mnie głowa i kłóciłyśmy się.

– Jak długo siedziałaś przy basenie? – Benton stara się nie myśleć o Lucy, nie zastanawiać się, co jej strzeliło do głowy, gdy spotkała Henri Walden, a jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, jak fascynujący i czarujący potrafią być socjopaci – nawet dla ludzi, którzy nieźle ich znają.

– Niedługo. Źle się czułam.

– Kwadrans? Pół godziny?

– Może pół godziny.

– Widziałaś jakichś ludzi? Jakies łodzie?

– Nie zauważyłam. Więc może nie było nikogo. Co zrobiła Lucy, gdy znalazła mnie w pokoju?

– Zadzwoiła na policję, sprawdziła, czy żyjesz, po czym czekała na pogotowie – mówi Benton i postanawia dodać jeszcze jeden szczegół. Ryzykowny. – I zrobiła zdjęcia.

– Miała przy sobie broń?

– Tak.

– Szkoda, że go nie zabiła.

– Uparcie mówisz „on”.

– I zrobiła zdjęcia? Mnie?

– Byłaś nieprzytomna, ale twój stan był stabilny. Zrobiła zdjęcia, zanim cię zabrali.

– Dlatego że wyglądałam na ofiarę napadu?

– Dlatego, że leżałaś w nietypowej pozycji, Henri. Mniej więcej w takiej. – Wyciąga ręce nad głowę i trzyma je w górze. – Twarzą do pościeli, z rękami wyciągniętymi przed siebie, dłońmi w dół. Krwawiłaś z nosa, byłaś potłuczona, zresztą wiesz o tym. Prawy paluch miałaś złamany, ale to okazało się później. Chyba nie pamiętasz, jak doszło do złamania.

– Mogłam się potknąć, schodząc na dół.

– Pamiętasz to? – pyta Benton, ponieważ wcześniej nie przypominała sobie nic na temat palucha. – Kiedy to się mogło zdarzyć?

– Jak wychodziłam nad basen. Tam są kamienne schodki. Pamiętam, że opuściłam jeden czy coś, wszystko przez te lekarstwa, gorączkę i tak dalej. Pamiętam, że płakałam. Tak. pamiętam. Bo to bolało, naprawdę bolało, i nawet chciałam zadzwonić do Lucy, ale pomyślałam, po co? Ona nie lubi, jak jestem chora albo coś mnie boli.

– Złamałaś paluch, schodząc do basenu, i pomyślałaś, żeby zadzwonić do Lucy, ale nie zadzwoniłaś. – Benton musi mieć jasność.

– Zgadza się – odpowiada Henri uszczypliwie. – Gdzie były moja piżama i szlafrok?

– Złożone elegancko na krzesle koło łóżka. To ty je poskładałaś i położyłaś?

– Zapewne. Byłam przykryta?

Benton wie, dokąd Henri teraz zmierza, ale musi powiedzieć jej prawdę.

– Nie – odpowiada. – Przykrycie było ściągnięte w nogach łóżka, zwisało z materaca.

– Nie miałam nic na sobie, a ona robiła zdjęcia – mówi Henri całkowicie beznamiętnie, wpatrując się w Bentona pozbawionymi wyrazu oczami.

– Tak.

– To pasuje. Ona właśnie tak by zrobiła. Policjantka w każdym calu.

– Ty też jesteś policjantką, Henri. Co ty byś zrobiła?

– To do niej pasuje – odpowiada dziewczyna.

Gdzie jesteś? – pyta Marino, widząc na wyświetlaczu wibrującej komórki numer Lucy. – Podaj swoje zamiary. Zawsze ją pyta, gdzie jest, nawet jeśli odpowiedź jest nieistotna. Marino spędził całe dorosłe życie w policji, a zamiary są tym detalem, którego dobry gliniarz nigdy nie powinien pomijać. Co za pożytek z radia i wołania o pomoc, kiedy nie zna się swoich zamiarów? Detektyw uważa się za mentora Lucy i nie pozwala jej o tym zapomnieć, nawet jeśli zapomniała już o tym lata temu.

– Atlantic. – Głos Lucy rozlega się w jego prawym uchu. – Jadę samochodem.

– Żartujesz, Sherlocku. Słyszę cię, jakbyś była w jakiejś cholernej śmieciarce. – Marino nigdy nie daruje sobie kpiny z jej samochodów.

– Zazdrość nie jest pociągająca.

Detektyw odchodzi na kilka kroków od automatu z kawą, rozgląda się dookoła, a nie widząc nikogo, uznaje, że rozmowa nie będzie podsłuchiwana.

– Słuchaj, tu nie będzie najlepiej – mówi, zaglądając przez małe okienko w zamkniętych drzwiach do biblioteki, by sprawdzić, czy nie ma kogoś w środku. Nie ma nikogo. – Ten lokal rozpada się w oczach. – Mówi do małej komórki, przesuwając ją od ucha do ust, w zależności od tego, czy mówi, czy słucha. – Składam ci tylko raport.

– Nie składasz mi tylko raportu – odpowiada Lucy po krótkiej pauzie. – Czego ode mnie chcesz?

– Cholera. Ale głośne to auto. – Robi kilka kroków, rozglądając się spod bejsbolówki policji Los Angeles, którą Lucy podarowała mu w ramach żartu.

– Okej, udało ci się mnie zaniepokoić – mówi Lucy przez jazgot silnika ferrari. – Powinnam była się domyślić, że jeśli mówisz, że to nic wielkiego, to strzelisz czymś ważnym. A niech to. Ostrzegałam cię, ostrzegałam was oboje, żebyście tam nie wracali.

– Chodzi o coś więcej niż o martwą dziewczynkę – wyjaśnia cicho Marino. – Właśnie o tym chciałem mówić. To nie o to chodzi, a w każdym razie nie do końca. Nie twierdzę, że ona nie jest głównym problemem. Na pewno jest. Ale tu się dzieje coś jeszcze. Nasz wspólny przyjaciel – chodzi mu o Bentona – wyartykuował to jasno i bez ogródek. A ty ją znasz. – Tym razem mówi o doktor Scarpetcie. – Wpakuje się w sam środek szamba.

– Coś jeszcze się dzieje? Co konkretnie? Daj mi jakiś przykład. – Ton Lucy się zmienia.

Kiedy mówi serio, jej głos staje się powolny i napięty. Jak klej, myśli Marino. Jeśli problem jest tu, w Richmondzie, to rzeczywiście utknął. Lucy przyczepi się do niego jak klej.

– Pozwól, że coś ci powiem, szefowo – kontynuuje. – Jednym z powodów, dla których jeszcze chodzę po tym świecie, jest mój instynkt.

Zwraca się do niej per szefowo, tak jakby nie miał nic przeciwko temu, że Lucy jest jego szefową, choć oczywiście ma, i to dużo, zwłaszcza kiedy jego niezastąpiony instynkt podpowiada mu, że właśnie zarabia na naganę.

– A mój instynkt wrzeszczy w tej chwili o krwawym mordzie, szefowo – mówi dalej, wiedząc doskonale, że Lucy i jej ciotka, Kay Scarpetta, dostrzegają jego niepewność zawsze wtedy, gdy zgrywa macho, popisuje

się instynktem i nazywa kobiety przy władzy Sherlockami, szefowymi lub określa innymi mniej wybrednymi epitetami. Ale nie umie się powstrzymać, więc oczywiście pogarsza sprawę. – I dodałbym jeszcze – ciągnie – że nienawidzę tego cuchnącego miasta. Niech to diabli, nienawidzę tego cuchnącego miejsca. Wiesz, co jest nie w porządku z tym cholernym miejscem? Nie mają tu za grosz szacunku, ot co.

– Nawet nie powiem „a nie mówiłam?” – odzywa się Lucy. Jej głos bardzo szybko staje się kleisty. – Chcesz, żebyśmy przyjechali?

– Nie – odpowiada Marino. Czuje ukłucie złości na myśl, że nie może zwierzyć się Lucy ze swoich podejrzeń tak, żeby nie sądziła, że potrzebuje jej pomocy. – Na razie tylko składam raport, szefowo – mówi, żałując, że w ogóle do niej zadzwonił i o czymkolwiek opowiadał. Telefon do niej był błędem, myśli. Ale gdyby Lucy się dowiedziała, że jej ciotka ma kłopoty, a on by nie pisał ani słowa, to dopiero dostałby za swoje.

Gdy spotkali się pierwszy raz, miała zaledwie dziesięć lat. Dziesięć. Pucata smarkula w okularach i z upierdliwym charakterem. Znienawidzili się nawzajem, po czym wszystko się zmieniło i Marino stał się dla niej uwielbianym bohaterem, potem zostali przyjaciółmi, a jeszcze później wszystko znów się zmieniło. Gdzieś po drodze powinien był powiedzieć stop postępowi, wszystkim tym zmianom, ponieważ mniej więcej dziesięć lat temu wszystko było zupełnie w porządku, uczył ją prowadzić ciężarówkę i jeździć na motorze, strzelać i pić piwo, a także rozpoznawać, czy ktoś kłamie – uczył ją tych wszystkich ważnych życiowych spraw. Wtedy jeszcze jej się nie bał. Może strach to nie najwłaściwsze słowo na opisanie tego, co czuje Marino, ale to ona ma władzę, a nie on, i przez długi czas po skończeniu rozmowy telefonicznej jest na siebie zły. Lucy może sobie robić, co chce, ale to ona ma kasę i może rozstawiać ludzi po kątach, a on nie. Nawet w czasach, gdy był policjantem, nie potrafił roztaczać takiej

aury władzy jak ona. Ale przecież jej się nie boi, powtarza sobie. Cholera, nie.

– Przyjedziemy, jeśli będzie trzeba – mówi Lucy w słuchawce telefonu.

– Ale teraz nie jest najlepszy moment. Mam tu pewną sprawę i to nie najlepszy moment.

– Powiedziałem, że nie ma potrzeby, żebyście przyjeżdżali – odpowiada ponuro detektyw, a jego ponure nastroje zawsze miały magiczną moc sprawiania, żeby ludzie martwili się bardziej o niego niż o siebie samych i własne samopoczucie. – Mówię ci tylko, co się dzieje, i tyle. Nie potrzebuję cię. Nie masz tu nic do roboty.

– To dobrze – odpowiada Lucy. Ponury ton nie działa na nią od dawna, ale Marino zawsze o tym zapomina. – Muszę już jechać.

Lucy dotyka palcem wskazującym lewej ręki przełącznika i silnik wyje, dostając kopa o tysiąc obrotów w górę, gdy zwalnia. Wykrywacz ćwierka miarowo, a na tablicy zapala się czerwone ostrzegawcze światełko, informując o znajdującym się gdzieś przed nimi radarze policyjnym.

– Nie szaleję – mówi Lucy do Rudy’ego Musila, który siedzi obok niej na miejscu pasażera, w pobliżu gaśnicy, i patrzy na szybkościomierz. – Tylko trochę przekraczam ograniczenie prędkości.

– Nic nie powiedziałem – odpowiada Musil, zerkając w boczne lusterko.

– Zobaczmy, czy miałam rację. – Utrzymuje samochód na trzecim biegu, z prędkością nieco powyżej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. – Na następnym skrzyżowaniu samochód policyjny już czatuje na takich kretynów, którzy nie mogą się doczekać, kiedy będą na plaży i zaczną grzać tyłki.

– O co chodzi Pete’owi Marino? Niech no zgadnę – mówi Rudy – mam pakować walizkę?

Oboje cały czas się rozglądają, sprawdzają w lusterkach, rejestrując w myślach mijane samochody, każdą palmę, pieszego i budynek na tym płaskim kawałku drogi. Na Atlantic Boulevard w Pompano Beach, nieco na północ od Fort Lauderdale, ruch jest o tej porze umiarkowany i dość kulturalny.

– Aha – rzuca z satysfakcją Lucy. – Mówiłam. – Obojętnie patrzy przed siebie przez ciemne okulary, gdy mijają granatowego forda LTD, który właśnie skręcił w prawo z Powerline Road, skrzyżowania z apteką Eckerda i tanim sklepem mięsnym. Nieoznakowany samochód jedzie teraz za nimi lewym pasem.

– Zainteresowałaś go – zauważa Rudy.

– Nie płacą mu za ciekawość – odpowiada Lucy ze złością, ponieważ nieoznakowany ford nie zostawia jej w spokoju. Lucy wie, że gliniarz w aucie tylko czeka, aż ona zrobi coś, co da mu powód do zapalenia koguta i sprawdzenia samochodu wraz z młodymi pasażerami.

– Tylko popatrz: inni wymijają mnie na prawym pasie, a ten koleś ma nieważną nalepkę rejestracyjną. – Wskazuje na jeden z samochodów.

– Ale ten glina uparł się na mnie.

Przestaje zerkać co chwilę we wsteczne lusterko i ma nadzieję, że humor Rudy'ego w końcu się poprawi. Odkąd otworzyła oddział w Los Angeles, jej partner jest nie w sosie. Nie wie jakim cudem, ale najwyraźniej przeceniła jego ambicje i potrzeby życiowe. Zakładała, że Rudy zakocha się we wspaniałym widoku z Wilshire Boulevard, bo w pogodne dni widać stamtąd wyspę Catalina. Myliła się, okrutnie się myliła – nigdy aż tak się nie pomyliła co do niego.

Z południa nadciąga front: niebo pokryte jest warstwami chmur wahającymi się między gęstym dymem a słoneczną perłową szarością. Chłodne powietrze wypiera deszcz, który lał już dziś kilka razy, pozostawiając po sobie kałuże, ochlapujące teraz niskie zawieszenie samochodu Lucy. Tuż przed nimi stado wędrownych mew podrywa się z jezdni, lecąc nisko i chaotycznie. Lucy jedzie przed siebie, a nieoznakowany samochód wciąż jest za nią.

– Marino nie miał dużo do powiedzenia – odpowiada na postawione przed chwilą przez Rudy’ego pytanie. – Tyle tylko, że coś się dzieje w Richmondzie. Moja ciotka jak zwykle pakuje się w jakieś szambo.

– Słyszałem, że zaoferowałaś nasze usługi. Myślałem, że chodzi tylko o jakąś ekspertyzę. Co się naprawdę dzieje?

– Chyba na razie nie musimy nic robić. Zobaczymy. Chodzi o to, że obecny szef, nie pamiętam, jak się nazywa, poprosił ją o pomoc w sprawie jakiegoś dziecka, dziewczyny, która nagle umarła i nie potrafią sami ustalić dlaczego. Znaczą się, jego biuro nie potrafi – i dlaczego mnie to nie dziwi! Facet jest tam ledwie od czterech miesięcy, a już umywa ręce od pierwszego poważniejszego przypadku i wzywa na pomoc ciotkę Kay. „Hej, może byś wdepnęła w to gówno, bo ja nie mam ochoty, okej?”. Mówiłam jej, żeby trzymała się od tego z daleka, no i już wyłażą nowe kłopoty. Wielka niespodzianka. Nie rozumiem. Mówiłam jej, żeby nie wracała do Richmondu, ale ona nigdy mnie nie słucha.

– Słucha cię mniej więcej tak samo, jak ty jej.

– Wiesz co, Rudy? Nie podoba mi się ten gość. – Lucy znów spogląda we wsteczne lusterko na nieoznakowanego forda.

Tamten ciągle siedzi jej na zderzaku. Kierowcą jest ktoś ciemnoskóry, chyba mężczyzna, ale Lucy nie może tego stwierdzić, a nie zamierza wyjść na zainteresowaną nim, a nawet świadomą jego obecności, gdy nagle coś przychodzi jej do głowy.

– Cholera, ale ze mnie idiotka! – mówi z niedowierzaniem. – Przecież mój radar nie zareagował. Co ja sobie myślałam? Nie pisnął, odkąd ten samochód się do nas przyczepił. To nie jest policyjny wóz z radarem. Nie może być. A mimo to nas śledzi.

– Spokojnie – odpowiada Rudy. – Jedź przed siebie i nie przejmuj się nim. Zobaczymy, co zrobi. Może to po prostu jakiś koleś zafascynowany

twoją bryką. To jest cena za rozbijanie się takimi autami. Powtarzam ci to w kółko i w kółko. Cholera.

Rudy nie zwykł jej pouczać. Kiedy spotkali się przed laty w Akademii FBI, zostali kumplami, potem partnerami, następnie przyjaciółmi. Na koniec on uznał, że tak bardzo szanuje ją zawodowo i prywatnie, że odszedł z policji federalnej zaraz po Lucy i zaczął pracować u niej w firmie, którą z braku lepszych określeń na to, co robią Ostatni Posterunek i jego pracownicy, można uznać za międzynarodową prywatną agencję śledczą. Nawet część ludzi zatrudnionych przez OP nie ma pojęcia, czym zajmuje się biuro, nigdy też nie spotkali jego założycielki i właścicielki, Lucy. Niektórzy pracownicy nigdy nie spotkali też Rudy'ego, a jeśli spotkali, to nie mają pojęcia, kim jest i co robi.

– Sprawdź rejestrację – mówi Lucy.

Rudy wyciąga palmtop, loguje się, ale nie może wprowadzić numeru rejestracyjnego, ponieważ go nie widzi. Samochód nie ma z przodu tablicy rejestracyjnej, więc Lucy robi się głupio, że kazała mu sprawdzić niewidoczny numer.

– Przepuść go przed siebie – mówi Rudy. – Nie odczytam numeru, dopóki nas nie wyprzedzi.

Lucy dotyka lewego przycisku i przechodzi na dwójkę. Teraz jedzie siedem kilometrów poniżej ograniczenia prędkości, ale tamten kierowca pozostaje za nimi. Najwyraźniej nie zamierza jej wyprzedzać.

– Okej, zaczynamy zabawę – mruczy Lucy. – Tropisz niewłaściwą zwierzynę, dupku.

Niespodziewanie skręca ostro w prawo na parking supermarketu.

– Cholera, co cię... Teraz będzie wiedział, że z nim zadzierasza – mówi Rudy ze złością.

– Odczytaj rejestrację. Już powinieneś ją zobaczyć.

Rudy obraca się na siedzeniu, ale nie może odczytać numeru, ponieważ granatowy ford LTD też zjechał na parking i nadal wlecze się za nimi.

– Stań! – rzuca Rudy do Lucy. Nie podoba mu się to, co ona robi, całkiem mu się nie podoba. – Zatrzymaj natychmiast samochód.

Lucy naciska na hamulec i przechodzi na luz, a ford zatrzymuje się tuż za nią. Rudy wysiada i podchodzi do samochodu, w którym otwiera się szyba po stronie kierowcy. Lucy ma otwarte okno, pistolet trzyma na kolanach i przygląda się sytuacji przez boczne lusterko, starając się odegnąć przecucia. Czuje się głupio, poza tym jest zakłopotana, zła i nieco przestraszona.

– Jakiś problem? – Słyszy, jak Rudy odzywa się do kierowcy, najwyraźniej młodego Latynosa.

– Ja i problem? Tylko sobie patrzyłem.

– A może nam się nie podoba, że patrzysz?

– To wolny kraj. Mogę sobie, kurwa, patrzeć. Jeśli ty masz problem, to spierdalaj!

– Spadaj patrzeć gdzie indziej. I już cię nie ma. – Rudy nie podnosi nawet głosu. – Będziesz nas dalej śledził, to wylądujesz w pudle, cholerny gówniarzu.

Lucy ma nieodpartą ochotę wybuchnąć śmiechem, gdy Rudy macha chłopakowi przed nosem fałszywą legitymacją. Jest spocona, serce wali jej mocno, ale mimo to chce jej się śmiać, miałaby ochotę wysiąść z samochodu i zabić tego młodego Latynosa, a jednocześnie chce jej się płakać, a ponieważ nijak nie rozumie swoich uczuć, siedzi bez ruchu za kierownicą ferrari. Kierowca mówi jeszcze coś, co do niej nie dociera, po czym odjeżdża ze złością i piskiem opon. Rudy wraca do wozu i wsiada.

– Wielkie mi co – mówi, gdy włączają się z powrotem w ruch na Atlantic. – Jakiś gówniarz zainteresowany twoją bryką, a ty zaraz robisz z

tego międzynarodową aferę. Najpierw uważasz, że śledzą cię gliny, ponieważ samochód to czarny crown vic. Potem zauważasz, że twój radar niczego nie wykrył, więc myślisz sobie... co właściwie sobie myślisz? Co ty sobie myślałaś? Mafia? Egzekutor, który zastrzeli nas na środku ruchliwej ulicy?

Lucy nie ma pretensji do Rudy'ego, że puściły mu nerwy, ale nie może sobie na to pozwolić.

– Nie krzycz na mnie – mówi.

– Wiesz, w czym rzecz? Tracisz kontrolę. Stajesz się niebezpieczna.

– Tu chodzi o coś innego. – Lucy stara się, żeby jej głos brzmiał pewnie.

– Oczywiście, że tak – odparowuje Rudy. – Chodzi o nią. Pozwalasz komuś mieszkać w swoim domu i widzisz, co się dzieje. Mogłabyś nie żyć. Ona w każdym razie powinna nie żyć. A stanie się coś jeszcze gorszego, jeśli się nie pozbierasz.

– Ktoś ją śledził, Rudy. Nie obwiniaj mnie za to. To nie moja wina.

– Śledził, oczywiście, że tak. To jasne, że ktoś ją śledził, i równie jasna jest twoja w tym wina. Gdybyś jeździła jakimś dżipem... albo choćby hummerem. Mamy przecież służbowe hummery. Czemu od czasu do czasu nie pojeździsz czymś takim? Gdybyś chociaż nie pozwoliła jej prowadzić tego cholernego ferrari. Chcesz szpanować, Miss Hollywood. Jezu. Twoje cholerne ferrari!

– Nie bądź zazdrosny. Nienawidzę...

– Nie jestem zazdrosny! – krzyczy Rudy.

– Zachowujesz się, jakbyś był, odkąd ją zatrudniliśmy.

– Nie chodzi o jej zatrudnienie! Zatrudniłaś ją do czego? Miała ochraniać naszych klientów w Los Angeles? Niezły żart! W takim razie do czego ją zatrudniłaś? Po co?

– Nie mów do mnie takim tonem – odzywa się do niego cicho Lucy. Jest niespodziewanie spokojna, ale nie ma wyboru. Jeśli mu odwarknie, to naprawdę się pokłóca, a wtedy on może zrobić coś okropnego. Na przykład odejść. – Nie dam się wytrącić z mojego stylu życia. Będę jeździć tym, czym chcę, i mieszkać tam, gdzie mam ochotę. – Patrzy prosto przed siebie, na jezdnię, na samochody skręcające w boczne ulice i na parkingi. – I będę hojna, dla kogo będę chciała. Nie pozwoliłam jej jeździć moim czarnym ferrari, dobrze o tym wiesz. Ale i tak je wzięła i od tego się zaczęło. On ją zobaczył, śledził i widzisz, co się stało. To nie jest niczyja wina. Nawet jej. Nie prosiła go o podrapanie samochodu, śledzenie jej i próbę zabójstwa.

– Doskonale. Możesz sobie żyć po swojemu. I będziemy ciągle zjeżdżać na parkingi, a następnym razem być może pobiję jakiegoś Bogu ducha winnego nieznajomego, który miał ochotę popodziwiać twoje auto. Kurczę, może nawet kogoś zastrzelę. Albo dam się zastrzelić. To byłoby jeszcze lepsze, nie? Dać się zastrzelić za durny samochód.

– Uspokój się – mówi Lucy, stając na czerwonym świetle. – Proszę, uspokój się. Mogłam lepiej to rozegrać, przyznaję.

– Rozegrać? Nie zauważyłem w tym elementów rozgrywki. Zareagowałaś jak idiotka.

– Rudy, przestań, proszę. – Nie chce się na niego tak zezłościć, żeby popełnić jakiś błąd. – Nie mów do mnie takim tonem. Po prostu nic nie mów. Nie zmuszaj mnie do przypomnienia, że jestem szefową.

Lucy skręca w Al A i jedzie powoli wzdłuż plaży, a kilku nastolatków o mało co nie spada z rowerów na widok jej samochodu. Rudy potrząsa głową i wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć, że składa broń. Ale rozmowa o ferrari dawno przestała być rozmową o luksusowym aucie. Dla Lucy zmiana trybu życia oznaczałaby zwycięstwo jego – *myśli bowiem o napastniku jako o mężczyźnie*. Henri nazwała go bestią, ale to bestia rodzaju

męskiego, Lucy święcie w to wierzy. Nie ma żadnych wątpliwości. Do cholery z nauką, do cholery z dowodami, do cholery ze wszystkim. Ona doskonale wie, że bestia jest mężczyzną.

To albo pewna siebie bestia, albo głupia bestia, ponieważ ten ktoś zostawił dwa częściowe odciski palców na szkle stolika nocnego. Był na tyle głupi lub nierozważny, żeby zostawić ślady palców, a może po prostu o to nie dbał. Dotychczas nie udało się zidentyfikować tych odcisków w żadnej bazie danych, więc może jego łapy w żadnej nie figurują, ponieważ nigdy nie był aresztowany ani też nie zdjęto mu odcisków palców w jakimkolwiek innym celu. Może nie dbał o to, że zostawił na łóżku trzy włosy, trzy czarne włosy z głowy – ale dlaczego miałyby się tym przejmować? Nawet jeśli sprawa jest pilna, badanie mitochondrialnego DNA może potrwać miesiąc albo i trzy miesiące. W dodatku nie ma pewności, że wyniki będą coś warte, ponieważ nie istnieje coś takiego jak scentralizowana i statystycznie reprezentacyjna baza danych mitochondrialnego DNA, a w przeciwieństwie do DNA jądrowego z krwi i tkanek, mitochondrialny DNA z włosów czy kości nie może wykazać płci sprawcy. Zatem dowody pozostawione przez bestię są bezwartościowe. I takie pozostaną, chyba że stanie się on podejrzanym i można będzie przeprowadzić bezpośrednie porównanie.

– Okej. Jestem roztrzęsiona. Nie jestem sobą. Pozwalam temu draniowi zapanować nade mną – przyznaje Lucy, koncentrując się na jeździe, zaniepokojona, że może istotnie traci kontrolę, może Rudy ma rację. – To, co tam zrobiłam, nie powinno było się zdarzyć. Nigdy. Jestem zbyt ostrożna na takie idiotyzmy.

– Ty jesteś. Ale ona nie. – Rudy wysunął szczękę, co oznacza upór. Jego oczy ukrywają się pod przeciwsłonecznymi okularami bez filtra

polaryzacyjnego, za to z lustrzanymi powłokami. Rudy odmawia spojrzenia Lucy prosto w oczy, co też ją niepokoi.

– Myślałam, że mówimy o tym Latynosie.

– Doskonale wiesz, co ci mówiłem od pierwszego dnia – odpowiada przyjaciel. – O niebezpieczeństwie, jeśli ktoś u ciebie zamieszka. Będzie jeździł twoim samochodem, używał twoich rzeczy. Latał w twojej przestrzeni powietrznej. Ktoś, kto nie przestrzega tych wszystkich zasad, które dla nas są oczywiste, ktoś bez naszych przyzwyczajęń z treningu. Ktoś, dla kogo ważne są inne sprawy niż dla nas. Włącznie z nami samymi.

– Nie wszystko w życiu powinno się kręcić wokół treningu – stwierdza Lucy, ponieważ łatwiej jest mówić o treningu niż o tym, czy osobie, którą kochasz, naprawdę na tobie zależy. Łatwiej jest mówić o Latynosie niż o Henri. – Naprawdę nie powinnam była tak się zachować, więc przepraszam.

– Może zapomniałaś, jak naprawdę wygląda życie.

– Proszę, tylko nie zaczynaj z tym swoim „bądź czujny, skaucie” – rzuca Lucy, po czym przyspiesza, kierując się na północ, w kierunku dzielnicy Hillsboro, gdzie jej pokryta łososiowym tynkiem śródziemnomorska willa spogląda na zatoczkę łączącą Wewnętrzny Kanał Przybrzeżny z oceanem. – Nie potrafisz być obiektywny. Nawet nigdy nie wymawiasz jej imienia. Ktoś zrobił to, ktoś zrobił tamto.

– Ha! Obiektywny? Ha! I kto to mówi! – W jego głosie niebezpiecznie pobrzmiwa okrucieństwo. – Ta cholerna suka zepsuła wszystko. A ty nie miałaś prawa tego robić. Nie miałaś prawa zabierać mnie na tę przejażdżkę. Nie miałaś prawa.

– Rudy, przestańmy się kłócić – mówi Lucy. – Czemu się tak kłócimy? – Spogląda na niego. – Nie wszystko jest popsute.

Rudy nie odpowiada.

– Dlaczego się tak kłócimy? Niedobrze mi od tego.

Dawniej się nie kłócili. On niekiedy narzekał, ale do czasu otwarcia biura w Los Angeles i ściągnięcia Henri z lokalnej policji nigdy otwarcie nie krytykował Lucy. Syrena niskim głosem informuje ich, że za chwilę podniesie się most zwodzony, więc Lucy zwalnia i staje, tym razem zyskując gest podziwu od faceta z corvetty.

Uśmiecha się słabo i potrząsa głową.

– Okej, mogę być głupia – mówi. – Niewłaściwy materiał genetyczny. Po moim stukniętym latynoskim ojcu. Mam nadzieję, że nie po matce, chociaż jeszcze gorzej byłoby być podobną do niej. Dużo gorzej.

Rudy milczy i wpatruje się w zwodzony most przepuszczający jacht.

– Przestańmy się kłócić – powtarza Lucy. – Nie wszystko jest popsute. Daj spokój. – Wyciąga rękę i ściska jego dłoń. – Zawieszenie broni? Zaczynamy od początku? Może powinniśmy zadzwonić do Bentona, żeby negocjował z porywaczami? Bo ty nie jesteś teraz tylko moim kumplem i partnerem. Jesteś moim zakładnikiem, a ja twoim, czyż nie? Ty dlatego, że potrzebujesz pracy, a przynajmniej jej chcesz, a ja potrzebuję ciebie. Tak właśnie jest.

– Nie muszę nigdzie być – odpowiada Rudy, nie poruszając ręką. Jego dłoń leży bezwładnie w jej dłoni, więc Lucy ją puszcza i odsuwa się od niego.

– Wiem to aż za dobrze – mówi, urażona, że nie chciał odwzajemnić uścisku, i opiera odrzuconą dłoń z powrotem na kierownicy. – Ostatnio cały czas żyję tym strachem. Że powiesz: Odchodzę. Do widzenia. Szczęśliwej drogi. Powodzenia.

Rudy przygląda się jachtowi przepływającemu pod uniesionym mostem, kierującemu się na otwarte morze. Ludzie na pokładzie mają na sobie szorty i luźne podkoszulki, poruszają się z wdziękiem nielicznych naprawdę zamożnych. Lucy jest bogata. Ale nigdy w to nie uwierzyła. Gdy

patrzy na jacht, czuje się nadal biedna. A kiedy patrzy na Rudy'ego, czuje się jeszcze biedniejsza.

– Kawy? – pyta Lucy. – Napijesz się ze mną kawy? Możemy usiąść przy basenie, z którego nigdy nie korzystam, i popatrzeć sobie na wodę, której nigdy nie dostrzegam, w domu, którego wolałabym nie mieć. Może i jestem głupia – dodaje. – Proszę, napij się ze mną kawy.

– Aha. – Gdy się przed nimi pojawia skrzynka na listy Lucy, Rudy patrzy przez okno jak obrażony dzieciak. – Myślałem, że to zlikwidujesz – mówi, wskazując na skrzynkę. – I tak nie dostajesz poczty do domu. Możesz tu dostać tylko to, na co nie masz ochoty. Zwłaszcza teraz.

– Poproszę ogrodnika, żeby ją zdemontował, jak przyjdzie. Niewiele tu bywam. Przez to otwieranie biura i tak dalej. Czuję się jak inna Lucy. Ta z „Kocham Lucy”. Pamiętasz ten odcinek, w którym ona pracuje w fabryce cukierków i nie wyrabia, bo cukierki za szybko idą po taśmie?

– Nie.

– Pewnie nigdy w życiu nie oglądałaś „Kocham Lucy”. Ciotka i ja przesiadywałyśmy godzinami, gapiąc się na Jackie Gleason, „Bonanzę” i „Kocham Lucy” – te wszystkie seriale, które ona oglądała, dorastając tu, w Miami.

Prawie zatrzymuje samochód przy nieszczęsnej skrzynce na listy przy końcu podjazdu. Dom doktor Scarpetty jest uosobieniem skromności w porównaniu z rezydencją Lucy – ciotka zresztą też ostrzegła Lucy przed tym nabytkiem.

Przede wszystkim willa jest zbyt luksusowa jak na tę dzielnicę, powiedziała. Kupno tej nieruchomości było głupotą, więc Lucy zrezygnowała z nazwy dom, i mówi teraz o trzypiętrowej rezydencji o powierzchni tysiąca dwustu metrów kwadratowych jako o swoim dziewięćmilionowym domku letniskowym, ponieważ budynek stoi na

małej działce. Nie ma tu dość trawy, żeby wyżywić królika, tylko kamienie i niewielki basen o pochyłym dnie, fontanna, kilka palm i innych roślin. Czyż ciotka Kay nie odradzała jej wprowadzenia się tutaj? Zero prywatności czy zabezpieczeń, łatwy dostęp dla łodzi, perswadowała, ale Lucy była zbyt zajęta i załatana, żeby zwracać uwagę na szczegóły siedziby, ponieważ dostała fioła na punkcie uszczęśliwiania Henri. „Będiesz tego żałowała”, uprzedzała Kay. Lucy wprowadziła się tu nieledwie trzy miesiące temu i już tego żałuje tak, jak nigdy niczego w życiu nie żałowała.

Teraz przyciska guzik na jednym pilocie, żeby otworzyć bramę, i na drugim, żeby otworzyć garaż.

– O co chodzi? – Rudy mówi o bramie. – Ten cholerny podjazd ma raptem trzy metry.

– Nie musisz mi o tym przypominać – odpowiada gniewnie Lucy. – Nienawidzę tego cholernego domu.

– Zanim się zorientujesz, ktoś siądzie ci na tyłku i będzie w twoim garażu.

– To będę musiała go zabić.

– Ja nie żartuję.

– Ja też nie żartuję – odpowiada Lucy, a brama garażu powoli zamyka się za nimi.

Lucy parkuje modenę tuż obok czarnego ferrari. Dwunastocylindrowy scaglietti nigdy nie uświadomi sobie swojej mocy w świecie, w którym ogranicza się prędkość. Wysiadając z modeny, nie patrzy na czarne ferrari. Odwraca wzrok od zniszczonej maski, od koślawego rysunku olbrzymiego oka z rzęsami wydrapanego na pięknym lśniącym lakierze.

– Nie żeby to był przyjemny temat – odzywa się Rudy, idąc między dwoma ferrari ku drzwiom prowadzącym do wnętrza rezydencji. – Ale czy ona mogła to zrobić? – Wskazuje podrapaną maskę czarnego auta, jednak Lucy nawet nie spojrzy w tamtą stronę. – Ja ciągle nie jestem przekonany, że tego nie zrobiła, nie upozorowała całej tej afery.

– Nie zrobiła tego – odpowiada Lucy, nadal nie patrząc na zniszczoną maskę. – Musiałam czekać ponad rok na liście do tego samochodu.

– Można go naprawić. – Rudy wsuwa ręce do kieszeni, a Lucy otwiera drzwi i wyłącza alarm, wyposażony we wszelkie możliwe gadżety, włącznie z kamerami na zewnątrz i wewnątrz domu. Kamery te jednak nie nagrywają obrazu. Lucy uznała, że nie chce filmować tego, co się dzieje w jej domu i na działce, i to akurat Rudy rozumie. On też nie miałby ochoty na ukryte kamery śledzące każdy jego prywatny krok, chociaż ostatnio nie zarejestrowałyby wiele w jego życiu. Rudy mieszka sam. Kiedy zaś Lucy

uznała, że nie chce zapisu tego, co dzieje się w jej domu, nie mieszkała sama.

– Może powinniśmy zmienić te kamery na działające? – proponuje Rudy.

– Pozbędę się tego domu – odpowiada Lucy.

Musil wchodzi za nią do ogromnej kuchni w granicie i rozgląda się po wspaniałej części jadalnej i salonowej, a następnie podziwia panoramę zatoczki i oceanu. Sufit jest na wysokości sześciu metrów, a pośrodku malowanego ręcznie fresku w stylu Michała Anioła zwisa kryształowy kandelabr. Szklany stół w jadalni wygląda jak wycięty z bryły lodu – jest najniezwyklejszą rzeczą, jaką Rudy widział w życiu.

Nie chce sobie nawet wyobrazić, ile Lucy musiała zapłacić za ten stół i meble wypoczynkowe pokryte miękką jasnożółtą skórą, nie mówiąc już o afrykańskiej sztuce – ogromnych płótnach ze słoniami, zebami, żyrafami i gepardami. Rudy’ego nie byłoby stać nawet na jedną lampę z poprzedniego domu Lucy na Florydzie, na jeden z jej jedwabnych dywanów, a zapewne nawet na żadną z roślin.

– Wiem – mówi Lucy, rozglądając się wokół. – Latam helikopterami, ale nie mogę nawet urządzić tu kina domowego. Nienawidzę tego domu.

– Nie oczekuj współczucia.

– Ej. – Lucy ucina rozmowę tonem, który Musil doskonale zna. Ma już dość sprzeczki.

Rudy otwiera jedną z lodówek w poszukiwaniu kawy.

– Masz tu coś do zjedzenia? – pyta.

– Chili. Domowej roboty. Zamrożone, ale można je wyciągnąć.

– To już jakiś początek planu. Chcesz się przejechać później na siłownię? Jakos tak o wpół do szóstej?

– Nawet powinnam.

W tej właśnie chwili oboje kierują wzrok na tylne drzwi wychodzące na basen, te same drzwi, którymi wszedł on, kimkolwiek był, do tego domu niecały tydzień temu. Drzwi są zamknięte na klucz, ale do szkła od zewnątrz coś jest przyklejone, i Lucy już zmierza w tamtą stronę, zanim Rudy pojmuje, o co chodzi. Lucy gapi się na kartkę papieru przyczepioną do szyby kawałkiem taśmy.

– Co to jest? – pyta Musil, zamykając lodówkę i spoglądając w tamtą stronę. – Co to, u diabła, jest?

– Kolejne oko – wyjaśnia Lucy. – Kolejny rysunek oka, tego samego. Ołówkiem. A ty myślałeś, że to robota Henri! Ona jest ponad tysiąc kilometrów stąd, a ty myślałeś, że to zrobiła. Teraz masz dowód. – Przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi. – On chce, żebym wiedziała, że mnie obserwuje – mówi ze złością, wychodząc na zewnątrz, żeby przyjrzeć się lepiej rysunkowi.

– Nie dotykaj! – woła Rudy.

– Uważasz mnie za idiotkę? – krzyczy na niego Lucy.

Przepraszam – mówi młody człowiek w fioletowym fartuchu, masce i plastikowych okularach, czepku i ochraniaczach na buty oraz podwójnych lateksowych rękawiczkach. Wygląda jak parodia astronauty. – Co pani chciałaby zrobić z jej sztuczną szczęką? Doktor Scarpetta zaczyna się tłumaczyć, że już tu nie pracuje, ale słowa ulatują jej natychmiast z myśli i nagle przyłapuje się na obserwowaniu zwłok otyłej kobiety, które dwaj mężczyźni, też ubrani, jakby spodziewali się dżumy, wpychają do worka na ciało na wózku zdolnym utrzymać ów przeraźliwy ciężar.

– Ona miała sztuczną szczękę – mówi młody człowiek, tym razem do Fieldinga. – Wrzuciliśmy ją do pudełka, a potem zapomnieliśmy włożyć z powrotem do worka, jak już zaszyliśmy zwłoki.

– Nie wrzucajcie jej do worka. – Doktor Scarpetta postanawia sama zająć się tym problemem. – Powinna znaleźć się z powrotem w ustach zmarłej. Dom pogrzebowy, rodzina, wszyscy chcą, żeby zęby były na miejscu. Zapewne ta kobieta wolałaby zostać pochowana razem z nimi.

– Nie musimy więc jej znów otwierać i wyciągać worka? – pyta żołnierz w fioletach. – Tyle dobrze.

– Zapomnij o worku – mówi Kay. – Sztucznych szczęk nie pakuje się do worka – chodzi jej o mocny przezroczysty plastikowy worek, zaszyty wewnątrz pustej klatki piersiowej otyłej kobiety, zawierający wycięte

narządy, których nie umieszczono z powrotem na ich anatomicznym miejscu, ponieważ do obowiązków lekarza sądowego nie należy zszywanie ludzi z powrotem, zwłaszcza że nie jest to możliwe – podobnie jak przywrócenie gulaszowi kształtu krowy. – Gdzie ta sztuczna szczeka?

– Tutaj. – Młodzieniec w fioletowym fartuchu wskazuje na blat po drugiej stronie stołu sekcyjnego. – Razem z papierami.

Fielding nie chce mieć nic wspólnego z tą sprawą, więc całkowicie ignoruje chłopaka w fioletach, który wygląda zbyt młodo jak na prawie absolwenta medycyny i zapewne jest kolejnym żołnierzem z Fort Lee. Może i ma maturę i szkoli się teraz w biurze koronera, ponieważ obowiązki wojskowe wymagają, żeby nauczył się zajmować ofiarami wojennymi. Doktor Scarpetta chciałaby powiedzieć – ale nie robi tego – że nawet żołnierze rozerwani przez granat woleliby mieć przy sobie protezy dentystyczne w drodze do domu, w dodatku najlepiej w ustach – jeśli jeszcze takowe im pozostały.

– Okej – zwraca się Kay do fioletowego żołnierza z Fort Lee. – Przyjrzyjmy się temu.

Idzie za nim po glazurowanej posadzce, mijając kolejny wózek, który wtoczono tu przed kilkoma minutami, tym razem z ofiarą strzelaniny, młodym czarnym chłopakiem o silnych ramionach pokrytych tatuażem, obecnie złożonych sztywno na piersi. Chłopak ma gęsią skórę, to reakcja mięśni na stężenie pośmiertne, co sprawia, że wygląda, jakby zmarzł, był przerażony albo jedno i drugie. Praktykant z Fort Lee podnosi z blatu kartonowe pudło, podaje je doktor Scarpetcie i zauważa, że nie włożyła rękawiczek.

– Może lepiej wezmę nowe – zgadza się Kay, odkładając na bok parę zielonych rękawiczek z najnowocześniejszego materiału, i wybiera

staroświecki lateks, zwisający z pudełka na wózku z narzędziami chirurgicznymi. Naciąga rękawiczki i wyjmuje sztuczną szczękę z pudełka.

Razem z żołnierzem przemierza z powrotem glazurową posadzkę ku bezzębnej martwej kobiecie.

– Wiesz, następnym razem, jak będziesz miał podobny problem – mówi do chłopaka w fioletach – możesz po prostu zostawić protezę razem z rzeczami osobistymi i niech się tym zajmie dom pogrzebowy. Nie wkładaj nigdy protez do worka. Ta panna jest zdecydowanie za młoda na protezę.

– Chyba była naćpana.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ktoś tak powiedział.

– Rozumiem. – Doktor Scarpetta pochyla się nad ogromnym zaszytym ciałem leżącym na wózku. – Narkotyki zwężające naczynia krwionośne. Jak kokaina. Zęby wypadają.

– Zawsze się zastanawiałem, dlaczego narkotyki tak działają – mówi żołnierz w fioletach. – Pani jest tu nowa? – Spogląda na nią.

– Wręcz przeciwnie – odpowiada Kay, wsuwając palce w usta martwej kobiety. – Bardzo stara. Jestem tu teraz tylko gościem.

Młodzieniec kiwa głową w zakłopotaniu.

– Wygląda pani na kogoś, kto zna się na tej robocie – zauważa niepewnie. – Bardzo mi przykro, że nie włożyłem jej z powrotem tej protezy. Czuję się bardzo głupio. Mam nadzieję, że nikt nie powie szefowi.

– Potrząsa głową i wypuszcza głośno powietrze. – To mi wystarczy. On i tak mnie nie lubi.

Stężenie pośmiertne ustąpiło, więc mięśnie żuchwy otyłej kobiety nie opierają się palcom, natomiast dźwala nie chcą przyjąć protezy z prostego powodu – nie pasuje.

– To nie jej – mówi doktor Scarpetta, wrzucając protezę z powrotem do pudełka, które podaje żołnierzowi w fioletach. – Jest za duża, sporo za duża. Może należała do jakiegoś mężczyzny? Był tu jeszcze ktoś ze sztuczną szczęką? Może się pomieszały?

Młodzieniec jest skonsternowany, ale najwyraźniej również ucieszony tą wiadomością. To nie jego wina.

– Nie wiem – odpowiada. – Przewinęło się wtedy sporo ludzi. A więc to nie jej? W takim razie dobrze, że jej tego nie wpychałem do ust.

Fielding zorientował się, co się dzieje, i nagle pojawia się w pobliżu. Wpatruje się w jasnoróżowe syntetyczne dziąsła i białe porcelanowe zęby w plastikowym pudełku trzymanym przez żołnierza.

– Co u diabła? – wybucha. – Kto to pomieszał? Nakleiliście zły numer sprawy na tym pudełku?

Rzuca praktykantowi mordercze spojrzenie. Chłopak ma najwyżej dwadzieścia lat, spod niebieskiego czepka chirurgicznego wystają krótkie jasnoblond włosy, wielkie brązowe oczy patrzą nerwowo spoza porysowanych okularów ochronnych.

– Ja nie opisywałem pudełka, panie doktorze – zwraca się do Fieldinga, który jest tu jego przełożonym. – Wiem tyle, że tu stało, gdy zabierałem się do pracy nad nią. A ona nie miała zębów, gdy zaczynaliśmy.

– Tu? Co znaczy: tu?

– Na jej wózku. – Wskazuje wózek z narzędziami chirurgicznymi przeznaczonymi do stołu numer cztery, znanego również jako Zielony Stół. Kostnica doktora Marcusa posługuje się ustalonym jeszcze przez doktor Scarpettę systemem przypisywania do poszczególnych stanowisk narzędzi oznaczonych kolorową taśmą, co ma dać pewność, że peseta albo skalpel nie zawędrują na drugi koniec sali. – To pudełko było na jej wózku, a potem

jakoś tak przeniosło się tu razem z papierami. – Wskazuje wzrokiem na blat, na którym rozłożone są wciąż dokumenty dotyczące zmarłej.

– Na tym stole była wcześniej sekcja – mówi Fielding.

– Zgadza się, panie doktorze. Starszy mężczyzna, który zmarł w łóżku. Może te zęby należą do niego? – odpowiada chłopak. – Może to jego zęby były na wózku?

Fielding rzuca się ku wielkim stalowym drzwiom chłodni, wygląda przy tym jak wściekła sójka latająca z furkotem po prosektorium.

Znika w powiewie zimnego powietrza, w którym unosi się zapach śmierci, po czym wraca niemal natychmiast z protezą dentystyczną, którą najwyraźniej wyciągnął z ust starszego mężczyzny. Trzyma ją na dłoni w rękawiczce ubrudzonej krwią operatora buldożera, który przejechał sam siebie.

– Czy nikt nie zauważył, że ta proteza jest dużo za mała dla tamtego faceta? – pyta. – Kto mu to wsadził do ust, nie sprawdziwszy, czy pasuje? – rzuca pytanie w głąb hałaśliwej, zatłoczonej, sterylnej sali, czterech zakrwawionych, mokrych stalowych stołów, podświetlonych zdjęć rentgenowskich, stalowych zlewów i szafek oraz długich blatów wypełnionych dokumentacją, przedmiotami osobistymi i drukowanymi z komputera etykietami na pudełka i próbówki.

Pozostali lekarze, studenci, żołnierze i dzisiejsi zmarli nie mają jednak nic do powiedzenia doktorowi Jackowi Fieldingowi, zastępcy szefa. Kay Scarpetta czuje dziwne mdłości wywołane niedowierzaniem. Jej dawne perfekcyjnie działające biuro pogrążone jest w chaosie, nad którym nikt nie panuje. Spogląda na martwego operatora buldożera, rozebranego do połowy na pobrudzonym gliną wózku, a potem patrzy na sztuczną szczękę w poplamionych krwią dłoniach Fieldinga.

– Umyj to przynajmniej, zanim jej włożysz. – Nie może się powstrzymać od tej uwagi, widząc, jak lekarz podaje protezę żołnierzowi w fioletach. – Nie potrzebujemy DNA innej osoby lub innych osób w jej ustach – wyjaśnia. – Nawet jeśli mamy tu do czynienia z przypadkiem niebudzącym wątpliwości. No więc wymyj jej protezę, jego protezę, wszystkie protezy.

Zdejmuje rękawiczki i rzuca je do jaskrawo-pomarańczowego worka na odpady medyczne. Wychodząc, zastanawia się, co porabia Marino, i słyszy za sobą głos chłopaka, który coś mówi albo o coś pyta, najwyraźniej chcąc się dowiedzieć, kim ona dokładnie jest, dlaczego jest gościem i co się właściwie stało.

– Była tu kiedyś szefową – wyjaśnia Fielding, ale darowuje sobie uwagę, że biuro koronera zupełnie inaczej wtedy funkcjonowało.

– A niech to! – woła żołnierz.

Kay naciska łokciem wielki guzik na ścianie i stalowe drzwi stają przed nią otworem. Idzie do szatni, mijając szafki pełne fartuchów i kitli, a następnie damską łazienkę z umywalkami i świetlówkami, które dają niemiłe światło w lustrach. Zatrzymuje się tu, żeby umyć ręce, i zauważa elegancko wypisaną kartkę, powieszoną tu jeszcze przez siebie, przypominającą ludziom, żeby zmieniali buty przed opuszczeniem terenu kostnicy. „Nie przenoście śladów i zagrożeń biologicznych na dywany”, powtarzała zawsze swoim pracownikom, ale widzi, że nikt się tym nie przejmuje. Ani też niczym innym. Zdejmuje buty, myje podeszwy antybakteryjnym mydłem i gorącą wodą, po czym wyciera je ręcznikami papierowymi, zanim przejdzie przez następne drzwi wahadłowe na już nie tak sterylny korytarz z niebiesko szarą wykładziną.

Zaraz za damską szatnią znajduje się oszklony gabinet głównego koronera. Tu przynajmniej doktor Marcus podjął jakiś wysiłek w celu

zmiany wystroju. Pokój sekretarki urządzone jest ładnymi meblami w wiśniowym kolorze, na ścianach wiszą kolonialne obrazki, a na wygaszaczu ekranu płasają tropikalne ryby. Sekretarki nie ma, więc Kay puka od razu do drzwi szefa.

– Proszę – odpowiada cicho doktor Marcus z drugiej strony drzwi.

Kay otwiera drzwi i wchodzi do swojego dawnego gabinetu, starając się nie rozglądać, nie może jednak nie zauważyć idealnego porządku na półkach i biurku. Wnętrze jest wręcz sterylne. Za to cała reszta biura koronera pogrążona jest w chaosie.

– Masz doskonałe wyczucie czasu – mówi Marcus, siedząc na skórzanym obrotowym krześle za biurkiem. – Usiądź, proszę, żebym mógł zapoznać cię z przypadkiem Gilly Paulsson, zanim ją obejrzysz.

– Doktorze Marcus, to nie jest już moje biuro – odpowiada mu Kay. – Zdaję sobie z tego sprawę. Nie chciałabym się narzucać, ale sporo spraw mnie niepokoi.

– Niepotrzebnie. – Spogląda na nią małymi, hardymi oczkami. – Nie przyjechałaś tu jako komisja kontroli. – Składa dłonie na bibule. – Potrzebujemy twojej opinii w jednej sprawie, tylko jednej, sprawie Gilly Paulsson. Dlatego radziłbym szczerze, żebyś nie przejmowała się za bardzo tym, jak bardzo pewne rzeczy mogły się tu zmienić. Nie było cię dość długo. Ile? Pięć lat. I przez większość tego czasu to biuro nie miało szefa, tylko p. o. Prawdę mówiąc, p. o. szefa, gdy ja tu przyszedłem kilka miesięcy temu, był doktor Fielding. A więc oczywiście, wszystko wygląda tu inaczej. Ty i ja mamy inny styl zarządzania, co jest jednym z powodów, dla których władze stanu mnie zatrudniły.

– Z doświadczenia wiem, że jeśli szef nie odwiedza w ogóle kostnicy, zaczynają się problemy – mówi doktor Scarpetta, nie przejmując się, czy on chce jej słuchać, czy nie. – Lekarze tam pracujący odczuwają brak

zainteresowania tym, co robią, a nawet mogą stać się leniwi, nieuważni, wypalić się lub poddać stresowi związanemu z tym, co oglądają na co dzień.

Oczy Marcusa są pozbawione wyrazu, ale zimne jak stal usta ściągnęły się w wąską kreskę. Za jego łysiejącą głową okna są czyściuteńkie, doktor Scarpetta zauważa też, że wymienił kuloodporne szyby. W oddali widać brunatny grzyb Coliseum. Zaczyna padać paskudna mżawka.

– Nie mogę odwracać wzroku od tego, co widzę, zwłaszcza jeśli prosi mnie pan o pomoc – kontynuuje Kay. – Nie obchodzi mnie, czy to kwestia jednej i tylko jednej sprawy, jak pan to ujął. Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że wszystko można obrócić przeciwko nam w sądzie i gdziekolwiek indziej. W tej chwili właśnie to gdzie indziej mnie niepokoi.

– Mówisz zagadkami – zauważa Marcus, wpatrując się w nią chłodno. – Gdzie indziej? Co to jest to gdzie indziej?

– Zazwyczaj jakiś skandal. Zazwyczaj pozew sądowy. Albo jeszcze gorzej: przypadek kryminalny zniszczony przez techniczne głupoty, przez dowody odrzucone jako niewłaściwe, przez niedopatżenia proceduralne – i po procesie. Nici z oskarżenia.

– Obawiałem się, że tak będzie – mówi doktor Marcus. – Tłumaczyłem szefowi komisji, że to niedobry pomysł.

– Nie mam do pana o to pretensji. Nikt nie chce, żeby dawny szef pojawiał się i usiłował naprawiać...

– Ostrzegalem szefa komisji, że ostatnią rzeczą, na jaką mamy ochotę, jest dawny pracownik biura przybywający tu, żeby coś naprawić – przerywa jej następcą, podnosząc pióro i kładąc je z powrotem. Dłonie drżą mu ze zdenerwowania i złości.

– Nie mam do pana pretensji o poczucie...

– A już zwłaszcza fanatyk – ciągnie zimno. – Oni są najgorsi. Nie ma nic gorszego od fanatyka, chyba że urażony fanatyk.

– Teraz jest pan...

– Ale stało się. A więc spróbujmy wyjść z tego z twarzą, zgoda?

– Byłabym wdzięczna, gdyby mi pan nie przerywał – mówi Kay. – A skoro nazywa mnie pan urażonym fanatykiem, to uznaję to za komplement i przejdziemy może do sprawy protez dentystycznych.

Doktor Marcus gapi się na nią, jakby zwariowała.

– Właśnie byłem świadkiem pomyłki w kostnicy. Niewłaściwe przypisanie protez denatom. Brak uwagi. I za wiele samodzielności przyznanej młodym żołnierzom z Fort Lee, którzy nie mają żadnego wykształcenia medycznego, a powinni się tu uczyć od pana. Założmy, że jakaś rodzina dostaje ciało w domu pogrzebowym, otwiera trumnę, a tam brakuje protezy albo ta, co jest, nie pasuje. I rusza karuzela, którą będzie trudno zatrzymać. Prasa uwielbia takie historie, doktorze Marcus. Jeśli pomieszczenie takie sztuczne szczęki w przypadku kryminalnym, dacie obronie wspaniały prezent, nawet gdy protezy nie mają nic wspólnego ze sprawą.

– O jakie protezy chodzi? – pyta Marcus, spoglądając na nią podejrzliwie. – Fielding miał to nadzorować.

– Doktor Fielding ma za dużo roboty.

– Ach, więc o to chodzi. Twój dawny asystent. – Koroner wstaje z krzesła. Nie góruje nad biurkiem, podobnie zresztą jak Kay, ponieważ ona też nie jest wysoka, ale wydaje się malutki, gdy wynurza się zza biurka i podchodzi do stolika, na którym stoi przykryty folią mikroskop. – Już dziesiąta – mówi, otwierając drzwi gabinetu. – Czas, żebyś zajęła się Gilly Paulsson. Jest w chłodni przeciwzrostkowej i najlepiej będzie, jeśli tam się

nią zajmiesz. Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Zakładam, że zamierzasz przeprowadzić ponowną sekcję.

– Nie będę tego robić bez świadka – oświadcza doktor Scarpetta.

Lucy nie sypia już w głównej sypialni na trzecim piętrze, tylko zamyka się na klucz w znacznie mniejszym pokoiku na parterze. Tłumaczy sobie, że dobro śledztwa wymaga, żeby nie spała w tamtym łóżku – tym, w którym napadnięto na Henri – wielkim łożu o ręcznie malowanym zagłówku w samym środku luksusowego apartamentu małżeńskiego z widokiem na morze. Dowody, myśli Lucy. Nieważne, jak dokładni są ona i Rudy, zawsze można pominąć jakiś szczegół.

Musil pojechał jej modoną, żeby zatankować, a w każdym razie takiej wymówki użył, gdy zabierał kluczyki z kuchni. Lucy podejrzewa jednak, że chodziło mu o coś innego. Jej przyjaciel krąży po mieście. Chce zobaczyć, kto za nim pojedzie, zakładając, że ktokolwiek to robi, ale zapewne nikt o zdrowych zmysłach nie będzie śledził kogoś postury Rudy'ego. Niemniej potwór, który narysował oko, a właściwie teraz dwoje oczu, jest gdzieś w pobliżu. Patrzy. Przygląda się rezydencji. Może sobie nie zdawać sprawy z tego, że Henri tu nie ma, więc nadal obserwuje dom i ferrari. Być może nawet teraz obserwuje wszystko.

Lucy idzie po rudym dywanie, mijając łóżko. Jest wciąż niezastłane: droga miękka pościel leży zwinięta w nogach i opada na podłogę jedwabnym wodospadem. Poduszki pozostały zsunięte na bok, dokładnie tak, jak wtedy, gdy Lucy wbiegła po kamiennych schodach i znalazła Henri

nieprzytomną na łóżku. W pierwszej chwili była przekonana, że Henri nie żyje. Potem nie wiedziała, co myśleć. Nadal nie wie, co myśleć. Ale wtedy była tak przerażona, że zadzwoniła na policję, a to spowodowało bałagan. Musieli użerać się z lokalnymi gliniarzami, a ostatnią rzeczą, na jaką Lucy ma z reguły ochotę, jest policja mieszająca się w jej prywatne, sekretne życie i działalność, w której nierzadko posługuje się nielegalnymi metodami dla osiągnięcia celu. A poza tym Rudy jest wciąż wściekły.

Oskarża Lucy o panikę, bo rzeczywiście, spanikowała. Nie powinna była dzwonić na policję, to prawda. Powinni byli zająć się tą sprawą sami. Henri nie jest zwykłą obywatelką, powiedział Rudy. Henri jest jedną z ich agentek. Nieważne, że leżała nieprzytomna i naga. Oddychała, prawda? Puls ani ciśnienie nie były niebezpiecznie niskie, prawda? Nie krwawiła, prawda? Troszkę krwi z nosa, zgadza się? Dopiero gdy Lucy zawiozła Henri prywatnym odrzutowcem do Aspen, Benton zdołał zaproponować wyjaśnienie, które niestety ma sens. Henri została napadnięta i zapewne przez krótki czas była nieprzytomna, ale potem udawała.

– Niemożliwe – odparła Lucy, gdy jej to oznajmił. – Była całkiem bez kontaktu.

– Jest aktorką.

– Już nie.

– Daj spokój, Lucy. Przez pół życia była zawodową aktorką, zanim postanowiła zmienić zawód. Może praca w policji stała się dla niej po prostu kolejną rolą do zagrania? Może tak być, że ona nie umie nie grać.

– Ale czemu miałyby robić coś takiego? Dotykałam jej, mówiłam do niej, usiłowałam ją ocucić – po co miałyby udawać? Dlaczego?

– Wstyd i wściekłość, kto wie, dlaczego dokładnie? – odpowiedział. – Może nie pamiętać, co się stało, mogła to stłumić, ale wie, co w związku z

tym czuje. Może wstydzi się, bo nie potrafiła ochronić samej siebie? A może chce cię ukarać.

– Ukarać mnie za co? Nic przecież nie zrobiłam. Że co? Omal nie została zamordowana i nagle przychodzi jej do głowy, że ukarze Lucy, skoro jest okazja?

– Zdziwiłoby cię, do czego zdolni są ludzie.

– Niemożliwe – oświadczyła Lucy Bentonowi, a im bardziej się upierała, tym bardziej on utwierdzał się w swojej opinii.

Lucy przechodzi przez środek sypialni ku ścianie o ośmiu oknach, tak wysokich, że ich górnych części nie trzeba zasłaniać. Żaluzje na dolnych połowach są zaciągnięte, więc naciska guzik na ścianie i żaluzje unoszą się z lekkim elektronicznym turkotem. Lucy wygląda przez okno w słoneczny dzień, robiąc przegląd swojej posesji, jakby sprawdzała, czy wszystko jest na miejscu. Razem z Rudym byli w Miami do wczesnych godzin rannych. Od trzech dni nie zaglądała do domu, więc tamten ktoś miał mnóstwo czasu, aby tu myszkować. Wrócił w poszukiwaniu Henri. Wszedł prosto na patio do tylnych drzwi i przypiął rysunek, żeby przypomnieć się Henri, zdrwić z niej, a nikt nie wezwał policji. Ludzie w tej dzielnicy są podli, myśli Lucy. Nie obchodzi ich, że ktoś cię pobije na śmierć albo włamie się do twojego domu, dopóki nie zrobisz czegoś, co uczyniłoby ich życie nieprzyjemnym.

Wpatruje się w latarnię morską po drugiej stronie i myśli, czy odważyłaby się na spacer do sąsiadów. Kobieta, która mieszka w najbliższym domu, nigdy nie wychodzi. Lucy nie zna jej imienia, wie tylko, że tamta jest wścibska i robi zdjęcia, kiedy ogrodnik przycina żywopłot albo kosi trawę koło basenu. Lucy uważa, że sąsiadka potrzebuje dowodów na wypadek, gdyby ona postanowiła zrobić coś, co popsułoby wścibskiej babie widok lub w inny sposób miało spowodować szok emocjonalny.

Oczywiście gdyby Lucy dostała wcześniej pozwolenie na podwyższenie niespełna metrowej wysokości muru dodatkowymi sześćdziesięcioma centymetrami sztachet z kutego żelaza, przestępca miałby może utrudnione zadanie, gdy wchodził na patio i do domu, a potem do sypialni, gdzie leżała chora na grypę Henri. Ale wścibska sąsiadka oprotestowała projekt i wygrała sprawę, więc Henri omal nie została zamordowana, a teraz Lucy znajduje rysunek oka podobny do tego, które ktoś wydrapał na masce jej samochodu.

Trzy piętra niżej woda basenu unosi się nad brzegiem, a dalej jest głęboki błękit Wewnętrznego Kanału Przybrzeżnego, następnie kawałek plaży, a jeszcze dalej szumią niebiesko zielone fale oceanu. Może przyplłynął łódką, myśli Lucy. Mógłby przystawić drabinę do muru od strony morza – wtedy znalazłby się wprost na patio. Ale jakoś nie wydaje się jej, żeby przyplłynął łódką, a nawet miał łódkę. Nie wie, skąd to przekonanie. Lucy obraca się i podchodzi do łóżka. W górnej szufladzie stojącego po lewej stolika leży colt magnum należący do Henri, piękny rewolwer z nierdzewnej stali, który kupiła jej Lucy, ponieważ nie tylko jest arcydziełem, ale i działa najwspanialej pod słońcem. Henri umie posługiwać się bronią i nie jest tchórzem. Lucy nie ma wątpliwości, że gdyby Henri usłyszała intruza w domu, to niezależnie od grypy, zastrzeliłaby go bez litości.

Przyciska guzik na ścianie i zaciąga rolety. Gasi światło i wychodzi z sypialni. Tuż obok są dwie garderoby, niewielka siłownia i ogromna łazienka z jacuzzi obudowanym agatem w kolorze tygrysięgo oka. Nie ma żadnych powodów, żeby przypuszczać, że napastnik był w którymś z tych pomieszczeń, ale ilekroć Lucy tam wchodzi, przystaje, by zastanowić się nad tym, co czuje. Nigdy nie poczuła nic w siłowni ani garderobach, ale wyczuwa coś w łazience. Spogląda na wannę i okna z widokiem na ocean i

niebo Florydy, i patrzy jego oczami. Nie wie dlaczego, ale gdy wpatruje się w wielką, głęboką wannę obudowaną agatem, wie, że tamten ktoś też na nią patrzył.

Coś przychodzi jej do głowy, więc cofa się pod łukowe przejście prowadzące do łazienki. Może kiedy wszedł po kamiennych schodach na główne piętro, skręcił w lewo zamiast w prawo i znalazł się w łazience zamiast w sypialni. Ranek był słoneczny, okna pełne światła. Mógł to zobaczyć. Mógł się zawahać i spojrzeć na wannę, zanim odwrócił się, żeby przejść cicho do sypialni, gdzie w półmroku, przy opuszczonych roletach, żeby zasnąć, leżała Henri, osłabiona i obolała od wysokiej gorączki.

A więc byłeś w mojej łazience, mówi w myślach Lucy do bestii. Stałeś dokładnie tu, na marmurowej podłodze i gapieś się na moją wannę. Pewnie nigdy nie widziałeś takiej wanny. Może wyobrażałeś sobie leżącą w niej nagą kobietę, jak odpoczywa, myśląc o własnych sprawach, zanim ją zamordujesz. Jeśli takie są twoje fantazje, to nie jesteś zbyt oryginalny. Wychodzi z łazienki i schodzi na drugie piętro, gdzie teraz śpi i ma gabinet.

Za pokojem kinowym znajduje się gościnna sypialnia, którą Lucy przerobiła na bibliotekę ze ścianami wypełnionymi regałami i oknami zasłoniętymi nieprzepuszczającymi światła roletami. Nawet w najbardziej słoneczne dni ten pokój jest tak ciemny, że można by tu wywoływać filmy. Lucy włącza światło, wydobywając z mroku dziesiątki podręczników, encyklopedii i segregatorów oraz długi stół ze sprzętem laboratoryjnym. Pod jedną ze ścian stoi biurko z urządzeniem zwanym Krimesite Imager. Wygląda ono jak przysadzisty teleskop osadzony na trójnogu i służy do wykrywania niewidocznych gołym okiem odcisków palców. Obok leży zapieczętowany plastikowy woreczek na dowody, a w nim znajduje się rysunek oka.

Lucy wyjmuje z pudełka lateksowe rękawiczki. Największe nadzieje na odciski palców wiąże z taśmą klejącą, ale zostawia ją sobie na później, ponieważ do jej zbadania będzie potrzebowała odczynników, które zniszczą papier i taśmę. Posypała proszkiem do odcisków całe tylne drzwi i okno obok, ale nie znalazła żadnego wyraźnego śladu, same smugi. Gdyby zresztą znalazła odcisk, zapewne należałby do ogrodnika, Rudy'ego lub niej samej albo też do kogoś, kto mył ostatnio to okno, więc nie ma sensu zbytnio się przejmować. Odciski palców na zewnątrz domu są zasadniczo bezwartościowe. Istotne będzie, co znajdzie na rysunku. Lucy wkłada rękawiczki, otwiera wieko czarnej skrzynki wykładanej gąbką i delikatnie wyjmuje lampę SKSUV30 Puissant. Przenosi ją na stół i podłącza do aparatu zabezpieczającego przed skokami napięcia. Włącza lampę, ustawia na krótkofalowe światło ultrafioletowe o wysokim natężeniu, a następnie włącza Krimesite.

Otwiera plastikowy woreczek, czubkami palców delikatnie ujmuje róg białej kartki i wyjmuje ją z folii. Obraca papier i widzi wpatrujące się w nią oko. Podnosi kartkę do światła. Na tanim białym papierze nie ma znaku wodnego, tylko plątanina włókien makulaturowych. Narysowane ołówkiem oko przygasa, gdy Lucy kładzie kartkę z powrotem na środku biurka. Kiedy tamten przyklejał rysunek do drzwi, umieścił taśmę na odwrocie kartki, bo chciał, żeby oko patrzyło przez szkło, w głąb jej domu. Lucy zakłada ochronne gogle w jasnopomarańczowym odcieniu i wsuwa papier pod szpiegowskiej dokładności soczewkę obiektywu, po czym spogląda w okular i otwiera przesłone ultrafioletu, cały czas kręcąc pierścieniami ogniskowej i ostrości, aż w polu jej widzenia pojawi się ekranik. Lewą ręką kieruje strumień ultrafioletu na cel, ustawiając bardzo dokładnie kąt, i zaczyna przesuwać kartkę w poszukiwaniu odcisków palców, z nadzieją, że mikroskop je znajdzie i nie będzie trzeba się odwoływać do niszczących

odczynników, takich jak ninhydryna czy cyjanoakryl. W ultrafiolecie kolor papieru staje się trupio zielonkawy.

Manewrując czubkiem palca, przesuwa papier tak, żeby w polu widzenia mikroskopu znalazł się kawałek z taśmą klejącą. Nic nie ma, myśli. Nawet smugi. Może spróbować chlorku piocyjaniny albo fioletu gencjanowego, ale teraz nie czas na to. Może później. Lucy sadowi się przy biurku i wpatruje w rysunek oka. Nie ma tam nic więcej, tylko oko; szkic oka z tęczówką i źrenicą, otoczonego długimi rzęsami. Kobiece oko, myśli Lucy, narysowane zapewne ołówkiem HB. Umieszcza aparat cyfrowy na statywie i robi powiększenia fragmentów rysunku, a następnie je drukuje.

Słyszy otwieranie bramy garażu, wyłącza więc lampę ultrafioletową i mikroskop, po czym wkłada rysunek z powrotem do woreczka na dowody. Monitor na biurku pokazuje Rudy'ego, jak wprowadza ferrari do garażu. Zamykając za sobą drzwi biblioteki i zeskakując po kamiennych schodach na dół, Lucy zastanawia się, co dalej z nim począć. Wyobraża sobie, że Rudy mógłby wyjść przez frontowe drzwi i nigdy nie wrócić, i nie ma pojęcia, co wtedy by się stało z nią i tajnym imperium, które stworzyła. Najpierw przyszedłby szok, później otępienie, potem ból, a w końcu musiałaby się z tym pogodzić. Tak właśnie sobie mówi, otwierając drzwi kuchni, a on już tam stoi, trzymając w wyciągniętej ręce kluczyki, tak jakby trzymał mysz za ogon.

– Chyba powinniśmy zadzwonić po policję – mówi Lucy, biorąc od niego kluczyki. – Ponieważ według prawa jest to wykroczenie.

– Rozumiem, że nie znalazłaś odcisków palców ani nic innego, co byłoby istotne?

– Nie pod mikroskopem. Zrobię testy chemiczne, jeśli policja nie zabierze rysunku. Wolałabym, żeby nie zabierali. Właściwie nie pozwolimy im go zabrać. Ale powinniśmy zadzwonić. Widziałeś kogokolwiek na

zewnątrz? – Przechodzi przez kuchnię i podnosi słuchawkę. – Poza wszystkimi tymi kobietami, które uciekły z drogi, jak cię zobaczyły? – Spogląda na klawiaturę i wystukuje 9-1-1.

– A więc na razie żadnych odcisków palców – mówi Rudy. – Cóż, trzeba iść z tym dalej. A co z odciskami pisma?

Lucy potrząsa głową.

– Chciałabym zgłosić, że ktoś podejrzany kręcił się po moim domu.

– Czy ten osobnik jest w tej chwili na terenie pani posesji? – pyta spokojnym, profesjonalnym głosem telefonistka.

– Raczej nie – odpowiada Lucy. – Ale myślę, że to może mieć coś wspólnego z włamaniem, o którym już wie wasz wydział.

Telefonistka sprawdza adres i prosi o podanie nazwiska zgłaszającego, ponieważ jako podmiot zajmujący rezydencję na policyjnym ekranie pojawia się spółka z o. o., którą Lucy wybrała dla tej konkretnej posiadłości. Lucy nie pamięta nawet, która to. Ma kilka rezydencji, wszystkie zarejestrowane na rozmaite spółki – Nazywam się Tina Franks – podaje ten sam pseudonim, którym się posłużyła, kiedy ostatnio dzwoniła na policję, tego ranka, kiedy Henri została napadnięta, a Lucy spanikowała i popełniła błąd, wykręcając numer 911. Podaje telefonistce swój adres, a raczej adres Tiny Franks.

– Zaraz wysyłam do pani radiowóz – mówi telefonistka.

– Dziękuję. Wie pani może, czy oficer dochodzeniowy John Dalessio jest na służbie? – Lucy rozmawia z telefonistką na luzie i bez lęku. – Zapewne chciałby, żeby go o tym poinformowano. Był u mnie poprzednio, więc zna sprawę. – Wyjmuje z misy stojącej na centralnym stole w kuchni dwa jabłka.

Rudy przewraca oczami, dając jej do zrozumienia, że on znalazłby oficera dochodzeniowego Dalessio znacznie szybciej niż telefonistka. Lucy

śmieje się z żartu, wyciera jabłko w dżinsy i rzuca je Rudy'emu. Wyciera drugie i wgryza się w nie, jakby rozmawiała z restauracją w sprawie dostarczenia chińszczyzny, pralnią chemiczną albo domem wysyłkowym, a nie Biurem Szeryfa Hrabstwa Broward.

– Czy pani wie, który z detektywów zajmował się na początku włamaniem do pani? – pyta telefonistka. – Zazwyczaj nie łączymy z oficerami dochodzeniowymi, tylko z detektywem.

– Pamiętam jedynie oficera dochodzeniowego Dalessio – odpowiada Lucy. – Detektyw chyba nie dotarł w ogóle do domu, tylko od razu pojechał do szpitala. Kiedy mojego gościa odwieziono do szpitala.

– Nie mam go teraz w rozkładzie oficerów pełniących służbę, ale mogę mu zostawić wiadomość – mówi telefonistka trochę niepewnie. Powinna czuć się niepewnie, ponieważ oficer dochodzeniowy John Dalessio jest kimś, kogo nigdy nie widziała ani o nim nie słyszała. W świecie Lucy OD to Osoba Dodana, śledczy istniejący wyłącznie w komputerze, do którego włamała się ona sama albo ktoś z ludzi dla niej pracujących. W tym przypadku jest to komputer Biura Szeryfa Hrabstwa Broward.

– Mam jego wizytówkę, zadzwonię do niego. Dziękuję pani za pomoc. – Lucy przerywa połączenie.

Ona i Rudy stoją na środku kuchni, pogryzając jabłka i wpatrując się w siebie nawzajem.

– To dość zabawne, jeśli o tym dobrze pomyśleć. – Lucy ma nadzieję, że Rudy zacznie dostrzegać zabawne strony sytuacji z lokalną policją. – Dzwonimy na policję dla dopełnienia formalności. Albo, co gorsza, dla jaj.

Rudy wzrusza potężnymi ramionami, pochłaniając jabłko i ocierając sok z brody wierzchem dłoni.

– Zawsze lepiej jest włączyć lokalną policję. W rozsądnych granicach, oczywiście. Nigdy nie wiesz, kiedy mogliby się na coś przydać. – Teraz on

włącza lokalnych gliniarzy w swoją ulubioną grę. – Zapytałaś o Dalessia, więc mają to w aktach. Nie nasza wina, że faceta trudno wyśledzić. Przez resztę życia będą usiłowali zgadnąć, kto to był Dalessio: odszedł, wylali go czy co? Ktoś go znał? Stanie się legendą, będą mieli o czym gadać.

– O nim i o Tinie Franks – mówi Lucy, przeżuwając kęs jabłka.

– Po prawdzie byłoby ci znacznie trudniej udowodnić, że jesteś Lucy Farinelli niż Tiną Franks albo kimkolwiek innym, kim zechcesz danego dnia zostać. Mamy akty urodzenia i wszystkie inne lipne papiery dla naszych zmyślonych tożsamości. Niech to, nie mam nawet pojęcia, gdzie się znajduje moja prawdziwa metryka.

– Nie jestem pewna, czy jeszcze wiem, kim jestem – przyznaje Lucy, podając mu papierowy ręcznik.

– Ja też nie. – Rudy odgryza kolejny wielki kęs jabłka.

– Nie jestem pewna, czy wiem, kim ty jesteś, skoro już o tym mowa. A więc gdy przyjedzie radiowóz, otworzysz im i powiesz, żeby wezwali oficera Dalessio, jeśli chcą zabrać rysunek.

– Dobry plan – uśmiecha się Rudy. – Ostatnio zadziałał idealnie.

Lucy i Rudy trzymają kombinezony i zestawy śledcze w strategicznych miejscach – w rezydencjach i pojazdach – i potrafią osiągnąć zadziwiająco wiele dzięki czarnym skórzany butom, czarnym podkoszulkom i bojówkom, czarnym kurtkom z żółtym napisem TECHNIK DOCHODZENIOWY na plecach, zwykłym aparatom i innemu podstawowemu sprzętowi, a przede wszystkim dzięki językowi ciała i zachowaniu. Najprostszy plan jest zazwyczaj najlepszy, więc kiedy Lucy spanikowała, znalazłszy Henri, i zadzwoniła na 911, żeby wezwać karetkę, natychmiast zadzwoniła też do Rudy'ego. Przebrał się i po prostu wszedł do jej domu kilka minut po gliniarzach, powiedział, że jest nowym technikiem w dziale dochodzeniowym, ale policjanci nie muszą śledzić każdego jego

kroku – i to im wystarczyło, ponieważ deptanie technikom dochodzeniowym po piętach jest uważane za obciach w policji.

Lucy, czy raczej Tina Franks, jak się przedstawiła tego okropnego dnia, opowiedziała wówczas policji własny zestaw kłamstw, Henri, przedstawiona również innym imieniem i nazwiskiem, była gościem spoza miasta, i kiedy Lucy brała prysznic, Henri, odsypiająca właśnie kaca, usłyszała napastnika i zemdląca, a ponieważ ma tendencję do hysterii i omdleń, a poza tym mogła rzeczywiście zostać napadnięta, Lucy zadzwoniła po karetkę. Nie, ona sama nie widziała napastnika. Nie, o ile jej wiadomo, nic nie zginęło. Nie, nie sądzi, żeby napaść na Henri miała podłoże seksualne, choć oczywiście trzeba to sprawdzić w szpitalu, ponieważ tak właśnie się robi, prawda? Tak właśnie się robi we wszystkich serialach policyjnych, prawda?

– Zastanawiam się, ile im zajmie stwierdzenie, że OD Dalessio nigdy nie pojawia się w żadnym innym miejscu przestępstwa poza twoim domem – mówi Rudy z rozbawieniem. – Dobrze, że ich biuro zajmuje się większością Broward. Hrabstwo jest wielkie jak Teksas, więc nie mają pojęcia, kto przyjeżdża i wyjeżdża.

Lucy spogląda na zegarek, sprawdzając czas od wezwania radiowozu.

– Ważne, że włączyliśmy pana Dalessio do sprawy, nie będzie się czuł urażony.

Rudy śmieje się, jego humor znacznie się poprawił. Potrafi bardzo długo się dąsać, kiedy się pokłóca.

– Okej. Gliny powinny zaraz tu być. Może powinnaś się zmyć. Nie dam facetom w mundurach rysunku. Dam im telefon Dalessia, powiem, że czułbym się lepiej, gdybym mógł z nim porozmawiać, ponieważ spotkaliśmy się tydzień temu, kiedy zgłosiłaś włamanie. Oni dodzwonią się

na jego sekretarkę, a kiedy wyjdą, twój uniżony sługa, legendarny Dalessio, oddzwoni do nich, mówiąc, że zajmie się sprawą.

– Nie wpuszczaj glin do mojego gabinetu.

– Drzwi są zamknięte na klucz, prawda?

– Tak. Gdybyś się bał, że Dalessio może być spalony, zadzwoń do mnie.

Przyjdę natychmiast i sama się z nimi rozprawię.

– Gdzieś się wybierasz?

– Myślę, że najwyższy czas przedstawić się sąsiadce – mówi Lucy.

Sala, gdzie wykonuje się sekcje szczególnie zmaltratowanych zwłok, to niewielka kostnica z chłodnią, do której można wejść, podwójnym zlewem i szafkami – wszystko z nierdzewnej stali – oraz specjalnym systemem wentylacyjnym, wciągającym przykre zapachy i mikroby. Ściany i podłoga pomalowane są antypoślizgowym szarym akrylem, odpornym na wodę, a także na środki czyszczące i dezynfekujące.

Najważniejsze elementy owego szczególnego pokoju to ruchomy stół sekcyjny, który jest po prostu ramą wózka na obrotowych kołach z hamulcami, i pojemnik na ciało, wtaczany na rolkach – co ma ograniczyć udział ludzi w transporcie zwłok, ale wcale nie ogranicza. Pracownicy prosektorium nadal dźwigają nieboszczyków i tak już zostanie. Stół jest pochyły, więc można z niego spuścić płyny, kiedy stoi obok zlewu, ale dziś nie będzie to potrzebne. Nie ma już żadnych płynów. Płyny ustrojowe Gilly Paulsson zostały zebrane i splukane dwa tygodnie temu, kiedy Fielding wykonywał pierwszą sekcję.

Tego ranka stół sekcyjny stoi pośrodku szarej akrylowej podłogi, a ciało Gilly Paulsson spoczywa w czarnym worku, wyglądającym jak kokon ułożony na lśniącym stalowym blacie. W tym pokoju nie ma okien wychodzących na zewnątrz, tylko rząderek okienek obserwacyjnych, które zamontowano za wysoko, żeby ktoś mógł coś przez nie zobaczyć. Błąd

projektu, na który doktor Scarpetta nie uskarżała się szczególnie, gdy wprowadziła się do tego budynku osiem lat temu, ponieważ nikt nie ma ochoty obserwować, co dzieje się w tym pokoju. Badane tu ciała zmarłych są wzdęte, zielone, pokryte robakami albo też tak paskudnie poparzone, że wyglądają jak węgiel drzewny.

Kay właśnie weszła, spędziwszy kilka minut w damskiej szatni, gdzie przebierała się w odpowiedni kombinezon ochronny.

– Przepraszam, że ci przerwałam pracę – mówi do Fieldinga, a przed oczami ma pana Whitby’ego w oliwkowych spodniach i czarnej kurtce. – Ale obawiam się, że twój szef naprawdę myślał, że zamierzam to zrobić bez ciebie.

– Ile pani powiedział? – pyta Fielding zza maski.

– Prawie nic. – Doktor Scarpetta nakłada już rękawiczki. – Nie wiem nic ponad to, co powiedział mi wczoraj, gdy zadzwonił na Florydę.

Fielding marszczy czoło, na którym pojawiają się kropelki potu.

– Wydawało mi się, że pani była u niego w gabinecie.

Doktor Scarpetcie przychodzi właśnie do głowy, że w tym pokoju może być podsłuch. Potem przypomina sobie, jak sama była szefową i wypróbowywała najrozmaitsze dyktafony w prosektorium, ale żaden się nie nadawał, ponieważ w kostnicy jest zawsze hałas, który tłumi nagrania głosu nawet na najlepszym sprzęcie. Przypomniawszy to sobie, odwraca się ku zlewowi, odkręca kurek, a woda odbija się głuchym echem od stalowej powierzchni.

– A to po co? – pyta Fielding, otwierając worek.

– Pomyślałam sobie, że przyda się nieco muzyki podczas pracy.

Fielding podnosi na nią wzrok.

– Jestem pewny, że można tu bez przeszkód rozmawiać. On nie jest aż tak bystry. Poza tym nie sądzę, żeby kiedykolwiek był w tym pokoju.

Pewnie nawet nie wie, gdzie to jest.

– Łatwo jest nie docenić ludzi, których się nie lubi. – Doktor Scarpetta pomaga Fieldingowi rozchylić poły worka.

Dwa tygodnie w chłodni spowolniły rozkład, ale ciało odwadnia się i wysycha, będąc na najlepszej drodze do mumifikacji. Smród jest dość mocny, lecz jej to nie przeszkadza. Odór to kolejny sposób, w jaki przemawiają zwłoki, a Gilly Paulsson nic nie może poradzić na swój wygląd, zapach ani na fakt, że jest martwa. Leży blada, zielonkawa i pozbawiona krwi, twarz ma zmacerowaną z powodu odwodnienia, oczy półprzymknięte, z twardówką pod powiekami wyschniętą prawie na czarno. Wargi są zbrązowiałe, lekko rozchylone, długie jasne włosy splątane wokół uszu i podbródka. Kay zauważa, że wokół szyi nie ma obrażeń zewnętrznych, także takich, które mogłyby się pojawić podczas sekcji – jak na przykład śmiertelny grzech dziurki od guzika, której nigdy nie powinno być, ale zdarza się, gdy ktoś niedoświadczony lub nieuważny odchyła tkanekę szyi, żeby wydobyć język oraz krtani i przez przypadek zbyt mocno naciska na skórę. Obrażenia na szyi powstałe w trakcie sekcji dosyć trudno potem wytłumaczyć zrozpaczonej rodzinie.

Nacięcie w kształcie Y zaczyna się przy końcach obojczyka i spotyka na wysokości mostka, po czym idzie dalej w dół, okrążając pępek i kończąc się na łonie. Cięcia zostały zaszyte nićmi, które Fielding zaczyna teraz przecinać skalpelem, jakby rozpruwał szwy na korpusie ręcznie wykonanej lalki z gałganków, podczas gdy Kay bierze do ręki teczkę i przegląda protokół sekcji Gilly oraz wstępne wyniki śledztwa. Miała metr pięćdziesiąt siedem wzrostu, ważyła czterdzieści siedem kilo, w lutym skończyłaby piętnaście lat. Miała niebieskie oczy. Najczęściej powtarzającym się zwrotem w całym raporcie z sekcji są słowa „w normie”. Mózg, serce,

wątroba, płuca – wszystkie narządy wewnętrzne wyglądały tak, jak powinny u zdrowej nastolatki.

Fielding znalazł jednak ślady, które teraz będą zapewne jeszcze lepiej widoczne, ponieważ z ciała wyciekła niemal cała krew, a ta uwięziona w tkankach z powodu siniaków jest doskonale widoczna na tle bardzo bladej skóry. Na schemacie zaznaczył otarcia na wierzchu dłoni. Doktor Scarpetta odkłada teczkę z powrotem na biurko, a Fielding wyjmując z klatki piersiowej ciężki plastikowy worek z wyciętymi narządami wewnętrznymi. Doktor Scarpetta podchodzi do zwłok i podnosi jedną ze szczupłych rąk. Jest pomarszczona i blada, zimna i wilgotna, ale Kay trzymają w okrytej rękawiczką dłoni, obraca, przygląda się sińcom. Ręka i ramię są wiotkie. Stężenie pośmiertne ustąpiło, ciało nie opiera się już, jakby życie odeszło zbyt daleko, by móc stawiać opór śmierci. Siniak jest ciemnoczerwony na tle bladej, wręcz upiornie białej skóry. Znajduje się dokładnie na wierzchu drobnej, skurczonej dłoni; czerwień rozciąga się od knykcia kciuka po knykciec małego palca. Na drugiej, lewej dłoni widać podobny siniak.

– Ach, to – mówi Fielding. – Dziwaczne, nie? Jakby ktoś trzymał ją za rękę. Ale po co? – Odwiązuje worek i otwiera go, a ze środka bucha ohydny odór brązowawej papki. – Fuj. Nie mam pojęcia, co niby można by dzięki temu osiągnąć. Ale zapraszam.

– Połóż to na stole, przejrzę wszystko w worku. Może ktoś ją przytrzymał. Jak ją znaleziono? Opisz mi pozycję ciała, gdy ją znaleziono – prosi Kay, podchodząc do zlewu i wyszukując parę grubych gumowych rękawic sięgających niemal do łokci.

– Nie jestem pewien. Gdy matka przyszła do domu, usiłowała ją reanimować. Mówiła, że nie pamięta, czy Gilly leżała twarzą w dół czy na plecach, na boku czy jakkolwiek inaczej, no i nie ma pojęcia, co z rękami.

– Plamy opadowe?

– Bez szans. Nie była wystarczająco długo martwa.

Gdy krew przestaje krążyć, układa się w naczyniach zgodnie z prawem ciężenia i tworzy wzór ciemnoróżowych i białych plam tam, gdzie cokolwiek styka się z powierzchnią ciała, naciskając na nie. I wprawdzie wszyscy zawsze się spieszą, żeby jak najszybciej znaleźć się przy nieboszczyku, ale spóźnienia mają swoje dobre strony. Wystarczy parę godzin, by pojawiły się plamy opadowe i stężenie pośmiertne, które pozwalają określić pozycję ciała w chwili śmierci, nawet jeśli żywi poprzestawiają przedmioty lub pozmieniają zeznania.

Doktor Scarpetta odciąga delikatnie dolną wargę Gilly w poszukiwaniu śladów spowodowanych przez dłoń przyłożoną do ust, gdyby ktoś usiłował uciszać dziewczynkę albo też, aby ją udusić przyciskał jej głowę do łóżka.

– Proszę bardzo, ale już sprawdzałem – mówi Fielding. – Nie znalazłem żadnych innych obrażeń.

– A język?

– Nie ugryzła się. Nic w tym stylu. Nie chcę pani mówić, gdzie jest jej język.

– Chyba się domyślam. – Kay zanurza ręce w torbie pełnej zimnych, wodnistych, pokawałkowanych narządów i ocenia je na dotyk.

Fielding myje dłonie w rękawiczkach pod mocnym strumieniem wody bijącej w metalowy zlew, po czym wyciera je ręcznikiem.

– Widzę, że Marino nie przyszedł na randkę.

– Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa – odpowiada doktor Scarpetta z wyraźnym niezadowoleniem.

– Nigdy nie gustował w ciałach w stanie rozkładu.

– Niepokoiłabym się o każdego, kto je lubi.

– Nie mówiąc już o dzieciach. O ludziach, którzy lubią martwe dzieci ~ dodaje Fielding, pochylając się nad brzegiem stołu i przyglądając się ciału.

– Mam nadzieję, że coś pani znajdzie, bo ja nie byłem w stanie. Doprowadziło mnie to do czarnej rozpacz.

– A co z wybroczynami? Oczy są w opłakanym stanie, zbyt marnym, żebym mogła w tej chwili coś wyrokować.

– Była już dość przekrwiona, jak ją przywieźli. Trudno z pewnością stwierdzić, czy miała wybroczyny, ale nie zauważyłem.

Doktor Scarpetta wyobraża sobie ciało Gilly tuż po przywiezieniu do kostnicy, kiedy była martwa od zaledwie kilku godzin; jej przekrwioną twarz, zaczerwienione oczy.

– Obrzęk płuc?

– Do pewnego stopnia.

Znalazła język; podchodzi do zlewu i płucze go, a następnie suszy niewielkim frotowym ręcznikiem, z tych najtańszych, kupowanych z budżetu stanowego. Przysuwa lampę chirurgiczną, włącza ją i pochyła się nad językiem.

– Masz lupę? – pyta, dotykając języka raz jeszcze ręcznikiem i dostosowując światło.

– Już podaję. – Fielding otwiera szufladę, znajduje szkło powiększające i przynosi Kay. – Widać coś? Bo ja nic nie zauważyłem.

– Zdarzały jej się jakieś ataki?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Rzeczywiście, nie widzę żadnych obrażeń. – Szukała dowodów na to, że Gilly zakrztusiła się językiem. – Zrobiłeś jej wymaz z języka i wnętrza jamy ustnej?

– Pewnie. Zrobiłem wymazy ze wszystkiego, z czego się dało – odpowiada Fielding, wracając do stołu i opierając się ponownie. – Nie znalazłem nic oczywistego. We wstępnych badaniach laboratorium nie

wyszło nic, co mogłoby wskazywać na atak na tle seksualnym. Nie wiem, czy odkryli cokolwiek innego.

– Na formularzu oględzin napisałeś, że była ubrana w piżamę, kiedy ją przywieziono. Góra piżamy wywrócona na lewą stronę.

– O ile pamiętam, tak. – Fielding kartkuje dokumenty.

– Zrobiłeś zdjęcia dokładnie wszystkiego. – Kay nie pyta, po prostu żąda potwierdzenia czegoś, co dla niej jest rutyną.

– Ejże – odpowiada Fielding ze śmiechem. – A czym to ja jestem uczniem?

Dawna szefowa rzuca mu krótkie spojrzenie. Uczyła go lepszej roboty, ale nie mówi tego głośno.

– Z przyjemnością zawiadamiam, że nie przegapiłeś niczego na języku.

– Wrzuca narząd z powrotem do worka, gdzie spoczywa sterta zbrązowiałych kawałków gnijących organów wewnętrznych Gilly Paulsson.

– Obróćmy zwłoki. Musimy ją wyjąć z tego kokonu.

Dokonują tego etapami. Fielding bierze ciało pod pachy i unosi, a doktor Scarpetta wyciąga spod spodu worek, po czym on kładzie ciało na brzuchu, a ona odkłada worek na bok. Ciężki winyl szeleści głucho, gdy Kay zwija go i kładzie na wózku. Oboje patolodzy w tej samej chwili dostrzegają siniec na plecach Gilly.

– A niech mnie – mówi Fielding nerwowo.

Jest to tylko lekkie zaczerwienienie, dość okrągłe, wielkości mniej więcej srebrnego dolara, znajdujące się po lewej stronie pleców, tuż pod łopatką.

– Przysięgam, że go tu nie było, gdy ją oglądałem – zapewnia Fielding, schylając się niżej i przysuwając lampę chirurgiczną, żeby lepiej widzieć. – Cholera. Trudno mi uwierzyć, że mógłbym go nie zauważyć.

– Wiesz, jak to jest. – Doktor Scarpetta nie mówi mu, co myśli. Nie ma sensu go krytykować. Za późno. – Stłuczenia zawsze są wyraźniejsze po sekcji.

Bierze z wózka chirurgicznego skalpel i nacina głęboko zaczerwienione miejsce, sprawdzając, czy zabarwienie mogło powstać po śmierci, ale tak nie jest. W leżącej poniżej tkance miękkiej znajduje się rozlana krew, co zazwyczaj oznacza, że naczynia krwionośne popękały z powodu jakichś obrażeń, kiedy w ciele było jeszcze ciśnienie krwi – tym właśnie są stłuczenia i siniaki: mnóstwem drobnych zmiądzzonych i przeciekających naczynek krwionośnych. Fielding kładzie linijkę obok nacięcia na zaczerwienionej skórze i robi zdjęcia.

– Co z pościelą? – pyta Kay. – Sprawdzaliście?

– Nie widziałem pościeli. Policja zabrała, oddali do laboratorium. Mówiłem już: brak płynu nasiennego. Cholera, nie mogę uwierzyć, że przegapiłem tego siniaka.

– Trzeba zapytać, czy znaleźli na pościeli lub poduszce płyn obrzękowy, a jeśli tak, to niech przebadają plamę pod kątem nabłonka orzęsionego. Jeśli to znajdą, będzie dowód na śmierć wskutek uduszenia gwałtownego.

– Cholera – powtarza Fielding. – Jak mogłem przegapić tego siniaka? W takim razie uważasz pewnie, że to zabójstwo?

– Myślę, że ktoś na niej usiadł – mówi doktor Scarpetta. – Leży na brzuchu, a ktoś przyciska jej plecy kolanem, opierając się na niej całym ciężarem, wyciąga jej ręce do góry, nad głowę, i przytrzymuje dłonie na łóżku. To by tłumaczyło otarcia na wierzchach dłoni i plecach. Myślę, że to uduszenie gwałtowne, a więc niewątpliwie zabójstwo. Ktoś siedzi na twojej klatce piersiowej lub plecach i nie możesz oddychać. Okropna śmierć.

Sąsiadka mieszka w domu zbudowanym z falistego betonu i szkła, z płaskim dachem – budynku, który podejmuje dialog z krajobrazem, odbijając w sobie wodę, ziemię i niebo, i przypomina Lucy architekturę fińską. Nocą dom sąsiadki wygląda jak ogromna zapalona latarnia.

Na dziedzińcu widać fontannę oraz palmy i kaktusy, ozdobione lampkami w święta. Zielony nadmuchiwany Grinch stroi miny w pobliżu drzwi z podwójnego szkła; taki świąteczny element Lucy uznałaby za komiczny, gdyby w tym domu mieszkał ktokolwiek inny. W lewym górnym rogu futryny znajduje się kamera, która w założeniu miała być niewidzialna, więc gdy Lucy naciska dzwonek, wyobraża sobie swoją twarz wypełniającą monitor. Nikt nie odpowiada i Lucy naciska dzwonek raz jeszcze. Nadal brak odpowiedzi.

Okej, wiem, że jesteś w domu, bo zabrałaś gazetę z trawnika, a chorągiewka na skrzynce na listy jest podniesiona. Wiem, że mnie widzisz, zapewne siedzisz w kuchni, wpatrzona w ekranik telewizorka, trzymając słuchawkę przy uchu, żeby sprawdzić, czy oddycham lub gadam do siebie, a tak się składa, że robię jedno i drugie, ty kretynko. Otwórz te cholerne drzwi albo będę tu stała cały dzień.

Nic się nie zmienia przez jakieś pięć minut. Lucy czeka pod ciężkimi szklanymi drzwiami, zastanawiając się, co też ta kobieta widzi na ekranie, i

dochodzi do wniosku, że chyba w džinsach, podkoszulku, tenisówkach i z saszetką przy pasie nie wygląda szczególnie groźnie. Ale to ciągle naciskanie dzwonka musi być irytujące. Może sąsiadka jest pod prysznicem. Może wcale nie gapi się w monitor. Lucy dzwoni raz jeszcze. Kobieta nie podejździe do drzwi. Wiedziałam, że tego nie zrobisz, kretynko, mówi do sąsiadki w myślach Lucy. Mogłabym dostać zawału przed tą twoją kamerą, a i tak byś nie zareagowała. Trzeba cię zmusić do podejścia do drzwi. Przypomina jej się Rudy machający fałszywą legitymacją, żeby nastraszyć Latynosa dwie godziny temu, więc decyzja podejmuje się sama. Okej, spróbujmy takiej metody i zobaczymy, co na to powiesz. Wyjmuje z tylnej kieszeni obcisłych džinsów płaskie etui i podtyka odznakę w zasięg wcale nie niewidocznej kamery.

– Hej – mówi głośno. – Policja. Proszę się nie niepokoić, mieszkam obok, ale jestem policjantką. Proszę podejść do drzwi. – Naciska ponownie dzwonek, trzymając fałszywą legitymację dokładnie przed okiem kamery.

Poci się i mruga oczami w pełnym słońcu. Czeka i nasłuchuje, ale nic nie słyszy. Kiedy zamierza raz jeszcze pomachać fałszywą odznaką, nagle rozlega się głos, jakby Bóg był wrednym babszylem.

– Czego pani chce? – pyta głos przez niewidoczny mikrofon obok wcale nie niewidocznej kamery w górze framugi drzwi.

– Ktoś wdarł się na teren mojej posesji, proszę pani – odpowiada Lucy. – Myślę, że mogłoby panią zainteresować, co stało się w sąsiedztwie.

– Powiedziała pani, że jest z policji. – Nieprzyjazny głos brzmi oskarżycielsko, słychać w nim zdecydowanie południowy akcent.

– Jestem jednym i drugim.

– Jednym i drugim czym?

– Policjantką i pani sąsiadką. Mam na imię Tina. Czy mogłaby pani podejść do drzwi?

Milczenie, ale po niecałych dziesięciu sekundach Lucy widzi sylwetkę sunącą z głębi domu ku szklanym drzwiom, po czym postać przemienia się w czterdziestoletnią kobietę ubraną w dres i buty do biegania. Otwarcie wszystkich zamków trwa w nieskończoność, ale w końcu sąsiadka usuwa zabezpieczenia, wyłącza alarm i otwiera jedno szklane skrzydło. Na razie nie zdradza ochoty na wpuszczanie Lucy do środka; staje na progu, spoglądając na nią bez cienia sympatii.

– Tylko szybko – mówi. – Nie lubię obcych i nie mam żadnego interesu w poznawaniu sąsiadów. Mieszkam tutaj właśnie dlatego, że nie chcę widywać sąsiadów. Na wypadek gdyby pani nie przyszło to do głowy, to nie jest osiedle. Tutaj ludzie przyjeżdżają, bo chcą spokoju i prywatności.

– Co nie jest? – Lucy rozgrzewa się do walki. Rozpoznała przedstawicielkę znudzonych, zblazowanych bogaczy, więc zgrywa pierwszą naiwną. – Pani dom nie jest czy osiedle nie jest?

– Nie jest co? – Zdziwienie na moment zastępuje wrogość. – O czym pani mówi?

– O tym, co się stało w sąsiedztwie, w moim domu. On wrócił – wyjaśnia Lucy, tak jakby sąsiadka wiedziała doskonale, co ma na myśli. – Być może dziś wcześniej rano, ale nie jestem pewna, bo wczoraj cały dzień i noc byłam za miastem i dopiero co przyleciałam helikopterem do Boca. Wiem, kto jest jego ofiarą, ale martwię się o panią. Byłoby niedobrze, gdyby wpadł w pani kilwater, że tak powiem.

– Och – odpowiada sąsiadka, która ma piękną łódź przycumowaną do muru od strony morza, więc wie dokładnie, co to kilwater i jak niedobrze, wprost katastrofalnie jest mieć policyjną łódkę w kilwaterze. – Jak to możliwe, że jest pani policjantką i mieszka w takim domu? – pyta, nie patrząc nawet w stronę łososiowej willi w śródziemnomorskim stylu. – I co

z tym helikopterem? Niech mi pani nie mówi, że na dodatek ma pani helikopter.

– Boże, ależ pani dociekliwa – zauważa Lucy z westchnieniem. – To długa opowieść. Chodzi o powiązania z Hollywood. Właśnie się tu przeprowadziłam z Los Angeles. Powinnam była zostać w Beverly Hills, gdzie moje miejsce, ale wszystko przez ten cholerny film, przepraszam za wyrażenie. Jestem pewna, że słyszała pani, co się dzieje, gdy produkuje się film i postanawia kręcić w naturalnych plenerach.

– Tu obok? – Oczy sąsiadki otwierają się szeroko. – Będą kręcić film w sąsiednim domu, u pani?

– To naprawdę nierozsądne, żebyśmy o tym rozmawiały na zewnątrz. – Lucy rozgląda się dyskretnie. – Czy mogłabym wejść do środka? Ale musi mi pani obiecać, że to pozostanie między nami. Jeśli coś przedostanie się na zewnątrz... no wie pani.

– Ha! – Kobieta wyciąga palec w kierunku Lucy i uśmiecha się do niej szeroko. – Wiedziałam, że pani jest sławna!

– Nie! Proszę nie mówić, że aż tak łatwo mnie rozpracować! – Lucy wchodzi do minimalistycznie urządzonego salonu, całego w bieli, ze szklaną ścianą wysokości dwóch pięter, przez którą widać granitowe patio, basen i wyścigową motorówkę długości ośmiu metrów (Lucy wątpi, czy jej zepsuta, próżna sąsiadka umie spuścić łódź na wodę, nie mówiąc już o pływaniu). Łódka nazywa się „Postanowienie”, jest zarejestrowana na Wielkim Kajmanie, w karaibskim raju podatkowym.

– Piękna łódź – mówi Lucy, siadając na białym fotelu, który wydaje się zawieszony między wodą a niebem. Kładzie komórkę na szklanym stoliku.

– Włoska. – Kobieta uśmiecha się tajemniczo, wcale nie przyjemnie.

– Przypomina mi Cannes.

– Ach tak! Festiwal filmowy.

– Nie, niezupełnie. Ville de Cannes, łódki, jachty. Zaraz za starym klubem skręca się w nabrzeże numer jeden, obok wypożyczalni łodzi Posejdon i Amfitryta na obrzeżach Marsylii. Sympatyczny gość, który tam pracuje, Paul, jeździ starym jaskrawożółtym pontiakiem, to dziwaczny widok na południu Francji. Trzeba przejść koło magazynów, skręcić w nabrzeże numer cztery i kierować się ku latarni morskiej. Nigdy w życiu nie widziałam tylu mangust i lampartów. Kiedyś miałam zodiaka ze wspaniałym silnikiem Suzuki, ale wielką łódź? Kto ma na to czas? Okej, pani pewnie ma. – Spogląda na łódkę. – Oczywiście Biuro Szeryfa i Urząd Celny dadzą pani popalić, jeśli popłynie pani ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Kobieta nie wie, co powiedzieć. Jest ładna, ale nie w typie Lucy. Wygląda na bardzo bogatą, rozpuszczoną i uzależnioną od botoksu, kolagenu, wód termalnych oraz całej najnowszej magii dermatologicznej. Zapewne minęły lata od czasu, kiedy mogła zmarszczyć czoło. Ale w sumie niepotrzebne jej negatywne reakcje. Na jej twarzy gniew i złość byłyby zbędne.

– Jak już mówiłam, jestem Tina. A pani?

– Możesz mi mówić Kate. Tak nazywają mnie przyjaciele – odpowiada zepsuta bogata kobieta. – Mieszkam tu od siedmiu lat i nigdy dotychczas nie było problemów, jeśli nie liczyć Jeffa, który na szczęście zdecydował się przenieść na Kajmany. Podejrzewam, że tak naprawdę nie jesteś policjantką.

– Bardzo przepraszam, że cię nieco oszukałam, ale nie wiedziałam, jak cię zwabić do drzwi, Kate.

– Widziałam odznakę.

– Tak, po to ją pokazałam. Nie jest prawdziwa – znaczy niezupełnie. Ale kiedy przygotowuję się do roli, staram się w nią jak najlepiej wczuć, więc

reżyser zasugerował, że nie tylko powinnam wprowadzić się do domu, w którym będziemy kręcić, ale też nosić przy sobie odznakę, jeździć takim samochodem jak agent specjalny i tak dalej.

– Wiedziałam! – Kate znów wyciąga palec w jej stronę. – Te sportowe samochody. Ha! To wszystko część twojej roli, prawda? – Układa długonogie, szczupłe ciało w otchłani wielkiego białego fotela i kładzie sobie na brzuchu poduszkę. – Ale nie kojarzę twojej twarzy.

– I dobrze.

Kate usiłuje zmarszczyć brwi.

– Ale powinnaś wyglądać choć trochę znajomo. Poza tym nie jestem w stanie wymyślić, kim dokładnie jesteś. Tina co?

– Mangusta. – Lucy podaje nazwę ulubionego modelu łodzi, całkowicie przekonana, że sąsiadka nie skojarzy tego z poprzednią tyradą na temat Cannes, ale raczej uzna, że Mangusta brzmi znajomo, jakoś dziwnie znajomo.

– Ach tak, chyba słyszałam to nazwisko. Tak mi się wydaje. Może. – Kate wygląda na nieco bardziej przekonaną.

– Nie grałam dużo, żadnych większych ról, choć niektóre filmy miały powodzenie. To moja pierwsza poważna rola, można tak powiedzieć. Zaczynałam na off-off-Broadwayu, potem przeskoczyłam do bardzo niezależnych filmów – brałam wszystko, co się nawinęło. Mam tylko nadzieję, że nie dostaniesz szału, gdy pojawią się tu ciężarówki i sprzęt, ale to na szczęście dopiero w lecie, a wszystko w ogóle może wziąć w łeb przez tego szaleńca, który się tu za nami przywłókł.

– Co za pech. – Kate pochyła się w wielkim białym fotelu.

– Nie musisz mi mówić.

– Och. – Oczy Kate ciemnieją, wygląda na zaniepokojoną. – Aż z zachodniego wybrzeża? Stamtąd przywłókł się za tobą? Mówiłaś, że masz

helikopter.

– Jestem pewna – odpowiada Lucy. – Jeśli nigdy nikt cię nie śledził, nie masz pojęcia, co to za koszmar. Nigdy bym nikomu tego nie życzyła. Wydawało mi się, że przyjazd tutaj to najwspanialsza rzecz, jaka mogła spotkać mnie w życiu. Ale on jakoś nas znalazł i wyśledził. Jestem pewna, że to ten sam, całkiem pewna. Wolałabym, żeby nie śledziło mnie dwóch szaleńców, więc jakkolwiek dziwnie to brzmi, miejmy nadzieję, że to on. A poza tym tak, zdarza mi się w razie potrzeby podróżować helikopterem, ale nie z zachodniego wybrzeża.

– Przynajmniej nie mieszkasz sama – zauważa Kate.

– Moja koleżanka, też aktorka, właśnie się wyprowadziła, wróciła na zachód. Wszystko przez tego włamywacza.

– A ten twój przystojny chłopak? Prawdę mówiąc, od początku mi się wydawało, że powinien być aktorem, kimś znanym. Usiłowałam wymyślić, kim dokładnie. – Uśmiecha się szelmowsko. – On ma na czole napisane „Holrywood”. Co zrobił?

– Głównie narobił kłopotów.

– Och, jeśli coś jest nie w porządku, moja droga, to przychodź do Kate. – Klepie poduszkę leżącą na jej brzuchu. – Potrafię czasem pomóc.

Lucy wygląda na zewnątrz, na smukłą motorówkę „Postanowienie” lśniąca bielą w słońcu. Zastanawia się, czy były mąż Kate został bez łodzi i teraz ukrywa się przed urzędem podatkowym na Kajmanach.

– W zeszłym tygodniu ten świr wtargnął na teren mojej posesji, w każdym razie zakładałam, że to on. Zastanawiam się...

Na pozbawionej zmarszczek napiętej twarzy Kate pojawia się wyraz konsternacji.

– Och. Ten, który cię śledzi? Nie, nie widziałam go, nie żebym coś pamiętała, ale z drugiej strony przewija się tu tyle osób, ci wszyscy

sprzątacze, ogrodnicy, hydraulicy i tak dalej. Widziałam za to samochody policyjne i karetkę. Przeraziłam się śmiertelnie. To sprawy, które niszczą okolicę.

– A więc byłaś wtedy w domu. Moja koleżanka, ta, która tu wcześniej mieszkała, leżała w łóżku z kacem. Być może wyszła na chwilę, żeby posiedzieć na słońcu.

– Tak, widziałam ją.

– Naprawdę?

– Oczywiście – odpowiada Kate. – Byłam na górze w siłowni i właśnie spojrzałam na dół i zobaczyłam, jak wychodzi z kuchni. Pamiętam, że miała na sobie piżamę i szlafrok. Skoro miała kaca, to wszystko oczywiste.

– Pamiętasz, która to mogła być godzina? – pyta Lucy, a komórka leżąca na stoliku cały czas nagrywa rozmowę, – Niech no pomyślę. Dziewiąta? Albo coś koło tego. – Kate wskazuje za siebie, w kierunku domu Lucy. – Siedziała koło basenu.

– A potem?

– Byłam na bieżni – tłumaczy, ponieważ w sposobie myślenia Kate wszystko obraca się wokół niej samej. – Niech no pomyślę, chyba oderwało mnie coś w telewizji. Nie, chyba telefon. Pamiętam, że wyrzałam znowu, ale jej już nie było, zapewne wróciła do domu. Ogólnie nie siedziała tam zbyt długo.

– Jak długo ćwiczyłaś na bieżni? A poza tym czy mogłabym obejrzeć twoją siłownię, żebyśmy mogła zobaczyć, skąd dokładnie ją widziałaś?

– Ależ oczywiście, chodź, kochana. – Kate podnosi się z wielkiego białego fotela. – Może jakiegoś drinka? Chętnie napiłabym się wywaru z mimozy po tych wszystkich opowieściach o szaleńcach, wielkich hałaśliwych ciężarówkach filmowców, helikopterach i tak dalej. Zazwyczaj ćwiczę na bieżni przez pół godziny.

Lucy zabiera komórkę ze stolika.

– Napiję się tego samego, co ty – mówi.

Jest już około jedenastej, kiedy doktor Scarpetta spotyka się z Marinem przy wypożyczonym samochodzie, stojącym na parkingu jej dawnego biura. Ciemne chmury kojarzą się jej z gniewnymi pięściami sunącymi po niebie. Słońce co jakiś czas wysuwa się spoza nich, a silny wiatr targa ubraniem i włosami Kay.

– Fielding jedzie z nami? – pyta Marino, otwierając suwa. – Zakładam, że to ja mam prowadzić? Jakiś sukinsyn klęknął sobie na niej i ją udusił? Co za cholerny skurwysyn. Żeby zabić w ten sposób dziecko! Musiał być spory, żeby przytrzymać ją tak, że nie mogła się ruszyć, nie sądzisz?

– Fielding nie jedzie. Możesz prowadzić. Kiedy nie jesteś w stanie oddychać, panikujesz i walczysz ze wszystkich sił. Więc ten napastnik nie musiał być olbrzymem, ale musiał być wystarczająco duży i silny, żeby ją przytrzymać, przyszpilić. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to jest przypadek uduszenia gwałtownego, a nie mechanicznego.

– I to właśnie powinno się zrobić temu skurwysynowi, jak go złapią. Dwóch potężnych strażników powinno go przyszpilić i usiąść mu na klatce piersiowej, żeby nie mógł oddychać, niech zobaczy, jak to jest. – Wsiadają, a Marino włącza silnik. – Jakby co, to ja się zgłaszam na ochotnika. Chciałbym to zrobić. Jezu, zrobił coś takiego dziecku!

– Czy możemy to „zabijmy wszystkich, Bóg rozpozna swoich” odłożyć na potem? – pyta doktor Scarpetta. – Mamy mnóstwo roboty. Co wiesz o jej matce?

– Skoro Fielding nie jedzie, zakładam, że to ty do niej dzwoniłaś?

– Powiedziała jej mniej więcej tyle, że chciałabym porozmawiać. Odpowiadała nieco dziwnie przez telefon. Ona wierzy, że Gilly zmarła na grypę.

– Powiesz jej?

– Nie wiem, co jej powiem.

– Jedno jest pewne: federalni będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, że odwiedzasz rodzinę ofiary. Nic nie zachwyca ich bardziej, niż gdy mają swoje haczyki w sprawie, która nie powinna ich w ogóle obchodzić, a ty wypytujesz rodzinę. – Marino uśmiecha się szeroko, jadąc powoli przez zatłoczony parking.

Doktor Scarpetta nie przejmuje się tym, co myślą federalni, za to patrzy na swój dawny budynek, znany jako Biotech II, na sterylny szary kształt ozdobiony ciemnoczerwoną cegłą, na skrzydło prosektoryjne przykryte dachem przywodzącym na myśl doklejone do budynku igloo. Teraz, skoro wróciła, mogła tu być przez cały czas. Nie dziwi jej to, że jedzie na miejsce śmierci, zapewne także miejsce zbrodni, w Richmondzie, i nie obchodzi jej, co FBI albo Marcus, albo też ktokolwiek inny, myślą o wizytach patologa u rodziny.

– Mam wrażenie, że twój kumpel doktor Marcus też będzie zachwycony – dodaje z sarkazmem Marino, jakby czytał jej w myślach. – Powiedziałaś mu, że śmierć Gilly to zabójstwo?

– Nie.

Nie poszukała nawet głównego koronera, żeby mu cokolwiek powiedzieć, gdy skończyła z Gilly Paulsson, tylko umyła się, przebrała z

powrotem w kostium i przejrzała próbki mikroskopowe. Wystarczy, jak Fielding przekaze doktorowi Marcusowi fakty i wiadomość, że Kay skontaktuje się z nim później, a na razie jest dostępna pod telefonem komórkowym, gdyby było coś pilnego, zwłaszcza że doktor Marcus i tak nie zadzwoni. On chce mieć jak najmniej wspólnego z przypadkiem Gilly Paulsson. Kay jest teraz przekonana, że na długo przed tym, zanim zadzwonił do niej na Florydę, wiedział, że nie zrobi kariery na śmierci tej nastolatki i że jeśli nie zadziała szybko, spotkają go wyłącznie kłopoty i nieszczęście. A jakie może być w tym przypadku lepsze wyjście dla odwrócenia nieszczęścia od siebie niż telefon do własnej kontrowersyjnej poprzedniczki i odgromnika, Kay Scarpetty? Zapewne od początku podejrzewał, że Gilly Paulsson została zamordowana, i z jakiegoś powodu postanowił nie brudzić sobie rąk tą sprawą.

– Kto prowadzi śledztwo? – pyta Marina, gdy stoją w korku przelewającym się z I-95 w ulicę Czwartą. – Ktoś, kogo znamy?

– Nie. Nie było go tu za naszych czasów. – Detektyw znajduje lukę i przemyka na prawy pas. Skoro wrócił do Richmondu, będzie jeździł jak niegdyś w Richmondzie, czyli tak jak na początku policyjnej kariery w Nowym Jorku.

– Coś o nim wiesz?

– Sporo.

– Zamierzasz przez cały dzień nosić tę czapkę?

– A czemu nie? Masz dla mnie lepszą? Poza tym Lucy byłoby miło, gdyby zobaczyła, że noszę prezent od niej. Wiedziałaś, że przenieśli komendę główną policji? Już nie są na Dziewiątej, tylko tu niedaleko, w pobliżu hotelu Jefferson, w dawnym budynku Biura Rolnictwa.

Poza tym bez większych zmian, jeśli nie liczyć przemalowania radiowozów i pozwolenia na noszenie bejsbolówek, zupełnie jak w Nowym

Jorku.

– Rozumiem, że bejsbolówki to standard.

– Aha. Więc może nie czepiajmy się już mojej.

– Kto ci powiedział, że FBI macza w tym palce?

– Detektyw. Nazywa się Browning, wygląda sensownie, ale zabójstwami zajmuje się od niedawna, dotychczas pracował głównie przy zmianach na mapie miasta. Jeden dupek strzelający do drugiego dupka. – Marino otwiera notatnik i przewraca kartki, kierując się jednocześnie przez środek miasta ku Broad Street. – W czwartek czwartego grudnia odpowiada na wezwanie do zmarłego i jedzie pod adres, pod który my się teraz kierujemy, w Wachlarzu, tam, gdzie kiedyś był szpital Stuart Circle. Przerobiono go potem na drogie kondominium. Wiedziałaś o tym? To już po twoim wyjeździe. Chciałabyś mieszkać w dawnej sali szpitalnej? Bo ja nie.

– Długo mam jeszcze czekać na odpowiedź w sprawie FBI? Dlaczego w to weszli?

– Miasto ich zaprosiło. To jeden z tych niepasujących elementów. Nie mam pojęcia, dlaczego policja z Richmondu miałaby prosić federalnych o wtykanie tu nosa ani też dlaczego oni chcą to robić.

– A co o tym myśli Browning?

– Nie jest jakoś szczególnie podniecony, zakłada, że dziewczyna miała jakiś atak albo co.

– Myli się. A co z matką?

– To nieco inna sprawa. Dojdę do tego.

– A ojciec?

– Rozwiedli się, mieszka w Charlestonie w Karolinie Południowej. Lekarz. Jak na ironię, nie? Lekarz powinien wiedzieć doskonale, co to prosektorium, a teraz jego dziecko leży w worku w kostnicy przez dwa

tygodnie, ponieważ nie mogą się zdecydować, kto ma się zająć pogrzebem, gdzie ją pochować i o co tam jeszcze się kłóć.

– Na twoim miejscu w najbliższym czasie skręciłabym w prawo w Grace – mówi doktor Scarpetta. – I dalej jechała prosto.

– Dzięki, Magellanie. Przez wszystkie te lata to ja jeździłem po mieście. Jak sobie dawałem radę bez takiego pilota?

– W ogóle nie wiem, jak sobie dajesz radę beze mnie. Powiedz mi coś więcej o tym Browningu. Co znalazł u Paulssonów?

– Dziewczynka leżała w łóżku, na plecach, w piżamie. Matka w hysterii, jak nietrudno zgadnąć.

– Była przykryta?

– Pościel rozrzucona, prawdę mówiąc, w większości na podłodze, a matka powiedziała Browningowi, że tak to wszystko leżało, gdy wróciła z apteki. Ale ona ma problemy z pamięcią, jak się zapewne domyślasz. I myślę, że kłamie.

– W jakiej sprawie?

– Nie jestem pewny. Opieram swoje wnioski na tym, czego dowiedziałem się od Browninga przez telefon, czyli jak tylko sam z nią porozmawiam, zabiorę się do rewizji tych wniosków.

– A co ze śladami włamania? Mamy jakieś podstawy do podejrzeń?

– Browning najwyraźniej nie ma. Jak już mówiłem, on nie jest zachwycony tą sprawą. To niedobrze. Jeśli detektyw nie jest napalony na sprawę, zazwyczaj udziela się to technikom dochodzeniowym. Jeśli nie podejrzewasz włamania, gdzie na przykład zaczniesz szukać odcisków palców?

– Nie mów mi, że nawet tego nie zrobili.

– Powiedziałem ci: jak tam przyjadę, zacznę wszystko od początku.

Są teraz w dzielnicy zwanej Wachlarzem, włączonej do miasta zaraz po wojnie secesyjnej i nazwanej tak ze względu na kształt. Wąskie uliczki o owocowych nazwach, jak Truskawkowa, Czereśniowa i Śliwkowa, wiją się, kręcą i kończą ślepych zaułkami bez żadnego ładu i składu. Większość wolno stojących domów i szeregowców ma odrestaurowane stare wielkie werandy, klasycystyczne kolumny i ozdobne okucia. Siedziba pani Paulsson jest mniej ekscentryczna i skromniejsza: niewielki, prosty domek, zwyczajna ceglana fasada, ganek z przodu i pochyły łupkowy dach przypominający pudełko na lekarstwa.

Marino parkuje przed domem koło niebieskiej furgonetki i oboje wysiadają. Idą ku domowi ścieżką wyłożoną starą i gdzieniegdzie wyślizganą cegłą. Późne przedpołudnie jest pochmurne i chłodne, ale doktor Scarpetta ma nadzieję, że nie będzie dużo padać. Miasto nie przywykło do mroźnych zim, więc richmondczycy na samą wzmiankę o śniegu wykupują zapasy żywności. Linie elektryczne idą w większości nad ziemią i nie wytrzymują, gdy wiatr czy grad wyrwie z korzeniami stare drzewa, toteż Kay ma szczerą nadzieję, że w czasie jej pobytu w mieście nie będzie lodowatych deszczy.

Mosiężna kołatka na czarnych frontowych drzwiach ma kształt ananasa. Marino puka trzy razy. Głośny, ostry brzękliwy stukot jest zaskakująco nie na miejscu ze względu na powód ich wizyty. Słysząc szybkie kroki i drzwi otwierają się szeroko. Staje w nich niewysoka i chuda kobieta o twarzy opuchniętej, jakby nie dojadła, ale za to dużo piła i płakała. W lepszych czasach mogłaby być całkiem niebrzydka, w niewyrafinowanym stylu farbowanej blondynki.

– Wejdźcie państwo – mówi przez zatkany nos. – Jestem przeziębiona, ale nie zaraźliwie. – Jej zaczerwienione oczy zatrzymują się na doktor Scarpetcie. – Ale nie muszę tego tłumaczyć lekarzowi. Bo zakładam, że to

pani jest tą lekarką, z którą rozmawiałam. – Nie jest to ryzykowne założenie, zważywszy, że Marino to mężczyzna, nosi czarny mundur polowy i bejsbolówkę z napisem LAPD.

– Jestem doktor Scarpetta. – Kay podaje jej rękę. – Bardzo mi przykro z powodu Gilly.

Oczy pani Paulsson są pełne łez.

– Wejdźcie, proszę. Nie najlepsza ze mnie ostatnio gospodyni, ale zrobiłam kawę.

– To brzmi nieźle – mówi Marino i przedstawia się jej. – Rozmawiałem z detektywem Browningiem, ale wolałbym zacząć od podstawowych pytań, jeśli to możliwe.

– Jaką kawę państwo lubią?

Marino ma na tyle wyczucia, żeby nie odpowiedzieć jak zwykle: taką samą jak dziewczynę, słodką i białą.

– Dla mnie czarna – odzywa się doktor Scarpetta, idąc za panią Paulsson przez korytarz z sosnową boazerią. Po prawej stronie jest niewielki wygodny salonik z meblami wykładanymi ciemnozieloną skórą i mosiężnym zestawem kominkowym. Na lewo widać znacznie bardziej oficjalnie urządzone gabinet, wyglądający na nieużywany; czuje się dochodzący stamtąd ziąb.

– Mogę wziąć państwa płaszcze? – proponuje pani Paulsson. – Przepraszam, pytam o kawę w drzwiach, a o płaszcze w kuchni. Proszę mi wybaczyć, nie czuję się ostatnio najlepiej.

Zdejmują płaszcze, a pani Paulsson wiesza je na drewnianych kołkach w kuchni. Doktor Scarpetta dostrzega na jednym z nich jasnoczerwony szalik zrobiony na drutach i zastanawia się, czy mógł należeć do Gilly. Kuchnia nie była odnawiana w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat: podłoga jest w staroświecką czarnobiałą kratkę, meble są stare i białe. Okna wychodzą na

wąskie podwórko z drewnianym płotem, za którym znajduje się niski daszek z połączonymi dachówkami, zeschniętymi liśćmi w rynnach i plamami mchu.

Pani Paulsson nalewa kawy i wszyscy siadają przy drewnianym stole koło okna, skąd widać płot i omszały daszek za nim. Kay zauważa czystość i porządek panujące w kuchni: rzędkie garnków i patelni zwieszających się nad deską do krojenia, durszlakiem i pustym, nieskazitelnie czystym zlewozmywakiem. Spostrzega butelkę syropu na kaszel na blacie obok pojemnika z papierowymi ręcznikami – syropu wykrztuśnego sprzedawanego bez recepty. Powoli sączy czarną kawę.

– Nie wiem, od czego zacząć – mówi pani Paulsson. – Nie mam w sumie pojęcia, kim właściwie jesteście, poza tym, że detektyw Browning zatelefonował dziś rano spytać, czy będę w domu, bo przyjechali eksperci z zewnątrz. A potem pani zadzwoniła – zwraca się do doktor Scarpetty.

– A więc Browning zadzwonił do pani – wtrąca Marino.

– Był tak miły. – Pani Paulsson spogląda na detektywa i najwyraźniej znajduje w nim coś interesującego. – Nie wiem, dlaczego ci wszyscy ludzie... Cóż, w ogóle niewiele wiem. – Oczy znów jej wilgotnieją. – Powinnam właściwie być wdzięczna. Nie wyobrażam sobie, że coś takiego się dzieje i nikt się nie przejmuje.

– Ludzie na pewno się przejmują – odzywa się doktor Scarpetta. – Dlatego właśnie tu jesteśmy.

– Skąd państwo są? – Pani Paulsson utkwiała oczy w Marinie, unosi filiżankę z kawą i pociąga łyk, nie odrywając od niego wzroku.

– Mamy bazę na południu Florydy, nieco na północ od Miami – wyjaśnia detektyw.

– Och. Myślałam, że może są państwo z Los Angeles – mówi gospodyni, a jej wzrok wędruje ku jego czapeczce.

– Mamy powiązania z Los Angeles.

– To fascynujące – stwierdza pani Paulsson, ale nie wygląda na zafascynowaną, a doktor Scarpetta zaczyna dostrzegać coś innego, co się w niej kryje, jakąś inną istotę tkwiącą w jej wnętrzu. – Mój telefon nie przestaje dzwonić, bez przerwy dziennikarze, mnóstwo ludzi. Byli tu ostatnio. – Obraca się na krześle, wskazując ku frontowi domu. – W wielkiej telewizyjnej ciężarówce z wysoką anteną, czy cokolwiek to jest. To naprawdę nieprzyzwoite. Oczywiście parę dni temu była też agentka z FBI i powiedziała, że to dlatego, że nie wiadomo, co się stało Gilly. Powiedziała, że i tak nie jest źle, cokolwiek to miało znaczyć. Podobno widziała gorsze rzeczy, ale nie wiem, co może być gorsze.

– Może miała na myśli szum medialny – podsuwa delikatnie Kay.

– Co może być gorsze niż to, co stało się Gilly? – Pani Paulsson ociera oczy.

– A jak pani myśli, co jej się stało? – pyta Marino, gładząc palcem krawędź filiżanki.

– Wiem, co jej się stało. Umarła na grypę – odpowiada pani Paulsson. – Bóg zabrał ją do siebie. Nie wiem dlaczego. Chciałabym, żeby ktoś mi to wytłumaczył.

– Nie wszyscy są przekonani, że umarła na grypę – zauważa Marino.

– Taki jest ten świat. Wszyscy gonią za sensacją. Moja dziewczynka leżała w łóżku z powodu grypy. Wielu ludzi umarło w tym roku na grypę. – Spogląda na doktor Scarpettę.

– Pani Paulsson – mówi ta – pani córka nie zmarła na grypę. Jestem pewna, że już to pani słyszała. Rozmawiała pani z doktorem Fieldingiem, prawda?

– Oczywiście. Rozmawialiśmy przez telefon zaraz po tym wszystkim. Ale nie mam pojęcia, jak możecie stwierdzić, czy ktoś zmarł czy nie zmarł

na grypę? Jak możecie to stwierdzić po fakcie, gdy ktoś nie kaszle, nie ma gorączki i nie skarży się na złe samopoczucie? – Zaczyna płakać. – Gilly miała trzydzieści osiem stopni i krztusiła się, kiedy poszłam po następny syrop. Tylko tyle zrobiłam: pojechałam do centrum handlowego na Cary Street, żeby kupić syrop na kaszel.

Doktor Scarpetta zerka ponownie na stojącą na blacie butelkę. Myśli o mikroskopowych próbkach, które oglądała w gabinecie Fieldinga, zanim pojechała do pani Paulsson. Pod mikroskopem dostrzegła fibrynę, limfocyty i makrofagi w płucach, a pęcherzyki były otwarte. U Gilly rozwijało się wysepkowate odoskrzelowe zapalenie płuc, typowa komplikacja grypowa, zwłaszcza u osób starszych i bardzo młodych, ale nie na tyle zaawansowane, żeby zakłócić pracę płuc.

– Pani Paulsson, jesteśmy w stanie stwierdzić, czy pani córka zmarła na grypę – tłumaczy kobiecie Kay. – Możemy to stwierdzić na podstawie stanu płuc. – Nie ma ochoty zagłębiać się w szczegóły tego, jak jednolicie twarde, zbite i grudkowate byłyby płaty płucne Gilly, gdyby zmarła na ostre odoskrzelowe zapalenie płuc. – Czy córka brała antybiotyki?

– Tak. W pierwszym tygodniu. – Pani Paulsson sięga po kawę. – Naprawdę myślałam, że jej się polepsza. Myślałam, że jest już tylko przeziębiona.

Marino odsuwa krzesło.

– Czy mógłbym zostawić panie przy rozmowie? – pyta. – Chciałbym się nieco rozejrzeć, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Nie wiem, co tu można oglądać. Ale proszę bardzo. Nie pan pierwszy tu przychodzi i chce się rozejrzeć. Jej pokój jest z tyłu.

– Poradzę sobie.

Wychodzi, stukając ciężkimi buciorami po drewnianej podłodze.

– Gilly czuła się lepiej – potwierdza doktor Scarpetta. – Widać to po stanie jej płuc.

– Ale była wciąż słaba i wątła.

– Ona nie zmarła na gripę, pani Paulsson – powtarza twardo Kay. – Pani musi to zrozumieć. Gdyby zmarła na gripę, nie musiałabym tutaj przyjeżdżać. Usiłuję pomóc i potrzebuję od pani kilku odpowiedzi.

– Pani nie mówi jak miejscowa.

– Pochodzę z Miami.

– Ach tak. I tam właśnie pani mieszka, w każdym razie w pobliżu. Zawsze chciałam pojechać do Miami. Zwłaszcza kiedy mamy taką paskudną pogodę. – Wstaje, by nalać kawy. Porusza się z trudnością, ledwie zgina kolana, podchodząc do ekspresu do kawy stojącego obok butelki syropu wykrztuśnego. Doktor Scarpetta wyobraża sobie panią Paulsson przyciskającą córkę twarzą w dół do łóżka i nie przekreśla takiej możliwości, choć uważa to za mało prawdopodobne. Matka nie waży wiele więcej niż córka, a ktokolwiek przytrzymał Gilly, był wystarczająco ciężki, żeby uniemożliwić jej walkę, która pozostawiłaby więcej obrażeń. Niemniej Kay nie wyklucza, że pani Paulsson mogłaby zamordować Gilly. Nie może tego wykluczyć, choćby nawet bardzo chciała.

– Żałuję, że nie mogłam zabrać Gilly do Miami albo Los Angeles albo w jakieś inne ciekawe miejsce – mówi pani Paulsson. – Ale boję się latania i mam chorobę lokomocyjną, więc w ogóle niewiele się ruszam. Teraz żałuję, że bardziej się nie starałam.

Drżącą szczupłą ręką wyjmuje dzbanek spod ekspresu. Doktor Scarpetta nie spuszcza wzroku z jej dłoni, nadgarstków i innych miejsc, w których widać skórę, poszukując śladów starych zadrapań, otarć lub innych obrażeń, ale minęły dwa tygodnie. Wpisuje do notatnika uwagę, żeby się

dowiedzieć, czy pani Paulsson miała jakieś obrażenia, gdy na miejscu pojawiła się policja, by ją przesłuchać.

– Szkoda, że tak nie zrobiłam. Gilly spodobałoby się w Miami: te wszystkie palmy i flamingi...

Wróciwszy do stołu, znowu napełnia filiżanki kawą, która chlupocze w dzbanku, gdy pani Paulsson stawia go nieco zbyt zamasyście z powrotem pod ekspresem.

– W lecie miała się gdzieś wybrać z ojcem. – Opada z widocznym zmęczeniem na proste dębowe krzesło. – A w każdym razie posiedzieć chwilę u niego w Charlestonie. W Charlestonie też nigdy nie była. – Opiera łokcie na stole. – Gilly nigdy nie była na plaży, nie widziała morza, jeśli nie liczyć pocztówek i telewizji, aczkolwiek nie pozwalałam jej oglądać dużo telewizji. Czy to źle?

– Jej ojciec mieszka w Charlestonie? – pyta Kay, mimo że już o tym słyszała.

– Wyprowadził się tam zeszłego lata. Jest tam lekarzem, mieszka w wielkim domu nad morzem. Dom jest na liście turystycznej, wie pani. Ludzie płacą spore pieniądze, żeby wejść i obejrzeć ogród. Oczywiście on sam palcem nie kiwnie w tym ogrodzie, nie będzie się zajmował takimi drobiazgami. Wynajmuje sobie ludzi, żeby zajmowali się sprawami, na które on nie ma ochoty, jak na przykład ten pogrzeb. Wyobraża sobie pani, zatrudnił do tego prawników. Żeby zrobić mi na złość, wie pani. Boja chcę, żeby Gilly leżała w Richmondzie, więc on postanowił pochować ją w Charlestonie.

– Jaka jest jego specjalizacja medyczna?

– Wszystko po trochu, czyli lekarz rodzinny. A poza tym lotniczy. Tam jest ta wielka baza lotnicza pod Charlestonem, więc Frank ma codziennie mnóstwo pacjentów, tak mi w każdym razie mówił. Chwali się tym

nieprzyzwoicie. Wszyscy ci piloci, którzy płacą siedemdziesiąt dolarów za badania do licencji. Więc Frankowi nieźle się powodzi – tokuje pani Paulsson niemal bez przerw między zdaniami, kołysząc się lekko na krześle.

– Pani Paulsson, proszę mi opowiedzieć o czwartku czwartego grudnia. Proszę zacząć od tego, jak się pani obudziła rano. – Kay zorientowała się, do czego to wszystko doprowadzi, jeśli nie zmieni tematu rozmowy. Pani Paulsson będzie opowiadać w nieskończoność, robiąc kolejne dygresje, wymieniając szczegóły i rozwodząc się nad pogłębiającym się niezrozumieniem między nią a mężem, byle ominąć naprawdę ważne kwestie. – O której pani wstała tego ranka?

– Zawsze budzę się o szóstej, więc obudziłam się o szóstej. Nie potrzebuję nawet budzika, ponieważ mam wbudowany zegar. – Wskazuje na głowę. – Wie pani, urodziłam się dokładnie o szóstej rano, dlatego zapewne budzę się zawsze o szóstej rano...

– A potem? – Doktor Scarpetta nie znosi przerywać, ale jeśli nie będzie tego robić, ta kobieta nie wypłacze się z labiryntu dygresji do końca dnia. – Wstała pani z łóżka?

– Oczywiście, że wstałam z łóżka. Zawsze tak robię, po czym idę do kuchni zrobić sobie kawę. Potem wracam do sypialni i czytam przez jakiś czas Biblię. Jeśli Gilly idzie do szkoły, to odprowadzam ją o siódmej piętnaście do drzwi, zapakowawszy jej wcześniej drugie śniadanie i tak dalej, a rodzice kolegów zazwyczaj ją podwożą. Tu akurat mam szczęście. Ma przyjaciółkę, której mama zgodziła się ją codziennie podwozić.

– Czwartek, czwarty grudnia, dwa tygodnie temu. – Doktor Scarpetta naprowadza ją z powrotem na temat. – Wstała pani o szóstej, zrobiła sobie kawę, wróciła do pokoju, żeby poczytać Biblię. A potem? – pyta, widząc

potakiwanie pani Paulsson przy każdej z wymienionych czynności. – Siedziała pani w łóżku, czytając Biblię? Jak długo?

– Co najmniej przez pół godziny.

– Zajrzała pani do Gilly?

– Najpierw się za nią pomodliłam. Pozwoliłam jej pospać, póki się za nią modliłam. A potem, gdzieś za piętnaście siódma, weszłam do jej pokoju, a ona leżała w łóżku cała owinięta w kołdrę, śpiąc jak zabita. – Pani Paulsson zanosi się płaczem. – Powiedziałam: „Gilly? Moja mała Gilly? Wstań, to dostaniesz gorącą owsiankę”. A ona otworzyła te swoje śliczne niebieskie oczka i powiedziała: „Mamo, tak okropnie kaszlałam w nocy, że aż mnie bolą płuca”. Wtedy się zorientowałam, że zabrakło nam syropu. – Urywa na chwilę, wpatrując się przed siebie załzawionymi oczami. – Najdziwniejsze jest to, że pies cały czas szczekał. Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam.

– Jaki pies? Ma pani psa? – Doktor Scarpetta notuje tę informację, ale tak, by nie zwrócić na to uwagi. Wie, jak wyglądać i słuchać, żeby niepostrzeżenie zanotować to i owo pismem, które niewiele osób jest w stanie odczytać.

– Właśnie w tym problem – mówi pani Paulsson urywanym głosem, a jej usta drżą, gdy zbiera jej się na płacz. – Żabka uciekła! Dobry Boże... – Znów się zanosi płaczem i kołysze na krześle. – Żabka była na podwórku, kiedy rozmawiałam z Gilly, a potem znikła. Policja albo ludzie z pogotowia zapomnieli zamknąć furtkę. Jakby na domiar złego. Jakby mało było nieszczęść!

Doktor Scarpetta powolnym ruchem zamyka oprawny w skórę notatnik i kładzie go obok pióra na stole. Patrzy na panią Paulsson.

– Jakiej rasy jest ten pies?

– Ona była Franka, ale nie chciałam mu zawracać głowy. On sobie poszedł, wie pani, niecałe pół roku temu, w moje urodziny. Jak można coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi? I powiedział: „Zatrzymaj Żabkę, chyba że chcesz, żeby wylądowała w schronisku”.

– Jakiej rasy jest Żabka?

– Nigdy nie dbał o tego psa, a wie pani dlaczego? Ponieważ on nie dba o nikogo poza sobą, oto dlaczego. Ale Gilly kocha tego psa, och, jak ona go kocha! Gdyby wiedziała... – Łzy ciekną po policzkach pani Paulsson. Mały różowy język oblizuje wargi. – Gdyby o tym wiedziała, pękłoby jej z żalu serduszko.

– Pani Paulsson, jakiej rasy jest Żabka i czy pani zgłosiła jej zaginięcie?

– Zaginięcie? – Matka Gilly mruga oczami, skupiając na moment wzrok na rozmówczyni, po czym wybucha śmiechem. – Zgłosić komu? Policji, która pozwoliła jej uciec? Nie wiem, czy uzna to pani za zgłoszenie, ale powiedziałam jednemu z nich, nie wiem któremu, jednemu z nich w każdym razie. Powiedziałam: „Nie ma mojego psa!”.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Żabkę? Proszę mi wierzyć, pani Paulsson, wiem, że te pytania nie są dla pani przyjemne, naprawdę. Ale proszę spróbować na nie odpowiedzieć.

– A co panią właściwie obchodzi moja Żabcia? Mam wrażenie, że zaginiony pies nie interesuje pani, chyba że by nie żył, a gdyby nawet, to przecież lekarze tacy jak pani nie przejmują się zbytnio martwymi psami.

– Interesuje mnie wszystko. Chciałabym usłyszeć wszystko, co pani ma do powiedzenia.

W tej właśnie chwili w drzwiach kuchni staje Marino. Doktor Scarpetta nie słyszała jego ciężkich kroków. Jest zaskoczona, że detektyw potrafi przemieszczać się w tych buciorach tak, że ona nic nie usłyszy.

– Marino – mówi, patrząc mu prosto w oczy. – Czy wiesz cokolwiek o psie? Tu zaginął pies. Żabka. To jest... Jakiej jest rasy? – Spogląda bezradnie na panią Paulsson.

– Basset, właściwie szczeniak – chlipie pani Paulsson.

– Mogłabyś podejść tu na moment, pani doktor? – pyta detektyw.

Lucy rozgląda się po drogich zestawach do ćwiczeń i oknach siłowni znajdującej się na trzecim piętrze domu. Jej sąsiadka Kate ma wszystko, czego trzeba dla zachowania kondycji, plus fantastyczny widok na Wewnętrzny Kanał Przybrzeżny, posterunek straży przybrzeżnej, latarnię morską i ocean, a także na spory kawałek posesji należącej do Lucy.

Z okna w południowej ścianie siłowni widać tył jej domu – to nieco irytujące, że Kate może sobie oglądać wszystko, co dzieje się w kuchni, jadalni i salonie, ale także na patio, w basenie i wzdłuż muru od strony morza. Lucy spogląda w dół na wąską ścieżkę biegnącą wzdłuż niskiego muru pomiędzy obiema posesjami i dochodzi do wniosku, że to właśnie tym korytarzykiem, wyłożonym cedrowymi deskami, on podążał ku furtce prowadzącej do basenu, furtce, którą Henri zapomniała zamknąć. Chyba że przyplłynął łódka. Nie wierzy w tę możliwość, ale musi brać ją pod uwagę. Drabina przy murze od strony morza jest złożona i zabezpieczona kłódką, ale gdyby ktoś się uparł, żeby przejść przez mur na teren rezydencji, nie byłoby to niemożliwe. Złożona drabina odstraszy normalnych ludzi, ale nie włamywaczy, gwałcicieli, prześladowców czy zabójców. Na takich ludzi powinno się mieć działa. Na stoliku obok bieźni stoi podstawa bezprzewodowego telefonu podłączona do gniazdka telefonicznego w ścianie. Obok jest zwykłe gniazdko, więc Lucy otwiera saszetkę, wyjmuje

nadajnik wyglądający jak złączka i wkłada go do gniazdka. Niewielki, nierzucający się w oczy gadżet szpiegowski jest prawie biały – w tym samym niewyraźnym kolorze co gniazdko, więc nie wygląda na coś, co Kate miałyby zauważyć albo też czym mogłaby się przejąć, gdyby zauważyła. Jeśli nawet podłączy coś do gniazdka, to też nie ma problemu, urządzenie będzie działać dalej. Lucy stoi przez moment nieruchomo, po czym wychodzi z siłowni, nasłuchując. Kate jest chyba nadal w kuchni albo gdzieś indziej na pierwszym piętrze.

W południowym skrzydle mieści się główna sypialnia: ogromny pokój z łóżem pod baldachimem i wielkim płaskim telewizorem na ścianie naprzeciwko. Ściana wychodząca na morze jest szklana. Kate ma stąd doskonały widok na tył posesji Lucy, a także na to, co się dzieje na górnych piętrach. To niedobrze, myśli Lucy, rozglądając się wokoło. Jej uwagi nie uchodzi pusta butelka po szampanie stojąca obok nocnego stoliczka, na którym widać brudny kieliszek, telefon i jakiś romans. Bogata wścibska sąsiadka ma zdecydowanie za dobry widok na to, co się dzieje w domu Lucy, jeśli żaluzje są podniesione, ale zazwyczaj nie są. Na całe szczęście, zazwyczaj nie są.

Lucy myśli o tymi poranku, kiedy Henri omal nie została zamordowana, i usiłuje sobie przypomnieć, czy żaluzje były otwarte, czy zamknięte, po czym zauważa gniazdko telefoniczne pod stolikiem nocnym i zastanawia się, czy ma czas, żeby je podmienić. Wsłuchuje się w dźwięki dochodzące z dołu: szum windy, kroki, ale nic nie słyszy. Kuca na podłodze i wyjmuje z saszetki maleńki śrubokręt. Gniazdko jest przykręcone dwiema obluzowanymi śrubkami, więc ich wyjęcie zajmuje moment. Lucy cały czas nasłuchuje, czy nie zbliża się Kate. Wymienia oryginalne beżowe gniazdko na inne, wyglądające prawie tak samo, ale zawierające miniaturowy nadajnik, który pozwoli jej podsłuchać wszelkie rozmowy, jakie będą

prowadzone z tej linii. Moment później podłącza z powrotem telefon, wstaje z podłogi i wychodzi z sypialni, w chwili gdy otwierają się drzwi windy i staje w nich Kate z dwiema szampankami wypełnionymi niemal po brzegi jasnopomarańczowym płynem.

– Fantastyczny dom – mówi Lucy.

– Ty też musisz mieć fantastyczny dom – odpowiada Kate, podając jej kieliszek.

Przecież wiesz, myśli Lucy. Bez przerwy mnie szpiegujesz.

– Musisz mi go kiedyś pokazać – dodaje Kate.

– Oczywiście. Tyle że sporo podróżuję. – Ostry zapach szampana uderza w nozdrza Lucy, która przestała pić. Dostała potężną nauczkę w kwestii alkoholu i więcej go nie tyka.

Oczy Kate lśnią, jest bardziej rozluźniona niż nawet piętnaście minut temu. Już jej szumi w głowie, rausz niedaleko. Zostawszy na dole, wypła zapewne kilka kieliszków tego napoju, cokolwiek to jest, a Lucy podejrzewa, że nawet jeśli w trzymanym przez nią kieliszku jest szampan, w tym, który ma Kate, musi być wódka. Płyn w kieliszku Kate wygląda na bardziej rozcieńczony, ona zaś jest dość wyluzowana i gadatliwa.

– Patrzyłam przez okno twojej siłowni – mówi Lucy, trzymając tylko kieliszek, podczas gdy Kate sący alkohol ze swojego. – Mogłabyś zauważyć każdego, kto wszedłby na teren mojej posesji.

– „Mogłabym” jest tu słowem kluczem, słonko. Słowem kluczem.

– Przeciąga samogłoski jak ludzie, którym szumi już w głowie i radośnie zmierzają ku granicy pijaństwa. – Nie jestem wścibska. Nie mam na to czasu, nie mogę sobie poradzić z własnym życiem.

– Czy mogłabym skorzystać z łazienki? – pyta Lucy.

– Ależ oczywiście, kochanie. To tutaj. – Wskazuje na północne skrzydło, kołyszając się wyraźnie na szeroko rozstawionych nogach.

Lucy wchodzi do łazienki wyposażonej w prysznic, ogromną wannę, dwa sedesy i bidety oraz widok. Wylewa połowę drinka do toalety i spuszcza wodę. Czeka kilka sekund i wychodzi z powrotem na korytarz koło schodów, gdzie stoi, lekko kołysząc się i popijając cały czas z kieliszka, Kate.

– Jakiego szampana lubisz najbardziej? – Lucy przypomina sobie pustą butelkę koło łóżka.

– To są różne, słonko? – Kate wybucha śmiechem.

– Prawdę mówiąc, całkiem sporo, w zależności od tego, ile chcesz wydać.

– Żartujesz. Opowiadałam ci o tym, jak postanowiliśmy z Jeffem zaszać w Ritzu w Paryżu? Nie, oczywiście, że nie opowiadałam. Przecież prawie cię nie znam, nieprawdaż? Ale czuję, że właściwie już jesteśmy przyjaciółkami – mruczy, wychylając się w stronę Lucy i chwytając ją za ramię, po czym zaczyna się o nią ocierać. – Byliśmy... nie, zaczekaj. – Pociąga kolejny łyk, ocierając się o ramię Lucy, trzymając się jej. – To był oczywiście Hotel de Paris w Monte Carlo. Byłaś tam kiedyś?

– Przejeżdżałam raz tamtędy moim enzo – odpowiada Lucy niezbyt zgodnie z prawdą.

– O, a którym? Tym srebrnym czy tym czarnym?

– Enzo jest czerwony. Nie ma go tutaj. – Tym razem Lucy jest bliska prawdy. Enza tu nie ma, ponieważ go nie posiada.

– A więc byłaś w Monte Carlo. W Hotel de Paris – mówi Kate, gładząc jej rękę. – No więc Jeffi ja jesteśmy w kasynie...

Lucy kiwa głową i unosi kieliszek, jakby chciała upić łyk, ale oczywiście nie robi tego.

– Zabawiałam się właśnie przy maszynach wrzutowych na euro i miałam szczęście, rany, jakie miałam szczęście. – Kate opróżnia jednym haustem

kieliszek i nachyla się ku niej. – Jesteś bardzo silna, wiesz? Więc powiedziałam do Jeffa: „powinniśmy to uczcić, kotku”, mówiłam wtedy do niego „kotku”, a nie „dupku”. – Śmieje się i spogląda na pusty kryształowy kieliszek. – No więc powlekliśmy się do naszego apartamentu, apartamentu Winstona Churchilla, wciąż to pamiętam. I wiesz, co zamówiliśmy?

Lucy nie potrafi się zdecydować, czy powinna wycofać się już teraz, czy zaczekać, aż Kate zrobi coś jeszcze gorszego. Jej chłodne kościste palce wbijają się w rękę Lucy, Kate przyciągają ku swemu chudemu ciału.

– Dom? – pyta Lucy.

– Och, słonko... Nie Dom Perignon. *Mais non!* To tylko woda sodowa, woda sodowa dla bogatych, nie żebym tego nie uwielbiała, uważasz. Ale czuliśmy się nieprzyzwoicie, więc zamówiliśmy Cristal Rose za pięćset sześćdziesiąt ileś euro. Oczywiście takie ceny były w Hotel de Paris. Piłaś to?

– Nie pamiętam.

– Och, słonko, pamiętałabyś, zapewniam cię. Jeśli raz spróbujesz Rose, nie będziesz miała ochoty na nic innego. Po nim istnieje tylko jeden szampan. A później, jakby tego było mało, zmieniliśmy Cristal na absolutnie boskie Rouge du Chateau Margaux – kontynuuje Kate, a jej wymowa francuska jest zadziwiająco dobra jak na osobę znajdującą się na skraju pijaństwa.

– Może chcesz resztkę mojego? – Lucy wyciąga swój kieliszek, podczas gdy Kate wciąż się do niej przytula. – Masz, zamienimy się.

Wymienia swój półpełny kieliszek na pusty Kate.

Pamięta, jak przyszła porozmawiać z jego szefem, uważając, że jej problemy są na tyle istotne, by zdecydowała się wsiąść do windy towarowej, a było to upiorne urządzenie.

Kabina, wykonana z żelaza, zardzewiała, a jej drzwi nie zamykały się jak w zwykłej windzie z prawej i lewej strony, ale od dołu i góry, niczym jakaś paszcza. Oczywiście były też schody. Przepisy przeciwpożarowe wymagają schodów we wszystkich państwowych budynkach, ale nikt nie dostawał się do Zakładu Anatomii po schodach, a już na pewno nie Edgar Allan Pogue. Kiedy miał przemieścić się między prosektorium a swoim podziemnym miejscem pracy, dawał się pożreć niczym Jonasz: zamykał żelazne drzwi windy, słysząc trzask długiej żelaznej dźwigni w środku. Zakurzona podłoga była z zardzewiałej stali, a pokrywający ją pył pochodził z ludzkich prochów i kości, w środku zaś tej klaustrofobicznej starej klatki znajdował się zazwyczaj wózek, ponieważ nikogo nie obchodziło, co Pogue tam zostawił.

Ją obeszło. Ją, niestety, obeszło.

Zatem tego dnia, który teraz wspomina Edgar Allan, siedząc na leżaku w swoim hollywoodzkim apartamencie i polerując chusteczką kij bejsbolowy, ona wyszła z windy towarowej w długim białym fartuchu na zielonkawym ubraniu chirurgicznym i Pogue nigdy nie zapomni, jak cicho poruszała się

po brązowych kafelkach posadzki tego podziemnego, pozbawionego okien świata, gdzie spędzał dni, a potem nawet sporo nocy. Miała na sobie pantofle z gumowymi podeszwami, zapewne dlatego, że się nie ślizgały, no i były zdrowe dla kręgosłupa, bo przecież godzinami wystawała w prosektorium, krojąc ludzi. Jasne, jej krojenie ludzi traktowano z szacunkiem, bo ona jest lekarzem, a Pogue niczym. Nie zdał matury, chociaż w życiorysie napisał, że zdał, ale to jedno z wielu kłamstw nigdy nie zostało podane w wątpliwość.

– Trzeba przestać zostawiać wózek w windzie – powiedziała do Dave’a, szefa Pogue’a. Dave był dziwnym przygarbionym człowieczkiem z cieniami pod ciemnymi oczami i potarganymi włosami farbowanymi na czarno i ułożonymi w odstające kosmyki. – To ten sam, którego używacie w krematorium, i dlatego winda jest cała w pyłe, a tak być nie powinno. Zapewne poza wszystkim to niezdrowe.

– Tak, psze pani – odrzekł Dave, który obsługiwał właśnie znajdujące się nad głową łańcuchy i bloki, wyciągając nagie różowe ciało ze stojącej na podłodze kadzi z różową formaliną; w uszach kobiety znajdowały się potężne żelazne haki, ponieważ tym sposobem wyciągano ludzi z kadzi w czasach, gdy pracował tam Edgar Allan Pogue. – Ale nie ma go w windzie. – Dave wskazał brodą w stronę wózka. Podrapany, pogięty i pordzewiały na krawędziach, stał na środku pomieszczenia przykryty przezroczystym plastikowym całunem.

– Tylko o tym przypominam. Tej windy wprawdzie nie używa zbyt wiele osób w tym budynku, ale i tak należy ją utrzymywać w czystości i oszczędzić ludziom nieprzyjemnych widoków.

W ten sposób Pogue dowiedział się, że uważała jego pracę za nieprzyjemną. No bo jak inaczej miał zinterpretować tę uwagę? Ale jak na ironię, bez tych ciał ofiarowanych nauce studenci medycyny nie mogliby

kroić trupów, a co poczęłyby Kay Scarpetta bez trupów? Co porabiałaby bez któregoś z ciał Edgara Allana Pogue'a, mimo że po prawdzie na studiach nie miała do czynienia z żadnym z jego ciał. Studiowała przed jego nastaniem i poza Wirginią. Skończyła studia w Baltimore, a nie tutaj, no i jest starsza od Pogue'a o jakieś dziesięć lat.

Nie rozmawiała z nim wtedy, ale nie mógłby jej zarzucić wywyższania się. Zawsze mówiła „cześć, Edgarze Allanie”, „dzień dobry, Edgarze Allanie”, „gdzie jest Dave, Edgarze Allanie?”, ilekroć wpadała do Zakładu Anatomii w takiej czy innej sprawie. Ale w tym dniu, kiedy z rękami w kieszeniach fartucha przemierzyła szybkim krokiem brązową posadzkę, nie powiedziała do niego ani słowa, być może dlatego, że go nie zauważyła. Poza tym nie szukała go. Gdyby się rozejrzała, znalazłaby go przy piecu niczym Kopciuszką, zamiatającego prochy i odłamki kości, które właśnie roztrzaskał ukochanym kijem bejsbolowym.

Ale ważne jest to, że nie popatrzyła. Nie, nie popatrzyła. On natomiast miał świetny punkt obserwacyjny, tkwiąc w ciemnej betonowej wnęce, gdzie znajdował się piec – doskonały widok na główną salę, w której Dave trzymał starą różową kobietę na hakach; mechaniczne bloki i łańcuchy wędrowały z cichym stukiem, a ona sunęła w powietrzu, z ramionami i nogami podkurczonymi, jakby wciąż siedziała w kadzi, i światłem świetlówek migoczącym w stalowej tabliczce identyfikacyjnej przyczepionej do lewego ucha.

Pogue przyglądał się różowej staruszce i jego serce przepelniał pewien rodzaj dumy, dopóki nie odezwała się ponownie doktor Scarpetta.

– W nowym budynku nie będziemy już tego tak robić, Dave. Będziemy ich trzymać w pojemnikach w chłodni podobnie jak inne ciała. To ich pozbawia godności, jest jakieś średniowieczne. Tak nie powinno być.

– Tak, psze pani. Chłodnia będzie okej. Ale w kadziach możemy pomieścić więcej – odrzekł Dave, naciskając przełącznik zatrzymujący maszynę. Stara różowa kobieta zachwiała się jak na wyciągu krzeselkowym, który nagle stanął.

– Zakładając, że uda mi się uzyskać dość miejsca. Wiesz, jak to jest: usiłują mi wydrzeć każdy skrawek przestrzeni. Wszystko zależy od tego, ile będziemy mieć miejsca – powiedziała doktor Scarpetta, podpierając dłonią podbródek i rozglądając się po swoim królestwie.

Edgar Allan Pogue pamięta, że pomyślał wtedy: okej, czyli ta brązowa podłoga z kadziami, piec i pomieszczenie do balsamowania są w tej chwili twoim królestwem. Ale kiedy ciebie tu nie ma, czyli w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach czasu, to moje królestwo. A przywożeni tu ludzie, z których spuszcza się płyny, umieszcza w kadziach, oddaje płomieniom i wypuszcza kominem, to moi poddani i przyjaciele.

– Miałam nadzieję na kogoś niezabalsamowanego – zwróciła się pani koroner do Dave’a, gdy wyciągnięta z kadzi różowa staruszka zawisła, kołysząc się, nad jej głową. – Być może powinnam odwołać pokaz, – Edgar Allan pospieszył się. Zabalsamował ją i włożył do kadzi, zanim zdążyłem mu powiedzieć, że dziś będzie pani potrzebne ciało – odpowiedział Dave. – W tej chwili nie mamy nikogo świeżego.

– Ona jest do wydania rodzinie? – Pani doktor przygląda się kołyszącemu ciału.

– Edgar Allan? – zawołał Dave. – Po tę nikt się nie zgłosił, prawda? Edgar skłamał i powiedział, że prawda, wiedział bowiem, że Kay Scarpetta nie posłuży się ciałem, które należy wydać rodzinie, jako że nie byłoby to zgodne z życzeniami tej osoby w chwili, gdy ofiarowywała ciało nauce. Pogue jednak wiedział, że tej różowej staruszce nie zależałoby. Wcale a wcale. Chciała jedynie odpłacić Bogu za pewne niesprawiedliwości i tyle.

– Myślę, że będzie okej – uznała doktor Scarpetta. – Nie znoszę odwoływać wykładów. Więc będzie musiała się nadać.

– Jest mi naprawdę przykro – powiedział Dave. – Wiem, że nie powinno się robić pokazowej sekcji na zabalsamowanych zwłokach.

– Nie przejmuj się. – Poklepała go po ramieniu. – Skąd mógłbyś wiedzieć, że dziś nie będziemy mieć żadnych przypadków. Akurat w dniu, kiedy nie przywieźli nikogo, ja mam ludzi z akademii policyjnej. Wyślij ją na górę.

– Ma to pani jak w banku. Robię pani przysługę – powiedział Dave, mrugając do niej, ponieważ zdarzało mu się flirtować z panią dyrektor. – Dobroczyńcy należą do nas.

– Powinieneś być wdzięczny, że przeciętny obywatel nie wie, gdzie wyląduje, inaczej nikogo byś nie miał – odpowiedziała, kierując się ku windzie. – Musimy zająć się planami nowego budynku, Dave, i to wkrótce.

Pogue pomógł zatem Dave’owi zdjąć ich najnowszą pacjentkę, po czym położyli ją na tym właśnie zakurczonym wózku, na który przed chwilą skarżyła się doktor Scarpetta. Pogue powiózł różową staruszkę po brązowych kafelkach ku rdzewiejącej windzie towarowej, pojechali razem na górę i wysiedli na pierwszym piętrze. Pogue przez cały czas myślał, że zmarła kobieta wcale nie liczyła na taką przejażdżkę. Nie, z pewnością nie przewidywała takiego nadkładania drogi, prawda? On to dobrze wiedział. Rozmawiał z nią przecież, prawda? Nawet przed jej śmiercią, prawda? Plastikowy całun, w który ją owinął, szeleścił w ciężkim, pozbawionym zapachów powietrzu, a kółka turkotały po białych płytkach, gdy Pogue kierował się ku otwartym podwojom prosektorium.

– To właśnie, droga mamó, przydarzyło się pani Arnette – mówi teraz Edgar Allan Pogue, siedząc na leżaku, rozłożywszy zdjęcia błękitno-włosej pani Arnette na biało-żółtym płótnie między nagimi, owłosionymi udami. –

Wiem, wiem, to brzmi niesprawiedliwie i okropnie, prawda? Wiem, że wolałaby publiczność złożoną z młodych policjantów niż skalpel jakiegoś bezdusznego studenta medycyny. Ładna historyjka, prawda, mamó? Bardzo ładna historyjka.

W sypialni jest dość miejsca, by zmieściło się łóżko i niewielka szafka nocna po jego lewej stronie oraz toaletka koło szafy. Meble są dość ładne, dębowe, żadne antyki, ale też nie nowe. Do boazerii przypięte plakaty z widokami.

Gilly Paulsson spała na schodach katedry w Sienie i budziła się pod starożytnym pałacem Domicjana na rzymskim Palatynie. Ubierała się i czesała długie jasne włosy przed wielkim lustrem obok florenckiego Piazza Santa Croce z pomnikiem Dantego. Zapewne nie miała pojęcia, kim był Dante. Nawet może nie potrafiłaby znaleźć Włoch na mapie.

Marino stoi koło okna wychodzącego na podwórko za domem. Nie musi wyjaśniać, co zobaczył, ponieważ to oczywiste. Okno jest najwyżej metr dwadzieścia nad ziemią, zamyka się na dwie zasuwki, które wystarczy przycisnąć, żeby bez trudu podnieść dolny panel.

– Są zepsute – mówi Marino. Rękami w białych bawełnianych rękawiczkach naciska zasuwki, pokazując, jak łatwo można otworzyć okno.

– Detektyw Browning zapewne o tym wie – stwierdza Kay, wyjmując swoją parę rękawiczek z białej bawełny, lekko przybrudzonej od stałego noszenia w bocznej kieszonce torebki. – Ale w żadnym raporcie nie widziałam wzmianki o zepsutym zamku przy oknie. Ktoś go złamał?

– Nie – odpowiada Marino, zamykając okno z powrotem. – Jest po prostu stary i wyrobiony. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek otwierała to okno. Trudno uwierzyć, żeby ktoś po prostu zauważył, że Gilly nie chodziła do szkoły, a mama wyszła na krótkie zakupy, i pomyślał: Ejże, można by się włamać, i: co za szczęście, że zamek jest popsuty.

– Bardziej prawdopodobne, że ktoś wiedział o zepsutym zamku? – podsuwa doktor Scarpetta.

– Tak bym obstawiał.

– A zatem albo ktoś, kto znał ten dom, albo mógł go obserwować.

– Aha – mówi Marino, podchodząc do toaletki i otwierając górną szufladę. – Musimy się dowiedzieć jak najwięcej o sąsiadach. Najlepszy widok na tę sypialnię będzie stamtąd. – Kiwa głową w kierunku okna, wskazując dom za tylnym płotem, ten z omszałymi dachówkami. – Sprawdzę, czy gliny przepytały mieszkańców. – Słowo „gliny” brzmi w jego ustach dziwacznie, jakby nigdy nie był jednym z nich. – Może tamci sąsiedzi widzieli kogoś kręcącego się wokół domu. Popatrz, myślę, że to coś godnego uwagi.

Marino sięga do szuflady i wyciąga skórzany męski portfel. Jest wygięty i gładki jak portfele noszone stale w tylnej kieszeni spodni. Otwiera go i znajduje nieważne prawo jazdy wydane w stanie Wirginia na nazwisko Franklina Adama Paulssona, urodzonego 14 sierpnia 1966 w Charlestonie w Karolinie Południowej. W portfelu nie ma nic poza tym: żadnych kart kredytowych, żadnej gotówki.

– Ojciec. – Kay przygląda się uważnie zdjęciu w prawie jazdy, przedstawiającemu uśmiechniętego jasnowłosego mężczyznę o wyrazistej szczęce i jasnych oczach w chłodnym szaroniebieskim kolorze. Jest przystojny, ona jednak nie wie, co o nim sądzić, zakładając, że w ogóle da

się coś powiedzieć o człowieku na podstawie zdjęcia w prawie jazdy. Może i jest chłodny, myśli. Coś w nim jest, ale Kay nie wie co, i to ją niepokoi.

– Popatrz, moim zdaniem to dziwne – mówi Marino. – Górna szuflada jest jak jego kapliczka. Spójrz na te podkoszulki. – Wyciąga niewielką stertę złożonych równiutko białych podkoszułków. – Rozmiar L, męskie, może taty, niektóre poplamione i dziurawe. I listy. – Podaje jej z dziesięć kopert, niektóre najwyraźniej z kartkami okolicznościowymi, wszystkie z adresem zwrotnym w Charlestonie. – I jeszcze to. – Grubymi palcami osłoniętymi bawełną wyjmuje suchą czerwoną różę na długiej łożycie. – Czy dostrzegasz to, co ja? – pyta.

– Nie wygląda na bardzo starą.

– Właśnie. – Detektyw delikatnie wkłada kwiat z powrotem do szuflady. – Dwa tygodnie, trzy? Ty masz w ogrodzie róże – dodaje, jakby ten fakt czynił z niej eksperta od uschniętych kwiatów.

– Nie wiem. Ale chyba nie miesiące. Jeszcze nie zeschnęła się całkiem. Co chcesz zrobić, Marino? Zebrać odciski palców? To już powinni byli zrobić. Co oni tu w ogóle zrobili?

– Założenia – odpowiada Marino. – Oto, co głównie tu robili. Wyjmę z auta sprzęt, pstryknę kilka zdjęć. Mogę sprawdzić odciski palców. Okno, rama, ta toaletka, zwłaszcza górna szuflada. Tyle mniej więcej.

– Okej. Nie możemy namieszać na miejscu zbrodni. Zbyt wielu ludzi już się tu kręciło. – Doktor Scarpetta uświadamia sobie, że właśnie po raz pierwszy nazwała sypialnię miejscem zbrodni.

– A potem pewnie przejdę się po podwórku. Choć to już dwa tygodnie. Mało prawdopodobne, żebym znalazł tam odciski łapek Żabki, chyba żeby od tego czasu nie padało, a wiemy, że padało. Trudno więc będzie stwierdzić, czy rzeczywiście zginął tu jakiś pies. Browning nic o tym nie wspominał.

Doktor Scarpetta wraca do kuchni, do siedzącej nadal przy stole pani Paulsson. Kobieta wygląda, jakby się w ogóle nie ruszyła: siedzi, jak siedziała, na tym samym krześle, wpatrując się w nieokreślony punkt przed sobą. Nie wierzy chyba, że jej córka zmarła na gripę? Jak można w coś takiego wierzyć?

– Czy ktoś wyjaśnił pani, dlaczego FBI interesuje się śmiercią Gilly? – pyta Kay, siadając naprzeciwko matki Gilly przy niewielkim stole.

– Co pani powiedzieli policjanci?

– Nie wiem. Nie oglądam takich rzeczy w telewizji – mruczy cicho pani Paulsson.

– Jakich rzeczy?

– Programów policyjnych czy o pracy FBI. Programów kryminalnych. Nigdy nic takiego nie oglądałam.

– Ale wie pani, że sprawą zajęło się FBI – ciągnie doktor Scarpetta, którą coraz bardziej niepokoi stan psychiczny pani Paulsson.

– Rozmawiała pani z ludźmi z FBI?

– Przyszła tu ta kobieta, mówiłam już pani. Powiedziała, że to rutynowe pytania, i bardzo jej przykro, że mnie niepokoi, ponieważ byłam załamana. Tak właśnie powiedziała, że jestem załamana. Siedziała właśnie tu, gdzie my teraz, i wypytywała o różne sprawy dotyczące Gilly i Franka, i o wszystkie podejrzane osoby, które mogłam zauważyć. Wie pani: czy Gilly rozmawiała z nieznajomymi, czy utrzymywała kontakt z ojcem, jakich mamy sąsiadów. Pytała też o Franka, dużo o niego pytała.

– Ma pani pojęcie dlaczego? O co konkretnie pytała, jeśli chodzi o Franka? – Doktor Scarpetta zapuszcza sondę, mając przed oczami zdjęcie jasnowłosego mężczyzny z wyraźnie zarysowaną szczęką i jasnoniebieskimi oczami.

Pani Paulsson wpatruje się w ścianę na lewo od kuchenki, jakby coś na białej ścianie przyciągnęło jej uwagę, ale nic tam nie ma.

– Nie wiem, dlaczego o niego pytała, poza tym, że kobiety zawsze o niego pytają. – Usztywnia się, jej głos twardnieje. – Och, zawsze pytają.

– A gdzie on jest teraz? To znaczy w tej chwili?

– W Charlestonie. Równie dobrze moglibyśmy się po prostu rozwieść. – Zaczyna bawić się wystającym gwoździem, wpatrując się znów w ścianę, jakby było tam coś interesującego, ale na ścianie nic nie ma, absolutnie nic.

– Czy on i Gilly byli sobie bliscy?

– Ona go ubóstwia. – Pani Paulsson bierze głęboki cichy wdech, oczy jej się rozszerzają, a głowa zaczyna trząść na chudej szyi. – On nigdy nic złego nie zrobił. Kanapa w salonie, koło okna, to tylko wyściełana kanapa, nie ma w niej nic szczególnego poza tym, że to było jego miejsce. Kiedy oglądał telewizję albo czytał gazetę. – Tym razem jej oddech jest głęboki, ale głośny. – Po tym jak odszedł, Gilly kładła się tam i nie mogłam jej stamtąd ściągnąć. – Westchnienie. – On nie jest dobrym ojcem. Czy nie jest tak zawsze? Kochamy to, czego nie możemy mieć.

Od strony sypialni Gilly dochodzi stuk butów Marina. Tym razem ciężkie kroki są głośniejsze.

– Kochamy tych, którzy nie odwzajemniają miłości – dodaje pani Paulsson.

Doktor Scarpetta nie zrobiła żadnych notatek, odkąd wróciła do kuchni. Jej dłoń leżała na notatniku, długopis jest w gotowości, ale ani drgnie.

– Jak nazywa się ta agentka FBI?

– Och, oczywiście. Karen... niech no pomyślę. – Zamyka oczy i przykłada palce do skroni. – Po prostu nie potrafię nic zapamiętać. Chwileczkę. Weber. Karen Weber.

– Jest z lokalnego biura w Richmondzie?

Marino wchodzi do kuchni z czarnym pudełkiem na sprzęt wędkarski w jednej ręce i bejsbolówką w drugiej. W końcu zdjął tę czapkę, zapewne z szacunku dla pani Paulsson, matki zamordowanej dziewczynki.

– Och, jej. Chyba tak... Mam gdzieś jej wizytówkę. Gdzie ja ją mogłam położyć?

– Czy wie pani coś o tym, że Gilly miała czerwoną różę? – pyta detektyw od drzwi. – W jej sypialni jest czerwona róża.

– Że co?

– Może ją pani pokażemy – proponuje Kay, wstając od stołu. Nie jest pewna, czy to dobry pomysł, ale ma nadzieję, że pani Paulsson jakoś sobie poradzi. – Chciałabym wyjaśnić pani parę rzeczy.

– Och, oczywiście, jak najbardziej. – Matka Gilly wstaje, ledwie trzymając się na nogach. – Czerwona róża?

– Kiedy Gilly ostatni raz widziała się z ojcem? – pyta Kay w drodze do pokoju dziewczynki.

Marino idzie przodem.

– W Święto Dziękczynienia.

– Pojechała do niego? Czy on był tutaj? – Doktor Scarpetta stara się, żeby jej głos brzmiał jak najdelikatniej. Ku swojemu zdziwieniu ma wrażenie, że w korytarzu jest duszniej i ciemniej niż parę minut temu.

– Nic nie wiem o żadnej róży – mówi pani Paulsson.

– Musiałem przejrzeć jej szuflady – wyjaśnia Marino. – Rozumie pani, że to rutyna.

– Czy tak się postępuje, gdy dzieci umierają na grypę?

– Jestem pewien, że policja przejrzała już szuflady – ciągnie detektyw. – Ale może nie było pani w pokoju, gdy go przeszukiwali i robili zdjęcia.

Przepuszcza ją w drzwiach do pokoju jej zmarłej córki. Pani Paulsson dochodzi tylko do toaletki stojącej pod ścianą po lewej stronie drzwi.

Marino sięga do kieszeni i wyciąga z niej bawełniane rękawiczki. Wsuwa w nie swoje potężne dłonie i otwiera górną szufladę komódki. Wyjmuje uschniętą różę, jedną z tych, które nigdy nie rozwijają się z pąków, z tych za półtora dolara, które Kay widuje owinięte w folię w supermarketach przy ładzie.

– Nie mam pojęcia, co to jest. – Pani Paulsson wpatruje się w kwiat, a na jej policzkach pojawia się rumieniec w kolorze niemal takiej samej purpury jak zwiędła róża. – Nie mam pojęcia, skąd ona to wzięła.

Twarz Marina pozostaje nieruchoma.

– Kiedy pani wróciła z apteki – odzywa się Kay – nie zauważyła pani tej róży w pokoju? Może ktoś przyniósł ją Gilly, jak była chora? Miała jakiegoś chłopaka?

– Nie rozumiem – odpowiada pani Paulsson.

– Okej. – Marino kładzie różę na blacie toaletki, żeby była dobrze widoczna. – Wchodzi pani do tego pokoju, przyjechawszy z apteki. Wróćmy do tamtej chwili. Zacznijmy od tego, jak zaparkowała pani samochód. Gdzie dokładnie pani stanęła?

– Przed domem. Przy samym chodniku.

– Zawsze tam pani parkuje?

Potakuje, ale jej uwaga wędruje w stronę łóżka. Jest porządnie zaścielone i przykryte narzutą w tym samym odcieniu błękitu co oczy jej męża.

– Pani Paulsson, wolałaby pani usiąść? – pyta doktor Scarpetta, rzucając spojrzenie na detektywa.

– Przyniosę pani krzesło – proponuje Marino.

Wychodzi, zostawiając je same ze zwiędniętą różą i idealnie pościelonym łóżkiem.

– Jestem Włoszką – mówi Kay, przyglądając się plakatom na ścianach. – Nie urodziłam się tam, ale moi dziadkowie byli z Werony. – Była pani kiedyś we Włoszech?

– Frank był we Włoszech. – Pani Paulsson nie ma nic więcej do powiedzenia na temat plakatów.

Doktor Scarpetta spogląda na nią.

– Wiem, że to trudne – mówi delikatnie. – Ale im więcej pani nam powie, tym bardziej będziemy mogli pomóc.

– Gilly zmarła na gripę.

– Nie, pani Paulsson. Nie zmarła na gripę. Widziałam ją. Widziałam próbki mikroskopowe. Pani córka chorowała na zapalenie płuc, ale właśnie z niego wyszła. Miała też obrażenia na wierzchach dłoni i plecach.

Na twarzy pani Paulsson maluje się zaskoczenie.

– Czy ma pani pojęcie, skąd mogły się wziąć te siniaki?

– Nie. Jak to się mogło stać? – Pani Paulsson wpatruje się w łóżko, oczy ma pełne łez.

– Może uderzyła się o coś? Może upadła, spadła z łóżka?

– Niemożliwe.

– Prześledźmy to krok po kroku – naciska doktor Scarpetta. – Kiedy wychodziła pani do apteki, zamknęła pani frontowe drzwi na klucz?

– Zawsze to robię.

– Były zamknięte, gdy pani wróciła?

Marino nie spieszy się, żeby Kay mogła uruchomić swoją strategię. W tym tańcu to oni prowadzą, a robią to z gracją i bez większego namysłu.

– Tak sędzę. Otworzyłam je kluczem. Zawołałam Gilly po imieniu, żeby wiedziała, że wróciłam. Ale nie odpowiedziała, więc uznałam... uznałam, że śpi. To dobrze, powinna się wyspać. – Pani Paulsson wybucha płaczem.

– Myślałam, że zasnęła z Żabką. Więc zawołałam: „Mam nadzieję, że nie śpisz z Żabtusiem, Gilly”.

Położyła klucze tam gdzie zawsze, na stoliku pod wieszakiem. Przez okienko nad frontowymi drzwiami wpadały promienie słońca, oświetlając ciemny hol; białe drobinki kurzu podniosły się w jasnym świetle, gdy zdjęła płaszcz i powiesiła go na kołku.

– Wołałam dalej: „Gilly, kochanie? – mówi tej lekarce. – Jestem w domu. Czy Żabtuś jest u ciebie? Żabka? Gdzie jest pies? Jeśli będziesz brać Żabeczkę do łóżka i bawić się tam z nią, a wiem, że tak jest, pies się do tego przyzwyczai. A mały basset z krótkimi łapkami nie da rady sam wskakiwać na łóżko i zeskakiwać z niego”.

Weszła do kuchni i położyła na stole kilka foliowych toreb. Skoro już wyszła, wstąpiła też do spożywczego, bo czemu nie, skoro już była w centrum handlowym przy West Cary Street. Wyjęła z siatki dwie puszki rosółu i postawiła je koło kuchenki. Otworzywszy zamrażalnik, wyjęła z niego paczkę udek z kurczaka i włożyła do zlewu, żeby je rozmrozić. W domu było cicho. Słysząc było tykanie zegara ściennego w kuchni: monotonne, nieustanne tykanie, którego zazwyczaj nie słyszała, ponieważ było zbyt wiele innych rzeczy przyciągających jej uwagę.

Z szuflady wyjęła łyżkę, a z szafki szklanek, którą napęniła chłodną wodą z kranu, i zaniósła to wszystko: szklanek z wodą, łyżkę i kupioną właśnie buteleczkę syropu na kaszel do pokoju Gilly.

– Kiedy weszłam do jej pokoju – słyszy własny głos relacjonujący wszystko tej lekarce – powiedziałam: „Gilly? Co się stało?”. Bo to, co zobaczyłam... To nie miało sensu. „Gilly? Gdzie twoja piżama? Masz aż taką gorączkę? O Boże, gdzie ten termometr? Nie mów mi, że znów masz gorączkę”.

Gilly leżała na łóżku, twarzą w dół, naga: szczupłe plecy, pupa i nogi nagie. Jedwabiste złote włosy rozsypane po poduszce. Ręce wyciągnięte wysoko nad głowę. Nogi zgięte jak u żaby.

O Boże, Boże, Boże. Jej ręce zaczęły nagle się trząść jak szalone.

Kołdra z łątek, prześcieradło i koc spod spodu były ściągnięte i zwisały w nogach materaca, zwijając się na podłodze. Jej umysł zarejestrował, że Żabki nie ma w łóżku. Psa nie było pod kołdrą, bo kołdry nie było na łóżku. Pościel leżała na podłodze, leżała zwinięta na podłodze, a ona myślała o Żabci, więc nie zdziwiła się, nawet ledwie to zauważyła, kiedy butelka syropu, szklanka z wodą i łyżka też znalazły się na podłodze. Nie wiedziała, że je upuściła, woda się wylała, a szklanka potoczyła po podłodze; woda rozlewała się po starych deskach, a ona krzyczała, jej ręce zdawały się nie należeć do niej, kiedy chwyciła Gilly za ramiona, za ciepłe ramiona, potrząsając nią i przytulając ją, i cały czas krzycząc.

Rudy wyszedł z domu na chwilę, a Lucy znajduje w kuchni kopię protokołu zgłoszenia przestępstwa wydaną przez Biuro Szeryfa Hrabstwa Broward. W protokole nie ma wiele. Zgłoszono wtargnięcie na teren posesji, mogące mieć związek z włamaniem, do którego doszło w tej samej rezydencji.

Koło protokołu leży żółta koperta, a w niej rysunek oka odklejony z drzwi. Gliniarz go nie zabrał. Dobra robota, Rudy. Będzie mogła wykonać na rysunku testy niszczące papier. Lucy spogląda ku domowi sąsiadki, zastanawiając się, czy Kate wraca już z podróży w krainę pijaństwa, wierząc, że wybije klin klinem, czy też w inny przesąd rozpowszechniony wśród alkoholików. Wspomnienie zapachu szampana przyprawia Lucy o mdłości i napawa ją lękiem. Wie wszystko o szampanie i tuleniu się do nieznanym, którzy wraz ze wzrostem poziomu alkoholu we krwi wydają się coraz atrakcyjniejsi. Wie o tym wszystko i nie ma ochoty pakować się w to nigdy więcej, a kiedy wspomnienia powracają, kuli się i odczuwa głębokie, mdlące wyrzuty sumienia.

Jest zadowolona, że Rudy gdzieś sobie poszedł. Gdyby wiedział, co się właśnie stało, przypomniałoby mu się tamto i oboje milczeliby, a ich milczenie tylko by się pogłębiało, aż wreszcie pokłóciliby się i mieli kolejne nieprzyjemne wspomnienia. Po pijanemu brała coś, na co miała w

owej chwili ochotę, tak się jej przynajmniej wydawało, ale potem okazywało się, że wcale nie miała ochoty na to, co wzięła, a wręcz uznawała to za odpychające, a co najmniej obojętne. Zakładając, że zawsze pamiętała, co robiła lub brała, bo po dłuższym czasie rzadko pamiętała. Jak na osobę przed trzydziestką Lucy sporo w życiu zapomniała. Po ostatnim zapomnieniu pamięć zaczęła jej wracać, kiedy stała na balkonie apartamentu na jakimś trzydziestym piętrze, ubrana wyłącznie w szorty, w środku bardzo zimnej nowojorskiej nocy, styczniowej nocy, po całodziennym balandze w Greenwich Village, ale gdzie dokładnie w Greenwich – tego do dziś sobie nie może przypomnieć i zresztą wcale nie chce.

Nie jest nawet całkiem pewna, dlaczego znalazła się na balkonie, ale mogła uważać, że idzie do łazienki, i pomylić zakręty korytarza, otworzyć niewłaściwe drzwi, A gdyby jednak weszła na barierkę, zakładając, że to wanna czy cokolwiek innego, runęłaby w dół z trzydziestego piętra ku pewnej śmierci. Jej ciotka dostałaby protokół z sekcji i zgodziłaby się z innymi patologami, że Lucy po pijanemu popełniła samobójstwo. I żadne badania pod słońcem nie zdołałyby wykazać, że ona tylko wyszła z łóżka, żeby skorzystać z łazienki w nieznanym mieszkaniu należącym do obcej osoby poznanej gdzieś w Greenwich Village. Ale to osobna sprawa, o której Lucy woli nie wspominać.

Po tej historii nie ma już następnych. Lucy wydała alkoholowi wojnę, żeby mu odpłacić za wszystko, co jej narobił, więc teraz nie pije. Teraz zapach alkoholu przypomina jej kwaśny zapach kochanek, których nie kochała i których nawet nie dotknęłaby na trzeźwo. Spogląda na dom sąsiadki, po czym wychodzi z kuchni i kieruje się na drugie piętro. Może przynajmniej się pocieszać, że Henri nie była pijacką decyzją. Przynajmniej może się tym pocieszać.

W gabinecie Lucy zapala światło i otwiera czarną skrzynkę nie większą od zwykłej walizeczki, ale wykonaną z mocnego tworzywa i wyściełaną w środku. W skrzynce znajduje się globalne centrum zdalnej inwigilacji, które pozwala jej połączyć się z bezprzewodowymi nadajnikami szpiegowskimi na całym świecie. Sprawdza, czy bateria jest naładowana i działa, czy czterokanałowe wzmacniacze potęgują sygnał, a magnetofony na dwie taśmy będą nagrywać na dwóch taśmach. Podpina urządzenie do linii telefonicznej, włącza odbiornik i wkłada słuchawki, żeby się przekonać, czy Kate nie rozmawiała z kimś z aparatów w siłowni albo sypialni, ale nic się jeszcze nie nagrało. Lucy siada przy stole w gabinecie, spoglądając na światło igrające na wodzie i palmy kołyszące się na wietrze. Nasłuchuje. Wyrównuje poziom czułości i czeka.

Mija kilka minut ciszy, zdejmuje więc słuchawki i odkłada je na blat. Wstaje i przenosi odbiornik na ten sam stół, na którym ustawiła Krimesite. Chmury przesłaniają słońce i płyną dalej, zmieniając światło w pokoju, potem nadchodzą kolejne, więc w pokoju robi się na zmianę ciemniej i jaśniej. Lucy wciąga białe bawełniane rękawiczki. Wyjmuje rysunek oka z koperty i kładzie go na dużej czarnej kartce, następnie siada z powrotem, zakłada ponownie słuchawki i wyjmuje z zestawu do daktyloskopii puszczkę ninhydryny. Zdejmuje wieczko i zaczyna spryskiwać rysunek, lekko go zwilżając. Mimo że spray nie zawiera freonu i jest nieszkodliwy dla środowiska, nigdy nie uważała go za szczególnie przyjazny dla ludzi. Mgiełka drażni jej płuca, powodując kaszel.

Zdejmuje znów słuchawki i wstaje, żeby przenieść wilgotny, cuchnący chemikaliami papier na blat, na którym stoi pionowo żelazko parowe, umieszczone w odpornym na wysokie temperatury uchwycie. Włącza je i gdy tylko po chwili się nagrzej, sprawdza przycisk pary, która wydobywa się z sykiem z rurki. Lucy kładzie rysunek oka na żaroodpornej podstawie,

unoszą żelazko na dziesięć centymetrów i włącza parę. W ciągu kilku sekund całe połączenie papieru zmieniają kolor na fioletowy i natychmiast widać fioletowe ślady palców – ślady, których nie zostawiła ona, wie bowiem dokładnie, gdzie dotykała kartki, gdy zdejmowała ją z drzwi, a poza tym nie podnosiła jej gołymi palcami, a gliniarz z Broward w ogóle nie dotykał rysunku, ponieważ Rudy by mu nie pozwolił. Ostrożnie omija kawałek taśmy, która nie jest porowata, więc nie podda się działaniu ninhydryny, za to temperatura stopiłaby klej i zatarła ewentualne ślady na brzegach.

Wraca do stołu, siada, zakłada słuchawki i okulary, po czym wsuwa poplamiony na fioletowo rysunek pod okular mikroskopu. Włącza Krimesite i lampę ultrafioletową, a potem zagląda w okular na pole jasnej zieleni, wyczuwając nieprzyjemny zapach spalonych odczynników i papieru. Ołówkowy zarys oka to teraz cienkie białe kreski, ale obok tęczy pojawia się blady kawałek linii papilarnych. Lucy ustawia ostrość najlepiej jak się da i jej oczom ukazuje się fragment odcisku palca z wystarczającą ilością charakterystycznych szczegółów, żeby porównać go z bazą IAFIS – zintegrowanym automatycznym systemem identyfikacji odcisków palców FBI. Gdy sprawdzała niewidoczne odciski pobrane z sypialni, w której Henri o mało nie została zamordowana, porównanie z bazą danych nic nie wykazało, ponieważ bestia nie ma akt z odciskami palców. Tym razem Lucy wykona porównanie ukrytych odcisków w IAFIS, zawierającej dwa miliardy linii papilarnych, postara się również, żeby jej agencja porównała ręcznie odciski z sypialni z tymi z kartki. Przykręca aparat cyfrowy do okularu mikroskopu i robi zdjęcia.

Niecałe pięć minut później, gdy fotografuje inne ślady palca, tym razem smugę z częściowym odciskiem linii papilarnych, w jej słuchawkach słychać po raz pierwszy jakiś ludzki głos, zwiększa więc natężenie i

manipuluje czułością, po czym upewnia się jeszcze raz, że magnetofony zapisują wszystko, czego ona słucha.

– Co robisz? – Zapity głos Kate brzmi wyraźnie w słuchawkach, a Lucy pochyla się na krzesło i sprawdza, czy urządzenie pracuje jak należy. – Nie dam rady zagrać dziś w tenisa – bełkocze Kate. Nadajnik ukryty w złączce włożonej do gniazdka w pobliżu okna wychodzącego na tył domu Lucy doskonale przekazuje tę jednostronną konwersację.

Kate jest w siłowni, ale nie słychać żadnych dźwięków wskazujących na ruch rowerka albo bieżni, Lucy zresztą nie spodziewała się, żeby sąsiadka ćwiczyła po pijanemu. Kate nie jest wszakże zbyt pijana, by szpiegować. Wygląda przez okno ku domowi Lucy i nie ma nic do roboty oprócz podglądania – zapewne nigdy nie ma nic lepszego do roboty niż picie i podglądanie.

– Nie, wydaje mi się, że się przeziębiłam. Słyszysz, nie? Wcześniej było jeszcze gorzej. Mam całkiem zatkany nos, a jak się obudziłam, to ledwie mówiłam.

Lucy przygląda się czerwonemu światełku magnetofonu. Jej wzrok wędruje ku kartce leżącej pod okularom mikroskopu kryminalistycznego. Papier zwinął się z gorąca, a fioletowe smugi są duże, wystarczająco duże, żeby należeć do mężczyzny, ale ona jest zbyt rozsądna, żeby robić z góry założenia. Ważne, że są odciski, zakładając, że to odciski tego potwora, który przyczepił swój rysunek do drzwi Lucy, i zakładając, że to ten sam, który włamał się do jej domu i usiłował zabić Henri. Lucy wpatruje się w fioletowe ślady, ślady bestii, jego aminokwasy ze spoconej, tłustej skóry.

– Wiesz, obok mieszka gwiazda filmowa, co o tym sądzisz? – Głos Kate ponownie wdziera się do głowy Lucy. – Ależ nie, słonko, wcale się nie dziwiłam. Powiem ci wręcz, że w sumie tak podejrzewałam. Mnóstwo ludzi, ekskluzywne samochody, piękni mieszkańcy domu, który musiał

kosztować ile? Osiem, dziewięć, dziesięć milionów? Dom na pokaz, mówię ci. Coś, czego możesz się spodziewać po ludziach żyjących na pokaz.

Nie przeszkadza mu, że zostawia odciski. Nie zależy mu, co martwi Lucy, ponieważ gdyby mu zależało, byłaby o krok do przodu. Gdyby mu zależało, mogłoby to oznaczać, że bestia jednak ma kryminalną przeszłość. Ale on nie ma akt w IAFIS ani nigdzie indziej. I nie przejmuje się, niech go szlag. Nie przejmuje się, bo zakłada, że nikt nie rozpozna odcisków. Zobaczymy, myśli Lucy, wyczuwając jego obecność, gdy sama patrzy na fioletowe smugi na zwiniętym od gorąca rysunku oka. Czuje, że on na nią spogląda, czuje też wzrok Kate i wzbiera w niej gniew – gdzieś głęboko budzi się gniew, w miejscu, gdzie dotąd pełzał, krył się i spał, czekając, aż ktoś go obudzi.

– ... Tina... Naprawdę, uwierz mi. Jej nazwisko jakoś umknęło mi z pamięci. A może mi go nie podała. Oczywiście, że tak. Wszystko mi opowiedziała, i o swoim chłopaku, i o tej dziewczynie, którą tu napadli i wyjechała z powrotem do Hollywood...

Lucy podkreśla głośność, a fiolet na papierze rozmywa się, ponieważ ona słucha teraz bardzo uważnie, jak sąsiadka opowiada o Henri. Skąd tamta wie, że Henri została napadnięta? Nie było tego w mediach. Lucy powiedziała Kate tylko tyle, że ktoś ją śledził. Nie wspomniała nic o żadnym napadzie.

– Śliczna, bardzo śliczna. Blondyneczka, ładna buzia i świetna figura, śliczna i szczupła. Wszystkie takie są w tym Hollywood. Nie, nie jestem pewna. Ale myślę, że to chłopak tej drugiej, Tiny. Dlaczego? Ależ to oczywiste, słonko. Gdyby był z tą blond ślicznotką, to chyba by razem z nią wyjechał, a jej tu nie ma od tego włamanie i tych wszystkich radiowozów i karet.

Karetka, niech to. Kate widziała karetkę, widziała nosze, więc założyła, że Henri została zaatakowana. Coś nie w porządku z moim rozumowaniem, myśli Lucy. Źle kojarzę, stwierdza ze złością, wzrastającą frustracją i paniką. Co się z tobą dzieje, zwraca się w myślach do samej siebie, słuchając rozmowy i wpatrując się w magnetofon w walizeczce na stole obok Krimesite'a. Co się z tobą dzieje, mówi do samej siebie i przypomina sobie własne głupie zachowanie w ferrari, kiedy jechał za nimi tamten Latynos.

– Też się nad tym zastanawiałam, dlaczego nic nie było w wiadomościach. Szukałam czegoś, mówię ci – ciągnie Kate, a język jej się nieco płacze, ponieważ jest bardziej pijara niż przed chwilą. – Tak, jasne – mówi z emfazą i jeszcze bardziej niewyraźnie. – Gwiazdy filmowe i ani słowa w mediach. Ale właśnie do tego zmierzam. One tu są w tajemnicy, więc media nie wiedzą. Ależ oczywiście, że to ma sens. Oczywiście, że ma, pomyśl tylko, kretynko...

– Na litość boską, powiedz coś istotnego – mruczy Lucy w głąb pokoju.

Muszę się pozbierać, myśli. Lucy, pozbieraj się. Myśl, myśl, myśl!

Długie kręcone włosy na łóżku. A niech to, myśli. Niech to, zapomniałam ją spytać.

Zdejmuje słuchawki i kładzie je na stole. Rozgląda się po pokoju, a magnetofon rejestruje nadal jedną stronę rozmowy jej sąsiadki.

– Cholera – mówi głośno Lucy, uświadamiając sobie, że nie zna numeru telefonu Kate ani nawet jej nazwiska, a nie ma ochoty marnować czasu i energii na poszukiwania. Poza tym Kate nie odbierze drugiego telefonu, jeśli ktokolwiek teraz do niej zadzwoni.

Przechodząc do innego biurka, Lucy siada przy komputerze i tworzy z wzorca prosty dokument. Wypisuje dwa zaproszenia dla VIP-ów na premierę jej filmu zatytułowanego „Skok”, która odbędzie się 6 czerwca w

Los Angeles. Zaproszenia obejmują wstęp na prywatne przyjęcie dla twórców i ich gości. Drukuje zaproszenia na błyszczącym papierze fotograficznym, przycina do właściwej wielkości i wsuwa do koperty wraz z notatką: „Droga Kate! Co za urocze spotkanie!

A oto pytanie konkursowe: Kto ma długie kręcone włosy? (Może pomożesz mi wymyślić!)” oraz numerem komórki.

Następnie Lucy pędzi ku domowi Kate, ale Kate nie podchodzi do drzwi ani nawet nie odzywa się w interkomie. Jest już pijana prawie do granicy nieprzytomności albo i wręcz nieprzytomna, toteż Lucy wsuwa kopertę do skrzynki na listy.

Pani Paulsson jest teraz w łazience, ale nie wie, jak się tam znalazła. Łazienka nie była odnawiana od ponad pięćdziesięciu lat; posadzkę ma z biało-niebieskich płytek, poza tym są tu zwykła biała umywalka, zwykły biały sedes i zwykła biała wanna z różowo-fioletową zasłoną w kwiaty. Należąca do Gilly szczoteczka do zębów tkwi w uchwycie nad umywalką, tubka z pastą jest zużyta do połowy. Pani Paulsson nie wie, jak znalazła się w łazience.

Patrzy na szczoteczkę i pastę i płacze jeszcze głośniej. Spryskuje twarz zimną wodą, ale na niewiele to się zdaje. Jest jej bardzo przykro, że nie potrafi się pozbierać, gdy wychodzi z łazienki i wraca do sypialni Gilly, gdzie czeka na nią włoska lekarka z Miami. Ten postawny policjant był tak miły, że przyniósł do pokoju krzesło, zostawił je w nogach łóżka i teraz jest spocony. W pokoju zrobiło się zimno – pani Paulsson zauważyła otwarte okno – ale czerwona twarz mężczyzny błyszczy od potu.

– Niech pani to wyrzuci z siebie – mówi ubrany na czarno policjant z uśmiechem, który wcale nie czyni jego twarzy miłszą, ale pani Paulsson się podoba. Lubi tego człowieka. Nie wie dlaczego. Lubi na niego patrzeć i czuje coś takiego, kiedy na niego patrzy albo się do niego zbliża. – Proszę usiąść, pani Paulsson, niech się pani rozluźni.

– To pan otworzył okno? – pyta, siadając na krześle i splatając ręce na podołku.

– Zastanawiałem się, czy mogło być otwarte, gdy wróciła pani z apteki – pyta policjant. – Jak weszła pani do pokoju, okno było otwarte czy zamknięte?

– Tu robi się gorąco. W tych starych domach trudno regulować temperaturę. – Pani Paulsson podnosi wzrok na policjanta i lekarkę. Nie powinna siedzieć koło tego łóżka i patrzeć na nich do góry. Czuje się zdenerwowana, przerażona i mała, gdy tak siedzi, spoglądając na nich. – Gilly bez przerwy je otwierała. Mogło być otwarte, jak wróciłam do domu. Spróbuję sobie przypomnieć. – Zasłony się poruszają. Białe muslinowe zasłony kołyszą się niczym duchy w zimnym, przejmującym wietrze. – Tak – mówi w końcu. – Myślę, że mogło być otwarte.

– Wiedziała pani, że zamek jest zepsuty? – pyta policjant, stojąc bez ruchu, z oczami utkwionymi w niej. Nie pamięta jego nazwiska. Jak to było? Marinara czy coś w tym stylu.

– Nie – odpowiada i czuje zimne palce strachu zaciskające się wokół jej serca.

Lekarka podchodzi do otwartego okna i zamyka je rękami w białych rękawiczkach. Wygląda na podwórko.

– Nie jest tam zbyt pięknie o tej porze roku – mówi pani Paulsson, a jej serce wali mocno. – Ale powinni państwo zobaczyć na wiosnę.

– Wyobrażam sobie – odpowiada kobieta, która ma w sobie coś takiego, co fascynuje, ale zarazem nieco przeraża panią Paulsson. Teraz wszystko jest przerażające. – Uwielbiam pracę w ogrodzie, a pani?

– Też.

Pani Paulsson dostrzega czarny pył na parapecie i wokół okna. I jeszcze więcej czarnego pyłu i czegoś, co wygląda jak ślady po taśmie na

wewnętrznej i zewnętrznej stronie szyby.

– Myśli pan, że ktoś wszedł przez okno? – pyta.

– Zdjąłem odciski palców – wyjaśnia jej towarzysz. – Nie wiem, dlaczego policja się tym nie zajęła, w każdym razie jest tu coś. Zobaczymy, czy się do czegokolwiek nadadzą. Będę musiał pobrać pani odciski w celu wykluczenia. Nie sądzę, żeby gliny wzięły pani odciski?

Pani Paulsson potrząsa głową i wpatruje się w okno i wszędobyłski czarny pył.

– Kto mieszka po tamtej stronie podwórka? – pyta ubrany na czarno policjant. – W tym starym domu za płotem.

– Kobieta, starsza kobieta. Nie widziałam jej od jakiegoś czasu, nawet od dość dawna. Od wielu lat. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy ona jeszcze tam mieszka. Ostatni raz widziałam kogoś z pół roku temu. Tak, pół roku temu, bo zbierałam pomidory. Mam niewielki ogródek warzywny pod płotem, a ostatniego lata było więcej pomidorów, niż mogłam zjeść. Ktoś był po drugiej stronie płotu, chodził tam, nie mam pojęcia, co robił. Miałam takie wrażenie, że ci ludzie nie są zbyt mili, kimkolwiek są. W sumie wątpię, żeby to była ta sama kobieta, która tam mieszkała osiem, dziewięć, dziesięć lat temu. Była bardzo stara. Pewnie już nie żyje.

– Jak pani myśli, czy policja zamierzała z nią rozmawiać, zakładając, że ta pani żyje? – pyta wielki policjant.

– Myślałam, że państwo są z policji.

– Z innej policji niż ta, która u pani była. Tak, proszę pani, z zupełnie innej policji.

– Rozumiem – odpowiada pani Paulsson, choć naprawdę nic nie rozumie. – Więc myślę, że detektyw Brown...

– Browning – poprawia ją policjant w czerni, a ona zauważa, że wsunął bejsbolówkę do tylnej kieszeni spodni. Ma ogoloną głowę i pani Paulsson

wyobraża sobie, jak dotyka dłonią jego gładkiej skóry.

– Pytał mnie o sąsiadów – ciągnie. – Powiedziałam, że z tyłu mieszka albo mieszkała ta stara kobieta. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek tam jeszcze jest. Myślę, że to właśnie mu powiedziałam. Nigdy nikogo nie słyszę, prawie nigdy, a przez szpary w płocie widać, że trawa całkiem zarosła.

– Przyszła pani z apteki – lekarka wraca do tematu – i co dalej? Proszę odtworzyć krok po kroku, pani Paulsson.

– Zaniósłam zakupy do kuchni, a potem poszłam zobaczyć, co z Gilly. Myślałam, że śpi.

Po chwili lekarka zadaje następne pytanie. Chce wiedzieć, dlaczego pani Paulsson myślała, że córka śpi, w jakiej leżała pozycji, a te pytania wprawiają ją w konsternację. Każde boli jak rana, wywołuje skurcz gdzieś bardzo głęboko. Jakie to ma znaczenie? Jaki lekarz będzie pytał o takie rzeczy? To atrakcyjna kobieta i bije z niej jakaś siła. Nie jest wysoka, ale wygląda na silną, gdy tak stoi w granatowym kostiumie ze spodniami i granatowej bluzce, podkreślającej przystojne rysy twarzy i krótkie blond włosy. Ma mocne, ale ładne dłonie bez pierścionków. Pani Paulsson patrzy na ręce kobiety i wyobraża sobie, że dotykają Gilly, a wtedy wybucha ponownie płaczem.

– Poruszyłam nią. Chciałam ją obudzić. – Słyszysz, jak powtarza to w kółko: Czemu pizama leży na podłodze, Gilly? Co się stało? O Boże, Boże!

– Proszę opisać, co pani zobaczyła po wejściu do pokoju. – Tamta zadaje to samo pytanie innymi słowami. – Wiem, że jest pani trudno. Marino? Mógłbyś, proszę, przynieść jakieś chusteczki i szklankę wody?

Gdzie jest Żabcia? O Boże, gdzie jest Żabtuś? Chyba nie znowu z tobą w łóżku?

– *Wyglądała, jakby spała.* – Pani Paulsson znów słyszy własny głos.

– Na plecach? Na brzuchu? W jakiej pozycji leżała na łóżku? Proszę sobie przypomnieć. Wiem, że jest pani bardzo ciężko – mówi lekarka.

– Spała na boku.

– Leżała na boku, gdy weszła pani do pokoju?

Och, Żabcia zsiakała się w łóżku. Żabtuś? Gdzie jesteś? Chowasz się pod łóżkiem, Żabciu? Znowu włączysz do łóżka, prawda? Nie wolno ci tego robić! Oddam cię, jeśli nie przestaniesz! Przestań chować się przede mną!

– Nie – mówi pani Paulsson, płacząc.

Gilly, obudź się, obudź się, proszę. To nie jest prawda! To nie dzieje się naprawdę!

Kobieta kuca przy krześle, patrząc jej prosto w oczy. Bierze ją za rękę. Trzyma ją za rękę i coś mówi.

– Nie! – Pani Paulsson szlocha spazmatycznie. – Nie miała nic na sobie. O Boże! Gilly nie leżałaby tak bez niczego. Nawet przebierała się przy zamkniętych drzwiach.

– Proszę się uspokoić – mówi lekarka. Jej spojrzenie jest przyjazne, a dłoń miła w dotyku. W jej oczach nie widać strachu. – Proszę głęboko oddychać. Już. Wdech. I wydech. Dobrze. Powoli, głęboko.

– O Boże, czy ja mam atak serca? – wyrzuca z siebie pani Paulsson z przerażeniem. – Zabrali moją dziewczynkę. Nie ma jej. Gdzie moja dziewczynka?

Potęźnie zbudowany policjant w czerni stoi znów w drzwiach, trzymając paczkę chusteczek i szklanek wody.

– Kim oni są? – pyta.

– Och, nie, ona nie zmarła na gripę, prawda? Nie, nie. Moja malutka dziewczynka nie umarła na gripę. Zabrali mi ją.

– Kim oni są? – Policjant powtarza pytanie. – Myśli pani, że była w to zamieszana więcej niż jedna osoba? – Wchodzi do pokoju i podaje lekarce

szklanę z wodą.

Lekarka pomaga pani Paulsson pić.

– Tak, dobrze. Proszę pić powoli. I powoli oddychać. Proszę się postarać uspokoić. Czy ktoś mógłby przyjść i pobyć z panią? Nie powinna pani teraz zostawać sama.

– Kim oni są? – Jej głos wznosi się, gdy powtarza pytanie. – Kim oni są?
– Usiłuje podnieść się z krzesła, ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa, jakby już do niej nie należały. – Powiem wam, kim oni są. – Smutek zmienia się w gniew, straszliwy gniew, którego panicznie się lęka. – Ci ludzie, których tu sprowadził. Oni. Zapytajcie Franka, kim oni są. On wie.

W pracowni badania śladów laborant sądowy Junius Eise trzyma włókno wolframowe nad ogniem palnika spirytusowego. Szczyci się tym, że jego ulubiony sposób wykonywania narzędzi był od stuleci praktykowany przez rzemieślników wytwarzających mikroskopy. Ten fakt między innymi czyni z niego konesera, człowieka renesansu, miłośnika nauki, historii, piękna i kobiet. Trzymając w kleszczach krótkie włókno sztywnego, cienkiego drutu, przygląda się, jak szarawy metal szybko rozgrzewa się do czerwoności, i wyobraża sobie, że to przejaw namiętności lub gniewu. Wyjmuje drut z ognia i wsuwa czubek do azotanu sodu, utleniając i wyostrzając wolfram. Teraz wystarczy zanurzyć go w szalce Petriego wypełnionej wodą i ostro zakończony drut stygnie z krótkim sykiem.

Wkręca drut w imadło z nierdzewnej stali, wiedząc że czas poświęcony na wykonanie narzędzia był czystym relaksem. Junius mógł na chwilę oderwać się od pracy, skoncentrować na czymś innym, odzyskać na moment poczucie kontroli. Teraz zagląda w podwójny okular mikroskopu. Chaos i zagadki są tam, gdzie je zostawił, tyle że pięćdziesięciokrotnie powiększone.

– Nie rozumiem. – Nie kieruje tych słów do nikogo konkretnego.

Za pomocą nowego wolframowego przyrządu przesuwają cząsteczki lakieru i szkła zebrane z ciała mężczyzny, którego kilka godzin temu

rozjechał własny buldożer. Trzeba być niespełna rozumu, żeby się nie domyślić, że główny koroner obawia się, że rodzina zmarłego będzie kogoś ciągać do sądu, inaczej dowody śladowe nie byłyby tak istotne w tym śmiertelnym wypadku, w dodatku ewidentnie wynikającym z nieuwagi. Tylko, że jak się szuka, to się coś znajduje, a to, co znalazł Eise, nie ma sensu. W takich chwilach przypomina sobie, że ma sześćdziesiąt trzy lata, dwa lata temu mógł odejść na emeryturę i wielokrotnie odmawiał przyjęcia stanowiska szefa sekcji dowodów śladowych, ponieważ nie ma ochoty odchodzić od mikroskopu. Jego ideał pracy nie ma nic wspólnego z zabieganiem o finanse i kłopotami z personelem, a stosunki z głównym koronerem nigdy nie były tak złe.

W spolaryzowanym świetle pod mikroskopem przesuwając nowym narzędziem lakier i metal po suchej powierzchni szkiełka. Są przemieszane z innym brudem – jakimś dziwnym pyłem, który jest szarobrazowy, niepodobny do niczego, co Eise kiedykolwiek oglądał, poza jednym bardzo szczególnym wyjątkiem. Widział takie same ślady dwa tygodnie temu w całkowicie niepowiązanej z tym wypadkiem sprawie, jako że przecież nagła tajemnicza śmierć czternastoletniej dziewczynki nie może mieć nic wspólnego ze śmiercią operatora buldożera.

Eise niemal nie mruga oczami, czując napięcie w górnej części ciała. Drobiniki lakieru wielkości łupieżu mają kolor czerwony, biały i niebieski. Nie są z auta, nie pochodzą też z buldożera, to pewne, ale też nie spodziewałby się śladów samochodowych w przypadku śmierci operatora buldożera nazwiskiem Theodore Whitby. Płatki lakieru i dziwny szarobrazowy pył przylegały do rany na jego twarzy. Podobne, jeśli nie identyczne drobiniki lakieru i podobne, jeśli nie identyczne dziwaczne szarobrazowe pyłki znaleziono w ustach czternastolatki, głównie na języku. Ten pył najbardziej niepokoi laboranta. Jest bardzo dziwny. Junius Eise

nigdy nie widział takiego pyłu. Ma nieregularny, poszarpany kształt niczym zaschnięte błoto, ale to nie błoto. Ten pył ma szczeliny, pęcherzyki i gładkie kawałki oraz wąskie przezroczyste krawędzie niczym powierzchnia dotkniętej suszą planety. Niektóre cząsteczki są jakby wydrążone.

– Co to, u diabła, jest? – mówi Eise. – Nie mam pojęcia co to. Jakim cudem ten sam dziwny pył znalazł się w dwóch sprawach? Nie mogą mieć z sobą nic wspólnego. Nie rozumiem, co się tutaj stało.

Sięga po cieniutką pęsetę i delikatnie oddziela kilka włókien bawełnianych od cząsteczek na szkiełku. W świetle padającym przez soczewki powiększone włókna wyglądają jak strzępki skręconej białej nitki.

– Wiecie, jak nienawidzę bawełnianych tamponów? – pyta pustego niemal laboratorium. – Wiecie, jak niewyobrażalnie upierdliwa jest wata? – rzuca pytanie w stronę sporej prostokątnej przestrzeni czarnych blatów, naczyń laboratoryjnych, komputerów i mikroskopów, a także ich całego szklanego, metalowego i chemicznego wyposażenia.

Większości pracowników nie ma przy ich stanowiskach: są w innych salach na tym samym piętrze, zajęci absorpcją atomową, chromatografią gazów i spektrometrią masową, dyfrakcją rentgenowską, transformatą Fouriera i spektrometrem podczerwieni, tomografem elektronowym i innymi urządzeniami. W świecie nieustannych zaległości i braku pieniędzy laboranci łapią, co pod ręką, wskakując na przyrządy jak na konie i wyciskając z nich ostatnie poty.

– Wszyscy wiedzą, że nienawidzisz waty – odzywa się Kit Thompson, chwilowo najbliższa sąsiadka Eisego.

– Mógłbym zrobić wielką kołdrę z wszystkich włókien bawełnianych, które zebrałem w moim krótkim życiu – mówi Eise.

– To czemu nie zrobiłeś? Od lat czekam na twoją wielką kołdrę – odpowiada Kit.

Eise chwyta kolejne włókno. Niełatwo je złapać. Gdy porusza peseta albo igłą z wolframu, wystarczy minimalny ruch powietrza, żeby się przesunęło. Junius zmienia ogniskową i zmniejsza powiększenie do czterdziestu razy, zwiększając głębię ostrości. Wstrzymuje oddech, wpatrując się w świetlny krąg i usiłując odgadnąć jego sekrety. Jakie prawo fizyki każe bawełnianemu włóknu uciekać przy najmniejszym zawirowaniu powietrza, jakby było żywe *i na rauszu*? Dlaczego włókno nie przesuwają się raczej ku niemu?

Podnosi okular o kilka milimetrów i wsuwa ostre jak szpilki końcówki pesety w pole widzenia. Krąg światła nadal, mimo wszystkich przejść, przypomina mu jasno oświetloną arenę cyrkową. Przez moment widzi słonie i klaunów w świetle tak jasnym, że oczy bolą. Pamięta, jak siedział na drewnianej ławce i przyglądał się różowym obłoczkom waty cukrowej unoszącym się w powietrzu. Eise chwyta kolejne bawełniane włókno i delikatnie przenosi je poza szkiełko. Następnie mniej delikatnie wciska do niewielkiego przezroczystego foliowego woreczka z innymi cieniutkimi bawełnianymi włóknami, które z pewnością są zanieczyszczeniem pochodzącym z patyczków do uszu, bez wartości dowodowej.

Doktor Marcus to najgorszy śmieciarz ze wszystkich. Co, u diabła, jest z tym facetem nie w porządku? Junius wysłał mu mnóstwo notatek, w których domagał się, żeby ludzie zbierali dowody śladowe na taśmę klejącą, jeśli to tylko możliwe, a pod żadnym, żadnym, żadnym pozorem nie używali wacików, ponieważ składają się one z bilionów włókienek lżejszych niż pocałunek anioła, które przyczepiają się do dowodów.

To jak sierść białego kota angorskiego na czarnych aksamitnych spodniach, napisał kilka miesięcy temu Junius do doktora Marcusa. Jak wybieranie pieprzu z puree ziemniaczanego. Albo usuwanie łyżeczką śmietanki z kawy. I sporo innych równie kulawych i nadętych porównań.

– W zeszłym tygodniu posłałem koronerowi dwie rolki taśmy klejącej – mówi Eise. – I kolejną paczkę żółtych karteczek samoprzylepnych, żeby przypomnieć mu, że słabe kleje są najlepsze do zdejmowania włosów i włókien, ponieważ ich nie uszkodzą, a przy tym nie zostawią wszędzie tych bawełnianych kłaczków. Nie mówiąc już o interferencjach z promieniami rentgenowskimi i innych efektach ubocznych. Naprawdę, to nie jest w porządku, żeby siedzieć tu cały dzień i wybierać zanieczyszczenia z próbek.

Kit marszczy czoło i otwiera butelkę preparatu Permout.

– Wybieranie pieprzu z puree ziemniaczanego? I posłałeś doktorowi Marcusowi samoprzylepne karteczki?

Kiedy Eise jest podenerwowany, mówi wszystko, co myśli. Nie zawsze zdaje sobie sprawę – a po prawdzie zapewne nieszczególnie się tym przejmuje – że wtedy to, co myśli, wydostaje się na światło dzienne i jest dla wszystkich słyszalne.

– Chodzi o to – mówi – że kiedy Marcus, czy ktokolwiek inny, oglądał wnętrze ust tej dziewczynki, wytarł je dokładnie wacikami. Ale nie musiał tego robić z językiem. Wyciął język, nie? Miał go przed oczami na blacie i chyba widział, że jest jakiś osad. Mógł użyć taśmy klejącej, ale uparł się na patyczki, a ja teraz muszę przez cały dzień wyciągać włókna.

Kiedy człowiek, a zwłaszcza dziecko, zostanie sprowadzony do języka na blacie, traci imię. Tak się właśnie dzieje i nie ma w tym względzie wyjątków. Nie mówi się, że włożyło się rękę do gardła Gilly Paulsson, podważyło tkankę skalpelem i wyciągnęło narządy i język dokładnie z ust tej właśnie dziewczynki albo że wbiło się igłę w lewe oko Timmy'ego, żeby pobrać ciało szkliste do badań toksykologicznych, czy też odpiłowano czubek czaszki pani Jones, wyjęto mózg i odkryto pęknięty tętniak wewnątrzczaszkowy, czy też że trzeba było dwóch osób, aby przeciąć

mięśnie w szczękach pana Forda, ponieważ był całkiem sztywny, a do tego bardzo muskularny, więc nie dało się otworzyć mu ust.

To są takie chwile świadomości, które przemykają w myślach Eisego niczym cień Czarnego Ptaka. Tak właśnie to nazywa. Jeśli spojrzy w górę, nic tam nie ma, tylko jakaś świadomość. Nie zamierza się w to zagłębiać, ponieważ kiedy ludzkie sprawy rozpadają się na kawałki, by wreszcie skończyć na jego szkiełkach, lepiej się nie rozglądać za Czarnym Ptakiem. Jego cień jest wystarczająco straszny.

– Wydawało mi się, że doktor Marcus jest zbyt zajęty i zbyt ważny, żeby robić sekcje – mówi Kit. – Po prawdzie mogłabym zliczyć na palcach jednej ręki te sytuacje, kiedy go widziałam na własne oczy, odkąd tu pracuje.

– Nieważne. Jest szefem i to on ustala zasady. On zatwierdza zamówienia na patyczki i w dodatku te najtańsze. Jeśli o mnie chodzi, to wszystko jego wina.

– Nie wydaje mi się, żeby on sam badał tę dziewczynkę. Tego operatora buldożera zabitego w starym budynku też raczej nie – odpowiada Kit. – Niemożliwe, żeby badał którekolwiek z nich. On woli nadzorować i ustawiać wszystkich dookoła.

– Może przyda ci się Przebój Eisego? – pyta ją Eise, trzymając pewnie wolframową igłę w szczupłej dłoni.

Eise jest znany z napadów nerwicy natręctw przejawiającej się wykonywaniem igieł z wolframu, które jakąś magiczną sztuczką lądują na biurkach kolegów.

– Oczywiście, zawsze przydadzą mi się kolejne Przeboje Eisego – mówi niepewnie Kit, jakby wcale nie potrzebowała kolejnej igły – ale dla niego, w świecie jego wyobraźni opiera się, ponieważ nie chce sprawiać mu

kłopotów. – Wiesz co? Wcale nie zamierzam preparować tego włosa. – Zamyka z powrotem butelkę permounta.

– Ile ich masz od tej chorej dziewczynki?

– Trzy – odpowiada Kit. – Moje typowe szczęście, jeśli dział DNA postanowi zrobić coś z tymi włosami, chociaż tydzień temu nie zainteresowali się nimi. Dlatego nie zamierzam preparować tego ani pozostałych. Wszyscy zachowują się ostatnio dziwnie. Jessie była w pracowni dowodów rzeczowych, kiedy ostatnio się do niej przeszłam. Mają tam całą pościel. Najwyraźniej szukają czegoś, czego na początku nie znaleźli, a Jessie o mało co nie rzuciła się na mnie, kiedy zapytałam, co się dzieje. A dzieje się coś dziwnego. Dostali tę pościel z dowodami rzeczowymi ponad tydzień temu, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Skąd niby miałabym wziąć te włosy? Dziwne. Może to wszystko z powodu świąt. Nawet jeszcze nie myślałam o zakupach świątecznych.

Zanurza cieniutkie szczypcy w małym plastikowym woreczku na dowody i wyciąga delikatnie kolejny włos. Z perspektywy Eisego ma on dziesięć lub dwanaście centymetrów długości, jest czarny i skręcony. Eise przygląda się, jak Kit owija go wokół szkiełka, dodaje kroplę ksyleny i przykleja górne szkiełko, zabezpieczając w ten sposób leciuteńki, ledwie widoczny dowód pobrany z pościeli tej samej martwej dziewczynki, która miała w ustach odłamki lakieru i drobinki dziwaczного szarobrazowego pyłu.

– Cóż, doktor Marcus to z pewnością nie doktor Scarpetta – mówi nagle Kit.

– Zajęło ci raptem pięć lat zauważenie, że to nie ta sama osoba? Myślałaś, że doktor Scarpetta przeszła całkowitą transformację i zmieniła się w tego łasicowatego starego szympana w narożnym biurze, ale teraz naszło cię olśnienie i zdałaś sobie sprawę, że to dwie zupełnie różne osoby.

W dodatku wpadłaś na to bez pomocy DNA. Zuch dziewczynka. Jesteś tak zdolna, że mogłabyś stworzyć własne talk-show.

– Jesteś świrem – mówi Kit, śmiejąc się tak głośno, że odchyła się od mikroskopu, bojąc się, że zdmuchnie swoje dowody.

– Lata wdychania ksylenu, dziecko. Mam raka osobowości.

– O Boże! – Kit wzdycha, wciągając głośno powietrze. – Chodzi mi o to, że gdyby to doktor Scarpetta prowadziła tę sprawę, czy jakąkolwiek inną, nie musiałbyś wyciągać włókien bawełnianych z próbek. Ona tu jest, tak ń propos. Przyjechała z powodu tej dziewczynki, tej małej Paulssonów. I dlatego cały ten szum.

– Żartujesz sobie. – Eise nie chce wierzyć.

– Gdybyś nie wychodził zawsze pierwszy i był nieco bardziej towarzyski, może znałbyś parę sekretów.

– Hej ho i butelka rumu, moja panno. – Prawdą jest, że Eise zazwyczaj nie przesiaduje w laboratorium po piątej, ale też pierwszy pojawia się tu rano, zazwyczaj około szóstej piętnaście. – Śmiem twierdzić, że Wielki Gonzo jest ostatnią osobą, jaką by tu wezwali z jakiegokolwiek powodu.

– Wielki Gonzo? A to skąd?

– Z Muppetów.

– Chyba w takim razie jej nie znasz. Ludzie, którzy ją znają, nie nazwaliby jej tak. – Kit kładzie szkiełko pod mikroskopem. – A ja? Ja natychmiast bym ją wezwała. Nie czekałabym dwóch tygodni, ba, nawet dwóch minut. Jest. Zapomnij, że miałam z tym cokolwiek wspólnego. Nie widzę cząsteczek barwnika, a w dodatku na powierzchni może być jakaś substancja wyprostowująca. Założę się, że zdecydują się na test mitochondrialny DNA. Ni stąd, ni zowąd wysyłają moje trzy bezcenne włosy do Laboratorium Wszechcielesnego! Zaczekaj. Dziwne, bardzo

dziwne. Może doktor Scarpetta uznała, że dziewczynkę zamordowano? Może o to właśnie chodzi?

– Nie preparuj włosów – mówi Eise. W dawnych czasach badania DNA były tylko jedną z gałęzi nauk sądowych. Teraz są srebrną kulą, platynową płytą, supergwiazdą, dostają całą kasę i cały splendor. Eise nigdy nie ofiarował swoich Przebojów Eisego nikomu z wydziału DNA.

– Nie martw się, niczego nie preparuję – mówi Kit, zaglądając w okular mikroskopu. – Brak odrostów, to interesujące. I nieco dziwne w przypadku farbowanych włosów. To znaczy, że nic nie urosły, odkąd je ufarbowano. Ani o milimetr.

Porusza szkiełkiem pod obiektywem mikroskopu, a Eise przygląda się próbce z pewnym zainteresowaniem.

– Brak cebulki? Odpadła czy została urwana, ułamana, odcięta, zniszczona lokówką, spalona? Końcówka zwęża się czy rozszczepia? Ucięta prosto czy pod kątem? Hej, dziewczyno, oświeć mnie – mówi.

– Najwyraźniej istotnie brak cebulki. Końcówka ucięta pod kątem. Wszystkie trzy włosy są ufarbowane na czarno i brak im cebulek, co jest dziwne. Każdy z nich ma ucięte oba końce. Nie jeden z nich, ale wszystkie trzy. Nie są wyrwane ani złamane. Nie wypadły. Są obcięte. A teraz powiedz mi, po co ucinać włosy po obu końcach?

– Może ten ktoś właśnie wrócił od fryzjera i na jego ubraniu albo i na samej głowie były włosy po stryżeniu? A może nosił przez jakiś czas tupet?

Kit marszczy brwi.

– Jeśli doktor Scarpetta jest w budynku, muszę się z nią zobaczyć. Choćby po to, żeby się przywitać. Nie podoba mi się, że odeszła. Moim zdaniem to cholerne miasto po raz drugi przegrało wojnę. Ten kretyn doktor

Marcus. Wiesz co? Nie czuję się najlepiej. Rano miałam gorączkę i ból w stawach.

– A może ona wraca do Richmondu? – zastanawia się Eise. – Może dlatego przyjechała? Kiedy ona przysyłała próbki, nigdy nie były błędnie opisane i wiedzieliśmy dokładnie, skąd pochodzą. Nie miała nic przeciwko rozmowom o sprawach, przychodziła tu sama, nie traktowała nas jak roboli w General Motors tylko dlatego, że nie jesteśmy wielkimi potężnymi lekarzami-prawnikami, indiańskimi wodzami. Nie tarła wszystkiego wacikami, jeśli można było użyć taśmy, karteczki samoprzylepnej czy innych zalecanych przez nas rzeczy. Chyba masz rację. Muppet Show tu nie pasuje.

– Co to w ogóle jest, mapecie?

– Nie mam pojęcia.

– Kompletnie nieczytelna tekstura korowa – mówi Kit, patrząc na powiększony czarny włos, wyglądający w kręgu światła jak wielkie drzewo w zimie. – Jakby ktoś zanurzył go w naczyniu z atramentem. Brak odrostu, więc albo dopiero co farbowany albo ucięty poniżej niefarbowanego odrostu.

Kit robi notatki, w miarę jak przesuwa szkiełko, poprawiając ogniskową i powiększenie. Robi, co w jej mocy, żeby czarny włos przemówił. Nie żeby miał wiele do powiedzenia. Farba zatarła charakterystyczne cechy pigmentu, zupełnie jak w wypadku odcisku umazanego atramentem palca, kiedy nie widać linii papilarnych. Włosy farbowane, tlenione i siwe są praktycznie do niczego nieprzydatne pod mikroskopem, a połowa populacji ludzkiej ma włosy farbowane, tlenione, siwe albo po trwałej. Tymczasem sędziowie oczekują, że na rozprawie włos powie kto, co, kiedy, gdzie, dlaczego i w jaki sposób.

Eise nienawidzi tego, co przemysł rozrywkowy zrobił z jego profesji. Bez przerwy spotyka ludzi, którzy chcieliby tu pracować, mieć tak ekscytujący zawód, ale to nieprawda, po prostu nieprawda. On nie jedzie na miejsce przestępstwa i nie nosi broni. Nigdy. Nie miewa nagłych telefonów, nie wkłada specjalnego munduru czy kombinezonu i nie gna specjalną terenówką na miejsce zbrodni, żeby szukać włókien, odcisków palców, śladów DNA czy Marsjan. Od tego są policjanci i technicy dochodzeniowi. Koronerzy i patolodzy sądowi. Onegdaj, kiedy życie było prostsze, a ludzie zostawiali specjalistów sądowych w spokoju, detektywi kryminalni tacy jak Pete Marino jechali na miejsce zbrodni rozklekotanymi samochodami, sami zbierali dowody i nie tylko wiedzieli, co zbierać, ale też co zostawiać.

Nie odkurzajcie całego cholernego parkingu. Nie pakujcie całej zawartości sypialni tej nieszczęsnej kobieciny do wielkich plastikowych worów i nie przynoście tego chłamu tutaj. To tak, jakby ktoś poszukiwał złota i przydźwigał do domu cały strumień zamiast wcześniej dokładnie przesiać piasek z dna. Większość tych bezsensownych działań wynika dziś z lenistwa. Są jednak też inne, poważniejsze problemy, które powodują, że Junius Eise myśli o emeryturze. Nie ma czasu na badania ani nawet zwykłą rozrywkę, za to gnają go do mnóstwa papierkowej roboty, która musi wyglądać idealnie, podobnie jak jego analizy. Eise ma przemęczone oczy i cierpi na bezsenność. Rzadko zdarza mu się otrzymać podziękowania lub przynajmniej wyrazy uznania, kiedy sprawa jest już rozwiązana, a sprawca dostanie, co mu się należało. W jakim my świecie żyjemy? Jest coraz gorzej. Tak, coraz gorzej.

– Jeśli natkniesz się na doktor Scarpettę – odzywa się Eise – to zapytaj ją o Marina. Kolegowaliśmy się nieco, czasem tu przychodził i szliśmy na kilka piw w klubie policyjnym.

– Marino też tu jest – mówi na to Kit. – Przyjechał z nią. Wiesz co, naprawdę czuję się dziwnie, to drapanie w gardle i ból stawów. Mam nadzieję, że to nie jakaś cholerna grypa.

– On tu jest? Wszyscy święci. Zaraz do niego przekreślę. Wszelki duch! Czyli on też pracuje nad Chorą Dziewczynką?

Tak się teraz mówi o Gilly Paulsson, jeśli w ogóle potrzebna jest jakaś nazwa. Lepiej nie używać prawdziwych imion, nawet jeśli się je pamięta. Ofiary zmieniają się w miejsca ich znalezienia albo to, co się z nimi stało. Kobieta ze Schodów. Kobieta z Rynsztoka. Niemowlę z Wysypiska. Szczurołap. Gość z Taśmociągu. Eise zazwyczaj nie ma nawet pojęcia, jak ci wszyscy ludzie naprawdę się nazywali. I woli, żeby tak zostało.

– Jeśli doktor Scarpetta ma jakąś teorię co do tego, dlaczego Chora Dziewczynka ma czerwony, biały i niebieski lakier oraz jakiś dziwny proszek w ustach, to chętnie posłucham – mówi. – Najpewniej metal pomalowany na czerwono, biało i niebiesko. Jest też niemalowany metal, a także drobinki jakiegoś lśniącego. I coś jeszcze. Nie mam pojęcia, co to jest to coś jeszcze. – Porusza dowodami śladowymi na szkiełku, obracając je obsesyjnie. – Zaraz zrobię temu spektrometrię, żeby zobaczyć, jaki to metal. Było coś czerwono-biało-niebieskiego w domu Chorej Dziewczynki? Chyba poszukam tego Marina i kupię mu parę chłodnych piw. Boże, sam bym się napił.

– Nie gadaj teraz o piwie – mówi Kit. – Źle się czuję. Wiem, że nie da się zarazić przez te waciki, taśmy i całą resztę. Ale czasem nie jestem pewna, gdy przysyłają te różne paskudztwa z prosektorium.

– Niemożliwe. Wszystkie te bakterijki są martwe jak kłody, zanim do nas dotrą – zapewnia ją Eise. – Przyjrzyj się im lepiej, wszystkie mają maleńkie etykiety przyczepione do palców od nóg. Coś taka blada, moja panno? – Woli nie myśleć o tym, że mogłaby się naprawdę rozchorować.

Kiedy Kit nie ma w pokoju, robi się tu strasznie pusto. Ale ona rzeczywiście źle się czuje. To widać. Nie powinien udawać, że jest inaczej.
– Czemu nie zrobisz sobie przerwy, moja panno? Szczepiłaś się na grypę?
Nie zdążyłem kupić szczepionki, zanim ich zabrakło.

– Ja też. Nigdzie nie można było jej dostać – odpowiada Kit, wstając z krzesła. – Zrobię gorącej herbaty.

Lucy nie lubi powierzać innym swojej pracy. Może całkowicie zaufać Rudy'emu, ale nie w kwestii swojej pracy, w każdym razie nie teraz – ze względu na Henri i to, co tamten do niej czuje. Dlatego Lucy osobiście przegląda wydruk z bazy IAFIS w swoim gabinecie, jednocześnie przesłuchując ze słuchawkami na uszach zapis banalnych rozmów telefonicznych prowadzonych przez jej sąsiadkę Kate. Jest czwartek rano.

Wczoraj późnym wieczorem Kate do niej oddzwoniła. Zostawiła na komórce wiadomość: „Mnóstwo buziaków za bilety. Kim jest kobieta znad basenu? Kimś sławnym?”. Lucy zatrudnia sprzątaczkę do basenu, która nie jest nikim sławnym. Ta brunetka po pięćdziesiątce wygląda na zbyt drobną, by obsługiwać filtr wody, i nie jest gwiazdą filmową ani też z pewnością nie jest bestią. Pech Lucy trwa – przeszukiwanie bazy IAFIS nie dało satysfakcjonujących rezultatów, to znaczy nie dało nic. Porównanie niewidocznych odcisków z niewidocznymi odciskami, zwłaszcza gdy większość z nich zachowała się tylko częściowo, to beznadziejna praca.

Każdy z dziesięciu odcisków palców człowieka jest niepowtarzalny. Na przykład odcisk kciuka lewej ręki danej osoby nie będzie identyczny z odciskiem prawego kciuka. Nie mając karty z odciskami dziesięciu palców, IAFIS może odkryć nieznaną odcisk, tylko jeżeli przestępca pozostawi ślad tego samego palca w dwóch miejscach zbrodni i oba trafią do bazy danych,

a na dodatek oba będą kompletne albo też będą zawierały tę samą część palca.

Ręczne (a raczej wzrokowe) porównanie niewidocznych odcisków to natomiast osobna historia i tu Lucy ma nieco więcej szczęścia. Częściowe niewidoczne ślady pobrane z rysunku oka pasują do części tych, które znalazła w sypialni, po tym jak Henri została zaatakowana. Nie stanowi to dla Lucy zaskoczenia, ale potwierdzenie zawsze cieszy. Bestia, potwór, który wszedł do jej domu, jest tym samym człowiekiem, który zostawił rysunek, i tym, który porysował jej ferrari, chociaż na samochodzie; nie znaleziono żadnych odcisków palców. Ale ilu morderców rysuje oczy? A więc musiał to zrobić on, aczkolwiek żadne z tych powiązań nic Lucy o nim nie mówi. Wie tylko tyle, że ten sam przestępca powoduje wszystkie kłopoty, że nie ma on karty odcisków w IAFIS ani najwyraźniej nigdzie indziej i nadal prześladowuje Henri, ewidentnie nie wiedząc, że ta jest daleko stąd. A może zakłada, że ofiara wróci albo przynajmniej dowie się o jego ostatnich wyczynach.

Zdaniem zabójcy, jeśli się dowiedziała, że przypiął rysunek do drzwi, to jest przerażona i załamana i może już tu nie przyjedzie. Bestii zależy na przewadze nad Henri. O to zawsze chodzi prześladowcy. O przewagę nad innym człowiekiem. W pewnym sensie prześladowca czyni z ofiary zakładnika, nawet jeśli jej nie dotknie, a czasem nawet jeśli jej nie spotka. O ile Lucy wie, napastnik nigdy nie zetknął się z Henri. O ile Lucy wie. Ale co ona tak naprawdę wie? Bardzo niewiele.

Przegląda wydruk z innego przeszukiwania, które wykonała w nocy, i zastanawia się, czy dzwonić do ciotki. Lucy dawno do niej nie dzwoniła i nie ma na to dobrego wytłumaczenia, mimo że zasadniczo jest dobra w wykrętach. Spędzają mnóstwo czasu na południu Florydy, oddalone od siebie o niecałą godzinę jazdy. Kay Scarpetta przeprowadziła się w lecie z

Del Ray do Los Olas, ale Lucy była tylko raz w jej nowym domu, a w dodatku dawno temu. Im więcej czasu minęło, tym trudniej teraz do niej zadzwonić. Niewypowiedziane pytania zawisną między nimi i obie będą czuć się dziwnie, ale Lucy uważa, że byłoby nie w porządku nie zadzwonić do ciotki w zaistniałej sytuacji. Dzwoni więc.

– Pani zamawiała budzenie – mówi, gdy Kay podnosi słuchawkę.

– Jeśli tylko na tyle cię stać, to nikogo nie nabierzesz – odpowiada doktor Scarpetta.

– Co masz na myśli?

– Nie mówisz jak recepcjonistka, a ja nie zleciłam budzenia. Co słychać?

I gdzie jesteś?

– Nadal na Florydzie.

– Nadal? Zamierzasz znów wyjechać?

– Nie wiem. Zapewne,

– Dokąd?

– Nie wiem jeszcze – mówi Lucy.

– Okej. Nad czym pracujesz?

– Prześladowanie.

– Trudna sprawa.

– Żebyś wiedziała. Zwłaszcza ta. Ale nie mogę o tym mówić.

– Nigdy nie możesz.

– Ty też nie rozmawiasz o swoich sprawach – zauważa Lucy.

– Zazwyczaj nie.

– Więc co jeszcze nowego?

– Nic. Kiedy się zobaczymy? Nie widziałam cię od września.

– Wiem. Co robisz w dużym złym mieście Richmond? – pyta Lucy. – O co żrą się tam teraz? O nowe pomniki? A może o najnowsze graffiti na murze przeciwpowodziowym?

– Usiłuję znaleźć klucz do śmierci czternastoletniej dziewczynki. Wczoraj wieczorem miałam iść na kolację z doktorem Fieldingiem. Pamiętasz go.

– Jasne. Jak się miewa? Nie wiedziałam, że jeszcze tam pracuje.

– Nie najlepiej – odpowiada Kay.

– Pamiętasz, zabierał mnie na siłownię i razem podnosiliśmy ciężary.

– Teraz już nie chodzi na siłownię.

– Ojej. Jestem w szoku. Jack nie chodzi na siłownię? To jakby... Cholera, nie wiem, co to znaczy. To coś niewyobrażalnego. Po prostu nie mam słów. Widzisz, co się stało po twoim odejściu? Wszystko i wszyscy się rozsypują.

– Nie podlizuj się. Nie jestem w dobrym humorze – mówi ciotka. Lucy czuje lekkie wyrzuty sumienia. To przez nią Kay nie odpoczywa teraz w Aspen.

– Rozmawiałaś z Bentonem? – pyta lekkim tonem.

– Jest zapracowany.

– To jeszcze nie znaczy, że nie możesz do niego zadzwonić. – Wyrzuty sumienia chwytają Lucy za gardło.

– Dokładnie to oznacza.

– Powiedział ci, że masz nie dzwonić? – Wyobraża sobie Henri w willi Bentona. Na pewno podsłuchuje. Tak, na pewno, więc Lucy robi się niedobrze z poczucia winy i niepokoju.

– Poszłam wczoraj do Jacka do domu, ale nie otworzył. – Doktor Scarpetta zmienia temat. – A coś mi mówi, że był w domu. Ale nie podszedł do drzwi.

– Co zrobiłaś?

– Wróciłam. Może zapomniał. On też jest zestresowany. Widać, że się zamartwia.

– Nie o to chodzi. Zapewne nie chciał się z tobą spotkać. Może już na to za późno. Może wszystko za bardzo się pokręciło. Pozwoliłam sobie zajrzeć nieco głębiej w akta doktora Joela Marcusa – mówi nagle Lucy. – Wiem, że o to nie prosiłaś. Ale zapewne byś nie poprosiła, mam rację?

Jej rozmówczyni nie odpowiada.

– Słuchaj, on na pewno wie o tobie mnóstwo, ciociu Kay. Więc ty też możesz się czegoś o nim dowiedzieć – ciągnie Lucy, ale czuje ukłucie żalu. Nie jest w stanie nic na to poradzić, że jest zła i urażona.

– Okej – decyduje doktor Scarpetta. – Nie uważam tego za właściwe, ale powiedz, co wiesz. Nie mogę ukrywać, że fatalnie mi się z nim pracuje.

– Najbardziej interesujące jest to – zaczyna Lucy, czując się już nieco lepiej – że prawie nic na jego temat nie ma. Facet nie ma biografii. Urodził się w Charlottesville, ojciec był nauczycielem w szkole państwowej, a matka zginęła w wypadku samochodowym w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Zrobił licencjat i dyplom lekarski na Uniwersytecie Wirginii, a więc stąd pochodzi i tu studiował, ale nigdy nie pracował w biurze koronera stanu, dopóki nie został jego szefem cztery miesiące temu.

– To akurat wiedziałam, że do zeszłego lata nie pracował w biurze koronera Wirginii – odpowiada jej ciotka. – Żeby mnie o tym poinformować, nie musiałaś wydawać tysięcy na uzyskanie danych ani włamywać się do Pentagonu, czy skąd tam uzyskałaś te wiadomości. Nie jestem pewna, czy powinnam tego wysłuchiwać.

– Za to okoliczności jego nominacji na szefa są co najmniej dziwaczne – ciągnie Lucy. – Nie trzymają się kupy. Przez jakiś czas pracował jako prywatny patolog w małym szpitaliku w Maryland, ale nie robił stażu z medycyny sądowej ani nie zdawał egzaminów, dopóki nie skończył czterdziestki, a na dodatek oblał za pierwszym razem.

- Gdzie robił staż?
- W Oklahoma City.
- Chyba nie powinnam tego słuchać.
- Przez krótki czas był patologiem sądowym w Nowym Meksyku. Nie wiem, co robił między dziewięćdziesiątym trzecim a dziewięćdziesiątym ósmym, poza tym, że rozwiódł się z pielęgniarką. Nie mieli dzieci. W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przeprowadził się do St. Louis i pracował w lokalnym biurze koronera, dopóki nie przeniósł się do Richmondu. Jeździ dwunastoletnim volvem i nigdy nie miał domu na własność. Być może zainteresuje cię wiadomość, że obecnie wynajmuje dom w hrabstwie Henrico, niedaleko centrum handlowego Willow Lawn.
- Nie potrzebuję tego wiedzieć – stwierdza Kay. – Dosyć.
- Nigdy nie był aresztowany. Myślałam, że cię to zainteresuje. Kilka mandatów, nic szczególnego.
- To nie w porządku – mówi doktor Scarpetta. – Nie chcę tego słuchać.
- Nie ma problemu – odpowiada Lucy tonem, którego używa, kiedy ciotka niszczy jej dumę i rani uczucia. – I to zasadniczo byłoby na tyle. Mogłabym znaleźć znacznie więcej, ale na początek tyle.
- Lucy, wiem, że starasz się mi pomóc. Jesteś nadzwyczajna.
- Nie chciałabym być przestępcą, którego śledzisz. Marcus nie jest miły. I Bóg jeden wie, w co gra; jednak dopóki nie znajdziemy czegoś, co wyraźnie podważa jego uczciwość albo profesjonalizm, albo nie odkryjemy czegoś niebezpiecznego, nie chcę nic wiedzieć o jego życiu. Rozumiesz? Proszę, nie szukaj nic więcej.
- Ależ on jest niebezpieczny – tłumaczy Lucy nadal tym samym tonem.
- Nieudacznik jego pokroju na ważnym stanowisku zawsze jest niebezpieczny. O Boże. Kto go zatrudnił? I dlaczego? Wyobrażam sobie, jak on cię musi nienawidzić.

- Nie będę o tym rozmawiać.
 - Gubernatorem jest kobieta. – Lucy nie daje za wygraną. – Dlaczego miałyby zatrudnić takie zero?
 - Nie będę o tym rozmawiać.
 - Oczywiście politycy zazwyczaj nie podejmują tego typu decyzji osobiście. Podpisują tylko różne papiery, a ona zapewne miała ważniejsze sprawy na głowie.
 - Lucy, czy zadzwoniłaś tylko po to, żeby mnie zdenerwować? Po co to robisz? Proszę, przestań. I bez tego jest mi ciężko.
- Lucy milczy.
- Lucy, jesteś tam? – pyta ciotka.
 - Jestem.
 - Nienawidzę telefonu – mówi Kay. – Nie widziałam cię od września. Mam wrażenie, że mnie unikasz.

Kiedy podjeżdża śmieciarka, doktor Marcus siedzi w salonie, z otwartą gazetą na kolanach. Motor warczy głębokim tonem diesla. Gdy śmieciarka staje przy końcu uliczki, do turkotu silnika dołącza wizg hydraulicznego wyciągnika i brzęk kontenerów uderzających o metalowe ściany naczepy. Potem mocno zbudowani faceci niezgrabnie odstawiają kontenery na miejsce i śmieciarka rusza dalej.

Doktor Marcus siedzi w wielkim wyściełanym fotelu w salonie. Ma zawroty głowy i oddycha z trudem. Serce mu wali od wyczekiwania. Śmieciarka przyjeżdża do zamieszkaną przez zamożną klasę średnią dzielnicy Westham Green, nieco na zachód od miasta w hrabstwie Henrico, w poniedziałki i czwartki około wpół do dziewiątej. Doktor Marcus zawsze spóźnia się wtedy na odprawy, a niedawno w ogóle nie poszedł do pracy w te dwa dni, kiedy była tu wielka ciężarówka z wielkimi, posepnymi facetami.

Nazywa się ich teraz pracownikami sanitarnymi, a nie śmieciarzami, ale nieważne, jak się na nich mówi i co jest politycznie poprawnym określeniem tych posepnych mężczyzn w ciemnych kombinezonach i wielkich skórzanych rękawicach. Doktor Marcus boi się śmieciarzy i ich pojazdów, a jego fobia się pogłębiła, odkąd cztery miesiące temu zamieszkał tutaj. Tak więc nie wyjdzie z domu w dni przyjazdu śmieciarki,

dopóki samochód i jego pasażerowie nie odjadą wystarczająco daleko. Od czasu, gdy zaczął odwiedzać psychiatrę w Charlottesville, jest nieco lepiej.

Doktor Marcus siedzi w fotelu i czeka, aż serce nieco mu się uspokoi, ustąpią mdłości i zawroty głowy, a nerwy przestaną wariować, po czym wstaje. Jest jeszcze w piżamie, szlafroku i kapciach. Nie ma sensu ubierać się przed odjazdem śmieciarki, ponieważ zdąży się spocić, oczekując na koszmarny, gardłowy dźwięk i brzęk stali wielkiej ciężarowy i jej postawnych ciemnych pasażerów – zanim odjadą, będzie mokry i cały w dreszczach z zimna. Doktor Marcus przemierza dębowy parkiet salonu i wygląda przez okno na zielone kontenery pozostawione niedbale w rogu podjazdu, po czym wyęcza słuch, żeby się upewnić, że znikąd nie dobiega już ohydny dźwięk, czyli że śmieciarka jest daleko i nie wróci. Musi się upewnić, mimo że zna trasę śmieciarzy w tej dzielnicy.

Teraz właśnie zatrzymują się i ruszają, zeskakują z naczepy i wskakują na nią, opróżniając kontenery kilka ulic dalej, i tak to będzie szło, dopóki nie skręcą w Patterson Avenue, a dokąd pojedą dalej, tego doktor Marcus już nie wie ani też się tym nie przejmuje – ważne, że będą już daleko. Patrzy przez okno na byle jak poustawiane kontenery i dochodzi do wniosku, że jeszcze nie jest bezpiecznie.

Nie czuje się na siłach, aby wyjść, ale idzie do sypialni, sprawdza, że alarm przeciwwłamaniowy jest włączony, po czym zdejmuje mokrą piżamę oraz szlafrok i wchodzi pod prysznic. Nie siedzi tam długo, jak tylko jest czysty i rozgrzany, wyciera się i wkłada ubranie do biura, szczęśliwy, że napad lęku minął. Odsuwa od siebie myśli o tym, co by było, gdyby taki atak zdarzył mu się przy ludziach. Na szczęście to niemożliwe. Zarówno w domu, jak i w biurze może zamknąć drzwi i bezpiecznie przeczekać najgorsze.

W kuchni zażywa pomarańczową pigułkę. Dziś rano wziął już jeden klonopin i jedną tabletkę przeciwdepresyjną, ale bierze jeszcze pół miligrama klonopinu. W ciągu ostatnich miesięcy doszedł do trzech miligramów dziennie i wcale go nie cieszy uzależnienie od benzodiazepiny. Psychiatra z Charlottesville mówi, żeby się nie przejmować. Dopóki doktor Marcus nie przedawkuje alkoholu czy innych używek, a najlepiej żeby w ogóle ich nie dotykał, klonopin jest nieszkodliwy. Lepszy klonopin niż ataki paniki, z których powodu chowa się w domu, nie jedzie do pracy lub naraża się na upokorzenia. Nie może sobie pozwolić na utratę pracy czy upokorzenie. Nie jest tak zamożny jak doktor Scarpetta i nigdy nie był tak jak ona odporny na przeciwności losu. Zanim zajął stanowisko głównego koronera stanu Wirginia, jej dawne stanowisko, nie potrzebował klonopinu ani leków antydepresyjnych, ale teraz zdaniem psychiatry cierpi na zaburzenia współistniejące, co oznacza, że nie ma jednego typu schorzenia, tylko dwa. W St. Louis zdarzało mu się czasem nie pójść do pracy i prawie nigdy nie wyjeżdżał, ale jakoś sobie radził. Życie przed doktor Scarpettą było do wytrzymania.

Wróciwszy do salonu, wygląda raz jeszcze na zielone kontenery i nasłuchuje odgłosów wielkiej śmieciary, ale nic nie słyszy. Wkłada stary wełniany płaszcz i skórzane rękawiczki, po czym zatrzymuje się w drzwiach i bada swoje samopoczucie. Wygląda na to, że jest nieźle, toteż wyłącza alarm przeciwwłamaniowy i otwiera drzwi. Żwawym krokiem idzie przez podjazd, upewniając się, że nigdzie w pobliżu nie ma śmieciarki. Nie widać jej ani nie słychać, więc pewnymi ruchami przetacza swoje kontenery pod garaż, gdzie ich miejsce.

Wraca do domu, zdejmuje płaszcz i rękawiczki i jest znacznie spokojniejszy, wręcz szczęśliwy, gdy myje dokładnie ręce, a jego myśli powracają do Kay Scarpetty. Czuje ulgę i zadowolenie na myśl, że uda mu

się jakoś wywinąć. Przez wszystkie te miesiące ciągle słyszał, że doktor Scarpetta to, doktor Scarpetta tamte, a ponieważ jej nie znał, nie mógł się poskarżyć. Kiedy szef komisji zdrowia oznajmił mu: „Ciężko będzie wejść w jej buty, może nawet to niemożliwe, poza tym zawsze znajdują się ludzie, którzy nie będą pana szanować tylko dlatego, że nie jest pan nią”, doktor Marcus nic nie odpowiedział, bo właściwie cóż miał powiedzieć. Nie znał jej.

Kiedy pani gubernator była tak miła, żeby zaprosić nowo mianowanego doktora Marcusa na kawę w swoim gabinecie, musiał odmówić, ponieważ wyznaczyła termin na ósmą trzydzieści w poniedziałek, czyli w dniu wywozu śmieci z Westham Green. Oczywiście nie mógł podać powodu, dla którego nie przyjdzie wypić z nią kawy, to w ogóle nie wchodziło w grę, po prostu było niemożliwe. Pamięta, jak siedział w salonie, czekając na wielką śmieciare i wielkich facetów, i zastanawiał się, jak będzie wyglądać jego życie w Wirginii, skoro odmówił spotkania z gubernatorem, który w dodatku jest kobietą, więc zapewne i tak by go nie szanował, ponieważ doktor Marcus nie jest kobietą i nie jest Kay Scarpetta.

Doktor Marcus nie ma dowodów na to, że nowa pani gubernator jest wielbicielką Kay Scarpetty, ale zapewne jest. Nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się zmierzyć, gdy przyjmował tę posadę i przenościł się tu z St. Louis, pozostawiając za sobą biuro pełne kobiet patologów i techników medycyny sądowej, które wszystkie słyszały o doktor Scarpetcie i powtarzały mu, że jest nie lada szczęściarzem, ponieważ dzięki niej Wirginia ma najlepszy system koronerski w całych Stanach, i co za pech, że nie układało jej się z poprzednim gubernatorem, tym, który ją wywalił – a wszystkie one zachęcały go do przyjęcia stanowiska poprzedniczki.

Chciały, żeby odszedł, wiedział to od razu. Nijak nie były w stanie pojąć, dlaczego Wirginia się nim zainteresowała, dlaczego akurat nim, chyba że

dokładnie dlatego, że był bezkonfliktowym apolitycznym nikim. Wiedział, co mówiły wtedy kobiety w jego biurze. Po cichu się niepokoiły, że Marcus odrzuci tę szansę i zostaną z nim na zawsze. Wiedział dokładnie, co szeptały.

Przyjechał zatem do Wirginii i niecały miesiąc później naraził się pani gubernator, wszystko przez śmieciarzy w Westham Green, ale zwał winę na Kay Scarpettę. To ona go przeklęła. Nic tylko cały czas musiał o niej wysłuchiwać, no i te narzekania, że nią nie był. Ledwie zaczął pracę, a już znienawidził swoją poprzedniczkę: ją samą i jej osiągnięcia. Został więc mistrzem okazywania jej pogardy drobnymi gestami, lekceważąc wszystko, co z nią utożsamiano: obrazki, rośliny, książki, patologów i zmarłych – wszystko to, co miałoby się lepiej, gdyby doktor Scarpetta nadal była szefową biura. Obsesyjnie starał się udowodnić, że była tylko legendą, oszustwem, porażką, ale nie mógł zniszczyć kogoś, kogo zupełnie nie znał. Nie mógł nawet nic złego o niej powiedzieć, ponieważ jej nie spotkał.

A potem zmarła Gilly Paulsson i jej ojciec zadzwonił do szefa komisji zdrowia, który z kolei zadzwonił do pani gubernator, ona zaś natychmiast zadzwoniła do dyrektora FBI, a ponieważ pani gubernator przewodniczyła krajowej komisji do spraw terroryzmu, a Frank Paulsson miał powiązania z Departamentem Bezpieczeństwa Wewnętrznego, byłoby naturalnie okropne, gdyby się okazało, że mała Gilly została zabita przez jakiegoś wroga amerykańskiego rządu.

FBI szybko uznało, że sprawa istotnie zasługuje na zainteresowanie, więc natychmiast zaczęło wtrącać się w pracę miejscowej policji i wkrótce nikt nie wiedział, co robią inni, więc część dowodów poszła do miejscowych laboratoriów, a część do agencji, a pozostałych w ogóle nie zebrano, doktor Paulsson zaś nie pozwolił wydać ciała Gilly z kostnicy, dopóki nie zbada się wszystkich poszlak. Do tego wszystkiego doszło

jeszcze nieudane małżeństwo Franka z panią Paulsson i wkrótce śmierć nikomu nieznaney czternastolatki okazała się tak skomplikowana i politycznie istotna, że doktor Marcus musiał zwrócić się po radę do szefa komisji zdrowia.

– Musimy sprowadzić tu wybitnego eksperta – oznajmił ten – zanim sprawy przybiorą niewłaściwy obrót.

– Już przybrały – odpowiedział doktor Marcus. – W chwili, gdy policja Richmondu dowiedziała się, że w sprawę jest zaangażowane FBI, wszyscy wycofali się i poukrywali po kątach. A żeby było jeszcze gorzej, nie mamy pojęcia, jak umarła ta dziewczynka. Odnoszę wrażenie, że w jej śmierci jest coś podejrzanego, ale nie znamy przyczyny.

– Potrzebujemy eksperta. Natychmiast. Kogoś z zewnątrz. Kogoś, kto weźmie na siebie ostrzał, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeśli pani gubernator poślizgnie się na tej sprawie, poślizgnie na ogólnokrajową skalę, a wtedy polecą głowy i moja nie będzie jedyna, Joel.

– Może więc doktor Scarpetta? – zaproponował doktor Marcus, zdumiony, że jej nazwisko nasunęło mu się tak automatycznie. Że jego odpowiedź zabrzmiała tak naturalnie.

– Doskonały pomysł. Rzekłbym wręcz, natchniony – zgodził się szef komisji zdrowia. – Znają pan?

– Mam zamiar w najbliższym czasie ją poznać – odrzekł doktor Marcus, ponownie zdumiony głębią swego strategicznego umysłu.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak błyskotliwym strategiem był przez cały czas, nie krytykując doktor Scarpetty, ponieważ jej nie znał, co dało mu teraz prawo entuzjastycznego zaproponowania jej jako konsultanta. Ponieważ nigdy nie powiedział złego słowa na jej temat, będzie mógł osobiście do niej zadzwonić, co uczynił owego dnia, czyli przedwczoraj.

Wkrótce pozna doktor Scarpettę, o tak, i będzie mógł ją krytykować, upokarzać i robić wszystko, na co będzie miał ochotę.

Oskarży ją o wszystko, co okaże się nie w porządku z Gilly Paulsson, biurem koronera i czymkolwiek jeszcze, a pani gubernator zapomni, że doktor Marcus odmówił wypicia z nią kawy. A jeśli znów go zaprosi i znów wybierze ósmą trzydzieści w poniedziałek lub czwartek, doktor Marcus powie jej sekretarzowi, że w biurze koronera o ósmej trzydzieści jest odprawa, więc może dałoby się wypić tę kawę nieco później, ponieważ bardzo ważne, żeby szef był obecny na odprawach. Nie wie, dlaczego nie pomyślał o tej wymówce za pierwszym razem, ale przynajmniej wie, co teraz powiedzieć.

Doktor Marcus podnosi słuchawkę telefonu w salonie, wyglądając na ulicę, szczęśliwy, że przez najbliższe trzy dni będzie wolny od wywozu śmieci. Bardzo z siebie zadowolony przewraca kartki małej książeczki z adresami, którą przechowuje od tak wielu lat, że połowa nazwisk i numerów jest przekreślona. Wybiera numer i spoglądając na ulicę, dostrzega przejeżdżającego starego niebieskiego chevrolęta impalę, co przypomina mu, jak jego mama wjeżdżała swoją starą białą impalą w zaspę u stóp wzgórza, tę samą zaspę każdej zimy, kiedy mieszkali w Charlottesville.

– Scarpetta – odzywa się głos z jej komórki.

– Tu doktor Marcus – mówi wyćwiczonym, władczym, ale i przyjemnie brzmiącym tonem, ma bowiem wyćwiczonych wiele tonów głosu, a tym razem postanowił być dość miły.

– Ach – mówi ona. – Dzień dobry. Mam nadzieję, że doktor Fielding przedstawił panu wyniki ponownej sekcji Gilly Paulsson.

– Owszem. Przekazał mi pani opinię. – Smakuje słowa „pani opinię” i żałuje, że nie widzi jej reakcji, ponieważ słowa „pani opinia” należą do

tych, którymi posłużyłby się wyrachowany adwokat. Prokurator użyłby raczej określenia „pani wnioski”, ponieważ to słowo potwierdza doświadczenie i profesjonalizm, podczas gdy wyrażenie „pani opinia” jest zakamuflowaną obelgą.

– Zastanawiam się, czy słyszała pani o dowodach śladowych – mówi teraz, rozmyślając o emailu, którego dostał wczoraj od tego nieznośnego Juniusa Eisego.

– Nie – odpowiada doktor Scarpetta.

– Są dość niezwykle – mówi złowieszczo doktor Marcus. – Dlatego właśnie musimy się spotkać – ciągnie. Zdecydował się na spotkanie wczoraj, ale mówi jej o tym dopiero teraz. – Proszę przyjść do mojego gabinetu o dziewiątej trzydzieści.

Stary niebieski chevrolet wtacza się na podjazd dwa domy dalej. Doktor Marcus zastanawia się, dlaczego samochód się tam zatrzymał i do kogo należy.

Jego rozmówczyni waha się przez moment, jakby nie odpowiadała jej ta propozycja wystosowana w ostatniej chwili.

– Oczywiście. Będę za pół godziny – mówi po chwili.

– Czy mogę zapytać, co robiła pani wczoraj po południu? Nie widziałem pani w biurze – pyta jeszcze doktor Marcus, przyglądając się starszej czarnej kobiecie wysiadającej z chevroleta.

– Robota papierkowa, mnóstwo telefonów. Czyżby pan czegoś ode mnie potrzebował?

Doktor Marcus czuje lekkie mdłości i zawrót głowy na widok czarnej kobiety i starej niebieskiej impali. Słynna doktor Scarpetta pyta, czy czegoś potrzebował, jakby pracowała dla niego. No ale przecież pracuje dla niego. W tej chwili właśnie tak jest. Trudno mu w to uwierzyć.

– W tej chwili niczego od pani nie potrzebuję – oświadcza. – Zobaczymy się w biurze. – Odkłada słuchawkę. Przyjemnie jest tak odłożyć słuchawkę w rozmowie z doktor Scarpetta.

Obcasy jego staroświeckich sznurowanych brązowych butów stukają po dębowym parkiecie, gdy przechodzi do kuchni, by zaparzyć kolejną bezkofeinową kawę. Większość pierwszej zmarnowała się, ponieważ za bardzo przejął się śmieciarką i śmieciarzami, żeby pamiętać o kawie, która przypomniała o sobie zapachem spalenizny, więc wylał ją do zlewu. Teraz nalewa do kubka nowej i przechodzi do salonu, żeby sprawdzić, co z impalą.

Przez to samo okno naprzeciwko ulubionego skórzanego fotela, przez które zazwyczaj wygląda, przygląda się starszej czarnej kobiecie wyciągającej z bagażnika impali torby z zakupami. Zapewne gosposia, myśli, i czuje ukłucie wstydu, że czarna służąca jeździ takim samym autem jak jego matka, gdy był mały. Kiedyś to był porządny samochód. Nie każdy mógł sobie pozwolić na białą impalę z niebieskim pasem, więc Joel był z niego dumny, z wyjątkiem tych dni, kiedy mama utknęła w zaspie u stóp wzgórza. Jego matka nie była dobrym kierowcą i nie powinna jeździć impalą. Ten model nazwano od samca afrykańskiej antylopy, która potrafi bardzo daleko skakać i łatwo ją przestraszyć, a jego matka była wystarczająco nerwowa, nawet stojąc na własnych nogach. Nie musiała siadać za kierownicą czegoś, co nazwano na cześć samca afrykańskiej antylopy, który jest silny i płochliwy.

Starsza gosposia porusza się powoli; zabiera torby z zakupami z bagażnika, a następnie człapie od samochodu do bocznych drzwi domu, po czym wraca do samochodu po kolejne paczki i wreszcie zamyka klapy biodrem. Kiedyś to było porządne auto, myśli doktor Marcus, wyglądając przez okno. Wóz gosposi ma pewnie ze czterdzieści lat, ale wygląda nieźle,

a on nie pamięta, kiedy ostatni raz widział impalę z rocznika '63 albo '64. To, że zobaczył taką akurat dziś, wydaje mu się istotne, choć nie jest w stanie odgadnąć znaczenia, więc wraca do kuchni po kawę. Jeśli odczeka jeszcze dwadzieścia minut, pracownicy zajmą się sekcjami, a on nie będzie musiał z nikim się spotykać. Czekanie przyspiesza jego tętno. Nerwy znów stają się napięte jak postronki.

W pierwszym odruchu zrzuca winę za walące serce i trzęsące się dłonie na śladowe ilości kofeiny w kawie, ale wypił jej zaledwie parę łyków. W końcu uświadamia sobie, że chodzi o coś innego: cały czas myśli o impali po drugiej stronie ulicy, co wprawia go w stan drżenia i wyprowadza z równowagi. Wolałby, żeby gospościa nigdy nie przyjeżdżała akurat w te dni, kiedy on zostaje w domu z powodu wywozu śmieci. Wraca do salonu i siada w wielkim skórzanym fotelu, opierając się wygodnie i starając się rozluźnić, ale serce wali mu tak gwałtownie, że widzi unoszący się przód białej koszuli. Bierze głęboki wdech i zamyka oczy.

Mieszka tu już od czterech miesięcy i nigdy wcześniej nie widział tej impali. Wyobraża sobie cienką błękitną kierownicę bez poduszki powietrznej i błękitną deskę po stronie pasażera, też bez poduszki powietrznej, oraz stare niebieskie pasy bezpieczeństwa przytrzymujące w talii, ponieważ nie wynaleziono jeszcze tych przekładanych przez ramię. Wyobraża sobie wnętrze impali, ale nie jest to wóz zaparkowany po drugiej stronie ulicy, tylko biała z niebieskim pasem na boku, ta, którą jeździła jego matka. Zapomniana kawa stygnie na stoliku obok wielkiego skózanego fotela, a doktor Marcus z zamkniętymi oczami siedzi wciśnięty w oparcie. Kilka razy podnosi się i wygląda przez okno, a kiedy wreszcie nie widzi niebieskiego auta, włącza alarm, zamyka dom i przechodzi do garażu, po czym wpada mu do głowy przerażająca myśl, że może impala w ogóle nie istniała, wcale jej tam nie było – ale przecież była. Oczywiście, że tak.

Kilka minut później jedzie powoli uliczką i staje przy domku parę metrów dalej, wpatrując się w pusty podjazd, na którym widział niebieską impalę i starszawą czarną gosposię niosącą zakupy. Siedzi w swoim volvie, które ma najwyższy standard bezpieczeństwa ze wszystkich istniejących samochodów, i gapi się na puste miejsce, po czym skręca w tamtą stronę i wysiada z samochodu. Wygląda staroświecko, ale i elegancko w długim popielatym płaszczu, szarym kapeluszu i czarnych skórzanych rękawiczkach, które nosił w zimne dni, jeszcze zanim przeniósł się do St. Louis, więc wie, że wygląda dość szacownie, gdy dzwoni do frontowych drzwi. Czeka chwilę i dzwoni raz jeszcze, po czym drzwi się otwierają.

– Dzień dobry, o co chodzi? – pyta kobieta. Ma po pięćdziesiątce, ubrana jest w dres i tenisówki. Wygląda znajomo i sympatycznie, choć nie wydaje się szczególnie zachwycona jego wizytą.

– Nazywam się Joel Marcus – mówi tym swoim zdecydowanie miłym głosem. – Mieszkam naprzeciwko i przed chwilą widziałem wiekową niebieską impalę na pani podjeździe. – Jest gotów zaznaczyć, że zapewne pomylił domy, na wypadek gdyby powiedziała, że nic nie wie o żadnej starej niebieskiej impali.

– Och, to pani Walker. Ma ten samochód od zawsze. Nie zamieniłaby go na najnowszego cadillaca – mówi z uśmiechem dziwnie znajoma sąsiadka, ku wielkiej uldze doktora Marcusa.

– Rozumiem – odpowiada ten. – Byłem po prostu ciekawy. Kolekcjonuję stare samochody. – Wcale nie kolekcjonuje aut, starych ani nowych, ale przynajmniej nic mu się nie przywidziało, dzięki Bogu. Oczywiście, że nie.

– Obawiam się, że ten nie trafi do pana kolekcji – odpowiada pogodnym tonem sąsiadka. – Pani Walker po prostu kocha to auto. Chyba jeszcze się nie poznaliśmy, ale wiem, kim pan jest. Pan jest nowym koronerem. Przyszedł pan na miejsce tej słynnej pani patolog, jak ona się nazywała?

Byłam w szoku i bardzo rozczarowana, kiedy wyjechała z Wirginii. Nie wie pan, co się z nią stało? Ale przecież pan zmarznie. Gdzie moje maniery? Może pan wejdzie? Była też całkiem atrakcyjna. Jakżeż ona się nazywała?

– Niestety, muszę już jechać – odpowiada doktor Marcus zupełnie innym tonem, sztywnym, i napiętym. – Nie chciałbym spóźnić się na spotkanie z panią gubernator. – Jego kłamstwo ma temperaturę lodu.

Słońce jest blade na szarym niebie, a światło mdłe i chłodne. Doktor Scarpetta idzie przez parking w długim ciemnym płaszczu powiewającym wokół nóg. Idzie szybko i zdecydowanie ku frontowym drzwiom dawnego biura, zła, że miejsce parkingowe numer 1, należące do głównego koronera, jest puste. Doktor Marcus jeszcze nie przyjechał. Spóźnia się, jak zwykle.

– Dzień dobry, Bruce – mówi do strażnika w recepcji.

Ten uśmiecha się i macha do niej ręką.

– Wpiszę panią – mówi, przyciskając guzik otwierający następne drzwi, prowadzące do skrzydła koronera.

– Marino już przyjechał? – pyta Kay, mijając go.

– Nie widziałem go – odpowiada Bruce.

Kiedy wczoraj wieczorem Fielding nie podszedł do drzwi, stała na ganku, usiłując dodzwonić się do niego, ale stary numer domowy okazał się nieaktualny. Spróbowała więc znaleźć Marina, nie bardzo go jednak słyszała z powodu dochodzących z tła głosów i śmiechu. Pewnie był w barze, ale nie spytała, i tylko powiedziała, że Fieldinga najwyraźniej nie ma w domu, i jeśli nie pojawi się w najbliższym czasie, to ona wraca do hotelu. Wszystko, co Marino miał jej do powiedzenia, dało się streścić w zdaniu: „Tak jest szefowo, do zobaczenia, jakby co, to dzwoń”.

Potem Kay usiłowała otworzyć przednie i tylne drzwi domu Fieldinga, ale były zamknięte na klucz. Dzwoniła i pukała, a jej niepokój wzrastał. Samochód dawnego zastępcy, najlepszego pomocnika i przyjaciela stał przykryty pokrowcem pod wiatą i była całkiem pewna, że to jego ukochany stary czerwony mustang, ale i tak uniosła brzeg pokrowca, by się przekonać, że miała rację. A dziś rano zauważyła mustanga na miejscu numer 6 na parkingu za budynkiem, co znaczy, że Fielding nadal nim jeździ, ale to, że wczoraj samochód stał pod wiatą, wcale nie znaczy, że właściciel był w domu i nie chciał otworzyć drzwi. Może mieć drugi samochód, na przykład suwa. To nawet sensowne, żeby miał bardziej praktyczny samochód; mógł więc gdzieś pojechać swoim suvem na jakiś spacer albo gdzie to on teraz jeździ, i zapewne wracał nieco spóźniony albo zapomniał, że zaprosił ją na kolację.

Przerobiła całą tę skomplikowaną teorię, stojąc pod drzwiami Fieldinga, po czym zaczęła się martwić, że może coś mu się stało. Może się przewrócił, dostał nagłej reakcji alergicznej, ma paskudną wysypkę albo i wstrząs anafilaktyczny. A może popełnił samobójstwo. Może właśnie wycelowwał w moment, kiedy ona do niego przyjdzie, zakładając, że jakoś sobie z tym poradzi. Kiedy popełniasz samobójstwo, ktoś musi się tym zająć. Wszyscy zawsze zakładają, że ona sobie ze wszystkim poradzi, więc to jej udziałem stanie się straszliwe odkrycie, że Jack Fielding leży w łóżku z kulą w głowie albo żołądkiem pełnym tabletek, i właściwe postępowanie w tej sytuacji. Tylko Lucy zdaje się wiedzieć, że nawet Kay ma jakieś granice wytrzymałości, więc Lucy rzadko jej coś mówi. Nie widziała się z siostrzenicą od września. Coś się dzieje i Lucy uważa, że jej ciotka sobie z tym nie poradzi.

– Nie mogę zlokalizować Marina – zwraca się doktor Scarpetta do Bruce'a – więc jeśli odezwie się do ciebie, powiedz mu proszę, że go

szukam, że mamy spotkanie.

– Junius Eise pewnie wie, gdzie on jest – odpowiada Bruce. – Zna go pani, ten od śladów. Eise zaciągnął go do klubu wczoraj wieczorem. Zapewne do policyjnego.

Kay przypomina sobie coś, co powiedział jej doktor Marcus, gdy zadzwonił do niej pół godziny temu: coś o dowodach śladowych, które ewidentnie są powodem tego spotkania, a ona nie może znaleźć Marina. Wczoraj wieczorem utknął w tej starej spelunie zwanej Bractwem Policyjnym, zapewne pił z samym Panem Śladem, ale ona nie ma pojęcia, o co chodzi, a Pete nie odbiera telefonu. Doktor Scarpetta popycha drzwi z matowego szkła i wchodzi do swojej dawnej poczekalni.

Ku swemu absolutnemu zdziwieniu dostrzega na kanapie panią Paulsson. Kobieta ma nieprzytomne spojrzenie i dłonie zaciśnięte na książce trzymanej na kolanach.

– Pani Paulsson? – zwraca się do niej Kay, podchodząc bliżej. – Czy ktoś się już panią zajął?

– Powiedzieli mi, że mam przyjść zaraz rano – wyjaśnia pani Paulsson. – A potem, że mam poczekać, bo szef jeszcze nie dotarł.

Doktor Scarpetta nic nie wie o tym, że pani Paulsson ma być na spotkaniu z doktorem Marcusem.

– Niech pani wstanie – mówi do niej. – Zaprowadzę panią do środka. Pani ma się spotkać z doktorem Marcusem?

– Podobno.

– Ja też. Podejrzewam, że idziemy na to samo spotkanie. Proszę. Może pani wejść ze mną – proponuje Kay.

Pani Paulsson powoli podnosi się z kanapy, jakby była zmęczona i obolała. Doktor Scarpetta żałuje, że w poczekalni nie ma prawdziwych roślin, które nadałyby pomieszczeniu nieco ciepła i życia. Żywe rośliny

sprawiają, że ludzie czują się mniej samotni, a nie ma na świecie bardziej samotnego miejsca niż kostnica, i nikt nigdy nie powinien być zmuszany do wizyty w kostnicy, a już tym bardziej czekać na kogoś w tym miejscu. Doktor Scarpetta naciska guzik dzwonka przy oknie. Po drugiej stronie szyby jest stolik, potem szaroniebieska wykładzina i drzwi wiodące do biur administracji.

– Słucham? – odzywa się kobiecy głos w interkomie.

– Doktor Scarpetta – przedstawia się Kay.

– Proszę wejść – mówi głos, a szklane drzwi po prawej stronie okienka otwierają się.

Kay przepuszcza panią Paulsson.

– Mam nadzieję, że nie czekała pani długo – mówi. – Bardzo mi przykro, że w ogóle musiała pani czekać. Nie wiedziałam, że pani tu będzie. Wyszłabym, żeby zabrać panią w jakieś wygodne miejsce i poczęstować kawą.

– Powiedzieli, że muszę przyjechać wcześniej, jeśli chcę zaparkować – odpowiada pani Paulsson, rozglądając się po zewnętrznym biurze, gdzie urzędnicy wypełniają dokumenty i pracują na komputerach.

Kay widzi, że pani Paulsson nigdy wcześniej nie była w biurze koronera. Nie dziwi jej to. Doktor Marcus nie sprawia wrażenia, jakby spędzał wiele czasu na rozmowach z rodzinami ofiar, a Fielding jest zbyt wykończony nerwowo, żeby odbywać trudne emocjonalnie spotkania. Doktor Scarpetta podejrzewa, że pani Paulsson została wezwana z określonych powodów, co ma ją zdenerwować i zniesmaczyć. Jeden z pracowników mówi im, że mogą przejść do sali konferencyjnej, ponieważ doktor Marcus spóźni się nieco. Była pani koroner zauważa, że urzędnicy nie wychodzą ze swoich dziupli. Biuro wygląda tak, jakby pracowały w nim boksy, a nie ludzie.

– Chodźmy – mówi do pani Paulsson, dotykając lekko jej ramienia. – Napije się pani kawy? Możemy zrobić sobie kawę i usiąść.

– Gilly ciągle tu jest – odzywa się jej towarzyszka, poruszając się z trudem i rozglądając dookoła przerażonymi oczami. – Nie pozwolą mi jej zabrać. – Zaczyna płakać, mnąc w rękach okładkę książki. – Ona nie powinna już tu być.

– Jakie podają pani powody? – pyta doktor Scarpetta w drodze do sali konferencyjnej.

– To wszystko przez Franka. Była do niego taka przywiązana, a on powiedział, że może u niego zamieszkać. Chciała tak zrobić. – Kay zatrzymuje się przy automacie do kawy, a pani Paulsson wybucha głośniejszym płaczem. – Gilly powiedziała sędziemu, że chce po tym roku szkolnym przenieść się do Charlestonu. I on teraz chce ją zabrać tam, do Charlestonu.

Doktor Scarpetta niesie ich kawy do sali konferencyjnej i tym razem siada pośrodku długiego lśniącego stołu. Są na razie same w tym wielkim pomieszczeniu, gdzie pani Paulsson wpatruje się w Pana Bebechy, a potem w szkielet zwisający ze stojaka w kącie. Drżącą ręką podnosi do ust kubek z kawą.

– Wie pani, rodzina Franka jest pochowana w Charlestonie – tłumaczy. – Całe pokolenia. A moja rodzina tutaj, na cmentarzu Hollywood, i ja też mam już miejsce. Dlaczego to jest takie trudne? Jakby wszystko dotąd było już niewystarczająco trudne. On chce zabrać Gilly, żeby zrobić mi na złość, żeby mi odpłacić, żebym wyszła na jędzę. Zawsze mówił, że doprowadzi mnie do obłądu i w końcu zamkną mnie w jakimś wariatkowie. Chyba wreszcie mu się udało.

– Państwo ze sobą rozmawiają?

– On nie rozmawia. On oznajmia i rozkazuje. Chce, żeby wszyscy uważali, że był cudownym ojcem. Ale jemu nie zależało na niej tak jak mnie. To jego wina, że ona nie żyje.

– Już to pani mówiła. Dlaczego to jego wina?

– Jestem pewna, że coś zrobił. On zamierza mnie zniszczyć. Najpierw chciał, żeby Gilly z nim zamieszkała. A teraz próbuje ją zabrać na zawsze. Chce, żebym to ja zwariowała. Wtedy nikt nie zauważy, że był fatalnym mężem i ojcem. Nikt nie pozna prawdy, ale prawda istnieje. Oni widzą tylko, że jestem wariatką i mam do niego pretensje. Ale prawda istnieje.

Obie odwracają się, gdy słyszą otwieranie drzwi i do sali wchodzi świetnie ubrana kobieta. Wygląda na późną trzydziestkę lub wczesną czterdziestkę, a także na kogoś, kto się wysypia, właściwie je i stale ćwiczy, a także regularnie dba o lekko rozjaśnione pasemka w blond włosach. Kobieta kładzie na stole skórzaną aktówkę i kiwa z uśmiechem głową pani Paulsson, jakby się już wcześniej spotkały. Zamki aktówki otwierają się z głośnym trzaskiem, kobieta wyjmuje ze środka teczkę na dokumenty i notatnik, po czym siada.

– Agentka specjalna Weber, FBI. Karen Weber. – Spogląda na Kay. – Pani jest z pewnością doktor Scarpetta. Słyszałam, że ma pani tu być. Jak pani się czuje, pani Paulsson? Nie spodziewałam się pani tutaj.

Matka Gilly znajduje w torebce chusteczkę i ociera oczy.

– Dzień dobry – odpowiada.

Kay musi się pohamować, żeby nie zapytać wprost agentki specjalnej Weber, dlaczego FBI pcha w to swój nos. Ale przy stole siedzi matka ofiary, więc doktor nie można zadać wielu szczerych pytań. Próbuje zatem drogą okrężną.

– Pani jest z lokalnego biura w Richmondzie? – zwraca się do agentki specjalnej Weber.

– Z Quantico – odpowiada tamta. – Z sekcji badań behawioralnych. Widziała pani nasze nowe laboratorium w Quantico?

– Niestety, nie miałam okazji.

– Jest super. Naprawdę super.

– Nie wątpię.

– Co panią tu sprowadza, pani Paulsson? – Kobieta zwraca się znów do pani Paulsson.

– Nie wiem. Przyszłam po protokół. Mają mi oddać drobiazgi Gilly. Miała kolczyki i bransoletkę, małą skórzaną bransoletkę, której nigdy nie zdejmowała. No i powiedzieli mi, że szef chciał się ze mną zobaczyć.

– Została pani zaproszona na to spotkanie? – Na atrakcyjnej, doskonale wypielegnowanej twarzy agentki FBI maluje się zdziwienie.

– Nie wiem.

– Przyszła tu pani po protokół i rzeczy osobiste Gilly? – pyta doktor Scarpetta, w której myśli wkrada się podejrzenie, że zaszła jakaś pomyłka.

– Tak. Powiedziano mi, że mogę przyjść po nie o dziewiątej. Wcześniej nie byłam w stanie tu przyjść, po prostu nie mogłam. Mam wypisany czek, bo to wszystko kosztuje – odpowiada pani Paulsson z tym samym przerażonym wyrazem twarzy co wcześniej. – Może nie powinnam tu być. Nikt mi nic nie wspominał o żadnym spotkaniu.

– Ale skoro pani już tu jest, pani Paulsson – mówi agentka specjalna Weber – pozwolę sobie zadać pani pytanie. Pamięta pani naszą wcześniejszą rozmowę? Powiedziała pani, że pani mąż, pani były mąż, jest pilotem. Zgadza się?

– Nie. Nie jest pilotem. Nie mówiłam, że jest.

– Aha. To dobrze. Bo nie mogłam znaleźć żadnych danych na temat jego licencji lotniczej – odpowiada tamta. – Więc trochę mnie to zdziwiło. – Uśmiecha się.

– Wielu ludzi uważa, że on jest pilotem – mówi pani Paulsson.

– Nie dziwię się.

– Lubi towarzystwo pilotów, zwłaszcza wojskowych. A najbardziej lubi kobiety pilotów. Zawsze wiedziałam, że to o to chodzi – ciągnie bez emocji matka Gilly. – Trzeba być ślepy, niemym i głuchym, żeby nie wiedzieć, o co mu chodzi.

– Może pani coś więcej na ten temat powiedzieć? – pyta agentka.

– Och, on wydaje zezwolenia lekarskie pilotom. Może pani sobie wyobrazić. To go nakręca. Wchodzi kobieta w mundurze lotniczym. Może sobie to pani wyobrazić.

– Czy słyszała pani, żeby wykorzystywał seksualnie kobiety pilotów? – pyta ponuro agentka specjalna Weber.

– Zawsze zaprzecza i zawsze uchodzi mu to na sucho – odpowiada pani Paulsson. – Wie pani, że on ma siostrę w lotnictwie? Zawsze się zastanawiałam, czy to o to chodzi. Jest od niego sporo starsza.

W tym właśnie momencie do sali konferencyjnej wchodzi doktor Marcus. Ma na sobie kolejną białą bawełnianą koszulę, pod nią podkoszulek bez rękawów, a do tego wąski granatowy krawat. Jego wzrok przemyka się po Kay i zatrzymuje na pani Paulsson.

– My się chyba nie znamy – mówi tonem władczym, ale serdecznym.

– Pani Paulsson – zwraca się do niej doktor Scarpetta – to jest główny koroner, doktor Marcus.

– Czy któraś z pań zaprosiła panią Paulsson? – Marcus spogląda na doktor Scarpettę, a następnie na agentkę specjalną Weber. – Chyba nie do końca rozumiem.

Pani Paulsson wstaje od stołu, jej ruchy są powolne i nieskoordynowane, jakby poszczególne członki nie były w stanie z sobą współpracować.

– Nie wiem, jak to się stało. Przyszłam po protokół i jej złote kolczyki, i bransoletkę.

– Obawiam się, że to moja wina – mówi Kay, również wstając. – Spotkałam panią Paulsson w poczekalni i założyłam, że została tu zaproszona. Przepraszam.

– Nic się nie stało – doktor Marcus zwraca się do matki Gilly. – Słyszałem, że miała pani przyjść dziś rano. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. – Uśmiecha się tym swoim protekcyjnym uśmiechem. – Pani córka jest dla nas sprawą najwyższej wagi.

– Och – odpowiada pani Paulsson.

– Odprowadzę panią, – Kay otwiera jej drzwi. – Bardzo mi przykro – mówi, gdy idą znów po szaroniebieskiej wykładzinie, obok automatu z kawą i ku głównemu holowi. – Mam nadzieję, że nie czuje się pani zawstydzona lub zła.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Gilly. – Kobieta zatrzymuje się nagle pośrodku korytarza. – Muszę to wiedzieć. Proszę mi powiedzieć dokładnie, gdzie ona jest.

Doktor Scarpetta waha się przez chwilę. Jest przyzwyczajona do takich pytań, ale odpowiedź na nie nigdy nie jest łatwa.

– Gilly jest po drugiej stronie tych drzwi. – Odwraca się i wskazuje w głąb korytarza ku podwójnym drzwiom. Za nimi są kolejne drzwi, a dalej kostnica, chłodnie i lodówki.

– Oczywiście leży w trumnie? Słyszałam, że w takich miejscach mają zwykle drewniane skrzynie? – pyta pani Paulsson z oczami pełnymi łez.

– Nie, ona nie leży w trumnie. I nie ma tu zwykłych drewnianych skrzynek. Ciało pani córki leży w chłodni.

– Mojemu dziecku jest zimno! – szlocha pani Paulsson.

– Gilly nie czuje już chłodu – zapewnia ją cicho doktor Scarpetta. – Nie czuje żadnej niewygody ani bólu, ma pani moje słowo.

– Pani ją widziała?

– Tak – odpowiada. – Badałam ją.

– Proszę mi powiedzieć, że nie cierpiała. Proszę mi to powiedzieć. Kay nie może tego powiedzieć. Byłoby to bowiem kłamstwem.

– Musimy zrobić jeszcze sporo badań – wykręca się. – Laboratoria będą nad tym pracować jeszcze przez jakiś czas. Wszyscy bardzo się starają, żeby odkryć, co naprawdę stało się z Gilly.

Pani Paulsson łka cicho, gdy Kay prowadzi ją korytarzem z powrotem ku biurom administracji, gdzie prosi jednego z pracowników, by opuścił na chwilę swój boks i przyniósł pani Paulsson kopię protokołu, o którą prosiła, a potem wydał rzeczy osobiste Gilly, czyli parę kolczyków i skórzaną bransoletkę, nic poza tym. Piżama, pościel i wszystko, co zabrali policjanci, uważane są za dowody rzeczowe i na razie nie można tego oddać. Doktor Scarpetta kieruje się już do sali konferencyjnej, kiedy szybkim krokiem nadchodzi Marino ze spuszczoną głową i zaczerwienioną twarzą.

– Nie najlepszy poranek, jak na razie – odzywa się do niego Kay, gdy detektyw ją dogania. – Dla ciebie chyba też nie. Usiłowałam się do ciebie dodzwonić. Zakładam, że odebrałeś wiadomość.

– Co ona tu robi? – wyrzuca z siebie wyraźnie zły Marino, mając na myśli panią Paulsson.

– Odbierała osobiste rzeczy Gilly i protokół.

– Może to zabrać, mimo że nie zdecydowali jeszcze, kto dostanie ciało?

– Jest najbliższą rodziną. Nie jestem pewna, jakie dokumenty jej dali. Nie jestem pewna niczego, co się tutaj dzieje – dodaje Kay. – Na spotkaniu zjawilo się FBI. Nie mam pojęcia, kto jeszcze przyjdzie. Najnowsze wieści

są takie, że Frank Paulsson rzekomo wykorzystuje seksualnie kobiety pilotów.

– Ha. – Marino zachowuje się dziwacznie, a poza tym cuchnie alkoholem i wygląda fatalnie.

– Wszystko w porządku? – pyta go doktor Scarpetta. – Co ja mówię, oczywiście, że nie.

– To nic wielkiego – odpowiada jej przyjaciel.

Marino sypie mnóstwo cukru do kawy. Musi czuć się wyjątkowo podle, skoro ma ochotę na biały, rafinowany cukier, ponieważ wykracza to poza jego dietę i jest najgorszą rzeczą, jaką mógłby w tej chwili wziąć do ust.

– Jesteś pewny, że tego chcesz? – pyta Kay. – Będziesz żałował.

– Co ona tu, u diabła, robi? – Detektyw nabiera kolejną łyżeczkę. – Wchodzę do kostnicy i widzę matkę tej małej spacerującą po korytarzu. Nie mów mi, że oglądała Gilly, bo wiem, że ona nie nadaje się do oglądania. Więc co, u diabła, ona tu robi?

Marino ma na sobie te same bojówki, kurtkę i bejsbolówkę co wczoraj, jest nieogolony, zmęczony i zły. Może po wyjściu z klubu poszedł do którejś ze swoich dziewczyn, do którejś z tych, które spotykał w kręgielni, z którymi się upijał i szedł do łóżka.

– Jeśli zamierzasz być nie w sosie, to może daruj sobie to spotkanie? – mówi doktor Scarpetta. – I tak nie zostałeś zaproszony. Więc może nie będę pogarszać sprawy, zjawiając się tam z tobą w takim humorze? Wiesz, jak się zachowujesz po zjedzeniu cukru.

– Aha – odpowiada tamten, spoglądając na zamknięte drzwi sali konferencyjnej. – Już ja pokażę tym dupkom mój nastrój!

– Co się stało?

– Plotki – mówi cicho i ze złością. – O tobie.

– Jakie plotki? – Kay nienawidzi ich i stara się zwracać na nie jak najmniejszą uwagę.

– Plotki o tym, że wracasz i dlatego tu przyjechałaś. – Spogląda na nią z wyrzutem, sącząc upiornie słodką kawę. – Co ty przede mną ukrywasz, hę?

– Nie zamierzam tu wracać. Dziwi mnie, że dajesz posłuch wrednej, bezsensownej gadaninie.

– Ja w każdym razie nie wracam – mówi Marino, jakby od początku chodziło o niego. – Nie ma mowy. Nawet o tym nie myśl.

– Wcale o tym nie myślę. I może w ogóle przestaniemy teraz o tym myśleć? – Podchodzi do sali konferencyjnej i otwiera drzwi z ciemnego drewna.

Marino może za nią wejść, jeśli chce, może też zostać przy automacie do kawy i zażerać się przez cały dzień cukrem. Ona nie zamierza go zmuszać ani zachęcać. Trzeba będzie się dowiedzieć, co go naprawdę gryzie, ale nie teraz. Teraz ma spotkanie z doktorem Marcusem, FBI i Jackiem Fieldingiem, który wczoraj wieczorem wystawił ją do wiatru, a który wygląda dziś jeszcze gorzej, niż gdy ostatnio się widzieli. Nikt się do niej nie odzywa, kiedy przysuwa sobie krzesło. Nikt nie odzywa się do Marina, kiedy wchodzi i przysuwa sobie krzesło tuż koło niej. Wygląda to jak przesłuchanie, myśli Kay.

– Zabierzmy się do roboty – zaczyna doktor Marcus. – Rozumiem, że została pani przedstawiona agentce specjalnej Weber z sekcji profilowania psychologicznego FBI – zwraca się do niej, myśląc nazwę jednostki. Agentka Weber jest z sekcji behawioralnej, a nie z profilowania. – Mamy teraz poważny problem, jakby nam ich było mało – mówi z ponurym wyrazem twarzy, małe oczka lśnią zimno spod okularów. – Pani doktor – *pyta głośno* – pani badała ponownie Gilly Paulsson, a także Whitby’ego, operatora buldożera, prawda?

Fielding bez słowa wpatruje się w leżącą przed nim teczkę na dokumenty. Skórę na twarzy ma podrażnioną i czerwoną.

– Nie powiedziałabym, że go badałam – odpowiada Kay, rzucając spojrzenie Fieldingowi. – I nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Dotykała go pani? – pyta agentka specjalna Karen Weber.

– Przepraszam, ale czy FBI zajmuje się również śmiercią operatora buldożera? – pyta doktor Scarpetta, – Być może. Mam nadzieję, że nie, ale być może – mówi tamta. Najwyraźniej sprawia jej przyjemność przepytywanie byłej szefowej.

– Dotykała go pani? – Tym razem to doktor Marcus zadaje to pytanie.

– Tak – odpowiada Kay. – Dotykałam go.

– Pan oczywiście też. – Koroner zwraca się do Fieldinga. – Pan przeprowadził oględziny i zaczął sekcję, a potem w pewnej chwili dołączył do doktor Scarpetty w specjalnej sali, żeby zbadać ponownie córkę Paulssonów.

– Oczywiście – mruczy Fielding, spoglądając sponad swojej teczki, ale nie patrząc na nikogo konkretnego. – To bzdury.

– Co pan powiedział? – pyta doktor Marcus.

– Słyszał mnie pan. To bzdury – powtarza ten. – Powiedziałem to panu już wczoraj, kiedy sprawa wyszła na jaw. I dziś powtórzę: to bzdury. Nie zamierzam dać się ukrzyżować na oczach FBI czy kogokolwiek innego.

– Obawiam się, że to nie bzdury, doktorze Fielding. Mamy poważny problem z tymi dowodami. Substancje śladowe zebrane z ciała Gilly Paulsson są najwyraźniej identyczne ze śladami znalezionymi na ciele Whitby’ego, operatora buldożera. Otóż nie widzę innej możliwości niż wtórne zanieczyszczenie. A tak w ogóle, to nie rozumiem, dlaczego w ogóle w przypadku Whitby’ego były poszukiwane substancje śladowe. To przecież wypadek, a nie zabójstwo. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

– Nie zamierzam składać żadnych przysięg – mówi Fielding, którego twarz i dłonie są tak podrażnione, że aż przykro na nie patrzeć. – Został zmiażdżony na śmierć, ale jak to się stało, jeszcze nie wyjaśniliśmy. Nie byłem świadkiem jego śmierci. Przetarłem ranę na jego twarzy, żeby sprawdzić, czy nie ma na przykład śladów smaru – na wypadek gdyby pojawił się ktoś, kto będzie twierdził, że tego człowieka zaatakowano i uderzono w twarz, a nie zginął pod kołami.

– A o co konkretnie chodzi? O jakie substancje śladowe? – pyta Marino zadziwiająco spokojnym głosem jak na człowieka, który właśnie zaskoczył swój organizm końską dawką cukru.

– Szczerze mówiąc, nie uważam, żeby to był pański interes – odpowiada mu doktor Marcus. – Ale skoro pańska koleżanka musi pana wszędzie z sobą włączyć, nie będę ignorować pańskiej obecności. Muszę jednakowoż zaznaczyć, że wszystko, co tu mówimy, pozostanie między nami.

– Proszę zaznaczać bez przeszkód – mówi detektyw, uśmiechając się do agentki specjalnej Weber. – Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? – pytają. – Znałem kiedyś dowódcę oddziału w jednostce marines. Zabawne, że nikt nie pamięta, że Quantico to przede wszystkim marines, a dopiero później FBI. Słyszała pani o Bentonie Wesleyu?

– Oczywiście.

– Czytała pani jego wypociny o profilach psychologicznych?

– Znam doskonale jego prace – odpowiada agentka specjalna, zaciskając palce o nienagannie utrzymany i pomalowane paznokciach na teczce z aktami.

– Świetnie. Zatem zapewne wie pani, że uważa on tworzenie profili psychologicznych za równie pożyteczne jak chińskie wróżby w ciasteczkach.

– Nie zgadzam się na takie traktowanie. – Agentka zwraca się do doktora Marcusa.

– Oj, jakże mi przykro – Marino też zwraca się do koronera. – Bynajmniej nie było moim zamiarem traktować tej pani. Z pewnością ekspert z Sekcji Profilowania Psychologicznego FBI przyda nam się w rozmowie o substancjach śladowych.

– Wystarczy – mówi gniewnie doktor Marcus. – Skoro nie umie się pan zachować, jak przystoi profesjonalście, będę zmuszony pana wyprosić.

– Ależ, proszę, nie. Będę tu siedział grzecznie i słuchał. Proszę sobie nie przeszkadzać.

Jack Fielding potrząsa powoli głową, wpatrując się wciąż w teczkę z dokumentami.

– W takim razie ja zacznę – odzywa się doktor Scarpetta, która przestała się przejmować dyplomacją i nakazem bycia miłą. – Doktorze Marcus, po raz pierwszy wspomniał mi pan o substancjach śladowych znalezionych na ciele Gilly Paulsson. Ściąga mnie pan do Richmondu, żebym pomogła w sprawie, a *następnie zapomina powiedzieć o substancjach śladowych?* – Patrzy na niego, a następnie na Fieldinga.

– Proszę mnie nie pytać – mówi do niej Jack. – To ja robiłem wymaz. Ale nie dostałem protokołu z laboratorium, nikt do mnie nawet nie zadzwonił. Nie żebym ostatnimi czasy dostawał protokoły. W każdym razie nie od razu. Po raz pierwszy usłyszałem coś na ten temat, kiedy on – ma na myśli swojego szefa – wspomniał mi o tym, jak wsiadałem do samochodu.

– Sam się dowiedziałem wczoraj po południu – warczy doktor Marcus. – Z jednej z tych niedorzecznych notatek, które ten jak mu tam Ice czy Eise przysłała mi w kwestii procedur, jakby sam wiedział wszystko lepiej. W tym, co dotychczas ustalono w laboratoriach, nie było nic szczególnie pomocnego: kilka włosów i innych śmieci, w tym zapewne odpryski

lakieru, które mogły pochodzić skądkolwiek, zwłaszcza z samochodu, jak sądzę, czy czegośkolwiek innego w domu Paulssonów. Zapewne tak naprawdę to z roweru albo jakiejś zabawki.

– Powinni byli ustalić, jaki to lakier – wtrąca Kay. – A już z pewnością powinni porównać go ze wszystkim, co jest w domu.

– Wydawało mi się, że zmierzam do tego, że nie mamy DNA. Wymazy nic nie dały. A oczywiście jeśli chcemy mówić o zabójstwie, DNA w wymazie z pochwy lub ust byłby wielce znaczący. Skupiałem się głównie na DNA, a nie na tych rzekomych odpryskach lakieru, dopóki wczoraj późnym popołudniem nie dostałem tej notatki o dowodach śladowych i nie okazało się, że dziwacznym zrzędzeniem losu na wymazach z ciała operatora buldożera znaleziono te same śmieci. – Doktor Marcus świdruje Fieldinga wzrokiem.

– A jak dokładnie miałyby dojść do tego wtórnego zanieczyszczenia? – pyta Kay.

Marcus powoli, wystudiowanym ruchem wzrusza ramionami.

– Myślałem, że pani mi to powie.

– Moim zdaniem nie ma takiej możliwości – oświadcza doktor Scarpetta. – Zmieniliśmy rękawiczki, choć to akurat nie ma znaczenia, ponieważ nie robiliśmy ponownych wymazów z ciała Gilly Paulsson. Byłoby to pokazowym bezsenssem, skoro już ją umyło, pokrojono, wykonano wymazy, umyło znowu i przeprowadzono ponowną sekcję, a w dodatku zwłoki przeleżały dwa tygodnie w plastikowym worku.

– Oczywiście, że nie robiliście jej powtórnych wymazów – mówi doktor Marcus tonem, jakby to on był mędrce, a ona nieuwważną studentką. – Ale zakładam, że nie skończyliście z panem Whitbym, więc zapewne wróciliście do niego po zbadaniu córki Paulssonów.

– Ja wykonałem wymazy od Whitby’ego, a następnie pracowałem przy córce Paulssonów – odpowiada Fielding. – I nie robiłem jej wymazów. Żeby to było oczywiste. A na niej nie było już żadnych substancji śladowych, które można by przenieść na tego mężczyznę czy kogokolwiek innego.

– Nie mnie o tym wyrokować – oznajmia doktor Marcus. – Nie wiem, co tu się stało, ale coś się ewidentnie stało. Musimy rozważyć każdy scenariusz, ponieważ możemy być pewni, że tak właśnie uczynią prawnicy, jeśli którakolwiek z tych spraw wyląduje w sądzie.

– Śmierć Gilly wyląduje w sądzie – odzywa się agentka specjalna Weber tonem, jakby stwierdzała zaistniały już fakt i była osobiście związana z martwą czternastolatką. – Może coś pomieszali w laboratorium – zastanawia się moment później. – Może pomylili etykiety na próbkach albo zanieczyścili jedną z nich. Czy obie analizy wykonywał ten sam laborant?

– Obie wykonywał Eise, wydaje mi się, że tak właśnie facet się nazywa – odpowiada doktor Marcus. – On zajmuje się substancjami śladowymi, ale nie włosami.

– Dwukrotnie wspominał pan o włosach. Co to za włosy? – pyta doktor Scarpetta. – Pierwsze słyszę, że znaleziono włosy.

– Kilka włosów z miejsca śmierci Gilly Paulsson. Wydaje mi się, że były na pościeli.

– Miejmy nadzieję, że nie należały do operatora buldożera – wtrąca się Marino. – A może powinniśmy mieć nadzieję, że wręcz przeciwnie. Facet zabija dziewczynkę, a następnie wyrzuty sumienia nie dają mu żyć, więc ginie pod własnym buldożerem. Wyjątkowo jasna sytuacja.

Nikt nie uważa tego za zabawne.

– Prosiłam, żeby przebadać pościel pod kątem nabłonka orzęsionego – zwraca się doktor Scarpetta do Fieldinga.

– Jeśli chodzi o poduszkę – odpowiada Fielding – odpowiedź jest pozytywna.

Powinna poczuć ulgę. Obecność tego biologicznego dowodu oznacza uduszenie gwałtowne, ale prawda jest bolesna.

– Okropna śmierć – mówi Kay. – Wyjątkowo okropna.

– Przepraszam – odzywa się agentka specjalna Weber. – Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Dziewczynka została zamordowana – odpowiada Marino. – Poza tym nie sądzę, żeby istniało cokolwiek, o czym pani nie wie.

– Wie pan co, naprawdę nie muszę tego wysłuchiwać. – Agentka specjalna Weber zwraca się znów do koronera.

– Och, obawiam się, że wręcz przeciwnie. – Marino też zwraca się znów do doktora Marcusa. – Chyba że zamierza pan osobiście wyrzucić mnie z tej sali. Jeśli zaś pan tego nie zrobi, będę tu siedział grzecznie i mówił wszystko, na co mam ochotę.

– Skoro już rozmawiamy szczerze i otwarcie – odzywa się Kay Scarpetta do agentki specjalnej – chętnie usłyszałabym, dlaczego FBI interesuje się sprawą Gilly Paulsson.

– Z bardzo prostego powodu: policja w Richmondzie zwróciła się do nas o pomoc – odpowiada pani Weber.

– Dlaczego?

– Powinna pani ich zapytać.

– Ale pytam panią. Albo zaczniecie grać ze mną uczciwie, albo wychodzę z tego budynku i więcej tu nie wracam.

– To nie takie proste. – Doktor Marcus rzuca jej przeciągłe spojrzenie spod ciężkich powiek, w czym przypomina jej jaszczurkę. – Pani też jest w to zamieszana. Badała pani operatora buldożera, a teraz mamy być może do czynienia z zanieczyszczeniem wtórnym. Obawiam się, że nie da się tego

załatwić, wychodząc, by więcej nie wrócić. Teraz już nie tylko pani o tym decyduje.

– Co to za bzdura – mruczy znów Fielding, wpatrując się w złożone na kolanach ręce.

– Powiem ci, dlaczego FBI interesuje się tą sprawą. – Tym razem odzywa się Marino. – A w każdym razie powiem ci, skoro tak bardzo chcesz się dowiedzieć, co na ten temat myśli policja richmondzka. To może się pani nie spodobać – zwraca się do agentki specjalnej Weber. – Tak ó propoz, mówiłem już pani, że ma pani piękny kostium? I śliczne czerwone buciki. Są cudne, ale co pani zrobi, jeśli trafi się pogoń za przestępcą?

– Dość – mówi kobieta nienawistnym tonem.

– Nie! To ja mam dość! – wybucha nagle Jack Fielding, wstając i waląc pięścią w stół. Cofa się o krok i rozgląda wokół wściekłym wzrokiem. – Do cholery z tym wszystkim! Odchodzę. Słyszałeś, ty nadęty mały gnojku? – zwraca się do Marcusa. – Odchodzę. Ty też możesz się pieprzyć. – Robi gest palcem w stronę agentki specjalnej Weber. – Cholerni głupi federalni, zstępujecie tu niczym bogowie, a naprawdę gówno wiecie. Nie rozpracowałybyś najgłępszego zabójstwa, nawet gdyby się zdarzyło w twoim durnym łóżku! Odchodzę! – Cofa się ku drzwiom. – Idź na całego, Pete. Wiem, że ty wiesz. – Wpatruje się w Marina. – Powiedz doktor Kay prawdę. Idź na całość. Ktoś wreszcie powinien.

Długimi krokami wychodzi i zamyka za sobą z hukiem drzwi.

Doktor Marcus przerywa w końcu milczenie.

– No, to było coś. Bardzo mi przykro – zwraca się do agentki Weber.

– Chciałbyś może coś dodać? – Doktor Scarpetta spogląda na Marina nie bez odrobiny złości, ponieważ ten ewidentnie zdobył jakieś informacje, których ona nie otrzymała. Zastanawia się, czy detektyw przez całą noc włóczył się po mieście, pijąc, zamiast przekazać jej ważne informacje.

– Z tego, co słyszałem – mówi Marino – federalni interesują się małą Gilly dlatego, że jej tatuś jest, powiedzmy, informatorem Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Siedzi w Charlestonie, rzekomo inwigilując pilotów pod kątem inklinacji terrorystycznych, co mogłoby być wielkim problemem, jako że mają tam największą flotę samolotów transportowych C17 w kraju, każdy z nich wartości około stu osiemdziesięciu pięciu milionów. Nie byłoby miło, gdyby jakiś terrorysta rozwalił swój samolot w środku tej floty, prawda?

– Byłoby miło, gdyby pan się w tej chwili zamknął – mówi agentka specjalna Weber, nie zdejmując palców z notatnika. Jej knykcie jednakowoż są białe. – Nie wyjdzie panu na zdrowie, jeśli pan się w to wplącze.

– Ależ ja już jestem w to wplątany – odpowiada Marino, zdejmując bejsbolówkę i gładząc jasny odrost widoczny tu i ówdzie na skądinąd doskonale łysej głowie. – Przepraszam. Spieszyłem się i nie miałem czasu się ogolić. – Pociera szczękę, która drapie jak papier ścierny. – Wczoraj wieczorem laborant sądowy Eise, detektyw Browning i ja brataliśmy się w klubie policyjnym, a potem odbyłem jeszcze parę rozmów, których nie będę streszczał ze względu na klauzulę tajności.

– Proszę natychmiast przestać – ostrzega go agentka Weber tonem, jakby zamierzała aresztować detektywa za gadanie; jakby zbyt długi język stał się nagle przestępstwem federalnym. Być może w jej oczach Marino jest o krok od popełnienia aktu zdrady.

– Nie, lepiej nie przestawaj – mówi doktor Scarpetta.

– FBI i Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie przepadają za sobą – kontynuuje detektyw. – Widzisz, Bezpieczeństwo Wewnętrzne wydarło spory kawał budżetu Departamentu Sprawiedliwości, a wszyscy wiemy, że FBI lubi wielkie tłuste pieniądze. O czym to ostatnio słyszałem? – Rzuca agentce specjalnej Weber chłodne spojrzenie. – Około

siedemdziesięciu lobbystów na Kapitolu zebrze o fundusze, podczas gdy wy biegacie w tych swoich garniturkach, usiłując odebrać wszystkim dookoła jurysdykcję i podbić cały świat!

– Czemu właściwie my tego słuchamy? – pyta pani Weber doktora Marcusa.

– Chodzi o to – Marino zwraca się do Kay – że Biuro już od jakiegoś czasu węszy wokół Franka Paulssona. I miałaś rację. Owszem, krążą o nim nieciekawe pogłoski. Ponoć nadużywa swoich przywilejów jako lekarz lotniczy, co jest szczególnie niepokojące dlatego, że jest wtyka Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Byłoby wyjątkowo paskudnie, gdyby podpisywał licencje pilotów – zwłaszcza pilotów wojskowych – w zamian za przysługi. A Biuro nie marzy o niczym tak bardzo jak o przyszpileniu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i zrobieniu z tamtych idiotów. Więc jak tylko pani gubernator zainteresowała się sprawą i wezwała FBI, było to dla was jak otwarcie bramy, nieprawdaż? – Spogląda ostro na agentkę specjalną. – Nie jestem jednak pewny, czy pani gubernator zdaje sobie sprawę, kogo zaprosiła do pomocy. Nie ma pojęcia o tym, że FBI przez pomoc rozumie obrzucenie błotem innej agencji. Innymi słowy, że chodzi o pieniądze i władzę. Ale czy zawsze nie o to tylko chodzi?

– Nie, nie zawsze – odpowiada zdecydowanym głosem Kay, której wytrzymałość powoli się wyczerpuje, – Tu chodzi o czternastoletnią dziewczynkę, która zmarła w bolesny i przerażający sposób. Chodzi o morderstwo Gilly Paulsson. – Wstaje z krzesła, zamyka z trzaskiem aktówkę, podnosi ją za skórzane uchwyty i spogląda najpierw na doktora Marcusa, a potem na agentkę specjalną Weber. – O to powinno tu chodzić.

Kay postanawia wydobyć z niego prawdę, zanim dojadą do Broad Street, Nieważne, czego on chce. Musi jej o wszystkim powiedzieć.

– Coś robiłeś zeszłej nocy? – pyta. – I nie mówię tu o przesiadywaniu w klubie policyjnym z kumplami od kieliszka.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz. – Detektyw siedzi wielki i nabzdyczony na miejscu pasażera, z bejsbołówką nasuniętą głęboko na czoło.

– Wręcz przeciwnie, wiesz doskonale. Poszedłeś się z nią zobaczyć.

– Teraz to już kompletnie nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Wygląda przez boczną szybę.

– Ależ wiesz. – Przecina szybko Broad Street. Prowadzi, ponieważ sama na to nalegała, ponieważ nie pozwoliłaby przyjacielowi ani też nikomu innemu usiąść w tej chwili za kierownicą. – Znam cię. Niech cię diabli, Marino, robiłeś już wcześniej takie rzeczy. Jeśli to się zdarzyło znowu, po prostu mi powiedz. Widziałam, jak na ciebie patrzyła, gdy byliśmy u niej w domu. Ty też to widziałeś, oczywiście, że tak, i bardzo cię to cieszyło. Nie jestem idiotką.

Nie odpowiada, patrzy tylko przez okno spod nasuniętej na oczy czapki.

– Powiedz mi, Marino: poszedłeś do pani Paulsson? A może spotkaliście się gdzieś na mieście? Powiedz mi prawdę. I tak to z ciebie w końcu

wyciągnę, wiesz doskonale – ciągnie Kay, stając nagle, w chwili gdy światło żółte zamienia się w czerwone. Spogląda na niego. – Okej, twoje milczenie mówi wszystko. Dlatego tak dziwnie się zachowywałeś, jak na nią wlałeś dziś rano w biurze, tak? Byłeś z nią w nocy, ale sprawy potoczyły się niezupełnie tak, jak się spodziewałeś, więc byłeś zaskoczony, zobaczywszy ją dziś rano w biurze.

– To nie jest to, co myślisz.

– A więc co?

– Suzie chciała porozmawiać, a ja potrzebowałem informacji. Wzajemna pomoc. – Mówi nadal w kierunku okna.

– Suzie?

– Pomogła, nie? – ciągnie Marino. – Wiem już teraz coś o tym Bezpieczeństwie Wewnętrznym, o tym, jakim fiutem jest jej były, jaką gnidą, i dlaczego FBI może go mieć na celowniku.

– Może? – Doktor Scarpetta skręca w Franklin Street, kierując się ku swej pierwszej siedzibie w Richmondzie, staremu budynkowi, który właśnie jest rozbierany. – Na naradzie sprawiałeś wrażenie pewnego swoich rewelacji, o ile to, w czym braliśmy udział, można nazwać naradą. To były tylko domysły? „Może”? Co ty właściwie chcesz powiedzieć?

– Zadzwoiła do mnie wieczorem na komórkę – wyjaśnia detektyw. – Sporo tu rozwalili od naszej ostatniej wizyty. Sporo rozwalili na wiele różnych sposobów. – Spogląda na wyburzany gmach przed nimi.

Zbudowany z prefabrykatów budynek wygląda na mniejszy i jest w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż wtedy, gdy byli tu po raz pierwszy. Ale może po prostu zniszczenie już ich nie dziwi, dlatego wszystko wydaje się mniejsze i gorsze. Kay zwalnia w pobliżu Czternastej i rozgląda się za miejscem parkingowym.

– Musimy pojechać na Cary – mówi w końcu. – Dwie przecznice dalej jest płatny parking, a w każdym razie był.

– A po cholere ci on? Podjedź po prostu do budynku i stań na chodniku – proponuje detektyw. – Będziemy kryci. – Sięga do czarnej aktówki i wyciąga czerwoną tabliczkę z napisem Biuro Głównego Koronera. Stawiają pod szybą na tablicy rozdzielczej.

– A to jak zdobyłeś? – pyta Kay z niedowierzaniem. – Jak ją, u diabła, zdobyłeś?

– Różne rzeczy się dzieją, jak uczynisz sobie pogaduszki z pannami z recepcji.

– Jesteś złym człowiekiem. – Doktor Scarpetta potrząsa głową. – Brakowało mi tego – dodaje, ponieważ niegdyś parkowanie nie było takim problemem jak obecnie. Mogła pojawić się w pobliżu dowolnego miejsca przestępstwa i zaparkować, gdzie tylko chciała. Mogła przyjechać do sądu w godzinie szczytu i postawić samochód w jakimś niedozwolonym miejscu, ponieważ posiadała czerwoną tabliczkę z wielkim białym napisem „Biuro Głównego Koronera”. – Po co pani Paulsson dzwoniła do ciebie wczoraj wieczorem? – Nie jest w stanie powiedzieć o niej Suzie.

– Chciała pogadać – powtarza Marino, otwierając drzwiczki. – Chodź, będziemy to mieć z głowy. Powinnaś była włożyć wysokie buty.

Marino od zeszłego wieczora myślał o Suzie. O tym, że jej włosy sięgają do ramion i mają ładny jasny kolor. Zawsze najbardziej lubił dłuższe włosy blond.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w domu, spodobały mu się jej twarz i pełne usta. Spodobało mu się, jak na niego patrzyła. Dzięki niej czuł się potężny, ważny i silny, poza tym jej oczy mówiły, że wierzy w niego, mimo że jej problemów nikt nie jest w stanie rozwiązać. Musiałaby się o to zwrócić do Boga Wszechmogącego, ale miałyby marne szanse, ponieważ Bóg nie wzrusza się problemami kobiet tak łatwo jak mężczyźni pokroju Marina.

Spojrzenia, które mu rzuciła, zrobiły na nim prawdopodobnie największe wrażenie, a kiedy zbliżyła się do niego podczas przeszukiwania pokoju Gilly, poczuł bijące od niej ciepło. Wiedział, że pakuje się w kłopoty. Wiedział, że jeśli Kay Scarpetta coś zważa, natrze mu uszu.

Detektyw brnie ze swoją szefową przez gęste czerwone błoto i jak zwykle czuje podziw dla niej: Kay potrafi chodzić po wszystkim w najbardziej nieodpowiednich butach i nigdy nie narzeka. Wilgotna czerwona glina czepia się czarnych buciorów Marina, on sam zaś ślizga się, mimo że stawia kroki bardzo ostrożnie, a ona tymczasem nawet nie zauważa, że nie ma botków. Włożyła czarne sznurowane buty na niskim

obcasie, rozsądne i pasujące do kostiumu – w każdym razie w czasie przeszłym. Teraz wygląda, jakby szła na koturnach z czerwonego błota, które pryska jej na spodnie i długi płaszcz, kiedy Kay brnie ku swojemu na wpół wyburzonemu dawnemu miejscu pracy.

Na widok Marina i doktor Scarpetty torujących sobie drogę przez błoto i gruz ku samemu centrum wyburzania robotnicy przerywają pracę, a wysoki mężczyzna w kasku ochronnym przygląda się im uważnie. Ma w ręce notatnik i rozmawia z drugim mężczyzną w kasku ochronnym. Ten z notatnikiem rusza w kierunku obojga, machając ręką, jakby uznał ich za turystów, których trzeba odgonić. Marino zaczyna więc wykonywać w jego kierunku gesty mające go zachęcić do podejścia i rozmowy. Kiedy mężczyzna z notatnikiem jest na tyle blisko, żeby dostrzec czarną bejsbolówkę z napisem LAPD, staje się nieco bardziej ostrożny. Ta czapeczka to jednak niezły gadżet, myśli detektyw. Nie potrzebuje używać fałszywych papierów ani w ogóle się przedstawiać, bejsbolówka załatwia to za niego. Inne sprawy też za niego załatwia.

– Jestem śledczy Marino – zwraca się do faceta z notatnikiem. – A to doktor Scarpetta, lekarz sądowy, – Ach tak – mówi mężczyzna. – Państwo w sprawie Teda Whitby’ego. – Potrząsa głową. – Nie mogę w to uwierzyć. Słyszeli państwo zapewne o jego rodzinie.

– Niezupełnie – odpowiada detektyw.

– Żona w ciąży z pierwszym dzieckiem. To drugie małżeństwo Teda. Widzą państwo tego tam faceta? – Obraca się ku wyburzanemu budynkowi, wskazując na robotnika w szarym kombinezonie gramolącego się z kabiny dźwigu. – To jest Sam Stiles, on i Ted mieli pewne problemy, że tak powiem. Ona, znaczy się, żona Teda, twierdzi, że Sam machnął kulą wyburzeniową za blisko buldożera Teda, który spadł i wleciał pod koła.

– Dlaczego uważa pan, że on spadł? – pyta Kay.

Zastanawia się nad tym, co widziała, myśli Marino. Cały czas wierzy, że widziała Teda Whitby'ego na moment przed tym, jak wpadł pod buldożer, że widziała, jak stał na własnych nogach, dłubiąc w silniku. Może zresztą ma rację. Znając siebie, zapewne ma rację.

– Wcale niekoniecznie tak sędzę, psze pani – odpowiada mężczyzna z notatnikiem. Jest mniej więcej w wieku Marina, ale ma mnóstwo włosów i zmarszczek, twarz opaloną jak kowboj i jasnoniebieskie oczy. – Powtarzam tylko to, co żona, znaczy się, jak rozumiem, wdowa, opowiada wszystkim dookoła. Oczywiście chodzi o pieniądze. Zawsze tak jest, nie? Nie żeby nie było mi jej żal. Ale to nie w porządku oskarżać ludzi o czyjąś śmierć.

– Gdzie pan był, kiedy to się stało? – pyta doktor Scarpetta.

– Tutaj, jakieś sto metrów od miejsca wypadku. – Wskazuje na prawy przedni róg budynku, a raczej to, co z niego zostało.

– Widział pan wypadek?

– Nie, psze pani. Nikt, kogo znam, nie widział. On był na tym parkingu z tyłu, poprawiał coś w silniku, bo mu się dławił. Więc pewnie zeskoczył i zajrzał w motor, jak sędzę, a reszta to już historia. Potem zobaczyłem, wszyscy zobaczyliśmy prawdę mówiąc, wyjeżdżający stamtąd buldożer bez kierowcy. Uderzył w ten słupek koło windy towarowej i się zaklinował. A Ted leżał na ziemi w okropnym stanie. Znaczy się, paskudnie krwawił. Mówię pani, paskudnie wyglądał.

– Był przytomny, jak pan do niego dobiegł? – pyta Kay, jak zwykle zapisując coś w czarnym notesie. Przez ramię ma przewieszoną czarną nylonową torbę z zestawem kryminalistycznym.

– Nie słyszałem, żeby coś mówił. – Mężczyzna z notatnikiem wykrzywia twarz i odwraca wzrok. – Miał otwarte oczy i usiłował oddychać. Głównie to mam przed oczami i pewnie zawsze będę miał. Jak usiłuje złapać powietrze, a jego twarz robi się niebieska. A potem umarł,

tak nagle. Oczywiście przyjechała policja i karetka, ale nie dało się już nic zrobić.

Marino stoi w błocie, słuchając, i postanawia zadać – jakieś pytanie, ponieważ czuje się niepewnie, gdy trzyma za długo usta zamknięte, jakby był jakiś głupi. Przy Kay czuje się głupi. W dodatku ona nie robi tego celowo, nigdy nie zrobiłaby tego celowo i to jest najgorsze.

– Ten Sam Stiles – odzywa się detektyw, wskazując czarną bejsbolówką z napisem LAPD w stronę nieruchomego teraz dźwigu i kuli wyburzeniowej kołyszącej się lekko na łańcuchu przyczepionym do ramienia maszyny. – Gdzie on był, kiedy Teda przejechał buldożer? Gdzieś w pobliżu?

– Nie. To niepoważne. Znaczy ten pomysł, że kula zrzuciła Teda z buldożera, jest tak niepoważny, że aż byłby śmieszny, gdyby komukolwiek było tu do śmiechu. Wyobrażają sobie państwo, co taka kula zrobiłaby z człowieka?

– Nic pięknego – zauważa Marino.

– Mokłą plamę. Buldożer byłby już niepotrzebny.

Doktor Scarpetta wszystko skrupulatnie notuje. Co jakiś czas rozgląda się w zamyśleniu i dopisuje coś jeszcze. Pewnego razu Marino znalazł te notatki na widoku na jej biurku, kiedy wyszła z gabinetu. Ponieważ zżerała go ciekawość, co się dzieje w głowie Kay, wykorzystał sytuację, żeby się przekonać, ale zdołał odcyfrować tylko jedno słowo – własne nazwisko: „Marino”. Nie chodzi tylko o to, że ona ma nieczytelne pismo, ale też, że do notatek używa własnego tajnego języka, własnego kodu, który jedynie jej dawna sekretarka Rose była w stanie odcyfrować.

Teraz doktor Scarpetta pyta mężczyznę z notatnikiem o nazwisko, które brzmi Bud Light, co detektyw uznaje za wyjątkowo łatwe do zapamiętania, aczkolwiek ani Bud Lite, ani Miller Lite, ani też Michelob Lite nie

przemawiają do jego wyobraźni, podobnie jak żadna inna lekka marka. Kay tłumaczy, że musi wiedzieć dokładnie, gdzie leżały zwłoki, ponieważ trzeba pobrać próbki gruntu. Bud nie zdradza najmniejszych oznak zaciekawienia. Być może zakłada, że przystojne lekarki sądowe i potężnie zbudowani policjanci w bejsbolówkach LAPD zawsze pobierają próbki gruntu, gdy robotnika budowlanego przejedzie buldożer. Ruszają więc ponownie przez gęste, mokre błoto, zbliżając się do budynku, a przez cały ten czas Marino myśli o Suzie. Wczoraj wieczorem zaczynał właśnie kolejną szklaneczkę whisky w klubie policyjnym, rozmawiając sobie miło i szczerze z Juniusem Eisem, czy też Ejzaszem, jak go przez tyle lat przezywał. Browning już sobie poszedł, a Marino gadał, kiedy zadzwonił telefon. Detektyw był już wtedy nieco wstawiony i zapewne w ogóle nie powinien był odbierać. Zapewne należało ją w ogóle wyłączyć, ale nie zrobił tego, ponieważ wcześniej dzwoniła Kay, że Fielding nie otworzył drzwi, a Marino powiedział jej, żeby dzwoniła, jakby był potrzebny. Właśnie dlatego odebrał komórkę, aczkolwiek prawdą jest, że kiedy zaczyna kolejną szklaneczkę whisky, jest bardziej skłonny do otwierania drzwi, odbierania telefonów i rozmów z obcymi.

– Marino! – zawołał, przekrzykując hałas panujący w klubie.

– Mówi Suzanna Paulsson. Przepraszam, że panu przeszkadzam. –
Zaczęła płakać.

Nieważne, co powiedziała potem, dużej części tego nie jest w stanie sobie przypomnieć, idąc teraz ostrożnie przez gęste czerwone błoto za Kay, która sięga do torby na ramieniu po sterylne drewniane szpatułki do przytrzymywania języka i plastikowe worki do przechowywania żywności. Tego, co naprawdę wydarzyło się wczoraj wieczorem, Pete nie pamięta, ponieważ Suzie trzymała w domu whisky, całkiem przyzwoitego burbona, i to w dużych ilościach. Miała na sobie dzinsy i różowy sweterek z miękkiej

welny, kiedy wprowadziła Marina do salonu i zaciągnęła story, a następnie posadziła go na kanapie i opowiedziała o swoim draniu eksmężu, Bezpieczeństwie Wewnętrznym i kobietach pilotach oraz innych parach, które zapraszał do domu. Ciągłe wracała do tych par, jakby to miało znaczenie, więc zapytał, czy to te pary miała na myśli, kilka razy mówiąc „oni” podczas wizyty jego i doktor Scarpetty w tym domu. Suzie nie odpowiedziała wprost. Powiedziała to samo, co wtedy: „Zapytajcie Franka”.

„Pytam ciebie” – odrzekł Marino.

„Zapytajcie Franka – powtarzała. – Miał wszystkie rodzaje. Zapytajcie go”.

„Miał je po co?”.

„Dowiecie się” – odparła.

Marino przystaje, przyglądając się Kay Scarpetcie, która naciąga na dłonie lateksowe rękawiczki i otwiera białą foliową torebkę. Na miejscu śmierci operatora buldożera nie zostało nic poza zabłoconym asfaltem przed tylnymi drzwiami, które znajdują się tuż obok ogromnej paszczy windy towarowej. Patrzy, jak jego szefowa kuca, rozglądając się po zabłoconym chodniku, i przypomina sobie wczorajszy ranek, kiedy krążyli tu wynajętym samochodem, wspominając przeszłość. Gdyby mógł cofnąć czas do wczorajszego ranka, zrobiłby to bez namysłu. Gdyby tylko mógł. Czuje mdłości i pustkę w żołądku, głowa mu pęka z bólu pulsującego w rytm szybko bijącego serca. Wdycha zimne powietrze i czuje smak betonowego pyłu unoszącego się wszędzie dookoła.

– Czego państwo konkretnie szukają, jeśli wolno spytać? – odzywa się Bud, który również przygląda się doktor Scarpetcie.

Kay ostrożnie zbiera szpatułką pył i błoto z tego skrawka ziemi, który wygląda na poplamiony, być może krwią.

– Sprawdzam tylko, co tu jest – wyjaśnia.

– Wie pani, oglądam trochę tych programów w telewizorze. A przynajmniej czasem coś podejrzę, jak żona ogląda.

– Niech pan nie wierzy we wszystko, co tam pokazują. – Kay wrzuca jeszcze trochę błota do woreczka, po czym wsuwa tam również szpatułkę. Zamyka woreczek i opisuje tym swoim nieczytelnym pismem. Delikatnie wkłada folię do stojącej na chodniku nylonowej torby z zestawem kryminalistycznym.

– Czyli nie zamierza pani wrzucać tego błota do jakiegoś magicznego kotła? – żartuje Bud.

– Nie ma w tym żadnej magii – odpowiada Kay, otwierając kolejną białą torebkę. Tym razem przykucnęła na parkingu w pobliżu drzwi, które otwierała codziennie rano, gdy przychodziła do tego budynku jako szefowa.

Kilka razy w ciągu dzisiejszego ranka Marino miał przebłyski w pulsującej ciemności swojej duszy. Elektryczne przebicia przypominały obraz w bardzo zepsutym telewizorze, który miga tak szybko, że nie da się zobaczyć, co na nim jest, ale ma się jakieś niewyraźne wrażenie. Wargi i język. Fragmenty dłoni i zamknięte oczy. I jej usta na jego ciele. Na pewno wie tyle, że obudził się nagi w jej łóżku o godzinie piątej siedem rano.

Doktor Scarpetta pracuje teraz jak archeolog, w każdym razie o tyle, o ile Marino zna się na metodach archeologicznych. Delikatnie zdejmuje wierzchnią warstwę błota w tym miejscu, gdzie widoczne są ciemne plamy, jakby krwi. Ubłocony płaszcz ciągnie się za nią, ale nie przejmuje się tym. Gdyby inne kobiety potrafiły tak mało przejmować się drobiazgami jak ona. Gdyby inne kobiety potrafiły tak bardzo przejmować się tym, co naprawdę ważne, jak ona. Detektyw zakłada, że jego przyjaciółka zrozumie, co to znaczy fatalna noc. Zrobi kawę i posiedzi z nim tak długo, żeby mógł się

wygadać. Nie zamknie się w łazience, nie będzie płakać i wrzeszczeć ani nie każe mu wynosić się z domu.

Marino idzie szybkim krokiem z parkingu z powrotem w czerwone błoto, ślizgając się w ciężkich buciorach. Potyka się i pada z jękiem, który przechodzi w torsję. Wymiotuje, schylony plując gorzką brązową mazią po butach. Drży, dławi się w ostrych skurczach i jest przekonany, że umrze, jeśli Kay położy mu dłoń na ramieniu. Poznałby tę silną i pewną rękę zawsze i wszędzie.

– Hej – mówi doktor Scarpetta, biorąc go pod ramię. – Odprowadzę cię do samochodu. Wszystko w porządku. Oprzyj się na mnie i na litość boską, patrz, jak stawiasz kroki, bo inaczej oboje wylądujemy na ziemi.

Detektyw wyciera usta w rękaw płaszcza. Ma oczy pełne łez, gdy usiłuje poruszać nogami, wsparty na niej, pośrodku błotnistego, krwistoczerwonego pola bitwy wokół rozwalonego budynku, w którym się po raz pierwszy spotkali.

– A jeśli ją zgwałciłem, Kay? – odzywa się z głębi śmiertelnie bolesnych mdłości. – Co, jeśli tak się stało?

W pokoju hotelowym jest bardzo gorąco, ale Kay poddała się w kwestii regulacji temperatury. Siedzi w fotelu przy oknie, przyglądając się rozłożonemu na łóżku przyjacielowi, który ma na sobie czarne bojówki i czarną koszulę; czarna bejsbolówka leży samotnie na szafce nocnej, czarne buty stoją na podłodze.

– Musisz coś w sobie wmusić – odzywa się spod okna.

Obok niej na dywanie stoi poplamiona błotem czarna nylonowa torba z zestawem kryminalistycznym, a zabłocony płaszcz wisi przerzucony przez krzesło. Wszędzie w pokoju widać ślady czerwonego błota, a kiedy wzrok doktor Scarpetty pada na błotnisty szlak, jaki za sobą zostawiła, przypomina się jej miejsce zbrodni, a następnie sypialnia Suzanny Paulsson i przestępstwo, które być może zostało tam popełnione w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

– Niczego teraz nie tknę – odpowiada detektyw, nie zmieniając pozycji.

– A co, jeśli ona pójdzie na policję?

Kay nie zamierza dawać mu fałszywych nadziei. Nie może mu zresztą nic dać, ponieważ nic nie wie.

– Nie mógłbyś usiąść, Marino? Byłoby lepiej, gdybyś usiadł. Zamówię coś.

Wstaje z fotela, zostawiając za sobą kolejne bryłki zasychającego błota, i podchodzi do stojącego obok łóżka telefonu. Z kieszeni żakietu wyjmuje okulary do czytania, wkłada je i przygląda się aparatowi. Nie umie odgadnąć, pod jakim numerem będzie serwis, więc wykręca zero i zostaje przełączona do obsługi hotelowej.

– Trzy duże butelki wody – mówi. – Dwa razy gorąca herbata Earl Grey, grzanka i miska owsianki. Nie, dziękuję. To wystarczy.

Marino siada z wysiłkiem i wsuwa sobie wszystkie poduszki pod plecy. Kay czuje na sobie jego wzrok, gdy siada z powrotem w fotelu, zmęczona, ponieważ to wszystko ją przytłacza, a w jej myślach szaleje stado rozbieganych na wszystkie strony koni. Myśli o odpryskach lakieru i innych substancjach śladowych, o próbkach gruntu w nylonowej torebce, o Gilly i operatorze buldożera, o tym, co porabia Lucy i co może porabiać Benton, a jednocześnie usiłuje wyobrazić sobie Marina w roli gwałciciela. Zdarzało mu się już wcześniej popełniać głupstwa, ba, nawet błędy, z kobietami. Niejeden raz zdarzyło mu się mieszać sprawy zawodowe z osobistymi, a zwłaszcza wplątywać się w związki erotyczne ze świadkami i ofiarami, i zawsze sporo go to kosztowało, ale nie więcej, niż był w stanie znieść. Nigdy dotychczas nie oskarżono go o gwałt ani też on sam nie martwił się, że mógł się dopuścić gwałtu.

– Musimy zrobić wszystko, żeby to rozwikłać – mówi teraz Kay. – Tak naprawdę nie wierzę, żebyś zgwałcił Suzanne Paulsson. Problemem jednak jest to, czy ona wierzy albo chce wierzyć, że to zrobiłeś. Jeśli to drugie, to trzeba będzie dogrzebać się motywu. Ale zacznijmy od tego, co pamiętasz, od ostatniej rzeczy, jaką pamiętasz. Marino? – Patrzy mu prosto w oczy. – Jeśli nawet ją zgwałciłeś, jakoś sobie z tym poradzimy.

Przyjaciel tylko przygląda się jej z łóżka. Na twarzy ma rumieniec, w oczach łzy i wyraz bólu, a na prawej skroni pulsuje mu żyłka, której od

czasu do czasu dotyka palcem.

– Wiem, że zapewne nie umierasz z niecierpliwości, żeby opowiedzieć mi szczegółowo, co robiłeś wczoraj w nocy, ale bez tego nie będę mogła ci pomóc. Och, i nie jestem pruderyjna – dodaje, mimo że po tym wszystkim, co razem przeszli, taka uwaga może się wydawać śmieszna. Nic jednak nie będzie się przez jakiś czas wydawać śmieszne.

– Nie wiem, czy potrafię. – Marino unika jej wzroku.

– Moja wyobraźnia na pewno jest gorsza od wszystkiego, co mogłeś zrobić – mówi mu Kay spokojnym, profesjonalnym tonem.

– Okej. Fakt, że nie jesteś nowicjuszka.

– Raczej nie – przyznaje doktor Scarpetta. – Jeśli to cię pocieszy, ja też mam to i owo na sumieniu. – Uśmiecha się lekko. – Jakkolwiek trudno byłoby ci to sobie wyobrazić.

Wcale nie jest mu trudno sobie to wyobrazić. Przez wszystkie te lata tylko udawał, że nie myśli o tym, co ona wyprawiała z innymi mężczyznami, a zwłaszcza z Bentonem. Teraz patrzy przez okno obok jej twarzy. Jego pokój jest na trzecim piętrze, więc nie widać ulicy, tylko szare niebo. Marino czuje się w tym prostym wnętrzu bardzo malutki, opanowuje go dziecinna potrzeba schowania się pod koc, zaśnięcia z nadzieją, że gdy się obudzi, okaże się, że nic się nie stało. Chce się obudzić ze świadomością, że jest tu, w Richmondzie, z Kay Scarpettą, pracują nad sprawą, ale nic się nie stało. Zabawne, że tyle razy, budząc się w pokoju hotelowym, marzył, żeby stworzywszy oczy, ujrzeć ją przed sobą, wpatrzoną w niego. I teraz tak jest; Marino usiłuje wymyślić, od czego powinien zacząć, ale dziecinna potrzeba ukrycia prawdy chwyta go znów w kleszcze i odbiera mu głos, który zamiera gdzieś pomiędzy sercem a ustami jak gasnący robaczek świętojański.

Jego myśli o Kay Scarpetcie są mało przyzwoite już od lat; szczerze mówiąc, odkąd się poznali. W fantazjach widzi najbardziej wyuzdany, urozmaicony, niewyobrażalny seks i wcale nie chciałby, żeby ona o tym wiedziała, nigdy nie pozwoli, żeby się dowiedziała, ale też nie przestaje mieć nadziei, że może kiedyś coś się między nimi wydarzy, natomiast jeśli zacznie opowiadać o tym, co pamięta, ona może sobie wyobrazić, jak by to

było z nim. A to przekreśliłoby wszelkie szanse. Niezależnie od tego, jak są małe, zabiłoby je to. Szczegółowe wyznanie wszystkiego, co pamięta, pokazałoby jej, co znaczy być z nim. A to byłby koniec. Zniknęłyby też jego fantazje, więc zostałaby na zawsze nawet bez swoich wizji. Marino rozważa kłamstwo.

– Zaczniemy od tego, jak przyszedłeś do klubu – mówi Kay, nie spuszczać z niego wzroku. – O której to było?

Okej. O klubie może rozmawiać.

– Około siódmej. Spotkałem się tam z Eisem, a potem napatoczył się Browning i zamówiliśmy jedzenie.

– Szczegóły – upomina go Kay. Nie poruszyła się nawet i nie spuszcza z niego wzroku. – Co wtedy jadłeś i co w ogóle zjadłeś w ciągu dnia?

– Myślałem, że zaczynamy od klubu, a nie od moich wcześniejszych posiłków.

– Jadłeś wczoraj śniadanie? – dopytuje się z tym samym uporem i cierpliwością, z jakimi rozmawia z rodzinami ofiar unicestwionych przez przypadek, wyrok boski lub mordercę.

– Wypiłem kawę w pokoju.

– Jakieś przekąski? Lunch?

– Nie.

– Pogadamy o tym przy okazji – mówi surowo jak szefowa. – Zero jedzenia przez cały dzień, a potem o siódmej idziesz do klubu. Piłeś na pusty żołądek?

– Zacząłem od kilku piw. A potem zjadłem stek z sałatką.

– Bez ziemniaków i chleba? Żadnych węglowodanów? Trzymałeś się diety.

– Aha. To chyba jedyne dobre przyzwyczajenie, którego się trzymałem wczoraj w nocy.

Doktor Scarpetta nie odpowiada i Marino wyczuwa, że jej zdaniem to ubogie w węglowodany przyzwyczajenie wcale nie jest takie dobre, ale nie będzie mu robić wykładu na temat odżywiania w chwili, gdy on siedzi na łóżku, nieszczęśliwy z powodu kaca, a poza tym spanikowany i roztrzęsiony, ponieważ mógł popełnić wykroczenie albo też może zostać o to oskarżony – zakładając, że jeszcze się to nie stało. Patrzy na szare niebo za oknem i wyobraża sobie policję richmondzką przeczesującą ulice nieoznakowanym samochodem. Cholera, może nawet Browning we własnej osobie ma już nakaz jego aresztowania?

– A co potem? – pyta Kay.

Marino wyobraża sobie siebie samego na tylnym siedzeniu radiowozu i zastanawia się, czy Browning zakuje go w kajdanki. Szacunek dla kolegi po fachu mógłby skłonić tamtego do rezygnacji z kajdanków i usadzenia dawnego kumpla swobodnie na tylnym siedzeniu, ale Browning może równie dobrze mieć w nosie szacunek i zakuć go. Chyba nawet będzie musiał to zrobić, uznaje detektyw.

– Po siódmej wypiełeś kilka piw, zjadłeś stek i sałatkę – naciska Kay w ten swój łagodny, ale nieznoszący sprzeciwu sposób. – Ile dokładnie było tych piw?

– Chyba cztery.

– Nie chyba. Ile dokładnie?

– Sześć.

– Kufli, butelek, puszek? Wysokich? Zwykłych? Jak dużych, znaczy się.

– Sześć butelek budweisera, rozmiar zwyczajny. To wcale nie tak dużo jak na mnie, swoją drogą. To nie jest problem. Sześć piw to dla mnie jak pół dla ciebie.

– Nie sądzę – odpowiada Kay. – Ale o arytmetyce też porozmawiamy później.

– Nie potrzebuję żadnych wykładów – mruczy Marino, rzucając jej spojrzenie spode łba, a następnie gapiąc się na nią w ponurym milczeniu.

– Sześć piw, stek i sałatka w klubie z Juniusem Eisem i detektywem Browningiem. A kiedy usłyszałeś plotkę, że wracam do Richmondu? Wtedy, kiedy posilałeś się z nimi?

– Ty to naprawdę umiesz dodać dwa do dwóch – odpowiada detektyw opryskliwie.

Eise i Browning siedzieli przy stoliku naprzeciwko niego, płomień świeczki tańczył w czerwonej szklanej kuli, wszyscy trzej popijali piwo. Eise zapytał Marina, co sądzi o doktor Scarpetcie, co o niej naprawdę myśli. Czy ona rzeczywiście jest takim superwspaniałym szefem, jaka jest naprawdę? Jest wielka, ale nie okazuje tego – tak właśnie odpowiedział Marino. Pamięta to dokładnie, pamięta też, jak się poczuł, gdy Eise i Browning zaczęli o niej gadać, o tym, że pewnie dostanie ponowną nominację i wróci do Richmondu. Ona jemu o niczym takim nie mówiła, nawet nie robiła aluzji, więc poczuł się upokorzony i zły. Wtedy właśnie przerzucił się z piwa na burbona.

„Zawsze uważałem, że to świetna babka” – powiedział bezczelnie ten kretyn Eise, a Marino przerzucił się na burbona. „Wygląda całkiem, całkiem – dodał kilka minut później, wskazując wyraźnie dłońmi na piersi i szczerząc zęby. – Nie miałbym nic przeciwko zajrzeniu jej pod fartuch. Ty pracujesz z nią od zawsze, nie? Więc pewnie skoro wiesz się wokół niej kręcisz, nie zauważasz nawet, jak wygląda”. Browning zaś powiedział, że nigdy jej nie widział, ale o niej słyszał, i też się wyszczerzył.

Marino nie wiedział, co powiedzieć, więc wypił duszkiem pierwszą szklaneczkę burbona i zamówił następną. Miał ochotę pobić Eisego za te słowa o dotykaniu Kay. Oczywiście nie zrobił tego. Siedział przy stoliku, pił i usiłował nie myśleć o tym, jak ona wygląda bez fartucha

laboratoryjnego, kiedy wiesz go na krześle albo kołku za drzwiami. Robił, co mógł, żeby odsunąć od siebie wizję Kay zdejmującej żakiet na miejscu zbrodni, odpinającej guziki rękawów bluzki, zdejmującej i wkładającej to wszystko, czego wymaga badanie martwego ciała. Nigdy szczególnie się sobą nie przejmowała, nie pozowała, zachowywała się wręcz tak, jakby była nieświadoma swojego wyglądu, a także wszelkich spojrzeń, gdy odpina guziki, zdejmuje, sięga i porusza się, ponieważ ma robotę, a zmarłym jest obojętne, co oglądają. Są martwi. Tylko że Marino nie jest martwy. Ale może ona uważa, że jest.

– Powtarzam: nie planuję powrotu do Richmondu – mówi teraz Kay z fotela. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami, brzeg granatowych spodni ma umazany, a buty tak ubłocone, że trudno się domyślić, iż jeszcze rano były lśniąco czarne. – A w ogóle chyba nie myślisz, że gdybym coś takiego planowała, to nie powiedziałabym ci o tym, co?

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Wiadomo.

– Ja tu nie wracam. Zwłaszcza teraz.

Rozlega się pukanie do drzwi. Serce skacze Marinowi do gardła na myśl o tym, że to pewnie policja, więzienie i sąd. Zamyka oczy z uczuciem ulgi, gdy zza drzwi dochodzi głos wołający „obsługa hotelowa”.

– Zajmę się tym – mówi Kay.

Marino siedzi na łóżku bez ruchu, śledząc wzrokiem, jak przechodzi przez mały pokój i otwiera drzwi. Gdyby była sama, gdyby on tu nie siedział, zapytałaby zapewne kto to i popatrzyła przez wizjer. Ale nie musi się martwić, ponieważ Marino tu jest, a w kaburze na kostce ma półautomatycznego kolta – nie żeby zamierzał do kogokolwiek strzelać. Nie. Za to bardzo chętnie położyłby komuś porządnie. Najchętniej waliłby

w tej chwili wielkimi pięściami w czyjaś szczękę i splot słoneczny, jak w bokserkich czasach.

– Jak się państwo miewają? – pyta trądzikowaty młodzieniec w uniformie hotelowym, wjeżdżając wózkiem do pokoju.

– Dziękuję, w porządku – odpowiada doktor Scarpetta, sięgając do kieszeni spodni i wyciągając stamtąd elegancko złożony banknot dziesięciodolarowy. – Proszę tu postawić. Dziękuję. – Podaje mu złożony banknot.

– Dziękuję pani. Życzę miłego dnia. – Chłopak wychodzi, zamykając za sobą cicho drzwi.

Marino leży bez ruchu, tylko jego oczy śledzą działania szefowej. Przygląda się, jak zdejmuje plastikową folię z tostów i miski z owsianką. Jak otwiera pojemniczek z masłem, miesza je z owsianką i dodaje soli. Następnie otwiera kolejne masło i smaruje nim grzanki, po czym nalewa dwie filiżanki herbaty. Na wózku nie ma cukru, ani grama cukru.

– Masz – mówi, stawiając na stoliku obok łóżka miskę i filiżankę mocnej herbaty. – Jedz. – Po chwili przynosi mu również tosta. – Im więcej zjesz, tym lepiej. Może jak się lepiej poczujesz, twoja pamięć też cudownie wróci do formy.

Detektyw czuje, jak na widok owsianki przewracają mu się flaki, ale posłusznie bierze miskę i powoli zanurza w niej łyżkę, a widok łyżki zanurzającej się w gęstej owsiance przywodzi mu na myśl doktor Scarpettę zanurzającą szpatułkę w błocie na chodniku, a następnie przypomina sobie, co jeszcze wygląda jak owsianka, i zalewa go kolejna fala obrzydzenia i wyrzutów sumienia. Gdybyż przynajmniej był na to zbyt pijany. Widok owsianki utwierdza go w przekonaniu, że zrobił to ostatniej nocy, że skończył zaczęłą robotę.

– Nie zjem tego – mówi.

– Zjesz – odpowiada Kay, wracając na swój fotel, gdzie zasiada niczym sędzia: wyprostowana i wpatrzona w niego.

Marino próbuje owsianki, która ku jego zaskoczeniu okazuje się całkiem niezła. I całkiem dobrze wchodzi. Nawet nie zauważa, kiedy miska jest pusta, a on zabiera się do grzanki – cały czas czując na sobie spojrzenie szefowej. Kay milczy, a on doskonale wie, dlaczego wpatruje się w niego bez słowa. Nie powiedział jej jeszcze prawdy. Pomija szczegóły, które zabiją fantazje. Kiedy ona się dowie, nie będzie miał szans – grzanka nagle zostaje mu w gardle, jakby niespodziewanie wyschła.

– Już lepiej? Napij się herbaty – komenderuje doktor Scarpetta, wyglądając zupełnie jak sędzia w ciemnym stroju, wyprostowana w fotelu pod szarym oknem. – Zjedz resztę, grzanki i wypij przynajmniej filiżankę herbaty. Jesteś głodny i odwodniony. Mam advil.

– Aha, advil się przyda – mówi Marino, przeżuując bułkę.

Ona sięga do nylonowej torby i wyciąga małą, grzechoczącą buteleczkę lekarstwa. Detektyw żuje bułkę i popija herbatą, czując nagle wielki głód, i patrzy, jak Kay znów idzie do niego, do miejsca, gdzie pólży oparty o poduszki, Bez problemu zdejmuje wieczko z zabezpieczeniem przed dziećmi, albowiem nie ma takich zabezpieczeń, z którymi by sobie nie poradziła. Wytrząsa ze środka prosto na jego dłoń dwie tabletki. Jej palce są zręczne i mocne, ale w porównaniu z jego wielkimi łapami wydają się malutkie. Dotykają bardzo lekko jego dłoni i ten dotyk jest dla niego przyjemniejszy niż niemal wszystko, czego kiedykolwiek zaznał w życiu.

– Dziękuję – mówi, a ona wraca na fotel.

Jeśli zajdzie potrzeba, będzie tam siedziała i przez miesiąc, myśli Marino. Może powinien pozwolić jej tam siedzieć przez miesiąc. Nigdzie nie pójdzie, dopóki jej nie pozwoli. Wolałby jednak, żeby przestała na niego patrzeć tym wzrokiem.

- Jak tam wspomnienia? – odzywa się Kay.
- Część się całkiem zatarła, wiesz. Zdarza się – odpowiada Marino, opróżniając filiżankę i upewniając się, że tabletki nie utknęły mu w gardle.
- Pewnych rzeczy nigdy sobie nie przypominamy – zgadza się z nim. – Ale niektóre nigdy się całkiem nie zagubiły. O innych po prostu nie wiemy, jak mówić. Piłeś z Eisem i Browningiem, a co dalej? O której mniej więcej przerzuciłeś się na burbona?
- Wpół do dziewiątej, dziewiątej? Zadzwoiła komórka i to była Suzie. Była zdołowana i powiedziała, że chce ze mną porozmawiać, zapytała, czy nie wpadłbym do niej do domu. – Robi przerwę, czekając na reakcję Kay. Nie musi mówić na głos. Wystarczy, że pomyśli.
- Mów dalej.
- Wiem, co sobie myślisz. Myślisz, że nie powinienem był tam jechać po kilku głębszych.
- Nie masz pojęcia, o czym myślę – odpowiada ona z fotela.
- Czuję się nieźle.
- Sprecyzuj to „kilku”.
- Piwo, kilka szklaneczek burbona.
- Kalka?
- Nie więcej niż trzy.
- Sześć piw to sto osiemdziesiąt gramów alkoholu. Trzy burbony to kolejne sto dwadzieścia lub sto pięćdziesiąt gramów, w zależności od tego, jak zakumplowany jesteś z barmanem – liczy ona. – Powiedzmy, że wszystko to w ciągu trzech godzin. Wychodzi jakieś trzysta gramów, zakładając oszczędność barmana. Powiedzmy, że metabolizujesz około trzydziestu gramów na godzinę, taka jest norma. Zostaje ci ponad dwieście gramów, gdy wychodzisz z klubu.
- Cholera. Po co ta cała arytmetyka? Czuję się świetnie, powtarzam ci.

– Wiem, że masz mocną głowę. Ale z prawnego punktu widzenia byłeś pod wpływem, ba, pijany – mówi teraz jak lekarz sądowy i prawnik w jednej osobie. – Wedle moich obliczeń miałeś powyżej promila. Zakładam jednak, że dotarłeś do niej do domu bez przeszkód? Około której?

– Jakiejś dziesiątej trzydzieści. Nie patrzyłem co minutę na zegarek. – Czuje się zdołowany i pogwałcony, leżąc tak na poduszkach. To, co zdarzyło się potem, ciąży ciemnością na jego duszy, a on nie ma ochoty zanurzać się ponownie w tę ciemność.

– Słucham – ponagla go doktor Scarpetta. – Jak się czujesz? Chcesz jeszcze herbaty? Może coś do zjedzenia?

Marino potrząsa głową i zastanawia się, czy tabletki jednak nie utknęły mu w gardle, gdzie teraz wypalają dziury. Boli go wszystko, co możliwe, więc trudno będzie wykryć dwie dodatkowe dziury, ale on ich po prostu nie chce mieć.

– Jak tam ból głowy?

– Byłaś kiedyś u psychiatry? – pyta nagle. – Bo tak właśnie się czuję. Jakbym leżał na kozetce u psychiatry. Ale ponieważ nigdy nie byłem u psychiatry, to wcale nie wiem, czy rzeczywiście tam tak jest. Może ty wiesz? – Nie ma pojęcia, dlaczego to powiedział, słowa po prostu popłynęły. Patrzy na nią bezradny, zły i zdeterminowany, że zrobi wszystko, byle nie zanurzyć się na powrót w tej rozkołysanej ciemności.

– Nie rozmawiamy o mnie – odpowiada Kay. – Nie jestem psychiatrą, o czym ty wiesz najlepiej. Nie chodzi nam o to, dlaczego to zrobiłeś lub też nie zrobiłeś, ale o to, co zrobiłeś. „Co” jest odpowiedzią na pytanie, czy mamy kłopot, czy też nie. Psychiatrzy nie przejmują się znanym „co”.

– Wiem. A więc co. I tu jest cały problem. Bo ja nie wiem co, szefowo. W tym właśnie sęk – kłamie Marino.

– Cofnijmy się nieco. Przyjeżdżasz do niej do domu. Jak? Nie miałeś pożyczonego samochodu.

– Taksówką.

– Masz może rachunek?

– Może jest w kieszeni płaszcz.

– Byłoby dobrze, gdyby był.

– Powinien tam być.

– Sprawdzimy później. Co dalej?

– Wsiadam i podchodzę do drzwi. Dzwonię, ona otwiera i wpuszcza mnie do środka. – Rozkołysana ciemność jest tuż przed nim, niczym burza, która ma właśnie rozpętać się nad jego głową. Detektyw wciąga głęboko powietrze, głowa mu pęka.

– Wszystko w porządku, Marino – mówi spokojnie Kay. – Opowiedz mi o tym. Zobaczmy, co to było. Co dokładnie. Tylko to chcemy zrobić.

– Ona weszła... miała wtedy na nogach wysokie buty, jak spadochroniarz, takie czarne skórzane buty z metalowymi czubkami. Wojskowe. I podkoszulek w panterkę. – Ciemność połyka go, pożera go w całości, pochłania więcej, niż się spodziewał. – Nic poza tym, tylko tyle, więc byłem nieco zaskoczony, bo nie wiedziałem, dlaczego tak się ubrała. Niczego sobie nie pomyślałem, nic z tych rzeczy, które pewnie teraz sobie wyobrażasz. A potem zamknęła drzwi i położyła mi ręce.

– Gdzie dokładnie położyła ci ręce?

– Powiedziała, że chce mnie od chwili, gdy weszliśmy do domu wczoraj w południe – mówi, upiększając tylko minimalnie, ponieważ cokolwiek naprawdę powiedziała, on odebrał takie przesłanie. Ona go pragnie. Pożądała go od pierwszego wejrzenia, kiedy razem z doktor Scarpettą pojawił się w tym domu, żeby wypytać o Gilly.

– Powiedziałaś, że położyła ci ręce. Gdzie? Jakiej części twojego ciała dotknęła?

– Wsunęła mi ręce do kieszeni.

– Przednich czy tylnych?

– Przednich. – Marino spuszcza wzrok i mruga przez chwilę, przyglądając się głębokim przednim kieszeniom czarnych bojówek.

– Miałaś te same spodnie co teraz? – pyta Kay, nadal nie spuszczać z niego oczu.

– Tak. Te same. Nie miałem za bardzo kiedy się przebrać. Nie miałem kiedy wrócić dziś do hotelu. Wziąłem taksówkę i pojechałem prosto do kostnicy.

– Dojdziemy do tego. Co było po tym, jak wsadziła ci ręce do kieszeni?

– Po co ci to wszystko?

– Wiesz, po co. Doskonale wiesz, po co – mówi doktor Scarpetta tym samym spokojnym, zrównoważonym głosem, nie przestając wpatrywać się w niego.

Pamiętał, jak Suzie wsunęła mu ręce głęboko do kieszeni i pociągnęła go w głąb domu, śmiejąc się i powtarzając, jaki jest przystojny, i zatrzasnęła drzwi kopniakiem. W myślach Marina kłębi się mgła, taka sama jak w światłach taksówki, która wiozła go do domu Suzie, a on wiedział, że podąża w nieznaną, a mimo to brnął dalej, a potem ona trzymała ręce w jego kieszeniach i ciągnęła go do salonu, śmiejąc się, ubrana wyłącznie w panterkowy podkoszulek i glany. Przytuliła się do niego, a on wiedział, że go wyczuwa, tak jak on czuł jej miękkie choć napięte ciało przyciśnięte do niego.

– Przyniosła z kuchni butelkę burbona – ciągnie. Słyszy własny głos opowiadający to wszystko, ale nie widzi już wnętrza hotelowego. Opowieść wprowadziła go w rodzaj transu. – Nalała nam po drinku, więc powiedziałem,

że nie powinienem już więcej pić. A może nie powiedziałem. Nie pamiętam. Droczyła się ze mną. Co mam ci mówić? Droczyła się ze mną. Zapytałem, o co chodzi z tą panterką, a ona powiedziała, że Frank to lubił. Mundury. Przebierał ją w ten sposób i zabawiali się.

- Prosił ją o przebieranki i zabawy w obecności Gilly?
- Co?
- Wrócimy do Gilly później. W co się bawili Frank i Suzie?
- W różne gry.
- Chciała, żebyś się z nią pobawił?

W pokoju robi się ciemno, detektyw czuje tę ciemność, ale nie widzi, co zrobił, ponieważ to jest nie do zniesienia, a gdy usiłuje mówić prawdę, może myśleć wyłącznie o tym, że fantazje przepadną na zawsze. Ona będzie wiedzieć, jaki jest, i nic nigdy się nie wydarzy, nigdy, więc nawet nadzieja nie będzie miała sensu, ponieważ ona będzie wiedzieć, jak to jest być z nim.

- To ważne, Marino – mówi łagodnie. – Opowiedz mi o tej grze.

Marino przełyka ślinę i czuje piekące tabletki głęboko w gardle.

Napiłby się jeszcze herbaty, ale nie jest w stanie się ruszyć, a nie wyobraża sobie, że mógłby poprosić Kay o herbatę lub cokolwiek innego. Ona siedzi w fotelu wyprostowana, ale nienapięta; mocne, zwinne dłonie trzyma na podpórkach. Jest wyprostowana, ale rozluźniona, gdy tak siedzi w tych swoich ubłoconych spodniach. Skupia się na słuchaniu.

– Poprosiła, żebym ją gonił – zaczyna Marino. – A ja piłem. Zapytałem ją, co rozumie przez gonić. Powiedziała, że mam pójść do sypialni, do jej sypialni, schować się za drzwiami i odliczać. Tłumaczyła, że mam zaczekać pięć minut, dokładnie pięć minut, a potem zacząć jej szukać, jakbym... jakbym był mordercą. Powiedziałem jej, że to nie w porządku. Nie, wcale

jej tego nie powiedziałem. – Wciąga znów głęboko powietrze. –
Prawdopodobnie wcale jej tego nie powiedziałem, bo ona na mnie działała.

– O której to mogło być?

– Byłem tam już może z godzinę.

– Włożyła ci ręce do kieszeni mniej więcej o wpół do jedenastej, a
potem minęła godzina? I nic się nie wydarzyło w ciągu tej godziny?

– Piliśmy. W salonie, na kanapie. – Nie patrzy na doktor Scarpettę.
Nigdy już na nią nie spojrzę.

– Światło było zapalone? Zasłony zaciągnięte?

– Zapaliła w kominku. Światło było zgaszone. Nie pamiętam zasłon. –
Myśli przez chwilę. – Były zaciągnięte.

– Co robiliście na kanapie?

– Rozmawialiśmy. I poznawaliśmy się, jak sądzę.

– Nie sądz. Poza tym nie mam pojęcia, co to znaczy. Co masz na myśli,
mówiąc, żeście się poznawali? – pyta Kay. – Pocałunki? Pieszczoty?
Zdjęliście ubrania? Odbyliście stosunek? Seks oralny?

Twarz Marina staje się purpurowa.

– Nie. To znaczy te pierwsze rzeczy tak. Zwłaszcza się całowaliśmy.
Wiesz, wieczorek zapoznawczy. Jak to zwykle bywa. Poznawaliśmy się
wzajemnie. Siedzieliśmy na kanapie i rozmawialiśmy o grze. – Poci się.
Wie, że doktor Scarpetta widzi dokładnie jego rumieniec, więc nie podnosi
na nią wzroku.

Lampa była zgaszona, a światło z kominka tańczyło na jej ciele, na
bladej skórze Suzie, a kiedy wzięła go w ramiona, poczuł ból i podniecenie,
a potem tylko ból. Powiedział jej, żeby była ostrożna, bo to boli, ale
roześmiała się i odrzekła, że lubi to na ostro, bardzo ostro, i zaproponowała,
żeby ją ugryzł, ale odmówił, nie chciał jej gryźć, w każdym razie nie
mocno. Spodoba ci się, obiecywała, spodobają ci się mocne ugryzienia. Nie

wiesz, co tracisz, jeśli nigdy nie spróbowałeś na ostro, a przez cały czas, gdy to mówiła, w jej ciele odbijały się płomienie, więc on trzymał język w jej ustach i starał się ją zadowolić, podczas gdy sam skrzyżował nogi i usiłował tak wymanewrować, żeby nie bolało. Nie bądź taki chciałbym a boję się, powtarzała, usiłując przygwoździć go i rozpiąć mu rozporek, ale udało mu się ją powstrzymać. Myślał o jej białych zębach błyskających w świetle kominka i zastanawiał się, jak to będzie, kiedy zatopi w jego ciele te kły.

– Gra zaczęła się więc na kanapie? – pyta Kay z odległego fotela.

– Tam o niej rozmawialiśmy. Potem wstałem, a Suzanna zaprowadziła mnie do sypialni i kazała poczekać za drzwiami pięć minut. Już to mówiłem.

– Piłeś dalej?

– Chyba nalała mi jeszcze drinka.

– Nie chybaj. Dużego drinka? Małego? Ile wypięś?

– Ta kobieta nie zna słowa mało. Wielkie drinki. Co najmniej trzy do chwili, gdy kazała mi czekać za drzwiami. Od teraz naprawdę wszystko mi się miesza – dodaje. – Jak zaczynamy grę, wszystko się zaciera. Może to i dobrze.

– Niedobrze. Postaraj się przypomnieć sobie wszystko. Musimy wiedzieć, co się stało. Co. Nie dlaczego. Nie obchodzi mnie dlaczego, Marino. Zaufaj mi. Nie zaskoczysz mnie niczym, czego bym już w życiu nie słyszała. Albo nie widziała. Naprawdę trudno mnie zaszokować.

– Tak, szefowo. Oczywiście, że trudno. Może jednak mi się uda. Pewnie na to nie liczyłem, ale się uda. Pamiętam, że patrzyłem na zegarek i miałem trudności z odczytaniem godziny. Mój wzrok pamięta lepsze czasy, a poza tym wszystko mi się rozmazywało, no i byłem napalony, naprawdę

napalony i to w paskudny sposób. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego się na to zgodziłem.

Pocił się niemiłosiernie za tymi drzwiami, usiłując odczytać godzinę, a potem zaczął liczyć w myślach, liczyć do sześćdziesięciu, ale się pogubił i zaczynał od nowa, aż wreszcie uznał, że na pewno minęło pięć minut. Jego podniecenie było inne, niż zazwyczaj w obecności kobiet – nigdy przy żadnej z nich nie czuł czegoś takiego. Wyszedł z za drzwi i zobaczył, że cały dom tonie w ciemnościach. Nie widział własnych dłoni, dopóki nie unióś ich wysoko do twarzy, więc wyczuł rękami ścianę i uświadomił sobie, że Suzie zapewne go słyszy, i właśnie w tej chwili uświadomił sobie w pijackim zamroczeniu, że serce mu łomocze, a oddech jest głośny z podniecenia i lęku. Nie chciał, żeby Kay dowiedziała się o jego strachu. Sięgnął do kostki i stracił równowagę, wyładował na podłodze korytarza, usiłując znaleźć pistolet, ale nie było go w kaburze. Nie wie, jak długo tam siedział. Możliwe, że na chwilę przysnął.

Kiedy się obudził, nie miał broni, a serce mu waliło, więc siedział bez ruchu na drewnianej podłodze, oddychając płytko, z oczami zalanymi potem, nasłuchując, gdzie ten sukinsyn mógłby być. Ciemność była wręcz gęsta i lepka, otaczała go niczym czarne sukno, kiedy usiłował wstać tak, by nie narobić hałasu i nie zdradzić swojego ukrycia. Drań gdzieś tu był, a on nie miał broni. Rozłożywszy szeroko ręce, zaczął posuwać się korytarzem, dotykając niekiedy ścian, nasłuchując, gotów do ciosu, wiedząc, że dostanie kulkę, jeśli nie zdoła zaskoczyć tamtego.

Poruszał się powoli jak kot, skupiając myśli na przeciwniku, usiłując odgadnąć, skąd się wziął w tym domu, co to w ogóle jest za dom, jakiego łobuza tu ściga i kto go kryje. Gdzie, do cholery, podziewają się jego partnerzy? O Boże, mogli przecież dostać. Może tylko on przeżył i teraz też padnie, bo nie ma broni ani krótkofalówki, a na dodatek nie wie, gdzie się

znajduje. A potem coś go uderzyło. I wpadł bez przytomności w rozkołysaną ciemność, gorącą ciemność, która przemknęła po nim, wysysając powietrze. Poczuł ból, piekący ból, gdy ciemność przepęzła nad nim i chwyciła go, wydając przy tym okropne, mlaskające dźwięki.

– Nie wiem, co się stało. – Detektyw słyszy własny głos i dziwi się, że brzmi on normalnie, skoro wszystko oszalało. – Nie mam pojęcia. Obudziłem się w jej łóżku.

– Ubrany?

– Nie.

– Gdzie były twoje ciuchy i rzeczy?

– Na krześle.

– Na krześle? Poskładane na krześle?

– Aha, dość porządnie poskładane. Moje ubrania, a na wierzchu pistolet. Siadłem na łóżku, ale nikogo tam nie było.

– A jej strona łóżka? Wyglądało na to, że ktoś tam spał?

– Pościel była pozwijana i w nieładzie, całkiem w nieładzie. Ale nie było nikogo. Rozglądałem się, nie mając pojęcia, gdzie jestem, a potem przypomniałem sobie, że przyjechałem taksówką do tego domu, a potem przysłała Suzie, wiesz, wieczorem. Rozejrzałem się i znalazłem na szafce koło mojej poduszki szklaneczkę burbona i ręcznik. Na ręczniku była krew, więc się przeraziłem. Usiłowałem wstać, ale nie mogłem. Po prostu siedziałem. Nie byłem w stanie się podnieść.

Uświadamia sobie, że jego filiżanka jest pełna, i z przerażeniem stwierdza, że nie pamięta, kiedy Kay wstała z fotela, żeby ją napełnić, a może on sam to zrobił, w co wątpi. Ma wrażenie, że nie zmienił pozycji na łóżku, po czym zauważa zegar i widzi, że minęły już trzy godziny, odkąd przyszli oboje do jego pokoju hotelowego i zaczęli rozmowę.

– Myślisz, że mogła cię czymś odurzyć? – pyta go doktor Scarpetta. – Niestety, obawiam się, że badania już nic nie wykażą. Za dużo czasu minęło. Choć to zależy od narkotyku.

– Och, rewelacja. Jeśli pójdę na badania w sprawie narkotyków, mogę równie dobrze sam wezwać policję, zakładając, że ona jeszcze tego nie zrobiła.

– Powiedz coś więcej o tym zakrwawionym ręczniku.

– Nie mam pojęcia, czyja to była krew. Może moja. Bolały mnie usta. – Dotyka swoich warg. – Bolały jak cholera. Myślę, że ją to podnieca, sprawianie bólu, ale mogę tylko powiedzieć, że... Okej, nie wiem, co zrobiłem, ponieważ jej nie widziałem. Była w łazience, a kiedy zawołałem ją po imieniu, żeby przekonać się, gdzie jest, zaczęła na mnie krzyczeć, wrzeszczeć, że mam się wynosić i że jestem... No wiesz, te wszystkie wyzwiska.

– Oczywiście nie przyszło ci do głowy, żeby zabrać ten zakrwawiony ręcznik?

– Nie wiem, jak udało mi się wezwać taksówkę, żeby się stamtąd wydostać. Prawdę mówiąc, nie pamiętam, żebym dzwonił po taksówkę. Ale widać, że to zrobiłem. Nie, cholera, nie wziąłem tego ręcznika.

– Przyjechałeś prosto do kostnicy. – Kay Scarpetta marszczy nieznacznie czoło, jakby coś jej tu nie pasowało.

– Zatrzymałem się w barze na kawę. A poza tym kazałem taksówkarzowi stanąć kilka ulic wcześniej. Chciałem się przejść, miałem nadzieję, że nieco ochłone. Trochę pomogło. Poczulem się znów przynajmniej w połowie człowiekiem, a potem poszedłem do biura i niech mnie – ona tam była.

– Odsłuchałeś pocztę głosową, zanim pojechałeś do biura?

– Możliwe.

– Inaczej nie wiedziałbyś o naradzie.

– Nie. Wiedziałem o naradzie – tłumaczy Marino. – Eise wspomniał mi w klubie, że przesłał Marcusowi pewne informacje. Emailem, tak powiedział. – Usiłuje przypomnieć sobie szczegóły. – O, już wiem. Marcus zadzwonił do niego, jak tylko odebrał wiadomość, i powiedział, że będzie musiał zwołać naradę na rano, i zapowiedział Eisemu, że ma koniecznie być w biurze, na wypadek gdyby miał też przyjść, żeby wyjaśnić szczegóły.

– A więc już wczoraj wieczorem wiedziałeś o zebraniu?

– Tak, wczoraj wieczorem po raz pierwszy o tym usłyszałem, a Eise powiedział coś, z czego wynikało, że powinienem przyjść, więc wiedziałem, że mam się zjawić.

– Wiedziałeś, że zebranie ma być o wpół do dziesiątej?

– Najwyraźniej. Wybacz, ale jestem nieco niekumaty. Ale wiedziałem o naradzie. – Spogląda na nią i usiłuje zgadnąć, co się dzieje w jej głowie. – O co chodzi? Czegoś się tak czepiła tego zebrania?

– Bo ja się o nim dowiedziałam dziś o ósmej trzydzieści.

– Facet strzela ci pod nogi i patrzy, jak zatańczysz! – Marino czuje, że nienawidzi doktora Marcusa. – Wsiadajmy w samolot i wracajmy na Florydę. Pieprzyć go.

– Kiedy spotkałeś dziś w biurze panią Paulsson, odezwała się do ciebie?

– Rzuciła mi spojrzenie i poszła dalej. Jakby mnie nie znała. Nic z tego nie rozumiem. Wiem, że stało się coś niedobrego, boję się jak cholera, że coś nabroilem i teraz oberwę. Po tym wszystkim, co nabroilem, wreszcie mi się dostanie. Tak właśnie jest.

Kay powoli wstaje z fotela; wygląda na zmęczoną, ale jest czujna, a w jej oczach widać zaniepokojenie, ale i namysł, ponieważ zapewne umie wyciągnąć z tego wszystkiego wnioski, których on za diabła nie widzi. Jest

zamyślona, gdy podchodzi najpierw do okna, a potem do wózka ze śniadaniem, gdzie nalewa sobie resztkę herbaty do filiżanki.

– Ona cię biła i gryzła, tak? – pyta, stając obok łóżka i spoglądając na niego z góry. – Pokaż, co ci zrobiła.

– O nie! Absolutnie odmawiam – oświadcza Marino tonem dziesięciolatka. – Nie mogę. Nie ma mowy.

– Chcesz, żebym ci pomogła, czy nie? Myślisz, że masz coś, czego jeszcze nie widziałam?

On zakrywa twarz dłońmi.

– Nie mogę.

– Możesz za to wezwać policję, a oni zawiozą cię na posterunek i sfotografują twoje obrażenia. I będzie sprawa. Chyba że właśnie tego chcesz. Niezły plan, jeśli założymy, że ona już wezwała policję. Ale mam wrażenie, że tego nie zrobiła.

Marino zdejmuje dłonie z twarzy.

– Dlaczego?

– Dlaczego tak podejrzewam? To proste. Ludzie wiedzą, że tu jesteśmy. Detektyw Browning wie, że zatrzymałeś się w tym hotelu. Ma twój numer telefonu. Więc czemu jeszcze nikt cię nie aresztował? Myślisz, że nie zjawiliby się już, gdyby matka Gilly Paulsson zadzwoniła na posterunek i zgłosiła gwałt? No i czemu nie podniosła krzyku, jak zobaczyła cię w biurze? Właśnie ją zgwałciłeś, a ona ani nie robi sceny, ani nie wzywa stamtąd policji?

– Ja na pewno nie pójdę na policję.

– Czyli zostaję ci tylko ja. – Doktor Scarpetta podchodzi do fotela i podnosi torbę z zestawem kryminalistycznym. Otwiera ją i wyciąga aparat cyfrowy.

– A niech to! – jęczy Marino, gapiąc się na aparat, jakby to był wycelowany w niego pistolet.

– Wygląda na to, że to ty jesteś ofiarą – mówi Kay. – Wygląda też na to, że ona chciała, żebyś myślał, że zrobiłeś jej krzywdę. Dlaczego?

– Zastrzel mnie, ale nie wiem. Nic nie wymyślę.

– Masz kaca, ale nie jesteś idiotą, Marino.

Spogląda na nią. Spogląda na aparat. I jeszcze raz na doktor Scarpette, stojącą na środku pokoju, w ciemnym kostiumie poplamionym błotem.

– Jesteśmy tu po to, żeby wyjaśnić sprawę śmierci jej córki, Marino. Ta kobieta najwyraźniej ma chrapkę na jakieś odszkodowanie, pieniądze, sławę czy cokolwiek innego, a ja zamierzam dowiedzieć się, co to jest. Co więcej: dowiem się. Ściągaj koszulę, ściągaj spodnie i w ogóle wszystko, co musisz ściągnąć, żeby pokazać mi obrażenia, których doznałeś od tej baby w ramach jej chorych gier.

– Co ty sobie teraz o mnie pomyślisz? – mówi Marino, ściągając przez głowę czarne polo: delikatnie, żeby nie urazić materiałem otarć, ugryzień i śladów uszczypnięć pokrywających całą jego klatkę piersiową.

– O Boże. Nie ruszaj się. A niech cię, czemuś mi tego wcześniej nie pokazał? Trzeba to zdezynfekować, inaczej wda się zakażenie. I ty się boisz, że ona wezwie policję? Zwariowałeś? – Cała ta tyrada towarzyszy robieniu zdjęć, zbliżeń każdej ranki i każdego zadrapania.

– Sęk w tym, że nie wiem, co ja jej zrobiłem – mówi Marino nieco spokojniejszym tonem, uświadomiwszy sobie, że badanie przez samą doktor Scarpette może nie być aż takim złym pomysłem.

– Jeśli zrobiłeś jej choć połowę tego, to powinny cię koszmarnie boleć zęby.

Detektyw sprawdza dokładnie zęby, ale nic nie czuje: te same co zawsze i tak samo wrażliwe. Na szczęście nie bolą.

– Co z plecami? – pyta Kay, stojąc wciąż nad nim.

– Nie bolą.

– Pochyl się. Muszę zobaczyć.

Marino pochyla się i czuje, jak ona delikatnie odsuwa na bok poduszki. Czuje ciepłe palce między łopatkami, dłonie dotykające lekko jego skóry i popychające go bardziej do przodu, żeby mogła dokładnie obejrzeć ślady, i usiłuje przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek już dotykała jego nagich pleców. Nie pamięta.

– Co z genitaliami? – pyta Kay jak gdyby nigdy nic. A kiedy on nie odpowiada, ciągnie: – Słuchaj, czy ona zraniła cię w genitalia? Jest tam coś, co powinnam sfotografować, nie mówiąc już o opatrzeniu, czy też będziemy udawać, że jakimś cudem nie wiem, że masz męskie narządy, podobnie jak połowa ludzkości? No cóż, wygląda na to, że zraniła cię tam, bo inaczej po prostu powiedziałbyś nie. Zgadza się?

– Zgadza się – mruczy Marino, zasłaniając krocze rękami. – Tak, boli mnie tam, wystarczy? Chyba masz już dość materiałów, żeby udowodnić swoją tezę, udowodnić, że to ona mnie poturbowała, niezależnie od tego, co ja jej zrobiłem, zakładając, że coś zrobiłem.

Kay siada na brzegu łóżka nie dalej niż pół metra od niego i obrzuca go spojrzeniem.

– To może chociaż opiszesz mi to słowami i zdecyduję, czy chcę, żebyś ściągał gacie.

– Pogryzła mnie. Wszędzie. I mam siniaki.

– Jestem lekarzem – mówi spokojnie jego szefowa.

– Wiem o tym. Ale nie moim lekarzem.

– To akurat się zmieni, jeśli umrzesz. Gdyby cię zabiła, to jak myślisz, kto chciałby cię oglądać i wszystko wyjaśniać? Ale ty żyjesz, co mnie niezmiernie cieszy, niemniej zostałeś napadnięty i masz podobne obrażenia,

jakie miałbyś, gdybyś nie żył. I to akurat brzmi humorystycznie, nawet dla mnie i nawet w tej chwili. Pozwolisz mi więc rzucić okiem i zdecydować, czy potrzebujesz opatrunku, a w razie czego zrobić zdjęcia.

– Jakiego opatrunku?

– Zapewne nie masz tam nic, czego nie wyleczyłaby maść z antybiotykiem. Kupię w aptece.

Marino usiłuje sobie wyobrazić, co będzie, jak ona go zobaczy. Nigdy go nie widziała. Nie wie, co on tam dokładnie ma, a to może nie być jakoś bardzo ponad przeciętną ani poniżej, i może sobie być dość normalny, ale nie wie, czego się spodziewać, ponieważ nie ma pojęcia, co ona lubi albo do czego jest przyzwyczajona. A zatem zdejmowanie gaci jest nierozsądne. Potem jednak wraca myśl o jeździe na tylnym siedzeniu nieoznakowanego wozu policyjnego, zdjęciach w zamkniętym gabinecie i procesie – detektyw rozpina więc guzik i rozporek spodni.

– Jeśli będziesz się śmiała, znienawidzę cię na całe życie – mówi. Twarz mu płonie, całe ciało pokrywa się potem, a spocona skóra piecze.

– O ty biedaku – mówi doktor Scarpetta. – Co za rąbnięta suka!

Pada zimny, zacinający deszcz, kiedy Kay zjeżdża na chodnik i parkuje pod domem Suzanny Paulsson. Przez kilka minut siedzi, nie wyłączając silnika ani wycieraczek, przyglądając się podjazdowi z nierównych kostek ceglanych prowadzącemu na pochyły ganek i wyobraża sobie drogę, jaką zeszłej nocy przebył Marino. Nie musi sobie wiele wyobrazać.

Powiedział jej więcej, niż mu się wydaje. To, co widziała, było gorsze, niż myślał. Może się cieszy, że nie wyjawił jej wszystkich szczegółów, ale podał ich wystarczająco dużo. Kay wyłącza wycieraczki i obserwuje krople deszczu rozpryskujące się na szybie i spływające w dół, potem zaś zaczyna lać tak bardzo, że słychać już tylko jednostajny chlupot, a woda na szybie wygląda jak pofalowany lód. Suzanna Paulsson jest w domu. Jej auto stoi przy chodniku, w domu świeci się światło. Nie wyszła nigdzie w taką pogodę.

W wyposażeniu wynajętego przez doktor Scarpettę samochodu nie ma parasola, a Kay nie wzięła kapelusza. Wysiada z samochodu i szum deszczu nagle staje się głośniejszy, a krople uderzają ją w twarz, gdy biegnie po śliskich ceglach prowadzących do domu martwej dziewczynki i jej seksualnie zboczonej matki. Może „seksualnie zboczona” to zbyt mocne słowa, myśli Kay, ale jest znacznie bardziej wściekła, niż przypuszcza Marino. On może nawet nie wiedzieć, że jest zła, ale jest wściekła, więc

pani Paulsson przekona się, co to znaczy rozwścieczyć doktor Scarpettę. Uderza mocno kołatką-ananasem i zastanawia się, co zrobić, jeśli ta kobieta nie otworzy jej drzwi, jeśli uda, że jej nie ma, tak samo jak Fielding. Stuka raz jeszcze ananasem, dłużej i mocniej.

W zapadającym szybko z powodu burzy zmierzchu, wyglądającym jak atramentowa chmura, Kay widzi parę ze swojego oddechu. Stoi na ganku, w strumieniach wody, uderzając raz za razem kołatką. Będę tu po prostu stała, myśli, nie wywiniesz się z tego, nawet nie myśl, że zrezygnuję i pójdę sobie. Z kieszeni płaszcza wyjmuje komórkę i kartkę, żeby sprawdzić numer telefonu, który zapisała wczoraj, kiedy była dla tej kobiety miła i wyrozumiała, ponieważ jej współczuła. Wybiera numer i słyszy dzwonek telefonu wewnątrz domu, więc uderza ananasem jeszcze mocniej niż poprzednio. Jeśli rozwali kołatkę, to nic jej to nie obchodzi.

Mija kolejna minuta, Kay wybiera ponownie numer, a telefon w środku dzwoni i dzwoni, więc wyłącza się, zanim odpowie automatyczna sekretarka. Jesteś w domu, myśli. Nie udawaj, że cię nie ma. I zapewne wiesz, że to ja się dobijam. Robi krok w tył i przygląda się rozjaśnionym oknom od frontu. Są zasłonięte cienkimi firankami i wypełnione ciepłym, pojemnym światłem, a w oknie z prawej strony przesuwa się cień. Widać zarys przechodzącej obok okna postaci, która przystaje, obraca się i znika.

Doktor Scarpetta znów wali w drzwi i telefonuje. Tym razem, kiedy odzywa się sekretarka, nie przerywa połączenia, ale mówi:

– Pani Paulsson, tu doktor Kay Scarpetta. Proszę otworzyć. To bardzo ważne. Stoję pod pani drzwiami. Wiem, że jest pani w domu. – Kończy i stuka dalej, i znów widzi przesuwaną się cień, tym razem w oknie na lewo. W końcu drzwi się otwierają.

– Mój Boże – mówi pani Paulsson z udanym i wysoce nieprzekonującym zaskoczeniem. – Nie miałam pojęcia kto to. Co za

nawałnica. Proszę wejść, zmoknie pani. Nigdy nie otwieram drzwi, jeśli nie wiem kto to.

Ociekając wodą, Kay kieruje się do salonu, gdzie zdejmuje długi, ciemny, całkowicie przemoczony płaszcz. Odgarnia ręką włosy, z których kapie woda. Uświadamia sobie, że włosy ma równie mokre jak po wyjściu spod prysznic.

– Żeby tylko nie dostała pani zapalenia płuc – mówi do niej pani Paulsson. – Ale co ja będę pani mówić. To pani jest lekarzem. Chodźmy do kuchni, zrobię pani coś gorącego do picia.

Doktor Scarpetta rozgląda się po niewielkim saloniku, zauważa wystygły popiół i resztki niedopalonego drewna w kominku, pluszową kanapę pod oknem, dwoje drzwi po obu stronach pokoju, wiodących w różne miejsca domu. Pani Paulsson dostrzega to badawcze spojrzenie i jej twarz tężeje – twarz, która byłaby niemal ładna, gdyby nie to, że jest nijaka i niezadbana.

– Po co pani tu przyszła? – pyta zupełnie innym głosem. – Po co pani tu przyszła? Myślałam, że chodzi o Gilly, ale coś mi się zdaje, że nie.

– Nie wiem, czy ktokolwiek tu zajmował się sprawą Gilly – odpowiada Kay, stojąc pośrodku salonu, kapiąc wodą na parkiet i rozglądając się tak, żeby było oczywiste, że się rozgląda.

– Nie ma pani prawa tak mówić! – wykrzykuje pani Paulsson. – Niech pani natychmiast wyjdzie. Nie potrzebuję takich jak pani w tym domu.

– Nie wyjdę. Może pani wezwać policję. Ale ja nie wyjdę, dopóki nie porozmawiamy o tym, co wydarzyło się tej nocy.

– Oczywiście, że powinnam wezwać policję po tym, co zrobił ten potwór. Po tym wszystkim, co przeszłam, przyłazi tutaj i mnie wykorzystuje. Ugania się za kobietą, która tak cierpi jak ja. Powinnam była się spodziewać. Wyglądał mi na takiego.

– Proszę bardzo – mówi doktor Scarpetta. – Niech pani dzwoni na policję. Ja też będę miała im coś do opowiedzenia. Coś bardzo ciekawego. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, rozejrzę się tutaj. Wiem, gdzie jest kuchnia. Wiem, gdzie jest pokój Gilly. I zakładam, że jeśli wyjdę przez te drzwi i skieruję się w lewo zamiast w prawo, znajdę pani sypialnię – dodaje, ruszając w tamtą stronę.

– Nie ma pani prawa łązić po moim domu! – krzyczy pani Paulsson. – Proszę natychmiast się wynosić! Nie ma pani powodu do wścibstwa.

Sypialnia jest nieco większa od pokoju Gilly. Znajduje się w niej podwójne łóżko z niewielkimi drewnianymi stolikami po obu stronach i dwie komody wciśnięte pod ścianę. Jedne drzwi prowadzą do małej łazienki, drugie do garderoby, w której na samym środku stoi para czarnych skórzanych gланów. Doktor Scarpetta sięga do kieszeni żakietu i wyciąga bawełniane rękawiczki. Wkłada je, stojąc w drzwiach garderoby, z oczami utkwionymi w gланach. Następnie przegląda rzeczy na wieszaku, robi szybki zwrot w tył i przechodzi do łazienki. Znajduje tam panterkowy podkoszulek przewieszony przez wannę.

– On coś pani naopowiadał, tak? – pyta pani Paulsson, stojąc w nogach łóżka. – A pani uwierzyła. Zobaczymy, w co uwierzy policja. Nie sądzę, żeby uwierzyli któremuś z was.

– Jak często zabawiała się pani w żołnierza w obecności córki? – Kay patrzy wprost na nią. – Najwyraźniej Frank lubił zabawy w wojsko? To od niego nauczyła się pani tej gry? A może ta okropność to pani własny pomysł? Co pani wyprawiała na oczach Gilly i kto zabawiał się z panią, gdy ona tu była? Seks grupowy? Czy to właśnie są „oni”? Inni ludzie, którzy grali w to z Frankiem i panią?

– Jak pani śmie oskarżać mnie o coś takiego?! – krzyczy tamta z twarzą wykrzywioną przez wściekłość i pogardę. – Nic nie wiem o żadnych grach!

– Och, oskarżenia właśnie się mnożą i zapewne na tym nie koniec – oświadcza doktor Scarpetta, podchodząc do łóżka i podnosząc kołdrę dłonią w rękawiczce. – Wygląda na to, że nie zmieniła pani pościeli. Bardzo dobrze. Widzi pani plamki krwi na prześcieradle, o, tutaj? O ile się pani założy, że to krew Marina, a nie pani? – Rzuca kobiecie przeciągłe spojrzenie. – On krwawi, a pani nie. Ależ to dziwne. Myślę, że gdzieś tu jest też zakrwawiony ręcznik. – Rozgląda się. – Może zresztą już go pani uprała. Nieważne. Nawet z upranego ręcznika można wydobyć to, czego poszukujemy.

– On zrobił mi coś takiego, a pani jest jeszcze gorsza – mówi matka Gilly, ale ma już inną minę. – Myślałam, że kobieta będzie miała w sobie odrobinę współczucia.

– Dla kogoś, kto kaleczy innego człowieka, a potem oskarża go o napaść? Nie sądzę, żeby znalazła się na tym świecie porządna kobieta, która okazałaby w tym wypadku współczucie, pani Paulsson. – Kay zaczyna ściągać poszewkę z kołdry.

– Co pani wyprawia? Poradziłabym sobie.

– Zrobię to i dużo więcej. Proszę patrzeć. – Zdejmuje prześcieradło i zwija je razem z powleczeniem poduszek i kołdry.

– Nie ma pani prawa! Nie jest pani z policji.

– Och, jestem kimś gorszym niż policja, proszę mi wierzyć. – Kay robi tobołek z pościeli i kładzie go na materacu. – Co jeszcze? – Rozgląda się. – Być może pani nie zauważyła tego, gdy wpadliście dziś na siebie w biurze koronera, ale Marino miał rano te same spodnie co w nocy. I tę samą bieliznę. Przez cały dzień, prawdę mówiąc. Wie pani zapewne, że kiedy mężczyzna odbył stosunek, pewne ślady zazwyczaj zostają na jego bieliźnie, a czasem i na spodniach. A u niego nic nie było. Nie było nic na bieliźnie ani bojówkach, z wyjątkiem krwi z zadanych przez panią ran. Być

może nie jest też pani świadoma tego, że pani zasłony nie są nieprzezroczyste, i widać przez nie, czy jak ktoś jest u pani, to walczyacie, czy też romansujecie – zakładając, że trzyma się pani jeszcze na nogach. Proszę sobie wyobrazić, co mogli widzieć sąsiedzi z przeciwka, kiedy były włączone światła albo paliło się w kominku.

– A może wszystko zaczęło się między nami spokojnie, tylko potem wymknęło się spod kontroli? – Pani Paulsson najwyraźniej podjęła już decyzję. – Na początku była niewinna zabawa, kobieta i mężczyzna dający sobie przyjemność. Może mnie trochę poniosło, ponieważ on mnie zawiódł. Podniecił mnie, ale sobie nie poradził. Nie był w stanie. Taki wielki mężczyzna, a nie może.

– Nic dziwnego, skoro cały czas dolewała mu pani burbona – odpowiada Kay i jest już całkiem pewna, że Marino nic nie zrobił. Nie ma takiej możliwości. Sęk w tym, że on wciąż się martwi, że to zrobił, a zarazem martwi się, że nie mógł, co nie pozostawia wiele pola do działania.

Kuca w garderobie i ogląda buty. Kładzie je potem na łóżku, gdzie wyglądają wyjątkowo złowrogo.

– To buty Franka – informuje ją pani Paulsson.

– Jeśli pani miała je na nogach, będzie w nich pani DNA.

– Są na mnie dużo za duże.

– Słyszała pani, co powiedziałam. DNA wszystko wyjaśni. – Kay wchodzi do łazienki i zabiera panterkowy podkoszulek. – To, jak sądzę, też należy do Franka?

Pani Paulsson nie ma nic do powiedzenia.

– Możemy teraz przejść do kuchni – oświadcza doktor Scarpetta. – Chętnie napiję się czegoś gorącego. Może kawy. Jakiego burbona piliście wczoraj wieczorem? Pani też nie powinna się teraz najlepiej czuć, chyba że dolewała pani do szklaneczki Marina znacznie więcej niż do swojej. Mój

kolega ma dziś potężnego kaca. Kolosalnego. Wymagał pomocy lekarskiej.
– Mówiąc to, idzie szybkim krokiem na tył domu, do kuchni.

– Co pani insynuuje?

– Że potrzebował lekarza.

– Poszedł do lekarza?

– Został przebadany i obfotografowany. Centymetr po centymetrze. Nie wygląda najlepiej – opowiada Kay, wchodząc do kuchni. Koło zlewozmywaka spostrzega ekspres do kawy, prawie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wczoraj stała butelka syropu. Teraz tej buteleczki nigdzie nie widać. Doktor Scarpetta zdejmuje bawełniane rękawiczki i wsuwa je do kieszeni żakietu.

– Nic dziwnego po tym, co wyczyniał.

– Może pani sobie darować tę historyjkę. – Kay napełnia szklany dzbanek od ekspresu wodą z kranu. – To jedno wielkie zmyślenie, więc może sobie pani dać spokój. Jeżeli ma pani jakieś obrażenia, chętnie je obejrzę.

– Jeśli komukolwiek je pokażę, to tylko policji.

– Gdzie ma pani kawę?

– Nie wiem, co sobie pani wyobraża, ale na pewno nie prawdę – oświadcza pani Paulsson, otwierając lodówkę i stawiając paczkę z kawą koło dzbanka. Następnie otwiera szafkę i wskazuje lekarce pudełko z filtrami, dając jej do zrozumienia, że ma się obsłużyć sama.

– Ostatnimi czasy niełatwo dotrzeć do prawdy – odpowiada Kay, otwierając puszkę. Wkłada filtr do ekspresu i odmierza kawę niewielką łyżeczką znaną z paczki. – Zastanawia mnie dlaczego. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, co się naprawdę stało z Gilly. A teraz wymyka nam się prawda o zdarzeniach ostatniej nocy. Chętnie usłyszałabym pani wersję

prawdy, pani Paulsson. Dlatego właśnie postanowiłam dziś panią odwiedzić.

– Nie zamierzałam nikomu mówić o Marinie – odpowiada tamta cierpko. – Gdybym zamierzała, to czy nie sądzi pani, że już bym to zrobiła? Prawdę mówiąc, myślałam, że się dobrze bawił.

– Dobrze bawił? – Doktor Scarpetta opiera się o blat, krzyżując ręce na piersi. W ekspresie sączy się kawa, której aromat wypełnia całą kuchnię. – Gdyby wyglądała pani tak, jak on dzisiaj, nie sądzę, żeby uznała pani to za dobrą zabawę.

– Nie wie pani, jak ja wyglądam.

– Po tym jak pani się porusza, jestem w stanie ocenić, że nie wyrządził pani krzywdy. Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele zrobił z całym tym burbonem w żołądku. Sama mi to pani powiedziała.

– Panią coś z nim łączy? Dlatego pani tu przyszła? – Pani Paulsson spogląda spode łba na Kay, w jej oczach tli się iskierka zainteresowania.

– Coś mnie z nim łączy, ale pani raczej tego nie zrozumie. Wspominałam, że jestem również prawnikiem? Chciałaby pani wiedzieć, co się dzieje z ludźmi, którzy zgłaszają fałszywe oskarżenia o napaść lub gwałt? Była pani kiedyś w więzieniu?

– Pani jest zazdrosna. O to w tym wszystkim chodzi. – Pani Paulsson uśmiecha się chytrze.

– Może sobie pani uważać, co się pani podoba. Ale niech też pani pomyśli o więzieniu, pani Paulsson. Niech pani pomyśli o oskarżeniach o gwałt i wszystkich dowodach wskazujących na to, że pani kłamie.

– Nie wniosę oskarżenia o gwałt, niech się pani nie martwi – odpowiada pani Paulsson z poważniejszym wyrazem twarzy. – I tak nikt nie zdołałby mnie zgwałcić. Niechby tylko ktoś spróbował. Co za dzieciak. Tyle mogę o nim powiedzieć. Dzieciak. Myślałam, że będzie dobry. Cóż, myliłam się.

Może go sobie pani wziąć, pani doktor czy też pani mecenas, jak tam pani chce.

Kawa jest gotowa, Kay pyta o naczynia, a pani Paulsson wyjmuje z szafki dwa kubki i dwie łyżeczki. Piją kawę na stojąco i nagle matka Gilly zaczyna płakać. Zagryza dolną wargę i potrząsa głową, ale łzy nie przestają płynąć jej po twarzy.

– Nie chcę iść do więzienia – mówi.

– Też wolałabym tego uniknąć. Wolałabym, żeby nie poszła pani do więzienia – odpowiada doktor Scarpetta, sącząc kawę. – Czemu pani to zrobiła?

– To chyba prywatna sprawa, co ludzie z sobą robią? – Kobieta unika wzroku Kay.

– Rany i siniaki nie są sprawą osobistą. To przestępstwo. Pani lubi ostry seks?

– Ależ z pani purytanka – odpowiada pani Paulsson; podchodzi do stołu i siada. – Chyba jest mnóstwo rzeczy, o których pani nie słyszała.

– Być może. Proszę mi opowiedzieć o tej grze.

– Niech pani jego zapyta.

– Wiem już, co Marino miał do powiedzenia na temat pani gry, a w każdym razie tej jej odsłony, którą zaprezentowała pani zeszłej nocy. – Kay nadal sączy kawę. – To już trwa jakiś czas, prawda? Zaczęło się z pani byłym mężem? Z Frankiem?

– Nie mam obowiązku z panią rozmawiać – mówi tamta od stołu. – Nie wiem, dlaczego miałabym z panią rozmawiać.

– Ta róża, którą znaleźliśmy w komodzie Gilly. Pani powiedziała, że Frank może coś na ten temat wiedzieć. Co pani miała na myśli?

Kobieta najwyraźniej nie ma ochoty odpowiadać; siedzi przy stole z kubkiem w rękach zła i pełna nienawiści.

– Pani Paulsson, czy pani zdaniem Frank mógłby zrobić krzywdę Gilly?

– Nie wiem, skąd ta róża – oświadcza Suzanna, wpatrując się w ten sam punkt na ścianie, w który wpatrywała się, gdy Kay była tu wczoraj. – Wiem tylko, że nie ode mnie. Wiem, że wcześniej jej tam nie było, w każdym razie nie stała na widoku, nie w pokoju, nie tam, gdzie bym zauważyła. A zaglądałam do szuflad. Na przykład poprzedniego dnia, gdy wkładałam tam uprane rzeczy i w ogóle porozrzucane ubrania. Gilly nigdy po sobie nie sprzątała. Zawsze wszystko po niej zbierałam. Ale nigdy czegoś takiego nie zauważyłam. Nie posprzątałyby po sobie, choćby chodziło o jej życie. – Pani Paulsson milknie niespodziewanie, czując, że się zapędziła, i wpatruje się znów w ścianę.

Kay czeka, aż usłyszy coś więcej. Mija co najmniej minuta, milczenie robi się coraz bardziej przytłaczające.

– Najgorsza była kuchnia – odzywa się w końcu kobieta. – Wyjmowała jedzenie i zostawiała na blacie. Nawet lody. Nie wyobraża sobie pani, ile rzeczy musiałam wyrzucać. – Twarz jej wykrzywia smutek. – I mleko. Bez przerwy wylewałam mleko do zlewu, ponieważ zostawiała je na wierzchu na pół dnia. – Jej drżący głos wznosi się i opada. – Wie pani, co to znaczy bez przerwy po kimś sprzątać?

– Wiem – odpowiada doktor Scarpetta. – To jeden z powodów, dla których się rozwiodłam.

– On nie był lepszy – mówi pani Paulsson, odwracając wzrok. – Przy tej dwójce bez przerwy musiałam sprzątać.

– Gdyby Frank chciał skrzywdzić Gilly, to co pani zdaniem by zrobił? – pyta Kay, omijając sprytnie pytania, na które można odpowiedzieć tak lub nie.

Jej rozmówczyni wpatruje się w ścianę, nie mrugając.

– Na swój sposób zrobił jej krzywdę.

– Chodzi mi o fizyczną krzywdę. Gilly nie żyje.

Oczy pani Paulsson napełniają się łzami, ale tylko przeciera je ręką, nie spuszczać oczu z punktu na ścianie.

– Jego tu nie było, gdy to się stało. Nie było go w tym domu, nic o tym nie wiem.

– Kiedy co się stało?

– Kiedy pojechałam do apteki. Cokolwiek się wtedy stało. – Przeciera ponownie oczy. – Jak wróciłam do domu, okno u Gilly było otwarte. Nie było, jak wychodziłam. Nie wiem, czy to ona je otworzyła. Nie twierdzą, że Frank to zrobił. Mówię tylko, że on ma z tym coś wspólnego. Wszystko, czego dotknie, umiera lub rozpada się. Trochę to dziwne, zważywszy, że jest lekarzem. Sama pani wie.

– Pójdę sobie teraz, pani Paulsson. Wiem, że to nie była łatwa rozmowa, i to dla żadnej z nas. Ma pani numer mojej komórki. Jeśli przypomni się pani cokolwiek ważnego, proszę do mnie zadzwonić.

Matka Gilly potakuje, płacząc i nie przestaje wpatrywać się w jeden punkt na ścianie.

– Może bywał tu wcześniej ktoś jeszcze, o kim warto by sobie przypomnieć. Ktoś oprócz Franka. Może ktoś, kogo Frank zaprosił, ktoś znajomy. Może któryś z uczestników gry?

Pani Paulsson nie rusza się z krzesła, by odprowadzić gościa do drzwi.

– Ktokolwiek, kto przyszedłby pani na myśl – mówi jeszcze doktor Scarpetta. – Gilly nie zmarła na gripę – powtarza. – Musimy się dowiedzieć, co się jej stało, co dokładnie się tu wydarzyło. I dowiemy się, wcześniej czy później. Podejrzewam, że wołałaby pani wcześniej, prawda?

Tamta wpatruje się w ścianę.

– Może pani dzwonić o dowolnej porze – dodaje Kay. – Teraz już idę. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić. Aha, i przydałoby mi się

kilka sporych worków na śmieci, jeśli pani je ma.

– Są pod zlewem. Jak chce ich pani na to, co myślę, to szkoda zachodu – mamrocze pani Paulsson.

Kay otwiera szafkę pod zlewozmywakiem i wyciąga z pudełka cztery duże plastikowe worki na śmieci.

– Mimo wszystko wezmę je – odpowiada. – Mam nadzieję, że ich zawartość nie będzie mi potrzebna.

Zatrzymuje się w sypialni i zabiera zwiniętą pościel, buty oraz podkoszulek, a potem pakuje to wszystko do worków. W salonie wkłada płaszcz i wychodzi na deszcz, taszcząc cztery worki, dwa wypełnione pościelą i po jednym z glanami i panterką. Kałuże na ceglany podjeździe rozpryskują się pod jej stopami, zimna woda chlupie w butach, a wokół szumi na pół zamarznięty deszcz.

W Other Way Lounge jest bardzo ciemno, a pracujące tu kobiety przestały rzucać Edgarowi Allanowi Pogue spojrzenia z ukosa, które najpierw wyrażały ciekawość, potem pogardę, a następnie obojętność – aż w końcu w ogóle ustały. Pogue bierze do ręki łyżkę koktajlowej wisienki i przez dłuższy czas zawiązuje ją w supełek.

W Other Way pija Bleeding Sunset, specjalność lokalu, czyli mieszaninę wódki i Tego Drugiego, jak to nazywa. To Drugie jest pomarańczowoczerwone i spływa na dno szklanki. Bleeding Sunset wygląda rzeczywiście jak zachód słońca, dopóki poruszenie szklanką nie zmiesza alkoholu, syropu i Tego Drugiego – wtedy drink staje się po prostu pomarańczowy. Gdy stopi się lód, to, co pozostanie w szklance, będzie wyglądało jak oranżada, którą pił w dzieciństwie. Kupowało się ją w plastikowych pomarańczach i piło przez zieloną rurkę, mającą wyglądać jak gałązka, ale pomarańczowy napój był wodnisty i niezbyt dobry, chociaż plastikowe opakowanie w kształcie pomarańczy zdawało się obiecywać świeżość i doskonały smak. Ilekroć przyjeżdżali na południe Florydy, zawsze błagał matkę, żeby kupowała mu plastikowe pomarańcze, i za każdym razem doznawał rozczarowania. Z ludźmi jest tak samo jak z tymi plastikowymi pomarańczami i ich zawartością. Na pierwszy rzut oka – jedno, w bliższym kontakcie – zupełnie co innego. Pogue unosi szklankę i

wstrząsa pomarańczowym płynem pozostałym na dnie. Zastanawia się nad zamówieniem kolejnego drinka, więc najpierw oblicza, ile mu pozostało gotówki, a następnie sprawdza stopień upojenia alkoholowego. Nie jest pijakiem. Nigdy w życiu nie był naprawdę pijany. Perspektywa pijaństwa przeraża go, nie jest więc w stanie wypić Bleeding Sunset ani żadnego innego koktajlu, nie analizując dokładnie każdego łyku, nie zastanawiając się nad efektem, jaki wywoła. Boi się również tycia, a alkohol sprzyja tyciu. Jego matka była otyła. Z czasem stawała się coraz grubsza i to było najgorsze, bo kiedyś była ładna. To rodzinne, zwykła mówić. Jak będziesz tyle jadł, to sam się przekonasz. Tak się właśnie zaczyna, w okolicach pasa, dodawała.

– Jeszcze raz to samo – mówi Edgar Allan Pogue do kogokolwiek, kto ma szansę go usłyszeć.

Other Way wygląda jak bardzo mała sala klubowa, usiana drewnianymi stoliczkami nakrytymi czarnymi obrusami. Na stolikach stoją świece, ale za jego bytności jeszcze nigdy żadna się nie paliła. W kącie stoi stół bilardowy, ale za jego bytności nikt nigdy nie grał, więc Pogue przypuszcza, że tutejsi klienci po prostu nie lubią bilardu, a porysowany stół z czerwonym sukniem stanowi pozostałość z poprzedniego wcielenia lokalu. Other Way zapewne było kiedyś czymś innym. Wszystko było kiedyś czymś innym.

– Proszę jeszcze raz to samo – powtarza.

Kobiety, które tu pracują, to hostessy, a nie kelnerki, więc chcą być odpowiednio traktowane. Mężczyźni przewijający się przez Other Way nie pstrykają palcami na hostessy, do których należy się zwracać z szacunkiem – takim szacunkiem, że Pogue ma wrażenie, iż robią łaskę, pozwalając mu tu siedzieć i wydawać pieniądze na te piekielne, wodniste Bleeding Sunset. Oczy Edgara Allana lustrują ciemność i wyławiają z niej rudą. Ma na sobie

skąpy, krótki czarny sweterek, pod którym powinna nosić podkoszulek, ale go nie nosi. Sweterek ledwie zakrywa to, co ma zakrywać, ale Pogue nigdy nie widział, żeby się schylała w innym celu niż strzepnięcie obrusa lub podanie drinka. Ruda schyla się bowiem po to, żeby pokazać to i owo wybranym mężczyznom – tym, którzy dają szczodre napiwki i umieją zagadać. Z przodu pod sweterkiem ma coś na kształt śliniaczka, który jest po prostu kawałkiem czarnego materiału mniejszym niż kartka A4, podtrzymywanym na dwóch czarnych ramiączkach. Ten śliniaczek zwisa luźno. Kiedy ruda pochyla się, żeby porozmawiać albo zabrać pustą szklankę, potrząsa tym, co kryje się pod śliniaczkiem, ale jest ciemno, bardzo ciemno, a ona nie pochyliła się nad stolikiem Edgara Allana i zapewne nigdy tego nie robi, a z miejsca, gdzie siedzi Pogue, nic nie widać.

Wstaje od swojego stolika w pobliżu drzwi, ponieważ nie ma ochoty wrzeszczeć, że chce następny Bleeding Sunset, a poza tym nie jest już wcale pewny, czy naprawdę chce jeszcze drinka. Nie może przestać myśleć o jaskrawej plastikowej pomarańczy z zieloną rurką, a im dłużej siedzi i rozpamiętuje rozczarowania, tym bardziej czuje niesprawiedliwość świata. Wstaje od stolika i wyciąga z kieszeni dwudziestkę. Pieniądze, tylko to się liczy w Other Way, jak kotlet dla psa, myśli. Ruda podchodzi, stukając szpilkami o spiczastych noskach, potrząsając tym, co jest w śliniaczku i kołysząc biodrami w obcisłej spódniczce mini. Z bliska widać, że jest stara. Ma pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem lat, może nawet sześćdziesiąt.

– Wychodzisz, skarbie? – Podnosi dwudziestkę, nawet na niego nie patrząc.

Na prawym policzku ma pieprzyk, wymalowany zapewne ołówkiem do oczu. On zrobiłby to znacznie lepiej.

– Chciałem jeszcze jednego.

– Wszyscy chcemy jeszcze, skarbie. – Jej śmiech przypomina mu piski torturowanego kota. – Siadaj sam, to ci dam.

– Za późno – odpowiada Pogue.

– Gdzie moja whisky, panno Bessie? – pyta cicho mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku.

Pogue widział już wcześniej, jak tamten przyjechał wielkim nowym srebrnym cadillakiem. Mężczyzna jest bardzo stary, ma co najmniej osiemdziesiąt albo i osiemdziesiąt jeden lub osiemdziesiąt dwa lata, nosi jasnoniebieską bawełnianą koszulę i jasnoniebieski krawat. Bessie prostuje ramiona, obracając się do niego, a Pogue nagle przestaje istnieć, mimo że jeszcze nie wyszedł. Wychodzi więc. Może równie dobrze wyjść, skoro przestał istnieć. Wychodzi przez ciężkie ciemne drzwi na wysypany żwirem parking w ciemność pod czarnymi drzewami oliwnymi i palmami rosnącymi wzdłuż ulicy. Stoi w gęstym cieniu drzew i spogląda na stację benzynową Shella po drugiej stronie alei, na wielką podświetloną na żółto muszlę i czuje ciepły wiaterek, co jest tak przyjemne, że stoi tak przez chwilę, patrząc przed siebie.

Podświetlona muszla przypomina mu ponownie o plastikowych pomarańczach. Nie ma pojęcia dlaczego – chyba że matka kupowała mu oranżadę właśnie na stacjach benzynowych, co jest niewykluczone. To nawet brzmi sensownie: kupowała mu je od czasu do czasu, zapewne po dziesięć centów sztuka, kiedy każdego lata jechali z Wirginii na Florydę, do Vero Beach, w odwiedziny do jej matki, która miała mnóstwo pieniędzy. Pogue i matka zawsze zatrzymywali się w motelu zwanym Driftwood Inn, ale nie pamięta wiele poza tym, że to miejsce wyglądało jak zbudowane z wyrzuconego na brzeg drewna, a on spał w nocy na tej samej dmuchanej tratwie, na której pływał w dzień.

Tratwa nie była duża, więc ręce i nogi zwisały mu zupełnie tak samo jak wtedy, gdy nimi poruszał w wodzie, ale właśnie na tej tratwie spał w saloniku, podczas gdy matka zamykała się na klucz w sypialni, jedynym pomieszczeniu, w którym był terkoczący okienny klimatyzator. Pamięta, jak było mu zawsze gorąco i jak się pocił, poparzona słońcem skóra przyklejała się do plastikowej tratwy, a każde poruszenie było niczym zrywanie plastra – i tak każdej nocy przez cały tydzień. Takie mieli wakacje. To były całe ich wakacje, co roku o tej samej porze, zawsze w sierpniu.

Pogue przygląda się mijającym go reflektorom samochodów: nadjeżdżającym przednim i odjeżdżającym tylnym, jaskrawym białym i czerwonym oczom nocy, po czym unosi wzrok, zwracając głowę w lewo, i czeka, aż światła na przejściu zmieniają się z czerwonych na zielone. Kiedy tak się dzieje, samochody stają, a on przechodzi szybkim krokiem przez wolną nitkę biegnącą na wschód, a następnie przemyka między samochodami mknącymi na zachód. Znalazłszy się na stacji Shella, patrzy na jasnożółtą muszlę unoszącą się wysoko nad nim w ciemności i przygląda się starszemu mężczyźnie w luźnych szortach, który tankuje benzynę przy jednym z dystrybutorów, i innemu starszemu kierowcy w pomiętym garniturze nalewającemu benzynę przy drugim dystrybutorze. Pogue trzyma się cienia, cicho podchodzi do szklanych drzwi, a dzwonek brzęczy, gdy wślizguje się do środka i rusza prosto ku automatom z napojami. Kobieta przy ladzie nabija na kasę należność za paczkę chipsów, sześciopak piwa i benzynę, więc nawet nie zwraca na niego uwagi.

W pobliżu automatu z kawą jest lodówka z zimnymi napojami, z której Pogue bierze sześć największych kubków z pokrywkami i podchodzi z nimi do kasy. Kubki są jasne, z nadrukami postaci z kreskówek, a wieczka białe, z małą dziurką na rurkę. Pogue kładzie kubki i wieczka na ladzie.

– Czy są może plastikowe pomarańcze z zielonymi rurkami? Z oranżadą? – pyta kobiety za ladą.

– Że co? – Sprzedawczyni marszczy czoło na widok kubków. – Te kubki są puste. Kupuje pan jakiś napój czy *nie*?

– Nie – odpowiada Pogue. – Chcę tylko kubki i wieczka.

– Nie sprzedajemy samych kubków.

– Ale ja chcę puste.

Kobieta przygląda mu się sponad okularów, a on się zastanawia, co może zobaczyć w jego twarzy.

– Powiedziałam, że nie sprzedajemy pustych kubków.

– Wolałbym tę oranżadę, gdyby była.

– Jaką oranżadę? – Jest zniecierpliwiona. – Widzi pan tę wielką lodówkę z tyłu? Mamy tylko to, co tam jest.

– Była w plastikowych pomarańczach, które wyglądały jak prawdziwe i miały zieloną gałązkę.

Jej poirytowanie ustępuje zaskoczeniu, a pomalowane jasną szminką usta rozchylają się w szerokim uśmiechu przypominającym Pogue'owi grymas klauna.

– A niech mnie, chyba wiem, o co panu chodzi. Ta okropna oranżada. Mój drogi, jej nie ma już od lat. Niech mnie, zupełnie o niej zapomniałam.

– W takim razie wezmę kubki i pokrywki – upiera się Pogue.

– Boże, poddaję się. Dobrze, że moja zmiana się kończy, mówię panu.

– Długa noc.

– Właśnie się przedłużyła. – Kobieta się śmieje. – Te okropne pomarańcze z rurkami!

Spogląda ku drzwiom, w których pojawił się starszy mężczyzna w luźnych szortach, żeby zapłacić za benzynę.

Pogue nie zwraca na niego uwagi. Gapi się na nią, na jej włosy ufarbowane na platynowo i przypominające żyłkę wędkarską, na upudrowaną skórę, wyglądającą jak miękka pomarszczona tkanina. W dotyku ta skóra przypominałaby skrzydła motyla. Na plakietce widnieje imię EDITH.

– Wie pan co – mówi do niego Edith – policzę panu po pięćdziesiąt centów za kubek, a wieczka dorzucę za darmo. Mam następnych klientów.
– Stuka palcami w klawiaturę i otwiera szufladę z pieniędzmi.

Pogue podaje Edith banknot pięciodolarowy i odbiera resztę tak, żeby dotknąć palcami jej palców, które są chłodne, zwinne i miękkie, a on wie, że ich skóra jest luźna, bo kobiety w jej wieku mają luźną skórę. Wyszedłszy w parną noc, czeka ponownie na zielone światła i przechodzi przez jezdnię tak samo jak kilka minut wcześniej. Zatrzymuje się na chwilę pod tymi samymi czarnymi drzewami oliwnymi i palmami, patrząc na frontowe drzwi Other Way Lounge. Nie doczekawszy się nikogo wchodzącego lub wychodzącego, rusza szybko do samochodu i wsiada.

Powinnaś mu powiedzieć – tłumaczy jej Marino. – Nawet jeśli się okaże, że jest inaczej, niż myślisz, powinien wiedzieć, co się dzieje. – Tak właśnie ludzie podejmują błędne decyzje – odpowiada Kay Scarpetta.

– Tak również dostają fory na starcie.

– Ale nie tym razem.

– Ty tu rządzisz, szefowo.

Leży wyciągnięty na swoim łóżku w Marriotcie przy Broad Street, a Kay siedzi w tym samym fotelu co wcześniej, ale przyciągnęła go bliżej łóżka. W białej piżamie, którą kupiła mu w magazynie na południowym brzegu rzeki, Marino nadal sprawia wrażenie postawnego faceta, ale nie wygląda imponująco. Pod lekkim, miękkim materiałem widać jego rany posmarowane ciemnopomarańczową maścią z antybiotykiem. Detektyw upiera się, że skaleczenia wcale go nie boją, wcale nie bardzo. Kay zmieniła zachlapany błotem granatowy kostium na beżowe sztruksy, granatowy golf i mokasyny. Siedzą w pokoju detektywa, ponieważ nie chciała widzieć go w swoim, za to uznała, że u niego będzie dość bezpiecznie, tutaj więc zjedli kanapki przyniesione przez obsługę hotelową, a teraz po prostu rozmawiają.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu z nim tego obgadać. – Marino zarzuca przynętę. Jej związek z Bentonem jest dla niego

nieustanną zagadką, Kay wie o tym, denerwuje ją to, ale nie potrafi tego ukrócić.

– Jutro rano zaniosę próbki gruntu do laboratorium – mówi. – Bardzo szybko się dowiemy, czy został popełniony błąd. Jeśli tak, to nie będę zawracała Bentonowi głowy. Pomyłka nie jest istotna dla sprawy. Pomyłka to po prostu pomyłka. I to paskudna.

– Nie wierzysz w to. – Marino patrzy na nią oparty o górę poduszek, które za nim spiętrzyła. Wygląda już lepiej. Oczy znów mu błyszczą.

– Nie wiem, w co mam wierzyć – odpowiada Kay. – To nijak się nie składa. Jeśli substancje śladowe pobrane ze skóry operatora buldożera nie znalazły się na ciele w wyniku pomyłki, to jak mamy to wytłumaczyć? Jakim cudem takie same ślady mogły się pojawić w przypadku Gilly Paulsson? Może masz jakąś teorię?

Marino myśli, skupiwszy wzrok na oknie, za którym widać ciemność i światła miasta.

– Nie mam – przyznaje. – Za Boga nie jestem w stanie wymyślić nic poza tym, co powiedziałem na zebraniu. A wtedy się tylko wymądrzałem.

– Kto? Ty? – pyta cierpko doktor Scarpetta.

– Serio. Jakim cudem ten, jak mu tam, Whitby, miałby mieć na sobie te same substancje śladowe co ta mała? Po pierwsze ona zmarła dwa tygodnie wcześniej niż on. Więc czemu on miałby to mieć na sobie, zwłaszcza dwa tygodnie po tym, jak przyczepiło się do niej? Nie wygląda to dobrze – dodaje.

Kay czuje ten rodzaj mdłości, który nauczyła się utożsamiać z lękiem. Jedynym sensownym wytłumaczeniem jest na razie wtórne zanieczyszczenie albo pomyłka w opisie próbek. Jedno i drugie może się zdarzyć znacznie łatwiej, niż ludzie to sobie wyobrażają. Wystarczy, że jeden woreczek z dowodami lub jedna próbówka trafi do niewłaściwej

koperty bądź na niewłaściwy stojak albo też próbka zostanie opatrzona złą naklejką. Wystarczy pięciosekundowa nieuwaga albo zamieszanie, żeby dowody nagle zaczęły pochodzić ze źródła, do którego nie pasują, lub, co gorsza, żeby odpowiedziały na pytanie, które uniewinni podejrzanego lub też pośle go do sądu, więzienia czy na krzesło elektryczne. Przypominają się jej sztuczne szczęki. Widzi żołnierza z Fort Lee usiłującego wepchnąć niewłaściwą protezę do ust otyłej kobiety. Wystarczy dokładnie tyle: jedna chwila nieuwagi jak wtedy.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu pogadać z Bentonem – drażny Marino, sięgając po stojącą obok łóżka szklankę wody. – Poza tym dlaczego nie mogę napić się piwa? Co w tym takiego strasznego?

– A co w tym dobrego? – Doktor Scarpetta trzyma na kolanach rozłożone teczki z dokumentami i przegląda kopie protokołów, sprawdzając, czy cokolwiek z tego, co już wie o Gilly i operatorze buldożera, mogłoby jej niespodziewanie coś podpowiedzieć. – Alkohol spowalnia proces gojenia – dodaje. – Poza tym ostatnio raczej ci się nie przysłużył, prawda?

– Wczoraj w nocy nie.

– Więc zamawiaj, na co masz ochotę. Nie będę cię pouczać, co masz robić.

Na twarzy detektywa widać wahanie i Kay czuje, że on chciałby, żeby mu powiedziała, co robić, ale nic z tego. Już wielokrotnie próbowała i nie wyszło, a ona nie ma zamiaru grać roli drugiego pilota w wariackim locie, jakim jest jego życie. Marino spogląda na telefon, trzymając ręce złożone na brzuchu, po czym sięga po wodę.

– Jak się czujesz? – pyta Kay, odwracając stronę. – Chcesz jeszcze advilu?

– W porządku. Wystarczyłoby kilka piw.

– Decyzja należy do ciebie. – Przewraca kolejną stronę, przelatując wzrokiem długą listę obrażeń Teda Whitby’ego.

– Jesteś pewna, że ona nie zawiadomi policji?

Doktor Scarpetta czuje na sobie jego wzrok, niczym delikatne ciepło lampy, i nie ma mu za złe, że się boi. Prawda jest taka, że wystarczyłoby samo oskarżenie, żeby zrujnować mu życie. Byłby skończony jako stróż prawa, a na dodatek istnieją spore szanse, że ława przysięgłych w Richmondzie uznałaby go za winnego tylko dlatego, że jest mężczyzną, i to potężnie zbudowanym, a pani Paulsson doskonale umie odgrywać rolę bezbronnej, budzącej współczucie istoty. Wspomnienie tej kobiety podsycił gniew Kay.

– Nie zadzwoni – odpowiada. – Udowodniłam jej blef. Dziś w nocy będą się jej śnić wyłącznie czarodziejskie dowody, które wyniosłam od niej z domu. No i oczywiście gra. Ta kobieta nie ma najmniejszej ochoty, żeby gliny albo inni ludzie dowiedzieli się o rozrywkach, jakie odbywają się w jej staroświeckim domeczku. Pozwól, że zadam ci pytanie. – Zerka na niego sponad papierów. – Jak myślisz, czy gdyby Gilly żyła i była w domu, Suzie, jak ją nazywasz, zrobiłaby to samo, co wczoraj w nocy? To tylko gdybanie, zgadzam się. Ale jak myślisz?

– Myślę, że ona robi wszystko, na co ma ochotę – odpowiada Marino posępnie, a w jego głosie pobrzmiwa pretensja i wściekłość powstrzymana przez wstyd.

– Pamiętasz, czy była pijana?

– Była na haju. Na niebotycznym haju.

– Alkoholowym czy może coś jeszcze?

– Nie widziałem, żeby łykała prochy, paliła albo coś wdychała. Ale pewnie jest wiele rzeczy, których nie widziałem.

– Ktoś będzie musiał porozmawiać z Frankiem Paulssonem – oznajmia doktor Scarpetta, przeglądając kolejny raport. – W zależności od tego, co okaże się jutro, zastanowimy się, czy Lucy mogłaby pomóc.

Detektyw robi przebiegłą minę i uśmiecha się po raz pierwszy od wielu godzin.

– A niech to. Doskonały pomysł. Lucy jest pilotem. Napuścimy ją na tego zbrojeńca.

– Właśnie. – Kay przewraca stronę i wzdycha cicho. – Nic. Nic, co mogłoby powiedzieć cokolwiek więcej o Gilly. Zmarła z powodu uduszenia i miała odpryski lakieru i metalu w ustach. A obrażenia Whitby’ego potwierdzają to, że został przejechany przez buldożer. Za wszelką cenę musimy ustalić, czy mógł mieć jakiegokolwiek powiązania z Paulssonami.

– Ona by wiedziała – zauważa Marino.

– Nie będziesz do niej dzwonił. – W tej sytuacji doktor Scarpetta mówi mu, co robić. Ma nie dzwonić do Suzanny Paulsson. – Nie igraj z losem. – Patrzy mu prosto w oczy.

– Nie powiedziałem, że zadzwonię. Ale może ona zna tego buldożerowca. Kurczę, przecież on mógł uczestniczyć w grze. Może mają jakiś klub zbrojeńców.

– Na pewno nie byli sąsiadami. – Kay sprawdza dokumenty Whitby’ego. – On mieszkał w pobliżu lotniska, co zresztą nie ma znaczenia. Jutro, jak pojedę do laboratorium, możesz spróbować coś wywęszyć.

Detektyw nie odpowiada. Nie ma ochoty rozmawiać z richmondzką policją.

– Musisz wyjść temu naprzeciw – mówi jego szefowa, zamykając teczkę.

– Naprzeciw czemu? – Marino spogląda na telefon stojący przy łóżku, zapewne rozważając znów kwestię piwa.

– Dobrze wiesz czemu.

– Nienawidzę tego twojego tonu – oświadcza opryskliwie. – Kiedy dajesz do zrozumienia, że mam się czegoś domyślić z kilku aluzji. Aczkolwiek wyobrażam sobie facetów, którzy byliby zachwyceni małomówną kobietą.

Doktor Scarpetta składa ręce na leżącej na kolanach teczce. Na jej twarzy maluje się rozbawienie. Zawsze gdy ona ma rację, on zaczyna zrzędzić. Czeką więc na następne słowa przyjaciela.

– Okej – odzywa się w końcu detektyw, który nie wytrzymuje długiego milczenia. – Wyjść naprzeciw czemu? Może po prostu powiesz mi, czemu mam stawić czoło, jeśli nie liczyć obłądu, bo aktualnie się czuję, jakbym zwariował.

– Musisz wyjść naprzeciw temu, czego się lękasz. A lękasz się policji, ponieważ ciągle nie jesteś pewny, czy pani Paulsson jednak do nich nie zadzwoniła. Otóż nie zadzwoniła. I nie zadzwoni. Stań z tym twarzą w twarz, a strach zniknie.

– Nie chodzi o strach. Chodzi o głupotę – odparowuje.

– Doskonale. W takim razie zadzwonisz do detektywa Browninga czy kogo tam chcesz, ponieważ jeśli tego nie zrobisz, będziesz brnął w głupotę. Idę do swojego pokoju – dodaje Kay, podnosząc się z fotela i odstawiając go z powrotem pod okno. – Widzimy się w holu o ósmej.

Kładąc się do łóżka, doktor Scarpetta wypija kieliszek wina, nie najlepszego cabernet z ostrym posmakiem. Niemniej siedząc samotnie w pokoju hotelowym, wypija je do ostatniej kropli. W Aspen jest o dwie godziny wcześniej, więc Benton zapewne wyszedł na kolację albo na jakieś spotkanie, zajęty tajemniczą sprawą, o której nie chce z nią rozmawiać.

Kay poprawia poduszki za swoimi wyprostowanymi plecami i odstawia pusty kieliszek na stolik obok telefonu. Patrzy na telefon, a potem na telewizor, zastanawiając się, czy nie powinna go włączyć. Postanawia nie włączać i spogląda znów na telefon, po czym podnosi słuchawkę. Wybiera numer komórki Bentona, ponieważ prosił, żeby nie dzwonić na stacjonarny, i mówił to poważnie. Wyraził się bardzo jasno. „Nie dzwoń do domu. Nie będę odbierał stacjonarnego” – tak powiedział.

„To nie ma sensu – odrzekła, wydaje się wiele miesięcy temu. – Dlaczego nie będziesz odbierał stacjonarnego?”.

„Nie chcę się rozpraszać – wyjaśnił. – Nie będę odbierał stacjonarnego. Jeśli koniecznie będziesz się chciała skontaktować, Kay, dzwoń na komórkę. Proszę, nie bierz tego do siebie. Tak musi być. Wiesz, jak to bywa”.

Benton odbiera komórkę po drugim dzwonku.

– Co robisz? – pyta Kay wpatrując się w pusty ekran telewizora naprzeciwko łóżka.

– Hej – mówi Benton ciepło, choć z dystansem. – Jestem w biurze.

Doktor Scarpetta ma przed oczami sypialnię na trzecim piętrze jego domu w Aspen, w której urządził sobie gabinet. Wyobraża sobie, jak Benton siedzi przy biurku wpatrzony w dokument otwarty w komputerze. Pracuje nad swoją sprawą, a Kay czuje się od razu lepiej, wiedząc, że on jest w domu i pracuje.

– Miałam dość paskudny dzień – oznajmia. – A ty?

– Powiedz, co słyhać.

Zaczyna opowiadać mu o doktorze Marcusie, ale nie ma ochoty się w to zagłębiać. Potem próbuje mówić o Marinie, ale jakoś brakuje jej stów. Myśli powoli, a w dodatku z jakiegoś powodu jest negatywnie nastawiona do Bentona. Tęskni za nim i jest poirytowana, więc nie chce mu o niczym naprawdę opowiadać.

– Może lepiej ty mi powiedz, co u ciebie – mówi wreszcie. – Byłeś na nartach?

– Nie.

– Pada śnieg?

– W tej chwili tak. A ty gdzie jesteś?

– Gdzie ja jestem? – Zaczyna ją to złościć. Nieważne, co jej powiedział kilka dni temu i co ona wie. Jest urażona i zła. – Pytasz tak po prostu, ponieważ nie pamiętasz, gdzie jestem? Jestem w Richmondzie.

– Oczywiście. Nie to miałem na myśli.

– Nie jesteś sam? Masz jakieś spotkanie czy coś?

– Mniej więcej.

Benton nie może rozmawiać, więc robi się jej głupio, że zadzwoniła. Wie, jak on się zachowuje, kiedy uważa, że nie jest bezpiecznie rozmawiać,

i przykro jej, że zadzwoniła. Wyobraża sobie, że on siedzi w gabinecie, i zastanawia się, co konkretnie robi. Może obawia się, że jest na podsłuchu. Nie powinna była dzwonić. A może po prostu jest zajęty, ale ona woli wierzyć, że jest ostrożny, a nie, że nie może się nią zająć. Nie powinna była w ogóle dzwonić.

– Okej – mówi. – Przepraszam, że zadzwoniłam. Nie rozmawialiśmy od dwóch dni. Ale rozumiem, że jesteś w środku jakiejś roboty, a ja padam ze zmęczenia.

– Zadzwoniłaś dlatego, że jesteś zmęczona?

Żartuje sobie z niej, delikatnie droczy się z nią, ale może jego też to troszkę zabolalo. Nie chce myśleć, że zadzwoniła dlatego, że jest zmęczona – Kay uśmiecha się do tej myśli, przyciskając telefon mocniej do ucha.

– Wiesz, jak się zachowuję, kiedy jestem zmęczona – żartuje. – Nie potrafię się opanować. – W tle pojawia się jakiś hałas, chyba czyjś głos, kobiecy głos. – Jest ktoś u ciebie? – pyta znowu, tym razem nie żartując.

Cisza, a chwilę potem jej ucho znów wyławia ten stłumiony głos. Może on tam ma włączone radio lub telewizor. A potem znów całkowita cisza.

– Benton? – pyta Kay. – Jesteś tam? Benton? A niech to – mruczy. – A niech to – powtarza, wyłączając telefon.

W supermarkecie sieci Publix na Hollywood Plaza panuje tłok. Edgar Allan Pogue idzie przez parking z pełnymi zakupów plastikowymi torbami, rozglądając się bacznie dookoła, czy ktoś nie zwraca na niego uwagi. Nikt się nie przygląda. A nawet gdyby, to bez znaczenia. Nikt go nie zapamięta, nikt się nie zastanowi nad jego wyglądem. Nigdy go nie zauważają. Poza tym on robi to, co należy. Wyświadcza światu przysługę, myśli, gdy przechodzi skrajem światła padającego na parking z wysokich latarni. Trzyma się cieni, idzie szybko, ale pewnie.

Jego biały samochód, wyglądający jak jakieś dwadzieścia tysięcy białych aut na południu Florydy, stoi zaparkowany w kącie parkingu między dwoma białymi wozami. Jednego z tych białych samochodów, lincolna, który stał z jego lewej strony, gdy Edgar Allan przyjechał, już nie ma, ale na tym miejscu los postawił inny biały wóz, tym razem chryslera. W magicznie czystych chwilach jak ta Pogue wie, że coś nad nim czuwa i kieruje jego krokami. Oko czuwa. Prowadzi go wyższa moc, bóg wszelkich bóstw, usadowiony na Olimpie największy z wszystkich bogów, niewyobrażalnie wspanialszy niż jakakolwiek gwiazda filmowa albo inny pozer z pretensjami do wszechmocy. Jak ona. Jak Wielka Ryba.

Otwiera samochód pilotem i wyciąga z bagażnika inną torbę, tym razem ze sklepu z akcesoriami do basenów. Siedząc w ciepłej ciemności na

przednim siedzeniu białego samochodu, zastanawia się, czy widzi dość dobrze, by wykonać czekające go zadanie. Światła latarni na parkingu ledwie sięgają miejsca, w którym się znajduje, czeka więc, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Wkłada kluczyk do stacyjki i włącza akumulator, żeby móc słuchać muzyki, po czym naciska dźwignię przy swoim fotelu, odsuwając go jak najbardziej do tyłu. Potrzebuje dużo miejsca do pracy. Drży z podniecenia, otwierając plastikową torbę i wyciągając z niej parę grubych gumowych rękawic, paczkę granulowanego cukru, butelkę najtańszego napoju gazowanego, rolki folii aluminiowej i taśmy klejącej, kilka dużych niezmywalnych flamastrów oraz paczkę gumy do żucia. Odkąd opuścił swoje mieszkanie o szóstej po południu, ma w ustach zatechły smak cygar. Nie może teraz zapalić. Kolejne cygaro pozwoliłoby mu pozbyć się tego stęchłego, brudnego smaku tytoniu, ale teraz nie może zapalić. Zdjąwszy papierek z jednej gumy, zwijają w małą kulkę i wsuwa do ust, po czym powtarza to samo z kolejnymi dwiema i czeka chwilę, zanim zatopi zęby w trzech kulkach gumy, a ślinianki eksplodują bólem, jakby wbijano mu w usta igły, po czym zaczynają żuć wielkimi, mocnymi poruszeniami szczęk.

Siedzi w ciemności, obracając w ustach gumę. Rap w radiu prędko go nudzi, wyszukuje więc inną stację, która gra coś, co w tych czasach nazywa się adult rockiem, po czym otwiera schowek w samochodzie i wyciąga plastikową saszetkę na zamek błyskawiczny. Do przezroczystego plastiku przyciśnięte są ludzkie włosy, czarne i kręcone, jakby w środku znajdował się skalp. Pogue delikatnie wyjmuje miękką perukę i głaszcze ją, spoglądając przy tym na alchemiczne ingrediencje leżące na siedzeniu pasażera. Uruchamia silnik.

Pastelowe kolory śródmieścia Hollywood przepływają przed nim niczym senne zjawy, a drobne białe światełka zawieszane na palmach wyglądają

jak galaktyki wokół odbywającego podróż kosmiczną Edgara Allana Pogue'a, który wyczuwa energię płynącą od tego, co leży obok niego na siedzeniu pasażera. Skręca na wschód w Hollywood Boulevard i jedzie dokładnie trzy kilometry poniżej dozwolonej prędkości, kierując się ku szosie A1A. Po jednej stronie drogi ma potężne róże i terakoty Hollywood Beach Resort, po drugiej morze.

Nad przymglonym błękitem oceanu wstaje złoto-różany dzień, jakby słońce było rozbitym jajkiem. Rudy Musil zajeżdża oliwkowozielonym hummerem pod dom Lucy, naciska pilota, żeby otworzyć bramę, i instynktownie rozgląda się dookoła, usiłując objąć wzrokiem i słuchem otoczenie. Nie ma pojęcia, dlaczego dziś rano obudził się z takim niepokojem, że wyskoczył z łóżka i postanowił sprawdzić, czy w domu Lucy wszystko w porządku.

Czarne pręty metalowej bramy powoli się odsuwają, trzęsąc się nieco na wygiętych szynach – bo chociaż brama też jest wygięta, najwyraźniej nie lubi tych wygięć. Kolejny błąd projektu, stwierdza w duchu Rudy, jak zwykle gdy przyjeżdża do łososiowej rezydencji Lucy. Największym błędem było oczywiście kupno tego domu. To jest jak siedziba jakiegoś obrzydliwie bogatego handlarza narkotyków, myśli. Ferrari to jedno. Jest w stanie zrozumieć chęć posiadania najlepszych samochodów i najlepszych helikopterów. On również lubi swojego hummera, ale potrzeba posiadania rakiety lub czołgu to jedno, a potrzeba posiadania kotwicy, wielkiej krzykliwej kotwicy – to drugie.

Zauważa to w chwili, gdy przejeżdża przez bramę, ale nie przygląda się ani nie zastanawia, dopóki nie dostanie się na podjazd i nie wysiądzie z hummera. Dopiero wtedy się cofa, by podnieść gazetę, i widzi, że

chorągiewka na skrzynce na listy jest podniesiona. Lucy nie dostaje poczty do domu, poza tym nie ma jej w domu, żeby podnieść chorągiewkę. Nie podniosłaby jej zresztą, nawet gdyby tu była. Wszelkie listy wysyła się i odbiera z biura i obozu treningowego pół godziny jazdy stąd w Hollywood.

Dziwne, myśli Rudy, podchodząc do skrzynki na listy i stając przy niej z gazetą w jednej ręce, drugą zaś odgarniając wypłowiałe na słońcu włosy, układające się w kosmyki. Nie ogolił się dziś ani nie wziął prysznic, a jedno i drugie bardzo by mu się przydało. Spał niespokojnie przez całą noc, rzucając się na łóżku i pocąc, i za nic w świecie nie mógł się uspokoić. Rozgląda się w zamyśleniu. Nikogo nie ma na ulicy. Nikt nie biega ani nie spaceruje z psem. Musil zauważył, że w tej okolicy ludzie żyją samotnie, robiąc niewielki użytek ze swoich bogatych czy skromniejszych domów. Rzadko się zdarza, by ktoś siedział na patio albo korzystał z basenu, a ci, którzy mają łodzie, rzadko gdzieś nimi pływają. Dziwaczne miejsce, stwierdza Rudy. Nieprzyjemne, przerażające, paskudne miejsce, myśli z gniewem.

A mogła zamieszkać, gdzie chciała, myśli dalej. Dlaczego akurat tutaj? Dlaczego, u diabła, tutaj? Czemu chcesz żyć otoczona przez dupków? Złamałaś wszystkie swoje zasady, Lucy, wszystkie po kolei, tłumaczy jej w duchu, otwierając skrzynkę na listy. Patrzy do środka i natychmiast odruchowo uskakuje w bok. Niewiele myśląc, cofa się jakieś trzy metry, czując nagły skok adrenaliny na widok tego, co tam zobaczył.

– Cholera! – mówi. – Jasna cholera!

Ruch w centrum jest jak zwykle potężny. Doktor Scarpetta prowadzi, ponieważ Marino wciąż nie najlepiej się porusza. Najgorsze są obrażenia w miejscach, o których się nie mówi, toteż chodzi na nieco rozkraczonych nogach i wyglądał nieco dziwacznie, gdy wsiadał przed paroma minutami do suva. Kay pamięta, co widziała, ale czerwono-fioletowa barwa podrażnionej delikatnej tkanki była zaledwie niczym cichy jęk w porównaniu z głośnymi krzykami bólu, jakie zapewne wydawałyby teraz opuchnięte skaleczenia, gdyby mogły krzyczeć. Marino jeszcze przez jakiś czas będzie nie w formie.

– Jak się czujesz? – pyta go setny raz. – Mam nadzieję, że mi powiesz. – Nie zamierza mówić wprost. Nie zamierza kazać mu raz jeszcze zdejmować spodni. Obejrzy rany, jeśli on będzie tego chciał, ale ma nadzieję, że nie będzie to konieczne. A poza tym on nie poprosi.

– Chyba już lepiej – odpowiada Marino, wpatrując się w stary posterunek policyjny na Dziewiątej. Budynek od lat wyglądał fatalnie: odłazący tynk, brakujące płytki przy najwyższych oknach. Teraz wygląda jeszcze gorzej, ponieważ jest pusty i milczący. – Strach myśleć, ile lat zmarnowałem w tej spelunie – dodaje.

– Przestań. – Kay włącza kierunkowskaz, który tyka niczym głośny zegarek. – Nie można tak mówić. Nie zaczynajmy dnia od takiej gadki.

Mam nadzieję, że mi powiesz, gdyby opuchlizna się powiększyła. Musisz bezwzględnie mówić mi prawdę.

– Czuję się lepiej.

– To dobrze.

– Posmarowałem się rano jodyną.

– To dobrze. Smaruj się po każdym prysznicu.

– Już nawet tak nie piecze. Naprawdę. Ale co, jeśli ona jest czymś zarażona, na przykład AIDS? Właśnie przyszło mi to do głowy. Co, jeśli tak jest? Skąd mam wiedzieć, że nie?

– Niestety, nie masz jak się tego dowiedzieć – odpowiada doktor Scarpetta, jadąc powoli Clay Street, obok wielkiego brunatnego Coliseum przycupniętego pośrodku parkingów po ich lewej stronie. – Ale może cię pocieszy wiadomość, że gdy myszkowałam po jej domu, nie widziałam żadnych leków, które mogłyby wskazywać, że ma AIDS albo jakąkolwiek inną chorobę, weneryczną czy przenoszoną drogą płciową. Oczywiście to nie znaczy, że nie jest zarażona wirusem HIV. Może być i nawet o tym nie wiedzieć. Ale to samo można powiedzieć o każdej kobiecie, z którą miałeś intymnie do czynienia. Więc jeśli chcesz wpadać w hipochondrię, proszę bardzo.

– Nie chcę wpadać w hipochondrię, uwierz mi – odpowiada detektyw. – Ale dosyć ciężko jest założyć gumkę, gdy ktoś cię gryzie. Nieszczególnie możesz się chronić. Bezpieczny seks nie bardzo wchodzi wtedy w rachubę.

– Oględnie powiedziane – rzuca mu Kay, skręcając w Czwartą. Dzwoni jej komórka; doktor Scarpetta rozpoznaje numer Rudy’ego, co ją niepokoi. Musil rzadko do niej dzwoni, a kiedy już, to zazwyczaj żeby złożyć życzenia urodzinowe albo przekazać jakieś złe wieści.

– Cześć, Rudy – mówi, jadąc powoli po parkingu. – Co słychać?

– Nie mogę znaleźć Lucy – słyszy w odpowiedzi jego zdenerwowany głos. – Albo jest poza zasięgiem, albo ma wyłączoną komórkę. Dziś rano poleciała helikopterem do Charlestonu.

Kay rzuca spojrzenie na Marina. Zapewne po tym, jak wyszła od niego wczoraj wieczorem, zadzwonił do Lucy.

– Ładny zbieg okoliczności – ciągnie Rudy. – Niech to!

– Rudy, co się dzieje? – pyta Kay, tym razem już dość zaniepokojona.

– Ktoś włożył jej bombę do skrzynki na listy – odpowiada szybko Musil.

– Za dużo do wyjaśniania. I co najmniej część sama powinna ci opowiedzieć.

Przerażenie sprawia, że Kay omal nie zatrzymuje się na samym środku parkingu po drodze do miejsc dla gości.

– Kiedy i co? – pyta.

– Dopiero to znalazłem. Niecałą godzinę temu. Przyjechałem sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zobaczyłem chorągiewkę na skrzynce, co nie miało sensu. Otworzyłem, a w środku był wielki plastikowy kubek, cały zamalowany flamastrem na pomarańczowo, tylko pokrywka na zielono. Pokrywka przyklejona taśmą, dziurka do picia zaklejona, a ponieważ nie widziałam, co tam jest, wziąłem taki długi kij z garażu, jak się to nazywa? Ma takie uchwyty na końcu, do zmieniania żarówek w lampach wiszących wysoko. Podniosłem kubek kijem, zaniósłem za dom i zająłem się tym cholerstwem.

Kay nie spieszy się z parkowaniem, samochód ledwie pełźnie do przodu.

– Jak sobie poradziłeś? Wolę nie pytać.

– Zdetonowałem. Nie martw się. Lontem. To była chemiczna bomba, butelkowa, wiesz, o co chodzi. Z kawałkami folii aluminiowej w środku.

– Metal dla przyspieszenia reakcji. – Doktor Scarpetta rozpoczyna analizę bomby. – Typowe w ładunkach domowej roboty, gdy wykorzystano

środki czystości zawierające kwas chlorowodorowy jak na przykład te płyny do klozetów, które możesz kupić w Wal-Marcie i w sklepie spożywczym czy chemicznym. Przepis niestety można znaleźć w Internecie.

– To miało kwaskowaty zapach, trochę jak chlor, ale ponieważ odpalałem nad basenem, zapach mógł być z wody.

– Zapewne granulaty chlorowe do basenów i jakiś słodki napój gazowany. Też typowe. Analiza chemiczna wszystko wyjaśni.

– Spoko, zrobimy analizę.

– Zostało coś z kubka?

– Sprawdzimy odciski palców i jeśli cokolwiek będzie, wrzucimy natychmiast do IAFIS.

– Jeśli odciski są świeże, teoretycznie macie szansę na DNA. Warto spróbować.

– Weźmiemy próbki z kubka i taśmy klejącej, nie martw się. Każda sugestia, że ma się nie martwić, coraz bardziej niepokoi Kay.

– Nie dzwoniłem na policję – uprzedza ją Rudy.

– Nie będę ci prawić kazań na ten temat. – Dawno zrezygnowała z pouczania jego czy kogokolwiek z nim związanego. Zasady, jakimi kieruje się Lucy i jej ludzie, są odmienne, twórcze i ryzykowne, często również niekoniecznie zgodne z tym, co przewiduje prawo. Doktor Scarpetta zrezygnowała z dopytywania się o szczegóły, które potem nie dawałyby jej spać.

– To może mieć związek z innymi rzeczami – dodaje Musil. – Lucy powinna ci opowiedzieć. Jeśli skontaktowałabyś się z nią wcześniej niż ja, powiedz, że ma do mnie natychmiast zadzwonić.

– Rudy, i tak zrobisz, jak uważasz. Mam tylko nadzieję, że w domu nie ma więcej bomb, że ktokolwiek to podrzucił, nie przyniósł ich więcej i nie

wymyślił też czegoś innego – mówi doktor Scarpetta. – Widziałam przypadki, w których ludzie umierali, gdy takie chemikalia wybuchają im prosto w twarz, albo obrywali nimi tak, że to się dostawało do dróg oddechowych i płuc. Te kwasy są tak silne, że reakcja nie musi być całkowita, by spowodować wybuch.

– Wiem, wiem.

– Proszę, znajdź jakiś sposób, żeby się upewnić, że w pobliżu nie ma innych ofiar albo potencjalnych ofiar. To zawsze najbardziej mnie niepokoi, gdy bierzecie sprawy we własne ręce. – To jej sposób wskazania mu, że skoro nie zamierza zawiadamiać policji, powinien przynajmniej wziąć odpowiedzialność za bezpieczeństwo innych ludzi.

– Wiem, co robić, nie martw się.

– Jezu! – Doktor Scarpetta kończy rozmowę i patrzy na Marina. – Co, na litość boską, tam się dzieje? Pewnie dzwoniłeś wieczorem do Lucy? Mówiła ci coś? Nie widziałam się z nią od września. Nie mam pojęcia, co tam się wyprawia.

– Bomba kwasowa? – Detektyw pręży się na siedzeniu, jak zawsze gotów do walki, jeśli ktoś chce skrzywdzić Lucy.

– Bomba chemiczna. Podobna do tych, które przysporzyły nam tyle kłopotów w Fairfax. Pamiętasz wszystkie te bomby w północnej Wirginii kilka lat temu? Grupa małych dzieci mających za dużo czasu, którzy uważali, że wysadzanie skrzynek pocztowych jest świetną zabawą, dopóki ta kobieta nie zginęła?

– Cholera! – warczy Marino.

– Łatwe do wykonania i bardzo niebezpieczne. Kwasowość poza skalą, pH jeden albo i mniej. Takie coś mogło wybuchnąć Lucy w twarz. Mam tylko nadzieję, że nie wyjęłaby tego ze skrzynki własnymi rękami. Ale z nią nigdy nic nie wiadomo.

– U niej w domu? – Gniew Marina rośnie. – Bomba była w tej jej rezydencji na Florydzie?

– Co jej powiedziałaś wczoraj wieczorem?

– Powiedziałem jej tylko o Franku Paulssonie i o tym, co się tutaj dzieje. Tyle. Obiecała, że się tym zajmie. W tym jej wielkim domu z kamerami i całym tym sprzętem? W tym domu była bomba?

– Chodź. – Doktor Scarpetta otwiera drzwiczki. – Opowiem ci po drodze.

Światło poranka pada na stojące przy oknie biurko, przy którym siedzi Rudy, stukając na komputerze. Uderza w kilka klawiszy i czeka, potem szybko coś pisze i czeka znowu, przesuwa strzałkę i klika, poszukując w Internecie czegoś, co jego zdaniem powinno tam być. Coś musi być. Szaleniec zobaczył tam coś, co go pobudziło do działania. Rudy wie, że bomba nie trafiła do Lucy przypadkowo.

Od dwóch godzin Musil siedzi w biurze obozu treningowego i przegląda Internet, podczas gdy jeden z techników w pobliskim prywatnym laboratorium przegląda IAFIS w poszukiwaniu odcisków lub częściowych odcisków palców. Coś już jest. Nerwy Rudy'ego szarpią jak któreś z ferrari Lucy na szóstym biegu. Wybiera numer telefonu i wsuwa słuchawkę pod ramię, jednocześnie pisząc na klawiaturze i wpatrując się w płaski monitor.

– Hej, Phil – mówi. – Duży plastikowy kubek z kotem, tym w kapeluszu. Z tych największych. Wieczko oryginalne białe. Tak właśnie, taki kubek, jaki dostajesz w sklepie spożywczym czy na stacji benzynowej i sam napełniasz. Chodzi jednak o tego kota. Na ile to nietypowe? Może da się wyśledzić pochodzenie? Nie, nie żartuję. To marka towarowa, prawda? Ale film nie jest zbyt nowy. Zeszłe święta, nie? Nie, nie widziałem i przestań się nabijać. Poważnie, gdzie jeszcze mogłyby być kubki z kotem w kapeluszu po takim czasie? W najgorszym przypadku gość ma je od dawna.

Ale warto spróbować. Tak, są odciski. Ten facet nawet się nie stara ich usunąć. To znaczy ma w dupie to, że zostawia wszędzie mnóstwo śladów. Na rysunku, który przykleił szefowej do drzwi. W sypialni, gdzie zaatakował Henri. A teraz na bombie. I mamy wreszcie trafienie w IAFIS. Tak, uwierzyłybyś? Nie, nie znamy jeszcze nazwiska. Może go w ogóle nie być. Trafienie jest w porównaniu ukrytych z ukrytymi, zgadza się z częściowymi z jakiejś innej sprawy. Sprawdzamy to. Na razie mamy tylko tyle.

Odkłada słuchawkę i wraca do komputera. Lucy ma więcej potężnych wyszukiwarek w Internecie niż Pratt & Whitney silników odrzutowych, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że informacje w WWW mogą mieć coś wspólnego z nią samą. Do niedawna nie miała się czym przejmować. Agenci specjalni zazwyczaj nie przyciągają wielkiej uwagi, chyba że są byłymi agentami i marzą o Hollywood. Lucy otarła się o Hollywood, a potem otarła się o Henri i wtedy jej życie zmieniło się zasadniczo i na gorsze. Przeklęta Henri, myśli Rudy, stukając w klawiaturę. Do cholery z nią. Niech diabli porwą niespełnioną aktorkę Henri, która postanawia zostać gliną. I niech diabli porwą Lucy za to, że ją zatrudniła.

Rozpoczyna nowe wyszukiwanie, tym razem wpisując jako słowa kluczowe „Kay Scarpetta” i „siostrzenica”. Zaczyna się robić interesująco. Musil bierze do ręki ołówek i przekłada go między palcami, czytając artykuł z Associated Press z września zeszłego roku. Jest to króciutka notatka informująca o tym, że stan Wirginia wyznaczył nowego głównego koronera, doktora Joela Marcusa z St. Louis, i że nowy szef obejmie dawne stanowisko Kay Scarpetty po latach pustki, chaosu i tak dalej. W tej właśnie krótkiej notatce pojawia się też wzmianka o Lucy. Od wyjazdu z Wirginii, informuje dalej artykuł, doktor Scarpetta pracuje jako ekspert w prywatnej

agencji śledczej znanej jako Ostatni Posterunek, założonej przez jej siostrzenicę, była agentką FBI – Lucy Farinelli.

Nie do końca prawda, myśli Rudy. Doktor Scarpetta niezupełnie pracuje u Lucy, ale nie znaczy to, że czasem nie trafiają im się wspólne sprawy. Nie ma mowy o tym, żeby Kay pracowała kiedykolwiek u siostrzenicy, i Rudy nie ma do niej o to pretensji, sam bowiem nie wie, jak to się stało, że on pracuje u Lucy. Zapomniał o artykule i zajmuje się teraz rozpamiętywaniem, jak się na nią złościł i jak żądał wyjaśnień, jakim cudem jej nazwisko i nazwa Ostatni Posterunek znalazły się w tym cholernym artykule o doktorze Joelu Marcusie. Ostatnią rzeczą, o której marzyłby Ostatni Posterunek, jest rozgłos, no i nie było rozgłosu, dopóki Lucy nie wplątała się w branżę rozrywkową – wtedy do mediów zaczęły wyciekać najrozmaitsze pogłoski.

Rudy zaczyna kolejne wyszukiwanie, mrużąc przy tym oczy i usiłując wymyślić kombinację, której jeszcze nie próbował, po czym jego palce mimo woli wstukują hasła kluczowe „Henrietta Walden”. Strata czasu, myśli. Kiedy była bezrobotną aktorką klasy B, nazywała się Jen Thomas czy równie nijako. Sięga, nie patrząc, po stojącą obok puszkę pepsi i nie dowierza własnym oczom. Wyszukiwarka znalazła trzy informacje.

– Niechże to przynajmniej coś będzie – mówi Rudy do pustego gabinetu, klikając w pierwszy z odnośników.

Henrietta Taft Walden, zmarła sto lat temu, była zamożną abolicjonistką z miasteczka Lynchburg w Wirginii. Niezły numer. Musil z trudem wyobraża sobie los abolicjonisty w Wirginii w czasie wojny secesyjnej. Babka z jajami, przyznaje. Otwiera następny adres. Ta Henrietta Walden żyje, ale jest wiekowa i mieszka na farmie, również w Wirginii, hoduje konie i ostatnio podarowała milion dolarów na rządową organizację zajmującą się równouprawnieniem rasowym. Zapewne jakaś krewniaczka

pierwszej Henrietty, myśli Rudy, zastanawiając się, czy Jen Thomas zapożyczyła pseudonim od tych skądinąd wybitnych abolicjonistek, jednej od dawna nieżyjącej, a drugiej ledwie żywej. Jeśli tak, to dlaczego? Przypomina sobie Henri wyglądającą jak archetyp blondynki i jej pretensjonalną modliszkowatość. Dlaczego miałyby ją zafascynować historia kobiet zaangażowanych w prawa czarnych? Dochodzi do cynicznego wniosku, że zapewne dlatego, że taka jest moda w liberalnym Hollywood, po czym otwiera trzeci adres.

Tym razem trafia na krótki artykuł z „The Hollywood Reporter”, opublikowany w połowie października:

W POWAŻNEJ ROLI

Była aktorka, a ostatnio policjantka w Los Angeles Henri Walden dołączyła do prestiżowej międzynarodowej prywatnej agencji ochrony znanej jako Ostatni Posterunek, której właścicielką i szefową jest niejaka Lucy Farinelli, była agentka specjalna, znana z zamiłowania do helikopterów i szybkich samochodów, a na dodatek siostrzenica słynnej prawdziwej Dany Scully, czyli doktor Kay Scarpetty. Ostatni Posterunek, którego kwatera główna mieści się w pomniejszym Hollywood na Florydzie, otworzył ostatnio biuro w Los Angeles, by zaoferować swoje usługi płaszczą i szpady gwiazdom showbiznesu. Mimo że lista klientów jest ściśle tajemniczą, naszym reporterom udało się ustalić, że są wśród nich najślawniejsze nazwiska filmowe i muzyczne, chociażby takie supergwiazdy jak aktorka Gloria Rustic i raper Rat Riddly.

– To najbardziej podniecająca i wymagająca rola, jaką dotychczas zagrałam – wyznała pani Walden, pytana o swe najnowsze zajęcie. – Kto może lepiej chronić wielkie gwiazdy niż osoba, która wcześniej pracowała w tym biznesie? „Pracowała” jest określeniem mocno na wyrost, jako że

blondwłosa piękność miała raczej dużo wolnego czasu, próbując siłą jako aktorka. Nie robi jednak tego dla pieniędzy, pochodzi bowiem z bardzo zamożnej rodziny. Henri Walden wystąpiła w epizodycznych rólkach w wysokobudżetowych produkcjach takich jak „Szybka śmierć” i „Nie idź tam”. Możecie spróbować ją odszukać. To ta z pistoletem.

Rudy drukuje artykuł i siada wygodnie na krześle, nie zdejmując palców z klawiatury. Wpatruje się w ekran, usiłując zgadnąć, czy Lucy wie o tym artykule. Jeśli wie, to czemu nie wpadła w furję, czemu nie zwolniła Henri, jak tylko się dowiedziała? I dlaczego nic mu nie powiedziała? Takie naruszenie zasad jest niewyobrażalne. Jest zszokowany, że szefowa mogła na coś takiego pozwolić, zakładając, że tak właśnie było. Musil nie wyobraża sobie, żeby ktokolwiek zatrudniony w Ostatnim Posterunku udzielał wywiadów w mediach czy nawet luźno rozmawiał o agencji – chyba że byłoby to częścią zakrojonej na większą skalę operacji. Mogę to sprawdzić tylko w jeden sposób, myśli, sięgając po słuchawkę telefonu.

– Hej – mówi, słysząc głos Lucy. – Gdzie jesteś?

– W St. Augustine, tankuję paliwo. – W jej głosie słycać czujność. –
Wiem już o tej cholерnej bombie.

– Dzwonię w innej sprawie. Zakładam, że rozmawiałaś już z ciotką.

– Marino do mnie zadzwonił. Nie mam czasu na gadanie o tym – rzuca ze złością Lucy. – Masz coś jeszcze do mnie?

– Czy wiesz, że twoja przyjaciółka udzieliła wywiadu na temat pracy u nas?

– To nie ma nic wspólnego z tym, że ona jest moją przyjaciółką.

– O tym porozmawiamy później – oświadcza Rudy ze spokojem, powstrzymując się od wybuchu. – Odpowiedz na pytanie: wiedziałaś?

– Nic nie wiem o żadnym wywiadzie. Co to za artykuł?

Rudy czyta Lucy cały tekst przez telefon, a kiedy kończy, nie może się doczekać na jej reakcję, ale pewność, że będzie reakcja, poprawia mu nieco humor. Ta sytuacja cały czas nie była w porządku. Może wreszcie Lucy będzie zmuszona to przyznać.

– Jesteś tam? – pyta Rudy, gdy szefowa nie odpowiada.

– Tak. – W jej głosie brzmi irytacja. – Nie wiedziałam.

– Teraz już wiesz. I mamy całą nową galaktykę do przeszukania. Jej zamożna rodzinka, ich ewentualne powiązania z tak zwanymi waldensami i cholera wie, co jeszcze. Ale najważniejsze pytanie brzmi: czy szaleniec czytał ten artykuł, a jeśli tak, to o co mu chodzi? Nie mówiąc już o tym, że jej pseudonim to imię i nazwisko znanej abolicjonistki, a ona jest z Wirginii. Zupełnie jak poniekąd ty. Może to, że się na nią natknęłaś, nie było całkowitym przypadkiem?

– To niedorzeczne. Teraz to już ci zupełnie odbija – odpowiada Lucy z gniewem. – Była na liście policjantów w Los Angeles, którzy zajmowali się ochroną...

– Bzdura – przerywa jej Rudy, jego gniew też osiągnął punkt krytyczny.

– Do diabła z tą listą. Rozmawiałaś z miejscowymi policjantami i nagle pojawiła się ona. Wiesz doskonale, że nie miała żadnego doświadczenia w ochronie, ale mimo to ją zatrudniłaś.

– Nie chcę o tym rozmawiać przez komórkę. Nawet przez naszą.

– Ja też nie. Pogadaj z Freudem. – Takim kodem Rudy określa Bentona Wesleya. – Poważnie, zadzwoń do niego. Może on coś wymyśli. Powiedz, że wysyłam mu ten artykuł emailem. Poza tym mamy odciski. Ten sam szaleniec, który zostawił ci cudny rysunek, podrzucił również paczuszkę do skrzynki.

– Też mi niespodzianka. Mówiłam, że nie potrzebujemy dwóch. Poza tym gadałam z Freudem. Będzie mnie wspierał w tym, co mam do

zrobienia tutaj.

– Dobry pomysł. Och, byłbym zapomniał. Znalazłem włos przyklejony do taśmy. Taśmy klejącej na bombie.

– Jaki włos?

– Około piętnastu centymetrów długości, ciemny, kręcony. Wygląda dość wyraźnie na ludzki włos z głowy. Później powiem ci więcej, zadzwoń na stacjonarny. Mam mnóstwo roboty. Może twoja przyjaciółka coś wie, jeśli uda ci się choć raz zmusić ją do powiedzenia prawdy.

– Nie nazywaj jej moją przyjaciółką – powtarza Lucy. – I nie wracajmy więcej do tego tematu.

Kiedy Kay Scarpetta i wlokący się za nią Marino, który usiłuje wyglądać normalnie, przekraczają próg budynku biura koronera, strażnik Bruce prostuje się, a na jego twarzy widać panikę.

– Ehm, dostałem polecenie... – mówi, unikając wzroku dawnej pracodawczyni. – Szef powiedział, że żadnych gości. Chyba że nie miał pani na myśli? Jest pani umówiona?

– Nie jestem – odpowiada lekko doktor Scarpetta. Nic już nie jest jej w stanie zaskoczyć. – I zapewne miał mnie na myśli.

– Oj, ale mi przykro. – Bruce jest autentycznie zakłopotany, aż się rumieni. – Siemasz, Pete?

Marino opiera się o blat recepcji, stojąc na szeroko rozstawionych nogach. Spodnie zwisają mu nieco niżej niż zwykle. Gdyby musiał kogoś ścigać, zapewne by je zgubił.

– Bywało lepiej – warczy. – A więc Mały Wódz Wielkie Ego nie chce nas wpuścić? To właśnie nam powiedziałaś, Bruce?

– Ten facet... – zaczyna strażnik i szybko milknie. Podobnie jak większość ludzi, chciałby zachować posadę. Ma elegancki granatowy mundur, nosi broń i pracuje w pięknym budynku. Lepiej się tego trzymać, nawet jeśli doktor Marcus jest nie do wytrzymania.

– Ha – mówi detektyw, robiąc krok w tył. – Cóż, przykro mi, że rozczarujemy Małego Wodza, ale nie przyszliśmy do niego. Mamy dowody, które trzeba oddać do laboratorium. Do Śladów. Ale ciekaw jestem, jak dokładnie brzmiał rozkaz? Ciekaw jestem, jak on to ujął w słowa.

– Ten facet... – powtarza Bruce, potrząsa głową i milknie. Naprawdę lubi swoją pracę.

– W porządku – zapewnia go doktor Scarpetta. – Rozumiem doskonale. Dziękuję, że mi powiedziałaś. Cieszę się, że ktoś mi powiedział.

– To on powinien pani powiedzieć. – Bruce znów urywa po kilku słowach, rozglądając się ostrożnie. – Chciałbym, żeby pani wiedziała, że my wszyscy cieszymy się, widząc tu panią, pani doktor.

– Prawie wszyscy. – Doktor Scarpetta się uśmiecha. – Nie ma problemu. Możesz zawiadomić pana Eisego, że przyszliśmy? Z nim jesteśmy umówieni – dodaje, kładąc nacisk na „jesteśmy”.

– Oczywiście, pani doktor. – Bruce wydaje się trochę pocieszony. Podnosi słuchawkę, wybiera wewnętrzny i przekazuje wiadomość.

Doktor Scarpetta i Marino stoją przez minutę albo i dwie, czekając na windę. Można ją wzywać przez cały dzień bez efektu, chyba że jest się posiadaczem magicznej karty magnetycznej albo też ktoś, kto ma takową, pośle kabinę. Drzwi otwierają się, więc oboje wsiadają i Kay naciska guzik trzeciego piętra. Przez ramię ma przewieszoną torbę z zestawem kryminalistycznym.

– Ten sukinsyn ma cię w dupie – zauważa Marino, gdy winda podrywa się do krótkiej jazdy.

– Na to wygląda.

– I co? Co z tym zrobisz? Nie możesz dać mu się ot tak wymknąć. Błaga cię o przyjazd do Richmondu, a potem traktuje jak szmatę! Ja bym go wylał.

– Prędzej czy później go wyleją. A ja mam ciekawsze rzeczy do roboty – stwierdza Kay, w chwili gdy w stalowych drzwiach ukazuje się Junius Eise, czekający na nich w białym korytarzu.

– Dziękuję, Junius – mówi doktor Scarpetta, podając mu rękę. – Miło cię znów widzieć.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada Eise nieco zawstydzony.

Jest dziwacznie wyglądającym mężczyzną o wodnistych oczach. Środek jego górnej wargi znaczy cienka blizna ciągnąca się aż do nosa, typowa pozostałość po nie najlepiej wykonanej w dzieciństwie operacji rozszczepionego podniebienia. Ale nie tylko wygląd sprawia, że Eise wydaje się taki dziwaczny, i Kay wiedziała o tym już dawno temu, kiedy spotykała go od czasu do czasu w laboratorium. Nie rozmawiali często, ale zdarzało jej się zasięgać jego rady. Kiedy tu szefowała, starała się być miłą i za punkt honoru uważała okazywanie laborantom szacunku, który zresztą autentycznie do nich żywiła, nie była jednak nigdy przesadnie wylewna. Idąc obok Eisego labiryntem białych korytarzy i przeszklonych salek, gdzie widać pochylonych nad sprzętem naukowców, zdaje sobie sprawę, że w czasach, gdy tu pracowała, postrzegano ją jako osobę chłodną i budzącą postrach. Jako szefowa, zdobyła respekt ludzi, ale rzadko ciepłe uczucia. To było trudne, bardzo trudne, żyła z tym jednak, ponieważ była to cena jej stanowiska. Teraz nie musi tak być.

– Co u ciebie słyhać, Junius? – pyta. – Słyszałam, że nie próżnowaliście z Marinem w klubie policyjnym? Mam nadzieję, że nie zamartwiasz się tym ostatnim dziwnym przypadkiem z substancjami śladowymi? Jeśli ktokolwiek potrafi to rozwikłać, to tylko ty.

Eise rzuca jej spojrzenie pełne niedowierzania.

– Miejmy nadzieję – odpowiada z lekkim zdenerwowaniem. – Jedyne, co mogę na razie stwierdzić, to że ja niczego nie pomieszałem. Nie obchodzi mnie, co mówią inni. Ja tych próbek nie pomieszałem i już.

– Byłbyś ostatnią osobą, którą bym o to posądzała.

– Dziękuję. Miło to usłyszeć z pani ust. – Unosi wiszącą na szyi kartę, przesuwa ją przed czujnikiem i zamek otwiera się z kliknięciem. Eise uchyla drzwi.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, co to może znaczyć – ciągnie, wchodząc do pokoju sekcji dowodów śladowych. – Ale wiem, że nie pomyliłem próbek. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Ani razu. A przynajmniej nigdy w tych przypadkach, kiedy nie wiedziałem, co z nimi począć, a sąd też był bezradny.

– Rozumiem.

– Pamięta pani Kit? – pyta Eise tonem, który sugeruje, że ta jest gdzieś w pobliżu, ale jej nie ma. – Nie ma jej dzisiaj, została w domu, bo się pochorowała. Mówię pani, pół świata ma grypę. Ale wiem, że chciała się z panią zobaczyć. Będzie jej przykro, że się rozminęłyście.

– Przekaż jej, że ja też żałuję – mówi doktor Scarpetta, podchodząc do długiego czarnego blatu, miejsca pracy Juniusa.

– Słuchaj – odzywa się Marino – jest tu może gdzieś jakieś spokojne miejsce z telefonem?

– Jasne. Gabinet szefowej sekcji za rogiem. Ona jest dziś w sądzie. Skorzystaj, wiem, że nie miałaby nic przeciwko.

– W takim razie sami taplajcie się w błocie – mówi detektyw, odchodząc w tamtym kierunku na lekko ugiętych nogach, jak kowboj, który właśnie wrócił z długiej i męczącej przejażdżki.

Eise przykrywa czystym białym papierem część blatu, a doktor Scarpetta otwiera swoją czarną torbę i wyciąga próbki gruntu. Laborant przynosi

drugie krzesło, żeby mogła usiąść koło niego przy precyzyjnym mikroskopie, i podaje jej parę rękawiczek. Pierwszy etap skomplikowanego procesu badawczego jest najprostszy. Eise bierze do ręki małą szpachelkę, zanurza ją w jednym z worków, nakłada próbkę czerwonej glinki i piaszczystego pyłu na czyste szkiełko i wsuwa je pod mikroskop. Zagląda w okular, wyrównuje ostrość i powoli porusza szkiełkiem, a Kay przygląda się temu, nie dostrzegając nic poza smugami wilgotnego czerwonego pyłu. Eise wyjmuje szkiełko, kładzie je na białym papierowym ręczniku i tą samą metodą przygotowuje kilka następnych próbek.

Dopiero w drugim z worków z ziemią pochodzącą z miejsca rozbiórki znajduje się coś, co przykuwa uwagę Juniusa.

– Gdybym nie widział tego na własne oczy, to bym nie uwierzył – mówi, podnosząc głowę nad podwójny okular. – Niech pani sama zobaczy. – Odsuwa się na bok z krzesłem, żeby mogła wygodnie popatrzeć.

Doktor Scarpetta zbliża się do mikroskopu i spogląda przez obiektyw na małe wysypisko piasku i innych minerałów, fragmentów roślin, szczątków owadów i wiórków tytoniu – wszystko to normalne na brudnym parkingu – i zauważa kilka płatków metalu częściowo w kolorze mętnego srebra. To nie jest normalne. Kay rozgląda się za jakimś ostro zakończonym narzędziem i znajduje kilka pod ręką. Delikatnie przesuwając metaliczne wiórki, oddzielając je od reszty. Na tym szkiełku są dokładnie trzy, wszystkie minimalnie większe od największych drobinek krzemionki czy innego pyłu. Dwa są czerwone, a jeden biały. Manipulując dalej wolframową igłą, doktor Scarpetta odkrywa jeszcze coś, co przyciąga jej uwagę. Coś, co natychmiast rozpoznaje, aczkolwiek daje sobie czas do namysłu, zanim się wypowie. Chce uzyskać całkowitą pewność.

To coś ma wielkość najmniejszego z kolorowych odprysków, szarozółtą barwę i charakterystyczny kształt, nietypowy zarówno dla minerałów, jak i tworzyw sztucznych. Prawdę mówiąc, ta drobinka wygląda jak prehistoryczny ptak o głowie w kształcie młotka, oku, wąskim dziobie i bulwowatym ciele.

– Płaskie płytki blaszek. Wyglądają jak koncentryczne koła i są warstwami kości, zupełnie jak słoje drzewa – mówi Kay, przesuwając delikatnie drobinę. – A tu żłobienia i kanaliki. To te otwory, które widać, kanaliki Haversa, czyli po prostu kanaliki, przez które biegną naczynia krwionośne. Włóż to pod polaryzacyjny, a zobaczysz pofalowane wypustki, podobne nieco do wachlarzy. Obstawiam poza tym, że jak dasz próbki do dyfrakcji rentgenowskiej, wyjdzie ci, że to fosforan wapnia. Innymi słowy pył kostny. Nie żebym była zaskoczona, wiedząc, skąd to pochodzi. W tamtym starym budynku na pewno są złoża pyłu kostnego.

– A niech mnie! – woła radośnie Eise. – Zachodziłem w głowę, co to może być. To samo znalazłem w próbkach z Chorej Dziewczynki, to znaczy ze sprawy Paulsson, skoro już przy tym jesteśmy. Mogę zajrzeć?

Doktor Scarpetta odjeżdża krzesłem; czuje ulgę, ale nadal niewiele rozumie. Odpryski lakieru i pył kostny mają sens w przypadku operatora buldożera, ale nie w przypadku śmierci Gilly Paulsson. Jakim cudem takie same substancje znaleziono w jej ustach?

– Dokładnie to same cholerstwo – stwierdza Eise z przekonaniem. – Przyniosę próbki Chorej Dziewczynki i pokażę pani. Nie do wiary. – Wyciąga grubą kopertę ze sterty papierów leżących na biurku, odkleja taśmę i wyjmuje kartonowe pudełko. – Trzymam jej próbki pod ręką, ponieważ bez przerwy je oglądałem, proszę mi wierzyć. – Kładzie jedno ze szkiełek pod mikroskopem. – Czerwone, białe i niebieskie płatki lakieru, niektóre przylegają do wiórków metalowych, inne są luzem. – Porusza

szkiełkiem i nastawia ostrość. – Lakier jest jednowarstwowy, prawdopodobnie emalia epoksydowa, ale mógł być zmieniony. To znaczy czymkolwiek był ten przedmiot, mógł oryginalnie być biały, a potem został przemalowany, zwłaszcza na czerwono, białą i niebiesko. Proszę spojrzeć.

Starannie usunął wszystkie inne cząsteczki z tego, co przysłano mu ze sprawy Paulsson, tak że na szkiełku są tylko czerwone, białe i niebieskie płatki lakieru. Robią wrażenie dużych i błyszczących jak dziecięce klocki, ale mają nieregularny kształt. Niektóre przylegają do matowego metalu, pozostałe są tylko lakierem. Kolor i struktura lakieru są identyczne z tym, co Kay widziała przed chwilą, oglądając swoje próbki gruntu, więc jej niedowierzanie właśnie sięga zenitu. Nie jest w stanie myśleć. Jej mózg pracuje jak komputer, któremu brakuje pamięci. Po prostu w żaden sposób nie potrafi powiązać tych faktów.

– A tu te inne cząsteczki, które nazywa pani pyłem kostnym. – Eise odkłada próbkę i wsuwa na jej miejsce inne szkiełko.

– To było w jej wymazach? – Doktor Scarpetta musi zadać takie pytanie, ponieważ ciężko w to uwierzyć.

– Nie ma wątpliwości. Patrzy pani na jej wymaz.

– Ten sam przeklęty pył.

– Proszę pomyśleć, ile tego tam musi być. Więcej tych pyłków niż gwiazd we wszechświecie, gdyby chcieć je stamtąd pozbierać – mówi Eise.

– Kilka z tych cząsteczek wygląda tak, jakby były stare i stanowiły rezultat naturalnego złuszczenia, kiedy okostna zaczyna się rozpadać – zauważa Kay. – Widzisz te zaokrąglone i coraz cieńsze brzegi? Takiego pyłu można się spodziewać przy szkieletach, wykopanych lub przyniesionych z lasu szczątkach kostnych i tak dalej. Z nieuszkodzonej kości mamy nieuszkodzony pył. Ale bardzo rzadko – oddziela jeden pyłek,

który jest poszarpany i popękany oraz o kilka odcieni jaśniejszy od pozostałych – wygląda jak sproszkowany.

Laborant nachyla się, żeby samemu zobaczyć, po czym usuwa się z drogi, gdy doktor Scarpetta znów zagląda w okular.

– Prawdę mówiąc, myślę, że ta cząsteczka została spalona. Zauważyłeś, jaka jest mała? Poza tym widzę ciemniejsze brzegi. Jakby była zwęglona. Założę się, że gdybym dotknęła jej palcem, przykleiłaby się do tłuszczu na mojej skórze, podczas gdy zwykła złuszczone kość nie – ciągnie zaintrygowana Kay. – Podejrzewam, że część tego, na co patrzymy, pochodzi ze spalonych szczątków. – Przygląda się poszarpanej, szarawej drobinie o zwęglonym brzegu, leżącej w świetlnym kręgu. – Wygląda na kredową i popękaną, ale niekoniecznie od wysokiej temperatury. Nie wiem. Nigdy nie musiałam szczególnie się przejmować pyłem kostnym, a zwłaszcza spalonym pyłem kostnym. Analiza chemiczna powinna więcej powiedzieć. W spalonej kości powinienes mieć inny poziom wapnia i wyższy poziom fosforu – wyjaśnia, nie odrywając oczu od podwójnego okularu. – A tak w ogóle, to należało się spodziewać prochów w gruzie ze starego budynku, bo przecież mieliśmy tam piec krematoryjny. Bóg jeden wie, ile ciał w nim spalono przez tych kilkadziesiąt lat. Trochę mnie jednak dziwi, że pył kostny jest w próbce ziemi, którą przyniosłam. Zdrapywałam to błoto z chodnika w pobliżu tylnych drzwi. A tył budynku ciągle stoi, nie zabrali się też jeszcze do parkingu. Zakład Anatomii powinien więc być nietknięty. Pamiętasz tylne wejście do starego budynku?

– Pewnie.

– To właśnie tam było. Skąd na parkingu, na samym środku, wzięłyby się pył kostny z krematorium? Chyba że ktoś go wyniósł na zewnątrz.

– Ma pani na myśli coś takiego, że ktoś zszedłby do Zakładu Anatomii, a następnie wyniósł na podszwach pył na parking?

– Nie wiem, być może, na to wygląda. Zakrwawiona twarz pana Whitby’ego musiała dotknąć chodnika, brudnego, zabłoconego chodnika, a te substancje przyczepiły się do rany i krwi.

– Czy możemy wrócić do tego, skąd się biorą pęknięcia na pyłe kostnym? – pyta zdziwiony Eise. – Mamy spaloną kość, więc skąd się biorą pęknięcia, jeśli nie z gorąca?

– Jak już mówiłam, nie wiem tego na pewno, ale podejrzewam, że pył ze spalarni zwłok zmieszał się z kurzem na chodniku, a jeszcze na dodatek został rozjechany przez buldożer, samochody i pewnie rozdeptany przez ludzi. Czy pył kostny wystawiony na takie oddziaływania ulegnie odkształceniom? Nie wiem.

– A skąd, u diabła, miałby się wziąć spalony pył kostny w próbkach Chorej Dziewczynki? – zastanawia się dalej Eise.

– Dobre pytanie. – Doktor Scarpetta usiłuje poukładać myśli. – Dobre pytanie. Na pewno nie z próbek Whitby’ego. Ten popękany pył kostny, wyglądający na spalony, nie jest z jego próbek. Patrę teraz na jej ślady.

– Pył z krematorium w ustach Chorej Dziewczynki? Matko święta! Skąd? Nie mam pojęcia. Nie mam zielonego pojęcia. A pani?

– Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle w jej próbkach mamy pył kostny – przyznaje się Kay. – Co jeszcze znalazłeś? Zakładam, że z domu Gilly Paulsson przyniesiono sporo rzeczy?

– Tylko z jej łóżka. Kit i ja siedzieliśmy w pracowni przez dziesięć godzin, a potem musiałem poświęcić pół życia na wyciąganie z tego włókien bawełnianych, ponieważ doktor Marcus ma fioła na punkcie wacików. Zapewne ma udziały w firmie produkującej watę – narzeka Eise. – Oczywiście ci od DNA też zajmowali się pościelą.

– Wiem – odpowiada doktor Scarpetta. – Szukali nabłonka orzęsionego i znaleźli.

– Na prześcieradle znaleźliśmy też włosy, czarne farbowane włosy. Kit dostawała na ich punkcie szau.

– Ludzkie, jak rozumiem. Jest DNA?

– Tak, ludzkie. Wysłaliśmy na badania mitochondrialnego.

– A sierść zwierzęca? Konkretnie psia?

– Nie było.

– Nie było na pościeli i pizamie czy też na niczym, co zabrali z jej domu?

– Na niczym. A co z pyłem z piły sekcyjnej? – pyta Eise, myśląc obsesyjnie o pyłe kostnym. – Taki też mógłby być w starym budynku.

– On tak nie wygląda. – Doktor Scarpetta odchyła się na krześle i patrzy Juniusowi prosto w oczy. – Pył z piły wygląda jak drobne granulki przemieszane z większymi kawałkami, mogą się też trafić cząsteczki metalu z ostrza.

– Okej. Czy możemy na odmianę porozmawiać o czymś, na czym się znam, zanim mózg mi eksploduje?

– Oczywiście.

– Dzięki. Pani jest ekspertem od kości, oczywiście. – Eise wkłada kilka próbek z powrotem do pudełka opisanego jako „Gilly Paulsson”. – Za to ja znam się na lakierach. Zarówno w przypadku Chorej Dziewczynki, jak i Operatora Buldożera nie ma śladu wierzchniej warstwy ani gruntowania, wiemy więc, że nie jest to lakier samochodowy. A wiórki metalowe nie reagują na magnes, więc to nie żelazo. Zrobiłem wszystkie testy zaraz pierwszego dnia i krótko mówiąc, mamy do czynienia z aluminium.

– A zatem coś aluminiowego pomalowanego czerwoną, białą i niebieską emalią – myśli na głos doktor Scarpetta. – A do tego pył kostny.

– Poddaję się – mówi Eise.

– Ja na razie też.

– To jest ludzki pył kostny?

– Jeśli nie jest świeży, nie stwierdzimy tego.

– Jak musi być świeży?

– Najwyżej kilka lat, a tu może być kilkadziesiąt – wyjaśnia Kay. – Możemy wziąć próbki z odcisków palców i zrobić krótkie powtórzenia tandemowe i mito, więc to nie jest wielki problem, przy założeniu, że próbka nie jest za stara lub zbyt zniszczona. Gdy chodzi o DNA, to jest jakość do ilości, ale jeśli miałabym się założyć, obstawiałabym, że nie będziemy mieć szczęścia. Przede wszystkim w wypadku spalonych kości możesz zapomnieć o DNA. A jeśli chodzi o niespalony pył kostny, który mamy przed sobą, to nie wiem dlaczego, ale robi na mnie wrażenie starego. Po prostu wygląda na zwietrzały i stary. Oczywiście możesz wysłać próbkę tego niespalonego pyłu do Laboratoriów Bodego, żeby zrobili mito, a nawet spróbowali powtórzeń tandemowych, ale przy tak małej ilości cały materiał przepadnie. A pytanie jest takie, czy chcemy stracić ten materiał, wiedząc, że z badań może nic nie wyjść?

– DNA to nie moja działka. Gdyby była, miałbym znacznie większe środki finansowe.

– I tak nie ja tu decyduję – stwierdza doktor Scarpetta, podnosząc się z krzesła. – Gdyby to zależało ode mnie, głosowałabym za zachowaniem dowodów, na wypadek gdyby były potrzebne później. Istotne jest to, że pył kostny został znaleziony w dwóch przypadkach, które nie powinny mieć z sobą nic wspólnego.

– Oczywiście, że to jest istotne.

– Przekaż te radosne wieści doktorowi Marcusowi.

– On kocha moje emaile. Więc dostanie jeszcze jeden – mówi z satysfakcją Eise. – Chciałbym pani pomóc, pani doktor, ale te worki z błotem zajmą mi trochę czasu. Kilka dni. Rozsypię to wszystko po

szkiełkach, wysuszę porządnie, przesieję, żeby poodzielać cząsteczki. To wyjątkowo upierdliwa robota, ponieważ trzeba potrząsać tymi cholernymi sitkami na blacie co dwie minuty, żeby coś spadło na szalki, a ja poddałem się w kwestii separatorów cząstek z automatycznymi sitami, ponieważ kosztują prawie sześć tysięcy, więc adiu fruziu. Suszenie i przesiewanie zajmie więc kilka dni, a potem będę już działał ja, we własnej osobie, ja i mikroskop, a następnie mikroskop skaningowy i czego tam jeszcze spróbujemy. Tak ó propoś, czy dałem kiedyś pani któreś z własnoręcznie wykonanych narzędzi? Tu u nas znane są pod pieśzczotliwą nazwą Przebojów Eisego.

Znajduje na biurku kilka swoich narzędzi i wybiera jedno, obracając je kilkakrotnie w palcach, żeby upewnić się, że wolfram nie jest wygięty i nie wymaga naostrzenia. Trzymając igłę w wyciągniętej ręce, ofiarowuje ją byłej szefowej z dumą, jakby to była wspaniała róża.

– To bardzo miło z twojej strony, Junius – mówi doktor Scarpetta. – Bardzo dziękuję. I nie, nigdy wcześniej nie dostałam takiego narzędzia.

Nie mogąc znaleźć zadowalającego wytłumaczenia problemu, Kay przestaje myśleć o lakierowanym aluminium i pyle kostnym. Uznaje, że jeśli będzie wciąż się zastanawiać nad czerwonymi, białymi i niebieskimi odpryskami i drobinkami prawdopodobnie ludzkich kości, mniejszych niż pchły, w końcu padnie ze zmęczenia. Wczesne popołudnie jest szare, a powietrze tak ciężkie, że niebo grozi zawaleniem niczym przeciekający sufit. Nawet dźwięk zatraskiwanych drzwi brzmi głucho, gdy ona i Marino wysiadają z suwa. Kay traci nadzieję, gdy okazuje się, że w ceglany domku z omszałym dachem, stojącym za podwórkiem domu Paulssonów, nie świecą się żadne światła.

– Myślisz, że przyjedzie?

– Mówił, że tak. Wiem, gdzie jest klucz. Powiedział mi, więc pewnie mu nie przeszkadza, że wiemy.

– Nie będziemy się włamywać, jeśli to miałeś na myśli. – Doktor Scarpetta spogląda na spękaną betonową ścieżkę wiodącą do aluminiowych drzwi przeciwburzowych, drewnianych drzwi za nimi i ciemnych okien po obu stronach. Domek jest stary, mały i zaniedbany. Zaslaniają go magnolie, kolczaste krzewy, których nikt nie przycinał od lat, i sosny tak wysokie i rozrośnięte, że kolejne warstwy ich szpilek i szyszek zatykają rynsztoki i duszą resztki trawnika.

– Nic nie miałem na myśli – odpowiada detektyw, rozglądając się po spokojnej uliczce. – Poinformowałem cię tylko, że mi wytłumaczył, gdzie jest klucz i że nie ma tu alarmu. Może mi wyjaśnisz, po co to mówił?

– Nieważne – zamyka sprawę Kay, ale wie, że tak nie jest. Już czuje, co ich czeka.

Pośrednikowi nieruchomości nie chciało się przychodzić albo też nie zamierza się angażować, więc pozwala im łązić samym po domu i działce. Doktor Scarpetta wkłada ręce do kieszeni; przewieszona przez ramię torba z zestawem kryminalistycznym jest teraz zdecydowanie lżejsza, nie ma w niej już bowiem woreczków z ziemią, która suszy się w laboratorium dowodów śladowych.

– Przynajmniej zajrzę przez okna. – Marino idzie ścieżką, powoli, na nieco rozkraczonych nogach, ostrożnie stawiając kroki. – Idziesz ze mną czy zostajesz przy samochodzie? – pyta, nie odwracając się.

Wszystko zaczęło się od książki telefonicznej. Znalazł w niej pośrednika nieruchomości, który najwyraźniej nie miał chętnych na ten dom od co najmniej roku, więc położył na nim krzyżyk. Właścicielką jest kobieta nazwiskiem Bernice Towle. Mieszka w Karolinie Południowej i odmawia wydania choćby centa na remont, nie zgadza się też na obniżenie ceny tak, żeby była jakakolwiek szansa na sprzedaż. Wedle informacji pośrednika nieruchomości, dom jest zamieszkały wyłącznie wtedy, gdy pani Towle pozwala w nim zatrzymać się gościom, ale trudno powiedzieć, jak często – jeśli w ogóle – to się zdarza. Policja richmondzka nie zainteresowała się domem ani jego sporadycznymi lokatorami, ponieważ wedle wszelkich danych nikt w nim nie mieszka, a zatem jest bez znaczenia dla sprawy Gilly Paulsson. FBI nie zwróciło uwagi na podupadłą nieruchomość rodziny Towle z tego samego powodu. Marino i doktor Scarpetta zaś chcą zobaczyć ten dom dlatego, że w przypadku zabójstwa należy sprawdzić wszystko.

Kay idzie w kierunku wejścia. Beton pod jej stopami jest śliski od zielonkawego osadu po deszczu, więc zbliżając się do miejsca, gdzie stoi Marino, myśli, że gdyby to była ścieżka prowadząca do jej domu, wyszorowałaby ją porządkiem środkiem dezynfekującym. Detektyw stoi na niewielkim pochyłym ganku, zaglądając do środka przez lornetkę z dłoni zwiniętych wokół oczu.

– Skoro i tak jesteśmy podejrzanyimi osobnikami kręcącymi się wokół domu, możemy równie dobrze popełnić następne przestępstwo – mówi jego szefowa. – Gdzie ten klucz?

– Doniczka pod tamtym krzakiem. – Detektyw wskazuje na wielki, zaniedbany krzak bukszpanu i ledwie widoczną pod nim brudną doniczkę. – Klucz powinien być pod nią.

Kay schodzi z ganku, wkłada ręce między gałęzie i przekonuje się, że doniczka jest wypełniona do połowy zielonkawą deszczówką, cuchnącą jak bagno. Odsuwa doniczkę i znajduje płaskie zawiniątko z folii aluminiowej pokrytej ziemią i pajęczynami. W środku widać miedziany klucz, zaśniedziały niczym stara moneta. Od dłuższego czasu nikt zapewne nie miał go w ręce: od co najmniej miesiący, może nawet dłużej, myśli doktor Scarpetta i podaje klucz swemu towarzyszowi, ponieważ nie ma ochoty być tą, która otworzy zamek.

Za skrzypiącymi drzwiami wita ich stęchły odór. W domu jest zimno, a w powietrzu Kay wyczuwa zapach cygar. Marino maca ścianę w poszukiwaniu wyłącznika światła, ale ten, który znajduje, nie działa.

– Masz. – Doktor Scarpetta podaje mu parę bawełnianych rękawiczek. – Przez przypadek mam twój rozmiar.

– Ha. – Detektyw wsuwa w nie wielkie dłonie.

Ona wkłada swoją parę.

Na stole pod ścianą stoi lampa, którą udaje się zapalić.

– Przynajmniej nie wyłączyli prądu – zauważa doktor Scarpetta. – Ciekawe, czy telefon też działa.

Podnosi słuchawkę wiekowego czarnego aparatu i przykłada do ucha, ale nic nie słyszy.

– Nie działa – mówi. – Natomiast cały czas mam wrażenie, że czuję tu stary dym z cygar.

– Jak ci odetną elektrykę, to rury pozamarzają – mówi Marino, wężąc i rozglądając się wokół. Salonik sprawia wrażenie bardzo malutkiego, odkąd pojawił się w nim potężnie zbudowany mężczyzna. – Nie czuję cygar, tylko kurz i wilgoć. Ale ty zawsze rozróżniałaś znacznie więcej zapachów niż ja.

Doktor Scarpetta staje w zasięgu światła lampy, przyglądając się umieszczonej pod oknem kanapie z tapicerką w kwiatowy wzór i błękitnemu staroświeckiemu fotelowi w kącie. Na stoliczku z ciemnego drewna piętrzą się sterty czasopism, więc podchodzi tam, żeby zerknąć na tytuły.

– Tego bym się nie spodziewała – mówi, patrząc na egzemplarz „Variety”.

– Czego? – Marino podchodzi do niej i rzuca okiem na czarno-biały tygodnik.

– Pismo branżowe biznesu rozrywkowego – wyjaśnia mu Kay. – Dziwne. Z zeszłego listopada – czyta datę. – Bardzo dziwne. Zastanawiam się, czy pani Towle, kimkolwiek była, ma jakieś związki z show-biznesem.

– Może po prostu ma fioła na punkcie gwiazd jak połowa ludzkości. – Detektyw nie uważa tego szczegółu za wielce interesujący.

– Wspomniana połowa ludzkości czyta „People”, „Entertainment Weekly”, takie rzeczy. A nie „Variety”. To jest dla fanatyków – mówi Kay, biorąc do ręki inne czasopisma. – „Hollywood Reporter”, „Variety”, „Variety” i „Hollywood Reporter”, mniej więcej dwa lata wstecz. Brakuje

ostatniego półrocza. Może prenumerata wygasła. Odbiorczynią jest pani Edith Arnette, pod tym adresem. Mówi ci coś to nazwisko?

– Nie.

– Czy pośrednik wspominał, kto tutaj mieszkał? Sama pani Towle?

– Nie wspominał. Miałem wrażenie, że pani Towle.

– Powinniśmy uzyskać coś więcej niż wrażenie. Zadzwoń może do niego. – Doktor Scarpetta otwiera czarną torbę, wyciąga z niej plastikowy worek na śmieci, potrząsa nim, żeby rozkleić folię, i wrzuca do środka egzemplarze czasopism „Variety” i „Hollywood Reporter”.

– Zabierasz je? – Marino staje w drzwiach, tyłem do niej. – Po co?

– Nie zaszkodzi sprawdzić odciski palców.

– Kradzież – mówi detektyw, rozkładając kartkę i czytając zapisany na niej numer.

– Jest już najście i włamanie, równie dobrze możemy coś ukraść.

– Jeśli okażą się ważne dla sprawy, nie mamy nakazu. – Trochę się z nią droczy.

– Chcesz, żebym to zostawiła?

Wzrusza ramionami.

– Jeśli coś w nich znajdziemy, wiem, gdzie jest klucz. Podrzucę je z powrotem, a potem postaram się o nakaz. Robiło się już nie takie rzeczy.

– Nie chwaliłabym się tym głośno – komentuje jego słowa doktor Scarpetta, stawiając torbę z czasopismami na drewnianej podłodze, po czym podchodzi do niskiego stoliczka koło kanapy i znów wyczuwa zapach cygar.

– *Jest wiele rzeczy, którymi nie chwalę się głośno* – odpowiada detektyw, wybierając numer na komórce.

– Poza tym nie masz takich uprawnień. Nie możesz dostać nakazu.

– Nie twoje zmartwienie. Browning i ja jesteśmy kumplami. – Przez chwilę wpatruje się w nieokreślony punkt przestrzeni, czekając, a gdy się odzywa, Kay poznaje po tonie jego głosu, że trafił na automatyczną sekretarkę. – Hej, Jim, tu Marino. Zastanawiam się, kto ostatnio mieszkał w tym domu. I kim może być niejaka Edith Arnette? Oddzwoń, proszę, jak tylko będziesz mógł. – Dyktuje numer. – Ha – zwraca się teraz do niej. – Stary Jimbo nie ma ochoty się tu z nami spotykać. Dziwisz mu się? Co za nora.

– Zgadzam się z diagnozą – mówi doktor Scarpetta, otwierając szufladę w niewielkim stoliku na lewo od kanapy. W środku leży mnóstwo monet. – Ale nie sądzę, żeby to był powód jego nieobecności. A więc ty i detektyw Browning jesteście kumplami. Dopiero co obawiałeś się, że cię zaaresztuje.

– To było dawno. – Manno wychodzi do ciemnego przedpokoju.

– On jest swój chłop. Nie masz się o co martwić. Jeśli będę potrzebował nakazu, znajdzie się nakaz. Miłej lektury. Gdzie tu, u diabła, są światła?

– Będzie z pięćdziesiąt dolarów w ćwierćdolarówkach. – Monety brzęczą, kiedy Kay grzebie ręką w szufladzie. – Same ćwierćdolarówki. Ani jednego centa, ani jednej pięcio- czy dziesięciocentówki. Za co w tej okolicy można płacić ćwiartkami? Gazety?

– Szmatławiec zwany „Times-Dispatch” kosztuje pięćdziesiąt. – Jej przyjaciel odnosi się do lokalnego dziennika z nieukrywaną pogardą.

– Kupiłem go wczoraj w automacie przed hotelem i dałem dwie ćwiartki. Dwa razy tyle co „Washington Post”.

– To dość dziwne, żeby zostawiać pieniądze w miejscu, w którym nikt nie mieszka – zauważa doktor Scarpetta, zamykając szufladę.

Światło w przedpokoju jest zepsute, więc idzie za Marinem do kuchni. Natychmiast dostrzega coś dziwnego: zlewozmywak jest pełen brudnych naczyń, a wodę w nim pokrywa warstwa zjełczałego tłuszczu i pleśni.

Otwiera lodówkę i jest już niemal przekonana, że ktoś niedawno przebywał w tym domu. Na półkach stoją kartony z sokiem pomarańczowym i mlekiem sojowym z datami przydatności do spożycia do końca miesiąca, daty na mięsie w zamrażalniku wskazują zaś, że było zapewne kupione jakieś trzy tygodnie temu. Im więcej żywności odkrywa w szafkach i spiżarni, tym większy odczuwa niepokój, ponieważ intuicja jak zawsze wyprzedza intelekt. Kiedy przechodzi korytarzem na tył domu i zaczyna przeszukiwać sypialnię, wyczuwa znów zapach cygar – i już jest pewna, a jej adrenalina rusza do ataku.

Podwójne łóżko okrywa tania granatowa narzuta, pod którą doktor Scarpetta znajduje pomiętą i brudną pościel, a na niej sporo krótkich włosów: po części rudych, zapewne z głowy, a po części ciemniejszych i bardziej skręconych, a więc zapewne łonowych. Widzi też sztywne wyschnięte plamy i podejrzewa, co to jest. Łóżko stoi zwrócone ku oknu, przez szybę widać płot, a za płotem dom Paulssonów i ciemne okno pokoju, który jeszcze niedawno należał do Gilly. Na stoliku obok łóżka dostrzega czarno-żółtą porcelanową popielniczkę Cohiba, dość czystą. Na wszystkich meblach jest znacznie więcej kurzu niż popiołu w popielniczce.

Doktor Scarpetta wykonuje wszystkie rutynowe czynności, nie bardzo zdając sobie sprawę z upływu czasu, ciemności za oknem i deszczu uderzającego w dach. Przegląda zawartość szafy i wszystkie szuflady w całym pokoju i w jednej z nich znajduje zwiędniętą czerwoną różę, wciąż zawiniętą w plastik; poza tym męskie płaszcze, marynarki i kurtki, wszystkie niemodne i ponure, wszystkie pozapinane, wiszące równo na drucianych wieszakach; sterty równiutko poskładanych męskich spodni i koszul w posępnych kolorach; męską bieliznę i skarpetki, stare i byle jakie; dziesiątki spłowiałych białych chusteczek do nosa poskładanych w idealnie równe kwadraty.

Następnie Kay siada na podłodze i wyciąga spod łóżka kartonowe pudła. Otwiera je i znajduje mnóstwo starych poradników dla ludzi z branży pogrzebowej; miesięczniki z katalogami trumien, garniturów żałobnych, urn i sprzętu do balsamowania. Magazyny mają co najmniej osiem lat. Na wszystkich, które przejrzała, brakuje nalepki adresowej – czasem po jej zdarciu zostało kilka liter lub fragment kodu pocztowego, ale nic więcej, a więc za mało, żeby się czegoś dowiedzieć. Doktor Scarpetta przegląda kolejne pudła, kartkuje każdy katalog, w nadziei że na którymś będzie pełny adres, aż wreszcie na dnie jednego z pudeł znajduje to, czego szukała. Czyta naklejkę i przez chwilę po prostu siedzi na podłodze wpatrzona w litery, zastanawiając się, czy coś już całkiem jej się pomieszało, czy też istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie dla tego, co właśnie zobaczyła. I cały czas wzywa Marina. Woła go, wstając z podłogi, z oczami utkwionymi w magazyn z trumną w kształcie samochodu wyścigowego na okładce.

– Gdzie się podziewasz, Marino? – Wchodzi do przedpokoju, rozgląda się i nasłuchuje. Dyszy ciężko, serce jej łomocze. – Niech to! – mruczy, idąc szybko przez korytarz. – Gdzieś ty się zapodział? Marino!

Detektyw stoi na ganku przed domem, rozmawiając przez komórkę, a kiedy ich wzrok się spotyka, Kay wie, że jej przyjaciel też się czegoś dowiedział, więc unosi ku niemu katalog, podtykając mu go pod same oczy.

– Tak, będziemy tutaj – mówi Marino do telefonu. – Coś mi szepcze, że spędzimy tu całą noc.

Rozłącza się, a w oczach ma ten wyraz zdecydowania, który widywała już wcześniej: Marino trafił na trop i będzie podążał za ściganym. Nic go teraz nie powstrzyma. Bierze od niej katalog i przygląda mu się w milczeniu.

– Browning już tu jedzie – odzywa się w końcu. – Jest w tej chwili u sędziego, będzie miał z sobą nakaz. – Obraca katalog w rękach i jego wzrok

pada na naklejkę adresową na tylnej okładce. – Cholera – mówi. – Jezu. Twoje dawne biuro. O Boże.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy – odpowiada doktor Scarpetta. Drobne krople deszczu uderzają w stary łupkowy dach. – Chyba że to ktoś, kto u mnie pracował.

– Albo ktoś, kto zna kogoś, kto u ciebie pracował. To jest zaadresowane do Biura Głównego Koronera. – Detektyw sprawdza jeszcze raz. – Tak, dokładnie. Nie do laboratorium. Czerwiec tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć. Niewątpliwie za twojego szefowania. A zatem twoje biuro to prenumerowało. – Przechodzi z powrotem do pokoju, staje w pobliżu lampki na stoliku i kartkuje magazyn. – Czyli to ty powinnaś wiedzieć, kto dostawał ten katalog.

– Nigdy nie podpisywałam zgody na prenumeratę tego ani niczego podobnego – zapewnia doktor Scarpetta. – Żadnych czasopism dla domów pogrzebowych. Nigdy. Ktoś to musiał zamawiać bez mojego pozwolenia albo na własny koszt.

– Masz jakiś pomysł, kto to mógł być?

Kay przypomina sobie cichego młodzieńca, pracującego w Zakładzie Anatomii, nieśmiałego rudzielca, który się zwolnił z powodu choroby. Nie myślała o nim chyba ani razu, odkąd odszedł. Po co miałyby o nim myśleć?

– Mam jednego kandydata – odpowiada z nieszczęśliwą miną. – Nazywa się Edgar Allan Pogue.

Włososiowej rezydencji nie ma nikogo i Edgar Allan Pogue uświadamia sobie smutną prawdę – jego plan nie wypalił. Najwyraźniej tak właśnie się stało, ponieważ w przeciwnym wypadku coś by się tutaj działo, a przynajmniej byłyby jakieś ślady, że coś się działo: taśma policyjna na miejscu wypadku lub informacja w serwisie radiowym, a tymczasem, gdy Pogue przejeżdża obok rezydencji Wielkiej Ryby, jej skrzynka na listy wygląda na nieuszkodzoną. Mała metalowa chorągiewka jest opuszczona, najwyraźniej nikogo nie ma w domu.

Objeżdża kwartał ulic aż do szosy A1A i nie może powstrzymać się przed zrobieniem jeszcze jednej rundki, ponieważ chorągiewka nie daje mu spokoju. Jest całkiem pewien, że była uniesiona, kiedy wkładał do skrzynki Wielką Pomarańczę. Niemniej w jego głowie kiełkuje myśl, że być może bomba chlorowa nadal znajduje się w środku, napęczniała od gazów i gotowa wybuchnąć. A co, jeśli tak jest? Musi to sprawdzić. Nie zaśnie i nie przełknie ani kęsa, dopóki się nie upewni, tylko gniew będzie wzbierał w głębi jego duszy, gniew równie namacalny i znajomy jak płytki oddech. Na Bay Drive tuż za skrzyżowaniem z A1A jest szereg białych jednopiętrowych domków; Pogue zatrzymuje swój samochód na parkingu przed nimi i wysiada. Rusza przed siebie, a dziwaczne długie loki czarnej peruki

wpadają mu do oczu, więc odgarnia je i idzie dalej ulicą w zachodzącym słońcu.

Czasem czuje woń peruki: najczęściej, jeśli myśli o czymś innym lub jest zajęty, jej timhry do opisanie zapach dociera do jego nosa. Zapach plastiku, oto najbliższe prawdy określenie, i to właśnie go dziwi, ponieważ peruka została wykonana z ludzkich włosów, a nie syntetyczna, nie powinna więc pachnieć plastikiem, nowym plastikiem, chyba że on wyczuwa zapach jakichś chemikaliów, które zastosowano do jej zrobienia. Wiatr kołysze liśćmi palmowymi na tle wieczornego nieba, a zachodzące słońce złoci krawędzie delikatnych chmurek. Pogue idzie chodnikiem, zwracając uwagę na przerwy między płytkami i rosnącą w nich trawę. Stara się nie patrzeć w kierunku mijanych pięknych domów, ponieważ ludzie w takich dzielnicach boją się przestępców, a zatem zwracają dużą uwagę na nieznanym.

Przed łososiową rezydencją stoi wielki biały dom, rysujący się dumnie na tle złotego słońca. Pogue rozmyśla o mieszkającej tam kobiecie. Widział ją trzy razy i uznał, że zasługuje na unicestwienie. Raz w nocy, kiedy siedział na murze otaczającym łososiową rezydencję od strony morza, zobaczył ją w oknie sypialni na trzecim piętrze. Rolety były podniesione, widział zatem łóżko i pozostałe meble, a także wielki płaski telewizor, na którego ekranie biegali ludzie, a potem pędziły motocykle. Kobieta stała naga przy oknie, przyciśnięta do szyby, z piersiami groteskowo spłaszczonymi, i lizała szybę, wykonując przy tym obrzydliwie niemoralne ruchy. Z początku przestraszył się, że może go zauważyć na murze, ale była jak w półśnie, wystawiając się na widok nocnych żeglarzy i straży przybrzeżnej patrolującej zatoczkę. Pogue zapragnął poznać jej imię.

Zastanawia się, czy ta kobieta zostawia tylne drzwi niezamknięte na klucz, a alarm wyłączony, kiedy idzie do basenu, czy zapomina go włączyć,

gdy wraca do domu. Może ona nigdy nie wychodzi nad basen, myśli. Nigdy nie widział jej poza domem, na patio albo przy łódce, ani razu. Jeśli nigdy nie opuszcza domu, będzie miał utrudnione zadanie. Szuka w kieszeni białej chusteczki do nosa i przeciera nią twarz, rozglądając się dookoła, po czym podchodzi do podjazdu i skrzynki na listy w sąsiednim domu. Jest rozluźniony, jakby to było jego naturalne środowisko, chociaż zdaje sobie sprawę, że długie potargane włosy peruki nie pasują do otoczenia: w tej zdecydowanie białej dzielnicy włosy pochodzące od czarnego lub Jamajczyka są zdecydowanie nie na miejscu.

Bywał już wcześniej na tej ulicy. Też włożył wtedy perukę, co go lekko zaniepokoiło, bał się bowiem, że może zwracać na siebie uwagę, ale lepiej nosić perukę, niż wyglądać naturalnie. Otwiera skrzynkę na listy Wielkiej Ryby i przekonawszy się, że jest pusta, nie odczuwa ani rozczarowania, ani ulgi. Nie czuje zapachu chemikaliów, nie widzi śladów zniszczenia ani nawet odbarwień na czarnej farbie pokrywającej wewnątrz skrzynki, musi więc pogodzić się z tym, że przesyłka nie spełniła swego zadania, zawiodła na całej linii. Pociesza go nieco świadomość, że bomba zniknęła, ktoś ją znalazł. A zatem Wielka Ryba przynajmniej o niej wie, a to lepsze niż nic.

Jest szósta po południu i dom nagiej kobiety staje się wyspą światła w postępującej ciemności. Pogue rzuca spojrzenie na ścieżkę z różowego betonu, a potem patrzy przez bramę z kutego żelaza na dziedziniec i frontowe drzwi z grubego szkła. Rusza spokojnym krokiem i myśli o niej, przytulonej do okna. Nienawidzi jej za to, że jest brzydka i nieapetyczna, a na dodatek afiszuje się z tym brzydkim, nieapetycznym ciałem. Ludzie jej pokroju uważają, że świat należy do nich, i że wyświadczą przysługę takim jak on, rzucając im groszową jałmużnę swego ciała lub uwagi, a ta naga kobieta jest wyjątkowo arogancka. Cała na pokaz, ot co.

Kokoty, tak matka Pogue'a zwykła nazywać kobiety pokroju tej nagiej. Jego matka sama była kokotą, okropną kokotą, dlatego właśnie ojciec zapisał się do tego stopnia, że idea powieszenia się na belce w garażu wydała mu się nieodparcie atrakcyjna. Pogue wie wszystko o kokotach, wie zatem, że gdyby mężczyzna w roboczym kombinezonie zapukał do jej drzwi i poprosił, żeby dokończyła, co zaczęła, obrzuciłaby go wściekłymi i przerażonymi wyzwiskami, po czym wezwałaby policję. Tak właśnie postępują ludzie pokroju tej kobiety. Robią to bez przerwy i wcale się nie przejmują.

Pogue pracuje od wielu dni i jeszcze nie ukończył swego dzieła. Za długo to trwa. Przed dniami były tygodnie, a wcześniej trzy miesiące, ale to tylko przy założeniu, że liczy też czas wykopania kogoś, kto został już wykończony. A także wyniesienie wszystkich tych wykończonych ludzi w ich przeciskających, zakurzonych skrzynkach z podziemnego Zakładu Anatomii, z jego prywatnego królestwa, dźwiganie mnóstwa skrzynek, wynoszenie po schodach wszystkich tych wykończonych ludzi po dwóch lub trzech, z piekącym bólem w płucach, bez tchu, taszczenie skrzynek na parking, zostawianie ich na chodniku, następnie powrót po następne, a potem wkładanie ich do samochodu i do wielkich worków na śmieci, a to wszystko odbywało się we wrześniu, kiedy usłyszał przerażającą, potworną wiadomość, że jego budynek został przeznaczony do rozbiórki.

Ale wykopane kości i zakurzone skrzynki to nie to samo, całkiem nie to samo. Wszyscy ci ludzie są już martwi, a to zupełnie co innego niż własnoręczne wykończenie. Pogue zna smak potęgi i chwały, a także uczucie, jakie daje działanie w słusznej sprawie. Zamknąwszy drzwiczki swojego białego samochodu, zdejmuje pachnącą plastikiem perukę i odsłania własne rude włosy. Odjeżdża z parkingu przed rzędem białych

apartamentów, by powrócić na ciemne o zmierzchu drogi południowej Florydy, a jego myśli ciężą ku Other Way Lounge.

Światła latarek wbijają się w ciemne podwórko niczym długie żółte ołówki. Doktor Scarpetta stoi przy oknie, przyglądając się im z nadzieją, że policji uda się coś o tej porze znaleźć, ale raczej należy w to wątpić. To, co zasugerowała, jest co najmniej na wyrost, jeśli nie wręcz paranoiczne, a wszystko pewnie ze zmęczenia.

– Nie pamięta więc pani, żeby mieszkał z panią Arnette? – pyta detektyw Browning. Siedzi na prostym krześle w sypialni, stukając ołówkiem w notatnik i żując gumę.

– Nie znałam go – odpowiada, przypatrując się długim promieniom światła poruszającym się w ciemności i czując, jak chłodne powietrze przenika przez okno do pokoju. Istnieje możliwość, że nic nie znajdą, ale Kay obawia się, że będzie wręcz przeciwnie. Myśli o pyle kostnym znalezionym w ustach Gilly i o operatorze buldożera, więc obawia się, że policjanci wkrótce coś znajdą. – Skąd miałabym wiedzieć, z kim mieszkał, zakładając, że w ogóle z kimś mieszkał. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek dłużej z nim rozmawiała.

– Nie bardzo sobie wyobrażam, o czym miałyby pani rozmawiać z takim wymoczkiem.

– Niestety, pracownicy Zakładu Anatomii byli przez pozostałych postrzegani jako dziwacy. Ich praca wydawała się dość odrażająca reszcie

moich ludzi. Zawsze zapraszałam ich na pikniki czy grille z okazji Dnia Niepodległości, kiedy urządałam coś takiego w domu. Ale nigdy nie było wiadomo, czy tamci przyjdą.

– *On kiedykolwiek przyszedł?* – Browning nie przestaje żuć gumy.

Doktor Scarpetta stoi przy oknie, wsłuchana w energiczne przeżuwanie.

– Nie pamiętam, naprawdę. Edgar Allan mógłby przyjść i wyjść przez nikogo niezauważony. Nie zabrmi to zbyt pochlebnie, ale był najbardziej nijakim człowiekiem, jaki u mnie kiedykolwiek pracował. Nie bardzo nawet pamiętam, jak wyglądał.

– Czas przeszły jest tu kluczowym elementem. Nie mamy pojęcia, jak może teraz wyglądać – zauważa Browning, przekładając kartkę w notatniku. – Powiedziała pani, że był wtedy niedużym rudowłosym człowieczkiem. Ile mógł mieć wzrostu? Mniej więcej? Metr siedemdziesiąt? Metr siedemdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt kiło?

– Raczej metr sześćdziesiąt pięć i jakieś sześćdziesiąt kiło – przypomina sobie Kay. – Koloru oczu nie pamiętam.

– Według danych w bazie praw jazdy, brązowe. Ale niekoniecznie, ponieważ skłamał w kwestii wzrostu i wagi. W prawie jazdy ma wzrost metr osiemdziesiąt i osiemdziesiąt kilogramów wagi.

– Dlaczego więc mnie pan o to pyta? – Doktor Scarpetta odwraca się i patrzy na niego.

– Żeby mogła sobie pani przypomnieć, zanim zasugeruję panią informacjami, które zapewne są fałszywe. – Browning mruga do niej, wciąż żując gumę. – Napisał też, że ma brązowe włosy. – Stuka ołówkiem w notatnik. – Wróćmy do przeszłości: ile zarabiał taki facecik przy preparowaniu ciał i co tam się jeszcze robi w tym Zakładzie Anatomii?

– Osiem, dziesięć lat temu? – Doktor Scarpetta ponownie wygląda przez okno w noc. Po drugiej stronie płotu w domu pani Paulsson świecą się

lampy. Na jej podwórzu też jest policja. I w sypialni. Kay widzi cienie poruszające się za firankami w pokoju dziewczynki, za tym samym oknem, w które zapewne wpatrywał się Edgar Allan Pogue, podglądając i fantazjując, a może i obserwując gry, które uprawiano w tamtym domu – i pozostawiał plamy na prześcieradle. – Myślę, że nie więcej niż dwadzieścia dwa tysiące rocznie.

– A potem ni stąd, ni zowąd odszedł. Jako powód podał jakąś chorobę. To dość typowa historia.

– Wdychanie formaliny. Nie symulował. Musiałam przejrzeć jego kartę zdrowia i zapewne przy tej okazji rozmawialiśmy. Miał problemy z układem oddechowym z powodu formaliny, zwłóknienie w płucach, dostrzeżone na prześwietleniach i w biopsji. O ile pamiętam, w badaniach wyszło, że stężenie tlenu w krwi było za niskie, dużo poniżej normy, a spirometria wykazała zmniejszoną wydolność układu oddechowego.

– Spiro co?

– To takie urządzenie. Robi się wdechy i wydechy, a ono pokazuje wydolność oddechową.

– Już łapię. Kiedy jeszcze paliłem, pewnie poległbym na czymś takim.

– Gdyby palił pan nadal, pewnie by pan poległ.

– Okej. W takim razie Edgar Allan naprawdę miał kłopoty zdrowotne. Mam rozumieć, że się nie wyleczył?

– Jeżeli nie był później narażony na kontakt z formaliną czy innymi podrażniającymi substancjami, to choroba nie powinna się rozwijać. Ale nie znaczy to, że ustąpiła, ponieważ on musi mieć zbliznowacenia. A tego nie da się pozbyć. A zatem owszem, zapewne nadal ma kłopoty. Jak duże, tego nie umiem powiedzieć.

– Zatem pewnie ma lekarza. Myśli pani, że w starych aktach osobowych może być jego nazwisko?

– Teczka powinna być w archiwum stanowym, jeśli jej jeszcze nie zniszczyli. Prawdę mówiąc, należałoby zapytać doktora Marcusa. Ja nie jestem uprawniona.

– Ehem. Pani doktor, tak naprawdę zależy mi na pani opinii jako lekarza: jak ciężko chory może być ten facet? Na tyle, żeby nadal chodził do lekarza albo do kliniki i kupował leki na receptę?

– Oczywiście, może być na lekach. Ale niekoniecznie. Jeżeli dbał o zdrowie, to teraz musi przede wszystkim unikać ludzi chorych, trzymać się z dala od osób przeziębionych lub chorych na grypę, które mogą zarażać. Powinien unikać zakażenia górnych dróg oddechowych, ponieważ nie została mu zbyt duża powierzchnia zdrowych płuc – w przeciwieństwie do pana czy do mnie. W jego wypadku każda infekcja grozi poważną chorobą. Na przykład zapaleniem płuc. Jeśli ma skłonności astmatyczne, to będzie również unikał wszystkiego, co wywołuje duszności. Może też zażywać sterydy, które są na receptę. Może brać zastrzyki przeciwuczuleniowe. Ale może też zadowalać się lekami z supermarketu. Może robić cokolwiek. Albo nic nie robić.

– Tak, tak, tak – mówi Browning, stukając ołówkiem i żując z zapałem gumę. – A zatem powinien dostać niezłej zadyszki, gdyby się z kimś siłował.

– Zapewne. – Ta rozmowa ciągnie się już ponad godzinę i doktor Scarpetta jest bardzo zmęczona. Jadła dziś mało i czuje, że opuszcza ją energia. – To znaczy on może być silny, ale ma ograniczone możliwości wysiłku. Nie zostanie sprinterem ani tenisistą. Jeśli przez wiele lat zażywał sterydy, mógł przytyć. Zapewne nie jest szczególnie wytrzymały. – Długie jasne macki latarek odnajdują drewnianą szopę za domem i skupiają się na jej drzwiach, a w kręgu światła pojawia się umundurowany policjant z obcęgami do przecięcia kłódki. .

– A nie wydaje się pani dziwne, że zaatakowałby Gilly Paulsson, gdy ta była chora na grypę? Nie powinien się obawiać zarażenia? – pyta Browning.

– Nie – odpowiada Kay, obserwując policjanta z obcęgami. Drzwi otwierają się, wpuszczając do środka światło latarek.

– Jakim cudem? – indaguje Browning i w tej samej chwili włącza się alarm wibracyjny w jej komórce.

– Takim samym, jakim narkomani na głodzie nie myślą o żółtaczce czy AIDS. Seryjni mordercy i gwałciciele też nie myślą o chorobach wenerycznych, kiedy najdzie ich chęć gwałcenia i mordowania – tłumaczy doktor Scarpetta, wyciągając jednocześnie aparat z kieszeni. – Dlatego nie podejrzewam, żeby Edgar Allan przejmował się grypą, kiedy poczuł potrzebę zabicia dziewczynki. Przepraszam. – Odbiera telefon.

– To ja – mówi Rudy. – Mam coś, o czym powinnaś wiedzieć. Ta sprawa, nad którą pracujesz w Richmondzie – to znaczy odciski z tej sprawy pasują do odcisków ze sprawy, którą my mamy na Florydzie. IAFIS wykazuje zgodność. Nieznane ukryte.

– My, to znaczy kto?

– Chodzi o jedną z naszych spraw. Lucy i ja ją rozpracowujemy. Nic o tym nie wiesz. Za dużo byłoby teraz opowiadania. Lucy wołała, żebyś nic o tym nie wiedziała.

Doktor Scarpetta słucha z niedowierzaniem, które przeradza się w ośpienie, a tymczasem za oknem widać potężną sylwetkę w ciemnym ubraniu oddalającą się od szopy na tyłach domu. Światło latarki kołysze się w rytm kroków. Marino wraca do domu.

– Co to za sprawa? – Kay pyta Rudy'ego.

– Nie pozwoliła mi o tym mówić. – Musil urywa i robi głośny wdech. – Ale nie mogę się z nią skontaktować. Ta cholerna komórka; nie wiem, gdzie

podziewa się Lucy, ale znów nie odbiera, już od dwóch godzin, niech ją. Próba zabójstwa jednej z naszych nowych agentek. Była u Lucy w domu, kiedy to się stało.

– O Boże! – Doktor Scarpetta zamyka na moment oczy.

– Bardzo dziwny przypadek. Myślałem przez chwilę, że dziewczyna to wszystko upozorowała, żeby zwrócić na siebie uwagę czy coś. Ale odciski na tej bombie chemicznej są identyczne z pobranymi z sypialni. I te same odciski są w twojej sprawie w Richmondzie, w sprawie tej dziewczynki, do której cię wezwano.

– Ta kobieta w waszej sprawie – co jej się dokładnie stało? – pyta Kay, a w przedpokoju rozlegają się ciężkie kroki Marina. Browning podrywa się i wychodzi.

– Leżała w łóżku, miała grypę. Nie wiemy, co się naprawdę stało, poza tym że napastnik wszedł przez niezamknięte drzwi i musiał się wystraszyć, kiedy Lucy wróciła do domu. Ofiara była nieprzytomna, w szoku, dostała jakiegoś ataku – nie mam pojęcia. Nie pamięta, co się działo, ale była naga, leżała na brzuchu, a pościel została zrzuciona z łóżka.

– Obrażenia? – Doktor Scarpetta słyszy, że Browning i Marino rozmawiają pod drzwiami sypialni. Wyławia słowo „kości”.

– Tylko stłuczenia. Benton mówi, że ma siniaki na dłoniach, klatce piersiowej i plecach.

– A więc Benton o tym wie. Wiedzą wszyscy oprócz mnie – podsumowuje Kay, czując wzbierający gniew. – Lucy trzymała to w tajemnicy przede mną. Dlaczego mi nie powiedziała?

Musil waha się przez chwilę, najwyraźniej odpowiedź z trudem przechodzi mu przez gardło.

– Obawiam się, że z powodów osobistych.

– Rozumiem.

– Przepraszam. Nie wyżywaj się na mnie. Naprawdę mi przykro. Nie powinienem ci o tym mówić, ale uznałem, że powinnaś wiedzieć, ponieważ wygląda na to, że nasze sprawy są powiązane. Ale nie pytaj mnie, w jaki sposób, bo naprawdę nigdy nie widziałem czegoś równie przerażająco dziwnego. Z kim my, u diabła, mamy do czynienia? Z jakimś szaleńcem?

Marino wchodzi do pokoju i wpatruje się w nią badawczo.

– Tak, z szaleńcem – odpowiada Kay Rudy’emu i spogląda na detektywa. – Prawdopodobnie biały mężczyzna o nazwisku Edgar Allan Pogue, po trzydziestce. Istnieją apteczne bazy danych – mówi dalej – a on może tam figurować, może nawet w kilku, ze względu na sterydy podawane w chorobie układu oddechowego. Tyle ci powiem.

– Wystarczy – odpowiada tamten, wyraźnie podniesiony na duchu.

Kay kończy rozmowę i spogląda nadal na Marina, a przez jej głowę przemyka ulotna myśl, jak bardzo zmieniły się jej zasady: tak jak światło zmienia się zależnie od pory dnia i roku, tak rzeczy, które kiedyś wydawały się oczywiste, teraz wyglądają zupełnie inaczej i w przyszłości będą wyglądać jeszcze inaczej. Istnieje niewiele baz danych, do których nie zdołałby się włamać Ostatni Posterunek. W tej chwili zaś chodzi o wytropienie mordercy. Do diabła więc z zasadami. Do diabła z wątpliwościami i poczuciem winy, które prześladują ją, gdy stoi w sypialni i wkłada telefon z powrotem do kieszeni.

– Z jego sypialni widać było jej pokój – mówi do Marina i Browninga. – Jeśli zabawy pani Paulsson, tak zwane gry, odbywały się w tym domu, mógł je obserwować przez to okno. A jeśli nie daj Boże coś się działo w pokoju Gilly, też miał na wszystko dobry widok.

– Musisz coś zobaczyć – odzywa się do niej Marino, w którego oczach widać napięcie i gniew.

– Chodzi mi o to, że natura ludzka, wypaczona natura ludzka, to dziwna sprawa – dodaje doktor Scarpetta. – Widok osoby dręczonej może wywołać chęć dręczenia jej własnoręcznie. Podglądanie przemocy seksualnej przez okno może być bardzo silnym bodźcem dla kogoś, kto ma minimalne...

– Jakie zabawy? – przerywa jej Browning.

– Musisz coś zobaczyć – powtarza Marino, a w jego oczach błyszczy szła bitewny. – W tej szopie roi się od umarłaków. Myślę, że powinnaś rzucić na to okiem.

– Pani wspominała coś o jakiejś innej sprawie? – pyta Browning, gdy wszyscy troje idą wąskim, ciemnym, zimnym korytarzem. Stęchły odór kurzu i pleśni prawie dusi Kay, która usiłuje odegnać myśli o siostrzenicy – o sprawach, które Lucy uważa za swoje prywatne i zakazane. Opowiada swoim towarzyszom o tym, co właśnie usłyszała od Rudy’ego. Browning zapala się. Marino milczy.

– A zatem Pogue jest zapewne na Florydzie – mówi Browning. – Stawiam dolary przeciwko orzechom. – Wygląda na to, że płatanina myśli go przytłacza, przystaje więc w kuchni, by odpiąć telefon od paska. – Za chwilkę do was przyjdę.

Technik kryminalistyczny w granatowym kombinezonie i bejsbolówce posypuje proszkiem wyłącznik światła w kuchni, a głosy innych policjantów dobiegają z drugiej strony posepnego domku, z salonu. Obok tylnych drzwi stoją wielkie czarne worki, zawiązane i opisane jako dowody, co przywodzi doktor Scarpetcie na myśl Juniusa Eisego. Będzie miał mnóstwo roboty z sortowaniem obłąkanego śmietnika z obłąkanego żywota Edgara Allana Pogue’a.

– Czy ten facet pracował kiedykolwiek w domu pogrzebowym? – pyta Marino, gdy wychodzą na zarośnięte i pokryte warstwami suchych liści podwórko. – Ta szopa jest zastawiona, dosłownie zastawiona skrzynkami z

czymś, co wygląda na ludzkie prochy. Stoją tam już od jakiegoś czasu, ale raczej nie bardzo długo. Wygląda na to, że stosunkowo niedawno je tam zgromadził.

Doktor Scarpetta nie odzywa się, dopóki nie dojdą do szopy. Tam pożycza latarkę od jednego z policjantów i kieruje strumień światła do wnętrza. W jasnym kręgu pojawiają się plastikowe worki na śmieci, które policjanci dopiero co otworzyli. Ze środka wysypuje się biały proch, z kawałkami kredowych kości, wypadają tanie metalowe puszki i pudełka po cygarach, wszystkie pokryte białym pyłem. Niektóre pudełka są powyginane. Po jednej stronie otwartych drzwi stoi policjant i sięga do środka składaną pałką, którą rozłożył na całą długość. Przesuwa nią w otwartym worku z popiołami.

– Myśli pani, że on własnoręcznie spalił tych ludzi? – zwraca się do doktor Scarpetty. Światło jej latarki omiata wnętrze szopy, zatrzymując się na długich kościach i czaszce w kolorze starego pergaminu.

– Nie – odpowiada Kay, – Chyba że ma gdzieś własne krematorium. To szczątki typowe dla procesu spalania zwłok. – Kieruje jasny strumień na zakurzone, pogiete pudełko na wpół zakopane w worku z pyłem. – Prochy zmarłego oddawane są rodzinie w takiej zwykłej, taniej puszcze jak te. Jeśli życzysz sobie czegoś bardziej wyszukanego, musisz zapłacić. – Kieruje światło z powrotem na niespalone długie kości i czaszkę, która wpatruje się w nich pustymi czarnymi oczodołami i szczyry pozbawioną części zębów szczękę. – Spalenie ludzkiego ciała na proch wymaga temperatury rzędu czterystu lub nawet tysiąca stopni.

– A skąd te niespalone fragmenty? – Policjant wskazuje pałką na długie kości i czaszkę. Pałka tkwi pewnie w jego ręce, ale widać, że jej właściciel jest podenerwowany.

– Sprawdziłabym, czy w ostatnich latach zdarzyły się tu jakieś zbezczeszczenia grobów – radzi doktor Scarpetta. – Te kości na moje oko wyglądają na dość stare. W każdym razie na pewno nie są świeże. No i nie czuje się tu żadnych zapachów, w każdym razie nie takich, jak gdyby ciała się tu rozkładały. – Patrzy na czaszkę, która odwzajemnia jej spojrzenie.

– Nekrofilia – mówi Marino, przesuwając strumieniem światła po wnętrzu szopy, po białym pyłe, który jest tym, co pozostało z dziesiątków ludzi, i który musiał być gdzieś zbierany od lat, aż wreszcie został wrzucony do tych worków.

– Nie jestem pewna – odpowiada doktor Scarpetta, wyłączając latarkę, i wychodzi z szopy. – Obstawiałabym raczej, że on ma jakiś pokątny biznes. Zabierał te prochy za opłatą, obiecując, że spełni marzenie nieszczęśnika, który chciał, żeby go rozsypać nad jakąś górą, morzem, w ogródku czy też wrzucić do ulubionego miejsca w jeziorze. Bierzesz pieniądze i zabierasz gdzieś prochy. Na ostatnim etapie do tej szopy. Nikt nigdy się nie dowiaduje. Takie sytuacje już się zdarzały. Mógł zacząć ten proceder, jeszcze kiedy u mnie pracował. Sprawdziłabym też miejscowe zakłady pogrzebowe, czy przypadkiem nie kręcił się przy którymś z nich w poszukiwaniu klientów. Oczywiście właściciele nigdy się do tego nie przyznają. – Kay odchodzi po dywanie z wilgotnych martwych liści.

– A więc to wszystko dla kasy? – W głosie policjanta z pałką brzmi niedowierzenie.

– Być może śmierć zafascynowała go do tego stopnia, że sam zaczął ją powodować – odpowiada doktor Scarpetta, idąc przez podwórko. Deszcz ustał. Wieje lekki wiatr, a wyłaniający się zza chmur księżyc jest wąski i blady niczym odprysk szkła nad omszałym łupkowym dachem domu, w którym mieszkał Edgar Allan Pogue.

Na zamglonej ulicy światło najbliższej latarni sięga na tyle, że rzuca cień Kay na asfalt. Doktor Scarpetta wpatruje się przez wilgotne, ciemne podwórze w jasne okna po drugiej stronie drzwi wejściowych.

Ludzie, którzy mieszkają na tej ulicy, albo ci, którzy tylko tędy przejeżdżają, powinni byli widzieć palące się światła, a może i rudowłosego mężczyznę wchodzącego do tego domku i wychodzącego. Pewnie nawet ma samochód, choć Browning powiedział jej kilka minut temu, że jeśli Pogue posiada jakikolwiek pojazd, nie istnieją na ten temat żadne dane. Oczywiście to dość dziwne. Oznacza, że jeśli ma auto, jest ono zarejestrowane na kogoś innego. Czyli albo samochód nie należy do niego, albo też tablice są ukradzione. A może on w ogóle nie ma samochodu, myśli doktor Scarpetta.

Aparat komórkowy wydaje się ciężki i niewygodny, mimo że to niewielki i lekki model, ale myśli o Lucy ciężką Kay do tego stopnia, że niemal boi się do niej dzwonić w obecnej sytuacji. Jakkolwiek wygląda życie prywatne Lucy, jej ciotka boi się szczegółów. Prywatne życie Lucy rzadko bywa dobre, a ta część umysłu Kay, która najwyraźniej nie ma nic lepszego do roboty, tylko martwić się i zastanawiać, bardzo często oskarża się o niepowodzenia związków siostrzenicy. Benton jest w Aspen i Lucy na

pewno o tym wie. Musi też wiedzieć, że między Bentonem i Kay nie układa się dobrze, a po prawdzie nie układało się, odkąd się znów zeszli.

Doktor Scarpetta wybiera numer Lucy w chwili, gdy otwierają się drzwi frontowe i na spowitej mrokiem werandzie pojawia się Marino. Widok detektywa opuszczającego miejsce zbrodni z pustymi rękami jest zaskakujący. Kiedy pracował w Richmondzie jako śledczy, zawsze odjeżdżał z tyłoma workami na dowody, ile był w stanie pomieścić jego bagażnik. Teraz jednak nie bierze z sobą nic, już nic go nie łączy z wydziałem zabójstw w Richmondzie. Lepiej zatem pozostawić gliniarzom zbieranie dowodów, opisywanie ich i oddawanie do laboratoriów. Może uda im się odwalić kawał porządnej roboty: nie zostawić na miejscu nic ważnego i nie zabrać zbyt wielu rzeczy nieistotnych – ale kiedy doktor Scarpetta przygląda się przyjacielowi idącemu wzdłuż ceglanej ściany, czuje się bezsilna i przerywa połączenie z Lucy, zanim odezwie się poczta głosowa.

– Co teraz? – pyta, kiedy detektyw jest już blisko niej.

– Marzę o papierosie – odpowiada Marino, rozglądając się po nierówno oświetlonej uliczce. – Nieustraszony pośrednik nieruchomości Jimbo oddzwonił do mnie. Znalazł Bernice Towle. To córka.

– Tajemniczej pani Arnette?

– Bingo. No więc pani Towle nic nie wie o tym, żeby ktoś tu mieszkał. Według niej dom stoi pusty od kilku lat. Jakieś dziwaczne zastrzeżenia w testamencie. Rodzinie nie wolno sprzedać nieruchomości poniżej określonej sumy, a Jim twierdzi, że nie ma siły, żeby kiedykolwiek osiągnąć taką cenę. Nie mam pojęcia, o co chodzi. Ale marzę o papierosie. Może jednak wyczułem tam dym cygar i to mnie tak nakręciło.

– A co z gośćmi? Czy pani Towle pozwalała komuś nocować w tym domu?

– Nikt nie pamięta, kiedy ta melina po raz ostatni widziała gości. Obawiam się, że on mógł tu się wprowadzić jak włóczęga do pustostanu. Mieszkanie za darmo, a jeśli ktoś się pojawi, zmywasz się. I wracasz, gdy znowu nie ma nikogo na horyzoncie. Nikt nic nie wie. No więc co teraz?

– Myślę, że powinniśmy wrócić do hotelu. – Doktor Scarpetta otwiera drzwi suwa i spogląda raz jeszcze na oświetlony dom. – Dziś wieczór już chyba niewiele zwojujemy.

– Ciekawe, o której zamykają hotelowy bar – mówi detektyw, otwierając drzwi pasażera, a następnie ostrożnie wsuwa się do samochodu. – Nie chce mi się spać. Zawsze tak jest, niech to. Chyba jeden papieros i kilka piw nie mogą mi zaszkodzić. A potem może zasnę.

Kay zamyka drzwi i włącza silnik.

– Mam nadzieję, że bar jest zamknięty – odpowiada. – Jeśli ja bym się czegoś napiła, pogorszyłoby to tylko sprawę, ponieważ nie mogłabym myśleć. O co chodzi, Marino? – Zjeżdża z krawężnika, światła domu Edgara Allana Pogue’a oddalają się. – On mieszkał w tym domu i nikt o tym nie wiedział? Ma worki pełne ludzkich szczątków i nikt nigdy nie widział, jak wchodził do tej szopy na podwórku? Twierdzisz, że pani Paulsson nigdy nie widziała, żeby się tam kręcił? Może Gilly widziała?

– Może podskoczmy do niej i zapytamy? – proponuje Marino, wyglądając przez okno. Wielkie łapska trzyma na kolanach, jakby osłaniał swoje obrażenia.

– Już prawie północ.

Jej przyjaciel wybucha sarkastycznym śmiechem.

– Jasne. Grzeczność przede wszystkim.

– Niech będzie. – Doktor Scarpetta skręca w lewo w Grace Street. – Ale uważaj. Nie mamy pojęcia, jak ona zareaguje na twój widok.

– To ona powinna przejmować się moją reakcją, a nie na odwrót.

Kay zawraca i zatrzymuje samochód po stronie niewielkiego ceglanego domu, tuż za granatową furgonetką. Światło widać wyłącznie w salonie, prześwituje przez cienkie zasłony. Doktor Scarpetta zastanawia się nad najlepszym sposobem ściągnięcia pani Paulsson do drzwi i w końcu decyduje się najpierw zadzwonić. Przegląda listę ostatnio wybieranych numerów w nadziei, że numer matki Gilly nadał figuruje wśród nich, ale tak nie jest. Sięga więc do torebki i wyciąga karteczkę, którą włożyła tam podczas pierwszego spotkania z Suzanną Paulsson, a potem wybiera numer na swojej komórce i wysyła go w eter, czy gdzie tam idą połączenia telefoniczne, po czym wyobraża sobie aparat dzwoniący przy łóżku pani Paulsson.

– Słucham? – Głos tamtej brzmi niepewnie i lekko nieprzytomnie.

– Mówi Kay Scarpetta. Jestem pod pani drzwiami, ponieważ coś się wydarzyło. Muszę z panią porozmawiać. Proszę otworzyć.

– Która jest godzina? – pyta pani Paulsson ze zdziwieniem i lekkim przestraszeniem w głosie.

– Proszę otworzyć – powtarza doktor Scarpetta, wysiadając z suwa. – Stoję pod drzwiami.

– Dobrze, już dobrze. – Kobieta odkłada słuchawkę.

– Siedź w samochodzie – rzuca Kay w kierunku suwa. – Zaczekaj, aż ona otworzy, dopiero wtedy wysiadaj. Jeśli zobaczy cię przez okno, nie wpuści nas.

Zamyka swoje drzwi i rusza w kierunku ganku, a Marino siedzi potulnie w aucie. Światła zapalają się, w miarę jak pani Paulsson przechodzi przez dom, zbliżając się do drzwi. Doktor Scarpetta czeka, a za zasłoną w salonie przesuwa się cień. Cień porusza się, gdy pani Paulsson wygląda przez okno, po czym zasłona opada na miejsce i kołysze się jeszcze, gdy otwierają się drzwi. Pani Paulsson jest ubrana we flanelowy szlafrok na zamek

błyskawiczny, włosy ma przygniecione w miejscu, w którym przyciskała głowę do poduszki, oczy zapuchnięte.

– Boże, co się stało? – pyta, wpuszczając Kay do środka. – Dlaczego pani tu przyjechała? Co się stało?

– Chodzi nam o mężczyznę, który mieszkał w domu za pani płotem – wyjaśnia doktor Scarpetta. – Znała go pani?

– Jakiego mężczyznę? – Na twarzy pani Paulsson maluje się zdziwienie i przerażenie. – Za jakim płotem?

– W tym domku z tyłu. – Kay wskazuje palcem w głąb domu, czekając na pojawienie się Marina przy drzwiach. – Mieszkał tam pewien mężczyzna. Niechże się pani zastanowi, Musiała pani wiedzieć, że ktoś tam jest, pani Paulsson.

Marino puka, na co pani Paulsson podskakuje i chwyta się za serce.

– O Boże! A to co znowu?

Doktor Scarpetta otwiera drzwi, wpuszczając go do środka. Marino ma czerwoną twarz i unika wzroku gospodyni, ale zamyka za sobą drzwi i wchodzi do salonu.

– O cholera! – rzuca pani Paulsson z gniewem. – Nie chcę go tu oglądać – zwraca się do Kay. – Niech on się wynosi!

– Proszę nam opowiedzieć o mężczyźnie zza płotu – mówi doktor Scarpetta. – Musiała pani widywać tam światła.

– Nazywał się Edgar Allan Pogue, Al albo może jakoś inaczej? – zwraca się do niej Marino, nie przestając się rumienić. – Nie wciskaj nam kitu, Suzie. Nie mamy do tego nastroju. Jak kazał do siebie mówić? Idę o zakład, że nieźle się zakolegowaliście.

– Powtarzam wam, że nie mam pojęcia o żadnym facecie w tamtym domu – zarzeka się pani Paulsson. – Czemu o niego pytacie? Czy on... ? Myślicie, że... ? O Boże. – W jej oczach błyszczą łzy i strach, i wygląda na

to, że jest szczerą w tym samym stopniu co każdy dobry kłamca, w związku z czym Kay jej nie dowierza.

– Czy on był kiedyś u ciebie w domu? – pyta ostro Marino.

– Nie! – Pani Paulsson potrząsa głową i składa ręce na wysokości talii.

– Doprawdy? – drąży detektyw. – Skąd wiesz, skoro nie masz pojęcia, o kim mowa, he? Może to mleczarz? Może wpadł kiedyś pobawić się z tobą? Nie masz pojęcia, o kim mówimy, więc skąd ta pewność, że nigdy go tu nie było?

– Nie pozwolę tak sobą pomiatać – zwraca się pani Paulsson do Kay.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. – Doktor Scarpetta nie spuszcza z niej wzroku.

– Przecież powiedziałam...

– A ja ci mówię, że jego cholerne odciski palców były w sypialni Gilly – oświadcza ze złością Marino, zbliżając się o krok. – Wpuściłaś tego cholernego rudzielca do domu, żeby sobie z nim pobaraszkować? Tak było, Suzie?

– Nie! – Łzy ciekną po jej twarzy. – Nie! Tam nikt nie mieszkał! Tylko ta stara baba, ale jej już nie ma od lat! Może od czasu do czasu ktoś tam zaglądał, ale nikt tam nie mieszka, przysięgam! Jego odciski palców? O Boże! Moje dziecko, moje maleństwo. – Szłocha ze skrzyżowanymi ramionami, płacze tak bardzo, że widać jej dolne zęby, więc przyciska drżącą rękę do policzka. – Co on zrobił mojemu dziecku?

– Zabił ją, ot co – odpowiada Marino. – Opowiedz nam o nim, Suzie.

– Nie – jęczy pani Paulsson. – Och, moja Gilly!

– Usiądź, Suzie.

Ona jednak stoi i płacze z twarzą zakrytą dłońmi.

– Siadaj! – rozkazuje jej gniewnie Marino, a doktor Scarpetta zna ten ton.

Pozwala więc przyjacielowi robić to, w czym jest świetny, aczkolwiek widok jest zawsze przykry.

– Siadaj! – Detektyw wskazuje na kanapę. – Raz w życiu powiedz cholerną prawdę. Zrób to dla Gilly.

Pani Paulsson opada na kanapę pod oknem, wciąż ukrywając twarz w dłoniach. Łzy płyną jej po szyi i dalej, na szlafrok. Kay staje przy zimnym teraz kominku, naprzeciwko niej.

– Opowiedz nam o Edgarze Allanie Pogue’u. – Marino mówi głośno i wyraźnie. – Słuchasz mnie, Suzie? Hej? Słuchasz mnie? On zabił twoją córeczkę. Ale może wcale cię to nie obchodzi? W końcu ona sprawiała same kłopoty, Gilly, znaczy się. Słyszałem, że ponoć była strasznym flejtuchem? Cały czas musiałś sprzątać po tej niewdzięcznej małej...

– Przestań! – wrzeszczy pani Paulsson. W jej szeroko otwartych, zaczerwienionych oczach płonie nienawiść. – Przestań! Przestań! Ty pieprzony... Ty... – Zanosi się znowu płaczem i wyciera nos drżącą ręką. – Moja Gilly.

Marino siada w fotelu. Oboje zdają się zapominać o obecności Kay, ale detektyw jest jej doskonale świadomy. On też zna zasady.

– Chcesz, żebyśmy go złapali, Suzie? – pyta niespodziewanie cicho i spokojnie. Wychyla się do przodu i opiera potężne łokcie na wielkich kolanach. – Chcesz? Powiedz mi.

– Tak. – Kobieta kiwa głową. – Tak.

– Więc nam pomóż.

Pani Paulsson z płaczem potrząsa głową.

– Nie pomożesz nam? – Marino opiera się znów w fotelu i zerka na stojącą przy kominku Kay. – Ona nam nie pomoże, pani doktor. Nie chce, żebyśmy go złapali.

– Nie – szłocha matka Gilly. – Ja... Ja nic nie wiem. Widziałam go tylko, wydaje mi się, że tak... Jak raz wieczorem wyszłam, wiecie. Wyszłam... podeszłam do płotu. Podeszłam do płotu, żeby zabrać Żabkę, a tam na podwórku był jakiś człowiek.

– Na podwórku koło swojego domu – precyzuje Marino. – Po drugiej stronie twojego płotu?

– Był za płotem, ale między deskami są szpary, a on włożył przez nie palce i głaskał Żabkę przez płot. Powiedziałam „dobry wieczór”, tak do niego powiedziałam... O Boże. – Ledwie łapie oddech. – O Boże. On to robił! Głaskał Żabkę.

– Powiedział coś do ciebie? – pyta dalej detektyw cichym głosem. – Mówił cokolwiek?

– Powiedział... – Jej głos robi się na moment mocniejszy, po czym znów opada do szeptu. – Powiedział... że lubi Żabkę.

– Skąd znał imię twojego szczeniaka?

– „Lubię Żabkę” – tak powiedział.

– Skąd wiedział, że twój szczeniak wabi się Żabka? – pyta Marino.

Pani Paulsson oddycha ciężko, ale już tak bardzo nie płacze, za to wpatruje się w podłogę.

– W takim razie mógł porwać Żabkę – mówi detektyw. – Skoro ją lubił. Nie widziałaś jej od tego czasu, prawda?

– A więc zabrał Żabkę. – Pani Paulsson zaciska dłoń tak mocno, że bieleją jej knykcie. – Wszystko mi zabrał.

– Tego wieczoru, kiedy głaskał Żabkę przez płot, co sobie pomyślałaś? Co pomyślałaś o tym, że tam mieszka jakiś mężczyzna?

– Miał niski głos, wiesz, niezbyt głośny, taki powolny głos, który nie jest ani przyjemny, ani nieprzyjemny. Nie wiem.

– Nic więcej do niego nie mówiłaś?

Kobieta wpatruje się w podłogę, zaciśnięte w pięści dłonie trzyma na kolanach.

– Chyba powiedziałam: „Jestem Suzie, Mieszka pan tutaj?”. A on odpowiedział, że jest tylko przejazdem. I tyle. Więc wzięłam Żabkę i wróciłam do domu. A kiedy wchodziłam przez kuchenne drzwi, zobaczyłam Gilly. Była w swoim pokoju, wyglądała przez okno. Patrzyła, jak zabieram Żabkę do domu. Kiedy tylko weszłam do środka, podbiegła i zabrała ją ode mnie. Ona kochała tego psa. – Usta jej drżą, wzrok nie opuszcza podłogi. – Strasznie by ją to zmartwiło.

– Zasłony były rozsunięte, gdy wyglądała przez okno? – pyta Marino.

Pani Paulsson wpatruje się nieruchomym wzrokiem w podłogę, paznokcie wbijają się w zaciśnięte dłonie.

Detektyw rzuca spojrzenie doktor Scarpencie.

– Wszystko w porządku, pani Paulsson – odzywa się ta. – Proszę się uspokoić. Proszę się choć trochę rozluźnić. Tamten wieczór, kiedy ten mężczyzna głaskał Żabkę przez płot – jak dawno to było?

Kobieta ociera oczy i zamyka je.

– Jak długo przed śmiercią Gilly? Kilkę dni, kilka tygodni, kilka miesięcy?

Pani Paulsson podnosi na nią oczy.

– Nie wiem, dlaczego pani tu wróciła. Mówiłam, że ma pani nie przychodzić.

– Chodzi o Gilly – naciska Kay, usiłując skupić uwagę ich rozmówczyni na rzeczach, o których ta nie chce myśleć. – Musimy dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie, którego widziała pani przez płot, o tym człowieku, który ponoć głaskał Żabkę.

– Miała tu pani nie przychodzić, przecież pani zabroniłam.

– Bardzo mi przykro, że jestem niepożądanym gościem – odpowiada doktor Scarpetta, nie ruszając się od kominka. – Może pani uważać inaczej, ale staram się pomóc. Wszyscy chcemy się dowiedzieć, co było z pani córką. I co się stało z Żabką.

– Nie – mówi pani Paulsson, która ma już suche oczy i wpatruje się niepokojąco w Kay. – Niech pani sobie idzie. – Nic nie wskazuje na to, żeby chciała się również pozbyć Marina. Sprawia wrażenie, jakby wręcz nie zdawała sobie sprawy z jego obecności na fotelu na lewo od kanapy, pół metra od miejsca, gdzie sama siedzi. – Jeśli się pani nie wyniesie, zadzwonię po kogoś. Po policję. Zadzwonię po nich.

Chcesz zostać z nim sam na sam, myśli Kay. Chcesz gry, ponieważ gra jest łatwiejsza od rzeczywistości.

– Pamięta pani, jak policjanci zabierali rzeczy z sypialni Gilly? – pyta głośno. – Pamięta pani, że zabrali pościel? Zabrali mnóstwo próbek do laboratoriów.

– Nie chcę tu pani – mówi tamta, siedząc nieruchomo, jej surowo ładna, zimna twarz zwrócona jest ku doktor Scarpecie.

– Technicy szukają teraz dowodów. Wszystko, co znajdowało się na pościeli Gilly, na jej piżamie, wszystko, co policjanci zabrali z pani domu, jest dokładnie sprawdzane. Podobnie jak sama Gilly. Ja też ją oglądałam – ciągnie Kay, wpatrując się w przeciętną, choć raczej ładną twarz kobiety. – I laboranci nie znaleźli żadnej psiej sierści. Ani włoska.

Pani Paulsson wpatruje się w nią, a przez jej twarz przemyka jakaś myśl, niczym płotka w płytkiej mulistej wodzie.

– Nie było psiej sierści. Ani włoska, który mógłby należeć do bassetta. – Kay mówi tym samym spokojnym, zdecydowanym głosem, spoglądając z miejsca pod kominkiem na siedzącą na kanapie panią Paulsson. – Żabki nie

ma, to prawda, ponieważ nigdy jej nie było. Nie było żadnego szczeniaka. Nigdy.

– Powiedz jej, żeby sobie poszła – zwraca się pani Paulsson do Marina, nawet na niego nie patrząc. – Niech się wynosi z mojego domu – rozkazuje, jakby był jej facetem lub sprzymierzeńcem. – Wy, lekarze, robicie z ludźmi, co chcecie. – Teraz mówi znów do doktor Scarpetty. – Robicie z ludźmi, co tylko wam się podoba.

– Dlaczego skłamałaś o szczeniaku? – pyta Marino.

– Żabki nie ma – oświadcza pani Paulsson. – Nie ma.

– Potrafimy stwierdzić, czy w domu był pies – ciągnie detektyw.

– Gilly bardzo dużo wyglądała przez okno. Wszystko przez Żabkę, wyglądała za Żabką. Otwierała okno i wołała – opowiada kobieta, wpatrując się w zaciśnięte dłonie.

– Nigdy nie było żadnego szczeniaka, prawda, Suzie? – pyta Marino.

– Ciągle podnosiła to okno z powodu Żabki. Kiedy Żabtuś był na podwórku, Gilly otwierała okno, śmiała się i wołała. No i zamek się zepsuł.

– Pani Paulsson otwiera powoli dłonie, spoglądając na półokrągłe ślady paznokci i kropelki krwi. – Powinnam była go naprawić – mówi.

O dziesiątej rano następnego dnia Lucy przechadza się niecierpliwie, bierze do ręki czasopisma, odgrywając pośpiech i znudzenie. Ma nadzieję, że siedzący koło telewizora pilot helikoptera pospieszy się i wejdzie wreszcie na wizytę albo też otrzyma pilny telefon i wyjdzie. Lucy krąży po salonie domu znajdującego się obok kompleksu szpitalnego, zatrzymując się raz po raz przed oknem z bardzo starą szybą z pofalowanego szkła i wyglądając na zabytkowe domy przy Barre Street. Turyści nie zjadą się do Charlestonu przed wiosną, więc na ulicy nie widać wielu ludzi.

Lucy zadzwoniła do drzwi jakieś piętnaście minut temu i została wpuszczona przez pulchną starszawą kobietę, która wprowadziła ją do poczekalni znajdującej się zaraz za drzwiami; dawniej, w czasach świetności tego domu, była zapewne niewielkim gabinetem do oficjalnych spotkań. Kobieta dała jej do wypełnienia formularz FAA, Federalnego Urzędu Lotnictwa Cywilnego, taki sam, jaki Lucy wypełniała co dwa lata przez ostatnią dekadę, a następnie wspięła się na piętro po długich schodach z polerowanego drewna. Kwestionariusz Lucy leży na stoliczku do kawy. Zaczęła go wypełniać i przerwała. Podnosi teraz kolejne czasopismo, rzuca na nie okiem, po czym odkłada je z powrotem na stertę, podczas gdy pilot helikoptera wypełnia swój formularz i od czasu do czasu posyła jej spojrzenia.

– Przepraszam, że się wtrącam – mówi w końcu przyjaznym tonem – ale doktor Paulsson nie lubi niewypełnionych kwestionariuszy.

– Widzę, że znasz układy – odpowiada Lucy, siadając. – Cholerne formularze. Nigdy nie byłam w tym dobra. W ogólniaku oblewałam wszelkie testy.

– Ja też ich nienawidzę – zgadza się z nią tamten mężczyzna. Jest młody, wygląda na sprawnego fizycznie, ma krótko przystryżone ciemne włosy i blisko rozstawione ciemne oczy, a kiedy przedstawiał się kilka minut temu, powiedział, że lata na black hawkach w Gwardii Narodowej i na jet rangersach w firmie czarterowej. – Ostatnio zapomniałem zaznaczyć punkt o alergiach, ponieważ właśnie byłem na odczulaniu. Żona ma kota i musiałem zacząć odczulanie. Podziałało tak dobrze, że zapomniałem o alergii, a komputer odrzucił moje podanie.

– Co za draństwo – mówi Lucy. – Jedna pomyłka i komputer komplikuje ci życie na wiele miesięcy.

– Tym razem wziąłem z sobą kopię starego kwestionariusza. – Pilot podnosi żółtą złożoną kartkę. – Teraz wszystkie odpowiedzi będą takie same. Niezła sztuczka, co? Ale na twoim miejscu wypełniłbym ten formularz. Nie spodoba mu się, jeśli tego nie zrobisz.

– Mam błąd – odpowiada Lucy, sięgając po swoje kartki. – Wpisałam miasto w niewłaściwym miejscu. I tak muszę zacząć od początku.

– Ach, tak.

– Jeśli ta kobieta zejdzie znów na dół, muszę ją poprosić o nowy egzemplarz.

– Ona jest tu od zawsze – mówi pilot.

– Skąd wiesz? – pyta Lucy. – Jesteś za młody, żeby wiedzieć, że ktoś jest tu od zawsze.

Tamten uśmiecha się i rozpoczyna niewielki flirt.

– Nie masz pojęcia, gdzie bywałem. A skąd ty jesteś? Nigdy nie widziałem cię w bazie. Nie powiedziałaś, skąd jesteś. A twój kombinezon nie wygląda na wojskowy, w każdym razie nie pochodzi z jednostki, którą bym znał.

Jej kombinezon lotniczy jest czarny, z amerykańską flagą na jednym ramieniu i nietypową naszywką na drugim: niebiesko-złotym emblematem projektu Lucy, z orłem otoczonym gwiazdami. Skórzana naszywka z nazwiskiem obwieszcza dziś, że młoda kobieta nazywa się P. W. Winston. Jest przyczepiona na rzepie, dzięki czemu Lucy może w każdej chwili zmienić tożsamość, w zależności od tego, co i gdzie robi. Ponieważ jej biologiczny ojciec był Kubańczykiem, może uchodzić za Latynoskę, Włoszkę lub Portugalikę bez pomocy kosmetyków. Ale dziś jest w Charlestonie w Karolinie Południowej, więc postanowiła zostać po prostu ładną białą kobietą ze śladem południowego akcentu, lekkim zaśpiewem na tle przeciętnej amerykańskiej wymowy.

– Latam prywatnie, paragraf dziewięćdziesiąt jeden – wyjaśnia. – Facet, dla którego pracuję, ma bella czterysta trzydzieści.

– Szczęściarz – mówi pilot, najwyraźniej jest pod wrażeniem. – Pewnie jakiś bogacz, tyle tylko powiem. To niezła maszyna, ten czterysta trzydzieści. Jak ci się nim lata? Musiałaś się długo przyzwyczajać?

– Fantastycznie – odpowiada Lucy, marząc, żeby tamten wreszcie się zamknął. Mogłaby rozmawiać o helikopterach przez cały dzień, ale w tej chwili się zastanawia, gdzie powinna umieścić pluskwy w domu Franka Paulssona i jak to zrobić.

Pojawia się znów pulchna kobieta, która wprowadziła Lucy do poczekalni, by poinformować pilota, że może wejść, ponieważ doktor Paulsson jest już wolny. Wypytuje, czy wypełnił formularz i czy jest pewny, że wpisał poprawne odpowiedzi.

– Gdybyś była kiedyś w okolicy Mercury Air, mamy biuro przy hangarze, widać je z parkingu. Trzymam przed nim harleya z amortyzacją tylnego koła – mówi pilot do Lucy.

– Mamy podobny gust – odpowiada Lucy, nie wstając z krzesła. – Potrzebuję jeszcze jednego kwestionariusza – zwraca się do kobiety. – Pomyliłam się.

Tamta rzuca jej podejrzliwe spojrzenie.

– *Zobaczę, co się da zrobić. A tego nie wyrzucaj. Pomylisz numer.*

– Oczywiście, proszę pani. Trzymam go tu na stoliku – mówi Lucy, po czym zwraca się do pilota: – Właśnie zamieniłam sportstera na vroda. Jeszcze jest niedotarty.

– Niech cię! Bell czterysta trzydzieści i vrod. Ty to masz życie – mówi pilot z zachwytem.

– Może się kiedyś przejedziemy. Powodzenia z kotem.

Pilot się śmieje. Lucy słyszy, jak mężczyzna idzie po schodach, tłumacząc pulchnej kobiecie, że kiedy poznał swoją żonę, ona nie chciała słyszeć o rozstaniu z kotem, więc zwierzak sypiał z nimi w łóżku, a on dostawał pokrzywki w najmniej odpowiednich chwilach. Lucy ma parter dla siebie na co najmniej minutę, na co najmniej tyle, ile pulchnej rejestratorce zajmie znalezienie kolejnego pustego formularza i zejście do poczekalni. Lucy wkłada bawełniane rękawiczki i porusza się szybko po pokoju, wycierając dokładnie każde czasopismo, którego dotknęła.

Pierwsza zamontowana pluskwa jest wielkości niedopałka papierosa – to bezprzewodowy mikrofon z nadajnikiem; Lucy umieszcza go w wodoodpornej zielonej plastikowej tulejce, która nie wygląda na nic konkretnego. Większość pluskiew powinna wyglądać jak jakiś przedmiot, ale od czasu do czasu powinny być właśnie nijakie. Lucy wkłada zieloną tulejkę do stojącej na stoliku jasnej ceramicznej donicy, w której rośnie

imponujący fikus. Następnie przechodzi szybko na tyły domu i umieszcza kolejną nijako wyglądającą pluskwę w kolejnej doniczce z fikusem, stojącej na stole w kuchni połączonej z jadalnią, po czym słyszy na schodach kroki kobiety.

Benton siedzi w przerobionej na gabinet sypialni dla gości w swojej willi. Siedzi przed laptopem i czeka, aż Lucy uruchomi kamerę wideo wyglądającą jak długopis, podłączoną do komórkowego przekaźnika, który udaje pager. Czeką, aż Lucy uaktywni niezwykle czuły nadajnik głosowy ukryty w automatycznym ołówku. Na biurku z prawej strony od laptopa stoi modularny system podsłuchu wbudowany w walizeczkę. Walizeczka jest otwarta, a magnetofon i odbiorniki pozostają w stanie czuwania.

W Charlestonie jest dwadzieścia osiem minut po dziesiątej rano, a tu, w Aspen, dwie godziny wcześniej. Benton, ze słuchawkami na głowie, wpatruje się w ciemny monitor, siedząc cierpliwie przy biurku – czeka. Czeką już mniej więcej godzinę. Lucy zadzwoniła do niego, kiedy wylądowała w Charlestonie wczoraj wieczorem lokalnego czasu, i opowiedziała mu o zaplanowanym spotkaniu. Dodała, że do Paulssona jest duża kolejka. Powiedziała więc kobiecie, która odebrała telefon, że to pilne. Lucy musi dostać zaświadczenie lekarskie, ponieważ jej certyfikat medyczny wygasa za dwa dni. Dlaczego więc czekała do ostatniej chwili, zapytała rejestratorka doktora Paulssona.

Lucy z dumą opisała Bentonowi przedstawienie, jakie odegrała. Powiedziała, że była bardzo niepewna i sprawiała wrażenie przerażonej. Nawet kilka razy zająknęła się i wyjaśniła, że nie miała czasu się tym zająć,

ponieważ właściciel helikoptera, którym lata, orał nią dniem i nocą, tak że nie miała nawet czasu pomyśleć o wizycie u lekarza. A poza tym miała problemy osobiste, powiedziała kobiecie, a jeśli nie dostanie zaświadczenia, nie będzie mogła legalnie latać, więc może stracić pracę, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz na dodatek do wszystkiego potrzebuje, jest utrata pracy. Kobieta kazała Lucy zaczekać, nie rozłączając się. Kiedy odezwała się ponownie w słuchawce, powiedziała, że doktor Paulsson zgodził się przyjąć ją następnego dnia o dziesiątej rano – czyli dzisiaj – i że to nie lada uprzejmość, ponieważ ze względu na jej trudną sytuację odwołał cotygodniowego debła. W związku z tym lepiej będzie dla Lucy, jeśli nie zrezygnuje z wizyty i zjawi się o czasie, albowiem ważny i zapracowany doktor Paulsson wyświadcza jej wielką przysługę.

Na razie wszystko przebiega zgodnie z planem. Lucy ma umówioną wizytę. Jest już w domu lekarza lotniczego. Benton czeka przy biurku i wygląda przez okno na ciężkie śnieżne chmury, które wiszą jeszcze niżej niż raptem pół godziny temu. Podobno wieczorem ma znów spaść śnieg i padać przez całą noc. Benton zaczyna mieć dość śniegu. Zaczyna mieć dość swojej willi. Zaczyna mieć dość Aspen. Odkąd w jego życie wtargnęła Henri, zaczął mieć dość wszystkiego.

Henri Walden jest narcystyczną socjopatką i prześladowczynią. Czysta strata czasu dla niego. Henri traktuje terapię powypadkową jako żart, a Benton mógłby nawet współczuć Lucy, gdyby nie był na nią zły o to, że dopuściła do takiej sytuacji. Henri uwiodła ją i wykorzystała. Henri dostała, czego chciała. Być może nie planowała, że zostanie napadnięta w domu Lucy na Florydzie, być może wielu rzeczy nie planowała, ale tak naprawdę szukała Lucy, znalazła ją i wzięła od niej wszystko, czego chciała, a teraz się z niego nabija. Benton poświęcił urlop z Kay w Aspen dla socjopatycznej niewydarzonej aktorki i niewydarzonej policjantki o imieniu

Henri, która teraz kpi sobie z niego i doprowadza go do szału. Poświęcił czas, który miał spędzić z Kay, a nie stać go na takie poświęcenie. Bezwzględnie nie było go na nie stać. Między nimi już wcześniej nie układało się najlepiej. Teraz zapewne wszystko skończone. Nawet nie może mieć do niej pretensji. To nie do zniesienia, ale nie ma prawa mieć do Kay pretensji.

Benton podnosi nadajnik wyglądający jak niewielka policyjna krótkofalówka.

– Jesteś? – odzywa się do Lucy.

Nie ma jej; w maleńkim bezprzewodowym odbiorniku umieszczonym w kanale jej ucha nie słycać żadnych dźwięków. Odbiornik jest niewidoczny, ale będzie musiała być ostrożna. Z pewnością nie może go mieć w chwili, gdy doktor Paulsson będzie badał jej uszy, a to wymaga szybkości i sprytu. Benton ostrzegął ją, że odbiornik jest wygodny, ale ryzykowny. „Chciałbym móc się do ciebie odezwać – powiedział. Byłoby dobrze, gdybym mógł ci podpowiadać. Ale znasz ryzyko. W pewnym momencie podczas badania lekarz odkryje urządzenie”. Odparła, że w takim razie woli nie mieć podpowiedzi. On na to, że lepiej, żeby miała.

– Lucy? Jesteś? – odzywa się znowu. – Nie słyszę cię i nic nie widzę, więc sprawdzam.

Monitor nagle ożywa i Benton widzi obraz wypełniający ekran, słyszy też kroki Lucy. Obraz drewnianych schodów podskakuje – Lucy idzie na górę – w słuchawkach brzmia jej kroki. Benton słyszy też jej oddech.

– Odbiór obrazu i dźwięku bez zakłóceń – mówi do nadajnika, trzymając go blisko ust. Lampki głosu, obrazu i nagrywania przeszły ze stanu czuwania w tryb pracy.

Na obrazie pojawia się pięść Lucy, w słuchawkach rozlega się wyraźnie głośne pukanie. Benton siedzi za biurkiem, obserwując otwierające się

drzwi i jaśniejący się w nich fartuch lekarski, a następnie męską szyję i twarz doktora Paulssona, który wita Lucy z powagą, oddala się od niej i zaprasza, żeby usiadła. Gdy Lucy przemieszcza się po pokoju, kamera umieszczona w długopisie rejestruje niewielki, prosto urządzony gabinet i kozetkę do badań przykrytą białą bibułą.

– Tu jest błędnie wypełniony formularz i ten drugi, który wypełniłam poprawnie – mówi Lucy, podając mu papiery. – Bardzo mi przykro, mam nadzieję, że nie narobiłam wielkiego zamieszania w systemie. Nie jestem dobra w papierkowej robocie. Oblewałam testy w szkole. – Śmieje się nerwowo, gdy doktor Paulsson przegląda z poważną miną oba kwestionariusze.

– Odbiór bez zakłóceń – mówi Benton do nadajnika.

Na jego ekranie pojawia się jej dłoń – Lucy przesunęła ją przed długopisową kamerą, potwierdzając w ten sposób, że usłyszała go w miniaturowym odbiorniku.

– Skończyła pani studia? – pyta doktor Paulsson.

– Nie, panie doktorze. Chciałam, ale...

– To niedobrze – przerywa jej bez uśmiechu. W niewielkich okularach bez oprawek jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Niektórzy zapewne powiedzieliby, że przystojnym. Jest wyższy od Lucy, ale niewiele, może o kilkanaście centymetrów, ma jakoś pod metr osiemdziesiąt. Jest też szczupły, ale proporcjonalnie zbudowany – o tyle, o ile Benton jest w stanie to ocenić. Ale widzi tylko to, co pokazuje mu kamera ukryta w długopisie znajdującym się w kieszonce lotniczego kombinezonu Lucy.

– W sumie na to, żeby latać helikopterem, nie są potrzebne studia – zauważa niepewnie Lucy. Doskonale odgrywa przestraszoną i zagubioną dziewczynę, którą życie niezbyt dobrze traktowało.

– Moja rejestratorka wspominała, że ma pani jakieś problemy osobiste – mówi doktor Paulsson, nie podnosząc wzroku znad jej papierów.

– Trochę tak.

– Proszę mi opowiedzieć.

– Och, nic szczególnego, typowe kłopoty z chłopakiem. – Lucy udaje podenerwowanie i nieśmiałość. – Mieliśmy się pobrać, ale nic z tego nie wyszło. Wie pan, ta moja praca. Nie było mnie w domu przez pięć miesięcy w ciągu ostatniego pół roku, jeśli dodać wszystkie nieobecności.

– A chłopak nie mógł tego wytrzymać, więc uciekł? – pyta doktor Paulsson, kładąc jej kwestionariusze na blacie obok komputera. Lucy doskonale radzi sobie z poruszaniem się, tak żeby uchwyciła go kamera w długopisie.

– Doskonale – komentuje Benton, rzucając spojrzenie w kierunku zamkniętych na klucz drzwi gabinetu. Henri wyszła na spacer, ale mimo wszystko zamknął drzwi na klucz w obawie, że mogłaby po prostu wparować do środka. Nie nauczyła się przestrzegania granic, ponieważ dla niej nie istnieją żadne granice.

– Zerwaliśmy – odpowiada Lucy. – Ze mną wszystko w porządku. Ale to i wszystko inne... To było dosyć stresujące, ale już w porządku.

– I dlatego zwlekała pani do ostatniej chwili z przedłużeniem zaświadczenia lekarskiego? – Doktor Paulsson przysuwa krzesło nieco bliżej.

– Tak właśnie.

– To niezbyt mądre. Nie można latać bez badań. Lekarze lotniczy są w całym kraju, powinna pani wybrać się do któregoś. Co by było, gdybym nie zdołał pani dziś przyjąć? Miałem dziś nadzwyczajną wizytę – syn przyjaciela – a poza tym to mój dzień wolny, więc mogłem zrobić dla pani

wyjątek. Ale co, gdybym odmówił? Pani zaświadczenie wygasa jutro, oczywiście zakładając, że podała pani prawdziwą datę.

– Tak, panie doktorze. Wiem, że to było głupie. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna...

– Bardzo się spieszę. Więc może do dzieła, zabierzmy się do pracy. – Wyjmuje z szuflady urządzenie do mierzenia ciśnienia i każe jej podwinąć prawy rękaw kombinezonu, po czym owija jej ramię mankietem i zaczyna pompować. – Jest pani bardzo silna. Dużo pani ćwiczy?

– Staram się – odpowiada Lucy drżącym głosem, ponieważ doktor Paulsson właśnie musnął ręką jej pierś, a Benton dostrzegł to pogwałcenie prywatności, obserwując ekran laptopa, oddalony od Lucy o ponad tysiąc kilometrów, w Aspen, w Kolorado. Nikt, kto patrzyłby w tej chwili na niego, nie zauważyłby tej reakcji: nic nie zapaliło się w oczach, usta nie drgnęły. Ale on odczuwa to pogwałcenie prywatności równie mocno jak Lucy.

– On cię dotyka – mówi do Lucy, ze względu na nagranie. – Właśnie zaczął cię dotykać.

– Tak. – Lucy pozornie odpowiada doktorowi Paulssonowi, ale naprawdę zwraca się do Bentona. Przesuwa dłoń przed kamerą, potwierdzając odpowiedź. – Tak, staram się jak najwięcej ćwiczyć – dodaje.

Sto trzydzieści na osiemdziesiąt – mówi doktor Paulsson, ponownie jej dotykając przy odpinaniu rzepa i zdejmowaniu mankietu. – Zawsze ma pani takie wysokie ciśnienie?

– Nie, wcale nie – odpowiada Lucy, odgrywając zdumienie. – Naprawdę jest takie wysokie? Oczywiście to pan się na tym zna. Ale zazwyczaj mam sto dziesięć na siedemdziesiąt. Niemal za niskie.

– Jest pani zdenerwowana?

– Nigdy nie lubiłam chodzić do lekarza – mówi Lucy, a ponieważ siedzi na kozetce, niżej niż lekarz, odchyła się nieco do tyłu. Chce, żeby Benton miał dobry widok na twarz doktora Paulssona, kiedy ten spróbuje ją zastraszyć i zmanipulować.

Doktor Paulsson kładzie dłoń na szyi Lucy, tuż poniżej żuchwy. Ciepłymi, suchymi palcami obmacuje delikatną skórę pod uszami, zakrytymi w dużej mierze przez włosy. Mała szansa, że znajdzie ukryty odbiornik. Każe jej przełknąć, by zbadać węzły chłonne, co zajmuje mu sporo czasu. Ona siedzi napięta jak struna i stara się utrzymać stan niepokoju, ponieważ wie, że lekarz wyczuje puls na jej szyi.

– Proszę przełknąć – mówi znów doktor Paulsson. Ogląda tarczycę i sprawdza, czy wszystko w porządku, a przez głowę Lucy przemyka myśl, że właściwie wie wszystko o badaniach lekarskich. Kiedy w dzieciństwie

przechodziła badania, zawsze dokładnie wypytywała ciotkę Kay o wszystko, nie dając jej spokoju, dopóki nie poznała powodów każdej czynności i uwagi lekarza.

Doktor Paulsson znowu dotyka jej węzłów chłonnych, tym razem jest dużo bliżej, tak że Lucy czuje jego oddech na czubku głowy.

– Widzę tylko fartuch – słyszy wyraźny głos Bentona w lewym uchu.

Nic na to nie poradzę, myśli Lucy.

– Czy była pani ostatnio zmęczona albo nie najlepiej się czuła? – pyta Paulsson tym najbardziej przerażającym, beznamiętnym tonem.

– Nie. To znaczy oczywiście ciężko pracowałam, sporo podróżowałam. Może jestem trochę zmęczona. – Lucy zacina się nieco, starając się sprawiać wrażenie, że jest tak przestraszona, jak sugeruje jej głos, w chwili gdy lekarz naciska na jej kolano. Opiera się bardziej na jednym z nich, ale kamera niestety nie może zarejestrować, jak Lucy się czuje.

– Muszę wyjść do toalety – mówi. – Bardzo przepraszam, to potrwa tylko momencik.

Doktor Paulsson cofa się i wszystko wraca do normy. Wygląda to tak, jakby ktoś zdjął jakąś pokrywę i można wydostać się z zamknięcia. Lucy zsuwa się z kozetki i szybkim krokiem zmierza ku drzwiom, a on podchodzi do komputera i bierze do ręki jej kwestionariusz – ten poprawnie wypełniony.

– Na umywalce jest kubek w plastikowym woreczku – mówi doktor Paulsson, gdy Lucy jest w drzwiach.

– Tak, panie doktorze.

– Proszę zostawić go na zbiorniku, kiedy pani skończy.

Lucy jednak nie korzysta z toalety, tylko ją spłukuje, rzucając Bentonowi: „przepraszam”. Tyle tylko mówi, wyjmując odbiornik z ucha i wkładając go do kieszeni. Nie zostawia moczu w pojemniczku na

zbiorniku, ponieważ nie zamierza zostawiać w tym domu żadnych biologicznych śladów. Mimo że jest mało prawdopodobne, aby jej DNA znajdował się w bazie danych, Lucy woli nie ryzykować. Przez ostatnie lata dołożyła wszelkich starań, żeby usunąć swoje DNA i odciski palców ze wszystkich baz danych w kraju i za granicą, ale nauczyła się żyć ze świadomością najgorszych możliwych scenariuszy, więc nie zostawi swojego moczu doktorowi, ponieważ Paulsson wkrótce będzie miał wszelkie powody, żeby poszukiwać P. W. Winston. Odkąd znalazła się w tym domu, wycierała wszelkie miejsca, których dotknęła, żeby nie zostawić odcisków palców mogących ją zidentyfikować jako Lucy Farinelli, byłą agentkę FBI i ATF.

Wraca do gabinetu, starając się nastawić na najgorsze. Jej puls reaguje odpowiednio.

– Pani węzły chłonne są nieco powiększone – mówi doktor Paulsson, a Lucy wie, że kłamie. – Kiedy ostatnio... Cóż, mówiła pani, że nie lubi chodzić do lekarza, więc chyba nie robiła pani porządnych badań od dość dawna. Morfologii pewnie też nie?

– Powiększone? – powtarza Lucy, odgrywając właściwą w takiej sytuacji panikę.

– Na pewno dobrze się pani ostatnio czuła? Żadnego przemęczenia? Gorączki? Nic w tym rodzaju? – Doktor Paulsson znów do niej podchodzi i wkłada do jej lewego ucha wziernik, co pozwala mu zbliżyć twarz do jej twarzy.

– Nie czułam się źle – odpowiada Lucy, a on wkłada wziernik do jej drugiego ucha.

Następnie doktor Paulsson odkłada wziernik laryngologiczny i sięga po okulistyczny: gdy zagląda jej w oczy, ich twarze są bardzo blisko. Potem bierze do ręki stetoskop. Lucy stara się wyglądać na zaleknioną, aczkolwiek

jest bardziej zła niż przestraszona. Prawdę mówiąc, uświadamia sobie, że wcale się nie boi, gdy siedzi tak na brzegu kozetki, a lignina szeleści przy każdym jej poruszeniu.

– Proszę rozpiąć kombinezon i zsunąć go na biodra – mówi doktor Paulsson tym samym beznamiętnym tonem.

Lucy patrzy na niego przez chwilę, po czym mówi:

– Chyba muszę znów do toalety. Bardzo przepraszam.

– Niech pani idzie – mówi lekarz ze zniecierpliwieniem. – Ale proszę się pospieszyć.

Lucy biegnie do łazienki i wychodzi stamtąd po niecałej minucie, spuściwszy wodę w czasie, kiedy wsuwała odbiornik z powrotem do ucha.

– Bardzo przepraszam – powtarza. – Wypiłam dużą butelkę dietetycznej coli przed przyjściem. To był błąd.

– Proszę zsunąć górę kombinezonu – rzuca doktor Paulsson. Lucy waha się przez moment. Pojawiło się prawdziwe wyzwanie, ale ona wie, co robić. Rozpina kombinezon i opuszcza go do połowy, manewrując tak długopisem, żeby znalazł się pod odpowiednim kątem. Jest połączony z przekaźnikiem komórkowym przypiętym wewnątrz kombinezonu, a zatem niewidocznym.

– Nie tak pionowo – odzywa się Benton w jej uchu. – Opuść go o jakieś dziesięć stopni.

Lucy mimochodem poprawia kombinezon opasujący ją teraz w talii.

– Stanik też – mówi doktor Paulsson.

– Mam zdjąć stanik? – pyta Lucy z przestraczem. – Nigdy wcześniej...

– Panno Winston, naprawdę się spieszę. Proszę. – Wkłada końcówki stetoskopu do uszu i zbliża się do niej z poważną twarzą, nie mogąc się doczekać, aż posłucha jej serca i płuc, a ona zdejmuje przez głowę

sportowy biustonosz i siedzi bardzo napięta, wręcz skamieniała, na pokrytej ligniną lekarskiej kozetce.

Doktor Paulsson przykłada stetoskop pod jedną pierś, potem pod drugą, dotykając jej, ale Lucy wciąż siedzi nieruchomo. Oddycha szybko, serce jej wali w reakcji na złość, a nie lęk, ale ona wie, że doktor Paulsson bierze to za objawy strachu. Lucy zastanawia się, co widzi Benton. Niewinnymi ruchami przesuwa kombinezon zwinięty na biodrach, aby zbliżyć kamerę ukrytą w długopisie, ilekroć doktor Paulsson dotyka jej ciała, udając, że nie interesuje go to, co widzi i czego dotyka.

– Dziesięć stopni niżej i nieco w prawo – instruuje Benton.

Lucy delikatnie poprawia położenie długopisu, a doktor Paulsson gestem nakazuje jej się odwrócić, po czym zabiera się do osłuchiwania pleców.

– Proszę głęboko oddychać – mówi. Jednocześnie z osłuchiowaniem potrafi jej dotknąć, musnąć, a nawet położyć dłoń na jej ciele, cały czas mocno się do niej przytulając.

– Ma pani jakieś blizny albo znamiona? Nie widzę żadnych. – Przesuwa dłonią po jej plecach.

– Nie, panie doktorze – odpowiada Lucy.

– Coś pani musi mieć. Nie operowała pani wyrostka? Żadnych zabiegów chirurgicznych?

– Nie.

– Wystarczy – odzywa się Benton w ucho Lucy, a w jego spokojnym głosie daje się słyszeć gniew.

Ale to nie wystarcza.

– Niech pani stanie teraz na jednej nodze – mówi doktor Paulsson.

– Mogę się ubrać?

– Jeszcze nie.

– Dość tego – odzywa się znów Benton w jej ucho.

– Niech pani wstanie – rozkazuje doktor Paulsson.

Lucy siedzi na kozetce i naciąga kombinezon, wsuwając ręce w rękawy i zapinając zamek błyskawiczny. Dała sobie natomiast spokój ze stanikiem, ponieważ nie ma czasu. Wpatruje się w doktora Paulssona i nagle jej przestraszy i zdenerwowanie znikają. Lekarz widzi tę zmianę, co odbija się w jego oczach. Lucy zeskakuje z kozetki i podchodzi do niego.

– Proszę siadać – mówi.

– Co pani wyprawia? – Doktor Paulsson ma szeroko otwarte oczy.

– Proszę siadać!

Tamten nie rusza się z miejsca, wpatrzony w nią. Jak każdy znęcający się nad słabszymi facet, z którym miała do czynienia, wygląda na przerażonego. Lucy robi krok do przodu, żeby przestraszyć Paulssona jeszcze bardziej, a następnie wyciąga długopis z kieszonki na piersi i podnosi go tak, żeby kabelek stał się widoczny.

– Test częstości – mówi do Bentona, ponieważ on może sprawdzić, czy działają pluskwy umieszczone przez nią w poczekalni i kuchni na parterze.

– Odbiór bez zakłóceń – brzmi odpowiedź.

Doskonale, cieszy się Lucy. Z dołu nie dochodzą żadne dźwięki.

– Przypuszczam, że nawet nie chce pan myśleć o tym, w jakich znalazł się pan tarapatach – mówi Lucy do doktora Paulssona. – Nie chciałby pan wiedzieć, kto to wszystko ogląda i słyszy na żywo. Proszę siadać. Siadać! – Wkłada długopis z powrotem do kieszonki, celując ukrytym obiektywem prosto w lekarza.

Doktor Paulsson porusza się niepewnie, z trudem wysuwa krzesło zza biurka i siada, wpatrzony w nią. Twarz mu pobleadła.

– Kim pani jest? Co pani wyprawia?

– Jestem twoją Nemezis, sukinsynu – mówi do niego Lucy, usiłując wepchnąć wściekłość na powrót w bezpieczne miejsce, ale łatwiej

przychodzi jej udawać przerażenie niż opanować własny gniew. – Takie rzeczy wyprawiałeś ze swoją córką? Z Gilly? Ją też molestowałeś, skurwysynu?

Lekarz wpatruje się w nią wybałuszonymi oczami.

– Słyszałeś mnie. Słyszałeś jasno i wyraźnie, dupku. FAA też chętnie cię w najbliższym czasie wysłucha.

– Proszę się wynosić z mojego gabinetu.

Paulsson rozważa użycie siły, Lucy widzi to po napięciu mięśni i wyrazie jego oczu.

– Nie radzę próbować – ostrzega go. – Nawet nie myśl o ruszeniu się z tego krzesła, dopóki ci nie pozwolę. Kiedy ostatni raz widziałeś Gilly?

– O co pani chodzi?

– Róża – podpowiada Benton.

– To ja zadaję pytania – mówi Lucy do doktora Paulssona, a jakaś jej część chciałyby to samo powiedzieć tamtemu. – Twoja była żona opowiada różne rzeczy. Wiedziałeś o tym, panie wtyko Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

Doktor Paulsson przesuwając językiem po wargach, w jego oczach czai się panika i złość.

– Ona ma całkiem niezłe dowody na to, że to przez ciebie umarła Gilly. Wiedziałeś o tym?

– Róża – odzywa się znowu w jej uchu Benton.

– Powiedziała, że odwiedziłaś Gilly niedługo przed jej nagłą śmiercią. Przyniosła różę. Och, oczywiście, że o tym wiemy. Wszystko, co było w pokoju tej nieszczęsnej dziewczynki, zostało gruntownie przebadane, możesz mi wierzyć.

– W jej pokoju była róża?

– Niech opisz – podpowiada Benton.

– Ty mi powiedz – mówi Lucy do doktora Paulssona. – Skąd wzięłaś tę różę?

– To nie ja. Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Przestań marnować mój czas.

– Nie pójdzie pani do FAA...

Lucy potrząsa głową ze śmiechem.

– Takie jak ty dupki wychodzą spod sztancy. Naprawdę myślisz, że uda ci się wywinąć? Opowiedz mi o Gilly. O FAA porozmawiamy później.

– Wyłącz to. – Wskazuje na długopis.

– Jeśli opowiesz mi o Gilly, wyłączę.

Doktor Paulsson kiwa głową.

Lucy dotyka długopisu, udając, że go wyłącza. W oczach lekarza nadal maluje się przerażenie i widać, że jej nie ufa.

– Róża – powtarza Lucy.

– Klnę się na Boga, że nic nie wiem o żadnej róży – zapewnia ją doktor Paulsson. – Nigdy nie skrzywdziłbym Gilly. Co ona opowiada? Co opowiada ta suka?

– Ach, Suzanna. – Lucy wpatruje się bacznie w niego. – Ma dużo do powiedzenia. A z tego, co mówi, wynika, że to ty jesteś przyczyną śmierci Gilly. Tego, że została zamordowana.

– Nie! Na litość boską, nie!

– Z Gilly też odgrywałeś żołnierza? Ją też ubierałeś w panterki i glany, dupku? Wpuszczałeś do domu zbrojńców, żeby razem uprawiać te nienormalne gierki?

– O Boże – jęczy doktor Paulsson, zamykając oczy. – Co za suka! To było między nami.

– Wami?

– Między Suzie a mną. Pary robią różne rzeczy.

- Kto jeszcze w tym uczestniczył? Inni ludzie też się z wami zabawiali?
- To był mój własny dom.
- Ale z ciebie wieprz – stwierdza złowieszczo Lucy. – Żeby robić takie świństwa w obecności dziecka.
- Jesteś z FBI? – Doktor Paulsson otwiera oczy, w których tli się nienawiść. Są to teraz oczy rekina. – Oczywiście, że jesteś, prawda? Wiedziałem, że tak będzie. Powinienem był się domyślić. Tak jakby moje prywatne życie miało jakiegokolwiek znaczenie. Wiedziałem. Wrobili mnie.
- Rozumiem. To FBI zmusiło cię, żebyś kazał mi się rozbierać podczas badania okresowego.
- To nie ma nic do rzeczy. To bez znaczenia.
- Pozwolę sobie nie zgodzić się z panem, doktorze – odpowiada sarkastycznie Lucy. – To ma wielkie znaczenie. Zaraz dowiesz się, jak wielkie. Nie jestem z FBI. Pod tym względem nie masz szczęścia.
- A więc chodzi o Gilly? – Doktor Paulsson rozluźnia się nieznacznie, choć jest pokonany i ledwie może się ruszyć. – Kochałem swoją córkę. Nie widziałem jej od Święta Dziękczynienia, to święta prawda.
- Szczeniak – podpowiada Benton, a Lucy zastanawia się nad wyjęciem odbiornika z ucha.
- Myślisz, że ktoś zabił twoją córkę, ponieważ jesteś wtyka Bezpieczeństwa Wewnętrznego? – Oczywiście Lucy w to nie wierzy, ale musi go podejść. – Gadaj, Frank. Powiedz mi prawdę! Nie pogarszaj swojej sytuacji.
- Ktoś ją zabił? – powtarza doktor Paulsson. – Nie wierzę w to.
- Lepiej uwierz.
- To niemożliwe.
- Kto przychodził do waszego domu na te zabawy? Znasz Edgara Allana Pogue'a? Faceta, który mieszkał za płotem? Tam, gdzie dawniej mieszkała

pani Arnette.

– Znałem panią Arnette. Była moją pacjentką. Hipochondryczką. Piekielnie upierdliwą, prawdę mówiąc.

– To ważne – odzywa się Benton, jakby Lucy nie wiedziała. – Zaczyna się zwierzać. Bądź przyjacielska.

– Była twoją pacjentką w Richmondzie? – pyta Lucy doktora Paulssona, a jej głos łagodnieje i pojawia się w nim nuta zainteresowania, aczkolwiek ostatnią rzeczą, na jaką miałyby ochotę, jest zaprzyjaźnienie się z doktorem Paulssonem. – Kiedy?

– Kiedy? Mój Boże, zawsze. Prawdę mówiąc, kupiłem od niej dom w Richmondzie. Miała w mieście kilka domów. Na przełomie wieków jej rodzina posiadała całą dzielnicę – to był wielki majątek, który został rozparcelowany pomiędzy członków rodziny, a potem w większości wyprzedany. Kupiłem od niej nasz dom za bezcen. Doskonała okazja.

– Nie wygląda na to, żebyś za nią szczególnie przepadał – mówi Lucy takim tonem, jakby łączyła ją z doktorem Paulssonem zażyłość, jakby kilka minut temu on jej nie molestował.

– Przychodziła do mnie do domu, do gabinetu, kiedy tylko jej się spodobało. Upierdliwa baba. Zawsze na coś narzekała.

– Co się z nią stało?

– Umarła. Jakieś osiem, dziesięć lat temu. Dawno temu w każdym razie.

– Jak zmarła? Chorowała na coś?

– Była chora na raka. Zmarła w domu.

– Szczegóły – podpowiada Benton.

– Wiesz coś więcej na ten temat? – pyta Lucy. – Była sama w domu w chwili śmierci? Miała wystawny pogrzeb?

– Czemu o to wszystko pytasz? – Doktor Paulsson prostuje się na krześle, patrząc na Lucy. Czuje się nieco lepiej, ponieważ ona jest miła. To

widać.

– To może mieć związek z Gilly. Wiem o rzeczach, o których ty nie masz pojęcia. Dlatego będę zadawać pytania.

– Ostrożnie – ostrzega ją Benton. – Nie pozwól mu się zdystansować.

– No to zadawaj – rzuca szyderczym tonem doktor Paulsson.

– Byłeś na jej pogrzebie?

– Nie pamiętam, żeby był jakiś pogrzeb.

– Musiała mieć pogrzeb – upiera się Lucy.

– Nienawdziła Boga, oskarżała go o całe swoje cierpienie i ból, o to, że nikogo przy niej nie ma, co akurat było dość zrozumiałe dla każdego, kto ją lepiej poznał. Antypatyczna stara baba. Nie do zniesienia. Żadne honorarium nie jest wystarczające dla lekarza, który ma takich pacjentów.

– Umarła w domu? Była ciężko chora na raka i umarła samotnie w domu? – dopytuje się Lucy. – Może poszła do hospicjum?

– Nie.

– Była zamożną kobietą i umarła samotnie w domu, bez opieki lekarskiej, bez niczego?

– Mniej więcej tak. Jakie to wszystko ma znaczenie? – Paulsson omiata wzrokiem gabinet; jest teraz napięty i bardziej pewny siebie.

– Ogromne. Polepszasz swoją sytuację. Zdecydowanie. – W głosie Lucy brzmi jednocześnie uspokojenie i groźba. – Chciałabym zobaczyć akta medyczne pani Arnette. Pokaż mi je.

Wyświetl na komputerze.

– Prawdopodobnie zlikwidowałem jej dane, kiedy umarła. – W jego oczach widoczna jest kpina. – Zabawne: droga pani Arnette ofiarowuje swoje zwłoki nauce, ponieważ nie chce mieć pogrzebu, ponieważ nienawdzi Boga i tyle. Zapewne jakiś nieszczęsny student medycyny musiał się z nią użerać. Czasem się nad tym zastanawiałem i było mi żal

nieszczęśnika, który trafił akurat, na jej pomarszczone, brzydkie, stare ciało. – Doktor Paulsson jest teraz spokojniejszy i zdecydowanie bardziej pewny siebie, a im bardziej zadowolona ma minę, tym bardziej rośnie nienawiść Lucy.

– Szczeniak – odzywa się Benton w jej uchu. – Zapytaj o psa.

– Co stało się ze szczeniakiem Gilly? – pyta Lucy. – Twoja żona mówi, że ich basset zniknął i ty miałeś z tym coś wspólnego.

– Ona nie jest już moją żoną – odpowiada doktor Paulsson, a jego oczy robią się chłodne jak stal. – I nigdy nie miała psa.

– Chodzi o Żabkę.

Lekarz spogląda na nią; w jego oczach zapala się jakaś iskierka.

– Gdzie jest Żabka? – pyta Lucy.

– Jedynymi Żabkami, jakie znam, jesteśmy Gilly i ja – odpowiada doktor Paulsson z uśmiechem.

– Tylko się nie wygłupiaj – ostrzega go Lucy. – W tym wszystkim nie ma nic śmiesznego.

– Suzie mówiła do mnie Żabko. Od zawsze. Do Gilly też.

– Mamy odpowiedź – mówi Benton. – Wystarczy. Zmykaj stamtąd.

– Nie było żadnego szczeniaka – kontynuuje Paulsson. – To wszystko bzdury. – Pochyliła się ku niej i Lucy już wie, co się szykuje. – Kim ty właściwie jesteś? – pyta. – Daj mi ten długopis. – Wstaje z krzesła. – Jesteś jakąś głupią dziewczuchą, którą tu przysłali, żeby mnie pozwać, tak? Myślisz, że ci za to zapłacą? Chyba już widzisz, że nici z tego. Dawaj długopis.

Lucy wstaje i opiera ręce na biodrach, gotowa do działania.

– Uciekaj – rozkazuje Benton. – Natychmiast.

– Zebrała się grupka Latających Dziewczynek i uważacie, że coś na tym zarobicie? – Staje przed nią, a ona wie, co się zaraz stanie.

– Uciekaj – powtarza Benton z naciskiem. – Już po wszystkim.

– Chcesz kamerę? – pyta Lucy Paulssona. – Chcesz dyktafon? – Nie ma dyktafonu, wszystko nagrywa Benton. – Naprawdę chcesz mieć ten sprzęt?

– Możemy udać, że całej tej rozmowy nie było – mówi lekarz z uśmiechem. – Daj mi to. Dostałaś informacje, których chciałaś, prawda? Zapomnijmy więc o wszystkim innym. Dawaj sprzęt.

Lucy dotyka przypiętego do szlufki przekaźnika, którego kabelek przechodzi przez maleńką dziurkę w jej kombinezonie. Naciska guzik i wyłącza przekaźnik. Ekran jej partnera gaśnie. Benton słyszy i może mówić, ale nic nie widzi.

– Przestań – odzywa się w jej uchu. – Uciekaj stamtąd natychmiast.

– Żabka – odzywa się szyderczo Lucy do doktora Paulssona. – Niezły kawał. Nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto chciałby nazywać cię Żabką. To obrzydliwe. Jeśli chcesz mieć kamerę i dyktafon, sam sobie je weź.

Tamten rzuca się w jej kierunku i trafia na jej pięść, a wtedy nogi się pod nim uginają i chwilę później pada na podłogę z jękiem i krzykiem, a Lucy siedzi mu na plecach, wbijając kolano w jego prawe ramię, ręką zaś przyciskając lewe. Doktor Paulsson ma ręce boleśnie wykręcone na plecach.

– Puszczaj mnie! – krzyczy. – To boli!

– Lucy! Przestań! – woła Benton, ale ona nie słucha.

Chwyta mężczyznę za włosy, dysząc ciężko i delectując się swoją wściekłością, po czym zadziera w górę jego głowę.

– Mam nadzieję, że bawiłeś się dziś świetnie, Żabko – mówi, potrząsając jego głową. – Powinnam rozwalić ci tę cholerną czachę. Molestowałeś własną córkę? Pozwalałeś to robić innym zboczeńcom przychodzącym do twojego domu na orgie? Molestowałeś ją w jej własnej sypialni, zanim wyprowadziłeś się w lecie? – Przyciska jego twarz do podłogi i trzyma

mocno, jakby chciała go utopić w białych kafelkach. Jego policzek rozpląszczył się na posadzce. – Ilu osobom zrujnowałeś życie, skurwysynu? – Wali jego głową o płytki, na tyle mocno, żeby wiedział, że byłaby w stanie roztrzaskać mu czaszkę. Mężczyzna jęczy i krzyczy.

– Lucy! Przestań! – Ryk Bentona omal nie przebija jej bębienka. – Uciekaj!

Lucy mruga oczami, orientując się nagle, co się dzieje. Nie może go zabić. Nie wolno jej tego zrobić. Wstaje i puszcza Paulssona. Zamierza kopnąć go w głowę, ale się powstrzymuje. Oddycha ciężko, jest spocona, cofa się, choć najbardziej chciałaby go kopnąć, zatłuc na śmierć, co nie sprawiłoby jej kłopotu.

– Nie ruszaj się – warczy, oddalając się od niego i czując, jak wali jej serce na samą myśl, że chciałaby go zabić. – Leż, gdzie jesteś, i nie ruszaj się. Nie ruszaj się!

Sięga na blat biurka i zabiera swoje lewe kwestionariusza FAA, po czym podchodzi do drzwi. Doktor Paulsson leży na podłodze bez ruchu, z twarzą przyciśniętą do posadzki. Z nosa cieknie mu krew, znacząc czerwony szlak na białych kafelkach.

– Jesteś skończony – mówi do niego Lucy, wychodząc, i zastanawia się, gdzie zniknęła pulchna rejestratorka. Spogląda ku schodom, ale nie widzi tam nikogo. W domu panuje absolutna cisza: są tu sami, dokładnie tak jak zaplanował. – Jesteś skończony. Masz szczęście, że żyjesz – dodaje, zamykając za sobą drzwi.

Na wąskich alejkach obozu treningowego pięcioro agentów uzbrojonych w dziewięciomilimetrowe karabiny Beretta Storm z lunetami Bushnella i oświetleniem bojowym zbliża się z różnych stron do niewielkiego domu z betonowym dachem.

Dom jest stary, w opłakanym stanie, ma niewielkie zarośnięte chwastami podwórko ustrojone nadmuchiwanymi mikołajami, bałwankami i choinkami. Z palm zwieszają się luźno wielokolorowe lampki. W środku bez przerwy szczeka pies. Agenci mają karabiny zawieszane na pasach biegnących ukośnie przez plecy, lufy są skierowane pod kątem czterdziestu stopni. Mężczyźni, ubrani na czarno, nie mają kamizelek kuloodpornych, co jest nietypowe podczas nalotu.

Rudy Musil czeka cierpliwie w domu, za wysoką barykadą z przewróconych stołów i krzeseł, blokujących ciasne przejście do kuchni. Ma na sobie panterkowe spodnie i tenisówki, uzbrojony jest w AR15. To nie lekka broń patrolowa jak storm, tylko potężny karabin bojowy o półmetrowej lufie, zdolny powalić nieprzyjaciela z odległości trzystu metrów. Rudy nie potrzebuje broni, by dostać się do środka, ponieważ już tam jest. Przemieszcza się od drzwi do wybitego okna nad zlewozmywakiem i wygląda na zewnątrz. Dostrzega ruch za kontenerem na śmieci jakieś pięćdziesiąt metrów od domu.

Opiera swój AR15 na zlewie, tak że koniec lufy kładzie na parapacie okna. Patrząc przez lunetę, wybiera pierwszą postać przykucniętą za kontenerem. Widoczny jest zaledwie skrawek czarnego ubrania. Rudy naciska spust, słychać trzask, agent krzyczy, po czym skądś wyskakuje następny agent i również pada na ziemię za palmą od strzału Rudy'ego. Ten drugi nie krzyczy i nie wydaje żadnych dźwięków, które mógłby usłyszeć Rudy. On zaś w tej chwili wraca od okna do zabarykadowanych drzwi, kopiąc i przesuwając ze złością stoły i krzesła. Przedziera się przez zbudowaną własnymi rękami przeszkodę, wpada do pomieszczenia z przodu domu, rozbija szybę i zaczyna strzelać. W ciągu zaledwie pięciu minut wszyscy agenci obrywają gumowymi kulami, ale posuwają się dalej, dopóki Musil przez krótkofalówkę nie każe im się zatrzymać.

– Jesteście do niczego – mówi przez radio z domu, którego w obozie treningowym używa się do symulacji walk. – Jesteście martwi. Wszyscy. Zbiórka.

Wychodzi przez frontowe drzwi, a agenci w czerni zbliżają się przez świątecznie przystrojone podwórko, aby Rudy ocenił ich działania. Przynajmniej nie obnoszą się z bólem; Musil wie, że niechronione kamizelkami miejsca, w które trafiły gumowe kule, bolą jak diabli. Kilka razy oberwiesz taką gumową kulą i masz dość, chcesz płakać jak dziecko, ale przynajmniej ta grupka rekrutów jest twarda i dobrze sobie radzi z bólem. Rudy wciska guzik niewielkiego pilota i płyta kompaktowa z nagraniem szczekaniem psa milknie.

Musil staje w drzwiach i patrzy na agentów. Dyszą ciężko, pocą się, no i są na siebie źli.

– Co się stało? – pyta. – Odpowiedź jest chyba prosta.

– Spieprzyliśmy – odpowiada jeden z nich.

– Dlaczego? – ciągnie Rudy, trzymając AR15 wzdłuż nogi. Po jego muskularnej nagiej klatce piersiowej spływa pot, na ogorzałych umięśnionych ramionach występują żyły. – Czekam na konkretną odpowiedź. Zrobiliście jedną rzecz, która kosztowała was życie.

– Nie spodziewaliśmy się, że będziesz miał karabin bojowy. Zakładaliśmy, że jesteś uzbrojony w pistolet – zaczyna jedna z agentek, ocierając mokrą twarz rękawem i dysząc ciężko ze zdenerwowania i wysiłku.

– Nigdy nie należy niczego zakładać – zwraca się Musil głośno do całej grupy. – Mógłbym tu mieć nawet wielkie działo maszynowe. Mógłbym strzelać seriami pocisków kalibru zero pięćdziesiąt. Ale zrobiliście inny śmiertelny błąd. No już. Wiecie, o czym mówię. Rozmawialiśmy o tym.

– Usiłowaliśmy pokonać dowódcę – mówi któryś, a wszyscy wybuchają śmiechem.

– Komunikacja – mówi powoli Rudy. – Ty, Andrews. – Patrzy na mężczyznę, którego czarne bojówki są całe umazane ziemią. – Jak tylko oberwałeś w lewe ramię, powinieneś był ostrzec kolegów, że strzelam z okna kuchennego na tyłach domu. Zrobiłeś to?

– Nie, szefie.

– Dlaczego?

– Obawiam się, że dlatego, że nigdy wcześniej nie oberwałem, szefie.

– Boli, prawda?

– Jak diabli.

– I dobrze. Nie spodziewałeś się tego.

– Nie. Nikt nie powiedział, że będzie się do nas strzelać prawdziwymi nabojami.

– Dlatego właśnie robimy to tutaj, w Obozie Bólu i Cierpienia – mówi Rudy. – Podczas prawdziwej akcji nikt was nie uprzedzi, że może zdarzyć

się coś złego, prawda? A więc oberwałeś i to boleśnie jak diabli, wystraszyłeś się też jak diabli i w efekcie zapomniałeś o krótkofalówce i ostrzeżeniu partnerów. Dlatego wszyscy zginęli. Kto słyszał psa?

– Ja – odpowiada jednocześnie kilku agentów.

– Mieliście cholernego psa szczekającego jak obłąkany – tłumaczy niecierpliwie Rudy. – Chwyciliście za krótkofalówki, żeby powiadomić pozostałych? Pies szczeka, więc facet w domu wie, że się zbliżacie. To chyba jest jakaś podpowiedz, nie?

– Tak, szefie.

– Koniec zajęć. – Rudy każe im się rozejść. – Wynoście się. Muszę się umyć przed waszymi pogrzebami.

Wraca do domu i zamyka za sobą drzwi. Jego dwukierunkowa krótkofalówka wibrowała dwa razy, kiedy rozmawiał z rekrutami, więc sprawdza, kto usiłował się do niego dodzwonić. Oba telefony są od komputerowca, toteż Rudy oddzwania.

– Co jest?

– Wygląda na to, że naszemu człowiekowi kończą się sterydy. Ostatnio zrealizował receptę dwadzieścia sześć dni temu w aptece sieci CVS. – Podaje Musilowi adres i numer telefonu.

– Problem w tym – mówi Rudy – że gościa raczej nie ma w Richmondzie. Czyli teraz musimy wymyślić, gdzie mógłby się udać po kolejną dawkę leków. Zakładając, że się tym przejmie.

– Realizował recepty co miesiąc w tej samej aptece w mieście. A zatem chyba potrzebuje tych leków, a w każdym razie tak uważa.

– Kto jest jego lekarzem?

– Doktor Stanley Philpott. – Komputerowiec daje Rudy'emu również numer telefonu lekarza.

– Żadnych danych, że wykupił receptę gdziekolwiek poza Richmondem?
Na przykład na południu Florydy?

– Tylko w Richmondzie, a sprawdzałem cały kraj. Jak mówiłem, zostało mu pięć dawek z tej ostatniej recepty, a potem jest bez zapasów. Albo powinien być, chyba że ma jakieś inne źródło.

– Dobra robota – chwali go Rudy, otwierając lodówkę w kuchni i wyjmując butelkę wody. – Sprawdzę to.

Prywatne odrzutowce wyglądają jak zabawki w otoczeniu białych olbrzymów, które wznoszą się z mokrego pasa startowego. Sygnalista w kombinezonie i z zatyczkami w uszach macha pomarańczowymi chorągiewkami, prowadząc kołującego powoli z hukiem turbosilników beachjeta. W hali terminalu dla prywatnych samolotów Benton słyszy maszynę Lucy.

W Aspen jest niedzielne popołudnie, więc w sali tłoczą się bogacze w futrach i z drogimi walizami, popijając kawę i gorący cydr przy ogromnym kominku. Wracają do domu i narzekają na opóźnienia, ponieważ zapomnieli, jak to jest latać komercyjnymi liniami, jeśli w ogóle kiedykolwiek takimi latali. Błyskają złotymi zegarkami i wielkimi brylantami, są pięknie opaleni. Niektórzy podróżują wraz z psami, które, podobnie jak prywatne samoloty ich właścicieli, występują w całej gamie postaci i cen. Benton widzi otwierające się drzwiczki i opadające schodki beachjeta, na których pojawia się Lucy dźwigająca swoje bagaże. Porusza się z atletycznym wdziękiem, pewnością siebie i bez wahania, jakby zawsze wiedziała, dokąd zmierza, nawet jeśli nie ma prawa tego wiedzieć.

Lucy nie ma prawa tu być. Zabronił jej tego. Gdy zadzwoniła, powiedział: „Nie, Lucy. Nie przyjeżdżaj. Nie teraz. To nie jest dobry pomysł”.

Nie kłócili się. Mogliby spierać się godzinami, ale żadne z nich nie ma temperamentu odpowiedniego do długich zawikłanych dysput pełnych nielogicznych pretensji i niepotrzebnych słów – a w każdym razie im to przeszło, oboje strzelają krótkimi seriami i szybko kończą kłótnie. Benton nie jest pewny, czy podoba mu się to, że z biegiem czasu on i Lucy są coraz bardziej do siebie podobni, ale nie da się tego ukryć. Z biegiem czasu staje się to coraz bardziej oczywiste, a analityczna część jego umysłu, która nieustannie sortuje, układa i wysyła wiadomości, wzięła już pod uwagę, a może nawet doszła już do wniosku, że te podobieństwa między nim a Lucy mogą tłumaczyć charakter jego związku z Kay – o ile to da się wytłumaczyć. Doktor Scarpetta kocha swoją siostrzenicę gorąco i bezwarunkowo. Benton natomiast nigdy nie rozumiał, dlaczego jego również kocha gorąco i bezwarunkowo. Teraz chyba zaczyna rozumieć.

Lucy otwiera drzwi ramieniem i wchodzi do hali terminalu z wojskowymi workami w każdej ręce. Na jego widok nie kryje zaskoczenia.

– Hej. Pomogę ci. – Benton bierze od niej jeden z worków.

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

– Ale jestem. I ty też, najwyraźniej. Spróbujemy coś w tej sprawie zrobić.

Bogaci ludzie w futrach i skórzanych płaszczach myślą zapewne, że Benton i Lucy są szczególną parą: on – bogaty, starszy facet, ona – śliczna i młoda kochanka lub żona. Przychodzi mu do głowy, że niektórzy mogą uważać, że Lucy jest jego córką, ale on nie zachowuje się jak ojciec. Nie zachowuje się także jak kochanek, jednak gdyby miał się założyć, obstawiałby, że wyglądają jak typowa zamożna para. Benton nie ma na sobie futra ani złota, nie obnosi się z bogactwem, ale bogaci rozpoznają bogatych, a on roztacza wokół siebie aurę pieniędzy, ponieważ jest bogaty,

bardzo bogaty. Przez wiele lat żył spokojnie i w ukryciu. Miał wiele lat na zbieranie marzeń, planów i pieniędzy.

– Wynajęłam samochód – mówi Lucy, idąc przez terminal, który wygląda jak góraska chata z drewnianych bali i kamienia, wypełniona skórzanymi meblami i zachodnimi dziełami sztuki. Przed wejściem stoi wielka brązowa rzeźba orła z rozpostartymi skrzydłami.

– Więc go odbierz – mówi Benton, którego oddech wygląda jak jasny dym w przejrzystym mroźnym powietrzu. – Spotkamy się na Maroon Bells.

– Co? – Lucy zatrzymuje się na okrągłym podjeździe, ignorując bagażowych w długich płaszczach i kowbojskich kapeluszach.

Napotyka spojrzenie ogorzałego, przystojnego Bentona o surowej twarzy. Najpierw uśmiechają się jego oczy, potem usta rozchylają się w cieniu uśmiechu, jakby był rozbawiony. Staje na podjeździe tuż obok wielkiego orła i mierzy ją wzrokiem. Lucy ma na sobie wysokie buty, bojówki i kurtkę narciarską.

– W samochodzie są rakiety śnieżne – mówi Benton.

Nie spuszcza z niej wzroku, kiedy wiatr unosi jej włosy, dłuższe niż kiedy widzieli się ostatnio, ciemnobrązowe z czerwonym połyskiem, jakby muśnięte przez ogień. Jej policzki zaczerwieniły się na mrozie, a Benton zawsze uważał, że głębokie spojrzenie w jej oczy jest jak wpatrywanie się w rdzeń reaktora jądrowego albo do wnętrza aktywnego wulkanu, a może dostrzeganie tego, co zobaczył Ikar, lecąc w kierunku słońca. Kolor oczu Lucy zależy od światła i jej zmiennych nastrojów. W tej chwili są zdecydowanie zielone. Kay ma niebieskie. I są równie głębokie, ale w inny sposób. Zmieniają barwę w sposób subtelniejszy, ale też potrafią być ciepłe jak południowe morze albo zimne jak stal. Benton tęskni za Kay bardziej, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał. Lucy właśnie przywiozła mu z powrotem jego ból – i to z pełnym okrucieństwem.

– Pomyślałem, że możemy się przejść i pogadać – zwraca się do niej, ruszając ku parkingowi. Jego ton daje do zrozumienia, że propozycja nie podlega negocjacom. – Przede wszystkim musimy pogadać. Spotykamy się więc w Maroon Bells, tam gdzie się wypożycza skutery śnieżne, na końcu szosy. Poradzisz sobie z wysokością? Powietrze jest rozrzedzone.

– Znam się na powietrzu – rzuca Lucy w kierunku jego pleców.

Po obu stronach przełęczy ciągną się ośnieżone szczyty górskie, na których szeroko i nisko kładą się cienie późnego popołudnia. W paśmie po prawej stronie pada śnieg. Nie ma sensu wychodzić na narty albo spacer po trzeciej trzydziści, ponieważ w Górach Skalistych ciemność zapada szybko i już teraz ścieżka, na której znajdują się Benton i Lucy, jest obludzona, a powietrze mroźne.

– Powinniśmy byli wcześniej zawrócić – mówi Benton, wbijając kijek przed raketę. – My dwoje razem to pewne niebezpieczeństwo. Nigdy nie wiemy, kiedy przestać.

Nie mieli ochoty zawracać przy czwartym słupku lawinowym, gdzie zasugerował postój, więc poczłapali w górę ku Maroon Lake, po to tylko, żeby zawrócić niecały kilometr przed miejscem, skąd widać już staw. Teraz ledwie zdążą do samochodów przed zmrokiem, poza tym są zmarznięci i głodni. Nawet Lucy jest wyczerpana. Nie przyzna się do tego, ale Benton widzi, że wysokość robi swoje: Lucy porusza się wolniej i ma kłopoty z mówieniem.

Przez kilka minut słychać jedynie zgrzyt raket śnieżnych obojga na powłoce lodowej pokrywającej śnieg i na Maroon Creek Road, podkreślany uderzeniami kijków rozbijających twardą skorupę. Ich oddechy tworzą obłoczki pary, ale są ciche, tylko od czasu do czasu Lucy nabiera pełne

płuca powietrza i wydycha głośno. Im bardziej zagłębiają się w rozmowie o Henri, tym dalej brną w śniegu i teraz okazuje się, że zasłuli zdecydowanie za daleko.

– Przepraszam – mówi Benton do wtóru aluminiowej ramy rakiety zgrzytającej na lodzie. – Powinienem był zawrócić wcześniej. Nie mam już batonów energetyzujących ani wody.

– Dam radę – odpowiada Lucy, która w normalnych warunkach nie miałaby problemów z dotrzymaniem mu kroku, a nawet przegonieniem go. – Te małe samoloty. Nic nie jadłam. Ostatnio głównie biegałam i jeździłam na rowerze. Było mnóstwo roboty. Nie sądziłam, że sprawi mi to taki kłopot.

– Ja też za każdym razem zapominam – przyznaje się Benton, spoglądając na burzę śnieżną na prawo od nich, która ogarnia górskie szczyty coraz niżej, zbliżając się ku nim powoli niczym mgła. Na razie oddalona jest około półtora kilometra i na wysokości jakichś trzystu metrów. Benton ma nadzieję, że dotrą do samochodów, zanim się rozpęta zamieć. Ścieżka jest dobrze widoczna i cały czas prowadzi w dół, więc nie umrą.

– Ja już nie zapomnę – oznajmia Lucy, dysząc ciężko. – Następnym razem coś zjem. I może nie wybiorę się na forsowny spacer w godzinę po przylocie.

– Przepraszam – powtarza Benton. – Czasem zapominam, że ty też masz granice wytrzymałości. Łatwo o tym zapomnieć.

– Ostatnio mam ich najwyraźniej sporo.

– Gdybyś mnie zapytała, powiedziałbym ci, że tak się to skończy. – Benton wbija kijek i rusza przed siebie. – Ale byś mi nie uwierzyła.

– Zawsze cię słucham.

– Nie powiedziałem, że mnie nie słuchasz. Powiedziałem, że nie wierzysz. A w tym wypadku nie uwierzyłybyś.

– Może. Ile jeszcze? Przy którym jesteśmy słupku?

– Niestety dopiero przy trzecim. Mamy jeszcze kilka kilometrów przed sobą. – Benton spogląda w górę na ciężkie, czarne burzowe chmury. W ciągu zaledwie kilku minut opadły niżej, pochłaniając najwyższe szczyty. Wiatr przybiera na sile. – Tak jest, odkąd tu przyjechałem – mówi. – Śnieg pada prawie codziennie, zazwyczaj po południu. Codziennie jakieś piętnaście, dwadzieścia centymetrów. Kiedy jesteś celem, tracisz obiektywizm. Jako wojownicy mamy tendencję do uprzedmiotowienia tych, których ścigamy, podobnie jak oni uprzedmiotowiają swoje ofiary. Jednak sprawy mają się inaczej, kiedy to my stajemy się przedmiotami, kiedy przemieniamy się w ofiary, a dla Henri ty jesteś przedmiotem. Wiem, że nienawidzisz tego słowa, ale jesteś ofiarą. Ona zrobiła z ciebie przedmiot, zanim się jeszcze poznałyście. Zafascynowałaś ją i postanowiła cię zdobyć. W inny sposób również Pogue cię urzeczowił. On też ma swoje powody, choć inne niż Henri. Nie chce przespać się z tobą, żyć twoim życiem ani być tobą. Chce cię po prostu skrzywdzić.

– Naprawdę wierzysz, że jemu chodzi o mnie, a nie o Henri?

– Tak. To ty jesteś zamierzoną ofiarą. Jesteś przedmiotem. – Benton podkreśla to, co mówi, równomiernymi uderzeniami kijka w pokrywą śnieżną i zdecydowanymi krokami. – Może odpoczniemy przez moment? – Nie potrzebuje odpoczynku, ale jest pewny, że ona owszem.

Zatrzymują się i stoją wychyleni do przodu, oparci na kijkach, wydychając wielkie chmury białego powietrza i obserwując, jak burza ogarnia góry po prawej stronie w odległości zaledwie półtora kilometra i teraz już prawie na ich wysokości.

– Daję jej mniej niż pół godziny – mówi Benton, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i wsuwając je do kieszeni kurtki narciarskiej.

– Nadciągają kłopoty – zauważa Lucy. – Jakież to symboliczne.

– To jest wspaniałe w byciu tutaj lub nad oceanem: natura wskazuje odpowiednią perspektywę i ma sporo do powiedzenia – odpowiada Benton, obserwując szare, mgliste chmury pochłaniające górskie szczyty. Wie, że w obrębie tych chmur pada gęsty śnieg, i że tak samo będzie za chwilę w miejscu, w którym się znajdują. – Nadciągają kłopoty. Obawiam się, że masz rację. On znowu coś zrobi, jeśli się go nie powstrzyma.

– Mam nadzieję, że spróbuje ze mną.

– Nie miej takiej nadziei, Lucy.

– Mam nadzieję – powtarza ta i rusza do przodu. – Najpiękniejszym prezentem, jaki mógłby mi zrobić, byłoby zmierzenie się ze mną. Byłaby to ostatnia rzecz, jaką zrobiłby w życiu.

– Henri też potrafi sobie nieźle radzić – przypomina jej Benton, maszerując przed siebie wielkimi krokami. Stawia rakieta za rakieta w chrzęszczącym śniegu.

– Nie aż tak jak ja, Daleko jej do mnie. Mówiła ci, co zrobiła w obozie treningowym?

– Nie przypominam sobie.

– Posługujemy się tam systemem symulacji walk Gavina de Beckera, co jest dość dzikie – odpowiada Lucy. – Nikt z kursantów nie wie, czego się spodziewać, ponieważ w rzeczywistej akcji też tego nie wiemy. No więc mniej więcej po trzecim poszczuciu ich owczarkami niemieckimi robimy im małą niespodziankę. Psy wypadają i rzucają się na ludzi, tyle że tym razem są bez kagańców. Oczywiście Henri miała na sobie kombinezon ochronny, jednak kiedy się zorientowała, że pies nie ma kagańca, totalnie

spanikowała. Zaczęła wrzeszczeć i uciekać, a pies ją powalił. Płakała, prawie zwariowała ze strachu i powiedziała, że odchodzi.

– Żałuję, że tego nie zrobiła. O, drugi słupek. – Benton unosi kijek, wskazując znak lawinowy z wyrysowaną wielką dwójką.

– Poradziła sobie w końcu – kontynuuje Lucy, stawiając rakiety w odcisniętych już śladach, ponieważ tak jest łatwiej. – Poradziła też sobie z gumowymi kulami. Ale nie przepadała za symulacją walki.

– Trzeba mieć źle w głowie, żeby to lubić.

– Znałam kilku wariatów, którzy lubili. Może sama do nich należę. To boli jak diabli, ale jakiego daje kopa! Dlaczego żałujesz, że nie odeszła? Myślisz, że powinna? Znaczący się wiem, że powinnam ją była wylać.

– Wylać ją za to, że została zaatakowana w twoim domu?

– Wiem. Nie mogę jej zwolnić. Pozwie mnie.

– Właśnie – mówi Benton. – Myślę, że to ona powinna odejść. Zdecydowanie. – Spogląda na Lucy, nie przestając brnąć przez śnieg. – Kiedy ją wyciągnęłaś z policji Los Angeles, twój wzrok był tak zaćmiony jak te góry przed nami. – Wskazuje na burzę. – Może i była niezłą policjantką, ale to nie jest dziewczyna do takich akcji jak wasze i naprawdę mam nadzieję, że odejdzie, zanim zdarzy się prawdziwe nieszczęście.

– Jasne – fuka Lucy, ze złością wypuszczając z ust obłoczek pary. – Prawdziwe nieszczęście!

– Nikt nie zginął.

– Na razie – stwierdza Lucy. – Boże, to mnie naprawdę wykańcza. Ty tak łazisz codziennie?

– Staram się. W miarę wolnego czasu.

– Półmaratony to pikuś w porównaniu z tym.

– Pod warunkiem że biegasz w dobrych warunkach tlenowych – zwraca jej uwagę Benton. – Patrz, słupek numer jeden. Pierwszy i drugi są dość

blisko siebie, pewnie cię to ucieszy.

– Pogue nie ma kryminalnej przeszłości. To po prostu nieudacznik. Nie mogę w to uwierzyć – ciągnie Lucy. – Nieudacznik, który pracował u mojej ciotki. Dlaczego? Dlaczego ja? Może to o nią naprawdę chodzi? Może on wini ciotkę Kay za swoje kłopoty zdrowotne i Bóg wie co jeszcze?

– Nie – odpowiada Benton. – On chce ciebie.

– Dlaczego? To wariactwo.

– Tak, on jest mniej więcej wariatem. Pasujesz do jego obłąkanej wizji świata, tyle jestem w stanie powiedzieć, Lucy. On cię za coś karze. Zapewne karał cię już wtedy, kiedy zaatakował Henri. Nie możemy stwierdzić, co się dzieje w takim umyśle jak jego. Taki człowiek posługuje się własną logiką, niepodobną do naszej. Moim zdaniem on jest chory psychicznie, ale to nie psychopata, działa pod wpływem impulsu, a nie w wyniku chłodnej kalkulacji. Urojenia połączone z myśleniem magicznym, tyle mogę powiedzieć. I oto mamy burzę – dodaje, kiedy wokół nich pojawiają się nagle wirujące płatki śniegu.

Lucy nasuwa gogle na oczy, gdy podmuch wiatru pochyla osiki rysujące się ciemnymi sylwetkami na tle białych gór. Burza uderza szybko drobnym suchym śniegiem, a wiatr tworzy wiry szarpiące obojgiem na wszystkie strony, kiedy brną krok za krokiem po zamrożonej ścieżce.

Na zewnątrz śnieg zebrał się na gałęziach jodeł i w zagłębieniach konarów osik. Z okna na trzecim piętrze Lucy słyszy stukot butów narciarskich na pokrytej zmarzniętym śniegiem alejce. St. Regis jest niskim, rozciągniętym hotelem z czerwonej cegły, który przypomina jej smoka przyczajonego u podnóży Ajax Mountain. Gondole kolejki o tak wczesnej porze jeszcze śpią, ale ludzie niekoniecznie. Góry zasłaniają słońce, więc świt jest szaroniebieską poświatą, pozbawioną dźwięków, jeśli nie liczyć chrzęstu kroków narciarzy zdążających na stoki i do autobusów.

Po wariackiej wyprawie na Maroon Creek Road wczorajszego popołudnia Benton i Lucy wsiedli do osobnych samochodów i pojechali każde w swoją stronę. Benton wcale nie chciał, żeby przyjeżdżała do Aspen, i z pewnością nie miał ochoty, żeby znalazła się tu Henri, którą ledwie znał, ale takie jest życie. Życie niesie z sobą dziwactwa, niespodzianki i nieprzyjemności. Henri jest tutaj. Teraz zjawiała się tu również Lucy. Benton oznajmił, że nie może się u niego zatrzymać, co chyba jest zrozumiałe. Nie chce, żeby przeszkodziła w postępach jego pracy z Henri – marnych, jeśli w ogóle można mówić o jakichkolwiek postępach. Dziś jednak Lucy zobaczy się z Henri, o godzinie, którą ta wyznaczy. Minęły dwa tygodnie i Lucy nie może już wytrzymać, nie może

wytrzymać poczucia winy i pytań bez odpowiedzi. Kimkolwiek jest Henri, Lucy musi przekonać się o tym na własne oczy.

W miarę jak poranek się rozjaśnia, wszystko, co robił i mówił Benton, staje się również jaśniejsze. Najpierw wywiózł Lucy w rozrzedzone powietrze, gdzie ciężko jej było za szybko powiedzieć zbyt wiele albo dać upust napędzanej lękiem wściekłości. Następnie, bardzo rozsądnie, wysłał ją do łóżka. Lucy nie jest dzieckiem, mimo że tak ją wczoraj potraktował, ale wie, że zrobił to z autentycznej troski. Zawsze wiedziała. Zawsze był dla niej dobry, nawet wtedy, gdy go nienawidziła.

Lucy sięga do jednego z worków i wyjmuje elastyczne spodnie narciarskie, sweter, dłuższą jedwabną koszulkę i skarpetki, po czym kładzie to wszystko na łóżku obok dziewięćmilimetrowego glocka o celowniku z podświetleniem trytowym i magazynkami na siedemnaście naboji – broni, którą wybiera zawsze wtedy, gdy myśli o rutynowej samoobronie we wnętrzach, kiedy potrzebuje pistoletu dobrego na małe odległości i wielostrzałowego, a niekoniecznie naprawdę powalającego, ponieważ nie strzelałaby z czterdziestki albo czterdziestki piątki ani też z karabinu w pokoju hotelowym. Nie wie jeszcze, co powie Henri ani też jak zachowa się w jej obecności.

Nie spodziewaj się niczego przyjemnego, myśli. Nie spodziewaj się, że ucieszy się na twój widok, że będzie miła albo uprzejma. Lucy siada na łóżku i zdejmuje legginsy, po czym ściąga przez głowę tshirt. Zatrzymuje się przed dużym lustrem i przygląda się sobie dokładnie, sprawdzając, czy wiek albo przyciąganie ziemskie nie poczyniły szkód w jej urodzie. Nie poczyniły, ale też nie powinny, ponieważ nie skończyła jeszcze trzydziestki.

Sylwetkę ma szczupłą i muskularną, ale nie chłopięcą, i naprawdę nie może narzekać, jeśli chodzi o wygląd, a mimo to czuje się dziwnie, patrząc na własne odbicie. Jej ciało wydaje się obce, inne na zewnątrz niż w

środku. Nie mniej lub bardziej atrakcyjne – po prostu niezgodne z tym, co ona czuje. I przechodzi jej przez myśl, że niezależnie od tego, jak często uprawiałyby seks, nigdy nie będzie wiedzieć, jak kochanek odczuwa jej ciało, jej dotyk. Chciałyby to wiedzieć, a z drugiej strony cieszy się, że nie wie.

Wyglądasz spoko, myśli, odchodząc od lustra. Wyglądasz wystarczająco dobrze, żeby sobie poradzić, stwierdza, wchodząc pod prysznic. Poza tym dziś twój wygląd nie ma żadnego znaczenia. Nie będziesz dziś nikogo uwodzić, mówi sobie, odkręcając kurek. Ani też jutro. Ani pojutrze.

– Boże, co ja mam zrobić? – mówi na głos w chwili, gdy gorąca woda uderza w marmur, opryskując drzwi kabiny i spływając twardymi strumieniami po jej ciele. – Co ja narobiłam, Rudy? Co ja narobiłam? Proszę, nie zostawiaj mnie. Ja się zmienię, przyrzekam.

Lucy przez pół życia potajemnie płakała pod prysznicem. Kiedy zaczynała pracować dla FBI, była jeszcze nastolatką, dostawała pracę w lecie i stypendia dzięki swojej wpływowej ciotce, mimo że wcale jej nie odpowiadało mieszkanie w akademiku w Quantico, strzelanie i bieganie po trasach treningowych z agentami, którzy nie panikowali i nie płakali, a w każdym razie ona ich nigdy nie widziała w panice ani we łzach. Założyła więc, że nigdy im się to nie przytrafia. Wierzyła wówczas w wiele takich legend, ponieważ była młoda, łatwowierna i zafascynowana działalnością biura, ale teraz jest mądrzejsza, ponieważ dość wcześnie została zaprogramowana tak, że nie da się już tego zmienić. Jeśli więc płacze, co zdarza się jej rzadko, robi to zawsze w samotności. Kiedy cierpi, ukrywa to przed innymi.

Jest już prawie ubrana, kiedy jej uwagę zwraca cisza. Klnąc pod nosem i nieco panikując, sięga do kieszeni kurtki narciarskiej i wyciąga komórkę. Bateria siadła. Wczoraj wieczorem Lucy była zbyt zmęczona i

nieszczęśliwa, żeby pomyśleć o telefonie, więc zapomniała i zostawiła go w kieszeni, a to nie jest w jej stylu. Zupełnie nie w jej stylu. Rudy nie ma pojęcia, gdzie ona się podziewa. Podobnie jak jej ciotka. Żadne z nich nie wie, którego z pseudonimów w tej chwili używa, więc gdyby nawet zadzwonili do St. Regis, nie odszukaliby jej. Tylko Benton wie, gdzie się znajduje i jak się teraz nazywa, a pozbawienie Rudy'ego takich informacji jest nie do pomyślenia i nieprofesjonalne, więc będzie o to wściekły. W dodatku to najgorszy moment, żeby go od siebie odsuwać. Jeśli on odejdzie, co się z nią stanie? Nikomu ze swoich współpracowników nie ufa tak jak jemu. Wyciąga ładowarkę i włącza telefon, żeby przekonać się, że ma jedenaście wiadomości, większość z godzin po szóstej rano czasu wschodniego, większość od niego.

– Już myślałem, że zniknęłaś z mapy – mówi Rudy w momencie, kiedy odbiera. – Usiłowałem się do ciebie dodzwonić od trzech godzin. Co ty wyprawiasz? Odkąd to nie odbierasz telefonu? Nie mów mi, że nie działał. Nie wierzę. Ten telefon ma wszędzie zasięg, a poza tym próbowałem również przez radio. Wyłączyłaś to cholerne urządzenie, zgadza się?

– Uspokój się, Rudy – odpowiada Lucy. – Bateria mi siadła. Ani telefon, ani radio nie działają, kiedy bateria się wyczerpie. Przepraszam.

– Nie wzięłaś ładowarki?

– Powiedziałam już, że przepraszam.

– Okej, zrobiliśmy niewielki wywiad. Byłoby nieźle, gdybyś mogła tu natychmiast przyjechać.

– Co się dzieje? – Lucy siada na podłodze w pobliżu gniazdka, do którego podłączyła ładowarkę.

– Niestety, nie jesteś jedyną osobą, która otrzymała od niego prezencik. Pewna nieszczęsna starszawa kobiecina też dostała chemiczną bombę Pogue'a, tylko że miała mniej szczęścia.

– Boże – mówi Lucy, zamykając oczy.

– Kelnerka z podłego baru w Hollywood, tego, który jest dokładnie naprzeciwko stacji Shella, gdzie – nie zgadniesz... sprzedają napoje chłodzące w kubkach z kotem w kapeluszu. Ofiara jest bardzo poparzona, ale się wyliże. To oczywiste, że chodził do baru, w którym pracowała, do Other Way Lounge. Słyszałaś o nim?

– Nie – odpowiada Lucy ledwie słyszalnym głosem, myśląc o poparzonej kobiecie. – Boże – mamrocze.

– Przeczესujemy okolicę. Posłałem tam naszych ludzi. Ale nie nowych rekrutów. Nie są to orły, zdecydowanie nie.

– Boże! – Lucy nie potrafi wykrztusić nic więcej w odpowiedzi. – Czy nic nie może iść, jak należy?

– Wszystko idzie lepiej niż dotychczas. Jeszcze dwie rzeczy. Twoja ciotka mówi, że Pogue może nosić perukę. Z długimi, czarnymi, kręconymi włosami. Perukę z farbowanych na czarno ludzkich włosów. Zakładam, że mitochondrialny DNA wypadł dziwacznie, zgadza się? Zapewne włosy pochodziły od jakiejś prostytutki, która je sprzedała na perukę, żeby sobie kupić prochy.

– Teraz dopiero mi to mówisz? Peruka?

– Edgar Allan Pogue ma rude włosy. Twoja ciotka znalazła rude włosy w łóżku w jego domu, a raczej w domu, w którym mieszkał. Peruka tłumaczyłaby, skąd się wzięły długie, kręcone, farbowane na czarno włosy na pościeli Gilly Paulsson i w twojej sypialni, a także na taśmie klejącej na bombie w twojej skrzynce. Zdaniem twojej ciotki peruka bardzo wiele wyjaśnia. Szukamy również jego samochodu. Okazuje się, że ta staruszka, która zmarła w domu, w którym mieszkał, pani Arnette, miała białego buicka z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, ale nikt nie wie, co się stało z autem po jej śmierci. Rodzina nigdy się nad tym nie

zastanawiała. Wygląda na to, że w ogóle niewiele czasu jej poświęcili. Uważamy, że Pogue może jeździć tym buickiem. Samochód jest nadal zarejestrowany na panią Arnette. Byłoby naprawdę dobrze, gdybyś mogła się tu pojawić. A już z pewnością nie powinnaś mieszkać w swoim domu.

– Nie martw się – odpowiada Lucy. – Nie zamierzam już nigdy mieszkać w tym domu.

Edgar Allan Pogue zamyka oczy. Siedzi w białym buicku na parkingu przy szosie A1A, wsłuchany w to, co dziś nazywa się adult rockiem. Ma zamknięte oczy i stara się nie kaszleć. Kiedy kaszle, czuje pieczenie w płucach, zawroty głowy i dreszcze. Nie ma pojęcia, kiedy przeleciał weekend, ale wie, że był to dobry weekend. Adultrockowe radio mówi, że jest poniedziałek rano, godzina szczytu. Pogue kaszle i czuje łzy napływające do oczu, gdy usiłuje głęboko odetchnąć.

Złapał jakieś przeziębienie. Na pewno od tej rudej kelnerki z Other Way Lounge. Podeszła blisko, gdy wychodził w piątek wieczorem. Podeszła blisko, wycierając nos w chusteczkę – podeszła tak, ponieważ chciała być pewna, że Pogue zapłaci. Jak zwykle musiał odsunąć krzesło i wstać, zanim raczyła się ruszyć w jego stronę. Po prawdzie nie miałby nic przeciwko jeszcze jednemu Bleeding Sunset i byłby go zamówił, ale nie należy przecież zawracać głowy rudowłosej kelnerce. Nie należy przeszkadzać żadnej z nich. Dlatego dostała Wielką Pomarańczę, czyli to, na co zasługiwała.

Przez przednią szybę wpada słońce, ogrzewając twarz siedzącego z zamkniętymi oczami Pogue'a. Siedzenie kierowcy jest odsunięte do tyłu. Pogue ma nadzieję, że słońce zabije chorobę. Matka zawsze mówiła, że w słońcu są witaminy zdolne wyleczyć absolutnie wszystko i dlatego ludzie

na starość przenoszą się na Florydę. Tak mu właśnie mówiła. „Pewnego dnia i ty, Edgarze Allanie, przeprowadzisz się na Florydę. Teraz jesteś młody, Edgarze Allanie, ale kiedyś będziesz stary i zniszczony jak ja, jak większość ludzi, więc zechcesz się przeprowadzić na Florydę. Jeśli tylko uda ci się znaleźć porządną pracę, Edgarze Allanie. Wątpię, czy przy obecnych zarobkach będzie cię stać na Florydę”.

Matka strasznie dawała mu w kość kwestią pieniędzy. Zatrzymała mu tym życie. A potem umarła, zostawiając tyle forsy, że mógł się przenieść na Florydę, gdyby miał na to ochotę, a jeszcze później on przeszedł na rentę i co dwa tygodnie dostawał pocztą czek. Ostatni musi leżeć jeszcze w skrytce pocztowej, ponieważ Pogue nie był w Richmondzie, żeby go odebrać. Ma trochę pieniędzy nawet bez tych czeków. Na razie wystarczy. Może sobie wciąż pozwolić na drogie cygara, więc ma dostatecznie dużo. Gdyby matka tu była, suszyłaby mu głowę o palenie, kiedy jest przeziębiony, ale on i tak będzie palił. Myśli o szczepionce przeciw grypowej, której nie dostał, wszystko przez to, że dowiedział się o rozbiórce starego budynku i o tym, że Wielka Ryba otworzyła biuro w Hollywood. Na Florydzie.

Stan Wirginia zatrudnił nowego głównego koronera, a zaraz potem Pogue dowiedział się, że będą rozbierać stary gmach, żeby miasto mogło zbudować parking, a Lucy była na Florydzie, a gdyby doktor Scarpetta nie porzuciła Richmondu i Pogue'a, nie byłby potrzebny nowy koroner, więc stary budynek miałby się dobrze, ponieważ wszystko zostałoby po staremu i on nie spóźniłby się na szczepienia przeciw grypowe. Rozbiórka starego budynku była nie w porządku, ale nikt nie zapytał Edgara Allana Pogue'a, co on o tym myśli. To był jego budynek. On nadal dostaje wypłatę co dwa tygodnie i nadal ma klucz do tylnych drzwi, i nadal pracuje w Zakładzie Anatomii, zazwyczaj nocami.

Pracował tam, kiedy tylko miał ochotę, dopóki się nie dowiedział, że gmach przeznaczono do rozbiórki. Tylko on przebywał teraz w tym budynku. Nikt inny się nim nie przejmował, no więc musiał wszystko wynieść. Trzeba było wynieść wszystkich tych ludzi, których miał w niewielkich pogniecionych puszkach, i trzeba było to zrobić późną nocą, jak nikt nie widział. Była to ciężka robota: bieganie tam i z powrotem po schodach, na parking, aż płuca bolały go z powodu unoszących się wszędzie prochów. Jedna puszka zleciała ze sterty i zawartość rozsypała się na parking, a dość ciężko było pozbierać lżejsze od powietrza pyłki ulatujące na wszystkie strony. Straszna robota. To nie w porządku, a gdy minął miesiąc, przypomniało mu się, że przegapił szczepienia. I okazało się, że nie ma już szczepionki. Pogue kaszle, czuje pieczenie w klatce piersiowej i w oczach, więc siedzi spokojnie na słońcu, wdychając witaminy i myśląc o Wielkiej Rybie.

Za każdym razem, gdy o niej myśli, czuje przygnębienie i złość. Ona nic o nim nie wie, nigdy się do niego nie odezwała, a jego teraz bolą płuca z jej powodu. To przez nią Pogue jest niczym. Ona ma rezydencję i samochody droższe od wszystkich domów, w których kiedykolwiek mieszkał, a nawet nie powiedziała „przepraszam” w dniu, kiedy to się zdarzyło. Prawdę mówiąc, roześmiała się nawet. Uznała za zabawne, że podskoczył i wydał dźwięk podobny do szczeknięcia małego pieska, gdy wychodził z sali do balsamowania, a ona przemknęła obok na wózku do przewozu ciał. Stała na ramie wózka, jeżdżąc tam i z powrotem i zaśmiewając się, podczas gdy przy otwartej kadzi jej ciotka rozmawiała z Dave’em o czymś, co się działo na zgromadzeniu generalnym, o jakichś kłopotach.

Doktor Scarpetta przychodziła na dół, tylko jeśli były jakieś kłopoty. Owego konkretnego dnia, a było to o tej porze roku, niedługo przed świętami, przyprowadziła z sobą tę rozpuszczoną, przemądrzałą Lucy.

Słyszał już wcześniej o siostrzenicy szefowej. Wszyscy słyszeli. Pogue wiedział, że Lucy jest z Florydy. Że mieszka na Florydzie, w Miami, z siostrą pani koroner. Pogue nie zna wszystkich szczegółów, ale wie wystarczająco dużo, i wiedział już wtedy, że Lucy może kapać się w witaminach, no i nikt nie zatruwa jej życia tym, że nigdy nie zarobi tyle, żeby zamieszkać na Florydzie.

Ona już tam mieszkała, tam się urodziła i nie musiała robić nic, żeby na to zapracować, a jeszcze śmiała się z niego. Jeździła sobie na tym wózku i omal go nie potrafiła, gdy przechodził obok, wioząc pustą beczkę po formalinie. To przez Lucy Pogue podskoczył i zatrzymał się w pół kroku, jego mały wózek przewrócił się, beczka spadła i potoczyła się korytarzem, a Lucy pojechała dalej jak nieznośny dzieciak szalejący na wózku sklepowym w supermarkecie. Tyle tylko, że nie była już dzieckiem, miała kilkanaście lat, była zepsutą, śliczną, próżną siedemnastolatką – bo Pogue zna dokładnie jej wiek. Zna jej datę urodzin. Przez lata wysyłał jej anonimowe kartki z życzeniami w imieniu doktor Scarpetty rezydującej w biurze koronera stanowego pod starym adresem przy Północnej i Czternastej pod numerem 9, nawet po tym, jak budynek został opuszczony. Wątpi, czy Lucy dostała którąkolwiek z tych kartek.

Owego dnia, owego straszliwego dnia Scarpetta stała przy otwartej kadzi, mając narzucony fartuch laboratoryjny na elegancki ciemny kostium, ponieważ wybierała się na spotkanie z prawnikiem, jak powiedziała Dave'owi, i zamierzała stawić czoło kłopotom. Zamierzała rozmawiać z prawnikiem o jakiejś proponowanej ustawie, ale Pogue nie pamięta, o co chodziło, ponieważ ustawa nie była wtedy najważniejsza. Bierze wdech, który wywołuje serię szmerów w jego płucach, i nadal siedzi na słońcu. Doktor Scarpetta była bardzo przystojną kobietą, gdy ubierała się tak elegancko jak tamtego dnia, i Pogue zawsze czuł pewien rodzaj bólu,

przyglądając się jej, kiedy tego nie widziała; czuł jakieś ukłucie, którego nie byłby w stanie opisać, gdy tak patrzył na nią z daleka. Do Lucy też coś czuł, ale to było inne. Wyczuwał głębię przywiązania pani dyrektor do Lucy, a to sprawiało, że coś do niej też czuł. Ale to było coś zdecydowanie odmiennego.

Pusty pojemnik narobił potwornego hałasu, tocząc się po podłodze, więc Pogue rzucił się za nim w pogoń w kierunku jeżdżącej na wózku Lucy. Nie da się opróżnić co do kropli dwustulitrowej beczki, toteż z kurka koło jej dna wyciekły resztki i formalina pryskała dookoła z pojemnika. Kilka kropli upadło mu na twarz, kiedy chwycił beczkę, a jedna wleciała mu do ust i płuc. Ale nikt nie przyszedł zobaczyć, co się dzieje, gdy Pogue kaszłał i wymiotował w łazience. Doktor Scarpetta nie zajrzała. Lucy oczywiście tym bardziej. Słyszał ją przez zamknięte drzwi łazienki. Znów wozila się ze śmiechem na wózku. Nikt nie miał pojęcia, że w tym właśnie momencie coś się przełamało w Edgarze Allanie Pogue'u, przełamało się na dobre.

„Wszystko w porządku? Nic się nie stało, Edgarze Allanie?” – spytała szefowa przez zamknięte drzwi, ale nie weszła do środka.

Powtarzał sobie w myślach jej słowa, powtarzał tyle razy, że nie jest już pewien, czy dobrze pamięta jej głos, czy zapamiętał dokładnie jego brzmienie.

„Wszystko w porządku, Edgarze Allanie?”.

„Tak, psze pani. Myję ręce”.

Kiedy Pogue wynurzył się w końcu z łazienki, wózek Lucy stał samotnie na środku korytarza. Dziewczyna znikła, doktor Scarpetta też. Zniknął też Dave. Na miejscu pozostał tylko Pogue, który właśnie został skazany na śmierć, ponieważ w płucach czuł eksplodującą, palącą kroplę formaliny, a na dole nie było nikogo poza nim.

Więc, jak pani widzi, wiem o tym wszystko, powiedział później w myślach do pani Arnette, stawiając sześć butelek różowego płynu utrwalającego na wózku koło jej stalowego stołu. Czasem trzeba cierpieć samemu, żeby zrozumieć cierpienie innych, tłumaczył pani Arnette, odcinając kawałki sznurka z kłębka leżącego na wózku. Wiem, że pamięta pani, ile czasu z panią spędziłem, rozmawiając o pani dokumentach, zamiarach i o tym, co się z panią stanie, jeśli pojedzie pani do Kolegium Medycznego Wirginii lub Uniwersytetu Wirginijskiego. Mówiła pani, że kocha Charlottesville, a ja obiecałem, że zrobię wszystko, żeby wylądowała pani na Uniwersytecie, skoro tak pani kocha to miasto. Słuchałem tego godzinami u pani w domu, nieprawdaż? Przychodziłem na każde zawołanie, najpierw z powodu dokumentów, potem dlatego; że potrzebowała pani słuchacza i bała się, że rodzina podważy pani decyzję.

Nie mogą tego zrobić, mówiłem pani. To dokument prawny. To pani ostatnia wola, pani Arnette. Jeśli chce pani ofiarować ciało nauce, a potem zostać skremowaną przeze mnie, rodzina nic nie może z tym zrobić.

Pogue wygrzewa się na słońcu w swoim buicku, ręką zaś wyczuwa w kieszeni mosiężno-ołowiane kule do trzydziestki ósemki, i przypomina sobie, że w towarzystwie pani Arnette czuł się najpotężniejszy w życiu. Przy niej czuł się Bogiem. Przy niej czuł się prawem.

„Jestem nieszczęsną starą kobietą, której ciało przestaje działać, Edgarze Allanie – powiedziała do niego, kiedy widzieli się po raz ostatni. – Mój lekarz mieszka po drugiej stronie płotu, ale nie należy mu zawracać głowy badaniami, Edgarze Allanie. Nigdy nie żyj tak długo”.

„Nie zamierzam” – odpowiedział Pogue.

„Ci po drugiej stronie płotu są dziwaczni – mówiła mu, śmiejąc się nieprzyjemnie, a ten śmiech krył w sobie jakieś znaczenia. – Jego żona to taki śmieć, takie zero. Widziałeś ją?”.

„Nie, psze pani. Raczej nie”.

„Nie spotykaj się z nią! – Potrząsnęła głową, w oczach miała dziwny wyraz. – Nigdy się z nią nie spotykaj!”.

„Nie zamierzam, pani Arnette. To okropne, że pani lekarz nie chce, żeby mu zawracać głowę. Nie powinno mu to ująć na sucho”.

„Ludzie tacy jak on dostają w końcu to, na co zasłużyli – odpowiedziała, leżąc na poduszkach na łóżku w sypialni znajdującej się na tyłach domu. – Daję ci słowo, Edgarze Allanie, ludzie dostają to, na co zasłużyli. Znam go od lat, on nie lubi, żeby mu zawracać głowę. Nie licz na to, że przyjdzie mnie wypisać”.

„Co pani ma na myśli?” – zapytał Pogue. Leżała taka drobna i krucha w łóżku, przykryta mnóstwem koców i kołder, ponieważ twierdziła, że nie jest w stanie się rozgrzać.

„No cóż, kiedy odchodzisz, ktoś musi cię wypisać, prawda?”.

„Tak, owszem. Lekarz wypisuje akt zgonu”. – Jedyłą rzeczą, na jakiej znał się Pogue, były formalności związane ze śmiercią.

„Będzie zbyt zajęty. Zapamiętaj moje słowa. A wtedy co? Bóg wyrzuci mnie za drzwi? – Roześmiała się gorzko, niewesołym śmiechem. Chyba tak, wiesz. Ja i Bóg nie jesteśmy w najlepszych stosunkach”.

„To całkiem zrozumiale – zapewnił ją Edgar Allan. – Ale proszę się nie martwić – dodał, wiedząc doskonale, że w owej chwili to on był Bogiem. Bóg nie był Bogiem, Pogue nim był. – Jeśli ten lekarz po drugiej stronie płotu nie wypisze pani, pani Arnette, może pani być pewna, że ja się tym zajmę”.

„Jak?”.

„Istnieją sposoby”.

„Jesteś najmilszym chłopcem, jakiego w życiu spotkałam – powiedziała znad poduszek. – Twoja matka to szczęściara”.

„Ona tak nie uważała”.

„A zatem musiała być złą kobietą”.

„Sam panią wypiszę – obiecał jej Pogue. – Codziennie oglądam te akty zgonu i połowa z nich jest wypisywana przez lekarzy, których to nic nie obchodzi”.

„Nikogo nic nie obchodzi, Edgarze Allanie”.

„Jeśli będzie trzeba, sfałszuję podpis. Proszę w ogóle się nie martwić”.

„Ale z ciebie kochany chłopiec. Co chciałbyś dostać po mnie? W moim testamencie, wiesz, jest napisane, że nie mogą sprzedać tego domu. Nieźle ich urządziłam. Możesz tu mieszkać, tylko niech oni o tym nie wiedzą, no i możesz sobie wziąć mój samochód, oczywiście od dawna nim nie jeździłam, więc akumulator na pewno jest do wymiany. Mój czas się zbliża, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Co ci dać? Powiedz mi. Chciałabym mieć takiego syna jak ty”.

„Pani czasopisma – powiedział. – Te z Hollywood”.

„O Boże. Te ze stolika, tak? Opowiadałam ci o czasie, który spędziłam w hotelu Beverly Hills i tych wszystkich gwiazdach filmowych, które oglądałam na polu golfowym i koło domków?”.

„Proszę mi opowiedzieć jeszcze raz. Kocham Hollywood bardziej niż cokolwiek innego”.

„Ten łajdak, mój mąż, zabrał mnie w końcu do Beverly Hills, muszę mu to przyznać, i było fantastycznie. Kocham kino, Edgarze Allanie. Mam nadzieję, że ty też. Nic nie może się równać z dobrym filmem”.

„Nie, psze pani, nic. Kiedyś też pojedę do Hollywood”.

„Powinieneś. Gdybym nie była taka stara i do niczego, zabrałabym cię do Hollywood. Ale mielibyśmy zabawę!”.

„Nie jest pani stara i do niczego, pani Arnette. Chciałaby pani spotkać się z moją matką? Przyjdę z nią kiedyś”.

„Napijemy się dżinu z tonikiem i zjemy te moje sufleciki kielbasiane”.

„Ona jest w puszcze” – odpowiedział.

„Co ty mówisz?”.

„Zmarła, ale mam ją w puszcze”.

„Och! Znaczy się, jej prochy?”.

„Tak, psze pani. Nie chciałem się z nią rozstawać”.

„Ależ to milutkie. Moimi prochami nikt się nie będzie przejmował, mówię ci. Wiesz, co bym chciała, żeby się stało z moimi prochami, Edgarze Allanie?”.

„Nie, psze pani”.

„Rozrzucić je po drugiej stronie tego przekłętego płotu. – Roześmiała się tym swoim gorzkim śmiechem. – Niech doktor Paulsson włoży je sobie do fajki i zapali! Nie wolno zawracać mu głowy, ale ja użyżnię jego trawnik”.

„Och, nie, psze pani. Nie mógłbym potraktować pani tak bez szacunku”.

„Zrób to, a nie pożałujesz. Idź do salonu i przynieś moją torebkę”.

Wypisała mu czek na pięćset dolarów – zaliczka za wypełnienie jej woli. Kiedy zrealizował czek, kupił jej różę i wytarł ręce w chusteczkę, a potem był dla niej miły, rozmawiał z nią i cały czas wycierał ręce.

„Czemu tak wycierasz ręce, Edgarze Allanie? – zapytała z łóżka. – Trzeba zdjąć folię z tej pięknej róży i wstawić ją do flakonu. Czemu wkładasz ją do szuflady?”.

„Żeby mogła ją pani zatrzymać na zawsze – wyjaśnił. – Proszę się teraz na moment obrócić na brzuch”.

„Co?”.

„Proszę – powtórzył. – Zobacz pani”.

Pomógł jej się obrócić – była lekka jak piórko – po czym usiadł na jej plecach i wsunął jej do ust swoją białą chusteczkę, żeby wreszcie była cicho.

„Za dużo pani gada – powiedział. – A teraz nie jest czas na gadanie. Nie powinna była pani nigdy tyle gadać” – mówił dalej, rozkładając jej ręce na łóżku, czując, jak potrzęsała głową, usiłując wyrwać się spod jego ciężaru, który uniemożliwiał jej oddychanie. Gdy znieruchomiała, puścił jej ręce i delikatnie wyjął chusteczkę z jej ust, ale nadal siedział na nieruchomym ciele, żeby mieć pewność, że pani Arnette pozostanie bez ruchu i nie zacznie oddychać, a jednocześnie mówił do niej, tak samo jak później do tej córki lekarza, ładniutkiej dziewczynki, której ojciec wyczyniał różne rzeczy w tamtym domu. Rzeczy, których Pogue nie powinien nigdy oglądać.

Pogue podskakuje i prawie krzyczy, słysząc pukanie w szybę. Otwiera natychmiast oczy i zanosz się suchym, duszącym kaszlem. Przy aucie stoi wielki uśmiechnięty Murzyn, stukając w szkło sygnetem i trzymając w ręce duże pudełko po M&Ms.

– Pięć dolców – mówi głośno przez szybę. – Zbieram na mój kościół.

Pogue zapała silnik i wrzuca wsteczny bieg.

Gabinet doktora Stanleya Philpotta znajduje się w białym szeregowym domku przy Main Street. Philpott jest lekarzem rodzinnym. Zachował się bardzo uprzejmie, gdy wczoraj późnym popołudniem Kay Scarpetta zadzwoniła do niego z pytaniem, czy mógłby porozmawiać o Edgarze Allanie Pogue.

– Wie pani, że nie mogę tego zrobić – powiedział w pierwszej chwili.

– Policja może wystarać się o nakaz – odrzekła. – Ułatwi to panu sprawę?

– Nieszczególnie.

– Muszę o nim porozmawiać. Czy mogłabym przyjść do pana gabinetu zaraz z rana? – spytała. – Obawiam się, że w przeciwnym razie będzie pan musiał o nim porozmawiać z policją.

Doktor Philpott nie chce widzieć policji. Nie chce radiowozów w pobliżu gabinetu ani policjantów w poczekalni – mogliby wystraszyć pacjentów. Doktor Philpott jest miło wyglądającym mężczyzną o lśniących siwych włosach i dystyngowanych ruchach i zachowuje się uprzejmie, kiedy sekretarka wpuszcza doktor Scarpettę przez tylne drzwi i wprowadzają do maleńkiej kuchni, w której czeka lekarz.

– Słyszałem pani wykłady kilka razy – mówi Philpott, nalewając kawy z ekspresu stojącego na blacie. – Raz w Akademii Medycznej w

Richmondzie, a drugi w Commonwealth Club. Pani oczywiście nie może mnie pamiętać. Jaką kawę pani pije?

– Czarną, proszę. Dziękuję – odpowiada Kay od stołu stojącego pod oknem, przez które widać brukowany zaułek. – Commonwealth Club to bardzo dawne czasy.

Doktor Philpott stawia kubki z kawą na stole i przysunąwszy sobie krzesło, siada tyłem do okna. Przedzierające się przez chmury światło słoneczne pada na jego elegancko zaczesane, gęste siwe włosy i śnieżnobiały fartuch lekarski. Ma duże i pewne dłonie. Z szyi zwisa mu stetoskop.

– Opowiadała pani zajmujące historie, o ile pamiętam – mówi z namysłem. – Wszystko w doskonałym guście. Pamiętam, że pomyślałem, że jest pani odważną kobietą. Wtedy nie zapraszano wielu kobiet do Commonwealth Club. Właściwie dalej się ich nie zaprasza. Wie pani co, prawdę mówiąc, przyszło mi wtedy na myśl, że może powinienem zapisać się na kurs medycyny sądowej. Tak ciekawie pani mówiła.

– Jeszcze nie jest za późno – odpowiada Kay z uśmiechem. – O ile wiem, macie tu niedobór specjalistów. Brakuje co najmniej stu lekarzy z uprawnieniami, co stanowi nie lada problem, ponieważ to oni wypisują większość aktów zgonu, jeżdżą na miejsce zbrodni i decydują, czy dany przypadek kwalifikuje się do sekcji, zwłaszcza na prowincji. Kiedy tu pracowałam, mieliśmy w całym stanie około pięciuset lekarzy z uprawnieniami, działających na zasadzie wolontariatu. Nazywałam ich swoimi żołnierzami. Nie wiem, jak bym sobie bez nich radziła.

– Lekarze nie chcą już nic robić na zasadzie wolontariatu – mówi doktor Philpott, trzymając kubek z kawą w obu rękach. – Zwłaszcza młodzi. Coraz więcej na świecie egoistów.

– Staram się o tym nie myśleć, żeby nie wpaść w depresję.

– To dobre podejście do sprawy. W czym konkretnie mógłbym pani pomóc? – W jego niebieskich oczach pojawia się cień smutku. – Wiem, że nie przychodzi pani z dobrymi wieściami. Co ma na sumieniu Edgar Allan?

– Najwyraźniej morderstwo. I usiłowanie morderstwa. Podkładanie bomb. Umyślne uszkodzenie ciała – wylicza doktor Scarpetta. – Czternastolatka mieszkająca w pobliżu, dwa tygodnie temu. Na pewno słyszał pan o tym w mediach. – Nie chce wchodzić w dalsze szczegóły.

– O Boże! – wzdycha doktor Philpott, wpatrując się w swoją kawę. – O mój Boże.

– Od jak dawna był pańskim pacjentem, doktorze Philpott?

– Od zawsze. Od dziecka. Leczyłem też jego matkę.

– Ona jeszcze żyje?

– Umarła jakieś dziesięć lat temu. Zaborczy typ kobiety, trudna. Edgar Allan był jej jedynym dzieckiem.

– Co z ojcem?

– Alkoholik, popełnił samobójstwo dawno temu. Minęło już ze dwadzieścia lat. Muszę pani od razu powiedzieć, że nie znam zbyt dobrze Edgara Allana. Przychodził od czasu do czasu z rutynowymi sprawami, głównie na szczepienia przeciwko grypie i pneumokokowemu zapaleniu płuc. Robił te szczepienia bardzo regularnie, zawsze we wrześniu.

– W tym roku też? – pyta doktor Scarpetta.

– Prawdę mówiąc, nie. Przejrzałem jego kartę, zanim pani przyszła. Przyszedł czternastego października i dałem mu zastrzyk przeciwko zapaleniu płuc, ale nie przeciwgrypowy. O ile pamiętam, nie miałem już szczepionek przeciw grypie. Wie pani, że zabrakło ich w tym roku. Skończyły mi się. Zrobił więc tylko to szczepienie przeciw zapaleniu płuc i wyszedł.

– Pamięta pan coś więcej z tej wizyty?

– Wszedł, powiedział dzień dobry. Spytałem, jak jego płuca. Ma poważne zwłóknienie tkanki śródmiąższowej, spowodowane długotrwałym kontaktem z płynami balsamującymi. Pracował dawniej w domu pogrzebowym.

– Niezupełnie – wtrąca doktor Scarpetta. – Pracował u mnie.

– A niech to! – mówi doktor Philpott ze zdumieniem. – Nie miałem o tym pojęcia. Zastanawiałem się, dlaczego... Powiedział mi, że pracował w przedsiębiorstwie pogrzebowym, że był asystentem dyrektora czy jakoś tak.

– To nieprawda. Pracował w Zakładzie Anatomii, był tam już wtedy, kiedy ja zostałam szefem, pod koniec lat osiemdziesiątych. Odszedł z pracy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym z powodu komplikacji zdrowotnych, tuż przed tym, jak wyprowadziliśmy się do nowego budynku przy Wschodniej Czwartej. Jak według historyjki, którą panu sprzedał, nabawił się choroby płuc? Przewlekły kontakt?

– Powiedział, że kiedyś rozlał formalinę i nawdychał się oparów. Wszystko mam zanotowane w jego karcie. To była dość pokrętna opowieść. Edgar Allan jest nieco dziwaczny, przyznaję. Zawsze taki mi się wydawał. Powiedział, że pracował w tym domu pogrzebowym i balsamując ciało, zapomniał zatkać czymś usta, tak mówił, i ten płyn balsamujący zaczął wypływać przez usta, ponieważ zbyt dużo go wpompowano, albo coś równie dziwnego, no i rurka się urwała. On zawsze opowiada z wielkim przejęciem. Ale po co ja to pani powtarzam? Skoro pracował u pani, to pani wie więcej niż ja. Nie ma potrzeby, żebym streszczał jego zmyślane historie.

– Nie znam tej sprawy – odpowiada Kay. – Pamiętam tylko, że była mowa o przewlekłym kontakcie z chemikaliami i że on rzeczywiście miał to zwłóknienie, a raczej, powinnam powiedzieć: ma zwłóknienie.

– Co do tego nie ma dwóch zdań. Ma zbliznowacenia na tkance śródmiąższowej i poważnie uszkodzoną tkankę płucną, co wykazała biopsja. Pod tym względem nic nie zmyśla.

– Usiłujemy go namierzyć – mówi doktor Scarpetta. – Mógłby pan podpowiedzieć coś, co pomogłoby nam w poszukiwaniach?

– Przychodzą mi do głowy same oczywistości. Próbowali państwo pytać ludzi, którzy z nim pracowali?

– Policja ich sprawdza. Ale to raczej niewiele da. Kiedy pracował u mnie, był klasycznym samotnikiem. Wiem, że w ciągu kilku dni powinien odnowić receptę na sterydy. Nie wie pan, czy bierze je regularnie?

– Z tego, co zaobserwowałem, on ma fazy, jeśli chodzi o leczenie. Przez rok jest bardzo skrupulatny, ale potem nagle wycofuje się z leków na kilka miesięcy, ponieważ przybiera od nich na wadze.

– Ma nadwagę?

– Kiedy widziałem go ostatni raz, miał całkiem sporą.

– Jaki jest wysoki i ile waży?

– Ma około metra siedemdziesiąt. Kiedy widziałem go w październiku, wyglądał, jakby ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo, więc powiedziałem mu, że to oznacza dodatkowy wysiłek dla jego płuc, nie mówiąc już o sercu. Kilkakrotnie sugerowałem odstawienie sterydów ze względu na nadwagę, a poza tym on się staje paranoiczny po tych lekach.

– Obawiał się pan zaburzeń psychicznych?

– Zawsze się tego obawiam, w przypadku wszystkich pacjentów. Każdy, kto widział stany psychotyczne wywołane sterydami, obawiałby się tego. Ale nigdy nie byłem w stanie stwierdzić, czy Edgar Allan jest paranoikiem z powodu leków, czy tak po prostu. Jak on to zrobił, jeśli wolno spytać? To znaczy jak zabił tę małą Paulssonów?

– Słyszał pan o przypadku Burke’a i Hare’a? Szkocja, początek dziewiętnastego wieku, dwaj faceci, którzy zabijali ludzi i sprzedawali ciała na sekcje. Wtedy brakowało ciał do sekcji i prawdę mówiąc, część studentów medycyny mogła uczyć się anatomii, tylko plądrując świeże groby lub zdobywając ciała w inny niezgodny z prawem sposób.

– Porywacze ciał – mówi doktor Philpott. – Niewiele wiem o burkingu, jak to nazywają. Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek słyszał o takim przypadku w ostatnich latach. Rezurekcjoniści, tak chyba wtedy nazywano tych, którzy okradali groby i oddawali ciała na sekcje.

– Dziś nie słyszy się o zabijaniu ludzi i sprzedawaniu ich ciał, ale burking nadal się zdarza. Jest trudny do wyśledzenia, więc nie wiemy, jak powszechny.

– Uduszenie, arszenik czy coś jeszcze?

– W patologii sądowej mianem burkingu określa się zabójstwo poprzez uduszenie gwałtowne. Podobno Burke zazwyczaj wybierał kogoś słabego: człowieka starszego, chorego lub dziecko i siadał mu na klatce piersiowej, zatykając przy tym ofierze nos i usta.

– Czy coś takiego stało się tej nieszczęsnej dziewczynce? – pyta doktor Philpott, a na jego twarzy maluje się zgroza. – On zrobił coś takiego córce Paulssonów?

– Jak pan wie, czasem diagnozujemy na podstawie braku diagnozy. Przez eliminację – wyjaśnia doktor Scarpetta. – Nie znaleźliśmy żadnych śladów, jeśli nie liczyć ewidentnych świeżych siniaków, które zdecydowanie potwierdzają, że ktoś mógł na niej usiąść i przytrzymać ją za rękę. Poza tym krwawiła z nosa. – Doktor Scarpetta nie chce mówić więcej. – Oczywiście, to wszystko ściśle tajne informacje.

– Nie mam pojęcia, gdzie on może się podziewać – zapewniają ponuro doktor Philpott. – Jeśli z jakiegokolwiek powodu zjawiłby się tutaj, dam

pani znać.

– Dam panu numer telefonu detektywa Pete’a Marino. – Kay pisze numer na karteczce.

– Naprawdę niewiele wiem o Edgarze Allanie. Nigdy szczególnie go nie lubiłem, prawdę mówiąc. To dziwak, wydaje się trochę niesamowity, a póki żyła matka, zawsze przychodziła z nim na wizyty. To znaczy, kiedy był już dorosły, zawsze, dopóki nie umarła.

– Na co umarła?

– Teraz, po rozmowie z panią, trochę mnie to zaniepokoiło – odpowiada doktor Philpott z ponurym wyrazem twarzy. – Była bardzo otyła i zupełnie o siebie nie dbała. Jednej zimy złapała grypę i zmarła w domu. Wtedy nie widziałem w tym nic podejrzanego. Teraz się zastanawiam.

– Mogłabym zajrzeć do jego kartoteki? I jej, jeśli nadal ją pan ma – pyta doktor Scarpetta.

– Jej raczej nie będę miał pod ręką, ponieważ zmarła dość dawno. Ale mogę pani pokazać jego kartę. Może ją pani tu przejrzeć, mam ją wyjętą na biurku. – Doktor Philpott wstaje z krzesła i wychodzi z kuchni, a jego ruchy są teraz powolniejsze niż wcześniej.

Kay wygląda przez okno na sójkę uczeponą nagiej gałęzi dębu i wyjadającą ziarna z karmnika dla ptaków. Ptak wygląda jak błękitna chmura agresji, rabuje karmnik, rozsypując jedzenie na wszystkie strony, po czym odskakuje jak pierzasta niebieska strzała i znika. Edgarowi Allanowi Pogue może się upiec. Odciski palców to niewystarczający dowód, a przyczyna i rodzaj śmierci będą przedmiotem dyskusji. Nie da się powiedzieć, ilu ludzi zabił, myśli Kay, zamartwiając się w tej chwili tym, że nie wie, co robił w czasie, gdy u niej pracował. Co robił tam na dole? Pamięta go w fartuchu. Był wtedy blady i chudy; pamięta jego białą twarz i oczy wpatrujące się w nią, rzucające jej ukradkowe spojrzenia, gdy

wysiadła z tej okropnej windy towarowej, by porozmawiać z Dave'em, który najwyraźniej też nie lubił Pogue'a i zapewne nie ma pojęcia, gdzie ten mógłby się podziewać.

Starła się spędzać w Zakładzie Anatomii jak najmniej czasu. Było to przygnębiające miejsce, w dodatku rozpaczliwie niedofinansowane zarówno przez władze stanowe, jak i uczelnie medyczne zamawiające ciała – tak niedofinansowane, że nie dało się zapewnić zmarłym minimum godności. A krematorium nieustannie się psuło. W kącie stały kije bejsbolowe, ponieważ kiedy wyjmowano szczątki z pieca, niektóre kawałki kości trzeba było zmiażdżyć, żeby zmieściły się w tanich urnach kupowanych z budżetu stanowego. Maszyna do mielenia była zbyt kosztowna, a kij bejsbolowy stanowił wystarczająco dobre narzędzie do rozbijania kości na mniejsze kawałki, na proch. Doktor Scarpetta wolała nie pamiętać, co dzieje się tam na dole, więc odwiedzała zakład tylko wtedy, gdy musiała, a już szczególnie unikała wizyt w sali kremacji i oglądania kijów bejsbolowych. Wiedziała o nich, ale trzymała się od tego z daleka, udając, że nie istnieją.

Powinnam była kupić tę maszynę, myśli teraz, wpatrując się w pusty karmnik dla ptaków, Za własne pieniądze. Nie powinnam była pozwolić na kije bejsbolowe. Teraz bym nie pozwoliła.

– Proszę – mówi doktor Philpott, wracając do kuchni i podając jej grubą teczkę z wypisanym nazwiskiem Edgara Allana Pogue'a. – Muszę wrócić do moich pacjentów, ale zajrzę tu jeszcze, żeby sprawdzić, czy pani czegoś nie potrzebuje.

Prawdę mówiąc, Kay nie przepadała za Zakładem Anatomii. Była przecież patologiem sądowym i prawnikiem, a nie dyrektorem zakładu pogrzebowego czy też balsamistą. Zawsze uważała, że ci zmarli nie mieli jej nic do powiedzenia, ponieważ ich śmierci nie otaczała aura tajemnicy.

Jeśli ktoś umierał w pokoju, to właśnie oni. A jej zadaniem byli ludzie, którzy nie mieli spokojnej śmierci. Ci, którzy zginęli nagle, gwałtownie i podejrzanie, więc nie miała ochoty oglądać zwłok w kadziach i unikała podziemnej części swojego ówczesnego królestwa. Unikała ludzi, którzy tam pracowali, unikała też tamtejszych zmarłych. Nie miała ochoty spędzać czasu w towarzystwie Dave'a czy Edgara Allana. Nie, nie miała na to ochoty. Kiedy różowe ciała unosiły się na łańcuchach, blokach i hakach, nie miała ochoty tego oglądać. Nawet najmniejszej ochoty.

Powinam była lepiej się tym wszystkim zajmować, myśli teraz, czując w żołądku kwaśny posmak kawy. Nie zrobiłam wszystkiego, co należało. Powoli przegląda kartotekę medyczną Pogue'a. Powinna była kupić tę maszynę, przyznaje, patrząc na adres, który Pogue podał doktorowi Philpottowi. Wedle karty do 1996 roku mieszkał w Ginter Park, w północnej części miasta, a potem zmienił adres na skrzynkę pocztową. Nigdzie w dokumentach nie ma wzmianki o tym, gdzie mieszkał później, toteż Kay zastanawia się, czy to nie wtedy wprowadził się do domku po drugiej stronie płotu Paulssonów, do domu pani Arnette. Może ją też zabił i zajął pustostan.

W karmniku za oknem siada sikorka, więc doktor Scarpetta przygląda się jej teraz, trzymając dłonie nieruchomo na teczce z dokumentami Pogue'a. Promienie słońca padają na lewą stronę twarzy – ciepłe, ale nie gorące, takie zimowe ciepło. Kay przygląda się szaremu ptaszкови dziobiącemu ziarna, jego błyszczącym oczkom i trzepoczącemu ogonkowi. Doktor Scarpetta wie, co niektórzy o niej mówią. Przez cały okres pracy w biurze koronera uciekała przed komentarzami, jakimi ignoranci obdarzają lekarzy, których pacjenci nie żyją. Że to makabryczne. Że ona sama jest dziwaczką niezdolną do kontaktów z żywymi. Że patolodzy sądowi to socjopaci, wariaci, zimne potwory pozbawione odrobiny współczucia. Że

wybierają tę specjalizację, ponieważ nie nadają się na lekarzy, ojców, matki, kochanków – i w ogóle ludzi.

Ze względu na komentarze ignorantów unikała ciemnej strony swego zawodu i teraz też nie ma ochoty na zajrzenie na tę ciemną stronę, ale może to zrobić. Ona rozumie Edgara Allana Pogue'a. Nie pojmuje jego motywów, ale wie, co on czuje. Widzi jego bladą twarz i oczy, rzucające jej ukradkowe spojrzenia, a potem przypomina sobie dzień, kiedy zabrała Lucy do miejsca, gdzie on pracował, ponieważ siostrzenica przyjechała do niej na święta. Lucy uwielbiała przychodzić do niej do biura, a tego właśnie dnia Kay miała jakąś sprawę do Dave'a, więc dziewczyna poszła z nią na dół, do Zakładu Anatomii, gdzie zachowywała się głośno, beztrzesko, okazując zero szacunku. Jak to Lucy. Coś zdarzyło się wtedy, kiedy była pod ziemią, kiedy na moment tam zeszły. Co to było?

Sikorka dziobie ziarenka i spogląda prosto na nią przez okno. Doktor Scarpetta podnosi kubek z kawą i ptaszek odlatuje z furkotem. Białe światło słoneczne pada na biały kubek z herbem Wirginijskiego Kolegium Medycznego. Kay wstaje od stołu w kuchni doktora Philpotta i wybiera numer komórki Marina.

– Jol – brzmi powitanie.

– On nie wróci do Richmondu – mówi do detektywa. – Jest na tyle sprytny, żeby wykombinować, że właśnie tu będziemy go szukać.

A Floryda to doskonałe miejsce dla ludzi z chorobami układu oddechowego.

– W takim razie lepiej tam pojedę. A co z tobą?

– Mam jeszcze jedną sprawę, a potem kończę z tym miastem.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie, dzięki – odpowiada doktor Scarpetta.

Robotnicy budowlani mają właśnie przerwę na lunch, więc siedzą na pustakach albo siedziskach swoich wielkich żółtych maszyn, pogryzając kanapki. Ich zniszczone twarze przyglądają się spod kasków, jak Kay brnie przez gęste czerwone błoto, przytrzymując uniesiony ciemny płaszcz, jakby była to długa suknia.

Nie widzi w okolicy majstra, z którym rozmawiała poprzednio, ani też nikogo, kto wyglądałby na szefa. Robotnicy tylko patrzą na nią, żaden nie podchodzi, żeby zapytać, czego tu chce. Kilku mężczyzn w ciemnych zakurzonych ubraniach roboczych zebrało się z kanapkami i colą wokół buldożera, i oni też przyglądają się jej, gdy toruje sobie drogę w błocie, unosząc brzeg długiego płaszcza.

– Szukam kierownika – oznajmia doktor Scarpetta, podchodząc do nich.
– Muszę wejść do budynku.

Rzuca spojrzenie na to, co pozostało z jej dawnego biura. Połowa frontowej części leży już na ziemi, ale tył jest nadal nietknięty.

– Nie ma mowy – mówi jeden z mężczyzn z pełnymi ustami. – Nikt nie włązi do środka. – Wraca do przeżuwania i spogląda na nią, jakby była niespełna rozumu.

– Tył budynku wygląda bezpiecznie – odpowiada Kay. – Kiedy pracowałam tu jako koroner stanowy, to było moje biuro. Byłam tu kilka

dni temu, po śmierci pana Whitby'ego.

– Nie można tam wchodzić – tłumaczy ten sam mężczyzna i rzuca porozumiewawcze spojrzenie przysłuchującym się kolegom. Spojrzenie to mówi jasno, że jest pomyłona.

– Gdzie majster? – pyta doktor Scarpetta. – Muszę z nim porozmawiać.

Mężczyzna odpina komórkę od paska i dzwoni do szefa.

– Joe? – mówi – Tu Bobby. Pamiętasz tę panią, która tu była kilka dni temu? Panią i tego wielkiego gliniarza z LA? Aha, no, tak właśnie. Ona tu znowu jest i chce z tobą gadać. Okej. – Kończy rozmowę i spogląda na Kay. – Poszedł tylko po papierosy i zaraz tu będzie – mówi do niej. – Po co pani chce tam włączyć? Tam przecież nic nie ma.

– Poza duchami – dodaje inny z robotników i wszyscy wybuchają śmiechem.

– Kiedy dokładnie zaczęła się rozbiórka? – pyta Scarpetta.

– Jakiś miesiąc temu. Tuż przed Świętem Dziękczynienia. A potem musieliśmy przerwać na tydzień, bo przyszły burze śnieżne.

Mężczyźni zaczynają przyjacielską sprzeczkę o to, kiedy dokładnie kula wyburzeniowa po raz pierwszy dotknęła ścian budynku, a tymczasem doktor Scarpetta zauważa mężczyznę wychodzącego zza budynku. Tamten ma na sobie spodnie robocze w kolorze khaki, ciemnozieloną kurtkę i wysokie buty, pod pachą trzyma kask, a w ustach papierosa.

– To jest Joe – mówi robotnik budowlany imieniem Bobby. – Ale on też pani nie wpuści. Nie powinna pani tam wchodzić, wie pani. Tam jest niebezpiecznie z wielu powodów.

– Kiedy zaczynaliście rozbiórkę, musieliście wyłączyć światło, czy też elektryczność była już odcięta?

– Nie mogliśmy zaczynać bez odcięcia elektryki.

– Ale nie wyłączyli jej dawno – dodaje inny robotnik. – Pamiętasz, było z tym trochę problemów, zanim tu weszliśmy. Ludzie musieli to załatwić. Światło się wtedy świeciło, nie?

– Nie pamiętam.

– Dzień dobry – odzywa się majster Joe do Kay. – W czym mogę pani pomóc?

– Muszę wejść do budynku. Tylnymi drzwiami, koło windy towarowej.

– Nie ma mowy – odpowiada zdecydowanie Joe, potrząsając głową i spoglądając na budynek.

– Możemy chwilę porozmawiać? – pyta doktor Scarpetta, odciągając go na bok.

– Nie ma mowy, żebyś pozwolił pani tam wejść. Po kiego diabła zresztą miałaby pani tam wchodzić? – mówi Joe, kiedy są jakieś trzy metry od pozostałych i mogą porozmawiać swobodniej. – To niebezpieczne. Po co pani chce tam wchodzić?

– Proszę posłuchać – wyjaśnia Kay, przestępując w błocie z nogi na nogę. Puściła już wcześniej brzeg płaszcza. – Pomagałam w badaniu ciała pana Whitby’ego. Znaleźliśmy bardzo dziwne dowody śladowe, tyle mogę panu powiedzieć.

– Pani żartuje.

Wiedziała, że to go zainteresuje, więc dodaje:

– Muszę coś sprawdzić w budynku. To jest naprawdę niebezpieczne czy też obawia się pan kłopotów, Joe?

Mężczyzna przygląda się budynkowi, drapiąc się po głowie, i przeczesuje włosy palcami.

– W sumie nie powinien się nam zawalić na głowy, w każdym razie nie tu z tyłu. Ale nie pchałbym się na front.

– Nie chcę iść na przód budynku – zapewnia doktor Scarpetta. – Wystarczy mi tył. Możemy wejść przez drzwi koło windy towarowej, a potem na prawo. Na końcu korytarza są schody. Możemy zejść tamtędy na dół, na sam dół. Tam właśnie chcę się dostać.

– Znam te schody. Byłem tam raz. Pani chce zejść do sutereny? O Boże. Co za pomysł.

– Od jak dawna w budynku nie ma elektryczności?

– Na pewno odcięli prąd, zanim weszliśmy z robotą.

– Ale kiedy pan tam był pierwszy raz, paliło się światło?

– Tak, lampy się świeciły. To było jeszcze w lecie, jak pierwszy raz oglądałem budynek. Teraz będzie ciemno jak w sztolni. Co za dowody? Nic z tego nie rozumiem. Myśli pani, że jemu przydarzyło się coś jeszcze oprócz przejechania przez buldożer? Oczywiście jego żona robi z tego sprawę, oskarżając, kogo się da i o co się da. Same bzdury. Byłem tu przecież. Nic mu się nie stało poza tym, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiedniej chwili i majstrował coś przy motorze.

– Muszę obejrzeć to miejsce – mówi doktor Scarpetta. – Może pan pójść ze mną. Byłabym nawet wdzięczna. Chcę tylko się rozejrzeć. Podejrzewam, że tylne drzwi są zamknięte. Nie mam klucza.

– No, to raczej nas nie powstrzyma. – Joe patrzy na budynek, po czym zwraca się do swoich ludzi. – Hej, Bobby! – woła. – Możecie wyłamać zamek z tylnych drzwi? No to zróbcie to. Okej – zwraca się z powrotem do niej. – Niech będzie. Zaprowadzę tam panią, pod warunkiem że nie idziemy na przód budynku i będziemy w środku tylko minutkę.

Światło tańczy po ścianach z pustaków i schodach z pomalowanego na beżowo betonu, gdy doktor Scarpetta i Joe schodzą, szurając nogami, na dół, do miejsca, gdzie pracował Edgar Allan Pogue w czasach, kiedy ona była szefową. Na dwóch najniższych poziomach budynku nie ma okien, ponieważ weszli do niego od strony kostnicy, a w kostnicach nie powinno być okien i zazwyczaj nie ma, no i oczywiście nie może być okien pod ziemią. Na klatce schodowej panuje całkowita ciemność, powietrze jest wilgotne i gęste od kurzu.

– Kiedy pokazywali mi budynek – odzywa się Joe, schodząc przed nią po stopniach w rytm tańczącego światła latarki – nie zabrali mnie na sam dół. Obejrzałem tylko wyższe piętra. Myślałem, że tu są po prostu piwnice. Nie przyprowadzili mnie tutaj. – Jego głos brzmi niepewnie.

– Powinni byli – oświadcza doktor Scarpetta, a kurz łaskocze ją w gardle i drażni skórę. – Na dole są dwa zbiorniki w podłodze, sześć metrów na sześć, trzy metry głębokości. Chyba by pan nie chciał, żeby jakaś maszyna wpadła w coś takiego?

– Prawdę mówiąc, zezłościło mnie to – odpowiada Joe, a w jego głosie istotnie słychać gniew. – Powinni mi przynajmniej pokazać je na zdjęciach. Sześć na sześć metrów, niech to! Ależ się zdenerwowałem. To już ostatni stopień. Proszę uważać. – Omiata pomieszczenie latarką.

- Powinniśmy być w korytarzu. Skręćmy w lewo.
- Chyba możemy skręcić tylko w lewo. – Joe rusza powoli przed siebie.
- Dlaczego, do diabła ciężkiego, nie powiedzieli mi o tych zbiornikach? – Nie jest w stanie w to uwierzyć.
- Nie wiem. To zależy, kto pana oprowadzał.
- Jakiś facet, za cholerę nie pamiętam, jak się nazywał. Pamiętam tylko, że był z Urzędu Miasta i nie miał najmniejszej ochoty tu wchodzić. Nie jestem pewny, czy w ogóle miał jakieś pojęcie o tym budynku.
- Zapewne nie. – Kay patrzy na brudne białe kafelki posadzki odbijające słabo światło jej latarki. – Oni po prostu chcieli to wyburzyć. Facet z Urzędu Miasta pewnie w ogóle nie wiedział o zbiornikach w podłodze. Wątpię, żeby kiedykolwiek był w Zakładzie Anatomii, tu na dole. Niewielu ludzi tu bywało. Oto one – wskazuje latarką przed siebie, a światło rozprasza gęstą ciemność wielkiego pustego pomieszczenia i oświetla ciemne, żelazne, prostokątne pokrywy kadzi podłogowych. – Są przykryte. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle – dodaje. – Ale na pewno ma pan tu na dole do czynienia z poważnym skażeniem biologicznym. Proszę dokładnie sprawdzić, co tu jest, zanim zaczniecie burzyć tę część budynku.
- Proszę się nie martwić. Po prostu nie chce mi się wierzyć! – powtarza Joe z gniewem i zdenerwowaniem, omiatając pomieszczenie światłem latarki.

Doktor Scarpetta oddala się od zbiorników i rusza ku tej części Zakładu Anatomii, która mieściła się po drugiej stronie dużej sali, za niewielkim pomieszczeniem, gdzie balsamowano zwłoki. Zapala w tym pokoiku latarkę. W snopie światła widać stalowy stół przymocowany do grubych rur w podłodze, stalowy zlew i szafki. Pod ścianą stoi zardzewiały wózek ze zwiniętym plastikowym całunem. Po lewej stronie tego pomieszczenia znajduje się niewielka wnęka, a lekarka wyobraża sobie wbudowany w

pustakową ścianę piec do kremacji, zanim go zobaczy. Następnie kieruje światło na długie ciemne żelazne drzwiczki w ścianie i przypomina sobie ogień migający w szparze, przypomina sobie zakurzone stalowe tace, na których wsuwało się do środka ciało, a kiedy się je wyciągało z pieca, było na nich niewiele poza prochem i kawałkami zwapniałych kości. Potem Scarpetta myśli o kijach bejsbolowych, służących do rozbijania tych resztek. Czuje wstyd na myśl o kijach.

Światło latarki ześlizguje się po ścianie na podłogę. Jest nadal pokryta białym pyłem i małymi fragmentami kości wyglądającymi jak kreda; pod stopami słyszy zgrzytanie, gdy robi krok. Joe nie wszedł tu za nią. Czeka poza wnęką i z zewnątrz oświetla podłogę i kąty, rzucając ogromny czarny cień jej płaszczu i kasku na ścianę z pustaków. W pewnej chwili promień latarki pada na oko. Jest wymalowane czarnym sprayem na beżowej ścianie: wielkie otwarte czarne oko otoczone rzęsami.

– A to co, do diabła? – pyta Joe. Wpatruje się w oko na ścianie, choć Kay tego nie widzi. – Jezu. Co to takiego?

Doktor Scarpetta nie odpowiada, światło jej latarki wędruje po pomieszczeniu. Kijów bejsbolowych nie ma już w kącie, w którym stały za jej czasów, ale wokół jest mnóstwo pyłu i kawałków kości – za dużo, myśli. Światło pada na puszkę z czarną farbą i dwie butelki lakieru, jedną czerwonego, drugą niebieskiego, obie puste. Doktor Scarpetta wkłada je do plastikowego worka, a do osobnego wrzuca puszkę z farbą w sprayu. Znajduje również kilka starych pudełek po cygarach z osadem popiołu w środku, zauważa też niedopałki cygar na podłodze i zmiętą papierową torbę. Dłońmi w rękawiczkach przecina snop światła i podnosi torbę. Papier szeleści jej w ręce: jest pewne, że torba nie leżała tu przez osiem lat, a nawet przez rok.

Otwierając ją, czuje lekki zapach cygar i nie jest to dym, tylko niespalony tytoń. Kieruje światło latarki do środka i widzi drobiny tytoniu oraz rachunek. Joe przesuwa snop światła ze swojej latarki na torbę w rękach Kay. Ta rzuca okiem na rachunek i czuje dziwny kontrast z rzeczywistością: na rachunku jest data – czternasty września tego roku – i suma ponad stu dolarów wydanych przez Edgara Allana, ponieważ doktor Scarpetta ma pewność, że był to Pogue, na dziesięć cygar Romeo y Julieta, zakupionych w sklepie tytoniowym za rogiem, w James Center.

James Center nie należy do miejsc, które Marino odwiedzał, kiedy był gliną w Richmondzie, no i oczywiście nie kupował swoich marlboro w eleganckich sklepach tytoniowych. W ogóle nie kupował ich w sklepach tytoniowych.

Nigdy nie kupował też cygar, żadnych cygar, ponieważ nawet tanie cygaro dużo kosztuje, a poza tym on nie pykałby, tylko się zaciągał. Teraz, kiedy już właściwie nie pali, może się do tego przyznać. Zaciągałby się dymem z cygar. Atrium jest całe ze szkła i światła; znajduje się tu mnóstwo roślin i słychać szum wody w fontannach. Ten jednostajny dźwięk prześladowuje Marina zmierzającego ku sklepowi, w którym Edgar Allan Pogue kupił cygara niecałe trzy miesiące przed tym, jak zamordował małą Gilly.

Jeszcze nie minęło południe, więc w sklepach nie ma tłumów. Kilku mężczyzn w eleganckich garniturach kupuje kawę i porusza się po centrum handlowym krokiem znamionującym, że właśnie gdzieś się udają w bardzo ważnych sprawach. Marino nie cierpi ludzi w stylu tych z James Center. Zna takich typków. Dorastał, znając takich typków, nie osobiście, ale z opowieści. Oni nie znali ludzi jego pokroju i nigdy nie zamierzali poznać. Marino idzie szybkim krokiem, emanując złością, a kiedy mija go

mężczyzna w doskonale skrojonym czarnym garniturze w paski, myśli: Nic, dupku, nie wiesz. Takie dupki jak ty nic nie wiedzą.

W sklepie z cygarami powietrze jest pełne ostrych i słodkich zapachów, napęniających detektywa nieokreśloną tęsknotą, którą ten zwala na fakt, że kiedyś palił. Brakuje mu tego, jest zły i zdenerwowany, ponieważ tęskni za papierosami. Serce go boli, gdyż w głębi duszy wie, że nigdy już nie będzie w stanie palić, nie tak jak kiedyś, po prostu nie może. Oszukiwał się, sądząc, że uda mu się przemycić papierosa lub dwa. Co za naiwność, łudzić się nadzieją. Nigdy nie było nadziei. Jeśli istnieją sprawy beznadziejne, to należy do nich jego nienasycona żądza tytoniu, jego rozpaczliwa miłość do tytoniu. Marino czuje się nagle ogromnie nieszczęśliwy, ponieważ nigdy już nie zapali papierosa, nigdy nie wciągnie dymu głęboko do płuc, nigdy nie poczuje tego kopa, tej czystej radości, kojącej ulgi, do której tęskni w każdej chwili swego życia. Budzi się z tą bolesną tęsknotą i kładzie się z nią spać, tęskni w snach i na jawie. Spogląda na zegarek i myśli o Kay Scarpetcie, zastanawiając się, czy jej lot się opóźnił. Ostatnimi czasy tyle lotów bywa opóźnionych.

Lekarz powiedział detektywowi, że jeśli nie rzuci palenia, to jeszcze przed sześćdziesiątką będzie musiał nosić butlę z tlenem w plecaku. A w końcu dokona żywota, usiłując złapać powietrze jak nieszczęsna Gilly, kiedy ten szaleniec usiadł na niej i rozkrzyżował jej ręce, a dziewczynka miotła się pod nim w panice, ponieważ każda komórka płuc domagała się tlenu, a jej usta usiłowały wołać mamę i tatę albo też po prostu krzyczeć, myśli Marino. Gilly nie była w stanie wydać dźwięku; czym zasłużyła sobie na taką śmierć? W tym rzecz, że niczym, myśli detektyw, przyglądając się pudełkom cygar na półkach z ciemnego drewna w chłodnym, pachnącym sklepie z tytoniem dla bogatych. Doktor Scarpetta pewnie teraz wsiada do samolotu, przypuszcza Marino, gdy jego wzrok pada na pudełka cygar

Romeo y Julieta. Jeśli nie ma opóźnienia, może już nawet siedzieć w samolocie lecącym na zachód, do Denver. Detektyw czuje pustkę w sercu, a w jakimś zakamarku jego duszy burzą się wstyd i wzbierająca złość.

– W czym mógłbym panu pomóc? – odzywa się zza lady mężczyzna w szarym swetrze w szpic i brązowych sztruksach.

Kolory jego ubrania i siwe włosy przypominają Marinowi dym. Ten człowiek pracuje w sklepie tytoniowym pełnym dymków i sam zmienił się w dymek. Zapewne gdy po pracy idzie do domu, może mieć taki dymek, jaki mu się podoba, podczas gdy Marino wraca sam do domu lub do hotelu i nie może nawet zapalić papierosa, a co dopiero mówić o zaciągnięciu się dymkiem. Teraz dopiero widzi prawdę. Już wie. To nie dla niego. Oszukiwał się, że może zaciągnie się raz lub dwa, co napełnia go smutkiem i wstydem.

Sięga do kieszeni i wyciąga rachunek, który doktor Scarpetta znalazła na pokrytej pyłem kostnym podłodze Zakładu Anatomii w swoim starym biurze. Rachunek jest w przezroczystym plastikowym woreczku, który Marino kładzie przed sprzedawcą.

– Od jak dawna pan tu pracuje? – pyta mężczyznę wyglądającego jak dym tytoniowy.

– Od dwunastu lat – odpowiada tamten, uśmiechając się do detektywa, choć w jego oczach czai się coś innego. Marino rozpoznaje strach, ale nie robi nic, żeby tamtego uspokoić.

– Zatem musi pan znać Edgara Allana Pogue’a. Przyszedł tu czternastego września tego roku i kupił te cygara.

Mężczyzna marszczy brwi i pochyla się, żeby obejrzeć rachunek w plastikowym woreczku na dowody.

– To rachunek od nas – potwierdza.

– Oczywiście, Sherlocku. Niski, gruby, ryży facecik – mówi detektyw, nie robiąc nic, żeby zmniejszyć przerażenie sprzedawcy. – Po trzydziestce. Pracował w tej starej kostnicy za rogiem. – Wskazuje ręką w tamtą stronę. – Mógł się zachowywać dziwnie.

Sprzedawca nie spuszcza wzroku z bejsbolówki Marina. Jest błądy i niespokojny.

– Nie sprzedajemy kubańskich cygar.

– Co? – Detektyw robi zdziwioną minę.

– Zakładam, że o to chodzi. On może i pytał, ale nie sprzedajemy ich.

– Przyszedł tu, aby zapytać o kubańskie cygara?

– Bardzo mu zależało, zwłaszcza ostatnim razem, jak tu był – wyjaśnia nerwowo mężczyzna. – Nie sprzedajemy kubańskich ani żadnego innego nielegalnego towaru.

– Wcale pana o to nie posądzam. Nie jestem z cholernej ATF ani FDA, nie jestem naczelnym lekarzem ani Kaczorem Donaldem – mówi Marino. – Mam w dupie, czy sprzedaje pan spod lady kubańskie cygara.

– Nie sprzedaję. Przysięgam, że nie sprzedaję.

– Chodzi mi o Pogue’a. Niech mi pan o nim opowie.

– Pamiętam go – mówi sprzedawca, którego twarz jest teraz szara jak dym. – Tak, pytał o kubańskie cygara. O Cohibas, ale nie z Dominikany, które mamy, tylko z Kuby. Wyjaśniłem mu, że nie sprzedajemy kubańskich. Są nielegalne. Pan nie jest stąd, prawda? Pan nie ma miejscowego akcentu.

– Oczywiście, że nie jestem stąd – potwierdza Marino. – Co jeszcze mówił Pogue? I kiedy to było? Kiedy przyszedł tu po raz ostatni?

Sprzedawca rzuca okiem na rachunek leżący na ladzie.

– Pewnie właśnie wtedy. Chociaż może był jeszcze później, w październiku. Przychodził mniej więcej raz na miesiąc. Bardzo dziwny człowiek. Bardzo dziwny.

– W październiku? Okej. Co jeszcze mówił, kiedy tu przyszedł?

– Chciał kupić kubańskie cygara, mówił, że zapłaci, ile zechcę, ale powtórzyłem mu, że ich nie sprzedajemy. Wiedział zresztą o tym. Kiedy przychodził wcześniej, też o nie pytał, chociaż nie tak natarczywie jak ostatnio. Straszny z niego dziwak. Pytał o nie już wcześniej i wtedy też, ze strasznym uporem. Wierzył chyba w te reklamy, że kubański tytoń jest zdrowszy dla płuc czy w jakieś podobne bzdury. Można palić tyle kubańskich, ile się chce, i nie zaszkodzą, wręcz przeciwnie, pomogą. Są czyste i zdrowe dla płuc, mają nawet właściwości lecznicze – tego rodzaju głupoty.

– Co mu pan powiedział? Tylko proszę nie kłamać. Gównu mnie obchodzi, czy sprzedał mu pan kubańskie. Ja szukam jego. Jeśli uważa, że te cholerne cygara pomagają na jego podziurawione płuca, to gdzieś je zdobywa. Jeśli tak uważa, to musi mieć skądś towar.

– Zdecydowanie tak uważa, w każdym razie uważał, jak był tu ostatnio. Strasznie nalegał. Nie mam pojęcia czemu – ciągnie sprzedawca, wpatrując się w rachunek. – Jest mnóstwo świetnych cygar. Dlaczego akurat kubańskie, nie mam pojęcia, ale uparł się na nie. Przypominał mi tych chorych, którzy uganiają się za magicznymi ziołami i marihuaną, albo ludzi z artretyzmem, którzy chcą zastrzyków ze złota i tak dalej. Zapewne jakiś dziwaczny przesąd. Odesłałem tego faceta do innego sklepu, powiedziałem, żeby przestał mnie nudzić o kubańskie cygara.

– Do jakiego sklepu?

– Właściwie to jest restauracja, gdzie podobno sprzedają wszelkie takie rzeczy albo wiedzą, skąd je wziąć. W barze, znaczy się. Wszystko, czego klient sobie zażyczy, o ile wiem. Tak w każdym razie słyszałem. Ja tam nie chodzę. Nie mam z tym nic wspólnego.

– Gdzie to jest?

- W Slip – odpowiada sprzedawca. – Kilka ulic stąd.
- Zna pan może miejsca na południu Florydy, gdzie można dostać kubańskie cygara? A może polecił mu pan jakiś lokal na południu?
- Nie – zaprzecza mężczyzna, potrząsając siwą głową. – Nie mam z tym nic wspólnego. Niech pan zapyta w Slip. Oni pewnie będą wiedzieć.
- Okej. A teraz pytanie za milion. – Marino wsuwa plastikowy woreczek z rachunkiem z *powrotem do kieszeni*. – Powiedział pan Pogue’owi o tym miejscu w Slip, gdzie można sobie kupić kubańskie cygara?
- Powiedziałem mu, że ludzie kupują cygara w tamtejszym barze – precyzuje sprzedawca.
- Jak się nazywa lokal?
- Stripes. Bar nazywa się Stripes, jest przy Cary Street. Nie chciałem, żeby gość tu wracał. Był jakiś taki dziwaczny. Zawsze uważałem, że jest w nim coś niesamowitego. Przychodził tu od lat, co kilka miesięcy. Nigdy wiele nie mówił. Ale ostatnim razem, kiedy tu był, chyba w październiku, wydawał się jeszcze dziwniejszy niż zwykle. Miał przy sobie kij bejsbolowy. Zapytałem, po co mu to, ale nie odpowiedział.
- I nigdy nie był taki uparty z tymi kubańskimi cygarami, a tym razem nie ustępował. Cohibas, powtarzał. Chciał Cohibas.
- Czy ten kij był pomalowany na czerwono, biało i niebiesko? – pyta detektyw, myśląc o Kay Scarpencie, niespalonych resztkach, pyle kostnym i wszystkim, co mu powiedziała, wyszedłszy z gabinetu doktora Philpotta.
- Być może – mówi sprzedawca, patrząc z zaskoczeniem na Marina. – O co w tym wszystkim chodzi? – pyta.

Głębokie cienie kładą się na białoszarych osikach w lasach otaczających wille, na gęsto rosnących, pozbawionych teraz liści drzewach. Lucy i Henri muszą schylać się i odsuwać gałęzie, żeby się między nimi przedostać. Rakiety śnieżne nie są w stanie zapobiec zapadaniu się w śnieg po kolana przy każdym kroku. Nigdzie dookoła nie widać innych ludzkich śladów.

– To wariactwo – mówi Henri, sapiąc ciężko i wydychając obłoczki pary.
– Po co to robimy?

– Ponieważ musimy wyjść i coś zrobić – odpowiada Lucy, wpadając w śnieg niemal po pas. – Oj! Patrz na to. Niesamowite. Jak pięknie.

– Uważam, że nie powinnaś była tu przyjeżdżać. – Henri przystaje i patrzy na nią w zapadającym zmroku, który maluje śnieg na niebiesko. – Wyszłam z tego, mam dość i wracam do Los Angeles.

– Twoja sprawa.
– Wcale tak nie myślisz. Kiedy mówisz takie łgarstwa, rośnie ci nos.
– Chodźmy jeszcze trochę dalej – mówi Lucy, brnąc przed siebie i starając się, żeby żadna gałąź czy młode drzewko nie uderzyły Henri w twarz, nawet jeśli przyjaciółka sobie na to zasłużyła. – Trochę dalej jest stary zwalony pień, jestem tego pewna. Widziałam go ze ścieżki, kiedy do ciebie szłam. Możemy odgarnąć śnieg i usiąść.

– Zamarzniemy – protestuje Henri, wpadając głęboko w śnieg i wypuszczając ustami parę zmieszaną z białym pyłem.

– Chyba nie jest ci teraz zimno?

– Jest mi gorąco.

– Więc jeśli zamarzniemy, wstaniemy i wrócimy.

Henri nie odpowiada. Od czasu, gdy zachorowała na grypę, a potem została napadnięta, jej sprawność fizyczna zdecydowanie się pogorszyła. W Los Angeles, gdzie po raz pierwszy się spotkały, była w świetnej kondycji. Niezbyt wysoka, ale bardzo silna, potrafiła wycisnąć na ławeczce własny ciężar i zrobić bez pomocy dziesięć pompek, podczas gdy większość kobiet wyciska jedną trzecią swojej wagi i robi jedną pompkę. Przebiegała kilometr w pięć minut, a teraz ledwie jest w stanie przejść ten dystans. Przez mniej niż miesiąc Henri straciła całą dawną sprawność i traci ją nadal, ponieważ utraciła coś jeszcze, co jest ważniejsze od ćwiczeń fizycznych. Utraciła poczucie misji. Lucy obawia się wszakże, że Henri nigdy czegoś takiego nie miała, że kierowała nią wyłącznie próżność, a płomień próżności jest gorący, ale wypala się szybko i znika.

– Jeszcze tylko parę kroków – namawiają. – Już go widać. Widzisz ten pniak? Za nim jest zamarznięty strumyk, a jeszcze dalej studio odnowy biologicznej. – Wskazuje kierunek kijkiem. – Najlepiej byłoby tam dotrzeć, a potem pójść do sauny.

– Ledwie oddycham – mówi Henri. – Mam wrażenie, że moje płuca skurczyły się o połowę, odkąd złapałam tę grypę.

– Miałaś zapalenie płuc – przypomina jej Lucy. – A może nie pamiętasz. Byłaś przez tydzień na antybiotykach. Wciąż je zażywałaś, kiedy to się stało.

– Tak. Kiedy to się stało. Cały czas o to chodzi. – Podkreśla za każdym razem słowo „to”. – Myślę, że rozmawiamy, używając eufemizmów. –

Stawia nogi w ślady Lucy, ponieważ nie może iść tak szybko i cała jest spocona. – Bola mnie płuca.

– A jak chciałabyś rozmawiać? – Lucy dochodzi do zwałonego pnia, który kiedyś był potężnym drzewem, ale teraz został z niego tylko kikut, jak wrak wielkiego statku. Zaczyna odmiatać śnieg. – Jak ty nazwałabyś to, co się stało?

– Powiedziałabym, że omal nie zginęłam.

– Gotowe. Siadaj. – Siada i klepie ręką oczyszczone miejsce koło siebie. – Miło jest posiedzieć. – Oddech zamarza w powietrzu, jest jej tak zimno w twarz, że ledwie ją czuje. – Czy „omal nie zginęłam” jest czymś innym niż „omal nie zostałam zamordowana”?

– Nie. To, to samo. – Henri, czujna i napięta, staje obok pniaka i rozgląda się po ośnieżonym lesie w gęstniejącym mroku. Światła willi i klubu fitness wyglądają jak żółte plamki między ciemnymi konarami, z kominów unosi się dym.

– A ja niekoniecznie powiedziałabym, że to, to samo – odpowiada Lucy, patrząc jej prosto w oczy. Zauważa, jak bardzo schudła Henri, i dostrzega w jej oczach coś, czego wcześniej nie była świadoma. – „Omala nie zginęłam” to dość obojętne stwierdzenie. A ja szukam uczuć, prawdziwych emocji.

– Lepiej niczego nie szukać. – Henri niechętnie siada na pniaku, trzymając się jak najdalej od Lucy.

– Nie szukałaś go, ale on znalazł ciebie – mówi Lucy, patrząc przed siebie na zimowy las. Dłonie opiera na kolanach.

– Prześladował mnie. Pół Hollywood na to cierpi. Znaczą się, wstąpiłam do klubu – odpowiada Henri, a wyraz jej twarzy mówi, że jest dumna z przynależności do klubu prześladowanych gwiazd hollywoodzkich.

– Też tak do niedawna uważałam. – Lucy zbiera rękawicą śnieg leżący u jej stóp i przygląda się białemu puchowi. – Ponoć udzieliłaś wywiadu o

tym, że cię zatrudniłam. Nic mi nie mówiłaś.

– Jakiego wywiadu?

– Dla „Hollywood Reporter”. Cytują cię.

– Wielokrotnie cytowano różne rzeczy, których nie mówiłam – oświadcza najeżona Henri.

– Nie chodzi o to, czego nie powiedziałaś. Chodzi ogólnie o udzielanie wywiadów. Zrobiłaś to. W artykule pojawia się nazwa mojej firmy. Może sam Ostatni Posterunek nie jest ściśle tajny, ale to, że przeniosłam kwaterę główną na Florydę, owszem. To akurat trzymałam w sekrecie, głównie ze względu na obóz treningowy. Ale informacja o tym znalazła się w prasie, a jak coś takiego raz się pojawi, to koniec z tajemnicą.

– Najwyraźniej nie masz pojęcia, co to są plotki i pogłoski – rzuca lekkim tonem Henri, a Lucy unika jej spojrzenia. – Gdybyś kiedykolwiek pracowała w showbiznesie, wiedziałabyś coś o tym. Rozumiałabyś.

– Obawiam się, że rozumiem całkiem sporo. Edgar Allan Pogue w jakiś sposób dowiedział się, że moja ciotka pracuje w moim nowym biurze w Hollywood na Florydzie. I co robi? – Lucy pochyla się, by zebrać więcej śniegu. – Przyjeżdża do Hollywood. Żeby mnie znaleźć.

– On nie przyjechał za tobą – mówi Henri, a jej głos jest zimny jak lód. Lucy nie czuje zimna śniegu przez rękawicę, ale wyczuwa chłód bijący od tamtej.

– Owszem, tak właśnie było. Trochę trudno wypatrzeć, kto jeździ ferrari, wiesz. Trzeba podejść i przyjrzeć się z bliska, łatwo natomiast jest je śledzić na ulicy. Rudy ma rację. Bardzo łatwo. Pogue w jakiś sposób mnie odszukał. Być może zadał odpowiednie pytania, znalazł obóz i jechał w ślad za ferrari do mojego domu. Może za tym czarnym. Nie wiem. – Przesypuje śnieg między palcami w czarnych rękawicach, nadal nie podnosząc wzroku na Henri. – Na pewno zauważył moje czarne ferrari.

Zadrapał maskę, więc wiemy, że znalazł samochód wtedy, kiedy wzięłaś go bez pozwolenia, prawdę mówiąc po tym, jak powiedziałam ci, że masz nim nigdy nie jeździć. Może tego właśnie wieczora odnalazł mój dom. Nie wiem. Ale to nie ciebie śledził.

– Jesteś cholerną egocentryczką – odpowiada tamta.

– Wiesz co, Henri – Lucy wypuszcza śnieg z ręki – prześwieliliśmy cię dokładnie, zanim cię zatrudniłam. Prawdopodobnie nie ma artykułu na twój temat, którego byśmy nie znaleźli. Niestety, ich liczba jest bardzo ograniczona. Więc może przestań zgrywać gwiazdę. Mogłabyś sobie darować te bzdury pod tytułem „prześladował mnie, czyli jestem ważna”. To nudne.

– Wracam. – Henri wstaje z pniaka i prawie się przewraca. – Jestem naprawdę zmęczona.

– Chciał cię zabić, żeby odpłacić mi za coś, co się stało, kiedy byłam nastolatką – ciągnie Lucy. – O ile w przypadku takiego szaleńca można mówić o logice działania. Problem w tym, że ja go nawet nie pamiętam. A on zapewne nie pamięta ciebie, Henri. Wszyscy czasem bywamy tylko środkami do jakiegoś celu, jak sądzę.

– Żałuję, że cię w ogóle poznałam. Zrujnowałaś mi życie.

W oczach Lucy kręcą się piekące łzy. Siedzi na pniu jak zamurowana. Bierze do ręki jeszcze trochę śniegu i wyrzuca go w powietrze, a lodowaty pył opada powoli wśród cieni wieczoru.

– Tak czy siak, zawsze wolałam facetów – oświadcza Henri, stawiając rakiety w śladach, które zrobiła, podchodząc przed chwilą do pnia. – Nie wiem, dlaczego się zgodziłam. Może to była ciekawość. Myślę, że wiele osób uznałoby cię za podniecającą na krótki czas. Poza tym eksperymentowanie jest dość powszechne w świecie, z którego wyszłam. Zresztą nieważne. Wszystko jest nieważne.

– Skąd miałaś te siniaki? – zwraca się do niej Lucy. Henri stawia przesadnie wielkie kroki, uderzając mocno kijkami i dysząc ciężko. – Wiem, że to pamiętasz. Pamiętasz bardzo dokładnie.

– Ach, siniaki. Te, które fotografowałaś, superglino? – Henri ledwie chwyta powietrze i wbija mocno kijek w głęboki śnieg.

– Wiem, że pamiętasz. – Lucy spogląda na nią z pniaka. Oczy ma pełne łez, ale stara się, żeby jej głos brzmiał pewnie.

– Usiadł na mnie. – Henri uderza w śnieg drugim kijkiem i unosi rakieta. – Zajeb z długimi kręconymi włosami. – Myślałam z początku, że to baba od basenu, myślałam, że to kobieta. Widziałam go koło basenu kilka dni wcześniej, kiedy byłam chora, widziałam go, ale myślałam, że to gruba baba z lokami przyszła oczyścić basen.

– On czyścił basen?

– Tak. Dlatego myślałam, że jest kolejną babą od basenu, może na zastępstwie albo co, jakąś nową sprzątaczką. A teraz najzabawniejsza wiadomość. – Henri odwraca się do Lucy, ale jej twarz nie wygląda jak zawsze, tylko jakoś inaczej. – Ta cholerna pijaczka, którą masz za sąsiadkę, robiła temu facetowi zdjęcia, jak zresztą wszystkiemu, co dzieje się na terenie twojej posesji.

– Dzięki za wiadomość – mówi Lucy. – Oczywiście nie wspomniałaś o tym Bentonowi przez cały czas, kiedy usiłował coś z ciebie wydobyć. Dzięki za informację, że możemy mieć jego zdjęcia.

– Tylko tyle pamiętam. Siedział na mnie. Nie miałam ochoty o tym mówić. – Robi krok, oddychając z trudem, po czym staje i odwraca się, a na jej bladej twarzy otoczonej cieniem widać okrucieństwo. – Nie uważałam, żeby to był powód do chwały. – Dyszy. – Jakiś obrzydliwy gruby popapraniec w twoim łóżku. Nie po te rzeczy, wiesz. Tylko żeby na tobie usiąść. – Henri odwraca się i brnie dalej przez śnieg.

– Dzięki za informacje, Henri. Świetny z ciebie detektyw.

– Już nie. Odchodzę. Wracam do LA – mówi z trudem. – Odchodzę.

Lucy siedzi na pniu, nabierając w dłonie śniegu.

– Nie możesz odejść – odpowiada, wpatrując się w niego – ponieważ jesteś zwolniona.

Henri nie słucha.

– Jesteś zwolniona! – woła Lucy z pniaka.

Henri idzie przez las, unosząc wysoko nogi i wbijając kijki w śnieg.

Edgar Allan Pogue przechadza się niespiesznie między półkami sklepu z bronią Guns & Pawn. Gładzi ręką schowane głęboko w prawej kieszeni spodni Miedziano-ołowiane naboje. Zdejmuje z wieszaków kolejne kabury, czyta opisy na opakowaniach, po czym odwiesza z powrotem. Dziś nie potrzebuje kabury. Co jest dzisiaj? Nie jest tego pewny. Dni mijały bez szczególnych wrażeń, pozostały po nich tylko niewyraźne wspomnienia zmieniającego się światła, gdy pocił się na leżaku, wpatrzony w wielkie oko spoglądające na niego ze ściany.

Co chwila zanosi się suchym kaszlem z głębi płuc i po każdym ataku staje się coraz bardziej zmęczony i zły. Z nosa mu cieknie, stawy bołą, a on wie, co to wszystko oznacza. Doktorowi Philpottowi zabrakło szczepionek na grypę. Nie zatrzymał jednej dla Pogue'a. Ze wszystkich swoich pacjentów powinien był zachować szczepionkę właśnie dla niego, lecz oczywiście doktor Philpott nigdy nie myślał. Powiedział, że bardzo mu przykro, ale nie ma już szczepionek, nie ma ich już nikt w całym mieście, o ile mu wiadomo, i tyle. „Proszę zajrzeć mniej więcej za tydzień, ale szanse są niewielkie” – dodał.

„A są jakieś szanse na Florydzie?” – zapytał Pogue.

„Wątpię – odpowiedział doktor Philpott, zajęty czymś innym, ledwie go słuchając. – Wątpię, żeby udało się panu gdziekolwiek znaleźć szczepionkę

na grypę, chyba że będzie miał pan duże szczęście, a przy takim szczęściu radziłbym zagrać w totolotka. W tym roku było za mało szczepionek w całym kraju. Po prostu nie wyprodukowali wystarczającej ilości, a potrzeba dobrych trzech, czterech miesięcy, żeby wyprodukować następne, więc w tym roku już raczej nie ma szans. A poza tym i tak można się zaszczepić na jedną odmianę grypy, a złapać inną. Najlepiej jest unikać kontaktu z chorobą i dbać o siebie. Proszę nie latać samolotami i nie chodzić na siłownię. Na siłowni można złapać wiele chorób”.

„Tak, panie doktorze” – odpowiedział Pogue, który nigdy w życiu nie leciał samolotem, a siłownię znał tylko z czasów szkoły średniej.

Teraz kaszle tak mocno, że z oczu ciekną mu łzy. Stoi przed półką z akcesoriami do czyszczenia broni, przyglądając się z zachwytem malutkim szczoteczkom, buteleczkom i zestawom narzędzi. Dziś nie zamierza czyścić broni, więc tylko chodzi między półkami, przyglądając się innym klientom. Gdy parę minut później zostaje sam w sklepie, podchodzi do lady i przygląda się potężnie zbudowanemu mężczyźnie w czerni wkładającemu pistolet do gabloty.

– Czym mogę służyć? – zwraca się do niego sprzedawca, który ma pewnie około pięćdziesiątki i wygląda groźnie z wygoloną głową.

– Podobno sprzedajecie cygara? – pyta Pogue, tłumiąc kaszel.

– Ha. – Mężczyzna patrzy na niego wyzywająco. Wędruje spojrzeniem od peruki Pogue’a ku jego oczom, a coś w tym wzroku nie daje Edgarowi Allanowi spokoju. – Doprawdy? Skąd takie informacje?

– Słyszałem – mówi Pogue, a to coś nadal nie daje mu spokoju i domaga się uwagi. Edgar Allan zanosi się kaszlem, w oczach zbierają mu się łzy.

– Chyba nie powinien pan palić – odzywa się sprzedawca z drugiej strony gabloty. Za pasek bojówek ma wetkniętą czarną bejsbolówkę, ale Pogue nie widzi napisu.

– To moja sprawa – odpowiada Pogue, usiłując złapać oddech. – Chcę cohibas. Sześć. Zapłacę po dwadzieścia dolarów za sztukę.

– A co to za broń, ten cohibas? – pyta tamten z niewinną miną.

– Dwadzieścia pięć.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Trzydzieści – ciągnie Pogue. – Więcej nie dam. I żeby były kubańskie. Rozpoznam. I proszę mi pokazać smitha and wessona, trzydziestkęósemkę. To ten rewolwer, o tam. – Wskazuje na jedną z gablot. – Chciałbym go obejrzyć. Poproszę cohibas i trzydziestkęósemkę.

– Słyszałem – odpowiada sprzedawca, patrząc gdzieś poza niego, jakby właśnie coś zobaczył. Jego ton i wyraz twarzy zmieniają się, coś w tym facecie wciąż nie daje Pogue’owi spokoju.

Allan obraca się, jakby to coś mogło być za nim, ale nic tam nie ma poza dwoma rzędami półek pełnych broni, akcesoriów, panterek i amunicji. Dotyka palcami w kieszeni sześciu pocisków do trzydziestki ósemki, wyobrażając sobie, jak się poczuje, gdy zastrzeli tego wielkiego faceta w czerni. Dochodzi do wniosku, że zapewne poczuje się świetnie, więc zwraca się ku szklanej gablocie i widzi tamtego z pistoletem wycelowanym prosto między własne oczy.

– Siemasz, Edgar Allan – mówi mężczyzna. – Jestem Marino.

Doktor Scarpetta dostrzega Bentona na odśnieżonej ścieżce prowadzącej od jego willi do szosy, którą dopiero co przejechał pług, więc zatrzymuje się pod ciemnozielonymi, pachnącymi drzewami, by na niego zaczekać. Nie widziała go od dnia, gdy wyjechał do Aspen. Nie dzwonił do niej zbyt często, odkąd wprowadziła się tu Henri, o czym Kay wówczas nie wiedziała, a jak do niego zadzwoniła, nie był bardzo rozmowny. Ona to rozumie. Nauczyła się rozumieć i już nawet nie jest to dla niej trudne. Benton całuje ją ustami, na których czuć sól.

– Co jadłeś? – pyta Kay, przytulając go mocno i całując wśród śniegu, pod ciężkimi gałęziami jodły.

– Orzeszki ziemne. Powinnaś być szpiegiem z tym twoim nosem – mówi Benton, patrząc jej w oczy i otaczając ją ramieniem.

– Powiedziałam, że coś wyczuwam smakiem, a nie węchem. – Kay uśmiecha się, idąc z nim odśnieżoną ścieżką w kierunku domu.

– Myślałem o cygarach – odpowiada Benton, przyciągając ją do siebie. Oboje usiłują iść tak, jakby ich cztery nogi były dwiema. – Pamiętasz czasy, kiedy paliłem cygara?

– Nie smakowały dobrze. Pachniały ładnie, ale smakowały paskudnie.

– I kto to mówi! Sama wtedy paliłaś papierosy.

– W takim razie moje usta nie mogły dobrze smakować.

– Tego nie powiedziałem. Absolutnie tego nie powiedziałem. – Przytula ją mocno, a jej ramię obejmuje go w pasie, gdy idą razem ku oświetlonej willi w lesie.

– To było naprawdę błyskotliwe. Ty i te cygara, Kay – mówi Benton, sięgając do kieszeni kurtki narciarskiej po klucze. – Jeśli nie wyraziłem się jasno, chciałbym, żebyś wiedziała, że to było naprawdę błyskotliwe posunięcie.

– To nie ja – odpowiada ona, zastanawiając się, jak Benton może się czuć po tym wszystkim, i analizując własne uczucia. – To Marino.

– Chciałbym go widzieć, jak kupuje kubańskie cygara w tym eleganckim sklepie w Eichmondzie.

– To nie tam sprzedają trefny towar, te kubańskie cygara znaczy się, a swoją drogą, co za idiotyzm. Kubańskie cygara są w tym kraju traktowane jak marihuana – mówi doktor Scarpetta. – Facet w tym eleganckim sklepie dał mu namiary na handlarzy. A trop poprowadził do sklepiku Gun & Pawn w Hollywood. Znasz Marina, to świetny gość.

– Niech będzie – zgadza się Benton, niespecjalnie zainteresowany szczegółami. Kay czuje, czym on jest zainteresowany, ale nie jest pewna, co chce w tej sprawie zrobić.

– To zasługa Marina, nie moja. Tyle mam do powiedzenia. To on wszystko zorganizował. Poza tym nie zaszkodzi mu teraz trochę pochwał. Jestem głodna. Co dla mnie ugotowałeś?

– Przygotowałem grill. Uwielbiam grille na śniegu na patio koło basenu termalnego.

– Ty i twój basen termalny. Na mrozie, w ciemności, tylko z pistoletem.

– Wiem. Nigdy jeszcze nie korzystałem z tego cholernego basenu. – Benton podchodzi do drzwi i otwiera zamek.

Otrzeputają buty ze śniegu, którego nie ma dużo, ponieważ ścieżka została odmieciona, ale z przyzwyczajenia i być może trochę z zakłopotania wytupują buty, zanim wejdą do środka. Benton zamyka drzwi, przyciąga Kay do siebie i całują się mocno, a ona nie czuje już smaku soli, tylko jego ciepły, mocny język i gładko ogoloną twarz.

– Włosy ci nieco urosły – mówi niewyraźnie, przebierając palcami w jego włosach.

– Byłem zajęty. Zbyt zajęty, żeby się ostrzec – odpowiada Benton, a jego ręce wędrują po jej ciele, jej zaś po jego, tyle że między nimi nadal są warstwy ubrań.

– Zajęty mieszkaniem z inną kobietą – mówi Kay, pomagając mu zdjąć kurtkę, gdy on pomaga jej zdjąć płaszcz. Cały czas całują się i dotykają nawzajem. – Słyszałam.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Nie obcinaj włosów.

Opiera się o frontowe drzwi, czując przeciskające się przez szpary zimne powietrze, ale nie przeszkadza jej to. Właściwie prawie tego nie zauważa, trzymając Bentona w ramionach, wpatrzona w niego: w jego przyprószone siwizną włosy i wyraz oczu. Benton dotyka jej twarzy, a wyraz jego oczu zmienia się i rozjaśnia, i przez moment Kay nie jest w stanie ocenić, czy to szczęście, czy smutek.

– Wejdźmy do środka – mówi Benton, a ten ciepły wyraz nie znika z jego oczu, kiedy bierze ją za rękę i prowadzi dalej od drzwi ku cieplejszym miejscom. – Zrobię ci coś do picia. Albo do jedzenia. Musisz być głodna i zmęczona.

– Nie aż tak zmęczona – odpowiada doktor Scarpetta.